



KSIĄŻĘ HARRY

MARGINESY

TEN DRUGI

KSIĄŻĘ HARRY

TEN DRUGI

Przełożyli

MIŁOSZ BIEDRZYCKI
ANNA DZIERZGOWSKA
JAN DZIERZGOWSKI
MARIUSZ GADEK
AGNIESZKA WYSZOGRODZKA-GAIK

MARGINESY

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Motto

Wstęp

Część I. Z głębi nocy, która mnie spowija

Część II. Przeklęty, lecz nieugięty

Część III. Kapitan duszy swojej

Epilog

Podziękowania

Przypisy

Tytuł oryginału *Spare*

Przekład

MIŁOSZ BIEDRZYCKI (s. 5–103), ANNA DZIERZGOWSKA (s. 103–206), JAN DZIERZGOWSKI (s. 206–306), MARIUSZ GADEK (s. 306–412), AGNIESZKA WYSZOGRODZKA-GAIK (s. 412–501)

Wydawca KATARZYNA RUDZKA

Redaktor prowadzący ADAM PLUSZKA

Redakcja IDA ŚWIERKOCKA

Korekta MAŁGORZATA KUŚNIERZ

Projekt okładki CHRISTOPHER BRAND

Adaptacja projektu okładki ANNA POL

Opracowanie typograficzne, łamanie, korekta ANNA HEGMAN

Koordynatorka produkcji PAULINA KUREK

Zdjęcie otwierające część II © Mod / Newspix International

Zdjęcie na froncie okładki Ramona Rosales

Zdjęcie z tyłu okładki Martin Keene / PA Images

Spare

Copyright © 2023 by Prince Harry, The Duke of Sussex

This translation is published by arrangement with Random House, an imprint and division of Penguin Random House LLC.

Copyright © for the translation by Miłosz Biedrzycki, Anna Dzierzgowska, Jan Dzierzowski, Mariusz Gądek, Agnieszka Wyszogrodzka-Gaik

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Marginesy,

Warszawa 2023

Warszawa 2023

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-67510-93-6

Książę Harry pragnie wesprzeć brytyjskie organizacje charytatywne darowizną płynącą z dochodu z publikacji książki *Ten drugi*. Książę Sussex przekazał 1,5 miliona dolarów Sentebale, organizacji, którą założył wraz z księciem Seeiso jako hołd dla ich matek, wspierającej dzieci i młodzież w Lesotho i Botswanie zarażone HIV. Książę Harry przekaze również darowiznę na rzecz organizacji non profit WellChild w wysokości 300 tysięcy funtów. WellChild, której od piętnastu lat udziela królewskiego patronatu, stara się, by dzieci i młodzież z chorobami przewlekłymi otrzymywały opiekę w domu zamiast w szpitalu.

Wydawnictwo Marginesy Sp. z o.o.

ul. Mierosławskiego 11A

01-527 Warszawa

tel. 48 22 663 02 75

redakcja@marginesy.com.pl

www.marginesy.com.pl

Konwersja: eLitera s.c.

*DLA MEG, ARCHIEGO I LILI...
I OCZYWIŚCIE DLA MOJEJ MATKI*

Przeszłość nigdy nie umiera.
Nie jest nawet przeszłością.

William Faulkner, *Requiem dla zakonnic*,
przeł. Waław Niepokólczycki

Umówiliśmy się na spotkanie kilka godzin po pogrzebie. W ogrodach Frogmore, przy starej gotyckiej ruinie. Byłem pierwszy.

Rozejrzałem się; nie zobaczyłem nikogo.

Sprawdziłem komórkę. Żadnego esemesa, żadnej poczty głosowej.

Pewnie się spóźnią, pomyślałem i oparłem się o kamienny murek.

Odłożyłem telefon i powiedziałem sobie: spokojnie.

Pogoda była klasycznie kwietniowa. Ni to zima, ni wiosna. Drzewa były nagie, ale powietrze – łagodne. Niebo szare, ale tulipany kwitły. Światło blade, ale meandrujący przez ogrody ciemnoniebieski staw błyszczał.

Jakie to wszystko jest piękne, pomyślałem. I jakie smutne.

Kiedyś zakładałem, że tu będzie mój dom na zawsze. Zamiast tego okazało się, że to tylko kolejny krótki przystanek.

Gdy moja żona i ja uciekliśmy stąd w obawie o zdrowie psychiczne i bezpieczeństwo fizyczne, nie byłem pewien, czy kiedykolwiek tu wrócę. To był styczeń 2020 roku. Teraz, ponad rok później, byłem tu kilka dni po przebudzeniu się, zobaczeniu na telefonie trzydziestu dwóch nieodebranych połączeń i odbyciu krótkiej, przyprawiającej o kołatanie serca rozmowy z babcią:

– Harry... dziadek odszedł.

Zaczęło wiać i zrobiło się chłodniej. Zgarbiłem się, potarłem ramiona, poczułem, jak cienka jest moja biała koszula. Żałowałem, że nie przebrałem się po pogrzebie i że nie wziąłem ze sobą płaszcza. Odwróciłem się plecami do wiatru i mój wzrok padł na gotyckie ruiny, które tak naprawdę nie były bardziej gotyckie niż karuzela Millennium Wheel. Zmyslna architektura, scenografia teatralna. Jak tyle innych rzeczy wokół, pomyślałem.

Z kamiennego murka przemieściłem się na drewnianą ławeczkę. Usiadłem, ponownie sprawdziłem telefon, spojrzałem wzdłuż ogrodowej ścieżki.

Gdzie oni są?

Kolejny podmuch wiatru. Z jakiegoś powodu przypomniał mi się dziadek. Może to jego chłodny sposób bycia. Albo mrozące poczucie humoru. Przywołałem

w myślach jedno z weekendowych polowań sprzed lat. Kolega, chcąc nawiązać rozmowę, spytał dziadka, co sądzi o mojej nowej brodzie, która wzbudzała niepokój w rodzinie i kontrowersje w prasie. „Czy królowa powinna kazać Harry’emu, żeby się ogolił?” Dziadek spojrzał na mojego kolegę, na moją brodę i na jego twarzy pojawił się szelmowski uśmiech.

– TO ma być broda?!

Wszyscy się roześmiali. Być albo nie być brodatym, oto było pytanie, ale można było liczyć na dziadka, że będzie się domagał więcej brody.

– Niech rośnie bujna szczecina cholernego wikinga!

Pomyślałem o zdecydowanych poglądach dziadka, o jego licznych pasjach: powożeniu bryczką, grillowaniu, strzelectwie, jedzeniu, piwie. O tym, jak cieszył się życiem. Pod pewnymi względami przypominał moją matkę. Może dlatego był takim jej fanem. Na długo zanim została księżną Dianą, kiedy była po prostu Dianą Spencer, przedszkolanką, sekretną dziewczyną księcia Karola, mój dziadek był jej najbardziej zdecydowanym sprzymierzeńcem. Niektórzy twierdzą, że to on wyswatał moich rodziców. Jeśli to prawda, to można uznać, że dziadek stanowił Pierwotną Przyczynę mojego świata. Nie byłoby mnie, gdyby nie on.

Ani mojego starszego brata.

Ale może za to nasza matka wciąż była by. Gdyby nie wyszła za tatę...

Przypomniałem sobie jedną z ostatnich rozmów, sam na sam z dziadkiem, niedługo po tym, jak skończył dziewięćdziesiąt siedem lat. Myślał o końcu. Mówił, że nie jest już w stanie realizować swoich pasji. Najbardziej ze wszystkiego jednak brakowało mu pracy. Bez pracy, mówił, wszystko się rozłązi. Nie wyglądał na smutnego, bardziej – na gotowego.

– Trzeba wiedzieć, kiedy odejść, Harry.

Popatrzyłem w dal, na małą panoramę krypt i pomników w ogrodach. Royal Burial Ground, Królewski Cmentarz, miejsce ostatecznego spoczynku tak wielu z nas, w tym królowej Wiktorii. A także osławionej Wallis Simpson. Również jej podwójnie osławionego męża Edwarda, byłego króla i mojego prapraprastryja. Po tym, jak Edward zrezygnował z tronu dla Wallis, po tym, gdy uciekli z Wielkiej Brytanii, martwili się o swój ostateczny powrót – oboje mieli obsesję na punkcie pochówku właśnie tutaj. Królowa, moja babcia, przychyliła się do ich prośby. Ale umieściła ich w pewnej odległości od wszystkich innych, pod pochylonym

platanem. Być może to było ostatnie pogrozenie palcem. Ostatnie wygnanie. Zastanawiałem się, co Wallis i Edward myślą teraz o swoim zamartwianiu się. Czy ostatecznie ma to jakiegokolwiek znaczenie? Zastanawiałem się, czy w ogóle o tym myślą. Czy unoszą się w jakiejś eterycznej przestrzeni, rozpamiętując swoje wybory, czy też są Nigdzie, myśląc o Niczym? Czy po tym wszystkim naprawdę może być Nic? Czy świadomość, tak jak czas, ma swój kres? A może, pomyślałem, po prostu są tu teraz, koło fałszywej gotyckiej ruiny, albo obok mnie i podsłuchują moje myśli. A jeśli tak... może moja matka też?

Myśl o niej, jak zawsze, przyniosła mi zastrzyk nadziei i przyływ energii.

I ukłucie smutku.

Tęskniłem za matką codziennie, ale tego dnia, tuż przed tym nerwowym spotkaniem w Frogmore, zatęskniłem za nią gwałtownie i nie potrafiłem powiedzieć dlaczego. Jak wiele rzeczy związanych z nią, trudno było to ująć w słowa. Mimo że moja matka była księżną i nosiła imię bogini, oba te określenia zawsze wydawały mi się zbyt słabe, nieadekwatne. Ludzie nieustannie porównywali ją do bohaterów i świętych, od Nelsona Mandeli, przez Matkę Teresę, po Joannę d'Arc, ale każde takie porównanie, choć podniosłe i pełne uwielbienia, okazywało się nietrafione. Moja matka – najbardziej rozpoznawalna kobieta na świecie, jedna z najbardziej kochanych – była zwyczajnie nie do opisanania, tak po prostu było. A jednak: jak ktoś tak dalece wykraczający poza język potoczny mógł pozostać tak rzeczywisty, tak namacalnie obecny, tak wyraziście żywy w moim umyśle? Jak to możliwe, że widziałem ją, tak dobrze jak łabędzia sunącego w moją stronę po ciemnoniebieskim stawie? Że wciąż słyszałem jej śmiech, tak głośno jak śpiew ptaków na nagich drzewach? Tak wielu rzeczy nie pamiętałem, bo byłem zbyt mały, kiedy zginęła, ale większym cudem było to wszystko, co zapamiętałem. Jej zniewalający uśmiech, jej wrażliwe oczy, jej dziecięco żarliwe uwielbienie filmów i muzyki, strojów i słodyczy – i nas. Och, jak ona kochała mojego brata i mnie. Obsesyjnie, wyznała w którymś z wywiadów.

No cóż, mam... wzajemnie.

Może jej wszechobecność wynikała z tego samego powodu, dla którego nie dało jej się opisać – ponieważ była światłem, czystym i promiennym światłem, a czy można tak naprawdę opisać światło? Nawet Einsteinowi sprawiało to trudności. Niedawno astronomowie nastavili swoje największe teleskopy, wycelowali je w maleńką szczelinę w kosmosie i udało im się dostrzec zapierającą dech

w piersiach kulę, którą nazwali Earendel, co w języku staroangielskim oznacza Gwiazdę Poranną. Earendel położona jest miliardy lat świetlnych od nas i prawdopodobnie już dawno przestała istnieć, bardziej zbliżona wiekiem do Wielkiego Wybuchu, momentu Stworzenia, niż nasza Droga Mleczna, a mimo to wciąż widoczna dla oczu śmiertelników, ponieważ jest tak jasna i olśniewająca.

Taka była moja matka.

To dlatego widziałem ją i wyczuwałem zawsze, ale szczególnie tego kwietniowego popołudnia w Frogmore.

A także dlatego, że niosłem jej sztandar. Przyszedłem do tych ogrodów, bo chciałem pokoju. Bardziej niż czegokolwiek innego. Chciałem go dla dobra mojej rodziny i dla siebie samego – ale też dla niej.

Ludzie zapominają o tym, jak bardzo moja matka dążyła do pokoju. Wielokrotnie okrążyła kulę ziemską, przemierzała pola minowe, przytulała chorych na AIDS, pocieszała sieroty wojenne, zawsze próbując zaprowadzić pokój, i wiedziałem, jak bardzo chciałyby – chciała! – pokoju między swoimi chłopcami, między nami dwoma i tatą. I w całej rodzinie.

Od wielu miesięcy Windsorowie znajdowali się w stanie wojny. Nasze szeregi bywały skłócone co jakiś czas, od wieków, ale tym razem wyglądało to inaczej. To był publiczny rozłam na pełną skalę, grożący niepowetowanymi stratami. Dlatego, choć przyleciałem do domu wyłącznie na pogrzeb dziadka, już na miejscu poprosiłem o poufne spotkanie z moim starszym bratem Willym i ojcem, by porozmawiać o tym, jak się sprawy mają.

By znaleźć wyjście.

Ale teraz spojrzałem jeszcze raz na telefon i wzdłuż ogrodu i pomyślałem: może zmienili zdanie. Może nie przyjdą.

Przez pół sekundy rozważałem poddanie się, pójście na samotny spacer po ogrodach albo z powrotem do domu, gdzie wszyscy moi kuzyni pili i wymieniali się opowieściami o dziadku.

I wtedy, w końcu, zobaczyłem ich. Krocząc w moją stronę ramię w ramię, wyglądali ponuro, niemal groźnie. Więcej, wyglądali na jednomyślnych. Serce podeszło mi do gardła. Normalnie kłóciliby się o to czy tamto, ale teraz wydawali się iść w zgodzie – w szyku.

Zaraz, czy umówiliśmy się na spacer... czy na pojedynek?

Podniosłem się z drewnianej ławki, nieśmiało zrobiłem krok w ich stronę, niepewnie się uśmiechnąłem. Nie odwzajemnili uśmiechu. Teraz moje serce naprawdę zaczęło miotać się w piersi. Oddychaj głęboko, powiedziałam do siebie.

Oprócz strachu czułem nadnaturalnie natężoną świadomość i ogromną bezbronność, podobnie jak w innych kluczowych momentach mojego życia.

Kiedy szedłem za trumną mojej matki.

Kiedy po raz pierwszy brałem udział w bitwie.

Kiedy przemawiałem publicznie podczas ataku paniki.

To samo poczucie, że rozpoczynam misję i nie wiem, czy podołam, ale wiem, że nie ma już odwrotu. Że Los przejmuje wodze.

No dobrze, mamó – pomyślałem, przyspieszając kroku – do dzieła. Trzymaj za mnie kciuki.

Spotkaliśmy się w połowie ścieżki.

– Willy? Tata? Cześć!

– Haroldzie...

Sztywno do bólu.

Przegrupowaliśmy się, sformowaliśmy tyralierę, ruszyliśmy zwirową ścieżką przez kamienny mostek obrosnięty bluszczem.

To, jak się do siebie dostroiliśmy, jak bez słowa wyrównaliśmy tempo marszu i pochyliśmy głowy, i jeszcze te groby naokoło – trudno, żebym sobie nie przypomniał o pogrzebie mamy. Zabroniłem sobie o tym myśleć i próbowałem się skupić na dźwięcznym chrzęście naszych kroków i na tym, jak nasze słowa ulatywały niczym dym na wietrze.

Jak przystało na Brytyjczyków i na Windsorów, zaczęliśmy pogawędkę o pogodzie. Wymieniliśmy uwagi o pogrzebie dziadka. Wszystko, w najdrobniejszych szczegółach, zaplanował sam, przypomnieliśmy sobie ze smutnymi uśmiechami. Pogawędki. Pogaduszki. Poruszyliśmy wszystkie poboczne tematy, a ja wciąż czekałem, aż przejdziemy do najważniejszego, zastanawiając się, dlaczego tyle to trwa, a także – jak, u licha, mój ojciec i brat zachowywali taki spokój.

Spojrzałem wokół siebie. Przeszliśmy już spory kawałek, a teraz dochodziliśmy do samego środka królewskiego cmentarza, po kostki w ciałach bardziej niż księżę

Hamlet. Jeśli się zastanowić... czy ja sam nie prosiłem kiedyś o pochówek tutaj? Kilka godzin przed wyruszeniem na wojnę mój prywatny sekretarz powiedział, że muszę wybrać miejsce, w którym zostaną złożone moje szczątki.

– Gdyby stało się najgorsze, Wasza Królewska Wysokość... na wojnie nigdy nie wiadomo...

Było kilka opcji. Kaplica Świętego Jerzego? Królewski skarbiec w Windsorze, gdzie w tej chwili umieszczono mego dziadka?

Nie, wybrałem to miejsce, bo ogrody były urocze, a okolica zdawała się spokojna.

Kiedy stanęliśmy niemal nad twarzą Wallis Simpson, tata rozpoczął miniwykład o tej osobistości tutaj, tamtej królewskiej kuzynce tam, o wszystkich tych niegdyś wybitnych księżętach i księżnych, lordach i damach, obecnie rezydujących pod trawnikiem. Jako historyk amator z wieloletnim stażem miał mnóstwo informacji do przekazania i po trochu zacząłem nabierać przekonania, że potrwa to kilka godzin, a całość zwieńczy sprawdzian. Na szczęście skończył, a my ruszyliśmy dalej po trawniku wzdłuż krawędzi stawu, aż do pięknego małego klombu żonkili.

To właśnie tam w końcu przeszliśmy do rzeczy.

Próbowałem wyłożyć swój punkt widzenia. Nie szło mi najlepiej. Denerwowałem się, próbując utrzymać emocje na wodzy, a jednocześnie starając się być zwięzłym i precyzyjnym. Przynależem sobie, że nie dopuszczę do przerodzenia się tego spotkania w kolejną kłótnię. Ale szybko przekonałem się, że to nie zależy ode mnie. Tata i Willy mieli swoje role do odegrania i przybyli gotowi do walki. Za każdym razem, gdy przedstawiałem nowe wyjaśnienie, nowy kierunek myślenia, jeden lub obaj przerywali mi. Szczególnie Willy nie chciał o niczym słyszeć. Po tym, jak kilkakrotnie mnie uciszył, zaczęliśmy się kłócić, mówiąc to samo, co mówiliśmy od miesiący – od lat. Atmosfera zrobiła się tak gorąca, że tata uniósł rękę.

– Dość tego!

Stanął pomiędzy nami, patrząc w górę na nasze rozpalone twarze.

– Proszę, chłopcy, nie zamieniajcie reszty moich dni w udrękę.

Jego głos brzmiał zgrzytliwie, krucho. Jeśli mam być szczery: staro.

Pomyślałem o dziadku.

W jednej chwili coś się we mnie poruszyło. Spojrzałem na Willy'ego, naprawdę na niego spojrzałem, może po raz pierwszy od czasu, gdy byliśmy chłopcami. Zobaczyłem wszystko: znajomy grymas, który domyślnie przybierał w kontaktach ze mną, niepokojącą łysinę, bardziej zaawansowaną niż moja; jego słynne podobieństwo do mamy, które zmniejszało się z czasem. Z wiekiem. Pod pewnymi względami był moim odbiciem w lustrze, pod innymi – przeciwieństwem. Mój ukochany brat, mój prześladowca – jak do tego doszło?

Poczułem ogromne zmęczenie. Chciałem wrócić do domu i dotarło do mnie, jak skomplikowanym pojęciem stał się dom. A może zawsze tak było. Ruchem ręki wskazałem ogrody, miasto za nimi, cały kraj i powiedziałem:

- Willy, to miał być nasz dom. Mieliśmy tu mieszkać do końca życia.
- Opuściłeś nas, Haroldzie.
- Tak. I wiesz dlaczego.
- Nie wiem.
- Nie wiesz?
- Naprawdę nie wiem.

Odsunąłem się. Nie mogłem uwierzyć w to, co usłyszałem. Nie zgadzać się w kwestii tego, kto zawinił lub jak sprawy mogły się potoczyć – to jedno, ale jak on może twierdzić, że nie zna powodów, dla których opuściłem kraj, w którym się urodziłem, kraj, za który walczyłem i za który byłem gotów zginąć – moją ojczyznę? Niełatwo to wypowiedzieć. Jak może twierdzić, że nie wie, dlaczego moja żona i ja podjęliśmy ten drastyczny krok, zabraliśmy nasze dziecko i uciekli gdzie pieprz rośnie, zostawiając wszystko: dom, przyjaciół, meble? Serio?

Spojrzałem na korony drzew:

- Nie wiesz?!
- Haroldzie... Naprawdę nie wiem.

Odwróciłem się do taty. Wpatrywał się we mnie z wyrazem twarzy mówiącym: „Ja też nie”.

Rany, pomyślałem. Może naprawdę nie mają pojęcia.

Niesamowite. Ale może to prawda.

A jeśli nie wiedzieli, dlaczego wyjechałem, to może też o mnie nic nie wiedzieli.

Może nigdy naprawdę mnie nie znali.

I, jeśli mam być szczery, może ja ich też nie.

Ta myśl sprawiła, że zrobiło mi się zimniej i poczułem się bardziej samotnie.

Ale też pobudziła mnie do działania. Pomyślałem, że muszę im opowiedzieć.

Jak im to opowiedzieć?

Nie dam rady. Za długo by to trwało.

Poza tym wyraźnie widać, że nie są w odpowiednim nastroju do słuchania.

W każdym razie nie teraz. Nie dzisiaj.

A zatem:

Tato? Willy?

Świecie?

Proszę bardzo.

CZEŚĆ I

Z GŁĘBI NOCY,
KTÓRA MNIE SPOWIJA^[1]

CZEŚĆ I

Z GŁĘBI NOCY,
KTÓRA MNIE
SPOWIJA¹



Opowieści krążyły od zawsze.

Ludzie niekiedy szeptali między sobą o tych, którym nie posłużyło Balmoral. Na przykład o jednej z dawnych królowych. Oszalała z żałoby zamknęła się w zamku Balmoral i przysięgła, że nigdy go nie opuści. Albo o byłym premierze o nienaganych manierach: nazwał to miejsce „surrealistycznym” i „zupełnie dziwnym”.

Myślę, że usłyszałem te historie dopiero dużo później. A może słuchałem ich i nie zwracałem na nie uwagi. Dla mnie Balmoral zawsze był po prostu rajem. Skrzyżowaniem Disneylandu i jakiegoś świętego gaju druidów. Zawsze byłem zbyt zajęty łowieniem ryb, strzelaniem, bieganiem w górę i w dół wzgórza, by zauważyć cokolwiek niepokojącego w feng shui starego zamku.

Chcę przez to powiedzieć, że byłem tam szczęśliwy.

Być może wręcz nigdy nie byłem szczęśliwszy niż tamtego złotego letniego dnia w Balmoral: 30 sierpnia 1997 roku.

Byliśmy w zamku od tygodnia. Mieliśmy zamiar zostać na kolejny. Tak samo jak poprzedniego roku, tak samo jak rok wcześniej. Balmoral stanowił osobną miniaturową porę roku, dwutygodniowe interludium w górach Szkocji pomiędzy pełnią lata a początkiem jesieni.

Była tam i babcia. Rzecz jasna. Spędzała w Balmoral większą część każdego lata. Był dziadek. I Willy. I tata. Cała rodzina, z wyjątkiem mamy, bo mama nie była już częścią rodziny. Uciekła albo została wyrzucona, w zależności od tego, kogo spytać, choć ja nigdy nikogo nie pytałem. Tak czy inaczej, spędzała swoje wakacje gdzie indziej.

W Grecji, powiedział ktoś. Nie, na Sardynii, powiedział ktoś inny. Nie, nie – ktoś się wtrącał – twoja mama jest w Paryżu! Może to sama mama tak powiedziała. Kiedy zadzwoniła wcześniej tego samego dnia, żeby pogadać? Niestety, to wspomnienie jest, wraz z milionem innych, odgródzone wysokim murem umysłu.

To jednocześnie okropne i nęcące uczucie – wiedzieć, że są tam, po drugiej stronie, zaledwie kilka centymetrów od nas; ale mur jest zawsze za wysoki, za gruby. Nie do przejścia.

W sumie podobnie jak wieże Balmoral.

Niezależnie od lokalizacji wiedziałem, że mama była ze swoim nowym przyjacielem. Tak go nazywano. Nie chłopak, nie kochanek. Przyjaciel. Uważałem go za sympatycznego gościa. Willy i ja poznaliśmy go niedługo przedtem. Ściślej, byliśmy w Saint-Tropez razem z mamą, kiedy go poznała, kilka tygodni wcześniej. Świetnie się bawiliśmy, tylko we trójkę, w willi jakiegoś starszego dżentelmena. Było dużo śmiechu i zabawy, jak zawsze, kiedy mama, Willy i ja byliśmy gdzieś razem, ale w te wakacje – jeszcze bardziej. Cały ten pobyt w Saint-Tropez okazał się rajski. Pogoda wspaniała, jedzenie smaczne, mama uśmiechnięta.

A co najlepsze – skutery wodne.

Czyje? Nie wiem. Ale pamiętam, że Willy i ja wypływaliśmy nimi na najgłębszą część kanału, krążąc w oczekiwaniu na duże promy. Na potężnych falach, które robiły, wzbijaliśmy się w powietrze jak na rampie. Nie wiem do dziś, jak to się stało, że się nie pozabijaliśmy.

Czy przyjaciel mamy pojawił się po naszym powrocie z szaleństw na skuterach wodnych? Nie, to było raczej tuż przed nimi.

– Witaj, ty pewnie jesteś Harry.

Kruczoczarne włosy, skóra spalona słońcem, śnieżnobiały uśmiech.

– Jak się masz? Nazywam się bla, bla, bla.

Zagadywał do nas, do mamy. Zwłaszcza do mamy. Zdecydowanie przede wszystkim do mamy. Jego oczy zamieniały się w czerwone, pulsujące serca.

Był niewątpliwie bezczelny. Ale przy tym, jako się rzekło, całkiem sympatyczny. Dał mamie prezent. Diamentową bransoletkę. Chyba jej się spodobała. Często ją nosiła. Potem zniknął z mojej świadomości.

Byle mama była szczęśliwa, powiedziałem do Willy'ego, a on stwierdził, że uważa tak samo.

Przejazd z rozświetlonego słońcem Saint-Tropez do spowitego w chmury Balmoral oznaczał szok dla organizmu. Niewyraźnie to pamiętam, i niewiele więcej z naszego pierwszego tygodnia na zamku. Mimo to mogę niemal zagwarantować, że spędziliśmy ten czas głównie na świeżym powietrzu. Moja rodzina żyła świeżym powietrzem, zwłaszcza babcia, która robiła się marudna, jeśli przynajmniej przez godzinę każdego dnia nie przebywała na zewnątrz. Jednak co robiliśmy, mówiliśmy, jedliśmy, w co byliśmy ubrani – tego nie wydobędę z pamięci. Niektórzy twierdzą, że przepłynęliśmy z wyspy Wight do zamku królewskim jachtem, w ostatnim jego rejsie. Brzmi cudownie.

Za to w najdrobniejszych szczegółach zachowałem w pamięci fizyczne otoczenie. Gęste lasy. Rzeka Dee spływająca z gór krętym korytem. Szczyt Lochnagar górujący ponad nami, wiecznie pokryty śniegiem. Krajobraz, geografia, architektura – tak działa moja pamięć. Daty? Przepraszam, muszę sprawdzić. Dialogi? Będę się starał, ale nie przytoczę nic dosłownie, zwłaszcza jeśli chodzi o lata dziewięćdziesiąte. Ale kiedy ktoś mnie spyta o jakąkolwiek przestrzeń, w której przebywałem – zamek, kokpit, sala szkolna, kajuta, sypialnia, pałac, ogród, pub – odtworzę ją co do gwoździaków w listwach przypodłogowych.

Dlaczego moja pamięć działa w ten sposób? Czy to genetyka? Trauma? Jakaś pokraczna kombinacja obu tych rzeczy? Czy to mój wewnętrzny żołnierz, postrzegający każde miejsce jako potencjalne pole bitwy? Czy to moja natura domatora, buntująca się przeciwko przymusowemu życiu koczownika? Czy to jakaś fundamentalna obawa, że świat jest w istocie labiryntem, a w labiryncie nigdy nie można dać się zaskoczyć bez mapy?

Niezależnie od przyczyn moja pamięć jest jaka jest, robi to, co robi, gromadzi i przechowuje to, co uważa za stosowne, i tyle samo prawdy jest w tym, co pamiętam i jak pamiętam, ile w tak zwanych obiektywnych faktach. Rzeczy takie jak chronologia czy przyczyna i skutek to często tylko baśnie, które opowiadamy sobie o przeszłości. „Przeszłość nigdy nie umiera. Nie jest nawet przeszłością”^[2]. Kiedy nie tak dawno odkryłem ten cytat na BrainyQuote.com, poraził mnie on jak grom. Pomyślałem: kim, do kurzej maci, jest Faulkner? I w jaki sposób jest spokrewniony z nami, Windsorami?

A zatem: Balmoral. Kiedy zamknę oczy, widzę główne wejście, dzielone okna od frontu, szeroki portyk i trzy nakrapiane szaro-czarne granitowe schody prowadzące do masywnych drzwi wejściowych z dębu w kolorze whisky, często podparte przez

ciężki kamień do curlingu i obsługiwane przez lokaja w czerwonej kurtce, a w środku – przestronny hol z białą kamienną podłogą i szarymi płytkami w kształcie gwiazd, ogromny kominek z piękną obudową z rzeźbionego ciemnego drewna, z boku wejście do czegoś w rodzaju pomieszczenia gospodarczego, a po lewej stronie, koło wysokich okien, uchwyty na wędki, laski spacerowe, gumowe wodery i ciężkie nieprzemakalne ubrania – masa nieprzemakalnych ubrań, bo lato, często mokre i zimne w całej Szkocji, było jeszcze bardziej dokuczliwe w tym zakątku godnym Syberii – a dalej jasnobrązowe drewniane drzwi prowadzące do korytarza ze szkarłatnym dywanem i ścianami wyłożonymi kremowymi tapetami ze wzorem ze złotego zamszu, wypukłym jak alfabet Braille’a, a jeszcze dalej liczne pokoje wzdłuż korytarza, każdy o określonym przeznaczeniu, jak siedzenie czy czytanie, oglądanie telewizji czy jedzenie podwieczorku, i jeden specjalny pokój dla paziów, z których wielu kochałem jak zbzikowanych wujków, i wreszcie główna komnata zamku, zbudowana w dziewiętnastym wieku, niemal dokładnie w miejscu wcześniejszego zamku datowanego na czternasty wiek, w odstępnie kilku pokoleń od innego księcia Harry’ego, który został wygnany, a potem wrócił i zniszczył wszystko i wszystkich naokoło. Mój daleki krewny. Moja bratnia dusza, jak twierdzą niektórzy. A na pewno mój imiennik. Urodzonego 15 września 1984 roku, na chrzcie nazwano mnie: Henry Charles Albert David of Wales.

Ale od samego początku wszyscy wołali na mnie Harry.

W samym środku tej głównej komnaty znajdowała się wielka klatka schodowa. Obszerna, widowiskowa, rzadko używana. Kiedy babcia udawała się do swojej sypialni na drugim piętrze, z pieskami corgi drepczącymi za nią krok w krok, wołała korzystać z windy.

Pieski też.

Niedaleko windy babci, za szkarłatnymi dwuskrzydłowymi drzwiami i kawałkiem zielonej tartanowej podłogi, znajdowała się mała klatka schodowa z ciężką żelazną poręczą; prowadziła na drugie piętro, gdzie stał posąg królowej Wiktorii. Zawsze kłaniałem się jej, gdy przechodziłem. „Wasza Królewska Mość!” Willy tak samo. Tak nam kazano, ale robiłbym to i bez nakazu. Byłem zafascynowany „babką Europy”, nie tylko dlatego, że babcia bardzo ją lubiła, a tata z początku chciał mnie nazwać imieniem jej męża (mama mu zabroniła). Ojciec Wiktorii, Edward, książę Kentu i Strathearn, był podobno sadystą, którego podniecał widok żołnierzy chłostanych batem, a jej ukochany mąż Albert zmarł na

jej oczach. Do tego podczas swojego długiego, samotnego panowania przeżyła osiem zamachów na swoje życie, ośmiokrotnie do niej strzelało siedmiu różnych poddanych.

Ani jedna kula nie trafiła w cel. Nic nie było w stanie powalić Wiktorii.

Za posągiem Wiktorii sprawy się komplikowały. Drzwi upodobały się do siebie, pokoje nakładały. Łatwo było się zgubić. Gdy otworzyło się nie te drzwi co trzeba, można się było natknąć na tatę, któremu lokaj akurat pomaga się ubrać. Albo gorzej, na tatę stojącego na głowie. Ćwiczenia te, zalecone przez fizjoterapeutę, były jedynym skutecznym lekarstwem na ciągły ból szyi i pleców taty. Przeważnie na skutek zadawnionych kontuzji z gry w polo. Ćwiczył codziennie, w samych bokserkach, oparty o drzwi lub zwisając z drążka jak prawdziwy akrobata. Wystarczyło dotknąć klamki małym palcem, żeby usłyszeć jego błagania z drugiej strony drzwi:

– Nie! Nie! Nie otwieraj! Na Boga, proszę, nie otwieraj!

W Balmoral było pięćdziesiąt sypialni, z których jedną przeznaczono dla mnie i Willy'ego. Dorośli nazywali ją pokojem dzieciennym. Willy zajmował większą jej część, z podwójnym łóżkiem, sporą umywalką, szafką z lustrzanymi drzwiami, pięknym oknem z widokiem na dziedziniec z fontanną i brązowym posągiem łani. Moja część pokoju była znacznie mniejsza, z mniejszą ilością wygod. Nigdy nie pytałem dlaczego. Nie dbałem o to. Ale też nie musiałem pytać. O dwa lata starszy Willy był Następcą, a ja – Zastępcą.

Nie chodziło tylko o to, że tak nazywały nas tabloidy – choć z całą pewnością to robiły. To był również skrót, którego często używali tata, mama i dziadek. A nawet babcia. Następcą i Zastępcą – nie łączyło się to z żadnym osądem, ale też nie pozostawiało wątpliwości. Byłem cieniem, podpórką, planem B. Zostałem sprowadzony na świat na wypadek, gdyby Willy'emu coś się stało. Moim zadaniem było zapewnić wsparcie, odwrócić uwagę, przyjąć na siebie cios, a w razie potrzeby – dostarczyć części zamiennych. Może nerki. Krwi. Odrobiny szpiku kostnego. Wszystko to dokładnie wyjaśniono mi na początku drogi przez życie i metodycznie rozwijano później. W wieku dwudziestu lat po raz pierwszy usłyszałem o tym, co tata rzekomo powiedział do mamy w dniu moich narodzin:

– Cudownie! Dałaś mi Następcę i Zastępcę. Moja praca jest skończona.

Żart. Zapewne. Z drugiej strony kilka minut po wygłoszeniu tej perły dowcipu tata podobno poszedł spotkać się ze swoją kochanką. No i tak. Czasem najczystsza prawdę mówi się w żartach.

Nie bolało mnie to. Co to, to nie. Sukcesja była jak pogoda albo ruchy planet, albo kolejność pór roku. Po co się przejmować rzeczami tak niezmiennymi? Po co brać do siebie los wyryty w kamieniu? Bycie Windsorem wiązało się z rozpoznaniem, które z prawd miały ponadczasowy charakter, a następnie usunięciem ich z pola uwagi. Z uwewnętrznieniem podstawowych parametrów własnej tożsamości, instynktowna wiedza o tym, kim się jest, co zawsze wynikało z tego, kim się nie jest.

Nie byłem babcią.

Nie byłem tatą.

Nie byłem Willym.

Byłem trzeci w kolejności dziedziczenia, za nimi.

Każdy chłopiec i każda dziewczynka, przynajmniej raz w życiu, wyobrażają sobie, że są księciem czy księżniczką. Dlatego też, Zastępca czy nie, nie było tak źle faktycznie być księciem. Więcej – z przekonaniem wspierać tych, których się kochało. Czyż nie na tym polega honor?

Miłość?

Jak w kłanianiu się Wiktorii, kiedy się przechodziło?

3

Do mojej sypialni przylegało coś w rodzaju okrągłego saloniku. Okrągły stół, lustro na ścianie, sekretarzyk, kominek otoczony siedziskami. Na przeciwległej ścianie znajdowały się wielkie drewniane drzwi do łazienki. Dwie marmurowe umywalki wyglądały jak prototypy pierwszej umywalki w dziejach. Wszystko w Balmoral było albo stare, albo zrobione tak, żeby wyglądało na stare. Zamek był placem zabaw, domkiem myśliwskim, ale także sceną teatralną.

W łazience najważniejsza była wanna na lwich łapach, i nawet woda tryskająca z kranów wydawała się stara, w dobrym sensie tego słowa. Stara jak jezioro, w którym Merlin pomógł królowi Arturowi znaleźć magiczny miecz. Woda koloru

brązowego, niczym słaba herbata, często wprawiała weekendowych gości w konsternację.

– Przepraszam, ale chyba coś jest nie tak z wodą w mojej ubikacji.

Tata zawsze się wtedy uśmiechał i zapewniał ich, że z ich wodą jest wszystko w porządku, a nawet lepiej: została przefiltrowana i uszlachetniona przez szkocki torf.

– Ta woda płynie prosto ze źródła, a przed państwem jedna z największych przyjemności: szkocka kąpiel górską.

W zależności od upodobania szkocka kąpiel górską mogła być lodowata jak na Antarktydzie albo wrząca jak w czajniku, krany w całym zamku były ustawione precyzyjnie. Jak dla mnie, mało co może się równać z zanurzeniem w niemal wrzącej wodzie, szczególnie w połączeniu z widokiem z zamkowych okien jak strzelnice, w których – jak sobie wyobrażałem – pełnili kiedyś wartę łuczniczy. Patrzyłem w górę na rozgwieżdżone niebo lub w dół na ogrody otoczone murem i wyobrażałem sobie, jak unoszę się nad wielkim trawnikiem, dzięki staraniom batalionu ogrodników gładkim i zielonym niczym stół do snookera.

Trawnik był tak idealny, każde źdźbło trawy tak precyzyjnie przycięte, że Willy i ja mieliśmy poczucie winy, kiedy po nim chodziliśmy, nie mówiąc o jeźdźeniu rowerami. Ale i tak bez przerwy to robiliśmy. Raz goniliśmy po trawniku naszą kuzynkę. My na quadach, a ona – gokartem. Zabawa była przednia, póki nie wjechała prosto w pomalowaną na zielono latarnię. Co za traf – jedyna latarnia w promieniu tysiąca kilometrów. Śmiało się jak szaleńcy, a słup latarni, który do niedawna był drzewem w jednym z okolicznych lasów, ułamał się gładko w połowie i spadł na kuzynkę. Na całe szczęście nic poważnego się jej nie stało.

30 sierpnia 1997 roku nie patrzyłem długo na trawnik. Oboje z Willym pospiesznie się wykąpaliliśmy, wskoczyliśmy w piżamy i ochoczo zasiedliśmy przed telewizorem. Wmaszerowali lokaje, niosąc talerze na tacach nakrytych srebrnymi kloszami. Ustawili je na drewnianych podstawkach, po czym, jak zawsze, pożartowali z nami i życzyli nam smacznego.

Lokaje, porcelanowa zastawa – brzmi to elegancko i pewnie takie było, ale te wymyślne klosze kryły po prostu jedzenie dla dzieciaków. Paluszki rybne, zapiekanka, pieczony kurczak, zielony groszek.

Dołączyła do nas Mabel, nasza niania, która niegdyś była nianią taty. Gdy wspólnie się opychaliśmy, usłyszeliśmy, jak tata przemyka w kapciach, wracając z kąpieli. Niósł ze sobą „radyjko”, jak nazywał swój przenośny odtwarzacz CD, na którym lubił słuchać swoich „historyjek”, kiedy moczył się w wannie. Tata chodził jak w zegarku, więc kiedy usłyszeliśmy go w holu, wiedzieliśmy, że jest koło ósmej.

Pół godziny później usłyszeliśmy dorosłych rozpoczynających wieczorną wędrówkę na dół, a następnie pierwsze beczące nuty akompaniujących im dud. Przez następne dwie godziny dorośli będą uwięzieni w Lochu Kolacyjnym, zmuszeni do siedzenia przy długim stole, łypania na siebie w półmroku kandelabru zaprojektowanego przez księcia Alberta, trzymania się prosto nad porcelanowymi talerzami i kryształowymi pucharami, rozstawionymi z matematyczną precyzją przez służących (którzy używali przy tym taśm mierniczych), skubania przepiórczych jaj i turbota i prowadzenia błahych pogawędek, a wszystko to w ich najlepszych strojach. Fraki, lakierki, spodnie w szkocką kratę. Może nawet kilty.

Pomyślałem: co to za piekło być dorosłym!

Tata zajrzał do nas po drodze na wieczorny posiłek. Był już spóźniony, ale z namaszczeniem podnosił srebrne kłosze – „mniem, mniem, sam chciałbym to mieć na kolację!” – i długo wciągał powietrze nosem. Zawsze wszystko wąchał. Jedzenie, róże, nasze włosy. W poprzednim życiu chyba był chartem. Może tak pilnie pociągał nosem, bo trudno mu było wyczuć cokolwiek oprócz własnych perfum. Eau Sauvage. Spryskiwał tym policzki, szyję, koszulę. Kwiatowy zapach, z nutą czegoś ostrego, pieprzu czy prochu strzelniczego, robiono go w Paryżu. Tak było napisane na buteleczce. Pomyślałem o mamie.

– Tak, Harry, mama jest w Paryżu.

Ich sprawa rozwodowa zakończyła się dokładnie rok wcześniej. Prawie co do dnia.

– Bądźcie grzeczni, chłopcy.

– Dobrze, tato.

– Nie siedźcie za długo.

Poszedł, a zapach pozostał.

Dokończyliśmy z Willym kolację, jeszcze trochę pooglądaliśmy telewizję, a potem przystąpiliśmy do naszych regularnych wieczornych wybryków. Przycupnęliśmy na najwyższym stopniu bocznych schodów i podsłuchiwaliśmy dorosłych, mając nadzieję na usłyszenie nieprzyzwoitego słowa lub opowieści. Biegaliśmy tam i z powrotem po długich korytarzach, pod czujnym okiem dziesiątek głów martwych jeleni. W pewnym momencie wpadliśmy na dudziarza babci. Rumiany, o gruszkowatej posturze, z nastroszonymi brwiami i w tweedowym kilcie, chodził wszędzie tam, gdzie babcia, bo ona uwielbiała dźwięk dud, podobnie jak Wiktoria, choć Albert podobno nazywał je „bestialskim instrumentem”. Podczas wakacji w Balmoral babcia życzyła sobie, by dudy grały jej na pobudkę i przez cały dzień aż do kolacji.

Instrument dudziarza wyglądał jak pijana ośmiornica, z tą różnicą, że jej chwiejne ramiona wytoczone były z ciemnego mahoni z srebrnymi okuciami. Widzieliśmy go już wiele razy wcześniej, ale tego wieczoru zaproponował, że pozwoli nam go potrzymać. Spróbujcie.

– Serio?

– No, dawajcie.

Nie potrafiliśmy wydobyć z piszczałek nic poza cienkimi piskami. Po prostu nie mieliśmy chuchu. Za to dudziarz miał klatkę piersiową rozmiaru beczki whisky. Potrafił sprawić, że dudy jęczały i wrzeszczały.

Podziękowaliśmy za lekcję i życzyliśmy mu dobrej nocy, po czym wróciliśmy do pokoju dziecinnego, gdzie pod nadzorem Mabel umyliśmy zęby i twarze. Potem – do łóżek.

Moje łóżko było wysokie. Musiałem podskoczyć, żeby się na nie wdrapać, po czym staczałem się w dół do jego zapadniętego środka. Miałem poczucie, jakbym wspinał się na regał z książkami, a potem wpadał do okopu. Pościel była czysta, świeża, w różnych odcieniach bieli. Alabastrowe prześcieradła. Jasnobeżowe koce. Kołdry w kolorze skorupki jajka. (Wszystko napięte jak naciąg werbla, tak doskonale wygładzone, że z łatwością można było dostrzec zacerowane rozdarcia i dziury z ostatnich stu lat).

Podciągnąłem prześcieradło i kołdrę do brody, bo nie lubiłem ciemności. Nie – ja nienawidziłem ciemności. Mama też tak mówiła, miałem to po niej, pomyślałem, razem z jej nosem, niebieskimi oczami, jej miłością do ludzi, niechęcią do

samozadowolenia, fałszu i obnoszenia się z bogactwem. Widzę siebie pod tą kołdrą, jak wpatruję się w ciemność, nasłuchuję cykania owadów i pohukiwania sów. Czy wyobrażałem sobie kształty pełzające po ścianach? Czy patrzyłem na smugę światła wzdłuż podłogi, która zawsze tam była, bo zawsze prosiłem, żeby nie domykano drzwi? Ile czasu minęło, zanim usnąłem? Innymi słowy, ile dzieciństwa mi pozostało i jak bardzo się nim cieszyłem, delektowałem, zanim w półśnie nie dotarło do mnie, że...

– Tata?

Stał przy łóżku i patrzył w dół. W białym szlafroku wyglądał jak duch w teatrze.

– Tak, kochany chłopcze.

Nieznacznie się uśmiechnął, odwrócił wzrok.

W pokoju już nie było ciemno. Nie było też jasno. Osobliwy odcień pośredni, jakby brązowawy, prawie jak woda w starodawnej wannie.

Patrzył na mnie w dziwny sposób, inaczej niż kiedykolwiek wcześniej. Z... przestachem?

– Co się stało, tato?

Usiadł na brzegu łóżka. Położył rękę na moim kolanie.

– Kochany chłopcze, mama miała wypadek samochodowy.

Pamiętam, że pomyślałem: Wypadek... dobra. Ale jej się nic nie stało? Prawda?

Dokładnie pamiętam, jak ta myśl przemknęła mi przez głowę. Pamiętam, jak cierpliwie czekałem, aż tata potwierdzi, że mamie rzeczywiście nic nie jest. I pamiętam, że nie zrobił tego.

Wtedy coś we mnie przeskoczyło. Zacząłem bezgłośnie błagać tatę – albo Boga, albo obu naraz: „Nie, nie, nie”.

Tata spojrzał w dół, w fałdy starych kołder, koców i prześcieradeł.

– Były komplikacje. Mama odniosła dość ciężkie obrażenia i zabrano ją do szpitala, kochany chłopcze.

Zawsze mówił do mnie „kochany chłopcze”, ale teraz powtarzał tak co chwilę. Jego głos był cichy. Wyglądało na to, że jest w szoku.

– Och. Do szpitala?

– Tak. Z urazem głowy.

Czy wspomniał o paparazzich? Czy powiedział, że ją gonili? Nie sądzę. Nie dam głowy, ale myślę, że nie. Byli takim problemem dla mamy, dla wszystkich, że nie trzeba było specjalnie o tym mówić.

Pomyślałem jeszcze raz: obrażenia... ale nic jej nie będzie. Pojechała do szpitala, wyleczą jej głowę, a my ją odwiedzimy. Dzisiaj. Najpóźniej – wieczorem.

– Próbowali, kochany chłopcze. Obawiam się, że nie przeżyła.

Te zdania utkwiły w mojej głowie jak rzutki w tarczy. Powiedział to tymi słowami, to wiem na pewno. „Nie przeżyła”.

A potem wszystko jakby się zatrzymało.

Nie, to nie tak. Nie jakby. Nic nie było jakby. Wszystko wyraźnie, zdecydowanie, nieodwołalnie zatrzymało się.

Nic z tego, co mu wtedy powiedziałem, nie zostało mi w pamięci. Możliwe, że nic nie powiedziałem. Pamiętam za to, zadziwiająco wyraźnie, że nie płakałem. Ani jednej łzy.

Tata mnie nie przytulił. Nawet na co dzień okazywanie emocji nie było jego mocną stroną, trudno było się spodziewać, że zrobi to w tak kryzysowej chwili. Ale jego ręka ponownie opadła na moje kolano i powiedział:

– Wszystko będzie dobrze.

To było, jak na niego, całkiem sporo. Ojcowskie, pełne nadziei, życzliwe. I tak bardzo nieprawdziwe.

Wstał i wyszedł. Nie pamiętam, skąd wiedziałem, że był wcześniej w drugim pokoju, że już powiedział Willy’emu, ale wiedziałem.

Leżałem albo siedziałem. Nie wstałem. Nie wykąpałem się, nie wysikałem. Nie ubrałem się. Nie zawołałem Willy’ego ani Mabel. Po dziesięcioleciach starań o odtworzenie tamtego poranka doszedłem do jedyne go logicznego wniosku: musiałem pozostać w tym pokoju, bez słowa, samotnie, aż do dziewiątej rano, kiedy na zewnątrz zaczął grać dudziarz.

Żałuję, że nie pamiętam, co grał. Ale może to bez znaczenia. W dudach ważna jest nie melodia, ale brzmienie. Wynaleziono je tysiące lat temu, by wzmocniały to, co już jest w sercu. Jeśli jesteś w głupkowanym nastroju, dudy rozśmieszają cię jeszcze bardziej. Jeśli jesteś wkurzony, dudy sprawią, że zawrze w tobie krew. A jeśli przeżywasz żałobę, nawet jeśli masz dwanaście lat i nie wiesz, że

przeżywasz żałobę, a może zwłaszcza jeśli o tym nie wiesz, dudy mogą doprowadzić cię do szaleństwa.

4

To była niedziela. Więc – jak zawsze – poszliśmy do kościoła.

Crathie Kirk. Granitowe ściany, rozłożysty dach z sosnową więźbą, witraże ufundowane kilkadziesiąt lat wcześniej przez królową Wiktorię, być może w ramach pokuty za poruszenie, jakie wywołała, modląc się tam. Coś o tym, że głowa Kościoła Anglii modli się w świątyni należącej do Kościoła Szkocji – powód do zbulwersowania, którego nigdy nie zrozumiałem.

Widziałem zdjęcia, na których wchodzimy tego dnia do kościoła, ale nie łączą się one z żadnym wspomnieniem. Czy pastor coś powiedział? Czy pogorszył sytuację? Czy słuchałem go, czy wpatrywałem się w oparcie ławki i myślałem o mamie?

W drodze powrotnej do Balmoral, dwie minuty samochodem, zasugerowano, żebyśmy się zatrzymali. Ludzie od rana zbierali się przed bramą wjazdową, niektórzy zaczęli zostawiać przedmioty: pluszaki, kwiaty, kartki. Trzeba za nie podziękować.

Zjechaliśmy na pobocze, wysiedliśmy. Nie widziałem nic oprócz mozaiki kolorowych kropek. Kwiaty. I jeszcze więcej kwiatów. Nie słyszałem nic poza rytmicznym cykaniem z drugiej strony drogi. Prasa. Sięgnąłem po dłoń ojca, dla pocieszenia, a potem zgaśnie w myślach, bo ten gest wywołał erupcję cyknieć.

Dałem im dokładnie to, czego chcieli. Emocje. Dramat. Ból.

Cykali i cykali, i cykali.

5

Kilka godzin później tata pojechał do Paryża. Towarzyszyły mu siostry mamy, ciocia Sarah i ciocia Jane. Ktoś powiedział, że musieli się dowiedzieć więcej o katastrofie. I zorganizować przewiezienie zwłok mamy.

„Zwłoki”. Ludzie bez przerwy używali tego słowa. To był cios w gardło i pieprzone kłamstwo, bo mama nie umarła.

Przyszło mi to do głowy nagle. Nie mając innego zajęcia niż włóczenie się po zamku i mówienie do samego siebie, nabrałem podejrzeń, które później przerodziły się w pewność. Wszystko to było sztuczką. I ten jeden raz sztuczki nie odgrywali ludzie z otoczenia albo prasa, tylko mama. Miała nieszczęśliwe życie, ścigano ją, nękano, okłamywano. Więc zainscenizowała wypadek, dla odwrócenia uwagi, i uciekła.

Uświadomienie sobie tego sprawiło, że zabrakło mi tchu, a potem wyrwało mi się głębokie westchnienie ulgi.

No jasne! To wszystko podstęp, żeby móc zacząć na nowo! W tym momencie pewnie wynajmuje apartament w Paryżu albo układa świeże kwiaty w kupionej potajemnie chatce gdzieś wysoko w Alpach Szwajcarskich. Już niedługo, naprawdę niedługo, wyśle kogoś po mnie i Willy’ego. To wszystko jest takie oczywiste! Dlaczego nie wpadłem na to wcześniej? Mama nie zginęła! Ona się ukrywa!

Poczułem się dużo lepiej.

A potem pojawiły się wątpliwości.

Moment! Mama nigdy by nam tego nie zrobiła. Nie pozwoliłaby na tak niesamowity ból, a tym bardziej nigdy by go nie spowodowała.

A potem znów pocieszenie: nie miała wyboru. To była jej jedyna szansa, żeby się uwolnić.

I znów wątpliwości: mama by się tak nie ukrywała, jest na to zbyt waleczna.

I pocieszenie: ona w ten sposób walczy. Wróci. Musi wrócić. Za dwa tygodnie są moje urodziny.

Ale najpierw wrócili tata i ciotki. Ich powrót relacjonowano we wszystkich kanałach w telewizji. Świat patrzył, jak wchodzi na płytę lotniska w bazie RAF w Northolt. Na jednym z kanałów do lądowania dodano nawet oprawę muzyczną: żałośliwie wyśpiewywany psalm. Willy’ego i mnie trzymali z dala od telewizora, ale chyba to usłyszeliśmy.

Kolejne dni mijały w próżni, nikt nic nie mówił. Wszyscy pozostaliśmy w zamku. To było jak przebywanie w krypcie, z tą różnicą, że w tej krypcie wszyscy nosili spodnie w szkocką kratę i trzymali się normalnej rutyny i harmonogramu. Jeśli ktoś o czymś mówił, to nie słyszałem tego. Jedynym

głosem, jaki do mnie docierał, był ten, który brzęczał w mojej głowie i kłócił się sam ze sobą.

Nie żyje.

Nie, ona się ukrywa.

Zginęła.

Nie, ona udaje martwą.

Któraś ranka nadszedł ten moment. Powrót do Londynu. Nie pamiętam nic z tej podróży. Jechaliśmy samochodem? Czy lecieliśmy królewskim czarterem? Mam w pamięci spotkanie z tatą i ciotkami, a także kluczowe spotkanie z ciotką Sarah, choć jest ono spowite mgłą i może być niezgodne z chronologią. Czasami moja pamięć umiejscawia je właśnie tam, w tych okropnych pierwszych dniach września. Innym razem przenosi je w przyszłość, wiele lat później.

Kiedykolwiek to się stało, odbyło się tak:

– William? Harry? Ciocia Sarah ma coś dla was, chłopcy.

Zrobiła krok w przód, trzymając w ręku dwa małe niebieskie pudełka.

– Co to jest?

– Otwórzcie.

Uniosłem wieko mojego niebieskiego pudełka. W środku była... ćma?

Nie.

Wąsy?

Nie.

– Co...?

– To jej włosy, Harry.

Ciocia Sarah wyjaśniła, że w Paryżu ucięła z głowy mamy dwa pasma włosów.

Więc to było to. Dowód. Ona naprawdę nie żyje.

Ale zaraz potem pojawiły się kojące wątpliwości, życiodajna niepewność: nie, to mogą być włosy kogokolwiek innego. Mama, z nienaruszonymi pięknymi włosami blond, była gdzie indziej.

Wiedziałbym, gdyby było inaczej. Wiedziałoby moje ciało. I serce. A żadne z nich o niczym takim nie wie.

Oba były wciąż tak samo przepełnione miłością do niej.

Willy i ja szliśmy wzdłuż tłumu przed pałacem Kensington, uśmiechając się i podając dłonie. Jakbyśmy prowadzili kampanię wyborczą. Setki dłoni bez końca wyciągały się w naszą stronę, ich palce często były mokre.

Zastanawiałem się od czego.

Od łez, uświadomiłem sobie.

Nie podobał mi się dotyk tych dłoni. Więcej, nienawidziłem uczucia, jakie we mnie wywoływał. Poczucia winy. Dlaczego ci wszyscy ludzie płakali, skoro ja nie płakałem ani wtedy, ani wcześniej?

Chciałem płakać, i próbowałem, bo życie mamy było tak smutne, że musiała w końcu zniknąć, obmyślić całą tę mistyfikację. Ale nie byłem w stanie wycisnąć z siebie ani kropli. Może zbyt dobrze się wyćwiczyłem, zbyt głęboko uwewnętrzniłem zasadę tej rodziny, że płacz nie wchodzi w grę – nigdy.

Pamiętam sterty kwiatów wokół nas. Pamiętam, jaki byłem milcząco smutny, a jednocześnie niezawodnie uprzejmy. Pamiętam, jak starsze panie mówiły:

– Ojej, jaki grzeczny, biedny chłopiec!

Pamiętam, jak w kółko mruczałem podziękowania: dziękuję, że państwo przyszli, dziękuję za te słowa, za koczowanie tu przez kilka dni. Pamiętam, jak pocieszałem ludzi, którzy byli załamani, zrozpaczeni, jakby znali mamę, i jak myślałem przy tym: ale przecież jej nie znaliście. Zachowujecie się, jakbyście ją znali... ale nie znaliście jej.

To znaczy... nie znacie jej. Czas teraźniejszy!

Po złożeniu z siebie ofiary dla tłumów weszliśmy do pałacu Kensington. Do mieszkania mamy przez wielkie czarne drzwi, potem długim korytarzem przeszliśmy do pokoju po lewej, w którym stała duża trumna. Ciemnobrązowa, z ciemnego dębu. Czy to pamiętam, czy sobie wyobrażam, że była udrapowana w... brytyjską flagę?

Ta flaga mnie zahipnotyzowała. Może z powodu moich chłopięcych zabaw w wojnę. Może przez wcześniej wybujały patriotyzm. A może dlatego, że od kilku dni słyszałem gadanie o fladze, fladze, fladze. Nikt nie mówił o niczym innym. Ludzie byli wściekli, że nie opuszczono do połowy masztu flagi nad pałacem Buckingham. Nie obchodziło ich to, że sztandaru królewskiego nigdy nie

opuszczano do połowy masztu, niezależnie od wszystkiego. Sztandar powiewał, kiedy babcia była w pałacu, a jeśli jej nie było, to nie było sztandaru, i tyle. Ludziom zależało tylko na tym, żeby zobaczyć jakąś oficjalną oznakę żałoby, i byli rozwścieczeni jej brakiem. Ścisłej mówiąc, do wściekłości doprowadziła ich brytyjska prasa, która w ten sposób próbowała odwrócić uwagę od swojej roli w zniknięciu mamy. Przypominam sobie jeden z nagłówków skierowanych do babci: „Pokaż nam, że ci zależy”. To naprawdę paradne usłyszeć to od tych samych zbirów, którym tak bardzo „zależało” na mamie, że zapędzili ją do tunelu, z którego już nie wróciła.

Do tego momentu zdążyłem już podsłuchać „oficjalną” wersję wydarzeń: paparazzi gonili mamę ulicami Paryża, a potem przez tunel, gdzie jej mercedes rozbił się o ścianę albo betonowy słup, wskutek czego zginęła wraz z przyjacielem i kierowcą.

Stojąc przed trumną owiniętą flagą, zadałem sobie pytanie: czy mama jest patriotką? Co naprawdę myśli o Wielkiej Brytanii? Czy ktoś zadał sobie trud, żeby ją zapytać?

Kiedy sam będę mógł to zrobić?

Nie potrafię sobie przypomnieć, co w tym momencie mówiła rodzina, czy to między sobą, czy w stronę trumny. Nie pamiętam ani jednego słowa, które padło między mną a Willym, choć pamiętam, że ludzie wokół nas mówili, że „chłopcy” wyglądają na „wstrząśniętych”. Nikt nawet nie zadawał sobie trudu, by mówić szeptem, jakbyśmy byli tak wstrząśnięci, że ogłuchliśmy.

Rozmawiano o pogrzebie zaplanowanym na następny dzień. Zgodnie z najnowszymi ustaleniami trumna miała przejechać przez miasto na konnej lawecie oddziału reprezentacyjnego artylerii, a Willy i ja mieliśmy iść za nią pieszo. Dość wymagające zadanie dla dwóch małych chłopców. Niektórzy z dorosłych byli oburzeni. Wujek Charles, brat mamy, wszczął awanturę.

– Nie można kazać tym chłopcom iść za trumną matki! To barbarzyństwo.

Zaproponowano alternatywny plan. Willy pójdzie sam. Miał już w końcu piętnaście lat. „Dajcie spokój młodszemu”. Oszczędzić Zastępcę. Ten alternatywny plan został przesłany w górę łańcucha dowodzenia.

Nadeszła odpowiedź.

Muszą tam być obaj książęta. Pewnie po to, żeby zdobyć sympatię.

Wujek Charles był wściekły. Ale ja nie. Nie chciałem, żeby Willy przeżywał tę męczarnię beze mnie. Gdyby role się odwróciły, on nie chciałby – a wręcz nie pozwoliłby – żebym przechodził przez to w samotności.

A więc wczesnym rankiem, przy pięknej pogodzie, wyruszyliśmy wszyscy razem. Wujek Charles po mojej prawej, Willy po jego prawej, a za nim dziadek. A po mojej lewej stronie szedł tata. Już na początku zauważyłem, że dziadek wyglądał tak pogodnie, jakby to były kolejne królewskie zaręczyny. Widziałem wyraźnie jego oczy, bo patrzył prosto przed siebie. Podobnie jak wszyscy inni. Tylko ja opuściłem wzrok pod nogi. I Willy.

Pamiętam, że czułem się odrętwiały. Pamiętam, że zaciskałem pięści. Pamiętam, że przez cały czas kątem oka patrzyłem na Willy'ego i dodawało mi to sił. Najbardziej pamiętam dźwięki, brzęk uprzęży i stukot kopyt sześciu spoconych brązowych koni, i skrzypienie kół lawety armatniej, którą ciągnęły. (Ktoś powiedział, że to zabytek z I wojny światowej, co wydawało się na miejscu, bo mama, choć kochała pokój, często była jak żołnierz, niezależnie od tego, czy wojowała z fotoreporterami czy z tatą). Myślę, że te dźwięki zapamiętam do końca życia, bo tak ostro się wybijały na tle wszechogarniającej ciszy. Nie było słyhać żadnego silnika, żadnej ciężarówki, żadnych ptaków. Żadnego ludzkiego głosu, co zdawało się niemożliwe, ponieważ wzdłuż ulic stały dwa miliony ludzi. Jediną oznaką tego, że maszerujemy przez ludzki kanion, były pojedyncze szlochy.

Po dwudziestu minutach dotarliśmy do opactwa westminsterskiego. Zasiedliśmy w długiej ławce kościelnej. Pogrzeb rozpoczął się od serii czytań i mów pogrzebowych, a kulminacyjny moment stanowił występ Eltona Johna. Wstał powoli, sztywno, jakby był jednym z wielkich królów od wieków spoczywających pod opactwem, nagle przywróconym do życia. Przeszedł do przodu i usiadł przy fortepianie. Czy jest ktoś, kto nie wie, że zaśpiewał *Candle in the Wind* w wersji specjalnie przerobionej dla mamy? Nie mam pewności, czy moje wspomnienia pochodzą z tamtej chwili czy z fragmentów reportaży, które widziałem później. Możliwe, że to pozostałości koszmarów sennych. Ale jedno wspomnienie jest czyste i niepodważalne: kiedy piosenka osiągnęła kulminację, zaczęły mnie szczypać oczy i prawie pociekły łzy.

Prawie.

Pod koniec nabożeństwa przyszła kolej na wujka Charlesa, który wykorzystał przydzielony mu czas, żeby zbesztać wszystkich – rodzinę, społeczeństwo, prasę –

za prześladowanie mamy aż po jej śmierć. Można było poczuć, jak opactwo i cały kraj zachwiały się w posadach od tego ciosu. Prawda boli. Następnie ruszyło do przodu ośmiu żołnierzy Gwardii Walijskiej, podnieśli ogromną, wyłożoną ołowiem trumnę, którą udrapowano teraz w sztandar królewski, co było niezwykłym odstępstwem od protokołu. (Pod presją opuszczono też w końcu flagę do połowy masztu, oczywiście nie sztandar królewski, ale flagę Union Jack – nadal stanowiło to jednak bezprecedensowy kompromis). Sztandar królewski był zawsze zarezerwowany dla członków rodziny królewskiej, do której – jak mi powiedziano – mama już się nie zaliczała. Czy to oznaczało, że jej wybaczone? Że babcia wybaczyła? Najwyraźniej. Ale były to pytania, których nie potrafiłem sformułować, nie mówiąc o zadaniu ich komuś dorosłemu, kiedy trumnę wynoszono powoli na zewnątrz i ładowano na tył czarnego karawanu. Po długim oczekiwaniu karawan odjechał, toczył się miarowo przez Londyn, który ze wszystkich stron wzbierał największymi tłumami, jakie widziało to wiekowe miasto – dwa razy liczniejszymi niż te, które świętowały zakończenie II wojny światowej. Kondukt przejechał obok pałacu Buckingham, w górę Park Lane, w stronę przedmieść przez Finchley Road, potem Hendon Way, następnie przez estakadę Brent Cross, North Circular, autostradę M1 do skrzyżowania z trasą 15a i na północ do Harlestone, po czym przez żelazną bramę frontową wjechał do posiadłości wuja Charlesa.

Do Althorp.

Oglądaliśmy z Willym większość tego przejazdu w telewizji. Byliśmy już na miejscu w Althorp. Przewieziono nas pospiesznie, choć okazało się, że nie trzeba się było spieszyć. Nie dość, że karawan miał długą drogę do przejechania, to jeszcze kilka razy był zatrzymywany przez ludzi sypiących kwiaty, co blokowało otwory wentylacyjne i powodowało przegrzanie silnika. Kierowca musiał zjeżdżać na pobocze, żeby ochroniarz mógł wysiąść i usunąć kwiaty z przedniej szyby. Tym ochroniarzem był Graham. Willy i ja bardzo go lubiliśmy. Zawsze nazywaliśmy go Suchar, od marki sucharów Graham Crackers. Uważaliśmy to za okropnie śmieszne.

Kiedy kondukt dotarł wreszcie do Althorp, ponownie wyjęto trumnę i przeniesiono ją ponad sadzawką, po zielonym metalowym moście ustawionym pospiesznie przez saperów, na małą wyspę, gdzie położono ją na platformie. Willy i ja przeszliśmy na wyspę po tym samym moście. Powiedziano mi, że dłonie mamy

były złożone na piersi, a między nimi umieszczono zdjęcie Willy'ego i moje, być może jedynych dwóch mężczyzn, którzy kiedykolwiek naprawdę ją kochali. Z pewnością dwóch, którzy kochali ją najbardziej. Przez całą wieczność będziemy się do niej uśmiechać w ciemności i może właśnie ten obraz, gdy zdjęto sztandar, a trumna zjechała na dno dołu, ostatecznie mnie złamał. Moje ciało zadrżało, broda opadła i zacząłem w niekontrolowany sposób szlochać w dłonie.

Czułem wstyd, że naruszam zasady rodziny, ale nie potrafiłem dłużej tłumić tego w sobie.

Wszystko w porządku – uspokajałem sam siebie – wszystko w porządku. Nie ma tu kamer. Poza tym nie płakałem dlatego, że uwierzyłem, że moja matka jest w tym dole. Czy w tej trumnie. Obiecałem sobie, że nigdy w to nie uwierzę, bez względu na to, co mówią ludzie.

Nie, płakałem na samą myśl.

To po prostu byłoby tak nieznośnie tragiczne, pomyślałem, gdyby było prawdą.

7

Potem wszyscy ruszyli do zajęć. Rodzina wróciła do pracy, ja do szkoły, tak jak po każdym innych wakacjach.

Powrót do normalności – stwierdzili wszyscy rezolutnie.

Z siedzenia pasażera w astone martinie taty z otwartym dachem wszystko faktycznie wyglądało jak dawniej. Szkoła Ludgrove, położona w szmaragdowym krajobrazie hrabstwa Berkshire, jak zawsze przypominała wiejski kościół. (Jeśli się zastanowić, w końcu motto szkoły wzięto z Eklezjasty: „Każdego dzieła, które twa ręka napotka, podejmij się według twych sił!”^[3]). Z drugiej strony – niewiele wiejskich kościołów mogło się poszczycić dwustoma akrami lasów i łąk, boiskami sportowymi i kortami tenisowymi, laboratoriami naukowymi i kaplicami. Oraz dobrze wyposażoną biblioteką.

Gdyby ktoś chciał mnie znaleźć we wrześniu 1997 roku, biblioteka byłaby ostatnim miejscem po temu. Lepiej poszukać w lesie. Albo na którymś z boisk. Zawsze starałem się być zajęty, w ruchu.

Byłem też przeważnie sam. Lubiałem ludzi, miałem towarzyską naturę, ale akurat wtedy wołałem nie przebywać zbyt blisko nikogo. Potrzebowałem przestrzeni.

W Ludgrove, gdzie w jednym miejscu mieszkało ponad stu chłopców, nie było to jednak łatwe. Jedliśmy razem, kąpaliśmy się razem, spaliśmy razem, czasem po dziesięciu w jednym pokoju. Wszyscy wiedzieli o innych wszystko, nawet kto był obrzezany, a kto nie. (Nazywaliśmy to: Okrągłogłowi przeciw Kawalerom).

A jednak żaden z chłopców chyba nawet nie wspomniał o mojej matce, kiedy zaczął się nowy rok szkolny. Przez delikatność?

Raczej ze strachu.

Ja na pewno nie mówiłem o niej nikomu.

Kilka dni po powrocie obchodziłem urodziny. 15 września 1997 roku. Skończyłem trzynaście lat. Zgodnie z pradawną tradycją Ludgrove miał być tort i sorbet, a mnie pozwolono wybrać dwa smaki. Zdecydowałem się na czarną porzeczkę.

Oraz mango. Ulubiony smak mamy.

Urodziny były zawsze ważnym wydarzeniem w Ludgrove, ponieważ wszyscy chłopcy, podobnie jak większość nauczycieli, mieli niepohamowany apetyt na słodczy. Często dochodziło do gwałtownych walk o miejsce obok solenizanta: tam można było mieć pewność, że dostanie się pierwszy i największy kawałek. Nie pamiętam, komu udało się zdobyć miejsce obok mnie.

– Powiedz życzenie, Harry!

– Życzenie? Dobra, chciałbym, żeby moja matka...

Wtedy nie wiadomo skąd...

Ciocia Sarah?

Z pudłem w ręku.

– Otwórz, Harry.

Rozdarłem papier do pakowania, wstążkę. Zajrzałem do środka.

– Co...?

– Mama kupiła to dla ciebie. Tuż przed...

– Znaczy w Paryżu?

– Tak. W Paryżu.

To była konsola Xbox. Ucieszyłem się. Uwielbiałem gry wideo.

Tak w każdym razie brzmi ta historia. Pojawia się w wielu relacjach o moim życiu, słowo w słowo, a ja nie mam pojęcia, czy jest prawdziwa. Tata mówił, że

mama doznała urazu głowy, ale może to ja mam uszkodzony mózg? Najprawdopodobniej, na zasadzie mechanizmu obronnego, moja pamięć nie zapisywała już zdarzeń tak jak wcześniej.

8

Pomimo dwóch męskich kierowników – pana Geralda i pana Marstona, dwóch legend szkoły – w Ludgrove pod wieloma względami rządziły kobiety. Nazywaliśmy je matronami. Każdy czuł gest, choć nie było ich wiele, pochodził od nich. Matrony przytulały nas, całowały, opatrywały nasze rany, ocierały nasze łzy. (Oprócz moich. Po tym jednym wybuchu przy grobie już nie płakałem). Uważały się za nasze zastępcze mamy. Mamy-z-dala-od-mamy, lubiły szczebiotać, co zawsze było trochę dziwne, ale teraz skomplikowało się jeszcze bardziej, gdy mama zniknęła, a także dlatego, że matrony nagle stały się... seksowne.

Podkochiwałem się w pannie Roberts. Uważałem, że kiedyś z pewnością się z nią ożenię. Pamiętam też dwie panny Lynn, pannę Lynn Większą i pannę Lynn Mniejszą. Były siostrami. Bardzo się kochałem w tej drugiej. Uważałem, że z nią też się ożenię.

Trzy razy w tygodniu, po kolacji, matrony pomagały najmłodszym chłopcom wykąpać się przed snem. Wciąż mam w pamięci długi rząd białych wanien, w każdej z nich chłopiec leżący jak mały faraon, czekający na indywidualne mycie włosów. (Dla starszych chłopców, którzy weszli w wiek dojrzewania, były dwie wanny w osobnym pomieszczeniu, za żółtymi drzwiami). Matrony szły wzdłuż rzędu wanien, niosąc sztywne szczotki i kostki mydła o kwiatowym zapachu. Każdy z chłopców miał swój własny ręcznik, z wytłoczonym numerem ucznia. Ja miałem numer 116.

Po umyciu włosów chłopca matrony przechylały jego głowę do tyłu i urządzały mu powolne, zmysłowe płukanie.

Skomplikowane jak cholera.

Matrony pomagały też w kluczowej czynności tępienia wszy. Nawroty były częste. Niemal co tydzień któryś z chłopców stanowił ostry przypadek. Pokazywaliśmy się nawzajem palcami i wołaliśmy:

– Zygu, zygu, on ma gnidy!

Potem matrona klękała nad pacjentem, wcierała jakiś specyfik w skórę głowy, a następnie wyczesawała nieżywe zwierzątka specjalnym grzebieniem.

Jako trzynastolatkowi nie przysługiwała mi już kąpielowa asysta matron. Ale wciąż byłem uzależniony od ich przykrywania przed snem, wciąż czekałem na ich poranne powitania. Ich twarze widzieliśmy jako pierwsze każdego dnia. Wpadały do naszych pokoi i odsuwały zasłony.

– Dzień dobry, chłopcy!

Patrzyłem w górę na piękną twarz obramowaną aureolą słońca...

Czy to... czy to może jest...?

Nigdy nie była.

Matroną, z którą miałem najwięcej do czynienia, była Pat. W przeciwieństwie do innych matron Pat nie była seksowna. Stanowiła uosobienie braku seksowności. Niska, myszowata, wiecznie zmęczona, z tłustymi włosami opadającymi na podkrążone oczy. Pat nie wydawała się czerpać wiele radości z życia, choć dwie rzeczy niezawodnie sprawiały jej przyjemność: przyłapanie chłopca gdzieś, gdzie nie powinno go być, i udaremnianie bójek. Przed każdą walką na poduszki stawialiśmy wartownika przy drzwiach. Jeśli zbliżała się Pat (lub któryś z kierowników), wartownik miał za zadanie wołać: „Ki-wi! Ki-wi!”. To chyba z łaciny? Ktoś powiedział, że oznacza to: „Szef nadchodzi!”. Ktoś inny utrzymywał, że raczej: „Uwaga!”.

Ważne, że kiedy to usłyszałeś, wiedziałeś, że trzeba zwiewać. Albo udawać, że się śpi.

Tylko całkiem nowi albo całkiem głupi chłopcy chodzili do Pat ze swoimi kłopotami. Lub, co gorsza, ze skaleczeniami. Nie opatrywała ich; szturchała ranę palcem albo czymś ją oblewała, przez co bolało dwa razy bardziej. Nie była sadystką, po prostu wydawała się „empatyczna inaczej”. Co trochę nas dziwiło, bo cierpienie nie było jej obce. Pat miała wiele krzyży do udźwignięcia.

Najcięższymi, jak się zdaje, były jej kolana i kręgosłup. Ten ostatni był pokrzywiony, te pierwsze – chronicznie zeszywniałe. Chodzenie było trudne, pokonywanie schodów – torturą. Schodziła tyłem, z prędkością lodowca. Często stawialiśmy na półpiętrze pod nią, robiąc wygibasy i strojąc miny.

Czy muszę mówić, który z chłopców wkładał w to najwięcej serca?

Nigdy nie baliśmy się, że Pat nas złapie. Ona była żółwicą, a my rzekotkami drzewnymi. Pomimo to raz na jakiś czas żółwicy się poszczęściło. Rzuciła się w przód i zaciskała na chłopcu pięść. Ha! Taki chłopiec miał wtedy naprawdę i porządnie przerąbane.

To nas nie zniechęcało. Szydziliśmy z niej, gdy schodziła po schodach. Nagroda była warta ryzyka. Dla mnie nagrodą nie było dręczenie biednej Pat, tylko rozśmieszanie kolegów. Dobrze było rozśmieszać innych, zwłaszcza kiedy sam nie śmiałem się od miesięcy.

Może Pat zdawała sobie z tego sprawę. Czasem odwracała się, widziała, jak robię z siebie kompletnego idiotę, i też wybuchwała śmiechem. To było najlepsze. Uwielbiałem bawić kumpli, ale nic nie cieszyło mnie bardziej niż sprawienie, że nieszczęsna Pat śmiała się do rozpuku.

9

Nazywaliśmy je dniami wyżerki.

Przypadały chyba we wtorki, czwartki i soboty. Zaraz po obiedzie ustawialiśmy się w kolejce na korytarzu wzdłuż ściany, wyciągając szyje, żeby zobaczyć stojący tuż przed nami stół wyżerkowy zastawiony słodyczami. Czekoladki Munchies, cukierki Skittles, batony Mars i, co najlepsze, ciągutki Opal Fruits. (Byłem bardzo dotknięty, kiedy Opal Fruits zmieniły nazwę na Starburst. Czyste świętokradztwo. To tak, jakby zmienić nazwę Wielkiej Brytanii).

Na sam widok stołu dostawaliśmy zawrotu głowy. Ciekła nam ślinka, rozmawialiśmy o zbliżającej się euforii cukrowej jak rolnicy w czasie suszy o zapowiedzianym deszczu. A ja opracowałem sposób na superstrzał cukru. Brałem cały swój przydział Opal Fruits i lepiłem z niego jedną wielką kulę, którą następnie wpychałem pod policzek. Kiedy kula się rozpuszczała, mój krwiobieg wypełniał się spienioną nawałnicą dekstrozy. „Każdego dzieła, które twa ręka napotka, podejmij się według twych sił!”

Przeciwieństwem dnia wyżerki był dzień pisania listów. Każdy z chłopców miał za zadanie usiąść i napisać list do swoich rodziców. Nawet w najlepszych latach była to męczarnia. Ledwie pamiętałem czasy, kiedy tata i mama nie byli

rozwiedzeni, więc pisanie do nich tak, by nie poruszyć ich wzajemnych uraz, burzliwego rozstania, wymagało finezji zawodowego dyplomaty.

Kochany tato, jak się miewa mama?

Hm... nie.

Kochana mammo, tata wspominał, że ty...

Nie.

Ale po zniknięciu mamy dni pisania listów stały się nie do zniesienia.

Powiedziano mi, że matrony poprosiły mnie o napisanie „ostatniego” listu do mamy. Mam niejasne wspomnienie, że chciałem zaprotestować, że ona przecież żyje, a jednak nie zrobiłem tego w obawie przed uznaniem mnie za szaleńca. Poza tym po co się szarpać? Mama przeczyta mój list, kiedy wróci z ukrycia, więc nie będzie to zupełna strata czasu i wysiłku.

Zapewne nagryzmołem coś pro forma, że tęsknię za nią, że w szkole wszystko w porządku i tak dalej. Zapewne złożyłem kartkę na pół i wręczyłem matronie. Pamiętam, że zaraz potem żałowałem, że nie potraktowałem tego listu bardziej poważnie. Żałowałem, że nie sięgnąłem głębiej, że nie opowiedziałem matce o wszystkich sprawach, które leżały mi na sercu, a zwłaszcza o tym, jak żałuję naszej ostatniej rozmowy telefonicznej. Mama zadzwoniła po południu w dzień wypadku, ale ja ganiałem z Willym i kuzynami i nie chciałem przerywać. Więc tylko ją zbyłem. W pośpiechu, żeby wrócić do zabawy, szybko skończyłem rozmowę z mamą. Żałowałem, że nie przeprosiłem jej za to. Że nie dołożyłem starań, żeby znaleźć słowa na opisanie, jak bardzo ją kocham.

Nie wiedziałem, że te poszukiwania potrwają następnych kilkadziesiąt lat.

10

Miesiąc później były ferie śródsemestralne. Wreszcie wracałem do domu.

Moment – nie, nie wracałem.

Tata najwyraźniej nie chciał, żebym spędził przerwę, włócząc się bez celu po pałacu Świętego Jakuba, gdzie mieszkał przez większość czasu od rozstania z mamą i gdzie mieszkaliśmy z Willym, kiedy przypadał nasz czas z tatą. Obawiał się, co mógłbym zrobić sam w tym wielkim budynku. Że mógłbym rzucić okiem na

gazetę, przypadkiem usłyszeć radio. Co więcej, obawiał się, że mogliby mi zrobić zdjęcie przez otwarte okno lub podczas zabawy żołnierzkami w ogrodzie. Wyobrażał sobie reporterów próbujących ze mną rozmawiać, wykrzykujących pytania: „Hej, Harry, czy tęsknisz za mamą?”.

Naród był w stanie histerycznej żałoby, ale histeria prasy sięgała granic psychozy.

Co najgorsze, Willy'ego nie byłoby w domu, więc nie mógłby nade mną czuwać. Był w Eton.

Wobec tego tata oznajmił, że zabierze mnie ze sobą na swój wyjazd służbowy. Do Republiki Południowej Afryki.

– RPA, tato? Naprawdę?

– Tak, kochany chłopcze. Johannesburg.

Miał umówione spotkania z Nelsonem Mandelą i... Spice Girls?

Byłem podekscytowany. I zaskoczony. Spice Girls, tato? Wyjaśnił, że Spice Girls grały koncert w Johannesburgu, więc wybierały się do prezydenta Mandeli, żeby złożyć mu wyrazy szacunku. Świetnie, pomyślałem, to wyjaśnia obecność Spice Girls... a my? Nie rozumiałem tego. Nie mam pewności, czy tata chciał, żebym zrozumiał.

Prawda była taka, że doradcy taty liczyli na to, że zdjęcie z najbardziej szanowanym przywódcą politycznym i najpopularniejszym girls bandem na świecie zapewni mu trochę przychylnych nagłówków, które tak bardzo były mu potrzebne. Od czasu zniknięcia mamy stał się przedmiotem zaciekłych ataków. Ludzie obwiniali go za rozwód, a tym samym za wszystko, co nastąpiło później. Poziom aprobaty dla niego liczono na całym globie w pojedynczych procentach. Na Fidżi, żeby poprzestać na jednym przykładzie, odwołano święto narodowe na jego cześć.

Oficjalny powód wyjazdu mnie nie obchodził. Po prostu cieszyłem się, że jadę. To była szansa na ucieczkę od Wielkiej Brytanii. Co więcej, to była okazja spędzenia czasu z tatą, sprawiającym wrażenie jakby nieobecnego.

Inna rzecz, że tata od zawsze był trochę nieobecny. Zdawało się, że nie jest do końca gotowy na rodzicielstwo: na odpowiedzialność, cierpliwość, poświęcanie czasu. Nawet on sam by to przyznał, pomimo swojej dumy. A co dopiero na samotne rodzicielstwo. Tata w ogóle się do tego nie nadawał.

Trzeba przyznać, że próbowałem. Wieczorami wołałem w dół schodów:

– Idę do łóżka, tato!

Zawsze odpowiadał wesoło:

– Zaraz przyjdę, kochany chłopcze!

Dotrzymał słowa i kilka minut później siedział na skraju mojego łóżka. Nigdy nie zapominał, że nie lubię ciemności, więc delikatnie gładził mnie po twarzy, aż usnąłem. Najmilej wspominam jego dłonie na moich policzkach, na czole, a potem, gdy się przebudzam, okazuje się, że w magiczny sposób zniknął, a drzwi są zawsze troskliwie uchylone.

Poza tymi ulotnymi momentami tata i ja przeważnie żyliśmy obok siebie. Miał trudności z komunikacją, ze słuchaniem, z kontaktem twarzą w twarz. Czasami, po długiej kolacji złożonej z wielu dań, szedłem na górę i znajdowałem list na poduszce. W liście pisał, jak bardzo jest dumny z czegoś, co zrobiłem lub co osiągnąłem. Uśmiechałem się i wkładałem list pod poduszkę, ale też zastanawiałem się, dlaczego nie powiedział mi tego chwilę wcześniej, siedząc naprzeciwko.

Tak więc perspektywa wielu dni nieograniczonego czasu z tatą była ekscytująca.

Potem nadeszła rzeczywistość. Dla taty to była podróż służbowa. I dla mnie też. Koncert Spice Girls był moim pierwszym publicznym wystąpieniem od czasu pogrzebu i wiedziałem, intuicyjnie, z urywków podsłuchanych rozmów, że ludzie byli niezmiernie ciekawi mojego samopoczucia. Nie chciałem ich zawieść, ale chciałem też, żeby zostawili mnie w spokoju. Pamiętam, jak wszedłem na czerwony dywan, przylepiłem uśmiech na twarz i pożałowałem nagle, że nie jestem w swoim łóżku w pałacu Świętego Jakuba.

Koło mnie stała Baby Spice, w białych plastikowych butach na trzydziestocentymetrowych platformach. Skupiłem uwagę na tych butach, a ona swoją – na moich policzkach. Bez przerwy je szczypała. Ale pulchne! Ale słodkie! Wtedy Posh Spice wyskoczyła naprzód i złapała mnie za rękę. Trochę dalej wypatrzyłem Ginger Spice, jedyną członkinię zespołu, z którą czułem jakąś więź – jak rudzielec z rudzielcem. Ponadto była znana na całym świecie z tego, że chodzi w minisukience ze wzorem flagi brytyjskiej. „Dlaczego na trumnie jest Union Jack?” Ona i pozostałe spajsetki gruchały do mnie, mówiąc rzeczy, których nie rozumiałem, a jednocześnie żartowały z dziennikarzami, którzy wykrzykiwali:

– Harry, popatrz tu, Harry, Harry, jak się czujesz, Harry?!

Pytania, które nie były pytaniami. Pytania, które były pułapkami. Pytania, którymi rzucali w moją głowę jak tasakami. Dziennikarzy nie obchodziło, jak się czuję, chcieli, żebym powiedział coś sensacyjnego, dobrego na nagłówek.

Wpatrywałem się w błyski ich fleszy, szczyrzyłem zęby, nie mówiłem nic.

O ile mnie flesze onieśmiały, o tyle Spice Girls były nimi odurzone. Tak, tak, po tysiącokrotnie tak – takie było ich nastawienie za każdym razem, gdy kolejny raz błyskało. Nie miałem nic przeciwko temu. Im bardziej one znajdowały się na pierwszym planie, tym bardziej mogłem wtopić się w tłum. Pamiętam, że rozmawiały z prasą o swojej muzyce i swojej misji. Nie wiedziałem, że miały misję, ale jedna z dziewcząt porównała krucznię zespołu przeciwko seksizmowi do walki Mandeli z apartheidem.

W końcu ktoś powiedział, że czas na koncert.

– No dalej. Idź za swoim ojcem.

Tata? I koncert?

Trudno uwierzyć. Jeszcze trudniej, gdy to się dzieje naprawdę. Ale widziałem na własne oczy, jak tata dzielnie kiwa głową i tupie nogą do rytmu:

Jeśli chcesz być w mojej przyszłości, zapomnij o przeszłości,

Jeśli chcesz się ze mną spiknąć, lepiej zrób to szybko.

Potem, w drodze do wyjścia – znowu flesze. Tym razem nie było tam Spice Girls, żeby odciągały uwagę. Byliśmy tylko we dwóch z tatą. Sięgnąłem po jego dłoń i przytrzymałem ją.

Przypominam sobie, jasno jak te flesze: kochałem go.

Potrzebowałem go.

Następnego dnia rano pojechaliśmy z tatą do pięknej chaty nad wijącą się rzeką. KwaZulu-Natal. Słyszałem o tym miejscu, gdzie latem 1879 roku doszło do bitwy żołnierzy brytyjskich z wojownikami Zulusów. Słyszałem wszystkie opowieści i legendy i obejrzałem film *Zulu* niezliczoną ilość razy. Ale teraz miałem okazję

zostać prawdziwym ekspertem, powiedział tata. Umówił spotkanie na polowych krzesłach wokół ogniska, podczas którego David Rattray, światowej sławy historyk, opowie ze szczegółami o bitwie.

To był prawdopodobnie pierwszy wykład w moim życiu, na którym naprawdę uważałem.

Ludzie, którzy walczyli na tej ziemi, powiedział pan Rattray, byli bohaterami. Po obu stronach. Zulusi – nieustraszeni, prawdziwi mistrzowie w posługiwaniu się krótką włócznią zwaną iklwa, od mlaszczącego dźwięku, jaki wydawała, gdy wyciągano ją z piersi ofiary. A jednak zaledwie stu pięćdziesięciu brytyjskich żołnierzy zdołało stawić czoła czterem tysiącom Zulusów, a miejsce tego niesłychanego zdarzenia, zwane Rorke's Drift, natychmiast stało się częścią brytyjskiej mitologii. Jedenastu żołnierzy uhonorowano Krzyżem Wiktorii – była to najlicniejsza grupa, jaka kiedykolwiek została odznaczona z tego samego pułku i za udział w tej samej bitwie. Dwaj inni żołnierze, którzy powstrzymywali Zulusów dzień przed bitwą pod Rorke's Drift, jako pierwsi w dziejach otrzymali Krzyż Wiktorii pośmiertnie.

– Pośmiertnie, tato?

– Hm, no tak.

– A co to znaczy?

– Po tym jak, no wiesz.

– Po czym?

– Po tym, jak zginęli, kochany chłopcze.

Choć dla wielu Brytyjczyków pozostaje powodem do dumy, Rorke's Drift było częścią historii imperializmu, kolonializmu, nacjonalizmu – krótko mówiąc, złodziejstwa. Wielka Brytania wtargnęła na tereny suwerennego narodu, żeby je zagarnąć, co w oczach niektórych, w tym pana Rattraya, oznaczało, że drogocenna krew najlepszych synów Brytanii została tego dnia przelana na próżno. Nie pomijał tych niewygodnych faktów. Kiedy uważał to za konieczne, ostro potępiał Brytyjczyków. (Miejscowi nazywali go Białym Zulusem). Ale ja byłem na to za młody: słuchałem go i nie słyszałem. Może zbyt wiele razy obejrzałem *Zulu*, zbyt wiele stoczyłem bitew swoimi żołnierzami w czerwonych brytyjskich mundurach. W moich poglądach na bitwę, na Wielką Brytanię nie było miejsca na

nowe fakty. Więc skupiłem się na opowieści o męskiej odwadze i brytyjskiej potędze i zamiast nabrać wątpliwości, wzmożłem tylko swój entuzjazm.

W drodze do domu powiedziałem sobie, że cała wyprawa była strzałem w dziesiątkę. Nie tylko wspaniała przygoda, ale i wspólne przeżycie z tatą. Z pewnością życie całkiem się teraz odmieni.

12

Moi nauczyciele byli w większości poczciwcami, którzy dawali mi żyć, bo rozumieli, z czym się zmagalem, i nie chcieli dokładać mi więcej trosk. Pan Dawson, który grał na organach w kaplicy, był niezwykle łagodny. Pan Little, nauczyciel gry na perkusji, był niezwykle cierpliwy. Poruszał się na wózku inwalidzkim i przyjeżdżał na lekcje specjalną furgonetką, a przetransportowanie go z furgonetki do klasy zajmowało nam całą wieczność. Potem musieliśmy uwzględnić czas na odstawienie go z powrotem, więc na samą naukę nigdy nie zostawało więcej niż dwadzieścia minut. Nie przeszkadzało mi to, a pan Little z kolei nigdy nie skarżył się na mój brak postępów w grze na perkusji.

Niektórzy nauczyciele jednak nie dawali mi spokoju. Na przykład nauczyciel historii, pan Hughes-Games.

Z domku pana Hughesa-Gamesa koło boisk sportowych dniami i nocami dochodziło ujadanie jego wyźłów, Toski i Beade'a. Były piękne, łaciate, z szarymi oczami, a pan Hughes-Games troszczył się o nie jak o dzieci. Trzymał na biurku ich zdjęcia w srebrnych ramkach, co było jednym z powodów, dla których wielu chłopców uważało pana Hughesa-Gamesa za nieco ekscentrycznego. Byłem więc naprawdę w szoku, gdy dotarło do mnie, że pan Hughes-Games to mnie uważa za dziwaka. Cóż może być osobliwszego, powiedział mi pewnego dnia, niż brytyjski książę, który nie zna brytyjskiej historii?

– Nie potrafię tego pojąć, Wales. Mowa o twoich własnych krewnych: czy nic to dla ciebie nie znaczy?

– Mniej niż nic, proszę pana.

Nie tylko nie znałem historii mojej rodziny – nie chciałem jej znać.

Teoretycznie podobała mi się historia Wielkiej Brytanii. Niektóre fragmenty wydawały mi się intrygujące. Wiedziałem, na przykład, to i owo na temat

podpisania Wielkiej Karty Swobód – w czerwcu 1215 roku w Runnymede – ale to dlatego, że kiedyś zobaczyłem miejsce tego wydarzenia przez okno samochodu taty. Tuż nad rzeką. Wyglądało pięknie. Idealne miejsce, żeby zawrzeć rozejm, pomyślałem. Ale drobne szczegóły podboju normańskiego? Albo niuanse sporu między Henrykiem VIII a papieżem? Albo różnice między pierwszą i drugą wyprawą krzyżową?

Dajcie spokój.

Do konfrontacji doszło pewnego dnia, kiedy pan Hughes-Games opowiadał o Karolu Edwardzie Stuartcie, czy też Karolu III, jak myślał on sam o sobie. Pretendencie do tronu. Pan Hughes-Games miał zdecydowane poglądy na jego temat. Kiedy dzielił się nimi z nami, ogarnięty pasją, wpatrywałem się w swój ołówek i starałem się nie zasnąć.

Nagle pan Hughes-Games przerwał i zadał pytanie dotyczące życia Karola. Odpowiedź była oczywista, jeśli przeczytało się zadany materiał. Nikt tego nie zrobił.

– Wales, ty na pewno będziesz wiedział.

– Dlaczego na pewno?

– Bo to twoja rodzina!

Śmiech.

Spuściłem głowę. Pozostali chłopcy wiedzieli oczywiście, że należę do rodziny królewskiej. Gdyby na pół sekundy zapomnieli, mój wszechobecny uzbrojony ochroniarz i policjanci w mundurach rozlokowani na całym terenie szkoły z ochotą by im o tym przypomnieli. Ale czy pan Hughes-Games musiał to tak rozgłaszać? Czy musiał użyć tego brzemiennego w znaczenie słowa – „rodzina”? Moja rodzina uznała mnie za nieistotnego. Za Tego Drugiego. Nie miałem pretensji, ale też nie zamierzałem się nad tym rozwodzić. Uważałem, że o wiele lepiej nie roztrząsać pewnych faktów, takich jak kardynalna zasada dotycząca królewskich podróży: tata i William nigdy nie mogli lecieć razem tym samym lotem, bo nie można dopuścić do ryzyka, że zginą pierwszy i drugi w kolejce do tronu. Ale to, z kim ja podróżowałem, nie obchodziło nikogo. Zastępcę można było zastąpić. Wiedziałem o tym, znałem swoje miejsce, więc po co miałem się wysilać? Po co zapamiętywać imiona wcześniejszych zastępców? Jaki to miało sens?

Więcej, po co studiować moje drzewo genealogiczne, skoro wszystkie tropy prowadziły do tej samej odciętej gałęzi – do mamy?

Po lekcji podszedłem do biurka pana Hughesa-Gamesa i poprosiłem, żeby przestał.

– Co takiego, Wales?

– Zawstydzają mnie, proszę pana.

Jego brwi podleciały do linii włosów jak spłoszone ptaki.

Wywodziłem, że byłoby czymś okrutnym skupiać się na jakimkolwiek innym chłopcu w taki sposób, w jaki robił to ze mną, zadawać tak szczegółowe pytania na temat czyjegoś prapraprakogoś tam.

Pan Hughes-Games burczał i paraskał. Przesadził na lekcji i wiedział o tym. Ale był uparty.

– To dla twojego dobra, Wales. Im częściej będę cię wywoływał, tym więcej się nauczysz.

Kilka dni później, na początku lekcji, pan Hughes-Games złożył propozycję rozejmu godną Wielkiej Karty. Podarował mi jeden z tych drewnianych liniałów z wygrawerowanymi po obu stronach imionami wszystkich brytyjskich monarchów od czasów króla Harolda z 1066 roku. Królowie i królowe, centymetr po centymetrze, aż do babci. Powiedział, że mogę trzymać liniał pod ręką i odwoływać się do niego w razie potrzeby.

O rany, powiedziałem. Dzięki.

13

Późno w nocy, po zgaszeniu świateł, niektórzy z nas wymykali się, żeby włóczyć się po korytarzach. Stanowiło to jaskrawe naruszenie zasad, ale byłem samotny i tęskniłem za domem, prawdopodobnie miałem nerwicę i depresję i nie mogłem znieść zamknięcia w sypialni.

Jeden z nauczycieli, kiedy mnie tylko przyłapał, uderzał mnie z całej siły, zawsze egzemplarzem *New English Bible*. Wersją w twardej oprawie. Fakt, nader twarda oprawa wieczoru, myślałem za każdym razem. Taki cios sprawiał, że złorzeczyłem

sobie, nauczycielowi i Biblii. Mimo to następnego wieczoru ponownie naruszałem zasady.

Jeśli nie włóczyłem się po korytarzach, to włóczyłem się po terenie szkolnym, zazwyczaj z moim najlepszym kumplem Hennersem. Tak jak ja, Henners oficjalnie miał na imię Henry, ale zawsze nazywałem go Henners, a on mnie – Haz.

Chudy, nieumięśniony, z włosami wiecznie na sztorc, Henners był uosobieniem wdzięku. Wystarczyło, że się uśmiechnął, a ludzie się rozplýwali. (Jako jedyny z chłopców wspomniał o mojej mamie po jej zniknięciu). Ale ten nieodparty uśmiech i serdeczna natura sprawiały, że zapominało się, że Henners potrafił być dosyć niegrzeczny.

Do terenów szkoły przylegała ogromna farma typu „zbierz to sam”. Pewnego dnia przeskoczyliśmy z Hennersem przez niski płot i wylądowaliśmy twarzami w zagonach marchewki. Rząd za rzędem. Zaraz obok rosły wielkie soczyste truskawki. Posuwaliśmy się wzdłuż grządek, napychając się i tylko od czasu do czasu wystawiając głowy jak surykatki, żeby sprawdzić, czy nikt nie idzie. Po dziś dzień, kiedy przegryzam truskawkę, powracam pamięcią do tych grządek i czarującego Hennera.

Kilka dni później poszliśmy tam znowu. Tym razem, gdy już się objedliśmy i przeskoczyliśmy przez płot, usłyszeliśmy, że ktoś nas woła po nazwisku.

Szliśmy ścieżką dla wózków w kierunku kortów tenisowych i powoli się odwróciliśmy. Prosto na nas szedł jeden z nauczycieli.

– Hej, wy tam! Stójcie!

– Dzień dobry panu.

– Co robicie?

– Nic, proszę pana.

– Byliście na farmie.

– Nie!

– Pokażcie ręce.

Pokazaliśmy. Przyłapani. Dłonie w szkarłacie. Zareagował, jakby to była krew.

Nie pamiętam, jak nas ukarano. Kolejny klaps *New English Bible*? Zatrzymanie w klasie po lekcjach? (Zwane przez nas kożą). Wysłanie do biura pana Geralda?

Cokolwiek to było, wiem, że się tym nie przejąłem. Żadne tortury w repertuarze Ludgrove nie mogły się równać z tym, co przeżywałem w swoim wnętrzu.

14

Pan Marston, patrolując jadalnię, zwykle nosił ze sobą mały dzwonek. Kojarzył mi się z dzwonkiem w recepcji hotelowej. „Dzyń, czy są wolne pokoje?” Dzwonił dzwonkiem, kiedy chciał zwrócić uwagę grupy chłopców. Dzwonił bez przerwy. I zupełnie bezskutecznie.

Porzucone dzieci nie zwracają uwagi na dzwonek.

Pan Marston często czuł potrzebę ogłoszenia czegoś podczas posiłku. Zaczynał mówić, nikt go nie słuchał ani nawet nie ściszał głosu, więc dzwonił swoim dzwonkiem.

Dzyń.

Setka chłopców nie przerywała rozmów i śmiechów.

Dzwonił mocniej.

Dzyń! Dzyń! Dzyń!

Za każdym razem, gdy odgłos dzwonka nie skutkował ciszą, twarz pana Marstona przybierała ciemniejszy odcień czerwieni.

– Chłopcy! UCISZYCIE SIĘ WRESZCIE?

Nie, brzmiała prosta odpowiedź. Nie uciszymy się. Ale nie z braku szacunku, tylko po prostu z powodu akustyki. Nie mieliśmy szans go usłyszeć. Sala była zbyt przepastna, a my – zbyt zajęci rozmową.

Nie przyjmował tego do wiadomości. Zdawał się podejrzewać, że lekceważenie jego dzwonka było częścią jakiegoś bardziej rozbudowanego spisku. Nie wiem jak inni, ale ja nie należałem do żadnego spisku. Poza tym nie lekceważyłem go. Wręcz przeciwnie: nie mogłem oderwać od niego oczu. Często zadawałem sobie pytanie, co powiedziałyby ktoś z zewnątrz, gdyby mógł być świadkiem tego spektaklu: stu chłopców gadających ze sobą, podczas gdy dorosły mężczyzna stoi przed nimi, gorączkowo i bez skutku znęcając się nad małym mosiężnym dzwonkiem.

Ogólne wrażenie domu wariatów wzmagają fakt, że niedaleko wzdłuż szosy znajdował się prawdziwy szpital psychiatryczny. Broadmoor. Jakiś czas przed tym, jak przybyłem do Ludgrove, z Broadmoor uciekł pacjent i zabił dziecko w jednej z pobliskich wiosek. W szpitalu zainstalowano po tym syrenę ostrzegawczą, którą od czasu do czasu uruchamiano na próbę. Trąbiła jak na sąd ostateczny. Dzwonek pana Marstona na sterydach.

Wspomniałem o tym kiedyś tacie. Przytaknęła z mądrą miną. Niedawno był w podobnym miejscu w ramach swojej działalności charytatywnej. Pacjenci byli w większości łagodni, stwierdził, oprócz jednego. Niewielkiego człowieczka, który twierdził, że jest księciem Walii.

Tata powiedział, że pogroził mu palcem i surowo go upomniał.

– Proszę się zastanowić. Nie może pan być księciem Walii! To ja jestem księciem Walii.

Pacjent w odpowiedzi również pogroził palcem.

– To niemożliwe! To ja jestem księciem Walii!

Tata lubił opowiadać różne historie, a ta była jedną z lepszych w jego repertuarze. Zawsze kończył ją filozoficznie: jeśli ten pacjent psychiatryczny mógł być tak mocno przekonany o swojej tożsamości, nie mniej niż sam tata, to rodziło to naprawdę poważne pytania. Któż może orzec, który z nas jest zdrowy? Któż może być pewien, że sam nie jest pacjentem psychiatrycznym, któremu przyjaciele i rodzina nie sprzeciwiają się dla świętego spokoju?

– Kto wie, czy naprawdę jestem księciem Walii? Kto wie, czy w ogóle jestem twoim prawdziwym ojcem? Może twój ojciec tak naprawdę siedzi w Broadmoor, kochany chłopcze!

Śmiał się z tego długo, choć żart ten był wyjątkowo nieśmieszny, jeśli wziąć pod uwagę krążącą w tym czasie plotkę, że moim prawdziwym ojcem jest jeden z byłych kochanków mamy, major James Hewitt. Jedną z jej przyczyn były płomiennie rude włosy majora Hewitta, inną przyczyną był jednak sadyzm. Czytelnicy tabloidów czerpali rozkosz z pomysłu, że młodszy syn księcia Karola nie jest synem księcia Karola. Z jakiegoś powodu wciąż nie było im dość tego „żartu”. Może fakt, że życie młodego księcia jest wystawione na pośmiewisko, sprawiał, że łatwiej im było znieść własne życie. Co z tego, że moja matka poznała majora Hewitta długo po moim urodzeniu. Ta historia była po prostu zbyt dobra, by

z niej zrezygnować. Prasa powtarzała ją, ubarwiała, mówiło się nawet, że jacyś reporterzy próbują zdobyć moje DNA, żeby ją udowodnić – po raz pierwszy miałem wtedy poczucie, że po tym, jak udęczyli moją matkę i zmusili ją do ukrycia się, zabiorą się do mnie.

Do dziś niemal każda z moich biografii, każdy dłuższy artykuł w gazecie czy czasopiśmie porusza temat majora Hewitta, z powagą omawia ewentualność jego ojcostwa, łącznie z relacją o tym, jak tata w końcu odbył ze mną szczerą rozmowę i zapewnił mnie, że major Hewitt nie jest moim ojcem. Żywo oddana, przejmująca, poruszająca scena – i całkowicie zmyślona. Jeśli tata miał jakieś przemyślenia o majorze Hewitcie, zachowywał je dla siebie.

15

Słynne powiedzenie mojej matki głosiło, że jej małżeństwo liczyło trzy osoby. Ale pomyliła się w obliczeniach.

Nie uwzględniła Willy’ego i mnie.

Oczywiście nie wiedzieliśmy dokładnie, co dzieje się między nią a tatą, ale wyczuwaliśmy pewne rzeczy intuicyjnie, na przykład obecność Tamtej Kobiety, ponieważ doświadczyliśmy jej skutków. Willy od dawna miał podejrzenia co do Tamtej Kobiety, które dręczyły go i wprawiały w dezorientację, a kiedy te podejrzenia się potwierdziły, miał ogromne poczucie winy, że nic wcześniej nie zrobił ani nie powiedział.

Byłem za mały na podejrzenia. Ale i ja miałem dojmujące poczucie braku stabilności, ciepła i miłości w naszym domu.

Teraz, pod nieobecność mamy, obliczenia wypadały mocno na korzyść taty. Mógł spotykać się z Tamtą Kobietą, otwarcie, tak często, jak chciał. Ale to mu nie wystarczyło. Tata chciał to ogłosić publicznie. Chciał przestać się kryć. Pierwszym krokiem do tego celu miało być uzyskanie poparcia „chłopców”.

Na pierwszy ogień poszedł Willy. Wpadł już kiedyś w pałacu na Tamtą Kobietę, ale teraz został oficjalnie wezwany z Eton na osobiste spotkanie w ważnej sprawie. Jeśli się nie mylę, do Highgrove. Jeśli dobrze pamiętam, na podwieczorek. Jak się później dowiedziałem od Willy’ego, poszło dobrze, choć nie wdawał się

w szczegóły. Dał mi jedynie do zrozumienia, że Tamta Kobieta, Camilla, dołożyła starań, które on docenił, i to było wszystko, co był gotów powiedzieć.

Potem nadeszła moja kolej. Powiedziałem sobie: To nic takiego. Coś jak zastrzyk. Zamknij oczy i zanim się obejrzysz, będzie po wszystkim.

Niewyraźnie pamiętam, że Camilla była tak samo spokojna (albo znudzona) jak ja. Żadne z nas nie przejmowało się zbyt opinia drugiego. Nie była moją matką, a ja nie byłem dla niej największą przeszkodą. Innymi słowy, nie byłem Następcą. Spotkanie ze mną było zwykłą formalnością.

Zastanawiam się, jaki znaleźliśmy temat do rozmowy. Zapewne konie. Camilla je uwielbiała, a ja na nich jeździłem. Trudno byłoby się dokopać do czegokolwiek innego.

Pamiętam, że tuż przed podwieczorkiem zastanawiałam się, czy będzie dla mnie niemila. Czy będzie jak te wszystkie złe macochy z baśni. Ale nie była. Podobnie jak Willy, byłem jej za to autentycznie wdzięczny.

W końcu, po tych niezręcznych Camilijnych spotkaniach na szczycie, odbyła się ostateczna narada z tatą.

– No, chłopcy, co myślicie?

Uważaliśmy, że zasługuje na szczęście. Tak, Camilla odegrała kluczową rolę w rozpadzie małżeństwa naszych rodziców i tak, znaczyło to, że odegrała rolę w zniknięciu naszej matki, ale rozumieliśmy, że podobnie jak innych, poniosła ją fala zdarzeń. Nie obwinialiśmy jej i w zasadzie chętnie byśmy jej wybaczyli, gdyby była w stanie uszczęśliwić tatę. Widzieliśmy, że tak jak my nie był szczęśliwy. Rozpoznawaliśmy puste spojrzenia, puste westchnienia, frustrację zawsze widoczną na jego twarzy. Nie mogliśmy być całkiem pewni, bo tata nie mówił o swoich uczuciach, ale przez lata stworzyliśmy sobie dość dokładny portret, opierając się na drobiazgach, które nam zdradził.

Tata wyznał na przykład w tym czasie, że jako chłopiec był „prześladowany”. Żeby go zahartować, babcia i dziadek wysłali go do Gordonstoun, szkoły z internatem, gdzie zaczęto go straszliwie dręczyć. Mówił, że ulubionymi ofiarami dręczycieli z Gordonstoun były osoby kreatywne, wrażliwe, odcytane – innymi słowy: tata. Jego najlepsze cechy były wabikiem dla twardzieli. Pamiętam, jak mruczał ponuro:

– Ledwie przeżyłem.

Jak tego dokonał? Ze spuszczoną głową, ściskając swojego misia, którego wciąż miał po latach. Miś wszędzie tacie towarzyszył. Wyglądał żałośnie, z połamanymi ramionami i zwisającymi wyprutymi nitkami, pokryty częściowo załatanymi dziurami. Wyglądał, tak sobie wyobrażałem, jak tata, kiedy łobuzy się z nim rozprawiły. Miś wymownie ukazywał, bardziej niż tacie kiedykolwiek udało się to wyrazić, głęboką samotność dzieciństwa taty.

Willy i ja zgodziliśmy się, że tacie należy się lepszy los. Z całym szacunkiem dla misia, tacie potrzebna była towarzyszka życia. Dlatego też, zapytani, Willy i ja obiecaliśmy tacie, że powitamy Camillę w rodzinie.

Jedyne, o co prosiliśmy w zamian, to żeby nie brał z nią ślubu. Nie musisz się ponownie żenić, perswadowaliśmy. Ślub wywołałby kontrowersje. Podburzyłby prasę. Sprawiłby, że cały kraj, cały świat, mówiłby o mamie, porównywałby mamę i Camillę, a tego nikt nie chciał. A już najmniej Camilla.

Wspieramy cię, powiedzieliśmy. Wspieramy Camillę.

– Tylko, proszę, nie żeń się z nią. Po prostu bądźcie razem, tato.

Nic nie odpowiedział.

Ale ona odpowiedziała. Od razu. Niedługo po naszych prywatnych spotkaniach rozpoczęła szeroko zakrojoną kampanię, której celem było małżeństwo i – w ostatecznym rozrachunku – korona. (Mieliśmy wrażenie, że z błogosławieństwem taty). Wszędzie, we wszystkich gazetach, zaczęły pojawiać się relacje o jej osobistej rozmowie z Willym, relacje zawierające dokładne szczegóły, których, rzecz jasna, nie ujawnił Willy.

Mogły one pochodzić tylko od drugiej z obecnych przy tym osób.

A przecieki były oczywiście koordynowane przez nowego spin doktora, którego tata zatrudnił za namową Camilli.

Wczesną jesienią 1998 roku, po zakończeniu edukacji w Ludgrove poprzedniej wiosny, zostałem uczniem Eton.

Był to dla mnie szok.

Myślę, że Eton, najlepsza na świecie szkoła dla chłopców, miało szokować. Szok był zapewne wpisany w jego statut, a może nawet wchodził w skład instrukcji udzielonych jego projektantom przez założyciela szkoły, mojego przodka Henryka VI. Uważał Eton za coś w rodzaju świątyni, sanktuarium, i chciał, żeby przeciążało zmysły, żeby przybywający tam czuli się jak pokorni, uniżeni pielgrzymi.

W moim przypadku powiodło się to znakomicie.

(Henryk VI nawet podarował szkole bezcenne relikwie, w tym fragment korony cierniowej Chrystusa. Pewien słynny poeta nazwał to miejsce „świętym cieniem Henryka”).

W ciągu wieków misja Eton stawała się nieco mniej pobożna, za to program nauczania – coraz bardziej wymagający. Nie bez powodu Eton zaczęto nazywać nie szkołą, ale po prostu... Szkołą. Dla tych, którzy znali się na rzeczy, nie było innego wyboru. Klasy Eton uformowały osiemnastu premierów, a do tego trzydziestu siedmiu udekorowanych Krzyżem Wiktorii. Był to raj dla wybitnie uzdolnionych chłopców, więc dla pewnego niewybitnie uzdolnionego chłopca mógł się stać jedynie czyścikiem.

Nie było co do tego wątpliwości już podczas mojej pierwszej lekcji francuskiego. Osłupiałem, słysząc, jak nauczyciel przez całą lekcję mówi wyłącznie po francusku, bez przerwy i bardzo szybko. Z jakiegoś powodu założył, że wszyscy władamy biegle tym językiem.

Może wszyscy pozostali władali. Ale ja? Biegle? Bo w miarę dobrze wypadłem na egzaminie wstępnym? *Au contraire, mon ami!*

Po lekcji podszedłem do niego, wyjaśniłem, że zaszła niefortunna pomyłka i trafiłem nie do tej grupy, co trzeba. Powiedział, żebym się nie martwił i że szybko wszystko załapię. Nic nie rozumiał; wierzył we mnie. Poszedłem więc do wychowawcy, błagałem go, by przeniósł mnie do grupy z wolniej mówiącymi, wolniej załapującymi uczniami, chłopcami *exactement comme moi*.

Spełnił moją prośbę. Ale to wszystko były półśrodki.

Raz czy dwa wyznałem nauczycielom albo kolegom, że jestem nie tylko w niewłaściwej grupie, ale i w niewłaściwym miejscu. To wszystko mnie przerastało. Odpowiadali zawsze tak samo:

– Nie przejmuj się, wszystko będzie dobrze. I nie zapominaj, że zawsze możesz liczyć na brata!

To nie ja zapominałem. To Willy kazał mi udawać, że się nie znamy.

– Że jak?

– Nie znamy się, Haroldzie. Ty mnie ani ja ciebie.

Przez ostatnie dwa lata, wyjaśnił, Eton było jego azylem. Żadnego młodszego brata, który by za nim łąził, nękał go pytaniami, wciskał się do jego towarzystwa. Willy budował własne życie i nie miał zamiaru z tego rezygnować.

Nie byłem tym zaskoczony. Mój brat od zawsze wściekał się, kiedy ktoś mylnie uważał, że stanowimy komplet. Nie cierpiał, kiedy mama tak samo nas ubierała. (Sprawy nie ułatwiał jej ekstremalny gust w kwestii dziecięcych strojów; często wyglądaliśmy jak bliźniaki z *Alicji w Krainie Czarów*). Niespecjalnie mnie to obchodziło. Nie dbałem o ubrania, moje czy czyjekolwiek. Jeśli tylko nie nosiliśmy kiltów, z tym niepokojącym nożem w skarpecie i przeciągiem w kroku, było mi wszystko jedno. Ale dla Willy'ego to była męczarnia, jeśli musiał wkładać taką samą marynarkę, takie same obcisłe szorty jak ja. A teraz chodzenie do tej samej szkoły było zupełną katastrofą.

Powiedziałem mu, żeby się nie martwił.

– Zapomnę, że kiedykolwiek cię znałem.

Ale w Eton nam tego nie ułatwiali. Chcąc wyświadczyć nam przysługę, umieścili nas pod tym samym pieprzonym dachem. W Manor House.

Przynajmniej mieszkałem na parterze.

Willy był kilka pięter wyżej, ze starszymi chłopcami.

17

Wielu z sześćdziesięciu chłopców w Manor House zachowywało się równie gościnnie co Willy. Ich obojętność nie dotykała mnie jednak tak bardzo jak ich luz. Nawet ci w moim wieku zachowywali się tak, jakby urodzili się na terenie szkoły. W Ludgrove miałem swoje problemy, ale przynajmniej wiedziałem, jak się znaleźć, jak się wymykać Pat, kiedy wydają słodycze, jak przetrwać dni pisania listów. Z czasem wywalczyłem sobie miejsce blisko szczytu piramidy. Teraz, w Eton, znów byłem na samym dole.

Zaczynałem od nowa.

Co gorsza, bez mojego najlepszego przyjaciela Hennersa. Poszedł do innej szkoły.

Nawet nie wiedziałem, jak się ubrać rano. Każdy etończyk musiał nosić czarny frak, białą koszulę bez kołnierzyka, biały sztywny kołnierzyk dopinany do koszuli na spinki – do tego spodnie w prążki, ciężkie czarne buty i krawat, który nie był krawatem, ale raczej paskiem materiału wpuszczanym w biały odpinany kołnierzyk. Strój formalny, tak to nazywano, jednak nie był on formalny, prędeż żałobny. Nie bez powodu. Mieliśmy być w wiecznej żałobie po staruszku Henryku VI. Czy też po królu Jerzym, wczesnym dobroczyńcy szkoły, który zapraszał chłopców do zamku na podwieczorki – czy coś w tym stylu. Chociaż Jerzy był moim praprapraprapradziadkiem i było mi przykro z powodu jego śmierci oraz bólu, jaki sprawił tym, którzy go kochali, nie miałem ochoty na okrągło go oplakiwać. Każdemu chłopcu mogłoby się sprzykrzyć uczestniczenie w niekończącym się pogrzebie, ale dla chłopca, który właśnie stracił mamę, to było jak codzienny kop w jaja.

Ranek pierwszego dnia: zapięcie spodni, kamizelki, ułożenie sztywnego kołnierzyka i w końcu wyjście z pokoju zabrało mi całą wieczność. Gnałem z całych sił, żeby się nie spóźnić, co oznaczałoby wpisanie mojego nazwiska do wielkiej Księgi Spóźnień, zgodnie z jedną z wielu nowych tradycji, których będę musiał się nauczyć, razem z długą listą nowych słów i wyrażeń. Lekcje to już nie były lekcje, tylko diwy. Nauczyciele nie byli już nauczycielami: byli bakami. Papierosy to była tabacznosc. (Wszyscy zdawali się tkwić w szponach nałogu tabacznosciowego). Gabinet to było przedpołudniowe zebranie baków, podczas którego omawiali uczniów, zwłaszcza tych sprawiających problemy. Często w porze Gabinetu czułem, że pieką mnie uszy.

Zdecydowałem, że moją specjalnością w Eton będzie sport. Sportowcy byli podzieleni na dwie grupy: suchaków i mokraków. Suchacy grali w krykieta, piłkę nożną, rugby albo polo. Mokracy uprawiali wioślarstwo, żeglarstwo albo pływanie. Ja byłem suchakiem, który od czasu do czasu się zamaczał. Grałem w każdy z suchych sportów, ale moje serce należało do rugby. Piękna gra oraz dobry pretekst, żeby z całej siły wpadać na coś albo na kogoś. Rugby było ujściem dla mojej wściekłości, którą niektórzy zaczęli nazywać „czerwoną mgłą”. Ponadto byłem mniej wrażliwy na ból niż inni chłopcy, co czyniło mnie postrachem boiska.

Nikt nie był w stanie sprostać chłopcu, który wręcz dążył do zewnętrznego bólu, który byłby w stanie zagłuszyć wewnętrzne cierpienie.

Znalazłem kilku kolegów. Nie było z tym łatwo. Miałem szczególne wymagania. Potrzebny był mi ktoś, kto nie będzie mi dokuczał, że jestem z rodziny królewskiej, kto nawet nie wspomni o tym, że jestem Tym Drugim. Ktoś, kto będzie traktował mnie normalnie, co wymagało ignorowania śpiącego w sąsiednim pokoju uzbrojonego ochroniarza, którego zadaniem było chronienie mnie przed porwaniem lub zamachem na moje życie. (Że już nie wspomnę o elektronicznym lokalizatorze i przycisku antynapadowym, które stale nosiłem przy sobie). Moi koledzy spełniali te wymagania.

Czasami moi nowi kumple i ja wymykaliśmy się na most Windsorski na Tamizie, łączący Eton z Windsorem. Ściślej mówiąc – pod most, gdzie mogliśmy palić tabacznosc nie niepokojeni przez nikogo. Moi kumple zdawali się czerpać z tego przyjemność, podczas gdy ja robiłem to jakby na autopilocie. Jasne, miałem ochotę na ćmika po McDonalddie, kto by nie miał. Ale jeśli już wybieraliśmy się na wagary, zdecydowanie wolałem pójść na pole golfowe należące do zamku Windsor i trochę pogonić piłeczkę, popijając piwko.

Mimo to, jak robot, brałem każdego papierosa, którym mnie częstowano, i niedługo później w ten sam automatyczny, bezmyślny sposób przeszedłem na zioło.

18

Do gry potrzebne były kij, piłka tenisowa i całkowite lekceważenie własnego bezpieczeństwa fizycznego. Grało czterech zawodników: rzucający, odbijający i dwóch graczy z pola, którzy stali w połowie korytarza, każdy z nich jedną nogą w korytarzu, a drugą w pokoju. Często w cudzym pokoju. Nieraz przeszkadzaliśmy innym chłopcom, próbującym się uczyć. Błagali, żebyśmy sobie poszli.

Przepraszamy, mówiliśmy. To jest nasza nauka.

Za bramkę krykietową robił kaloryfer. Spieraliśmy się w nieskończoność, kiedy złapanie piłki się liczy. Odbitej od ściany? Tak, liczy się. Od okna? Nie, aut. Jedną ręką, po jednokrotnym odbiciu? Za pół autu.

Pewnego dnia najbardziej wysportowany członek naszej grupy rzucił się w przód, próbując złapać trudną piłkę, i wylądował twarzą na gaśnicy powieszony na ścianie. Rozciął sobie język na pół. Myślałby kto, że po tym, jak na dywanie pozostały trwałe plamy z jego krwi, daliśmy sobie spokój z Korytarzowym Krykietem.

Wcale nie.

Kiedy nie graliśmy w krykieta na korytarzu, zbijaliśmy baki w naszych pokojach. Wyćwiczyliśmy do perfekcji pozy wyrażające skrajne znudzenie. Chodziło o to, żeby wyglądać, jakby nie miało się żadnego celu, jakby było się w stanie ruszyć z miejsca tylko w celu zrobienia czegoś niegodziwego albo, jeszcze lepiej, głupiego. Pod koniec mojego pierwszego semestru wpadliśmy na pomysł czegoś wybitnie głupiego.

Ktoś stwierdził, że moja fryzura to jedna wielka katastrofa. Jak chwasty na wrzosowiskach.

– I co z tym można zrobić?

– Spokojnie, zajmę się tym.

– Jak?

– Po prostu. Zgolę na łyso.

Hm. To nie brzmiało dobrze.

Ale nie chciałem się wychylać. Chciałem być supergościem. Zabawnym gościem.

– W porządku.

Ktoś przyniósł maszynkę. Ktoś posadził mnie na krześle. Po tym, jak przez całe życie spokojnie sobie rosły, włosy w mgnieniu oka opadły mi z głowy. Kiedy samozwańczy fryzjer skończył, spojrzałem w dół i zobaczyłem na podłodze kilkanaście rudych stożków, jak czerwone wulkany widziane z samolotu. Wiedziałem już, że popełniłem piramidalny błąd.

Podbiegłem do lustra. Podejrzenia się potwierdziły. Wrzasnąłem z przerażenia.

Kumple też ryczeli. Ze śmiechu.

Biegałem w kółko. Chciałem cofnąć czas. Chciałem zebrać włosy z podłogi i z powrotem je przykleić. Chciałem, żeby ten koszmar się skończył. Nie wiedziałem, co robić, więc naruszyłem świętą zasadę, najważniejsze przykazanie,

którego pod żadnym pozorem nie wolno było łamać, i pobiegłem na górę do pokoju Willy'ego.

Oczywiście Willy nic z tym nie mógł zrobić. Po prostu miałem nadzieję, że powie mi: „Będzie dobrze, nie panikuj, wyluzuj, Haroldzie”. Zamiast tego śmiał się jak inni. Pamiętam, jak siedział przy biurku, zgięty nad książką, i chichotał, a ja stałem przed nim, macając nierówności na mojej świeżo obnażonej czaszce.

– Haroldzie, co ty zrobiłeś?

Co za pytanie. Brzmiał jak Stewie z *Głowy rodziny*. Czy to nie było oczywiste?

– Nie powinieneś był tego robić, Haroldzie!

A więc od tej chwili ograniczymy się do stwierdzania oczywistości?

Powiedział jeszcze kilka rzeczy, z których żadna nie była ani trochę pomocna, i poszedłem sobie.

Gorsze szyderstwa miały dopiero nadejść. Kilka dni później pojawiłem się ze swoją nową fryzurą na pierwszej stronie tabloidu „Daily Mirror”.

Pod nagłówkiem: „Skinhead Harry”.

Nie miałem pojęcia, skąd się o tym dowiedzieli. Kolega ze szkoły musiał powiedzieć komuś, kto powiedział komuś, kto powiedział prasie. Dzięki Bogu nie mieli zdjęć. Ale poradzili sobie. Pierwszą stronę zilustrowano „wygenerowaną komputerowo” podobizną Tego Drugiego, łysego jak jajko. Kłamstwo. A właściwie gorzej niż kłamstwo.

Wyglądałem źle, ale nie aż tak źle.

19

Myślałem, że nie może być gorzej. To poważny błąd, gdy członek rodziny królewskiej wyobraża sobie, że nie może być gorzej, jeśli chodzi o media. Kilka tygodni później znów byłem na pierwszej stronie tej samej gazety.

„HARRY MIAŁ WYPADEK”.

Grając w rugby, złamałem kciuk, nic wielkiego, ale gazeta postanowiła przedstawić to jako zagrożenie życia. W każdych okolicznościach byłoby to w złym guście, ale trochę ponad rok po rzekomym wypadku mamy?

Dajcie spokój.

Przez całe życie miałem do czynienia z brytyjską prasą, ale nigdy wcześniej nie uwzięli się na mnie. Więcej, od śmierci mamy traktowanie przez prasę dwójki jej synów było uregulowane niepisaną umową, a umowa ta brzmiała:

Odczepcie się.

Pozwólcie im w spokoju się uczyć.

Najwyraźniej ta umowa wygasła, bo byłem tam, na całej pierwszej stronie, ukazany jako delikatniś. Albo dupek. Albo i to, i to.

I na progu śmierci.

Przeczytałem ten artykuł kilka razy. Mimo ponurego podtekstu – stan księcia Harry’ego jest poważny – zadziwił mnie jego ton: figlarny. Moje życie było dla tych ludzi igraszką. Nie byłem dla nich człowiekiem. Nie byłem czternastoletnim chłopcem trzymającym się ostatkiem sił. Byłem karykaturą, kukiełką, którą można się bawić i wyśmiewać dla przyjemności. Nie miało dla nich znaczenia, że ta zabawa pogarszała moje i tak już ciężkie dni i robiła ze mnie pośmiewisko przed moimi kolegami ze szkoły, nie mówiąc już o szerszym świecie. Nie dbali o to, że dręczyli dziecko. Wszystko było usprawiedliwione, bo należałem do rodziny królewskiej, a w ich mniemaniu rodzina królewska nie była w pełni ludźmi. Przed wiekami królów, królowe i ich krewnych uważano za równych bogom; teraz byli robactwem. Ale frajda odrywać im skrzydełka.

Sekretariat taty złożył formalną skargę, zażądał publicznych przeprosin, oskarżył redakcję o dręczenie jego młodszego syna.

Redakcja odpowiedziała sekretariatowi taty, żeby się odpierzył.

Zanim wróciłem do swoich spraw i swojego życia, spojrzałem ostatni raz na artykuł. Ze wszystkich rzeczy, które mnie w nim zaskoczyły, najbardziej zdumiewający był absolutnie denny warsztat. Byłem kiepskim uczniem, zupełnie nie umiałem pisać, a mimo to potrafiłem się zorientować, że ten artykuł to próbka kompletnego analfabetyzmu.

Na przykład: po wyjawieniu, że zostałem ciężko ranny i że byłem prawie na krawędzi śmierci, artykuł na jednym oddechu przeszedł do deklaracji, że dokładny zakres moich obrażeń nie może zostać ujawniony, ponieważ rodzina królewska zabroniła redakcji o tym pisać. (Tak jakby moja rodzina miała jakąkolwiek kontrolę nad tymi wampirami). „W celu uspokojenia opinii publicznej możemy zapewnić, że obrażenia Harry’ego NIE są poważne. Jednakże wypadek został uznany za na

tyle groźny, że trzeba było umieścić księcia w szpitalu. Jednakże jesteśmy zdania, że społeczeństwo ma prawo wiedzieć o każdym incydencie, nawet najmniej poważnym, jeżeli skutkuje on uszkodzeniem ciała następcy tronu”.

Dwa „jednakże” z rzędu, ton samozadowolenia, niespójność i brak jakiegokolwiek sensownej treści, histeryczna miałość całości. Te udające tekst dziennikarski wyrzygi zostały podobno zredagowane – lub, co bardziej prawdopodobne, osobiście napisane – przez młodego dziennikarza, na którego nazwisko rzuciłem okiem, a zaraz potem je zapomniałem.

Nie sądziłem, że jeszcze kiedykolwiek natknę się na ten artykuł albo na jego autora. Byłem przekonany, że z takimi umiejętnościami składania wyrazów nie zagrzeje długo miejsca jako dziennikarz.

20

Zapomniałem, kto pierwszy użył tego określenia. Pewnie któryś z dziennikarzy. Albo jeden z moich nauczycieli. Ktokolwiek to był – przyjęło się i weszło do obiegu. Przydzielono mi rolę w Królewskiej Rewii Melodramatycznej. Na długo zanim wolno mi było (legalnie) napić się piwa, stała się oczywistością.

„Harry? No tak, to łobuziak”.

Łobuziak był falą, pod której prąd płynąłem, wiatrem, który wiał mi w twarz, ciągłym oczekiwaniem, od którego nie byłem w stanie się uwolnić.

Nie chciałem być łobuziakiem. Chciałem być szlachetny. Chciałem być dobry, ciężko pracować, dorosnąć i zrobić coś sensownego ze swoim życiem. Ale każdy grzech, każdy błąd, każde niepowodzenie przywoływały tę samą etykietkę i to samo publiczne potępienie, a co za tym idzie, umacniało obiegową opinię, że mam naturę łobuziaka.

Byłoby inaczej, gdybym dobrze się uczył. Ale tak nie było i wszyscy o tym wiedzieli. Moje świadectwa były publicznie dostępne. Cała Brytyjska Wspólnota Narodów wiedziała o moich miernych wynikach, które w dużej mierze brały się z tego, że przerastał mnie poziom Eton.

Ale nikt nie brał pod uwagę innej prawdopodobnej przyczyny.

Mama.

Nauka, koncentracja wymagają współpracy z umysłem, a ja jako nastolatek prowadziłem ze swoim umysłem wojnę na całego. Wiecznie odpierałem ataki najczarniejszych myśli, najgłębszych lęków i – najczulszych wspomnień. (Im czulsze wspomnienie, tym dotkliwszy ból). Znalazłem na to sposoby, niektóre zdrowe, inne nie, ale wszystkie dość skuteczne, a kiedy nie mogłem z nich skorzystać – na przykład gdy musiałem siedzieć cicho nad książką – odchodziłem od zmysłów. Rzecz jasna, unikałem takich sytuacji.

Za wszelką cenę unikałem spokojnego siedzenia nad książką.

W którymś momencie zdałem sobie sprawę, że podstawą uczenia się jest pamięć. Listy nazwisk, rzędy liczb, wzory matematyczne, piękne wiersze – żeby się ich nauczyć, trzeba je było wgrać do tej części mózgu, która przechowuje wspomnienia, była to jednak ta sama część, z którą toczyłem walkę. Od czasu zniknięcia mamy moja pamięć szwankowała, z zasady, i nie miałem zamiaru jej naprawiać, bo pamięć była równoznaczna z bólem.

Niepamięć stanowiła wybawienie.

Możliwe też, że niewłaściwie zapamiętałem swoje zmagania z pamięcią z tamtych czasów, bo pamiętam też, że bardzo dobrze mi szło uczenie się niektórych rzeczy, jak długich fragmentów *Ace Ventura* czy *Króla Lwa*. Często je recytowałem, dla kolegów, dla siebie. Jest też zdjęcie, na którym siedzę w swoim pokoju, przy swoim biurku z wysuwającym blatem, a tam pośród schowków i porzucanych papierów stoi oprawione w srebrną ramkę zdjęcie mamy. No właśnie. Mimo że wyraźnie pamiętam, że nie chciałem o niej pamiętać, dokładałem też starań, żeby o niej nie zapomnieć.

Opinia nierozgarniętego łobuziaka była wystarczająco trudna dla mnie, natomiast tacie przynosiła prawdziwą udrękę, bo oznaczała, że jestem jego przeciwieństwem.

Najbardziej martwiło go to, jak bardzo starałem się unikać książek. Tata nie tylko lubił książki, on je wielił. Zwłaszcza Szekspira. Uwielbiał *Henryka V*. Porównywał się do księcia Hala. W jego życiu było wielu Falstaffów, jak lord Mountbatten, jego ukochany wujek, i Laurens van der Post, niepokorny uczeń Carla Junga.

Kiedy miałem sześć czy siedem lat, tata pojechał do Stratfordu i wygłosił płomienną publiczną obronę Szekspira. W miejscu, gdzie urodził się i zmarł

największy brytyjski pisarz, tata potępiał lekceważenie dramatów Szekspira w szkołach, znikanie Szekspira z brytyjskich sal lekcyjnych i ze świadomości społecznej. Opatrzył tę żarliwą orację cytatami z *Hamleta*, *Makbeta*, *Otella*, *Burzy*, *Kupca weneckiego* – wyciągał wersy z powietrza, jakby zrywał płatki jednej z hodowanych przez siebie róż, i podrzucał je publiczności. To był popis, ale nie dla samego popisywania się. Chodziło mu o to, że wszyscy powinni być w stanie zrobić to samo. Wszyscy powinni znać te wersy na pamięć. To nasze wspólne dziedzictwo, powinniśmy je pielęgnować, chronić, a zamiast tego pozwalamy mu obumrzeć.

Zdawałem sobie sprawę z tego, jak bardzo dotyka tatę moja przynależność do hord, które wyzbyły się Szekspira. I próbowałem to zmienić. Otworzyłem *Hamleta*. Hm, spójrzmy: osamotniony książę, mający obsesję na punkcie zmarłego rodzica, przygląda się, jak drugie z rodziców zakochuje się w uzurpatorze, zajmującym miejsce zmarłego...?

Zatrzasnąłem książkę. Dziękuję uprzejmie.

Ojciec nie składał broni. Zaczął spędzać więcej czasu w Highgrove, swojej trzystupięćdziesięcioakrowej posiadłości w Gloucestershire niedaleko Stratfordu, więc co jakiś czas zabierał mnie do tego miasta. Zjawialiśmy się bez zapowiedzi, oglądaliśmy jakąkolwiek sztukę, tacie to nie robiło różnicy. Mnie też nie, choć z innych powodów.

To była jedna wielka męczarnia.

Nieraz nie rozumiałem większości tego, co się dzieje lub co mówią na scenie. Ale kiedy rozumiałem, było jeszcze gorzej. Słowa paliły. Niepokoiły. Dlaczego miałbym chcieć słuchać o pogrążonym w żałobie królestwie „zawartym w jednym fałdzie kiru”^[4]? Przenosiło mnie to do sierpnia 1997 roku. Dlaczego miałbym chcieć medytować nad niezmiennym faktem, że „co żyje, musi umrzeć; dziś tu gości, jutro w progi przechodzi wieczności”^[5]? Nie miałem czasu na myślenie o wieczności.

Jedynym utworem literackim, o którym pamiętam, że mi się podobał, czy wręcz że mnie zachwycił, była cienka amerykańska powieść. *Myszy i ludzie* Johna Steinbecka. Zadano nam ją na zajęcia z angielskiego.

W odróżnieniu od Szekspira do Steinbecka nie trzeba było tłumaczenia. Pisał w zwykłym, prostym języku. Co więcej, był zwięzły. *Myszy i ludzie* – energiczne

sto pięćdziesiąt stron.

A najlepsze było to, że fabuła wciągała. Dwaj goście, George i Lennie, włóczą się po Kalifornii, szukając miejsca dla siebie i próbując przewyciężyć swoje ograniczenia. Żaden z nich nie jest geniuszem, ale Lennie zdaje się mieć jeszcze inne problemy poza niskim ilorazem inteligencji. Trzyma w kieszeni martwą mysz, głaszcze ją kciukiem – dla otuchy. Kocha też szczeniaka, tak bardzo, że go uśmierca.

Opowieść o przyjaźni, braterstwie, lojalności, wypełniona sprawami, które mnie obchodziły. George i Lennie kojarzyli mi się z Willym i mną. Dwaj kumple, dwaj włóczędzy, przechodzący przez to samo, troszczący się o siebie nawzajem. Jak mówi jedna z postaci u Steinbecka: „Człowiek musi mieć kogoś bliskiego. Dostaje fioła, jak nikogo nie ma”^[6].

Właśnie tak jest. Chciałem się tym podzielić z Willym.

Szkoda, że wciąż udawał, że się nie znamy.

21

To musiało być wczesną wiosną 1999 roku. Zapewne przyjechałem do domu z Eton na weekend.

Obudziłem się i zobaczyłem tatę na skraju mojego łóżka, jak mówi, że wracam do Afryki.

– Do Afryki, tato?

– Tak, kochany chłopcze.

– Jak to?

Ten sam problem co zwykle, wyjaśnił. Czekala mnie dłuższa przerwa w nauce, ferie wielkanocne, i trzeba było coś ze mną zrobić. A zatem Afryka, ściślej: Botswana. Safari.

Safari! Z tobą, tato?

Nie. Niestety, tym razem nie będzie mógł pojechać. Ale pojedzie Willy.

O, to dobrze.

I jeszcze ktoś wyjątkowy, dodał tata, w roli przewodnika po Afryce.

– Kto, tato?

– Marko.

Marko? Ledwie go znałem, choć mówiono o nim dobrze. Opiekował się Willym, a ten, zdaje się, bardzo go lubił. Zresztą wszyscy go lubili. Według zgodnej opinii ze wszystkich ludzi taty Marko był najlepszy. Najdzielniejszy, najtwardszy, najszykowniejszy.

Żołnierz Gwardii Walijskiej z długim stażem. Gawędziarz. Prawdziwy mężczyzna, bez dwóch zdań.

Byłem tak podekscytowany perspektywą tego safari prowadzonego przez Marka, że nie wiem, jak przebrnąłem przez następnych kilka tygodni szkoły. W zasadzie nie przypominam sobie, żeby w ogóle się wydarzyły. Wspomnienia urywają się całkowicie zaraz po tym, jak tata przekazał mi wiadomość, i pojawiają się na nowo, kiedy wsiadam na pokład samolotu British Airways z Markiem, Willym i Tiggy – jedną z naszych niań. Ściślej mówiąc, naszą ulubioną nianią, chociaż Tiggy nie znosiła, kiedy ją tak nazywano. Była gotowa odgryźć głowę każdemu, kto by spróbował.

– Nie jestem nianią, jestem waszą przyjaciółką!

Mama, niestety, patrzyła na to inaczej. Widziała w Tiggy nie nianię, ale rywalkę. Powszechnie znane były podejrzenia mamy, że Tiggy jest szykowana na jej następczynię. (Czy mama widziała w Tiggy swoją własną Tę Drugą?) Teraz ta sama kobieta, której mama obawiała się jako swojego ewentualnego zastępstwa, faktycznie ją zastąpiła – to musi być straszne dla mamy. Każde przytulenie czy pogłaskanie po głowie przez Tiggy musiało wywoływać jakieś ukłucie winy, drgnienie poczucia nielojalności, a jednak nic takiego sobie nie przypominam. Pamiętam tylko przepełniającą mnie radość, że mam obok siebie Tiggy, która każe mi zapiąć pasy.

Polecieliśmy bezpośrednio do Johannesburga, a następnie samolotem śmigłowym do Maun, największego miasta w północnej Botswanie. Tam połączyliśmy się z dużą grupą przewodników safari, którzy uformowali z nas konwój land cruiserów z otwartym dachem. Pojechaliśmy prosto w dzicz, w stronę potężnej delty Okawango, która – jak się wkrótce przekonałem – jest prawdopodobnie najwspanialszym miejscem na świecie.

Okawango często nazywane jest rzeką, ale to tak, jakby zamek Windsor nazwać chatką. Na samym środku pustyni Kalahari, jednej z największych pustyń na

Ziemi, tworzy deltę śródlądową, która przez część roku jest wyschnięta na wiór. Jednak późnym latem zaczyna wypełniać się wodami powodziowymi z górnego biegu rzeki, biorącymi początek od małych kropelek, spadających na wyżyny Angoli, łączących się w strużki, a potem w strugi, które stopniowo przekształcają deltę nie w jedną, ale w dziesiątki rzek. Z przestrzeni kosmicznej wygląda to jak komory serca nabrzmiwające krwią.

Woda niesie życie. Mnóstwo zwierząt, prawdopodobnie zbiorowisko o największej bioróżnorodności na świecie, przychodzi pić, kąpać się, odbywać gody. Wygląda to, jakby nagle przyplłynęła arka Noego, a następnie wysypał się z niej ładunek.

Gdy docieraliśmy do tego zaczarowanego miejsca, zapierało mi dech. Lwy, zebry, żyrafy, hipopotamy – to chyba jakiś sen. W końcu zatrzymaliśmy się w naszym obozowisku na następny tydzień. Na miejscu rozbrzmiewał gwar kolejnych przewodników, kolejnych tropicieli, w sumie co najmniej kilkunastu. Przybijanie piątek, uściski na misia, imiona rzucane w naszą stronę.

– Harry, William, przywitajcie się z Adim!

(Dwudziestolatek, długie włosy, czarujący uśmiech).

– Harry, William, przywitajcie się z Rogerem i Davidem.

A w środku tego wszystkiego stał Marko, jak policjant z drogówki, wskazując drogę, namawiając, przytulając, pokrzykując, śmiejąc się, wciąż się śmiejąc.

W mgnieniu oka doprowadził nasze obozowisko do porządku. Wielkie namioty z zielonego płótna, miękkie krzesła z materiału ułożone w kręgi, w tym w jeden ogromny krąg wokół ogniska obłożonego kamieniami. Kiedy myślę o tej wyprawie, mój umysł natychmiast kieruje się do tego ogniska – tak jak moje chude ciało wówczas. Zbieraliśmy się przy ognisku o określonych porach. Z samego rana, w południe, o zmierzchu, a przede wszystkim po kolacji. Wpatrywaliśmy się w ogień, a potem w górę we wszechświat. Gwiazdy wyglądały jak iskry z bierwion.

Jeden z przewodników nazwał ognisko: Telewizja Busz.

– Tak – powiedziałem – każde dorzucenie drew to jak zmiana kanału.

Każdemu się to spodobało.

Ogień, jak zauważyłem, hipnotyzował czy też wprawiał w odurzenie wszystkich dorosłych z naszej grupy. W jego pomarańczowym blasku ich twarze stawały się

łagodniejsze, a języki się rozwiązywały. Gdy robiło się później, pojawiała się whisky i wszyscy przechodzili kolejną przemianę.

Ich śmiech stawał się... głośniejszy.

Pomyślałem: więcej, proszę. Więcej ognia, więcej rozmów, więcej głośnego śmiechu. Całe życie bałem się ciemności, a okazało się, że Afryka ma na to lekarstwo.

Ognisko.

22

Marko, największy z grupy, również najgłośniej się śmiał. Wydolność jego płuc była proporcjonalna do wielkości ciała. Jakaś proporcja wiązała też donośność jego głosu z barwą włosów. Ja byłem zakompleksionym rudzielcem, a Marko był skrajnym rudzielcem bez żadnych kompleksów.

Gapilem się na niego i myślałem: naucz mnie, jak być takim jak ty.

Marko nie był jednak typem nauczyciela. Wiecznie w ruchu, wiecznie w działaniu, kochał wiele rzeczy – jedzenie, podróże, naturę, broń, nas – ale nie miał głowy do wykładów. Bardziej w jego stylu było uczenie przez przykład. I dobrą zabawę. Był jednym wielkim rudym karnawałem i jeśli chciałeś dołączyć do imprezy – to świetnie, a jeśli nie – to też dobrze. Wielokrotnie zastanawiałem się, patrząc, jak pożera swój obiad, wypija duszkiem swój gin, wykrzykuje kolejny żart, klepie innego tropiciela po plecach, dlaczego inni ludzie nie byli tacy jak ten facet.

Dlaczego przynajmniej nie próbowali?

Chciałem zapytać Willy'ego, jak to jest – mieć takiego opiekuna i przewodnika, ale najwyraźniej zasada z Eton obowiązywała również w Botswanie: Willy nie chciał mnie znać w buszu tak samo jak w szkole.

Jedną rzeczą w Marku, która przejściowo studziła mój zachwyt, była jego służba w Gwardii Walijskiej. Czasem podczas tej wyprawy patrzyłem na niego i widziałem ośmiu walijskich gwardzistów w ich czerwonych mundurach, jak biorą na ramiona trumnę i maszerują wzdłuż nawy opactwa... Mówiłem sobie, że tego dnia nie było tam Marka. Mówiłem sobie, że tak czy inaczej trumna na pewno była pusta.

Wszystko wracało do porządku.

Kiedy Tiggy „sugerowała”, żebym poszedł się położyć, zawsze wcześniej niż wszyscy, nie oponowałem. Dni były długie, a namiot był przyjemnym kokonem. Jego płótno miło pachniało starymi książkami, podłogę pokrywały miękkie skóry antylop, moje łóżko było nakryte przytulną afrykańską narzutą. Po raz pierwszy od miesięcy, od lat, od razu zapadałem w sen. Oczywiście pomagało to, że widziałem blask ogniska przez ściankę namiotu, że słyszałem dorosłych po drugiej stronie i zwierzęta gdzieś dalej. Wrzaski, beczenie, ryki, co za hałas robiły po zmroku – w swoich godzinach urzędowania. Godzinach szczytu. Im później się robiło, tym były głośniejsze. Uspokajało mnie to. Oraz bawiło: bez względu na to, jak głośne były zwierzęta, wciąż słyszałem śmiech Marka.

Pewnej nocy, zanim zasnąłem, obiecałem sobie: znajdę sposób, żeby rozśmieszyć tego faceta.

23

Podobnie jak ja, Marko lubił słodczyce. Podobnie jak ja, szczególnie uwielbiał puddingi. (Mówił na nie „pudy”). Wpadłem więc na pomysł, żeby doprawić jego pudding sosem tabasco.

Z początku podniesie wrzask. Ale potem zrozumie, że to psikus, i zacznie się śmiać. Och, jak będzie się śmiał! A potem zorientuje się, że to ja. I zaśmieje się jeszcze głośniej!

Nie mogłem się doczekać.

Następnego wieczoru, gdy wszyscy wcinali kolację, wyszedłem na palcach z namiotu jadalni. Przeszedłem pięćdziesiąt metrów ścieżką do namiotu kuchennego i wlałem pół szklanki tabasco do miski z puddingiem Marka. (Chlebowo-maślanym, ulubionym mamy). Załoga kuchni zobaczyła mnie, ale położyłem palec na ustach. Zaśmiali się.

Wślizgując się z powrotem do jadalni, mrugnąłem do Tiggy. Już wcześniej ją wtajemniczyłem i uznała cały ten numer za genialny. Nie pamiętam, czy powiedziałem o swoim planie Willy’emu. Myślę, że nie. Wiedziałem, że nie spodobałoby mu się to. Wierciłem się, odliczając minuty do podania deseru i powstrzymując chichot.

Nagle ktoś zawołał:

– Ej!

Ktoś inny krzyknął:

– Co, do...!

Wszyscy naraz się odwróciliśmy. Tuż przy wejściu do namiotu ukazał się płowy ogon, ze świstem tnący powietrze.

Lampart!

Wszyscy zamarli. Oprócz mnie. Zrobiłem krok w jego stronę.

Marko złapał mnie za ramię.

Lampart odszedł, jak primabalerina, przecinając ścieżkę, którą szedłem chwilę wcześniej.

Odwróciłem się w porę, by zobaczyć, jak dorośli patrzą na siebie z otwartymi ustami. „Ja pierdołę”. Potem ich oczy zwróciły się na mnie. „Ja pierdooolę”.

Wszyscy myśleli o tym samym i wyobrażali sobie ten sam nagłówek na całą stronę w krajowych gazetach.

„Książę Harry rozszarpany przez lamparta”.

Świat zachwiałyby się w posadach. Spadłyby głowy.

W ogóle o tym nie myślałem. Myślałem o mamie. Ten lampart był oczywiście znakiem od niej, posłańcem, którego wysłała, by powiedzieć, że wszystko jest w porządku. I wszystko będzie dobrze.

Jednocześnie pomyślałem też: o zgrozo!

A gdyby mama wróciła z ukrycia tylko po to, by się dowiedzieć, że jej młodszy syn został pożarty żywem?

Każdy członek rodziny królewskiej musiał nauczyć się utrzymywać dystans między sobą i resztą świata. Nawet podczas spotkań z tłumem zawsze należało zachować odpowiednią odległość między Sobą i Nimi. Dystans był słuszny, dystans był bezpieczny, dystans umożliwiał przetrwanie. Dystans był istotną częścią przynależności do rodziny królewskiej, nie mniej niż stanie na balkonie w otoczeniu krewnych i machanie do tłumów przed pałacem Buckingham.

Oczywiście dystans dotyczył również rodziny. Nieważne, jak bardzo się kogoś kochało, nigdy nie należało przekraczać przepaści między, powiedzmy, monarchą a dzieckiem. Albo Następcą a Zastępcą. Fizycznie, ale i emocjonalnie. To nie był tylko edykt Willy'ego o niezawracaniu mu głowy, starsze pokolenie utrzymywało niemal całkowity zakaz kontaktów fizycznych. Żadnych uścisków, pocałunków, głaskania. Raz na jakiś czas ewentualnie lekkie dotknięcie policzków... od wielkiego dzwonu.

Ale w Afryce nic z tego nie obowiązywało. W Afryce dystans zniknął. Wszystkie stworzenia mieszały się ze sobą bez przeszkód. Tylko lew chodził z wysoko zadartą głową, tylko słoń kroczył jak cesarz, ale nawet one nie były całkiem oddzielone od reszty. Codziennie pospolitowały się ze swoimi poddanymi. Nie miały wyboru. Tak, istniały drapieżniki i ofiary, życie potrafiło być niemiłe, okrutne i krótkie, ale w moich nastoletnich oczach wszystko to wyglądało jak ucieleśnienie demokracji. Jak utopia.

I to nawet nie licząc uścisków na misia i przybijania piątki przez tropicieli i przewodników.

Z drugiej strony może spodobała mi się nie tyle sama bliskość żywych istot, ile ich oszołamiająca liczba. W ciągu kilku godzin przeniosłem się ze świata jałowości, sterylności, śmierci do mokradeł tętniących życiem. Może to właśnie za życiem tęskniłem najbardziej.

Może to był ten cud, na który natrafiłem nad Okawango w kwietniu 1999 roku.

Przez cały tydzień nie miałem ochoty zamykać oczu. Uśmiech nie schodził mi z twarzy chyba nawet w czasie snu. Gdyby Park Jurajski był prawdziwy, nie zachwyciłby mnie bardziej. Urzekły mnie nie tylko afrykańskie odpowiedniki tyranozaurów, ale i zupełnie drobne stworzenia. Oraz ptaki. Adi, najbystrzejszy przewodnik z naszej grupy, nauczył mnie rozpoznawać w locie sępy brunatne, czaple złotawe, żołą karminowe czy bieliki afrykańskie. Nawet owady były fascynujące. Dzięki Adiemu zacząłem je naprawdę zauważać. Patrz pod nogi, mówił, zwróć uwagę na różne gatunki chrząszczy, podziwiał piękno larw. Docen też barokową architekturę kopców termitów – najwyższych budowli wzniesionych przez jakiegokolwiek zwierzę poza człowiekiem.

– Tak dużo trzeba poznać, Harry. Żeby docenić.

– Masz rację, Adi.

Ilekoć wybierałem się z nim na wędrowkę po okolicy, ilekoć natrafialiśmy na świeżą padlinę wypełnioną larwami albo pożeraną przez dzikie psy, ilekoć natykaliśmy się na stertę słoniowego łajna, z której wyrastały grzyby wyglądające jak cylinder Dickensowskiego ulicznika, Adi nigdy się nie krzywił.

– Krąg życia, Harry.

Ze wszystkich zwierząt wokół nas, mawiał Adi, najpotężniejsza jest woda. Okawango była dla niego jeszcze jedną żywą istotą. Jego ojciec i on przeszli ją całą wzdłuż, kiedy był chłopcem, niosąc ze sobą tylko maty do spania. Znał Okawango na wylot i był w niej niemalże zakochany. Jej powierzchnia była doskonale gładkim policzkiem, który często czule głaskał.

Ale czuł też do rzeki zdroworoządkowy respekt. Szacunek. Jej wnętrze jest zabójcze, mówił. Głodne krokodyły, nerwowe hipopotamy, wszystkie czekały tam, w ciemności, żebyś się pośliznął. Hipopotamy zabijały pięćset osób rocznie; Adi bez przerwy wbijał mi to do głowy, a po latach wciąż słyszę jego głos: „Nie wchodź nigdy do ciemnej wody, Harry”.

Pewnego wieczoru przy ognisku wszyscy przewodnicy i tropiciele zaczęli dyskutować o rzece, wykrzykując opowieści o pływaniu nią, w niej, strachu przed nią, bez przerwy wchodząc sobie w słowo. Słuchałem o tym wszystkim, o mistyce rzeki, świętości rzeki, dziwaczności rzeki.

Co do dziwaczności... W powietrzu unosił się zapach marihuany.

Opowieści były coraz głośniejsze, coraz zabawniejsze.

Zapytałem, czy mogę spróbować.

Wszyscy się roześmiali.

– Spadaj!

Willy spojrzał na mnie z przerażeniem.

Ale nie dawałem za wygraną. Przedstawiałem argumenty. Mówiłem, że mam doświadczenie.

Kręcenie głowami.

– Serio?

Z Hennersem podkradliśmy niedawno dwa sześciopaki smirnoff ice i schlaliśmy się do nieprzytomności – pochwaliłem się. Poza tym Tiggy podczas wypraw tropicielskich zawsze pozwalała mi pociągnąć ze swojej piersiówki. (Likier

tarninowy na ginie, nie rozstawała się z nim). Uznałem, że lepiej będzie nie zdradzać reszty moich doświadczeń.

Dorośli wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Któryś z nich wzruszył ramionami, skręcił nowego jointa i podał mi go.

Wziąłem bucha. Zakrztusiłem się, zacząłem kaszleć. Afrykańskie zioło było o wiele ostrzejsze niż to z Eton. I dawało mniejszy haj.

Ale przynajmniej byłem mężczyzną.

Nieprawda. Wciąż byłem dzidziusiem.

„Joint” okazał się świeżą bazylią skręconą w uświnioną bibułkę.

25

Hugh i Emilie byli parą starych znajomych taty. Mieszkali w Norfolk i często jeździliśmy do nich na tydzień czy dwa podczas wakacji i ferii. Mieli czterech synów, do których zawsze dorzucano Willy’ego i mnie, jak dwa szczeniaki do gromadki pitbulli.

Bawiliśmy się w różne rzeczy. Raz w chowanego, raz w „zdobądź flagę”. Niezależnie od rodzaju zabawy zawsze był to pretekst do wielkiej bijatyki, w której nigdy nie było zwycięzców, bo nie było żadnych zasad. Ciągnięcie za włosy, wydłubywanie oczu, wykręcanie rąk, duszenie – wszystko było dozwolone w miłości i na wojnie oraz w wiejskiej posiadłości Hugh i Emilie.

Jako najmłodszy i najmniejszy zawsze obrywałem. Ale też najbardziej rwałem się do bitki, więc zawsze miałem za swoje. Podbite oko, fioletowe pręgi, spuchnięta warga, nie przeszkadzało mi to. Wręcz przeciwnie. Może chciałem sprawiać wrażenie twardziela. Może po prostu chciałem poczuć cokolwiek. Niezależnie od motywacji moja filozofia walki była prosta: dalej!

Nadawaliśmy naszym potyczkom historyczne nazwy. Dom Hugh i Emilie często zamieniał się w Waterloo, front pod Sommą, Rorke’s Drift. Widzę, jak nacieramy na siebie nawzajem, wrzeszcząc: „Zulu!”.

Strony konfliktu często dobierały się według pokrewieństwa, choć nie zawsze. Nie zawsze byli to Windsorowie kontra reszta świata. Mieszaliśmy się i grupowaliśmy według uznania. Czasem walczyłem u boku Willy’ego, czasem

przeciw niemu. Jednak niezależnie od sojuszków często zdarzało się, że jeden lub dwóch synów Hugh i Emilie ruszało razem na Willy'ego. Kiedy słyszałem jego wołanie o pomoc, zaślepiła mnie czerwona mgła, jakby pękło mi naczynko w oku. Traciłem kontrolę, zdolność do zauważania czegokolwiek poza rodziną, krajem, plemieniem i rzucałem się na kogoś, na kogokolwiek. Kopałem, biłem, dusiłem, wyrywałem kończyny.

Chłopcy Hugh i Emilie byli wobec tego bezsilni. Każdy byłby.

– Zabierzcie go, to wariat!

Nie wiem, na ile skutecznym i sprawnym wojownikiem byłem. Ale zawsze udawało mi się odwrócić uwagę od Willy'ego na tyle, by mógł się wywinąć. Sprawdzał swoje obrażenia, wycierał nos i od razu wracał do akcji. Kiedy w końcu walka się kończyła i odchodziliśmy razem, zawsze czułem do niego ogromną miłość, którą – jak to odczuwałem – odwzajemniał, ale nie bez domieszki zakłopotania. Byłem od Willy'ego o połowę mniejszy i o połowę lżejszy. To ja byłem młodszym bratem, którego miał ratować, a nie na odwrót.

Z czasem bójki stawały się coraz bardziej wymyślne. Włączyliśmy broń palną. Rzucaliśmy w siebie petardami, robiliśmy wyrzutnie rakiet z tub po piłkach do golfa, urządzaliśmy nocne bitwy, w których dwóch z nas broniło bunkra pośrodku otwartego pola. Wciąż czuję zapach dymu i słyszę syk, gdy pocisk leci w stronę ofiary, której jedyną ochroną była kurtka puchowa, wełniane rękawiczki, może jakieś gogle narciarskie, choć najczęściej nie.

Nasz wyścig zbrojeń przyspieszył. Jak to z wyścigami zbrojeń. Zaczęliśmy używać wiatrówek. Z bliskiego dystansu. Jak to się stało, że nikt nie poniósł trwałych obrażeń? Jak to się stało, że nikt nie stracił oka?

Pewnego dnia cała nasza szóstka spacerowała po lesie w pobliżu domu, wypatrując wiewiórek i gołębi do odstrzelenia. Stał tam stary wojskowy land rover. Willy i chłopcy uśmiechnęli się.

– Haroldzie, wskakuj i jedź, a my cię ostrzelamy.

– Z czego?

– Ze śrutówki.

– Dzięki, ale nie.

– Ładujemy. Albo wsiądziesz i pojedziesz, albo ostrzelamy cię tutaj.

Wskoczyłem do środka, ruszyłem z miejsca.

Chwilę później: bam! Strzał z tyłu.

Zaśmiałem się histerycznie i dodałem gazu.

Część terenu posiadłości zajmował plac budowy. (Hugh i Emilie budowali nowy dom). Rozegrała się tam prawdopodobnie najbardziej zacięta z naszych bitew. Zbliżał się zmierzch. Jeden z braci znajdował się w nieukończonym domu, pod silnym ostrzałem. Kiedy się wycofał, zasypaliśmy go rakietami.

A potem... zniknął.

– Gdzie jest Nick?

Poświeciliśmy latarką. Nie ma Nicka.

Maszerując naprzód, koło placu budowy natrafiliśmy na olbrzymią dziurę w ziemi, prawie jak kwadratowa studnia. Zajrzeliśmy przez krawędź i poświeciliśmy latarką. Głęboko w dole Nick leżał na plecach i jęczał. Wszyscy zgodziliśmy się, że ma cholerne szczęście, że żyje.

Co za wspaniała okazja, powiedzieliśmy.

Podpaliliśmy lonty kilku wielkich petard i wrzuciliśmy je do dołu.

26

Gdy w pobliżu nie było innych chłopców mogących odgrywać rolę wspólnych wrogów, Willy i ja walczyliśmy ze sobą.

Najczęściej odbywało się to na tylnym siedzeniu samochodu, kiedy tata gdzieś nas zawoził. Na przykład do domu na wsi. Albo na ryby. Pewnego razu w drodze nad rzekę Spey w Szkocji zaczęliśmy się szamotać i wkrótce rozpętała się bitwa na całego, a my się przetaczaliśmy w tę i we w tę i wymienialiśmy ciosy.

Tata zjechał na pobocze i krzyknął na Willy'ego, żeby wysiadł.

– Ja? Dlaczego ja?

Tata nie miał ochoty na tłumaczenia.

– Wyjdź!

Willy popatrzył na mnie z wściekłością. Uważał, że mnie zawsze się upieczę. Wysiadł z samochodu, gniewnie pomaszerował do drugiego wozu, którym jechała ochrona, i zapiął pasy. (Po zniknięciu mamy zawsze zapinaliśmy pasy). Konwój ruszył dalej.

Popatrywałem przez tylne okno.

Za nami majaczyła sylwetka przyszedłego króla Anglii, knującego zemstę.

27

Gdy zabiłem po raz pierwszy, Tiggy powiedziała:

– Brawo, kochanie!

Włożyła swoje długie, smukłe palce w ciało królika, pod strzęp rozerwanego futra, wydobyla trochę krwi i rozsmarowała ją z czułością na moim czole, policzkach i nosie.

– Teraz – powiedziała swoim zachrypniętym głosem – jesteś naznaczony.

Znaczenie krwią – odwieczna tradycja. Okazanie szacunku zabitemu zwierzęciu, akt przymierza ze strony myśliwego. Także zaznaczenie przejścia z chłopięctwa w... nie, nie męskość. Ale coś w tym rodzaju.

I tak oto, nie zważając na swój nieowłosiony tors i piszczący głos, po naznaczeniu krwią uznałem się za pełnoprawnego tropiciela. Ale w okolicach moich piętnastych urodzin dowiedziałem się, że przejdę prawdziwą myśliwską inicjację.

Jeleń szlachetny.

To było w Balmoral. Wczesny ranek, mgła na wzgórzach, mgła w kotlinach. Mój przewodnik, Sandy, miał chyba z tysiąc lat. Wyglądał, jakby zaczynał od tropienia mamutów. Prawdziwa stara szkoła, tak z Willym określaliśmy jego i podobnych dżentelmenów. Sandy wyrażał się oldskulowo, pachniał oldskulowo i ubierał się zdecydowanie oldskulowo. Wyblakła kurtka w panterkę na wytarty zielony sweter, tweedowe przedłużane pumpy, skarpety obsypane rzepami, traperskie buty z goreteksem. Na głowie miał klasyczny kaszkiet z tweedu, trzy razy starszy ode mnie, zbrązowiały od stuleci potu.

Przez cały ranek skradaliśmy się przez bagna i wrzosowiska. Przed nami pojawił się mój jeleń. Podkradaliśmy się krok po kroku, aż zatrzymaliśmy się i patrzyliśmy, jak skubie suchą trawę. Sandy upewnił się, że wciąż jesteśmy po zawietrznej.

Wskazał na mnie, potem na mój karabin. Już czas.

Odtoczył się w bok, żeby zrobić mi miejsce.

Podniósł lornetkę do oczu. Słyszałem jego chrapliwy oddech, kiedy powoli wycelowiałem i nacisnąłem spust. Pojedynczy ostry, głośny trzask. A potem cisza.

Wstaliśmy i ruszyliśmy naprzód. Kiedy doszliśmy do jelenia, odetchnąłem z ulgą. Już mu zmętniały oczy. Zawsze istniało ryzyko postrzału, po którym nieszczęsne zwierzę uciekało do lasu, by cierpieć tam samotnie przez wiele godzin. Gdy oczy jelenia mętniały coraz bardziej, Sandy ukląkł przy nim i wyjął swój lśniący nóż, którym rozciął mu tętnicę na szyi i brzuch. Dał mi znak, żebym uklęknął. Zrobiłem to.

Myślałem, że będziemy się modlić.

Sandy warknął na mnie:

– Blżej!

Ukląkłem bliżej, na tyle blisko, że czułem zapach spod pachy Sandy'ego. Położył delikatnie rękę na moim karku, teraz pomyślałem, że zamierza mnie przytulić, pogratulować. „Zuch chłopak”. Zamiast tego wepchnął mi głowę do środka tuszy.

Próbowałem się wyrwać, ale Sandy wpychał mnie głębiej. Byłem oszołomiony jego niewiarygodną siłą. I piekielnym zapachem. Śniadanie wyskoczyło mi z żołądka. Proszę, proszę, nie chcę zwymiotować do środka jelenia. Po jakimś czasie nie czułem już nic, bo nie mogłem oddychać. Mój nos i usta były pełne krwi, wnętrzości i głębokiego, niepokojącego ciepła.

No cóż, pomyślałem, więc tak wygląda śmierć. Ostateczne naznaczenie.

Inaczej, niż sobie wyobrażałem.

Zacząłem tracić przytomność. Żegnajcie wszyscy.

Sandy mnie wyciągnął.

Napełniłem płuca świeżym porannym powietrzem. Zacząłem wycierać ociekającą twarz, ale Sandy złapał mnie za rękę.

– Niy, chłopoku, niy.

– Co?

– Niech zaschnie, chłopoku! Niech zaschnie!

Połączyliśmy się przez krótkofalówkę z żołnierzami w dolinie. Wysłano konie. W oczekiwaniu na nie zabraliśmy się do pracy i urządziliśmy jeleniowi pełen *gralloching*, jak w dawnym szkockim narzeczu nazywano patroszenie. Usunęliśmy

żołądek, podroby rozrzućmy na wzgórzu dla jastrzębi i myszołowów, wycięliśmy wątrobę i serce, odcięliśmy penisa, uważając, by nie przeciąć cewki moczowej, co spowodowałoby oblanie moczem, którego smrodu nie usunęłoby dziesięć szkockich kąpielii górskich.

Nadeszły konie. Przewiesiliśmy wypatroszonego jelenia przez grzbiet białego potężnego ogiera i odesłaliśmy go do spizarni, po czym ramię w ramię wróciliśmy do zamku.

Gdy obeschła mi twarz i żołądek się uspokoił, poczułem wzbierającą dumę. Byłem dobry dla tego jelenia, tak jak mnie uczono. Pojedynczy strzał prosto w serce. Poza tym, że śmierć była bezbolesna, natychmiastowe zabicie uratowało mięso. Gdybym go postrzelił albo pozwolił, żeby nas zobaczył, jego tętno przyspieszyłoby, krew wypełniłaby się adrenaliną, jego mięso nie nadawałoby się już na steki i filety. Krew na mojej twarzy nie zawierała adrenaliny, dzięki mojej celności.

Byłem też dobry dla Natury. Regulacja liczebności była konieczna dla ochrony całej populacji jeleni, dla zapewnienia im wystarczającej ilości pożywienia na zimę.

I byłem dobry dla społeczności. Wielki jeleni w spizarni oznaczał mnóstwo dobrego mięsa dla mieszkańców wsi wokół Balmoral.

Te cnoty wpajano mi od najmłodszych lat, ale teraz przeżyłem je i poczułem na własnej twarzy. Nie byłem wierzący, ale tę „maseczkę z krwi” odczułem jak chrzest. Tata był głęboko wierzący, modlił się każdego wieczoru, a teraz, w tej chwili, ja również poczułem bliskość Boga. Jeśli kochasz Naturę, powtarzał tata, musisz wiedzieć, kiedy zostawić ją samą sobie, a kiedy nią zarządzać; zarządzanie oznaczało regulację liczebności, a to oznaczało zabijanie. Wszystko to było formą oddawania czci.

W spizarni Sandy i ja rozebraliśmy się i sprawdziliśmy, czy nie mamy kleszczy. Jelenie w tych lasach były pokryte kleszczami, a gdy kleszcz uczeplił się twojej nogi, zagrzebywał się głęboko pod skórą i często przedostawał się aż do jąder. Pewien nieszczęsny leśniczy zmarł niedługo wcześniej na boreliozę.

Panikowałem. Każdy pieprzyk wyglądał jak wyrok.

– Czy to jest kleszcz? A to?

– Niy, chłopoku, niy!

Ubrałem się.

Żegnając się z Sandym, podziękowałem mu za to doświadczenie. Chciałem uścisnąć mu dłoń, objąć. Ale cichy, spokojny głos wewnątrz mnie powiedział:

Niy, chłopoku. Niy.

28

Willy też lubił tropienie, więc użył go jako wymówki, żeby nie przyjechać tego roku do Klosters. Wolał zostać w Sandringham, liczącej dwadzieścia tysięcy akrów posiadłości babci w Norfolk, którą oboje uwielbialiśmy.

Wolę postrzelać do kuropatw, powiedział do taty.

Kłamał. Tata o tym nie wiedział, ale ja tak. Prawdziwym powodem, dla którego Willy został w domu, było to, że nie potrafił zmierzyć się ze Ścianką.

Zanim zaczęliśmy jazdę na nartach w Klosters, zawsze musieliśmy pójść na wyznaczone miejsce u podnóża góry i ustawić się przed około siedemdziesięcioma fotografami, stojącymi wokół na podestach o trzech czy czterech wznoszących się poziomach; to była Ścianka. Celowali w nas swoimi obiektywami, wykrzykiwali nasze imiona i robili nam zdjęcia, podczas gdy my mrużyliśmy oczy, wierciliśmy się i słuchaliśmy, jak tata odpowiada na ich głupie pytania. Ścianka była ceną, jaką płaciliśmy za godzinę na stoku bez niepokojenia. Tylko jeżeli stanęliśmy przed Ścianką, na chwilę zostawiali nas w spokoju.

Tata nie lubił Ścianki – i słynął z tego – ale Willy i ja nienawidziliśmy jej.

Dlatego Willy został w kraju i masakrował kuropatwy. Zostałbym z nim, gdybym mógł, ale byłem jeszcze zbyt młody, by w ten sposób postawić na swoim.

Pod nieobecność Willy'ego tata i ja musieliśmy sami zmierzyć się ze Ścianką, przez co cała rzecz była jeszcze bardziej nieprzyjemna. Trzymałem się blisko taty, podczas gdy aparaty fotograficzne szumiały i cykały. Przypomniały mi się Spice Girls. Przypomniała mi się mama, która również nie cierpiała Klosters.

To dlatego się ukrywa, pomyślałem. To jest to. Przez to gównu.

Mama miała jeszcze inne powody, poza Ścianką, by nienawidzić Klosters. Kiedy miałem trzy lata, tacie i jego przyjacielowi przydarzył się makabryczny wypadek na stoku. Przysypała ich ogromna lawina. Tata ledwo uszedł z życiem, jego

przyjacielowi to się nie udało. Jego ostatnie tchnienia pod lawiną to musiały być wypełnione śniegiem spazmy. Mama często mówiła o nim ze łzami w oczach.

Po Ściance próbowałem odreagować. Lubiłem jeździć na nartach i byłem w tym dobry. Ale gdy tylko w moich myślach pojawiała się mama, przywalała mnie moja własna, osobista lawina emocji. I pytań.

Czy to źle cieszyć się miejscem, którego mama nie cierpi? Czy krzywdzę ją, jeśli dobrze się bawię na stoku? Czy jestem niedobrym synem, jeśli ekscytuje mnie perspektywa jazdy wyciągiem sam na sam z tatą? Czy mama zrozumie, że tęsknię za nią i Willym, ale też cieszę się, że przez krótką chwilę mam tatę tylko dla siebie?

Jak miałem jej to wszystko wytłumaczyć, gdy wróci?

Jakiś czas po wycieczce do Klosters podzieliłem się z Willym swoją teorią o ukrywającej się mamie. Przyznał, że kiedyś myślał podobnie. Ale potem zmienił zdanie.

– Ona nie żyje, Haroldzie. Nie wróci.

Nie, nie, nie, nie chciałem o tym nawet słyszeć.

– Willy, przecież zawsze mówiła, że chciałyby po prostu zniknąć! Sam słyszałeś!

– Tak było. Ale, Haroldzie, ona nigdy by nam czegoś takiego nie zrobiła!

– Przyszło mi to na myśl – odparłem. – Ale też nie zginęłyby, Willy! Tego też nigdy by nam nie zrobiła!

– Słuszna uwaga, Haroldzie.

29

Samochód toczył się po długiej drodze dojazdowej, mijając białe kucyki babci, pole golfowe, na którym królowa matka zaliczyła kiedyś dołek jednym uderzeniem, policjanta w budce (zasalutował dziarsko), kilka progów zwalniających, a potem przez kamienny mostek wjechał na cichą boczną dróżkę.

Tata prowadził i mrużył oczy, patrząc na drogę.

– Wspaniały wieczór, nieprawdaż?

Balmoral, lato 2001 roku.

Podjechaliśmy stromo do góry obok destylarni whisky, potem wietrzną uliczką i w dół między pastwiskami dla owiec, na których rozpleniły się króliki. O ile

zdołały umknąć przed nami. Wcześniej tego dnia sporo ich wystrzelaliśmy. Po kilku minutach skręciliśmy w pylistą drogę gruntową i po czterystu metrach dojechaliśmy do płotu od jeleni. Wskoczyłem i otworzyłem kłódkę na bramce. W końcu, ponieważ zjechaliśmy z drogi publicznej, mogłem poprowadzić. Wskoczyłem za kierownicę i wcisnąłem gaz, tak jak od lat uczył mnie tata, często sadzając mnie w tym celu na swoich kolanach. Jechałem przez fioletowe zarośla wrzosów w najgłębsze zagłębienia tego ogromnego szkockiego torfowiska. Przed nami, jak stary przyjaciel, czekał Lochnagar pokryty płatami śniegu.

Dojechaliśmy do ostatniego drewnianego mostu, a koła zaczęły wystukiwać kojącą kołysankę, która zawsze kojarzyła mi się ze Szkocją. „Da-dam, da-dam... da-dam, da-dam”. Tuż pod nami burzył się potok, wezbrany po ulewach w górach. Powietrze było gęste od muszek. Zza drzew, ledwie widoczne w ostatnim świetle dnia, zerkwały na nas ogromne jelenie. Dotarliśmy na wielką polanę: po prawej stronie stary kamienny domek myśliwski, po lewej zimny strumień spływający przez las do rzeki. Byliśmy na miejscu. Inchnabobart!

Wbiegliśmy do środka domku. Ciepła kuchnia! Stary kominek! Opadłem na osłonę przed kominkiem nakrytą wytartą czerwoną poduszką i wdychałem zapach ogromnego stosu drewna brzozonego ułożonego obok. Nie znam bardziej pociągającego zapachu niż zapach brzozy. Dziadek, który wyruszył pół godziny przed nami, już rozpałał grilla z tyłu domku. Stał w gęstej chmurze dymu, a z jego oczu ciekły łzy. Na głowie miał kaszkiet, który od czasu do czasu zdejmował, by obetrzeć czoło albo utłuc muchę. Ogromnymi szczypcami obracał skwierczące filety z dziczyzny, a potem położył na wierzch zwój kiełbasy z Cumberland. Zazwyczaj w takich okazjach napraszałem się, żeby ugotował gar swojej specjalności, spaghetti po bolońsku. Tego wieczoru, z jakiegoś powodu, nie zrobiłem tego.

Specjalnością babci był sos do sałatek. Przygotowywała wielką michę. Następnie zapalała świece przy długim stole i wszyscy zasiadaliśmy na drewnianych krzesłach ze skrzypiącymi siedziskami ze słomy. Często na kolację zapraszany był gość, jakaś sławna czy wybitna osobistość. Wiele razy dyskutowałem o temperaturze mięsa lub chłodzie wieczoru z premierem albo biskupem. Ale tego wieczoru byliśmy tylko w gronie rodziny.

Przyjechała prababcia. Zerwałem się i podałem jej ramię. Zawsze tak robiłem – tata wpoił mi ten nawyk – ale tego wieczoru widziałem, że bunia naprawdę

potrzebuje dodatkowej asysty. Dopiero co obchodziła swoje sto pierwsze urodziny i wyglądała słabo.

Ale nadal elegancko. Była, pamiętam, od stóp do głów ubrana na niebiesko. Niebieski kardigan, niebieska spódnica w kratę, niebieski kapelusz. Niebieski był jej ulubionym kolorem.

Poprosiła o martini. Chwilę później ktoś podał jej zmrożoną szklaneczkę wypełnioną ginem. Patrzyłem, jak bierze łyk, wprawnie omijając cytrynę pływającą na powierzchni, i pod wpływem impulsu postanowiłem do niej dołączyć. Nigdy nie piłem drinka w obecności rodziny, więc to byłoby coś nowego. Drobną rebelią.

Jak się okazało, na próżno. Nikt nie zwrócił na to uwagi. Nikt nie zauważył. Z wyjątkiem buni. Na widok mojej zabawy w dorosłego z ginem i tonikiem w ręku ożywiła się na chwilę.

Usiadłem koło niej. Zaczęliśmy się przekomarzać, potem rozmowa stopniowo przeszła w coś głębszego. W porozumienie. Bunia naprawdę mówiła do mnie tego wieczoru, naprawdę mnie słuchała. Trudno mi było w to do końca uwierzyć. Zastanawiałem się nad powodem. Czy to przez gin? Czy przez tych dziesięć centymetrów, o które urosłem od zeszłego lata? Miałem teraz metr osiemdziesiąt trzy i byłem jednym z najwyższych członków rodziny. Co w połączeniu z kurczeniem się buni sprawiało, że sporo nad nią górowałem.

Żałuję, że nie mogę sobie przypomnieć szczegółów naszej rozmowy. Żałuję, że nie zadawałem więcej pytań i nie zapisywałem jej odpowiedzi. Była Wojenną Królową. Mieszkała w pałacu Buckingham, gdy z nieba leciały hitlerowskie bomby. (Dziewięć z nich trafiło w pałac). Jadała posiłki z Churchillem, z Churchillem z okresu wojny. Swego czasu nie ustępowała mu elokwencją. Wsławiła się powiedzeniem, że bez względu na to, jak źle mogą potoczyć się sprawy, nigdy, przenigdy nie opuści Anglii, a ludzie pokochali ją za to. Ja też ją za to kochałem. Kochałem swój kraj, a deklaracja, że nigdy się go nie opuści, budziła mój podziw.

Była też oczywiście osławiona z powodu mówienia innych rzeczy. Pochodziła z innej epoki, czerpała satysfakcję z królewskiego życia w sposób, który dla niektórych był niestosowny. Ja nie widziałem w tym nic zdroźnego. Była moją bunią. Urodziła się trzy lata przed wynalezieniem samolotu, a mimo to grała na bongosach w swoje setne urodziny. Teraz brała mnie za rękę, jakbym był rycerzem

wracającym z wojen, i przemawiała do mnie z miłością i humorem, a tamtego magicznego wieczoru – z szacunkiem.

Żałuję, że nie zapytałem o jej męża, króla Jerzego VI, który zmarł młodo. Albo o jej szwagra, króla Edwarda VIII, którego podobno nie znosiła. Zrezygnował z korony dla miłości. Bunia wierzyła w miłość, ale nic nie było ważniejsze od Korony. Podobno gardziła też kobietą, którą wybrał.

Szkoda, że nie zapytałem o jej dalekich przodków z Glamis, skąd pochodził Makbet.

Tak wiele widziała, tak wiele wiedziała, można się było od niej tak wiele nauczyć, ale mnie po prostu nie wystarczyło dojrzałości, mimo raptownego rośnięcia, ani śmiałości, mimo ginu w kieliszku.

Natomiast udało mi się ją rozbawić. Zazwyczaj było to zadaniem taty; miał talent do rozśmieszania buni. Kochał ją być może najbardziej na całym świecie. Pamiętam, że kilka razy zerkał na nas i wyglądał na zadowolonego, że za moją sprawą jego ulubienica tak radośnie chichocze.

W pewnym momencie opowiedziałem buni o Alim G, postaci odgrywanej przez Sachę Barona Cohena. Nauczyłem ją mówić „Booyakasha!” i pokazałem, jak pstrykać palcami w sposób, w jaki robił to Sacha. Nie miała pojęcia, o co chodzi i o czym do niej mówię, ale wspaniale się bawiła, próbując pstrykać palcami i wymówić powiedzonko. „Booyakasha!” wołała raz za razem, a wszyscy wokół się uśmiechali. Ekscytowało mnie to, mile łechtало. Sprawiało, że czułem się... na miejscu.

To była moja rodzina, a ja – przynajmniej przez jeden wieczór – odgrywałem w niej ważną rolę.

I przynajmniej ten jeden raz nie była to rola łobuziaka.

30

W kilka tygodni później, po powrocie do Eton, przechodziłem przez podwójne niebieskie drzwi, prawie tego samego koloru co spódnice buni. Te drzwi by się jej spodobały, pomyślałem.

Były to drzwi do sali telewizyjnej, jednego z moich azylów.

Prawie każdego dnia, zaraz po lunchu, szliśmy tam z kolegami i oglądaliśmy kawałek *Sąsiadów* czy *Zatoki serc*, zanim poszliśmy na zajęcia sportowe. Ale tego dnia we wrześniu 2001 roku sala była pełna i nie lecieli *Sąsiedzi*.

Oglądaliśmy wiadomości.

A wiadomości były jak z koszmaru.

Budynki w ogniu?

– Rany, gdzie to jest?

– W Nowym Jorku.

Próbowałem przedrzeć się wzrokiem przez chłopców stłoczonych w pokoju. Zapytałem sąsiada po prawej, co się dzieje.

Odpowiedział, że zaatakowano Stany Zjednoczone.

Terrorysty wlecieli samolotami w wieżowce World Trade Center w Nowym Jorku.

Ludzie... skakali. Z budynków wysokości pół kilometra.

Zbierało się coraz więcej chłopców, stali wkoło, obgryzając wargi i paznokcie, szarpiąc się za uszy. Patrzyliśmy w osłupiałej ciszy, w chłopięcej dezorientacji, jak jedyny świat, jaki znamy, znika w obłokach trującego dymu.

– Trzecia wojna światowa – mruknął ktoś.

Ktoś inny otworzył niebieskie drzwi na oścież. Chłopców wciąż przybywało.

W zupełnej ciszy.

Tyle chaosu, tyle bólu.

Co można zrobić? Co możemy zrobić?

Do czego zostaniemy powołani?

Kilka dni później skończyłem siedemnaście lat.

Często powtarzałem sobie z samego rana: może właśnie dziś jest ten dzień.

Po śniadaniu mówiłem sobie: może wróci dziś rano.

Po lunchu mówiłem sobie: może wróci po południu.

W końcu minęły aż cztery lata. Na pewno już się ogarnęła, ułożyła sobie nowe życie, stworzyła nową tożsamość. Może dziś się wreszcie ujawni, zorganizuje konferencję prasową, zaszokuje świat. Po odpowiedziach na pytania wykrzyczane przez osłupiałych reporterów wychyli się do mikrofonu:

– William! Harry!!! Jeśli mnie słyszycie, chodźcie do mnie!

Nocami miałem niezwykle rozbudowane sny. W zasadzie się powtarzały, może z małymi zmianami w scenariuszu i kostiumach. Czasami organizowała triumfalny powrót, innym razem po prostu gdzieś na nią wpadałem. Na ulicy. W sklepie. Zawsze była w przebraniu – w wielkiej peruce blond. Albo w dużych okularach przeciwsłonecznych. A jednak zawsze ją rozpoznawałem.

Podchodziłem do niej i szeptałem:

– Mamo? Czy to ty?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, zanim zdążyłem się dowiedzieć, gdzie była, dlaczego tyle czasu nie wracała, budziłem się.

Rozglądałem się po pokoju w poczuciu obezwładniającego rozczarowania.

To był tylko sen. Znowu.

Ale wtedy mówiłem sobie: A może to oznacza, że... dziś będzie ten dzień?

Byłem jak fanatycy religijni, którzy wierzą, że koniec świata nastąpi tego i tego dnia. A kiedy ten dzień mija normalnie, ich wiara pozostaje niezachwiana.

„Musiałem źle odczytać znaki. Albo kalendarz”.

Przypuszczam, że w głębi serca znałem prawdę. Iluzja ukrywającej się mamy, szykującej swój powrót, nigdy nie była tak realna, by całkowicie zagłuszyć rzeczywistość. Ale zagłuszała ją na tyle, że mogłem odwlec większą część swojej żałoby. Wciąż jej nie oplakałem, w ogóle nie płakałem, poza tym jednym razem nad jej grobem, wciąż nie przyjąłem do wiadomości podstawowych faktów. Jedna część mojego mózgu wiedziała, za to druga była całkowicie odseparowana, a to rozdzielenie sprawiało, że parlament mojej świadomości pozostawał podzielony, spolaryzowany, w impasie. Tak jak chciałem.

Od czasu do czasu przeprowadzałem z sobą ostrą rozmowę: wszyscy inni najwyraźniej wierzą, że mama nie żyje, po prostu, więc może powinieneś się z tym pogodzić?

Ale zaraz potem myślałem: uwierzę, kiedy będę miał dowód.

Jeśli będę miał solidny dowód, myślałem, będę mógł porządnie odbyć żałobę, opłakać mamę i pójść dalej.

32

Nie pamiętam, skąd braliśmy towar. Pewnie od któregoś z kolegów. A może kilku. Za każdym razem, kiedy weszliśmy w posiadanie, zajmowaliśmy małą łazienkę na piętrze i wdrażaliśmy zaskakująco przemyślaną i usystematyzowaną procedurę. Palący stał na sedesie przy oknie, drugi chłopak opierał się o umywalkę, trzeci i czwarty siedzieli w pustej wannie, z nogami dyndającymi poza jej krawędzią, czekając na swoją kolej. Brało się jednego lub dwa machy, wydmuchiwało się dym przez okno, potem przechodziło na kolejne stanowisko i tak w kółko, aż skończył się spliff. Potem wszyscy szliśmy do pokoju któregoś z nas i rechotaliśmy do rozpuku nad odcinkiem lub dwoma nowego serialu, *Głowa rodziny*. Czułem niewytłumaczalną więź ze Stewiem, zhańbionym prorokiem.

Wiedziałem, że to było naganne. Wiedziałem, że źle robiliśmy. Moi koledzy tak samo. Często o tym rozmawialiśmy najarani, jakimi jesteśmy idiotami, że marnujemy edukację w Eton. Raz nawet zawarliśmy pakt: na początku okresu egzaminacyjnego zwanego Próbami przyrzekliśmy sobie całkowicie odstawić janie, aż do ostatniej Próby. Ale już następnej nocy, kiedy leżałem w łóżku, usłyszałem szuranie i stukanie moich kolegów. Szli do łazienki. Jasna cholera, już łamią pakt! Wstałem z łóżka i dołączyłem do nich. Gdy kolejka się rozkręciła, od wanny do umywalki i sedesu, gdy zioło zaczęło działać, kręciliśmy głowami.

Jakimi idiotami byliśmy, myśląc, że możemy się zmienić.

– Podaj spliffa, ziom.

Pewnej nocy, dosiadając sedesu, wziąłem dużego bucha i zapatrzyłem się na księżyc, a potem na otoczenie szkoły pod sobą. Patrzyłem, jak kilku policjantów z miejscowej komendy maszeruje tam i z powrotem. Byli tam ze względu na mnie. Ale nie czułem się z tego powodu bardziej bezpiecznie. Czułem się jak w klatce.

Bezpieczeństwo było gdzieś dalej, poza nimi. Było tam tak spokojnie i nieruchomo. Pomyślałem: jak pięknie. Tyle spokoju na świecie... dla niektórych. Dla tych, którzy mogą sobie pozwolić na jego odnalezienie.

Właśnie wtedy zobaczyłem, jak coś przebiega przez podwórze. Znieruchomiało w pomarańczowym świetle latarni ulicznej. Ja też zamarłem, a potem wychyliłem się przez okno.

Lis!

– Gapi się prosto na mnie! Ej, zobaczcie!

– Co mówisz?

– Nic.

Szepnąłem do lisa:

– Cześć, kolego. Co słyhać?

– Do kogo ty gadasz?

– Nic, nic.

Może z powodu zioła – na pewno z powodu zioła – ale czułem dojmujące pokrewieństwo z tym lisem. Czułem się bardziej związany z nim niż z chłopakami w łazience, innymi uczniami w Eton – bardziej niż z rodziną Windsorów w zamku gdzieś daleko. Ten mały lisek, podobnie jak wcześniej lampart w Botswanie, zdawał mi się posłańcem, wysłanym do mnie z innej rzeczywistości. A może z przyszłości.

Gdybym tylko wiedział, kto go wysłał.

I jak brzmiała wiadomość.

33

Kiedy wracałem ze szkoły do domu, ukrywałem się.

Ukrywałem się na górze w pokoju dzieciennym. Ukrywałem się w swoich nowych grach wideo. Bez końca grałem w *Halo* przeciwko Amerykaninowi, który miał ksywkę Prophet i wiedział o mnie tylko tyle, że jestem BillandBaz.

Ukrywałem się w piwnicy pod domem w Highgrove, zazwyczaj razem z Willym.

Nazwaliśmy to miejsce Klubem H. Wielu ludzi myślało, że H oznaczało Harry, ale w rzeczywistości chodziło o Highgrove.

Piwnica była niegdyś schronem przeciwlotniczym. Aby dostać się do niej, trzeba było przejść przez ciężkie białe drzwi na parterze, następnie zejść po stromych kamiennych schodach, potem wymacać sobie drogę po wilgotnej kamiennej

podłodze, po czym schodziło się jeszcze po trzech schodkach, szło długim wilgotnym korytarzem z niskim łukowatym stropem, potem mijano się kilka piwniczek, w których Camilla trzymała swoje najlepsze butelki, dalej była zamrażarka i kilka schowków wypełnionych obrazami, sprzętem do gry w polo i absurdalnymi prezentami od zagranicznych rządów i dygnitarzy. (Nikt ich nie chciał, ale nie można było ich podarować nikomu innemu, oddać biednym ani wyrzucić, więc starannie je katalogowano i przechowywano). Za ostatnim ze schowków znajdowały się zielone podwójne drzwi z małymi mosiężnymi klamkami, a po ich drugiej stronie – Klub H. Nie było w nim okien, ceglane ściany pomalowane na biało nie sprawiały jednak klaustrofobicznego wrażenia. Poza tym wyposażyliśmy to miejsce w ładne przedmioty z różnych królewskich rezydencji. Perski dywan, czerwone marokańskie sofy, drewniany stół, elektroniczna tarcza do gry w rzutki. Wstawiliśmy też wielką wieżę stereo z głośnikami. Nie brzmiała najlepiej, ale była głośna. W kącie stał wózek barowy, dobrze zaopatrzony dzięki kreatywnemu pożyczaniu, więc zawsze wkoło unosił się lekki aromat piwa i innych trunków. Ale dzięki dużemu i sprawnemu wentylatorowi czuć było też zapach kwiatów. Stale wlatywało świeże powietrze z ogrodów taty, z nutami lawendy i wiciokrzewu.

Willy i ja zaczynaliśmy typowy weekendowy wieczór od zakradnięcia się do pobliskiego pubu, gdzie wypijaliśmy kilka piw pół na pół z cydrem, po czym zbieraliśmy grupę kumpli i razem szliśmy do Klubu H. Nigdy nie było nas więcej niż piętnaścioro, choć dziwnym trafem nigdy nie było nas też mniej.

Wracają do mnie imiona i przezwiska: Badger, Casper, Nisha, Lizzie, Skippy, Emma, Rose, Olivia, Chimp, Pell. Dogadywaliśmy się dobrze, a czasem nawet bardzo dobrze. Odbywało się sporo niewinnego obłapiania, do wtóru z nie tak niewinnym pićciem. Rum z colą albo wódka, zazwyczaj w szklankach, ze szczodrym dodatkiem red bulla.

Często bywaliśmy podchmieleni, a niekiedy zalani w sztok, ale ani razu nie zdarzyło się, żebyśmy zażywali albo przynosili tam narkotyki. Nasi ochroniarze zawsze kręcili się gdzieś w pobliżu, co skłaniało do powściągliwości, ale nie był to jedyny powód. Mieliśmy wyczucie granic.

Klub H stanowił idealną kryjówkę dla nastolatka, a już szczególnie dla nastolatka, którym byłem. Kiedy chciałem spokoju, Klub H go zapewniał. Kiedy chciałem poszaleć, Klub H był najbezpieczniejszym miejscem do tego. Kiedy

potrzebowałem samotności, co mogło być lepsze niż schron przeciwlotniczy pośrodku brytyjskiej wsi?

Willy czuł to samo. Często wydawało mi się, że jest tam spokojniejszy niż gdziekolwiek indziej na świecie. I musiało być dla niego ulgą, myślałem, że jest miejsce, w którym nie musi udawać, że się nie znamy.

Kiedy byliśmy tam tylko we dwóch, graliśmy w gry, słuchaliśmy muzyki. Rozmawialiśmy. W tle lecieli Bob Marley, Fatboy Slim, DJ Sakin czy Yomanda, a Willy czasami próbował porozmawiać o mamie. Klub H wydawał się jedynym miejscem, w którym można było bezpiecznie poruszyć ten temat tabu.

Był tylko jeden problem. Ja nie chciałem. Kiedy Willy zmierzał w tę stronę... zmieniałem temat.

Frustrowało go to. A ja nie przejmowałem się jego frustracją. Prawdopodobnie nawet nie potrafiłem jej dostrzec.

Nie chciałem być tak zdystansowany, tak niedostępny uczuciowo. Po prostu nie umiałem inaczej. Dużo brakowało do tego, żebym był gotów.

Jednym z zawsze bezpiecznych tematów było rozważanie, jak cudownie jest być niewidzialnym. Prowadziliśmy długie rozmowy o wspaniałości, o luksusie prywatności, o możliwości spędzenia kilku godzin z dala od wścibskich oczu prasy. Mówiliśmy sobie, że to nasza jedyna prawdziwa przystań, gdzie ci ludzie nie potrafią nas znaleźć.

A potem znaleźli nas.

Pod koniec 2001 roku Marko odwiedził mnie w Eton. Umówiliśmy się na lunch w kafejce w centrum miasta, co uznałem za niezłą gratkę. Za pretekst, żeby się wyrwać, wyjść poza teren szkoły – bardzo mnie to ucieszyło.

Ale to nie było to. Marko, patrząc spode łba, stwierdził, że to nie jest wyjście dla rozrywki.

- Marko, co jest grane?
- Poproszono mnie, żebym ustalił fakty, Harry.
- W jakiej sprawie?

Przypuszczałem, że chodzi mu o moją niedawną utratę dziewictwa. Niezbyt chlubny epizod, ze starszą kobietą. Bardzo lubiła konie i potraktowała mnie mniej więcej jak młodego ogiera. Szybka przejażdżka, poklepanie po zadzie i odesłanie

na pastwisko. Do wad tego zdarzenia należał fakt, że stało się to na łące za ruchliwym pubem.

Najwyraźniej ktoś nas zobaczył.

– Jakie fakty, Marko?

– Czy zażywasz narkotyki, Harry.

– Że co?

Okazało się, że redaktorka największego brytyjskiego tabloidu zadzwoniła niedawno do sekretariatu mojego ojca i oznajmiła, że ma „dowody” na to, że zażywałem narkotyki w różnych miejscach, w tym w klubie H. A także w wiacie na rowery za pubem. (Ale innym niż ten, za którym utraciłem dziewictwo). Sekretariat ojca natychmiast wysłał Marka na poufne spotkanie z jednym z asystentów tej redaktorki, w jakimś obskurnym pokoju hotelowym, gdzie asystent przedstawił mi całą sprawę. A teraz Marko przedstawiał ją mnie.

Zapytał jeszcze raz, czy to prawda.

– Kłamstwa – powiedziałem. – Same kłamstwa.

Omawiał dowody redaktorki punkt po punkcie. Podważałem każdy z nich. Nieprawda, nieprawda, nieprawda. Podstawowe fakty, szczegóły – nic się nie zgadzało.

Następnie zacząłem wypytywać Marka. Kim, do cholery, jest ta redaktorka?

Wyglądało na to, że obrzydliwą ropuchą. Wszyscy, którzy ją znali, zgadzali się, że jest zaropiałym wrzodem na dupie ludzkości, a do tego nędzną podróbką dziennikarki. Ale nie miało to żadnego znaczenia, bo udało jej się wkręcić na wysokie stanowisko, które ostatnio wykorzystywała wyłącznie w mojej sprawie. Polowała na Tego Drugiego i zupełnie się z tym nie kryła. Nie zamierzała przestać, dopóki nie powiesi mnie za jaja na ścianie swojego gabinetu.

Nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Za robienie tego, co wszystkie nastolatki, Marko?

– Nie, chłopcze, nie.

W ocenie tej redaktorki, powiedział Marko, jestem narkomanem.

– Co takiego?

I taką właśnie historię, ciągnął Marko, zamierzała opublikować.

Wyraziłem sugestię, co redaktorka może zrobić ze swoją historią. Poprosiłem Marka, żeby wrócił i przekazał jej, że nic się nie zgadza.

Obiecał, że tak zrobi.

Zadzwoił do mnie kilka dni później. Oznajmił, że spełnił moją prośbę, ale redaktorka mu nie uwierzyła i zapowiedziała, że w takim razie dorwie nie tylko mnie, ale i Marka.

Tata na pewno zrobi coś, żeby ją powstrzymać, powiedziałem.

Długa cisza w słuchawce.

Nie, stwierdził w końcu Marko. Sekretariat taty zdecydował się na... inne podejście. Zamiast powiedzieć redaktorce, żeby wyluzowała, Pałac postanowił dołączyć do gry. Wybrali strategię godną Neville'a Chamberlaina.

Czy to Marko wyjawiał mi dlaczego? Czy też dopiero później dowiedziałem się, że za tą obrzydliwą decyzją stał spin doktor, którego tata i Camilla zatrudnili niedługo wcześniej, ten sam, który ujawniał szczegóły naszych prywatnych spotkań z Camillą? Ten oto doktor, powiedział Marko, zdecydował, że najlepszy w tej sytuacji będzie zabieg, który niekoniecznie pomoże pacjentowi. W ten sposób za jednym zamachem miał zamiar przypodobać się redaktorce i poprawić nadszarpniętą reputację taty. W całym tym kłębówisku przykrych przepychanek wypatrzył jeden zysk, jedną nagrodę pocieszenia dla taty: nie będzie już występował jako niewierny mąż. Teraz w oczach świata ukaże się jako udręczony samotny ojciec, próbujący sobie radzić z dzieckiem uzależnionym od narkotyków.

34

Wróciłem do Eton i próbowałem przestać myśleć o tym wszystkim, a zamiast tego skupić się na nauce.

Próbowałem zachować spokój.

Słuchałem w kółko płyty, która miała na mnie kojący wpływ: *Dźwięki Okawango*. Czterdzieści utworów: *Świerszcze*. *Pawiany*. *Ulewa*. *Burza*. *Ptaki*. *Lwy i hieny walczące o zdobycz*. Wieczorem wyłączałem światło i włączałem odtwarzacz. Mój pokój brzmiał jak dopływ Okawango. Tylko w ten sposób potrafiłem zasnąć.

Po kilku dniach spotkanie z Markiem zaczęło się zacierać w pamięci. Przeszło do kategorii koszmarów. A potem koszmar stał się jawą.

Krzykliwy nagłówek na pierwszej stronie: „Narkotykowa hańba Harry’ego”.

Styczeń 2002 roku.

Na siedmiu stronach gazety wypisano wszystkie kłamstwa, które przedstawił mi Marko, i jeszcze różne inne. Według artykułu nie tylko byłem narkomanem, ale i niedawno odbyłem odwyk. Odwyk! Redaktorka dorwała parę zdjęć sprzed kilku miesięcy, na których ja i Marko składamy wizytę w ośrodku odwykowym na przedmieściach, co należało do moich standardowych obowiązków w ramach ksiązącej działalności charytatywnej, i wykorzystała je do zilustrowania swoich oszczerczych wymysłów.

Zszokowany wpatrywałem się w artykuł i zdjęcia. Czułem obrzydzenie i przerażenie. Wyobraziłem sobie, że wszyscy, cały kraj, czytają te rzeczy i wierzą w nie. Słyszałem, jak ludzie w całej Wspólnocie Narodów plotkują na mój temat.

– Do diaska, ten chłopak to kompromitacja.

– A jego biedny tata! Po tym wszystkim, co przeszedł?

Moje zdruzgotanie pogłębiała myśl, że wszystko to było po części dziełem mojej własnej rodziny, mojego ojca i przyszłej macochy. Byli współsprawcami tego absurdu. Po co? Żeby trochę ułatwić sobie własne życie?

Zadzwoiłem do Willy’ego. Słowa więzły mi w gardle. Jemu też. Okazał się współczujący, a nawet więcej. („Skrzywdzili cię, Haroldzie”). Sprawa wprawiała go wręcz w większą wściekłość niż mnie, bo znał więcej szczegółów dotyczących spin doktora i zakulisowych układów, których skutkiem było złożenie publicznej ofiary z Tego Drugiego.

A przy tym na tym samym oddechu zapewniał mnie, że nic się z tym nie da zrobić. Tata już taki jest. Camilla już taka jest. Takie jest życie rodziny królewskiej.

Nasze życie.

Zadzwoiłem do Marka. On też wyraził współczucie.

Poprosiłem, żeby przypomniiał mi nazwisko tej redaktorki. Powiedział mi, a ja je zapamiętałem, jednak przez wszystkie lata od tamtego momentu unikałem wypowiedziania go i nie chcę go tu przytaczać. Żeby oszczędzić tego czytelnikom, ale i sobie. Poza tym czy to może być przypadek, że imię i nazwisko kobiety, która skłamała o moim rzekomym odwyku, jest dokładnym anagramem wyrażenia

Rehabber Kooks, Odwykowa Wariatka? Czy wszechświat nie chce nam w ten sposób czegoś powiedzieć?

No cóż, pozostaje przyjąć to do wiadomości.

Przez kilka tygodni gazety powtarzały oszczerstwa Odwykowej Wariatki połączone z nowymi i równie nieprawdziwymi relacjami z Klubu H. O naszej raczej niewinnej imprezowni dla nastolatków zaczęto mówić jak o sypialni Kaliguli.

Mniej więcej w tym czasie Highgrove odwiedziła jedna z bliskich przyjaciółek taty. Z mężem. Tata poprosił mnie, żebym ich oprowadził. Pokazałem im ogrody, ale nie zwracali uwagi na lawendę i wiciokrzew taty.

Kobieta zapytała niecierpliwie:

– Gdzie jest Klub H?

Zapalona czytelniczka prasy.

Zaprowadziłem ją do drzwi, otworzyłem je. Wskazałem ciemne schody prowadzące na dół.

Głęboko nabrała powietrza i uśmiechnęła się.

– O, tu nawet pachnie trawką!

Ale nie było tak. Pachniało wilgocią, kamieniami i mchem. Pachniało ściętymi kwiatami, świeżo skopaną ziemią – i może odrobiną piwa. Piękny aromat, całkowicie organiczny, ale tą panią owładnęła siła sugestii. Kiedy dałem słowo, że nie ma tam ziela, że nigdy nie jaraliśmy, puściła do mnie oko.

Miałem wrażenie, że za chwilę poprosi, żebym sprzedał jej pięć gramów.

35

Nasza rodzina przestała się powiększać. Na horyzoncie nie było widać nowych małżonków czy nowych dzieci. Moje ciotki i wujowie, Sophie i Edward, Fergie i Andrzej, zaprzestali rozmnażania. Tata, oczywiście, też. Nastąpiła era zastoju.

Ale teraz, w 2002 roku, dotarło do mnie, dotarło do nas wszystkich, że rodzina nie jest przecież niezmienna. Nasze grono miało się uszczuplić.

Księżniczka Małgorzata i bunia nie czuły się dobrze.

Nie znałem bliżej księżniczki Małgorzaty, którą nazywałem ciocią Margo. Była moją praciotką, tak, mieliśmy dwanaście i pół procent wspólnego DNA, spędzaliśmy razem każde ważniejsze święta, a jednak pozostawała dla mnie prawie całkiem obca. Jak większość Brytyjczyków, znałem ją głównie z opowieści. Orientowałem się w ogólnych zarysach jej niewesołego życia. Wielkie miłości udaremnione przez Pałac. Autodestrukcyjne ekstrawagancje, o których rozpisywały się tabloidy. Jedno pospieszne małżeństwo, które od początku zdawało się skazane na niepowodzenie, a skończyło się jeszcze gorzej, niż się spodziewano. Jej mąż podkładał w domu toksyczne notatki, całe listy wymówek i pretensji. Dwadzieścia cztery powody, dla których cię nienawidzę!

Dorastając, nie czułem do niej nic prócz odrobiny litości oraz zdenerwowania, kiedy znajdowała się w pobliżu. Jednym spojrzeniem potrafiła zgładzić roślinę pokojową. Wolałem trzymać się na dystans. Przy rzadkich okazjach, kiedy przecinały się nasze drogi i raczyła mnie zauważyć czy zamienić ze mną kilka słów, zastanawiałem się, co o mnie myśli. Wyglądało na to, że nic. Czy też, jeśli wziąć pod uwagę ton jej głosu, jej chłód – że nic dobrego.

Któregoś roku w Boże Narodzenie sytuacja się wyjaśniła. Jak zawsze cała rodzina zebrała się w Wigilię, żeby otworzyć prezenty, zgodnie z niemiecką tradycją, która przetrwała zmianę nazwiska rodowego z Saxe-Coburg-Gotha na Windsor. Było to w Sandringham, w dużym pokoju z długim stołem nakrytym białym obrusem, na którym rozłożono białe kartki z imionami. Zgodnie ze zwyczajem na początku wieczoru każdy z nas zlokalizował swoje miejsce i stanął obok swojej sterty prezentów. Potem, w pewnym momencie, wszyscy jednocześnie zaczęli je otwierać. Było mnóstwo przekomarzania się, szarpania za wstążki i rozrywania ozdobnego papieru.

Stojąc przed swoim stosem, postanowiłem najpierw otworzyć najmniejszy prezent. Na karteczce widniał napis: „Od cioci Margo”.

Obróciłem się do niej i zawołałem:

- Dziękuję, ciociu Margo!
- Mam nadzieję, że ci się spodoba, Harry.

Rozerwałem papier. W środku był...

Długopis jednorazowy?

Powiedziałem:

– Aha. Długopis. O rany.

Odrzekła:

– Tak. Długopis.

Ja na to:

– Dziękuję bardzo.

Ale, jak stwierdziła, to nie był zwykły długopis jednorazowy. Wokół niego była owinięta mała gumowa rybka.

Powiedziałem:

– Mhm. Rybopis. Rozumiem.

Pomyślałem: z zimną krwią!

W miarę upływu lat docierało do mnie, że ciocia Margo i ja powinniśmy się zaprzyjaźnić. Mieliśmy tak wiele wspólnego. Ten Drugi i Ta Druga. Jej relacje z babcią nie były dokładnym odpowiednikiem tych, które łączyły mnie z Willym, ale mocno je przypominały. Ciągące się latami współzawodnictwo, zażarta rywalizacja (napędzana głównie przez starsze z rodzeństwa) – to wszystko wyglądało znajomo. Ciocia Margo pod pewnymi względami przypominała też mamę. Obie się buntowały, obie miały opinię uwodzicielki. (Jednym z licznych mężczyzn mających obsesję na punkcie Margo był Pablo Picasso). Tak więc gdy z początkiem 2002 roku dowiedziałem się o chorobie Małgorzaty, żałowałem, że nie miałem więcej czasu, by lepiej ją poznać. Ale było już za późno. Stawała się coraz bardziej niedołączna. Po tym, jak dotkliwie poparzyła sobie stopy w kąpielni, poruszała się na wózku inwalidzkim i mówiono, że jej stan szybko się pogarsza.

Kiedy zmarła, 9 lutego 2002 roku, najpierw pomyślałem o tym, jak ciężko to przeżyje bunia, która również podupadła na zdrowiu.

Babcia próbowała przekonać ją, by nie uczestniczyła w pogrzebie. Ale bunia zwlekła się z łóżka, a niedługo po tym dniu upadła i mocno się potłukła.

Dowiedziałem się od taty, że jest przykuta do łóżka w Royal Lodge, rozległej wiejskiej posiadłości, która przez ostatnie pięćdziesiąt lat pozostawała jej drugim domem oprócz głównej rezydencji, Clarence House. Royal Lodge leży pięć kilometrów na południe od zamku Windsor, wciąż w obrębie parku królewskiego i na królewskim terenie, ale podobnie jak zamek, jest jedną nogą w innym świecie. Zawrotnie wysokie sufity. Żwirowy podjazd wijący się malowniczo przez bujne ogrody.

Wszystko zbudowane niedługo po śmierci Cromwella.

Pocieszałem się tym, że bunia jest w miejscu, które kochała. Leżała w swoim łóżku, mówił tata, i nie cierpiała.

Babcia często do niej jeździła.

Niedługo później w Eton, podczas odrabiania lekcji, odebrałem telefon. Niestety nie pamiętam, czyj głos zabrzmiał w słuchawce; pewnie któregoś z dworzan. Pamiętam, że zbliżała się Wielkanoc, było ciepło i słonecznie, światło wpadało przez moje okno, za którym widniał świat pełen kolorów.

– Wasza Królewska Wysokość, Królowa Matka zmarła.

Przeskok do Willy’ego i mnie, kilka dni później. Ciemne garnitury, opuszczony wzrok, poczucie pełnego *déjà vu*. Szliśmy powoli za lawetą armatnią, grały dudy, setki dud. Dźwięk cofnął mnie w czasie.

Zacząłem się trząść.

Znowu odbywaliśmy ten wstrętny marsz do opactwa westminsterskiego. Potem wsiedliśmy do samochodu i dołączyliśmy do orszaku żałobnego – z centrum miasta, wzdłuż Whitehall, przez Mall, do kaplicy Świętego Jerzego.

Przez całe to przedpołudnie zerkałem na górę trumny buni, gdzie umieszczono koronę. Jej trzy tysiące diamentów i krzyż wysadzany klejnotami migotały w wiosennym słońcu. W środku krzyża znajdował się diament wielkości piłki do krykieta. Nie był to zwykły diament, ale największy diament świata, stuściokaratowy olbrzym zwany Koh-i-Noor. Największy, jaki kiedykolwiek widziały ludzkie oczy. „Pozyskany” przez Imperium Brytyjskie u szczytu jego potęgi. Niektórzy nazywali to po prostu kradzieżą. Słyszałem opowieści, że ma własności hipnotyzujące i że jest przeklęty. Mężczyźni walczyli o niego, umierali za niego, więc klątwa była podobno wymierzona w nich.

Wolno go było nosić wyłącznie kobietom.

Dziwne uczucie po takiej żałobie po prostu... bawić się. Ale kilka miesięcy później nastąpił złoty jubileusz. Pięćdziesiąta rocznica objęcia tronu przez babcię.

W ciągu czterech dni lata 2002 roku Willy i ja nieustannie wkładaliśmy na siebie kolejne eleganckie stroje, wskakiwaliśmy do kolejnego czarnego samochodu, pędziliśmy do kolejnego miejsca na jeszcze jedną imprezę czy paradę, przyjęcie albo galę.

Wielka Brytania była w euforii. Ludzie tańczyli na ulicach, śpiewali na balkonach i dachach. Wszyscy mieli na sobie jakiś wariant Union Jacka. Dla narodu znanego ze swojej powściągliwości stanowiło to zaskakujący wyraz szaleńczej radości.

Zaskakujący dla mnie w każdym razie. Babcia nie wydawała się zaskoczona. Byłem zaskoczony tym, jak bardzo nie była zaskoczona. To nie tak, że nic nie odczuwała. Przeciwnie, zawsze uważałem, że babcia odczuwa wszystkie normalne ludzkie emocje. Po prostu wiedziała lepiej od nas, zwykłych śmiertelników, jak je kontrolować.

Stałem obok niej lub za nią przez większą część weekendu złotego jubileuszu i często myślałem: jeśli to nią nie wstrząśnie, to znaczy, że naprawdę zasłużyła na swoją reputację niewzruszonej. W takim razie, pomyślałem, może jestem adoptowany? Bo czuję się jak kłębek nerwów.

Powodów mojego zdenerwowania było kilka, ale głównym z nich był rozwijający się skandal. Tuż przed jubileuszem jeden z dworzan wezwał mnie do swojego małego gabinetu i prosto z mostu spytał:

– Harry, czy ty bierzesz kokainę?

Powtórka mojego lunchu z Markiem.

– Co? Czy ja...? Jak ktoś mógłby...? Nie!

– Hm. No dobrze. Czy ktoś mógł ci zrobić zdjęcie? Czy to możliwe, że ktoś gdzieś może mieć zdjęcie, na którym zażywasz kokainę?

– Boże, nie! To niedorzeczne! Skąd ten pomysł?

Wyjaśnił, że zwrócił się do niego redaktor gazety, który twierdził, że wszedł w posiadanie zdjęcia przedstawiającego księcia Harry'ego wciągającego kreskę.

– Kłamie. To nieprawda.

– Rozumiem. Tak czy inaczej, ten redaktor jest gotów zamknąć zdjęcie w swoim sejfie na zawsze. Ale w zamian chce usiąść z tobą i wyjaśnić ci, że to, co robisz, jest bardzo szkodliwe. Chce dać ci kilka życiowych rad.

– Ach. To straszne. I przebiegłe. Szatańskie, tak naprawdę, bo jeśli zgodzę się na to spotkanie, to przyznam się do winy.

– To prawda.

Powiedziałem sobie: po Odwykowej Wariatce chce mnie dopaść reszta. Ona zaliczyła trafienie, a teraz jej konkurenci sukcesywnie próbują pójść w jej ślady.

Kiedy to się skończy?

Zdałem sobie sprawę, że redaktor nic nie miał, że działał po omacku. Widocznie usłyszał jakąś plotkę i chciał podjąć trop. Tylko spokojnie, powtarzałem sobie, a następnie zasugerowałem dworzaninowi, żeby sprawdził bief dziennikarza – energicznie zaprzeczył oskarżeniu i odmówił współpracy. A przede wszystkim żeby nie zgodził się na proponowane spotkanie.

– Nie zamierzam ulegać szantażowi.

Dworzanin skinął głową. Załatwione.

Oczywiście... w tym czasie brałem kokainę. W czyimś domu na wsi, podczas weekendu z polowaniem, zaproponowano mi kreskę i od tamtego razu wciągnąłem ich jeszcze kilka. Nie sprawiało mi to wielkiej radości i jakoś szczególnie nie uszczęśliwiało, w odróżnieniu, jak mi się zdawało, od wszystkich wokół mnie, ale powodowało, że czułem się inaczej, a to było najważniejsze. Poczucie. Coś innego. Byłem głęboko nieszczęśliwym siedemnastolatkiem gotowym spróbować niemal wszystkiego, co mogłoby zmienić istniejący stan rzeczy.

Tak to sobie tłumaczyłem w każdym razie. Potrafiłem wtedy okłamywać siebie tak samo sprawnie, jak okłamywałem tego dworzanina.

Ale teraz zrozumiałem, że koka nie była warta świeczki. Ryzyko znacznie przewyższało korzyści. Groźba wpadki, perspektywa zepsucia złotego jubileuszu babci, stąpanie po kruchym lodzie z szaloną prasą – nic nie było tego warte.

Z drugiej strony dobrze to rozegrałem. Po tym, jak sprawdziłem bief dziennikarza, nie odezwał się więcej. Tak jak podejrzewałem, nie miał zdjęcia, a kiedy jego numer nie wypalił, wycofał się chyłkiem. (Choć nie do końca. Wślizgnął się do Clarence House i bardzo się zaprzyjaźnił z Camillą i z tatą). Było mi wstyd, że kłamałem. Ale byłem też dumny z siebie. W trudnej sytuacji, w środku straszliwego kryzysu, nie pozostałem niewzruszony jak babcia, ale przynajmniej dobrze to udawałem. Spłynęła na mnie odrobina jej supermocy –

heroicznego stoicyzmu. Żałowałem, że wpuściłem dworzanina w maliny, ale inny obrót wypadków byłby dziesięć razy gorszy.

Czyli... brawo?

Może jednak nie byłem adoptowany.

37

We wtorek, w kulminacyjnym dniu jubileuszu, miliony ludzi oglądało, jak babcia przechodzi z pałacu do kościoła. Na specjalne nabożeństwo dziękczynne. Jechała z dziadkiem w złotej karecie – całej, każdy centymetr kwadratowy, ze lśniącego złota. Złote drzwi, złote koła, złoty dach, a na czubku – złota korona podtrzymywana przez trzy anioły odlane z litego złota. Karetę zrobiono trzynaście lat przed ogłoszeniem niepodległości przez Stany Zjednoczone i nadal jeździła jak należy. Gdy pędziła ulicami z babcią i dziadkiem w środku, gdzieś w oddali z ust potężnego chóru grzmiał hymn koronacyjny. „Radujcie się! Radujcie!” Radowaliśmy się! Radowali! Nawet najbardziej zrzędlivi antymonarchiści musieli dostać choć odrobinę gęskiej skórki.

Na ten dzień, jeśli dobrze pamiętam, przypadały uroczysty lunch i proszona kolacja, ale wszystko to nie robiło szczególnego wrażenia. Wszyscy zgodnie uznali, że kulminacyjne wydarzenie odbyło się poprzedniego wieczoru w ogrodach przed pałacem Buckingham, w postaci występu jednych z największych gwiazd muzyki dwudziestego wieku. Paul McCartney zaśpiewał *Her Majesty*. Brian May na dachu zagrał *God Save the Queen*. Jak cudownie, mówili ludzie. I jak cudownie, że babcia jest tak bardzo na czasie, że nie tylko toleruje cały ten nowomodny rock, ale wręcz rozkoszuje się nim.

Siedząc bezpośrednio za nią, siłą rzeczy myślałem o tym samym. Widząc, jak tupie nogą i kołysze się w rytm muzyki, chciałem ją przytulić, choć oczywiście tego nie zrobiłem. To nie wchodziło w grę. Nie robiłem tego nigdy i nie potrafiłem sobie wyobrazić okoliczności, w których taki czyn mógłby spotkać się z aprobatą.

Znana jest historia o tym, jak mama próbowała przytulić babcię. Jeśli wierzyć naocznym świadkom, był to raczej wypadek szermierczy niż uścisk; babcia uchyliła się, by uniknąć kontaktu, a cała sprawa zakończyła się niezręcznie, odwracaniem wzroku i wymamrotanymi przeprosinami. Za każdym razem, gdy usiłowałem sobie

wyobrazić tę scenę, kojarzyła mi się z udaremnioną kradzieżą kieszonkową albo próbą podcięcia w rugby. Zastanawiałem się, patrząc na babcię kołyszącą się do Briana Maya, czy tata kiedykolwiek próbował. Prawdopodobnie nie. Kiedy miał pięć czy sześć lat, babcia zostawiła go i wyjechała na kilkumiesięczne królewskie tournée, a kiedy wróciła, zaoferowała mu mocny uścisk dłoni. Być może było to więcej, niż kiedykolwiek dostał od dziadka. W rzeczy samej, dziadek był tak zdystansowany, tak zajęty podróżami i pracą, że prawie nie widywał taty przez kilka pierwszych lat jego życia.

Koncert trwał i trwał, a ja zacząłem czuć zmęczenie. Bolała mnie głowa od głośnej muzyki i od stresu ostatnich tygodni. Babcia jednak nie wykazywała żadnych oznak osłabienia. Wciąż w pełni sił. Wciąż się kołysała i przytupywała.

W pewnym momencie przyjrzałem się jej bliżej. Zauważyłem coś w uchu. Coś – ze złota?

Złote jak złota kareta.

Złote jak złote anioły.

Nachyliłem się bliżej. Może niezupełnie złote.

Nie, może bardziej żółte.

Tak jest. Żółte zatyczki do uszu.

Opuściłem wzrok i uśmiechnąłem się. Kiedy znów podniosłem głowę, z radością patrzyłem, jak babcia porusza się w takt muzyki, której nie słyszała; muzyki, co do której znalazła sprytny i subtelny sposób, żeby się... zdystansować. Przejął kontrolę.

Bardziej niż kiedykolwiek miałem ochotę przytulić moją babcię.

38

Tego lata odbyłem dłuższą rozmowę z tatą, prawdopodobnie w Balmoral, choć mogło to być w Clarence House, w którym mieszkał teraz prawie cały czas. Wprowadził się tam wkrótce po śmierci buni, a gdziekolwiek mieszkał on, tam mieszkałem i ja.

Poza czasem, kiedy mieszkałem w Manor House.

Zbliżał się mój ostatni rok w Eton, więc tata chciał porozmawiać o tym, jak wyobrażam sobie swoje życie po ukończeniu szkoły. Większość moich kolegów szła na uniwersytet.

Willy był już w St Andrews i świetnie sobie radził. Henners właśnie skończył egzaminy w Harrow i zamierzał studiować w Newcastle.

– A ty, kochany chłopcze? Czy zastanawiałeś się może nad... przyszłością?

Nie no, pewnie. Tak, zastanawiałem się. Od kilku lat z całą powagą mówiłem o pracy w stacji narciarskiej w Lech am Arlberg, dokąd zabierała nas mama. Cudowne wspomnienia. Konkretnie chciałem pracować w szałasie z fondue w centrum miasteczka, ulubionym mamy. To fondue było w stanie zmienić całe twoje życie. (Naprawdę byłem do tego stopnia szalony). Ale teraz powiedziałem tacie, że porzuciłem fantazje o fondue, a ona westchnęła z ulgą.

Natomiast zainteresowała mnie perspektywa zostania instruktorem narciarskim...

Tata z powrotem zeszywniał.

– Nie ma mowy.

– Okej.

Długa pauza.

– A może... przewodnik na safari?

– Nie, kochany chłopcze.

To nie zapowiadało się łatwo.

Część mnie naprawdę chciała zrobić coś zupełnie nieszablonowego, coś, co sprawi, że wszyscy w rodzinie, w kraju, usiądą i powiedzą: „Co, do jasnej...?”. Część mnie chciała się wycofać, zniknąć – tak jak mama. I niektórzy inni książęta. Czy jeden z nich, dawno temu w Indiach, nie wyszedł po prostu z pałacu i nie usiadł pod pięknym figowcem? Uczyliśmy się o nim w szkole. Czy też powinniśmy byli się uczyć.

Ale inna część mnie pozostawała niewiarygodnie ambitna. Ludzie zakładali, że Ten Drugi nie ma lub nie powinien mieć ambicji. Zakładano, że członkowie rodziny królewskiej co do zasady nie mają żadnych pragnień czy obaw związanych z karierą zawodową. Jesteś krewnym monarchy, masz wszystko podane na tacy, czym się jeszcze przejmować? Ale w rzeczywistości przejmowałem się dość mocno poszukiwaniem własnej drogi, własnego celu w życiu. Nie chciałem być jednym z tych popijających koktajle, wywołujących zażenowanie leniów, których

wszyscy omijają na rodzinnych spotkaniach. W mojej rodzinie było ich mnóstwo, i to od wieków.

Tacie, w rzeczy samej, groziło zostanie jednym z nich. Opowiadał mi, że zawsze zniechęcano go do ciężkiej pracy. Mówiono, że następca tronu nie powinien „robić zbyt wiele”, nie powinien się zbytnio starać, aby przypadkiem nie przyćmić monarchy. Ale on się zbuntował, posłuchał swojego wewnętrznego głosu, odkrył zajęcie, które go ekscytowało.

Chciał tego i dla mnie.

Dlatego nie nalegał, żebym poszedł na studia. Wiedział, że nie leży to w mojej naturze. Nie żebym był nastawiony wrogo do uniwersytetów jako takich. Uniwersytet Brytyjski wyglądał interesująco, przeglądałem foldery, nawet rozważałem kurs historii sztuki. (Chodziło tam dużo ładnych dziewczyn). Ale nie mogłem sobie wyobrazić siebie pochylonego przez lata nad książkami. Mój wychowawca z Eton też nie. Powiedział mi wprost:

– Nie jesteś typem uniwersyteckim, Harry.

Teraz tata to potwierdził. Nie było tajemnicą, powiedział ogólnie, że nie jestem „rodzinnym uczonym”.

Nie chciał, żeby to zabrzmiało jak przytyk. Mimo to skrzywiłem się.

Kręciliśmy się w kółko, a ja przetrząsałem swój umysł w poszukiwaniu możliwości i drogą eliminacji doszliśmy do wojska. Miało to sens. Pasowało do mojego pragnienia bycia nieszablonowym, zniknięcia z widoku. Wojsko oddaliłoby mnie od wścibskich oczu społeczeństwa i prasy. Ale odpowiadało też moim nadziejom na dokonanie zmian.

I pasowało do mojej osobowości. Moimi ulubionymi zabawkami w czasach chłopięcych zawsze były żołnierzyki. Spędzałem tysiące godzin, planując i tocząc nimi epickie bitwy w pałacu Kensington i w ogrodach Highgrove, zaprojektowanych przez Rosemary Verey. Każdą rozgrywkę w paintballa traktowałem tak, jakby od jej wyniku zależała przyszłość Brytyjskiej Wspólnoty Narodów.

Tata się uśmiechnął.

– Tak, kochany chłopcze. Wygląda na to, że armia to będzie to.

– Ale najpierw...

Wiele osób traktowało rok przerwy po szkole średniej jako oczywistość. Tata jednak uważał *gap year* za jeden z najbardziej kształcących okresów w życiu człowieka.

– Zwiedź świat, kochany chłopcze! Przeżyj przygody.

Siadłem więc z Markiem i próbowaliśmy ustalić, jak te przygody miałyby wyglądać. Najpierw zdecydowaliśmy się na Australię. Pół roku pracy na farmie.

Doskonale.

Na drugą połowę roku – Afryka. Powiedziałem Markowi, że chciałbym wziąć udział w walce z AIDS. Nie musiałem dodawać, że będzie to hołd dla mamy, oczywista kontynuacja jej dzieła.

Marko zbadał opcje, wrócił do mnie i powiedział: Lesotho.

Pierwsze słyszę, przyznałem.

Dokształcił mnie. Kraj bez dostępu do morza. Piękny. Graniczący z RPA. Mnóstwo potrzeb, mnóstwo pracy do wykonania.

Byłem przeszczęśliwy. Nareszcie jakiś plan.

Niedługo potem odwiedziłem Hennersa. Weekend w Edynburgu, jesienią 2002 roku. Zjedliśmy razem obiad i opowiedziałem mu o wszystkim.

– Cieszę się, Haz!

On też zamierzał spędzić rok przerwy w Afryce Wschodniej. W Ugandzie, o ile dobrze pamiętam. Jako nauczyciel w wiejskiej szkole. W tym momencie jednak pracował na część etatu, w Ludgrove. Jako pomagier. (Tak w żargonie Ludgrove nazywano dozorcę). To była bardzo fajna praca, mówił. Miał okazję przebywać z dziećmi i naprawiać różne rzeczy na terenie szkoły.

A do tego, droczyłem się z nim, tyle truskawek i marchewek, ile dasz radę zjeść!

Ale on traktował to zupełnie poważnie.

– Lubię uczyć, Haz.

– Mhm.

Podekscytowani rozmawialiśmy o Afryce, snuliśmy plany, żeby się tam spotkać. Po Ugandzie, po studiach Henners też miał zamiar wstąpić do wojska. Do piechoty. Właściwie nie miał większego wyboru; jego rodzina służyła w armii od pokoleń. Mówiliśmy sobie, że tam też się spotkamy. Być może, stwierdziliśmy, pewnego

dnia staniemy ramię w ramię, idąc do walki lub pomagając ludziom na drugim końcu świata.

Przyszłość. Zastanawialiśmy się głośno, co się w niej kryje. Martwiłem się nią, ale Henners nie. Nie brał przyszłości na poważnie, niczego nie brał na poważnie. Będzie co będzie, Haz. Taki był Henners, od zawsze i na zawsze. Zazdrościłem mu spokoju ducha.

Na razie jednak wybierał się do jednego z edynburskich kasyn. Zapytał, czy chcę się przyłączyć. Jejku, nie mogę, odpowiedziałem. Nie mogą mnie zobaczyć w kasynie. Wywołałoby to potężny skandal.

Szkoda, powiedział.

Cześć, powiedzieliśmy obaj, obiecując sobie, że wkrótce znów porozmawiamy.

Dwa miesiące później, w niedzielny poranek, tuż przed Bożym Narodzeniem 2002 roku... musiałem odebrać telefon, choć tylko jak przez mgłę pamiętam, jak trzymam słuchawkę, słuchając wiadomości. Henners i inny chłopak, po drodze z imprezy niedaleko Ludgrove, wjechali w drzewo. Choć niewiele pamiętam z rozmowy, mam wyraźnie w pamięci swoją reakcję. Była taka sama jak wtedy, gdy tata powiedział mi o mamie.

– Rozumiem... Henners miał wypadek. Ale jest w szpitalu, prawda? Wszystko z nim będzie dobrze?

Nie było. A drugi chłopak, ten, który prowadził, znajdował się w stanie krytycznym.

Poszliśmy na pogrzeb z Willym. Do kościółka parafialnego niedaleko miejsca, gdzie Henners spędził dzieciństwo. Pamiętam setki ludzi tłoczących się w skrzypiących drewnianych ławkach. Pamiętam, jak po nabożeństwie ustawiła się kolejka, by uściskać rodziców Hennersa, Alexa i Claire, oraz jego braci, Thomasa i Charliego.

Wydaje mi się, że w kolejce podsłuchałem prowadzone szeptem rozmowy o katastrofie.

– Była mgła, no wiesz...

– Nie jechali daleko...

– Ale dokąd jechali, tak w ogóle?

– I to o tej porze?

– Byli na imprezie i wysiadły głośniki!
– Więc pojechali po inne.
– Nie!
– Pojechali do kolegi, żeby pożyczyć odtwarzacz CD. Tylko kawałek, rozumiesz...
– Więc nie zawracali sobie głowy pasami bezpieczeństwa...
Tak jak mama.
A jednak, w odróżnieniu od mamy, nie było jak sobie tego wytłumaczyć jako zniknięcie. To była śmierć, bez żadnych wątpliwości.
Poza tym, w odróżnieniu od mamy, Henners nie jechał bardzo szybko.
Bo nie uciekał przed pościgiem.
Trzydzieści dwa kilometry na godzinę, nie więcej, mówili wszyscy.
A jednak samochód wjechał prosto w stare drzewo.
Stare, ktoś wyjaśnił, są znacznie twardsze niż młode.

39

Nie zamierzali wypuścić mnie z Eton, póki nie zagram. Dokładnie tak powiedzieli: że muszę wystąpić w jednym z ich przedstawień, zanim ostatecznie podbiją moją kartę i wypuszczą mnie na wolność.

Brzmiało to śmiesznie, ale w Eton teatr to śmiertelnie poważna sprawa. Wydział teatralny wystawia co roku kilka spektakli, a ten na zakończenie roku jest zawsze najważniejszy ze wszystkich.

Późną wiosną 2003 roku miał to być Szekspir, *Wiele hałasu o nic*.

Zostałem obsadzony w roli Konrada. Trzeciorzędna rola. Był może ochlaptusem, a może pijakiem, co zapewniło prasie sporo chwytliwych tytułów i dało mnóstwo zgrabnych leadów, w których mnie także nazywano pijakiem.

„Cóż my tu mamy? Obsadzony po warunkach, nieprawdaż?”

Artykuły pisały się same.

Nauczyciel aktorstwa nie mówił nic o obsadzaniu po warunkach, kiedy wyznaczał mi rolę. Po prostu powiedział, że będę Konradem: „Baw się dobrze,

Harry”. A ja nie miałem zamiaru zastanawiać się nad jego motywacją. Nie zastanawiałbym się, nawet gdybym podejrzewał, że kpi sobie ze mnie, bo chciałem wy dostać się z Eton, a żeby wy dostać się z Eton, musisz zagrać.

Analizując sztukę, zrozumiałem między innymi, że przewrotnym uproszczeniem jest skupianie się w przypadku Konrada jedynie na alkoholu. To fascynujący facet, naprawdę. Wierny, a jednocześnie amoralny. Zawsze gotów doradzać, ale zarazem zawsze w czyimś orszaku. A przede wszystkim był giermkim, pomagierem, którego głównym zadaniem było najwyraźniej sprawienie, żeby publiczność zaśmiała się raz czy dwa. Okazało się, że z łatwością przychodzi mi wcielić się w tę rolę, w czasie prób kostiumowych odkryłem też, że mam ukryty talent. Przynależność do rodziny królewskiej, jak się okazało, nie była aż tak odległa od bycia na scenie. Rola to rola, niezależnie od kontekstu.

Podczas premiery tata zasiadał w samym środku wypełnionego po brzegi Farrer Theatre i nikt nie bawił się lepiej od niego. Tu oto spełniało się jego marzenie: jego syn występował w sztuce Szekspira, a on za swoje pieniądze dostał godziwą rozrywkę. Ryczał ze śmiechu, pohukiwał, klaskał. Tyle tylko, że nie wiedzieć czemu, w niewłaściwych momentach. Miał zdumiewająco fatalne wyczucie czasu. Siedział cicho, kiedy wszyscy się śmiali. Śmiał się, kiedy inni milczeli. Było to nie tylko zauważalne, ale przede wszystkim cholernie rozprasające. Publiczność myślała, że tata jest klakierem, że stanowi część przedstawienia.

– A kto to tam tak śmieje się z niczego? Ach, czyż to nie ksiązę Walii?

Później, za kulisami, tata rozplęwał się w pochwałach.

– Byłeś wspaniały, kochany chłopcze.

Mimo wszystko nie byłem w stanie ukryć irytacji.

– W czym problem, kochany chłopcze?

– Tato, śmiałeś się zawsze w złym momencie!

Wyraźnie był zbity z tropu. Ja także. Jak mógł tak dalece nie rozumieć, o czym mówię?

Z czasem wszystko się wyjaśniło. Kiedyś powiedział mi, że gdy był w moim wieku i sam grał w szkolnym przedstawieniu Szekspira, dziadek pojawił się i zrobił dokładnie to samo. Śmiał się zawsze w niewłaściwym miejscu. Zrobił z siebie widowisko. Czy tata wzorował się na własnym ojcu? Nie znał innego sposobu na ojcostwo? A może chodziło o coś z dziedziny podświadomości, jakiś ujawniający

się gen recesywny? Czy każde pokolenie skazane jest na to, żeby bezwiednie powtarzać grzechy poprzedniego? Chciałem wiedzieć i mógłbym spytać. Tyle że nie jest to coś, co kiedykolwiek można by poruszyć w rozmowie z tatą. Albo z dziadkiem. Więc wyrzuciłem to z głowy i starałem się skupiać na tym, co dobre.

Tata tu jest, powiedziałem sobie, i jest dumny, a to niemało.

To więcej, niż wiele dzieci może sobie powiedzieć.

Podziękowałem mu za przyjście i pocałowałem w oba policzki.

Jak mówi Konrad: „A nie możecie skorzystać z swego niezadowolenia?”^[7].

40

Skończyłem naukę w Eton 30 czerwca 2003 roku. Zawdzięczałem to wielu godzinom ciężkiej pracy oraz odrobinie dodatkowych zajęć, zorganizowanych przez tatę. Nie taki znów mały wyczyn jak na kogoś tak odpornego na naukę, ograniczonego i roztargnionego, no więc choć w sumie nie byłem dumny z siebie, ponieważ nie potrafiłem być z siebie dumny, to nastąpiła wyraźna przerwa w mojej niekończącej się wewnętrznej samokrytyce.

I wtedy zostałem oskarżony o ściąganie.

Nauczyciel plastyki wystąpił z dowodem oszustwa, który okazał się żadnym dowodem. Okazał się w istocie bez znaczenia, a ja zostałem następnie oczyszczony z zarzutów przez komisję egzaminacyjną. Szkoda jednak została wyrządzona. Oskarżenie przyłgnęło do mnie.

Załamany, chciałem wydać oświadczenie, zwołać konferencję prasową, powiedzieć całemu światu: to ja napisałem tę pracę! Nie oszukiwałem!

Pałac nie zamierzał mi na to pozwolić. Tym razem, podobnie jak w większości przypadków, Pałac trzymał się ściśle rodzinnego motta: żadnych narzekań, żadnych wyjaśnień. Zwłaszcza w sytuacji, kiedy narzekać miał osiemnastolatek.

Tak więc zmuszono mnie, żebym siedział cicho, podczas gdy gazety codziennie nazywały mnie durniem i oszustem (z powodu projektu na zajęcia plastyczne! To znaczy, jak można „ściągać” w przypadku projektu artystycznego?). Tak właśnie oficjalnie pojawił się ten koszmarne tytuł: „Książę Przygłup”. Tak jak zostałem obsadzony w roli Konrada bez konsultacji i bez pytania mnie o zgodę, tak teraz

przydzielono mi nową rolę. Różnica polegała na tym, że *Wiele hałasu o nic* zagraliśmy trzy razy. A ta rola wyglądała na taką, którą będę grać całe życie.

– Książę Harry? No tak, cóż, nie najbystrzejszy.

– Nie potrafi przebrnąć przez najprostszy test bez ściągania, z tego, co czytałam.

Rozmawiałem o tym z tatą. Byłem bliski rozpaczu.

Powiedział to co zawsze:

– Kochany chłopcze, po prostu nie czytaj takich rzeczy.

On nigdy takich rzeczy nie czytał. Czytywał wszystko, od Szekspira po raporty na temat zmian klimatycznych, ale nigdy informacji prasowych (oglądał BBC, ale często kończyło się to rzucaniem pilotem w telewizor). Problem w tym, że czytali je wszyscy inni. W mojej rodzinie wszyscy twierdzili, że tego nie robią, podobnie jak tata, tyle że kiedy mówili to, patrząc ci prosto w oczy, równocześnie kręcili się przy nich lokaje w liberiach i rozkładali wszystkie brytyjskie gazety na srebrnych talerzach z taką samą precyzją jak maślane bułeczki i marmoladę.

41

Farma nosiła nazwę Tooloombilla. Jej właścicielami byli Hillowie.

Noel i Annie. Byli przyjaciółmi mamy (Annie była współlokatorką mamy, kiedy mama zaczynała spotykać się z tatą). Marko pomógł mi ich odnaleźć i jakoś udało mu się przekonać ich, żeby przyjęli mnie na lato jako darmowego pomocnika przy zwierzętach.

Hillowie mieli trójkę dzieci, Nikki, Eustiego i George'a. Najstarszy, George, był moim rówieśnikiem, chociaż wyglądał na starszego – zapewne był to skutek lat harówki pod piekącym słońcem Australii. Zaraz po przyjeździe dowiedziałem się, że George będzie moim mentorem, szefem – kimś w rodzaju dyrektora szkoły. Tyle że Tooloombilla w niczym nie przypominała Eton.

W gruncie rzeczy w niczym nie przypominała żadnego miejsca, w jakim kiedykolwiek byłem.

Przyjechałem z miejsca, które było pełne zieleni. Farma Hillów stanowiła odę na cześć brązu. Przyjechałem z miejsca, w którym każdy ruch był obserwowany, odnotowywany i poddawany ocenie. Farma Hillów była tak rozległa i tak oddalona

od wszystkiego, że przez większość dnia nie oglądał mnie nikt prócz George'a. I oprócz różnych walabii.

No i przede wszystkim przyjechałem z miejsca, w którym panował umiarkowany klimat, było chłodno i padało. Na farmie Hillów było gorąco.

Nie byłem pewien, czy zdołam wytrzymać taki gorąc. Na australijskich pustkowiach panował klimat, którego nie rozumiałem, którego moje ciało wydawało się nie akceptować. Tak jak tata, usychałem na samą wzmiankę o upałach: jak miałem poradzić sobie z piekarnikiem wetkniętym do pieca hutniczego włożonego do reaktora atomowego umieszczonego na szczycie czynnego wulkanu?

Kiepskie miejsce dla mnie, jeszcze gorsze dla moich ochroniarzy. Biedni chłopcy – taki przydział. W dodatku kwaterę dostali wyjątkowo spartańską, budynek gospodarczy na samym skraju farmy. Rzadko ich widywałem, ale często wyobrażałem sobie, że siedzą tam nad raportami, pod hałaśliwym elektrycznym wiatrakiem i ponuro dopieszczają swoje CV.

Hillowie pozwolili mi zabunkrować się u nich, w głównym budynku, słodkim małym bungalowu obłożonym białymi deskami, gdzie drewniane schody wiodły na szeroki ganek, a drzwi frontowe wydawały z siebie figlarne poskrzypywanie za każdym razem, kiedy się je otwierało, i trzaskały donośnie, ilekroć pozwoliło im się samym zamknąć. Wejście osłaniała gęsta siatka mająca zatrzymywać komary, które były rozmiarów ptaków. Pierwszego wieczoru, gdy zasiedliśmy do kolacji, słyszałem jedynie rytmiczny odgłos uderzeń krwiopijców o oka siatki.

Poza tym niewiele było do słuchania. Wszyscy czuliśmy się nieco nieswojo, starając się udawać, że jestem po prostu pomocnikiem, a nie księciem, starając się udawać, że nie myślimy o mamie, która uwielbiała Annie i którą Annie także kochała. Widać było, że Annie chce o niej porozmawiać, ale ja – podobnie jak Willy – po prostu nie byłem w stanie. Więc tylko wcinałem, chwaliłem jedzenie i prosiłem o dokładkę, jednocześnie wyteżając umysł w poszukiwaniu obojętnych tematów do rozmowy. Ale żadnego nie potrafiłem wymyślić. Upał zdążył już upośledzić moje funkcje poznawcze.

Zasypiając tego pierwszego wieczoru na pustkowiu, wywołałem w głowie obraz Marka i spytałem go z niepokojem: „Czy na pewno dobrześmy to przemyśleli, stary?”.

Środkiem na wszystkie problemy okazała się, jak zawsze, praca. Ciężka, wymagająca wysiłku, nigdy niekończąca się robota, to właśnie Hillowie mieli do zaoferowania i to w obfitości, a mnie wciąż było mało. Im ciężiej pracowałem, tym słabiej odczuwałem upał i tym łatwiej rozmawiało mi się – albo nie rozmawiało – przy stole podczas kolacji.

Nie była to jednak tylko praca. Bycie pomocnikiem na farmie bez wątpienia wymagało wytrzymałości, potrzebny był też jednak swoisty kunszt. Trzeba było stać się zaklinaczem zwierząt. Trzeba było nauczyć się odczytywać niebo i ziemię.

Trzeba też było wspiać się na najwyższy poziom umiejętności jeździeckich. Przed przyjazdem do Australii sądziłem, że radzę sobie z końmi, ale Hillowie okazali się Hunami, urodzonymi w siodle. Noel był synem zawodowego gracza w polo (kiedyś był trenerem taty w tej grze). Annie potrafiła pogłaskać koński pysk i powiedzieć, co zwierzę sobie myśli. A George wspinał się na siodło z większą łatwością niż większość ludzi kładzie się do łóżek.

Typowy dzień roboczy zaczynał się w środku nocy. Kilka godzin przed świtem George i ja wytaczaliśmy się na zewnątrz i zabieraliśmy się za pierwsze zadania, starając się zrobić tyle, ile się da, zanim wzejdzie słońce. O pierwszym brzasku wskakiwaliśmy na siodło, galopowaliśmy na skraj farmy Hillów (czteryście tysięcy akrów, obszar dwa razy większy niż Balmoral) i zaczynaliśmy paść. To znaczy przeganialiśmy stado bydła z miejsca na miejsce. Musieliśmy też szukać pojedynczych krów, które w nocy oderwały się od stada, i sprowadzać je z powrotem. Albo ładować po kilka na przyczepę i przewozić do innej części. Z rzadka tylko udawało mi się dowiedzieć, dlaczego właściwie przewozimy te czy tamte krowy, ale rozumiałem ogólny sens.

Krowy potrzebują przestrzeni.

Doskonale je rozumiałem.

Ilekoć razem z George'em natrafialiśmy na całą grupkę uciekinierów, małą buntowniczą krowią klikę, oznaczało to konieczność stawienia czoła prawdziwemu wyzwaniu. Najważniejsze było utrzymać je razem. Jeśli się rozproszyły, byliśmy w dupie. Całe godziny mogło nam zająć zagonienie ich w jedno miejsce, a to oznaczało stracony dzień. Jeśli któreś zwierzę rzucało się do ucieczki, na przykład w kierunku grupy drzew, któryś z nas musiał ruszać za nim pełnym galopem. Od

czasu do czasu w trakcie takiej pogoni cios nisko zawieszony gałęzi wyrzucał cię z siodła i lądowałeś na ziemi, niekiedy tracąc przytomność. Przychodziłeś do siebie, twój koń ponuro pochylał się nad tobą, a ty sprawdzałeś, czy masz jeszcze wszystkie kości całe i czy nie masz żadnego wewnętrznego krwotoku.

Sztuczka polegała na tym, żeby pogon nie trwała zbyt długo. Długie pogonie męczyły krowy, które chudły i tym samym ich wartość rynkowa spadała. Tłuszcz to pieniądz, a w przypadku australijskiego bydła, które generalnie nie było zbyt tłuste, nie istniał żaden margines błędu. Wody było mało, mało trawy, a tę odrobinę, która była dostępna, często pożerały kangury, które George i jego rodzina traktowali tak, jak inni traktują szczury.

Zawsze kulilem się i chichotałem, słysząc, jak George zwraca się do zbłąkanych krów. Pouczał je, wyzywał, obrzucał obelgami, przy czym miał jedno szczególnie ulubione przekleństwo, takie, którego większość z nas przez całe życie nigdy nie używa. George nie wytrzymał bez niego pięciu minut. Większość ludzi, słysząc to słowo, chowa się pod stół, dla George'a jednak było ono jak szwajcarski scyzoryk wśród słów – miało nieskończenie wiele możliwych zastosowań (w dodatku jego australijski akcent sprawiało, że brzmiało prawie uroczo).

Było to jedno z kilkudziesięciu słów ze słownika George'a. Na przykład tłusciak to była tłusta krowa, gotowa na rzeź. Wołek to młody wół, który powinien już zostać wykastrowany, ale jeszcze nie został. Odsadzone cielę to cielak, dopiero co odłączony od matki. Fajka to przerwa na papierosa. Wałówka to jedzenie. Pod koniec 2003 roku bardzo często siedziałem na koniu, obserwując odsadzone cielęta, ćmiąc fajka i tęskniąc za wałówką.

Czasem ciężkie, czasem monotonne, pasterstwo potrafiło okazywać się nieoczekiwanie emocjonujące. Młode samice były łatwiejsze, szły tam, gdzie się je kierowało, ale młode samce miały gdzieś to, że się nimi komenderuje, przy czym najbardziej nie lubiły, kiedy rozłączano je z matkami. Ryczały, zawodziły, czasem próbowały atakować. Dziko wymachujący róg jest w stanie rozwalić ci kończynę albo uszkodzić tętnicę. Ja jednak się nie bałem. Raczej... współczułem. Przy czym wydawało się, że młode samce to wiedzą.

Jedyna praca, jakiej nie potrafiłem wykonywać, jedyna ciężka robota, przed którą się wzdragałem, to było obcinanie jaj. Ilekroć George wyciągał długie, błyszczące ostrze, podnosiłem rękę.

– Nic z tego, chłopie, nie dam rady.

– Rób, jak uważasz.

Pod koniec dnia brałem gorący prysznic, pochłaniałem gargantuiczną kolację, po czym siadaliśmy z George'em na ganku, zwijając papierosy, sącząc zimne piwo. Czasem słuchaliśmy płyt z jego małego odtwarzacza CD, co sprawiało, że zaczynałem myśleć o tacie i jego radyjku. Albo o Hennesie. „Pojechali do kolegi, żeby pożyczyć odtwarzacz CD”. Często po prostu siedzieliśmy, gapiąc się w przestrzeń. Teren był płaski jak stół, tak że zbierające się burze widać było na wiele godzin, zanim nadciągnęły – pierwsze pająkowate pioruny, daleko stąd, uderzające o ziemię. Stopniowo pioruny stawały się coraz grubsze, przybliżały się, a wiatr pędził przez cały dom, rozwiewając zasłony. Pokoje trzęsły się, rozświetlane białym światłem. Od pierwszych uderzeń gromów drżały meble. Wreszcie następował potop. George wzdychał. Jego rodzice także. Deszcz oznaczał trawę, oznaczał tłuszcz. Deszcz oznaczał pieniądze.

Jeśli nie padało, to także było błogosławieństwem, ponieważ kiedy wichura ustępowała, czyste niebo było upstrzone gwiazdami. Pokazywałem George'owi to, co mnie pokazywała grupa z Botswany.

– Widzisz tę jasną, koło księżycy? To Wenus. A tam wyżej jest Skorpion, a południowa półkula to najlepsze miejsce, żeby go oglądać. A tam są Plejady. A tam Syriusz, najjaśniejsza gwiazda na niebie. I Orion, myśliwy. Wszystko sprowadza się do polowania, czyż nie? Myśliwi, zdobycz...

– Co tam, Harry?

– Nic takiego, stary.

W gwiazdach nieustająco fascynowało mnie to, jak są daleko. Światło, które widzisz, powstało setki stuleci temu. Innymi słowy, patrząc na gwiazdy, spoglądałeś w przeszłość, w okres poprzedzający czasy, w których ktokolwiek z tych, których znałeś czy kochałeś, w ogóle żył.

Albo umarł.

Albo zniknął.

I ja, i George zazwyczaj padaliśmy do łóżek koło ósmej trzydzieści. Często byliśmy zbyt zmęczeni, żeby zdjąć ubranie. Już nie bałem się ciemności, pragnąłem jej. Spałem jak martwy, budziłem się odrodzony. Obolały, ale gotów na więcej.

Wolnych dni nie było. Wśród nieustającej pracy, nieustającego upału i w otoczeniu nieustępliwych krów czułem, że jest mnie coraz mniej, codziennie

byłem lżejszy o kilogram, cichszy o kilka tuzinów słów. Nawet mój brytyjski akcent stopniowo zanikał. Po sześciu tygodniach zupełnie już nie brzmiałem jak Willy czy tata. Brzmiałem raczej jak George.

Ubierałem się też trochę jak on. Zacząłem nosić luźny filcowy kowbojski kapelusz. Używałem jednego z jego starych skórzanych batów.

W końcu temu nowemu Harry'emu przypadło nowe imię: Spike.

Oto jak do tego doszło. Moje włosy nigdy w pełni nie wróciły do formy, odkąd pozwoliłem kolegom z Eton się ogolić. Niektóre kosmyki sterczały sztywno jak letnia trawa, inne z kolei były przypłaszczone jak polakierowane siano. George często wskazywał moją głowę i mówił:

– Masz tu niezły bałagan!

Tymczasem podczas wyjazdu do Sydney na światowy puchar rugby odbyłem oficjalną wizytę w Taronga Zoo, gdzie poproszono mnie, żebym zapozował do zdjęcia z kolczatką. To takie coś, co wygląda jak skrzyżowanie jeża z mrówkojadem, ma sterczącą, spiczasto zakończoną sierść i dlatego pracownicy zoo nazwali je Spike. Wyglądało, jak powiedziałyby George, jakby miało niezły bałagan.

A co ważniejsze, wyglądało jak ja. Bardzo mnie przypominało. Więc kiedy tak się złożyło, że George zobaczył zdjęcie, na którym trzymam Spike'a, wykrzyknął:

– Haz! To coś ma twoje włosy!

I od tego czasu nigdy nie zwracał się do mnie inaczej niż Spike. Później podchwycili to moi ochroniarze. Wykorzystali nawet imię Spike jako mój radiowy kryptonim. Ktoś nadrukował na koszulki, które nosili, kiedy mnie pilnowali, napis „Spike 2003”.

Niebawem moi kumple w kraju poznali to nowe przezwisko i przyjęli je. Stałem się Spikiem do tego stopnia, w jakim nigdy nie byłem Hazem, Bazem, Księciem Praktykantem, Haroldem, kochanym chłopcem ani Chudzielcem – przezwisko, które nadali mi niektórzy ludzie z personelu Pałacu. Tożsamość zawsze bywa problematyczna, ale kiedy ma się pół tuzina oficjalnych imion i z tuzin przezwisk, zamienia się w gabinet luster.

Przez większość czasu nie przejmowałem się tym, jak ludzie mnie nazywają. Przez większość czasu myślałem sobie: nieważne, kim jestem, dopóki jestem kimś nowym, kimś, kto nie jest księciem Harrym. Wtedy jednak z Londynu, z pałacu,

przychodziła paczka i dawny ja, moje dawne życie, królewskie życie, wszystko wracało.

Paczka zazwyczaj pojawiała się razem z codzienną pocztą, choć czasem przybywała w ramionach nowego ochroniarza (ochroniarze zmieniali się stale, co kilka tygodni, żeby zawsze byli wypoczęci, no i żeby mogli widywać się ze swoimi rodzinami). W paczce znajdowały się listy od taty, oficjalne papiery, którymi należało się zająć, plus trochę sprawozdań dotyczących organizacji charytatywnych, z którymi byłem związany. Wszystko opieczętowane „Do wiadomości JKW Henry’ego, księcia Walii”.

Pewnego dnia w paczce znalazła się seria notatek służbowych od pałacowego zespołu do spraw komunikacji, dotyczących delikatnej kwestii. Były kamerdyner mamy napisał demaskatorską książkę, która w istocie niczego nie demaskowała. Stanowiła zaledwie wersję wydarzeń jednego człowieka, skupionego na sobie i zajętego usprawiedliwianiem się. Moja matka, która nazwała kiedyś tego kamerdynera drogim przyjacielem, miała do niego pełne zaufanie. My także. A teraz to. Wykorzystywał jej zniknięcie, żeby zarobić. Krew we mnie zawrzała. Chciałem polecieć do domu, skonfrontować się z nim. Zadzwoiłem do taty, obwieściłem, że wsiadam w samolot. Jestem pewien, że była to jedyna rozmowa, jaką odbyłem z nim podczas pobytu w Australii. Zarówno on, jak i – w osobnej rozmowie telefonicznej – Willy przekonali mnie, że bym tego nie robił.

Wszystko, co możemy zrobić, oświadczyli, to wydać wspólne potępiające oświadczenie.

I tak zrobiliśmy. Czy raczej oni tak zrobili. Nie miałem nic wspólnego z przygotowywaniem tekstu (ja poszedłbym dużo dalej). Tekst w wyważonym tonie podkreślał zdradę popełnioną przez kamerdynera, zwrócono się też do niego publicznie z żądaniem spotkania w celu ujawnienia jego motywów i zbadania jego tak zwanych rewelacji.

Kamerdyner udzielił nam publicznej odpowiedzi, twierdząc, że zgodziłby się na takie spotkanie. Jednak nie w żadnym konstruktywnym celu. Zaklinał się na łamach jednej z gazet: „Chciałbym pokazać im, co siedzi w mojej głowie”.

On chciał dać nam fragment swojego umysłu?

Niespokojnie czekałem na to spotkanie. Liczyłem dni.

Rzecz jasna, nigdy do niego nie doszło.

Nie wiedziałem dlaczego. Myślałem, że Pałac do niego nie dopuścił.

Powtarzałem sobie: Wstyd.

Myślałem o tym człowieku jak o jednym z tych zbłąkanych wołków, które tego lata próbowały zwiać.

43

Nie pamiętam, jak dowiedziałem się o pierwszym człowieku, który próbował przedostać się na farmę. Może od George'a? Kiedy byliśmy na pastwisku?

Pamiętam za to, że miejscowa policja przyłapała intruza i go przegnała.

Grudzień 2003 roku.

Policjanci byli bardzo z siebie zadowoleni. Ja byłem ponury. Wiedziałem, co się zbliża. Paparazzi byli jak mrówki. Nigdy nie kończyło się na jednym.

Jak można się było spodziewać, już następnego dnia dwóch kolejnych zakradło się na farmę.

Czas wyjeżdżać.

Zawdzięczałem Hillom tak wiele, nie chciałem odpłacać się im, rujnując im życie. Nie chciałem, żeby z mojego powodu stracili jedyny zasób, który jest cenniejszy niż woda – prywatność. Podziękowałem im za najlepsze dziewięć tygodni w moim życiu i odleciałem do domu, w którym znalazłem się tuż przed Bożym Narodzeniem.

Pierwszej nocy po powrocie poszedłem prosto do klubu. I następnej także. I jeszcze następnej. Prasa myślała, że wciąż jeszcze jestem w Australii, a ja uznałem, że ich niewiedza daje mi wolną rękę.

Pewnego wieczoru poznałem dziewczynę, gadaliśmy, popijając drinki. Nie miałem pojęcia, że to dziewczyna z trzeciej strony (było to powszechnie przyjęte, mizoginiczne, uprzedmiotawiające określenie używane wobec młodych kobiet, które codziennie pojawiały się topless na trzeciej stronie „The Sun” Ruperta Murdocha). Nic by mnie to nie obchodziło, gdybym wiedział. Była inteligentna i zabawna.

Opuściłem klub w czapce bejsbolówce na głowie. Paparazzi wszędzie. Tyle jeśli chodzi o wolną rękę. Próbowałem wmieszać się w tłum, szedłem swobodnie ulicą

razem z moim ochroniarzem. Przeszliśmy przez plac Świętego Jakuba i doszliśmy do nieoznakowanego samochodu policyjnego. Właśnie mieliśmy ruszać, kiedy mercedes z przyciemnionymi szybami przeskoczył przez chodnik i rąbnął w nasz wóz, prawie wbijając się przodem w tylne drzwi od strony pasażera. Widzieliśmy, na co się zanosy, kierowca nie patrzył przed siebie, zajęty próbą zrobienia zdjęcia. Następnego dnia w gazetach powinny pojawić się artykuły o tym, że księżę Harry omal nie został zabity przez nieostrożnego paparazziego. Tymczasem jednak pisano, jak to księżę Harry spotyka się i zapewne też całuje z dziewczyną z trzeciej strony, czemu towarzyszyły gorączkowe komentarze dotyczące tego, jakim koszmarem jest wizja Zastępcy spotykającego się... z upadłą kobietą.

Trzeci w kolejce do tronu... spotyka się z taką?

Snobizm i klasizm przyprawiały o mdłości. Całe to pomieszanie priorytetów zbijało z tropu.

Wszystko to jednak pogłębiło moje poczucie radości i ulgi z możliwości ucieczki. Ponownie.

Gap year część druga.

Kilka dni później siedziałem w samolocie do Lesotho.

Co lepsze, uznałem, że mogę zabrać ze sobą kumpla.

Plan, dawno, dawno temu, był taki, żeby lecieć z Hennersem.

Zamiast niego poprosiłem George'a.

44

Lesotho było piękne. Ale było też jednym z najbardziej ponurych miejsc na świecie. Stanowiło epicentrum globalnej pandemii AIDS, a w 2004 roku gubernator właśnie ogłosił stan klęski zdrowotnej. Dziesiątki tysięcy ludzi padły ofiarą zarazy, a kraj zamieniał się w jeden wielki sierociniec. Tu i tam można było dostrzec dzieci biegające dookoła z wyrazem zagubienia na twarzach.

„Gdzie jest tata? Gdzie mama?”

Obaj z George'em zgłosiliśmy się do pomagania w kilku organizacjach charytatywnych i szkołach. Obaj byliśmy zauroczeni wspaniałymi ludźmi, których poznaliśmy, ich odpornością, ich wdziękiem, ich odwagą i pogodą ducha w obliczu

tego morza cierpienia. Pracowaliśmy równie ciężko jak na farmie, z radością i gorliwie. Budowaliśmy szkoły. Remontowaliśmy szkoły. Mieszaliśmy żwir, wylewaliśmy cement, co tam było trzeba.

W tym samym duchu służby zgodziłem się pewnego dnia wykonać zadanie, które w innym wypadku byłoby nie do pomyślenia – udzielić wywiadu. Jeśli naprawdę zamierzałem rzucić światło na panujące tu warunki, nie miałem wyboru. Musiałem współpracować ze zniechęconą prasą.

Tyle że chodziło o coś więcej niż współpracę. Miała to być moja pierwsza sesja jeden na jednego z dziennikarzem.

Spotkaliśmy się na trawiastym zboczu wzgórza wczesnym rankiem. Zaczął od pytania o to, dlaczego ze wszystkich możliwych wybrałem właśnie to miejsce.

Powiedziałem, że dzieci w Lesotho mają problemy, a ja kocham dzieci, rozumiem je, więc to naturalne, że chciałem pomóc.

Naciskał. Czemu kocham dzieci?

Postarałem się, jak mogłem: Moja niewiarygodna niedojrzałość?

Żartowałem, ale reporter parsknął śmiechem i przeszedł do następnego pytania. Temat dzieci umożliwił poruszenie tematu mojego dzieciństwa, otworzył bramę do jedynej rzeczy, o jaką on, czy ktokolwiek inny, tak naprawdę chciał mnie zapytać.

– Czy często myśli pan... o niej... kiedy dzieje się coś takiego?

Odwróciłem wzrok, spojrzałem w dół wzgórza, odpowiedziałem, wyrzucając z siebie serię oderwanych słów.

– Niestety, to już tak dawno, ummm, nie dla mnie, ale dla większości ludzi minęło już tyle czasu od jej śmierci, ale to, co wyszło na jaw, było fatalne, wszystko to, co powychodziło, te wszystkie taśmy...

Miałem na myśli taśmy, które matka nagrała przed śmiercią, coś w rodzaju wyznań, które właśnie wtedy przeciekły do prasy, co zbiegło się z wydaniem wspomnień kamerdynera. Siedem lat po tym, jak ją zaszczuto, zmuszając do ukrywania się, moją matkę wciąż ścigano i zniesławiano – to nie miało sensu. W 1997 roku nastąpiło ogólnonarodowe rozliczenie, czas zbiorowej skruchy i refleksji wszystkich Brytyjczyków. Wszyscy zgodzili się, że prasa zamieniła się w stado potworów, i nawet konsumenci uznali swoją winę. Wszyscy powinniśmy byli lepiej się spisać, mówiła większość ludzi. Teraz, wiele lat później, zapomniano

o tym wszystkim. Historia powtarzała się codziennie, ja powiedziałem reporterowi, że to „hańba”.

Nie była to pamiętna deklaracja. No ale był to pierwszy raz, kiedy któryś z nas, Willy albo ja, publicznie powiedział cokolwiek o mamie. Byłem zdziwiony, że to mnie przypadło pierwszeństwo. Willy zawsze był pierwszy we wszystkim i zastanawiałem się, do czego doprowadzi ta chwilowa zamiana ról – jeśli chodzi o niego, o cały świat, ale przede wszystkim jeśli chodzi o tatę (do niczego dobrego, jak później powiedział mi Marko. Tata był stanowczo przeciwny temu, żebym poruszał ten temat; nie chciał, żeby którykolwiek z jego synów mówił o mamie, z obawy, że wywoła to zamieszanie, odciągnie go od pracy, a może też postawi Camillę w niezbyt korzystnym świetle).

Ostatecznie, w atmosferze całkowicie udawanej brawury, wzruszyłem ramionami i powiedziałem dziennikarzowi:

– Złe wiadomości dobrze się sprzedają. I o to chodzi.

A co do złych wiadomości... dziennikarz odniósł się teraz do mojego najnowszego skandalu.

Dziewczyna z trzeciej strony, rzecz jasna.

Wspomniał, że niektórzy zastanawiali się, czy rzeczywiście nauczyłem się czegoś dzięki pobytowi w klinice odwykowej. Czy naprawdę się „nawróciłem”? Nie pamiętam, czy użył słowa „nawrócenie”, ale padło ono przynajmniej w jednym artykule.

Czy Harry potrzebuje nawrócenia?

Heretyk Harry?

Ledwie byłem w stanie usłyszeć, co reporter do mnie mówi, gdyż nagle wszystko przesłoniła czerwona mgła. Jak w ogóle doszło do tego, że o tym rozmawialiśmy? Wyrzuciłem z siebie coś o byciu nienormalnym, a reporterowi opadła szczeka. Proszę bardzo! Właśnie dostał swój nagłówek, swoją zahaczkę. Oczy mu rozbłysły.

Ale to ja podobno byłem nałogowcem?

Wyjaśniłem, co mam na myśli, mówiąc o normalności. Nie prowadziłem normalnego życia, ponieważ nie mogłem.

– Nawet ojciec przypomina mi, że niestety Willy i ja nie możemy być normalni.

Powiedziałem temu reporterowi, że nikt oprócz Willy'ego nie rozumie, jak to jest żyć w tym surrealistycznym akwarium, w sytuacji, w której zwykle wydarzenia traktowane są jako coś nienormalnego, a to, co nienormalne, jest rutynowo normalizowane.

To właśnie próbowałem powiedzieć, zacząłem mówić, ale wtedy kolejny raz spojrzałem w dół ze wzgórza. Ubóstwo, choroba, sieroty – śmierć. Wszystko przy tym stawało się banalne. W Lesotho, niezależnie od tego, przez co przechodziłem, w porównaniu z innymi miałem się całkiem dobrze. Nagle poczułem się zawstydzony, zastanawiałem się, czy reporter ma dość rozsądku, żeby także się zawstydzić. Siedzieć tutaj, ponad całym tym nieszczęściem, i rozmawiać o dziewczynach z trzeciej strony? No nie.

Po wywiadzie poszedłem odszukać George'a i wypiliśmy razem piwo. Mnóstwo piwa. Całe galony.

Myślę, że właśnie tamtej nocy wypaliłem także tyle trawy, ile wypełniłoby całą siatkę na zakupy.

Nie polecam tego.

No ale w sumie to mogła być też inna noc. Trudno o precyzję, jeśli rzecz dotyczy siatki pełnej trawy.

45

George i ja poleciliśmy z Lesotho do Kapsztadu, żeby spotkać się z paroma kumplami i z Markiem.

Marzec 2004 roku.

Zatrzymaliśmy się w domu konsula generalnego i pewnego wieczoru rozmawialiśmy o zaproszeniu kilku osób. Na kolację. Był tylko jeden drobny problem. Nie znaleźliśmy w Kapsztadzie nikogo.

Ale zaraz – nie była to do końca prawda.

Spotkałem pewną osobę lata temu, dziewczynę z RPA. W Berkshire Polo Club.

Chelsy.

Zapamiętałem, że była...

Inna.

Przeszukałem telefon i znalazłem jej numer.

Zadzwoń do niej, powiedział Marko.

– Naprawdę?

– Czemu nie?

Byłem zszokowany, kiedy okazało się, że numer jest aktualny. I kiedy odebrała.

Jąkając się, przypomniałem jej, kim jestem. Powiedziałem, że jestem w mieście i zastanawiam się, czy może miałaby ochotę wpaść...

Brzmiała tak, jakby nie była pewna. Brzmiała tak, jakby nie uwierzyła, że ja to ja. Zestresowany przekazałem telefon Markowi, który zapewnił, że to naprawdę jestem ja i że zaproszenie jest szczere, że cały wieczór będzie zorganizowany po cichu – nie ma się czego obawiać. Będzie bezboleśnie. Może nawet fajnie.

Spytała, czy może przyprowadzić przyjaciółkę. I brata.

– Jasne! Im więcej, tym weselej.

I oto zjawiała się, kilka godzin później, swobodnie przechodząc przez drzwi. Jak się okazało, pamięć mnie nie zawiodła. Ta dziewczyna była... inna. Właśnie to słowo przyszło mi do głowy, kiedy spotkałem ją po raz pierwszy, i natychmiast przyszło mi do głowy teraz, a potem wracało do mnie cały czas podczas grilla. Inna.

W odróżnieniu od tylu znanych mi osób sprawiała wrażenie, jak gdyby w ogóle nie przejmowała się wizerunkiem, stosownością, rodziną królewską. W odróżnieniu od tylu dziewczyn, które poznałem, nie wyglądała, jak gdyby w chwili, w której wymienialiśmy uścisk dłoni, zaczynała przymierzać koronę. Wydawała się odporna na tę dość powszechną dolegliwość, zwaną „syndromem tronowym”. Przypominał on niekiedy wrażenie, jakie wywierają na ludziach aktorzy i muzycy – z tym że w przypadku aktorów i muzyków przyczyną jest ich talent. Ja nie miałem żadnych talentów – powtarzano mi to nieustannie – tak więc dowolne reakcje na moją osobę nie miały nic wspólnego ze mną. Wiązały się z moją rodziną, moim tytułem i w konsekwencji zawsze mnie krępowały, ponieważ były tak dalece niezasłużone. Zawsze chciałem wiedzieć, jak by to było poznać kobietę, której oczy nie rozszerzają się na wzmiankę o moim tytule, i samemu sprawić, żeby się rozszerzyły: dokonać tego własnym umysłem, własnym sercem. W przypadku Chelsy wyglądało na to, że jest to możliwe. Nie tylko nie była zainteresowana moim tytułem, ale też najwyraźniej ten temat ją nudził.

– Ach, czyli jesteś księciem? – Ziew.

Nic nie wiedziała o mojej biografii, mniej niż nic o mojej rodzinie. Babcia, Willy, tata – kim są? Co więcej, pozostawała wybitnie niezainteresowana. Prawdopodobnie nie słyszała nawet o mojej matce, była raczej za młoda, żeby pamiętać o tragicznych wydarzeniach z sierpnia 1997 roku. Nie miałem rzecz jasna pewności, czy tak jest rzeczywiście, ponieważ, co też było zasługą Chelsy, w ogóle o tym nie rozmawialiśmy. Rozmawialiśmy za to o najważniejszej rzeczy, która nas łączyła – o Afryce. Chelsy, urodzona i wychowana w Zimbabwie, obecnie mieszkająca w Kapsztadzie, kochała Afrykę całym sercem. Jej ojciec był właścicielem wielkiego gospodarstwa hodowlanego, które stanowiło oś jej świata. Opowiedziałem jej o własnych doświadczeniach z Afryką, które zmieniły moje życie, o pierwszych podróżach, które mnie uformowały. Opowiedziałem jej o niezwykłych odwiedzinach lamparta. Kiwała głową. Rozumiała.

– Wspaniale. Afryka daje ci chwile, takie jak ta, jeśli jesteś gotów. Jeśli jesteś ich wart.

W pewnym momencie podczas tamtego wieczoru powiedziałem jej, że niebawem wstępuję do wojska. Nie byłem w stanie określić jej reakcji. Może nie było żadnej? W każdym razie nie wyglądało na to, żeby ta informacja coś popsowała.

Później opowiadałem, że następnego dnia razem z George'em i Markiem wyruszamy do Botswany. Mieliśmy spotkać się z Adim i z kilkoma innymi osobami, popłynąć w górę rzeki.

– Pojedziesz z nami?

Uśmiechnęła się nieśmiało, zastanowiła przez chwilę. Ona i jej przyjaciółka mają już inne plany...

– Och. Szkoda...

Ale mogą je zmienić, powiedziała. Z przyjemnością pojedą z nami.

Spędziliśmy trzy dni, spacerując, śmiejąc się, pijąc, zaprzyjaźniając ze zwierzętami. Nie tylko z dzikimi zwierzętami. Przypadkiem poznaliśmy tresera węży, który pokazał nam kobrę i grzechotnika. Zrobił dla nas prywatny pokaz: obracając

ramionami, skłaniał węże, żeby przesuwały się w dół i w górę po jego ramionach i barkach.

Tego samego wieczoru Chelsy i ja wymieniliśmy nasz pierwszy pocałunek pod gwiazdami.

Tymczasem George zakochał się po uszy w jej przyjaciółce.

Kiedy nadszedł moment, w którym Chelsy i jej koleżanka musiały wracać do domu, George do Australii, a Marko do Londynu, nastąpiła seria smutnych pożegnań.

Nagle znalazłem się sam w buszu, jedynie z Adim.

Co teraz?

Dowiedzieliśmy się, że niedaleko znajduje się obóz. Dwoje filmowców kręciło dokument o dzikiej przyrodzie, a nas zaproszono, żebyśmy wpadli z wizytą.

Wskoczyliśmy do land cruisera i niebawem znaleźliśmy się w środku hałaśliwej imprezy w buszu. Mężczyźni i kobiety pili i tańczyli w dziwacznych zwierzęcych maskach wykonanych z tektury i czyścików do fajek. Karnawał nad Okawango.

Temu chaosowi przewodziła para trzydziestolatków: Teej i Mike. Odgadłem, że to właśnie byli filmowcy. Okazało się, że są właścicielami całej wytwórni filmowej plus tego obozu. Przedstawiłem się, dodając parę komplementów na temat ich umiejętności zorganizowania takiej epickiej imprezy. Roześmieli się i powiedzieli, że jutro za to zapłacą.

Oboje musieli wcześniej wstać do pracy.

Spytalem, czy mógłbym do nich dołączyć. Bardzo chciałbym zobaczyć, jak kręci się taki film.

Spojrzeli na mnie, potem popatrzyli po sobie. Wiedzieli, kim jestem, i o ile już samo to, że natknęli się na mnie w buszu, było niespodzianką, pomyśl, żeby wynająć mnie do pomocy, wymagał chwili na przetrwanie.

Mike powiedział:

– Jasne, możesz przyjść. Ale będziesz musiał wziąć się do roboty. Nosić ciężkie skrzynki, taszczyć kamery.

Wyraz ich twarzy dał mi do zrozumienia, że wydawało im się, że to by było na tyle.

Uśmiechnąłem się i powiedziałem:

– Brzmi super.

Byli w szoku. Ale zadowoleni.

To było trochę jak miłość od pierwszego wejrzenia. Z obu stron.

Oboje, Teej i Mike, byli z Afryki. Ona z Kapsztadu, on z Nairobi. Ona urodziła się we Włoszech i spędziła kilka pierwszych lat życia w Mediolanie, i była szczególnie dumna ze swoich mediolańskich korzeni, którym – jak mówiła – zawdzięczała uczuciowość: to były największe przechwałki, jakie można było usłyszeć z ust Teej. Dorastając, nawet mówiła po włosku, chociaż później, jak twierdziła, zapomniała tego języka. Z tym że właśnie wcale go nie zapomniała. Za każdym razem, kiedy trafiała do szpitala, wywoływała szok, ponieważ wybudzając się z narkozy, przemawiała płynną włoszczyzną.

Mike dorastał na farmie, jeździć konno nauczył się zaraz po tym, jak nauczył się chodzić. Przypadkiem jego najbliższym sąsiadem był jeden z pierwszych filmowców zajmujących się kręceniem dzikiej przyrody. Kiedy tylko Mike miał wolną chwilę, biegł do sąsiada i siedział z nim, zasypując go pytaniami. Mike odnalazł swoje prawdziwe powołanie, a sąsiad, który to rozpoznał, pomógł mu je rozwijać.

Oboje, Teej i Mike, byli utalentowani, błyskotliwi i całkowicie oddani dzikim zwierzętom. Pragnąłem spędzić z nimi tyle czasu, ile tylko się da, nie jedynie podczas tej wyprawy, ale w ogóle. Problem polegał na tym: czy mi pozwolą?

Często przyłapywałem Teej na spoglądaniu w moją stronę, mierzyła mnie wzrokiem z dziwnym uśmiechem na twarzy – jak gdybym był dzikim stworzeniem, które nieoczekiwanie zabłąkało się do ich obozu. Ale zamiast mnie zastrzelić albo wykorzystać, jak zrobiliby wiele osób, Teej wyciągała rękę... żeby mnie pogłaskać. Dziesiątki lat obserwowania dzikich zwierząt nauczyły ją wycucia dzikiej natury, szacunku dla niej, który był cnotą, a nawet podstawowym prawem. Teej i Mike byli pierwszymi ludźmi, którzy docenili dzikość, jaka jeszcze we mnie pozostała, to, czego jeszcze nie odebrała mi żałoba – ani paparazzi. Oburzało ich, że inni chcieli wymazać tę resztkę dzikości, że tak gorliwie starali się zapędzić mnie do klatki.

Podczas tamtej wyprawy, a może podczas kolejnej, spytałem Teej i Mike'a, jak się poznali. Uśmiechnęli się niepewnie.

Wspólny przyjaciel, mruknął Mike.

Randka w ciemno, wyszeptała Teej.

Miejscem spotkania była pewna restauracyjka. Kiedy Mike wszedł, Teej siedziała już przy stole, plecami do drzwi. Nie widziała Mike'a, usłyszała tylko jego głos, ale jeszcze zanim się odwróciła, wiedziała, z tonu, z tembru, z tego, jak zmieniła się temperatura na sali, że wpadła.

Kolacja udała się wspaniale, a następnego dnia Teej przysłała do Mike'a na kawę. Gdy weszła, prawie padła z wrażenia. Na najwyższej półce na regale z książkami stała książka jej dziadka, Roberta Ardreya, legendarnego naukowca, eseisty, pisarza (nominowano go do Oscara za scenariusz *Chartumu*). Oprócz książek jej dziadka Mike miał też wszystkie ukochane książki Teej, ustawione w tym samym porządku, w jakim ona miała je na swoich półkach. Dotknęła ust dłonią. Taka zbieżność. To był znak. Do własnego mieszkania wróciła już tylko po to, żeby się spakować. Od tego czasu byli z Mikiem razem.

Opowiedzieli mi tę historię przy ognisku. Kiedy przebywałem z Markiem i tamtą grupą, ognisko stanowiło centralny punkt obozu, dla Teej i Mike'a było świętością. Dookoła krążyły takie same napoje, te same wciągające opowieści, ale wszystko sprawiało wrażenie rytuału. Niewiele jest miejsc, w których czułem, że bardziej zbliżam się do prawdy, w których bardziej czułem, że żyję.

Teej to dostrzegała. Rozumiała, jak dalece czuję się przy nich jak u siebie. Powiedziała:

– Myślę, że twoje ciało urodziło się w Wielkiej Brytanii, ale twoja dusza tutaj, w Afryce.

Chyba jest to najwspanialszy komplement, jakim ktokolwiek kiedykolwiek mnie obdarzył.

Po kilku dniach przechadzania się z nimi, jedzenia z nimi, zakochiwania się w nich czułem wszechogarniający spokój. I równie wszechogarniające pragnienie, żeby znów zobaczyć się z Chelsy.

Co robić? Zastanawiałem się. Jak do tego doprowadzić? Jak dostać się do Kapsztadu, żeby prasa się nie dowiedziała i nie zniszczyła wszystkiego?

Adi powiedział: bierzemy samochód!

– Samochód? Hm. Tak. Genialnie!

Ostatecznie to tylko dwa dni.

Wskoczyliśmy do auta, pojechaliśmy bez przystanków, pijąc whisky i obżerając się czekoladą dla dodania sobie energii. Pojawiłem się pod drzwiami Chelsy bosy,

niechlujny, ukoronowany brudną czapeczką, z szerokim uśmiechem przecinającym moją umorusaną twarz.

Westchnęła... i wybuchnęła śmiechem.

A potem... szerzej otworzyła drzwi.

47

Oboje z Chels przyswoiliśmy sobie ważną lekcję: Afryka to Afryka... ale Wielka Brytania zawsze była Wielką Brytanią.

Natychmiast po przylocie na Heathrow zostaliśmy sfotografowani przez paparazzich.

Nigdy mnie to nie bawiło, ale też nie szokowało. Po zniknięciu mamy było kilka lat, podczas których prawie w ogóle mnie nie fotografowali, teraz jednak działo się to nieustannie. Poradziłem Chelsy, żeby traktowała to jak chorobę przewlekłą, coś, z czym trzeba sobie radzić.

Tyle że Chelsy nie była pewna, czy chce być przewlekle chora.

Mówiłem jej, że rozumiem. Doskonale uzasadnione uczucie. Tylko że to było moje życie i jeśli chciała być w jakimkolwiek stopniu jego częścią, musi dzielić ze mną także i to.

Przyzwyczaisz się, skłamałem.

Później oceniłem, że szanse wynoszą pół na pół, może sześćdziesiąt do czterdziestu, że nigdy już nie zobaczę Chelsy. Obstawiałbym, że prasa pozbawi mnie kolejnej ważnej dla mnie osoby. Starłem się pocieszać sam siebie, że w porządku, i tak nie mam akurat czasu na związki.

Miałem coś do zrobienia.

Przede wszystkim czekały mnie egzaminy wstępne do Królewskiej Akademii Wojskowej w Sandhurst.

Trwały cztery dni i w niczym nie przypominały egzaminów w Eton. Było trochę siedzenia nad książkami, trochę pisania, ale przede wszystkim były testy sprawdzające wytrzymałość psychiczną i umiejętności przywódcze.

Okazało się, że... mam jedno i drugie. Zdałem śpiewająco.

Wpadłem w zachwyty. Moje problemy z koncentracją, trauma związana z matką, nic z tego nie zostało wykorzystane. Nic z tego nie świadczyło przeciwko mnie w Brytyjskich Siłach Zbrojnych. Przeciwnie, odkryłem, że właśnie dzięki temu stałem się jeszcze doskonalszy. Armia szukała chłopaków takich jak ja.

Co tam masz do powiedzenia, młody człowieku? Rodzice się rozwiedli? Mama nie żyje? Nieprzepracowana żałoba albo psychiczna trauma? Prosimy tutaj!

Razem z informacją, że zdałem, podano mi datę, kiedy miałem się stawić, za kilka miesięcy. Oznaczało to, że mam czas, żeby zebrać myśli, pozamykać otwarte sprawy. I co ważniejsze, czas dla Chelsy... jeśli mnie zechce.

Zechciała. zaproponowała, żebym wrócił do Kapsztadu, poznał jej rodziców.

Tak zrobiłem. I polubiłem ich natychmiast. Nie dawali się nie lubić. Bawiły ich śmieszne historie, gin z tonikiem, dobre jedzenie, tropienie zwierzyny. Ojciec Chelsy był niedźwiedziowaty, miał szerokie ramiona, był ciepły i miły, ale zdecydowanie samiec alfa. Matka, drobnutka, była wspaniałą słuchaczką i często rozdawała epickie uściski. Nie wiedziałem, co przyszłość ma w zanadru, nie chciałem stawiać wozów przed końmi, ale myślałem sobie: gdybyś miał zaprojektować sobie teściów od podstaw, nie mógłbyś uzyskać niczego lepszego niż ta para.

48

Coś musiało być w atmosferze tamtej wiosny. Właśnie wtedy, kiedy pakowałem się w nowy romans, tata ogłosił, że postanowił się ożenić. Poprosił babcię o pozwolenie, którego mu udzieliła. Nie bez oporów, jak donoszono.

Mimo że Willy i ja próbowaliśmy go powstrzymać, tata parł naprzód. Obaj uścisnęliśmy mu dłoń, życząc jak najlepiej. Bez pretensji. Rozumieliśmy, że zamierza być wreszcie z kobietą, którą kochał, którą kochał od zawsze, którą los zapewne przeznaczył mu od początku. Niezależnie od goryczy czy żalu, jaki mogliśmy odczuwać, widząc, jak zamyka się kolejny wątek w historii mamy, rozumieliśmy, że to jest zupełnie inna sprawa.

Poza tym współczuliśmy tacie i Camilli jako parze. Osiągali nowy poziom pecha. Po latach daremnych tęsknot znaleźli się o kilka kroków od szczęścia... a przeszkody nie przestawały się mnożyć. Przede wszystkim spór o charakter

ceremonii. Na dworze upierano się, że musi to być ceremonia świecka, ponieważ tata, jako przyszły najwyższy zwierzchnik Kościoła Anglii, nie mógł wziąć w kościele ślubu z rozwódką. Wywołało to wściekłą debatę na temat miejsca. Gdyby cywilna ceremonia miała się odbyć na zamku w Windsorze, który był pierwszym wyborem pary, Windsor musiałby najpierw uzyskać licencję na udzielanie ślubów cywilnych, a gdyby ją uzyskał, każdy w Wielkiej Brytanii miałby prawo zorganizować tam swój ślub. Nikt nie chciał czegoś takiego.

Podjęto zatem decyzję, że ślub odbędzie się w Windsor Guildhall.

I wtedy umarł papież.

Oszołomiony, spytałem Willy'ego:

– Co papież ma wspólnego z tatą?

Okazało się, że mnóstwo. Tata i Camilla nie chcieli brać ślubu tego samego dnia, w którym chowano papieża. Zła karma. Jeszcze gorsza prasa. A poza tym babcia chciała, żeby tata reprezentował ją na pogrzebie.

Plany dotyczące ślubu po raz kolejny zmieniono.

Opóźnienie za opóźnieniem – jeśli słuchało się uważnie, można było usłyszeć niosące się przez pałacowe grunty wrzaski i jęki rozpacz. Trudno powiedzieć, kto je wydawał: organizator ślubu czy Camilla (a może tata).

Zamiast im współczuć, nie potrafiłem pozbyć się myśli, że jakaś siła we wszechświecie (mama?) sabotuje ich związek, zamiast mu błogosławić. Może wszechświat opóźniał to, czego nie aprobował?

Kiedy ślub ostatecznie się odbył – bez babci, która postanowiła nie pojawić się na nim – było to dla wszystkich, nie wyłączając mnie, doświadczenie niemal katartyczne. Stojąc przy ołtarzu, przez większość czasu miałem opuszczoną głowę, wbijałem oczy w ziemię, podobnie jak na pogrzebie mamy, ale kilka razy dłużej zerkałem na państwa młodych i za każdym razem myślałem sobie: powodzenia!

Myślałem też: żegnaj.

Nie miałem wątpliwości, że to małżeństwo zabierze nam tatę. Nie w żadnym konkretnym znaczeniu, nie w jakkolwiek świadomy sposób czy złośliwie, ale mimo wszystko – zabierze. Wchodził w nową przestrzeń, zamkniętą, zdecydowanie odizolowaną. Przewidywałem, że Willy i ja będziemy rzadziej oglądać tatę, i miałem mieszane uczucia w związku z tym, że dostawałem macochę, która – jak uważałem – nie tak dawno temu poświęciła mnie na ołtarzu swojego własnego PR-

u. Ale patrzyłem, jak tata się uśmiecha, i trudno było się z tym spierać, a jeszcze trudniej wciąż negować powód: Camilla. Pragnąłem bardzo wielu rzeczy, ale z zaskoczeniem odkryłem na ich ślubie, że jedną z rzeczy, których wciąż pragnąłem najbardziej, było to, żeby mój ojciec był szczęśliwy.

W pewnym sensie chciałem nawet, żeby Camilla była szczęśliwa.

Może będzie mniej groźna, jeśli będzie szczęśliwa?

Publikowano doniesienia, wedle których Willy i ja wymknęliśmy się z kościoła i powiesiliśmy na samochodzie nowożeńców napis „świeżo zaślubieni”. Nie wydaje mi się. Mógłbym powiesić napis „Szczęścia!”. Gdybym tylko wtedy o tym pomyślał.

Pamiętam natomiast, że patrzyłem, jak odjeżdżają, i myślałem: są szczęśliwi. Są naprawdę szczęśliwi.

Cholera, chcę, żebyśmy wszyscy tacy byli.

49

Mniej więcej w tym czasie, tuż przed ślubem, a może krótko po, wyjechaliśmy z Willym na trening z British Special Boat Service. Nie było to oficjalne szkolenie. Raczej chłopcy i ich zabawki, jak to nazywaliśmy. Głównie dla hecy, chociaż ta heca stanowiła pozostałość dawnej, poważnej tradycji.

Nasza rodzina zawsze utrzymywała ściśle związki z brytyjską armią. Czasem oznaczało to oficjalne wizyty, czasem nieformalny lunch. Czasem prywatną rozmowę z mężczyznami i kobietami, którzy wrócili do domu z wojen. A czasem – branie udziału w wymagających ćwiczeniach. Nie ma lepszego sposobu na okazanie wojskowym szacunku, niż robić albo przynajmniej próbować zrobić to samo co oni.

Te ćwiczenia zawsze utrzymywano w sekrecie przed prasą. Armia zdecydowanie wolała załatwiać to w ten sposób, rodzinie królewskiej też na tym zależało.

To mama zabrała mnie i Willy’ego na nasze pierwsze ćwiczenia wojskowe: „zabójczy dom” w Herefordshire. Całą naszą trójkę zamknięto w pokoju, zakazując nam się ruszać. Następnie pokój ogarnęła ciemność. Oddział wykopał drzwi. Ciskali ślepyimi granatami, czym śmiertelnie nas wystraszyli – i taki był cel.

Chcieli nauczyć nas, jak reagować, „gdyby kiedykolwiek” nasze życie znalazło się w niebezpieczeństwie.

Gdyby kiedykolwiek? Rozśmieszyło nas to. A przeglądaliście naszą pocztę?

Ale tamtego dnia z Willym było inaczej. O wiele więcej aktywności fizycznej, więcej czynnego uczestnictwa. Chodziło nie tyle o naukę, ile o adrenalinę. Ścigaliśmy się przez Poole Harbour na łodziach wyścigowych, „atakowaliśmy” fregatę, wspinaliśmy na nią po drabinkach linowych, strzelając z pistoletów maszynowych kalibru 9 milimetrów naładowanych kulami do paintballa. W jednym z ćwiczeń pędziliśmy w dół po metalowych schodach prosto do lądowni fregaty. Ktoś wyłączył światła, jak sądzę, żeby było ciekawiej. W absolutnych ciemnościach, cztery stopnie nad dnem, przewróciłem się, wylądowałem na lewym kolanie i natychmiast poczułem, jak wbija mi się w nie śruba, przymocowana do dna i stercząca z podłogi.

Oślepiający ból rozlał się po całym ciele.

Udało mi się wstać, ruszyć dalej, dokończyć ćwiczenia. Ale pod koniec treningu zeskakiwaliśmy z lądownika na łodzi prosto do wody i odkryłem, że moje kolano nie działa. Cała noga przestała działać. Kiedy wydostałem się z wody i rozebrałem z mokrego munduru, Willy spojrzał w dół i pobladł.

Z mojego kolana tryskała krew.

Ratownicy medyczni pojawili się w ciągu kilku minut.

Parę tygodni później Pałac ogłosił, że moja służba wojskowa zostaje odłożona. Na czas nieokreślony.

Dziennikarze chcieli wiedzieć dlaczego.

Pałacowy zespół do spraw komunikacji wyjaśnił: książę Harry uszkodził sobie kolano podczas gry w rugby.

Czytałem gazety, z nogą podniesioną do góry i obłożoną lodem; odrzuciłem głowę do tyłu i roześmiałem się. Nie potrafiłem się powstrzymać, rozkoszowałem się odrobiną radości wywołanej samozadowoleniem, kiedy gazety, chociaż raz, nieświadomie opublikowały kłamstwo na mój temat.

Jednak prasa szybko odegrała się na mnie. Zaczęła upowszechniać historie o tym, że bałem się zaciągnąć do wojska, że się zabunkrowałem, wykorzystując rzekome uszkodzenie kolana, żeby opóźnić całą sprawę.

Orzekli, że jestem tchórzem.

Jeden z przyjaciół Willy'ego urządzał przyjęcie urodzinowe. Na wsi, nieopodal Gloucestershire. Nie było to zwykłe przyjęcie urodzinowe, ale bal kostiumowy, na dość zenujący temat. Tubylcy i koloniści. Od gości wymagano, że ubiorą się odpowiednio.

Styczeń 2005 roku.

Nie zachwyciły mnie bale kostiumowe. I nie znosiłem przyjęć tematycznych. Na swoje ostatnie urodziny, czy może rok wcześniej, Willy zorganizował bal kostiumowy, którego tematem było *Pożegnanie z Afryką*. Uznałem to za zaskakujące i irytujące. Zawsze, kiedy wyjeżdżałem do Afryki, chodziłem w szortach i koszulce, czasem w szalu *kikoi*.

– Czy to się nada, Willy? – Tym razem jednak było o wiele gorzej.

W swojej garderobie nie miałem ani jednej sztuki tubylczego czy kolonialnego stroju. Nocowałem u taty i Camilli, niekiedy w pałacu Świętego Jakuba, niekiedy w Highgrove, przez większość czasu żyjąc na walizkach, więc za grosz nie dbałem o stroje. Przeważnie wyglądałem, jakbym ubierał się w bardzo ciemnym i zabałaganionym pokoju. Co za tym idzie, bal kostiumowy, tematyczny, to był dla mnie koszmar.

Poddaję się. Zdecydowanie.

Jednak Willy naciskał:

– Znajdziemy ci coś, Haroldzie.

Jego nowa dziewczyna obiecała pomóc.

Lubiłem jego nową dziewczynę. Była beztroska, słodka, uprzejma. Spędziła swój *gap year* we Florencji, znała się na fotografii i sztuce. I na ciuchach. Uwielbiała ciuchy.

Na imię miała Kate. Zapomniałem, jaki tubylczy albo kolonialny strój miała na sobie na przyjęciu, ale z jej pomocą Willy wybrał sobie coś w rodzaju... kociego stroju. Opięta panterka z (o ile mnie pamięć nie myli) sprężystym, elastycznym ogonem. Przymierzył ten strój i pokazał się nam – wyglądał jak skrzyżowanie tygrysa z Barysznikowem. Kate i ja bawiliśmy się wspaniale, wytykając go palcami i turlając się po podłodze. To było prześmieszne, zwłaszcza w trzyczęściowym

lustrze. Ale właśnie o śmieszność, jak oboje orzekli, chodziło w tej nadchodzącej imprezie.

Lubiłem patrzeć, jak Kate się śmieje. Co więcej, lubiłem doprowadzać ją do śmiechu. I byłem w tym naprawdę dobry. Niemądra strona mojej osobowości, tak doskonale widoczna, łączyła się z jej niemądrą stroną, znakomicie zakamuflowaną. Ilekroć martwiłem się, że to Kate będzie kobietą, która zabierze mi Willy'ego, pocieszałem się myślą o wszystkich naszych przyszłych wspólnych atakach śmiechu i mówiłem sobie, jak to będzie wspaniale, kiedy będę miał prawdziwą dziewczynę, która będzie mogła śmiać się razem z nami. Może będzie to Chelsy.

Może, pomyślałem, uda mi się rozśmieszyć Kate moim kostiumem.

Ale jaki ma być? Czym Harold ma zostać? To był teraz stały temat naszych rozmów.

W dniu imprezy zostało postanowione, że pojedę do pobliskiej wioski, Nailsworth, gdzie znajdował się znany sklep z kostiumami. Z pewnością zdołam tam coś znaleźć.

Wszystko trochę się zamazało, ale pewne rzeczy powracają z absolutną jasnością. Sklep miał niezapomniany zapach. Pamiętam ten stęchły smród pleśni, podszyty czymś jeszcze, czymś trudnym do zdefiniowania, jakimś unoszącym się w powietrzu produktem ubocznym starannie zamkniętego pomieszczenia, wypełnionego setkami par spodni, którymi przez kilka dziesięcioleci dzieliły się tysiące ludzi.

Wędrowałem między rzędami wieszaków, grzebiąc między nimi, i nie znajdowałem nic, co by mi się podobało. Czas mijał nieubłaganie, więc ostatecznie zawęziłem swoje opcje do dwóch.

Mundur brytyjskiego pilota.

I mundur nazistowski w kolorze piaskowym.

Z opaską ze swastyką.

I wojskową czapkę.

Zadzwoiłem do Willy'ego i Kate spytać, co sądzą.

Nazistowski mundur, orzekli.

Wypożyczyłem mundur i dodatkowo głupie wąsiki i wróciłem do domu. Przymierzyłem wszystko. Oboje ryczeli ze śmiechu. Gorsze niż lamparci strój Willy'ego! O wiele bardziej absurdalne.

Bo – powtórzę – o to chodziło.

Przy czym wąsiki wymagały przystrzyżenia, więc podciąłem długie końce i przerobiłem je na wąsik Hitlera. I dodałem do tego jakieś bojówki.

Poszliśmy na imprezę, gdzie nikt nie przyglądał się za bardzo mojemu kostiumowi. Wszyscy tubylcy i koloniści za bardzo byli zajęci upijaniem się i obmacywaniem się nawzajem. Nikt nie zwracał na mnie uwagi, co uznałem za małe zwycięstwo.

Ktoś jednak robił zdjęcia. Kilka dni później ten ktoś dostrzegł szansę, żeby zarobić trochę pieniędzy albo narobić kłopotów i skontaktował się z jakimś dziennikarzem.

– Ile za fotki z ostatniej imprezy, na której byli młodzi królewicze?

Klejnotem koronnym zdjęć miał być zapewne Willy w swojej panterce.

Ale dziennikarz zobaczył coś innego. Halo, a co to? Ten drugi? Jako nazista?

Było trochę targowania się o cenę z tego, co mi doniesiono. Ostatecznie stanęło na kwocie pięciu tysięcy funtów i kilka tygodni później zdjęcie pojawiło się w każdym czasopiśmie znanego nam świata, pod gigantycznymi nagłówkami.

„Heil Harry!”

„Pomyłony dziedzic”.

„Niech żyje królewska awantura”.

Wybuchła straszliwa burza, taka – jak myślałem wówczas – która mogła mnie pochłonąć. I czułem, że zasłużyłem na to, żeby mnie pochłonęła. Przez kilka następnych tygodni i miesięcy były chwile, w których myślałem, że umrę ze wstydu.

Typową reakcją na zdjęcia było pytanie: Co on sobie myślał? Najprostsza odpowiedź brzmiała: nic. Kiedy zobaczyłem te zdjęcia, zrozumiałem natychmiast, że mój mózg się wyłączył, że być może był wyłączony od jakiegoś czasu. Pragnąłem móc objechać całą Brytanię, pukając do drzwi i wyjaśniając ludziom: „Nie pomyślałem. Nie chciałem nikogo skrzywdzić”. Tyle że to nie zrobiłoby żadnej różnicy. Sąd został wydany szybko i był surowy. Byłem albo kryptonazistą, albo umyślowo chory.

Zwróciłem się do Willy’ego. Współczuł mi, ale niewiele miał do powiedzenia. Zadzwoiłem do taty. Ku mojemu zaskoczeniu pozostawał spokojny. Początkowo wzbudziło to moją podejrzliwość. Pomyślałem, że może mój kryzys uznał za

kolejną szansę na podbudowanie własnego PR-u. Ale rozmawiał ze mną ciepło, z takim szczerym współczuciem, że całkowicie mnie rozbroił. No i byłem wdzięczny.

Nie zamierzał łagodzić faktów.

– Kochany chłopcze, jak mogłeś być tak głupi?

Policzki mi płonęły.

– Wiem, wiem. – Ale szybko zaczął mówić, że jest to głupota młodości, że pamięta, jak publicznie obwiniano go za błędy młodości, i że to niesprawiedliwe, ponieważ młodość to okres, w którym z definicji jest się niedokończonym. Wciąż dorastasz, wciąż się stajesz, wciąż uczysz, powiedział. Nie przytoczył żadnego konkretnego przypadku swoich upokorzeń z tego czasu, ale wiedziałem, o czym mówi. Wyciekły jego najbardziej prywatne rozmowy, jego najmniej przemyślane uwagi zostały rozgłoszone. Jego były dziewczyny wypytywano, a następnie oceny jego sprawności łóżkowej pojawiały się w tabloidach, a nawet w książkach. O upokorzeniu wiedział wszystko.

Zapewniał, że wściekłość, jaką wywołałem, umilknie, że wstyd osłabnie. Kochałem go za te zapewnienia, mimo że – a może właśnie dlatego że – wiedziałem, że są fałszywe. Wstyd nigdy nie osłabnie. I nie powinien.

Skandal rósł dzień po dniu. Byłem miazdząco krytykowany w gazetach, w radiu, w telewizji. Posłowie domagali się mojej głowy na pice. Jeden powiedział, że powinno mi się zakazać wstępu do Sandhurst.

Uspokojenie sytuacji, według pracowników taty, wymagało pewnej pomocy. Musiałem dokonać swego rodzaju aktu publicznego zadośćuczynienia.

Jeśli chodzi o mnie, w porządku, powiedziałem. Im szybciej, tym lepiej.

Tak więc tata wysłał mnie do świętego człowieka.

Brodaty, w okularach, z twarzą poznaczoną głębokimi liniami zmarszczek i ciemnymi mądrymi oczyma – był to najwyższy rabin Wielkiej Brytanii, tyle mi powiedziano. Od razu jednak mogłem dostrzec, że był kimś jeszcze. Wybitny uczony, filozof religijny, płodny pisarz, mający na swoim koncie ponad dwa tuziny

książek, większość czasu spędzał, spoglądając przez okno i rozmyślając o najgłębszych przyczynach smutku, zła, nienawiści.

Zaproponował mi filiżankę herbaty, a następnie przeszedł od razu do rzeczy. Nie przebierał w słowach. Potępił to, co zrobiłem. Nie był nieuprzejmy, ale zrobił to, co musiało zostać zrobione. Nie było sposobu, żeby to obejść. Umieścił też moją głupotę w kontekście historycznym. Mówił o sześciu milionach, o Zagładzie. O Żydach, Polakach, dysydentach, intelektualistach, homoseksualistach. Dzieciach, niemowlętach, starych ludziach obróconych w popiół i dym.

Zaledwie kilka dziesięcioleci temu.

Szedłem do niego z poczuciem wstydu. Teraz czułem coś innego – bezdenną nienawiść do samego siebie.

Jednak nie to było celem rabina. Z pewnością nie chciał, żebym opuszczał go w takim stanie. Upomniął mnie, żebym nie pozwolił, żeby mój błąd mnie zniszczył, ale żeby mnie zmotywował. Przemawiał do mnie w tonie, który można napotkać często u ludzi prawdziwie mądrych – w tonie przebaczenia. Zapewnił mnie, że ludzie robią głupie rzeczy, mówią głupoty, ale niekoniecznie musi to świadczyć o ich wrodzonej naturze. Pokazałem swój prawdziwy charakter, powiedział, starając się odpokutować. Poszukując odpuszczenia.

Na tyle, na ile mógł i miał prawo, udzielił mi go. Obdarzył mnie łaską. Powiedział, żebym podniósł głowę, ruszył naprzód, wykorzystał to doświadczenie, żeby naprawiać świat. Żeby uczyć o tym wydarzeniu. Hennersowi, pomyślałem, bardzo by się to podobało. Hennersowi, który kochał uczyć.

Nieważne, co robiłem, coraz głośniejsze stawały się wezwania, żeby zakazać mi wstąpienia do armii. Ale ci na najwyższym szczeblu trzymali się mocno. Gdyby książkę Harry był w wojsku, kiedy przebierał się za Führera, orzekli, zostałyby dyscyplinarnie ukarany.

Ale jeszcze nie jest w wojsku, dodali.

Więc ma pełną swobodę bycia przygłupem.

Miał zostać naszym nowym osobistym sekretarzem: nazywał się Jamie Lowther-Pinkerton. Nie pamiętam jednak, żebyśmy, Willie i ja, zwracali się do niego inaczej

niż JLP.

Powinniśmy byli po prostu nazwać go Marko II. A może Marko 2.0. Z założenia miał zastąpić Marka, a jednocześnie stać się bardziej oficjalną, bardziej wyspecjalizowaną i permanentną wersją naszego drogiego przyjaciela.

Powiedziano nam, że wszystko, czym Marko zajmował się nieoficjalnie – opieka, przewodnictwo, doradztwo – będzie teraz oficjalnym zadaniem JLP. Przy czym to właśnie Marko znalazł JLP, polecił go tacie, a później wyszkolił. Więc od razu, z marszu, zaufaliśmy temu człowiekowi. Miał najważniejszą pieczęć jakości. Marko powiedział, że to porządny człowiek.

Dogłębnie spokojny, nieco sztywny. JLP nosił błyszczące złote spinki do mankietów i złoty sygnet, symbole jego rzetelności, lojalności i nieugiętej wiary w pewien rodzaj niezłomnego stylu.

Jednak mimo całej swojej pedanterii, mimo gładkiego, jakby pociągniętego emalią wyglądu zewnętrznego JLP był z sił zbrojnych, był produktem najlepszego brytyjskiego szkolenia wojskowego, co między innymi oznaczało, że nie zajmował się bzdetami. Guzik go obchodziły i wyglądało na to, że jest z tego powszechnie znany. Tak więc kiedy swego czasu brytyjscy funkcjonariusze zaplanowali gigantyczną ofensywę przeciw kolumbijskiemu kartelowi narkotykowemu, wybrali JLP, żeby ją poprowadził. Kiedy aktor Ewan McGregor postanowił wyruszyć na trzymiesięczną podróż motocyklem przez Mongolię, Syberię i Ukrainę i potrzebował treningu z technik przetrwania, zwrócił się do JLP.

Jeśli chodzi o mnie, najlepszą cechą JLP był jego szacunek dla prawdy, to, że specjalizował się w prawdzie. Był przeciwieństwem tak wielu osób, zarówno tych z rządu, jak i tych, którzy pracowali w Pałacu. Tak więc krótko po tym, jak zaczął pracować dla Willy'ego i dla mnie, poprosiłem go o dostęp do pewnych prawd – w postaci tajnych akt policyjnych, dotyczących wypadku mamy.

Spojrzał w ziemię, spojrzał w bok. Tak, pracował dla mnie i Willy'ego, ale też troszczył się o nas i dbał o tradycję, o łańcuch dowodzenia. Moja prośba mogła stanowić zagrożenie dla całej tej trójcy. Skrzywił się i zmarszczył czoło, stanowiące nieco amorficzny obszar, jako że JLP nie miał zbyt dużo włosów. Wreszcie wygładził czarną szczecinę, która porastała jeszcze boki jego głowy, i powiedział, że gdyby dostarczył rzeczne akta, byłby to dla mnie duży wstrząs.

– W rzeczy samej, duży wstrząs, Harry.

– Jasne. Wiem. Trochę o to chodzi.

Skinął głową.

– Aha. Hmm. Rozumiem.

Kilka dni później zaprowadził mnie do małego biura na tylnej klatce schodowej pałacu Świętego Jakuba i podał mi brązową sztywną kopertę. Powiedział, że postanowił nie przekazywać mi wszystkich policyjnych akt. Przejrzał je i usunął te... „najtrudniejsze”.

– Dla twojego dobra.

Byłem sfrustrowany. Ale nie zamierzałem się kłócić. Jeśli JLP uznał, że nie dałbym sobie z tym rady, prawdopodobnie miał rację.

Podziękowałem mu za to, że mnie chroni.

Powiedział, że zostawi mnie samego, i wyszedł.

Kilka razy zaczerpnąłem powietrza i otworzyłem teczkę.

Zdjęcia z zewnątrz. Przed tunelem, w którym doszło do katastrofy. Widok w głąb tunelu.

Zdjęcia z wnętrza. Kilka stóp w środku tunelu.

Zdjęcia ze środka. Z głębi tunelu. Pokazują wnętrze tunelu i drugi koniec.

Wreszcie... zbliżenia rozbitego mercedesa, który miał podobno wjechać do tunelu koło północy i nigdy już nie pojawić się w jednym kawałku.

Wyglądało na to, że wszystko to są zdjęcia policyjne. Jednak uświadomiłem sobie, że wiele z nich, jeśli nie wszystkie, zrobili paparazzi i inni fotografowie, którzy pojawili się na miejscu. Paryska policja skonfiskowała im aparaty. Niektóre zdjęcia zostały zrobione kilka chwil po wypadku, niektóre o wiele później. Na niektórych widać było policjantów chodzących dookoła, na innych przypadkowych świadków, którzy kręcili się i gapili. Całość oddawała wrażenie chaosu, haniebnie karnawałowej atmosfery.

Później pojawiły się bardziej szczegółowe zdjęcia, wyraźniejsze, robione w zbliżeniach, pokazujące wnętrze mercedesa. Widać było martwe ciało przyjaciela mamy, który – jak już wtedy wiedziałem – był jej chłopakiem. Był tam też jej ochroniarz, który przeżył wypadek, ale odniósł makabryczne obrażenia. I szofer, którego ciało osunęło się na kierownicę. Wiele osób jego właśnie obwinało

o wypadek, ponieważ podobno miał we krwi alkohol, no i ponieważ był martwy i nie mógł nic powiedzieć.

Wreszcie dotarłem do zdjęć mamy. Otaczały ją światła, aura, niemal nimb. Dziwne. Światła miały tę samą barwę co jej włosy – złotą. Nie wiedziałem, czym były te światła, nie umiałem sobie wyobrazić, chociaż do głowy przychodziły mi dowolne nadnaturalne wyjaśnienia.

Kiedy uświadomiłem sobie prawdziwą naturę tych światel, poczułem, jak kurczy mi się żołądek.

Flesze. To były flesze. I niekiedy w ich świetle jawiły się widmowe postacie i fragmenty postaci, paparazzi i ich odbicia i załamane odbicia paparazzich na wszystkich gładkich metalowych powierzchniach i w szkłe przedniej szyby. Ci ludzie, którzy ją ścigali... Nie przestali robić zdjęć, kiedy leżała między siedzeniami nieprzytomna; rozgorączkowni niekiedy przypadkowo fotografowali siebie nawzajem. Nikt nie sprawdził, w jakim ona jest stanie, nikt nie zaoferował pomocy, nie próbował jej choćby wesprzeć. Nic, tylko trzaskanie aparatów, zdjęcia, zdjęcia, zdjęcia.

Nie wiedziałem. Nawet mi się to nie śniło. Mówiono mi, że paparazzi ścigali mamę, że polowali na nią jak stado dzikich psów, ale nigdy nawet sobie nie wyobrażałem, że jak dzikie psy rzucili się także na jej bezbronne ciało. Nie zdawałem sobie sprawy wcześniej, że ostatnią rzeczą, jaką mama zobaczyła na tym świecie, była lampa błyskowa.

Chyba że... Teraz przyglądałem się mamie uważniej: żadnych widocznych obrażeń. Osunęła się, była nieprzytomna, ale ogólnie... w porządku. Nawet lepiej. Jej ciemny blezer, jej błyszczące włosy, jej promienna cera – lekarze w szpitalu, do którego została przewieziona, nie mogli się powstrzymać od uwag na temat jej urody. Patrzyłem, próbowałem się rozpłakać, ale nie mogłem, była tak urocza, tak żywa.

Może zdjęcia, które JLP zatrzymał, były bardziej konkretne. Może ukazywały śmierć bardziej bezpośrednio. Jednak nie zastanawiałem się zbyt wiele nad tą możliwością. Gwałtownie zamknąłem teczkę i powiedziałem:

– Ona się ukrywa.

Poprosiłem o te akta, ponieważ poszukiwałem dowodu, tymczasem ta teczka nie dowodziła niczego, poza tym, że mama brała udział w wypadku samochodowym,

po którym ogólnie sprawiała wrażenie nietkniętej, i że ci, którzy ją ścigali, nie przestali jej napastować. I to wszystko. Nie znalazłem dowodu, raczej kolejne powody do wściekłości. W tym małym biurze, siedząc nad tą żalną tekturową kopertą, czułem, jak wszystko zasłania czerwona mgła, a właściwie nie mgła, lecz ulewa.

53

Niosłem małą torbę podróżną zawierającą kilka rzeczy osobistych plus jedną standardowych rozmiarów deskę do prasowania, którą miałem zawieszoną luźno pod pachą jak deskę surfingową. Armia rozkazała mi ją zabrać. Odtąd moje koszule i spodnie musiały być wolne od jakichkolwiek zagnieień.

O posługiwaniu się deską do prasowania wiedziałem tyle, ile o prowadzeniu czołgu – a nawet mniej. Teraz jednak był to problem armii. Od teraz ja byłem problemem armii.

Życzyłem im powodzenia.

Podobnie jak tata. To on podwiózł mnie do Camberley w Surrey, do Królewskiej Akademii Wojskowej w Sandhurst.

Maj 2005 roku.

Stanął z boku i patrzył, jak zakładam czerwoną plaketkę z nazwiskiem WALES, a potem wpisuję się na listę. Powiedział dziennikarzom, że jest bardzo dumny.

Następnie wyciągnął rękę.

– Ruszaj, kochany chłopcze.

Poza do zdjęcia. Klik.

Przydzielono mnie do plutonu złożonego z dwadzieściora dziewięciorga młodych mężczyzn i kobiet. Rankiem następnego dnia, kiedy wciągnęliśmy na siebie nasze nowe kombinezony, znaleźliśmy się w zabytkowej sali, liczącej sobie setki lat. Można było poczuć historię – zdawała się wydostawać z wyłożonych drewnianą boazerią ścian jak para. Wyrecytowaliśmy przysięgę na wierność królowej: „Ślubuję posłuszeństwo Koronie i krajowi...”. Chłopak za mną wbił mi łokieć w zebro.

– Stawiam, że mówisz babcia, a nie królowa!

Był to ostatni raz, w ciągu kolejnych pięciu tygodni, kiedy ktoś ośmielił się zażartować. Nie ma nic zabawnego w obozie szkoleniowym dla rekrutów.

Obóz szkoleniowy dla rekrutów – jakże łagodna nazwa dla tego, co się wydarzyło. Dociskano nas do granic naszych możliwości, fizycznie, umysłowo, duchowo. Zostaliśmy poprowadzeni – albo zawleczeni – gdzieś poza nasze ograniczenia, a potem odrobinę dalej, przez uroczą grupę beznamiętnych sadystów, zwanych sierżantami sztabowymi. Głośni, wielcy i skrajnie męscy faceci, i wszyscy mieli malutkie pieski. Nigdy nie usłyszałem ani nie przeczytałem żadnego wyjaśnienia tego zjawiska i sam żadnego nie zaryzykuję. Mogę jedynie powiedzieć, że był to dziwny widok – te tryskające testosteronem, na ogół łyse ogry gruchające do swoich pudli, shih tzu i mopsów.

Mógłbym powiedzieć, że traktowali nas jak psy, tyle że psy traktowali o niebo lepiej. My nigdy nie słyszeliśmy od nich: „Jaki dobry chłopiec!”. Zbliżali się do nas, twarzą w twarz, wrzeszczeli na nas zza obłoku woni płynu po goleniu i nigdy, przenigdy nie odpuszczali. Umniejszali nas, nękali, darli się na nas i nie ukrywali swoich zamiarów. Chodziło o to, żeby nas złamać.

Jeśli nie zdołali nas złamać, cudownie. Witamy w armii! Jeśli zdołali, jeszcze lepiej. Lepiej wiedzieć zawczasu. Lepiej, żeby oni nas złamali, niż żeby zrobił to wróg.

Wykorzystywali cały wachlarz podejść. Przymus fizyczny, psychiczne upokorzenia – i humor? Pamiętam jednego sierżanta sztabowego, który odciągnął mnie na bok.

– Panie Wales, pewnego dnia pełniłem wartę w pałacu w Windsorze, w mojej bermycy i pojawił się chłopiec, który kopnął żwir prosto na moje buty. I tym chłopcem... był PAN!

Żartował, ale nie byłem pewien, czy powinienem się roześmiać, nie byłem też pewien, czy to prawda. Nie poznawałem go, no i z pewnością nie pamiętałem, żebym sypał żwirem na gwardzistów. Jednak na wypadek, gdyby to była prawda, przeprosiłem w nadziei, że możemy to zostawić za sobą.

W ciągu dwóch tygodni wykruszyło się kilkoro kadetów. Budziliśmy się i widzieliśmy, że ich łóżka są zaścielone, ich rzeczy zniknęły. Nikt nie myślał o nich źle. To cholerstwo nie było dla wszystkich. Niektórzy z moich kolegów i koleżanek, zanim pogaszono światła, wyznawali, że boją się, że będą następni.

Ja jednak nigdy się tego nie obawiałem. Przez większość czasu miałem się całkiem dobrze. Obóz rekrucki to nie był piknik, ale nigdy nie zachwiałem się w przekonaniu, że jestem dokładnie tu, gdzie powinienem być. Nie mogą mnie złamać, myślałem. I zastanawiałem się: czy może to dlatego, że już dawno coś we mnie pękło?

Poza tym niezależnie od tego, co z nami robili, wszystko to działo się z dala od prasy, więc dla mnie każdy dzień stanowił swego rodzaju wakacje. Centrum szkoleniowe przypominało Klub H. Nieważne, jak sierżant sztabowy starał się dokopać, zawsze istniał ten bonus w postaci braku paparazzich. Nic nie mogło naprawdę mnie zranić w miejscu, w którym prasa nie była w stanie mnie dopaść.

A potem jednak mnie dopadli. Dziennikarz z „The Sun” przedostał się na teren bazy i włóczył się dookoła, z fałszywą bombą, starając się dowieść – czego? Nikt nie wie. „The Sun” twierdził, że ich reporter, ten fałszywy *flâneur*, starał się ujawnić, że ochrona w centrum szkoleniowym jest niedbała, i udowodnić, że księżę Harry jest zagrożony.

Naprawdę groźne było to, że część czytelników uwierzyła w te brednie.

54

Każdego ranka, kiedy wstawaliśmy o piątej rano, zmuszano nas do wypicia wielkiej butelki wody. Butelka była wyprodukowana dla armii, z czarnego plastiku i stanowiła pozostałość po wojnie burskiej. Dowolny płyn wlany do środka nabierał smaku sztucznego tworzywa pierwszej generacji. I moczu. Dodatkowo był to ciepły mocz. Tak więc, kiedy już wyłopaliśmy wszystko, na moment przed wystartowaniem do naszego porannego biegu niektórzy z nas padali na ziemię i wyrzygiwali całą wodę.

Nieważne. Następnego dnia znów trzeba było złopać tę plastikową moczopodobną wodę, z tej samej butli, a następnie ruszać na kolejny powymiotny bieg.

Ach, bieganie. Biegaliśmy nieustannie. Biegaliśmy po torze. Biegaliśmy wzdłuż drogi. Biegaliśmy przez głęboki las. Biegaliśmy po łąkach. Czasem biegliśmy z czterdziestoma kilogramami na grzbiecie, czasem dźwigając wielkie kłody. Biegaliśmy, biegaliśmy i biegaliśmy, aż do omdlenia, przy czym czasem zdarzało się

to w trakcie biegu. Wtedy padaliśmy, półprzytomni, wciąż ruszając nogami, jak pies, który we śnie goni wiewiórki.

Między biegami zazwyczaj wciągaliśmy swoje ciała po linach, ciskaliśmy je na mury, zderzaliśmy jedne z drugimi. W nocy coś więcej niż ból wciskało się w nasze kości. Było to głębokie, wywołujące dreszcze pulsowanie. Nie było sposobu, żeby je przetrwać, można było jedynie się od niego odłączyć, powtarzać sobie w głowie, że ty tym nie jesteś. Oddzielić siebie od siebie. Sierżant sztabowy powiedział, że stanowi to część Wielkiego Planu. Zabić jaźń.

Wtedy wszyscy będziemy po tej samej stronie. Wtedy naprawdę staniemy się Jedną Jednostką.

W miarę jak blakła supremacja Jaźni, zwyciężała idea służby.

Pluton, kraj, to będzie wszystko, co macie znać, kadeci. I to wam, do cholery, będzie wystarczać.

Nie wiedziałem, jak czuli się z tym inni kadeci, ale ja to kupiłem, w całości. Jaźń? Byłem bardziej niż gotów strząsnąć z siebie ten martwy ciężar. Tożsamość? Bierzcie ją.

Byłem w stanie zrozumieć, że dla kogoś, kto był przywiązany do swojego ja, swojej tożsamości, takie doświadczenie mogło być okrutne. Nie dla mnie. Ja cieszyłem się z tego, że powoli, stopniowo czułem, że jestem redukowany do samej swojej istoty, że wszystko, co nieczyste, zostaje usunięte, że pozostaje tylko to, co niezbędne.

Trochę tak jak to, co się stało w Tooloombilli. Tylko jeszcze bardziej.

Miałem wrażenie, jakbym dostał niesamowity dar, od sierżantów sztabowych, od Wspólnoty Narodów.

Kochałem ich za to. Nocami, zanim odpłynąłem, składałem dziękczynienie.

Po tych pierwszych pięciu tygodniach, po zakończeniu szkolenia rekruckiego, sierżanci sztabowi złagodnieli. W każdym razie odrobinę. Nie wrzeszczeli już na nas tak często. Traktowali nas jak żołnierzy.

Skoro tak, jednak nadszedł czas, żeby uczyć się o wojnie. Jak ją prowadzić, jak ją wygrać. Po części obejmowało to ogłupiająco nudne wykłady. Lepsze były te kawałki z symulacjami, kiedy ćwiczyliśmy najróżniejsze sposoby, na jakie można dać się zabić – albo nie, to zależy.

Nazywało się to CBRN. Broń: chemiczna, biologiczna, radiologiczna, nuklearna. Ćwiczyliśmy wkładanie strojów ochronnych, ściąganie ich, czyszczenie i zmywanie trucizn i innego świństwa, którym w nas ciskano, spuszczano na nas albo rozpylano. Kopaliśmy niezliczone okopy, naciągaliśmy maski, kuliliśmy się w pozycji płodowej, robiliśmy próby do Apokalipsy, raz za razem.

Pewnego dnia sierżanci sztabowi zebrali nas przed budynkiem z czerwonej cegły, zamienionym w komorę gazową z gazem łzawiącym. Rozkazali nam wejść do środka i puścili gaz. Ściągnęliśmy nasze maski gazowe, znów je nałożyliśmy, ściągaliśmy je z powrotem. Jeśli nie byłeś wystarczająco szybki, wkrótce miałeś pełne usta i płuca gazu. Ale nie mogłeś być dostatecznie szybki zawsze, i o to chodziło, więc w końcu każdy nałykał się gazu. Ćwiczenia miały dotyczyć wojny: jak dla mnie były o śmierci. Jak jej uniknąć, ale też jak się z nią zmierzyć, twarzą w twarz.

W związku z tym wydawało się całkiem naturalne, niemal nieuniknione, że wsadzali nas do autobusów i zabierali na cmentarz wojskowy w Brookwood, gdzie stawaliśmy nad grobami, słuchając, jak ktoś recytuje wiersz.

Poległym.

Wiersz poprzedzał nadejście koszmaru dwudziestowiecznych wojen, więc wciąż miał pewien posmak niewinności.

„Do nich nie przyjdzie starość

Gdy my, cośmy zostali, starzeć będziemy się...”

Niesamowite, jak często nasz trening, od samego początku, był przetykany, rozpoczynany poezją. Chwała umierania, piękno umierania, konieczność umierania, te pojęcia wbijano nam do głów równoległe z umiejętnością unikania śmierci. Czasem subtelnie, a czasem rzucano nam to prosto w twarz. Ilekroć zaganiano nas do kaplicy, patrzyliśmy w górę i widzieliśmy wyryte w kamieniu:

Dulce et decorum est pro patria mori.

Słodko i zaszczytnie jest umierać za ojczyznę.

Słowa napisane niegdyś przez starożytnego Rzymianina, wygnańca, później użyte ponownie przez młodego brytyjskiego żołnierza, który zginął za kraj. Użyte ironicznie, ale tego nikt nam nie powiedział. Bez wątpienia na tym kamieniu nie wyryto ich ironicznie.

Jeśli chodzi o mnie, poezja była mimo wszystko lepsza od historii. I od psychologii. I strategii wojskowej. Krzywię się na samo wspomnienie tych godzin, tych twardych krzeseł w Faraday Hall i Churchill Hall, czytania książek i uczenia się dat na pamięć, analizowania sławnych bitew, pisania esejów na temat najbardziej ezoterycznych pojęć z dziedziny strategii. Dla mnie to były największe wyzwania Sandhurst.

Gdybym miał wybór, wolałbym kolejnych pięć tygodni obozu dla rekrutów.

Niejeden raz zdarzyło mi się zasnąć w Churchill Hall.

– Hej tam! Pan Wales! Pan śpi!

Doradzano nam, żeby kiedy czujemy senność, podskoczyć, pozwolić, żeby krew popłynęła żywiej. Tylko że to sprawiało nadmiernie konfrontacyjne wrażenie. Wstając, dawałeś do zrozumienia instruktorowi lub instruktorce, że przynudza. W jaki wprowadziłoby ich to nastrój w momencie, w którym przyszłoby im oceniać twoją kolejną pracę?

Tygodnie zlewały się ze sobą. W dziewiątym – a może to był dziesiąty? – uczyliśmy się walki na bagnety. Zimowy poranek. Pole w Castlemartin w Walii. Sierżant sztabowy puścił rozwalającą uszy punkową muzykę, na cały regulator, żeby rozbudzić naszego zwierzęcego ducha, po czym zaczęliśmy biec w kierunku manekinów z worków z piaskiem, z bagnetami w rękach, tnąc i wrzeszcząc: Zabić! Zabić! Zabić!

Kiedy zabrzmiały gwizdki, kiedy trening się skończył, kilku chłopaków nie było w stanie się wyłączyć. Nie przestawali dźgać swoich manekinów. Krótki rzut oka na mroczną stronę ludzkiej natury. Później roześmieliśmy się i wszyscyśmy udawali, że nie widzieliśmy tego, co właśnie zobaczyliśmy.

Tydzień dwunasty – a może trzynasty? – karabiny i granaty. Byłem dobrym strzelcem. Strzelałem do królików, gołębi i wiewiórek z dwudziestki dwójki, odkąd skończyłem dwanaście lat.

Ale teraz stawałem się coraz lepszy.

O wiele lepszy.

56

Pod koniec lata przetransportowano nas do Walii i narzucono nam mordercze ćwiczenie, tak zwany Długi Zasięg. Marsz bez przerwy, z ciężkim sprzętem i w tempie przez kilka dni, tam i z powrotem przez puste wiejskie okolice, z całą masą sprzętu na plecach, ważącego tyle, ile przeciętny nastolatek. Co gorsza, Europa doświadczała historycznej fali upałów, a my wyruszyliśmy w szczycie tej fali, w najgorętszy dzień roku.

Piątek. Powiedziano nam, że ćwiczenia potrwać do niedzieli w nocy.

W sobotę późnym wieczorem, w czasie naszego jedyne wymuszonego wypoczynku, spaliśmy w śpiworach na brudnej drodze. Po dwóch godzinach zbudziły nas pioruny i potężny deszcz. Byłem w piątce, wstaliśmy, wystawiliśmy twarze na deszcz, spijaliśmy krople. Wspaniałe uczucie. Ale po chwili byliśmy cali mokrzy. Tymczasem nadszedł czas, by znów pomaszerować.

W przemoczonych ubraniach, w lejącym deszczu, maszerowanie nabrało zupełnie innego wymiaru. Stękaliśmy, sapaliśmy, jęczeliśmy, ślizgaliśmy się. Zacząłem czuć, że stopniowo moja determinacja ustępuje.

Podczas chwilowego postoju, w punkcie kontrolnym, poczułem, że pali mnie stopa. Usiadłem na ziemi, ściągnąłem prawy but i skarpetę, a podeszwa stopy odpadła razem z nimi.

Stopa okopowa.

Żołnierz obok mnie potrząsnął głową.

– Kurde. Nie możesz iść dalej.

Byłem załamany. Ale przyznaję, jednocześnie poczułem ulgę.

Znajdowaliśmy się na wiejskiej drodze. Na pobliskim polu stał ambulans. Powlokłem się ku niemu. Kiedy się zbliżyłem, medycy podsadzili mnie na otwartą klapę samochodu. Zbadali moją stopę i powiedzieli, że jeśli chodzi o mnie, ten marsz się skończył.

Pokiwałem głową, zgięty wpół.

Moja drużyna szykowała się do wymarszu.

– Do widzenia, chłopaki. Widzimy się z powrotem w obozie.

I wtedy pojawił się jeden z naszych sierżantów sztabowych. Sierżant Spence. Poprosił mnie na słówko. Zeskoczyłem z klapy ambulansu i dokuśtykałem za sierżantem pod pobliskie drzewo.

Odwrócony plecami do drzewa, przemówił do mnie spokojnym głosem. Pierwszy raz od miesiący na mnie nie wrzeszczał.

– Panie Wales, został panu jeden ostatni wysiłek. Zostało panu dosłownie dziesięć czy dwanaście kilometrów, to wszystko. Wiem, wiem, ma pan gówniany problem z nogą, ale sugeruję, żeby pan nie rezygnował. Wiem, że da pan radę. Pan wie, że da radę. Jeden wysiłek. Nigdy pan sobie nie wybaczy, jeśli pan tego nie zrobi.

I odszedł.

Dokuśtykałem z powrotem do ambulansu, poprosiłem o cały zapas opatrunku z tlenkiem cynku. Obandażowałem ciasno stopy i wcisnąłem z powrotem w buty.

W górę, w dół, naprzód, szedłem, próbując myśleć o czymś innym, żeby oderwać się od tej agonii. Zbliżyliśmy się do strumienia. Pomyślałem, że lodowata woda będzie błogosławieństwem. Ale nie. Czuję jedynie kamienie na dnie, wbijające się w gołe ciało.

Ostatnie sześć kilometrów należało do najtrudniejszych kroków, jakie kiedykolwiek postawiłem na tej planecie. Kiedy przekroczyliśmy linię mety, z ulgi zacząłem hiperwentylować.

Godzinę później, znów w obozie, wszyscy pozakładali tenisówki. Przez kilka kolejnych dni w naszych barakach powłóczyliśmy nogami jak staruszkowie.

Bardzo dumni staruszkowie.

W pewnym momencie dokuśtykałem do sierżanta Spence’a i podziękowałem mu.

Uśmiechnął się lekko i odszedł.

Choć byłem wykończony i trochę samotny, promieniałem. Nigdy w życiu nie czułem się lepiej, myślałem i widziałem o wiele jaśniej niż kiedykolwiek. To

uczucie przypominało to, co opisywali ludzie, którzy wstępowali do klasztorów. Cały czas byliśmy jak na hajcu.

Podobnie jak mnisi, każdy kadet miał swoją celę. Musiała być przez cały czas nieskazitelna. Nasze małe łóżka trzeba było ścielić – starannie. Nasze czarne buty trzeba było pastować – miały lśnić jak świeżo malowane. Drzwi naszych cel miały być stale otwarte – stale. Nawet jeśli zamykało się drzwi na noc na kłamkę, sierżant sztabowy mógł – i często istotnie tak robił – wkroczyć w dowolnym momencie.

Niektórzy kadeci skarżyli się gorzko.

– Żadnej prywatności!

Bawiło mnie to. Prywatność? A cóż to takiego?

Pod koniec każdego dnia siadywałem w mojej celi, pastowałem buty, plując na nie i pocierając, żeby błyszczały jak lustro, w których mogłem oglądać własną ostrzyżoną głowę. Wyglądało na to, że niezależnie, w jakiej instytucji lądowałem, fatalna fryzura była pierwszym punktem porządku dziennego. Potem pisałem esemesa do Chels (pozwolono mi zachować komórkę ze względów bezpieczeństwa). Mogłem jej powiedzieć, jak mi idzie i że za nią tęsknię. Później pożyczalem telefon innym kadetom, którzy chcieli napisać do swoich dziewczyn lub chłopaków.

Następnie gaszono światła.

Nie stanowiło to dla mnie problemu. Całkowicie przestałem bać się ciemności.

58

Teraz już oficjalnie. Nie byłem od tej pory księciem Harrym. Stałem się podporucznikiem Walesem z Blues and Royals, drugiego najstarszego regimentu w armii brytyjskiej, stanowiącego część Kawalerii Przybocznej, ochroniarzy monarchini.

Uroczysta parada na zakończenie szkolenia odbyła się 12 kwietnia 2006 roku.

Na miejscu byli tata i Camilla, dziadek, Tiggy i Marko.

I, rzecz jasna, babcia.

Nie pojawiała się na tego typu paradach od dziesięcioleci, więc jej obecność stanowiła niesamowity zaszczyt. Kiedy maszerowałem, uśmiechała się tak, żeby

wszyscy widzieli.

A Willy salutował. On teraz także był w Sandhurst. Kolega kadet (zaczął po mnie, ponieważ wcześniej był na uniwersytecie). Nie mógł przyjąć swojego typowego podejścia, które stosował, kiedy byliśmy w tych samych instytucjach, i udawać, że mnie nie zna – bo to byłaby niesubordynacja.

Przez krótką chwilę Zastępca przewyższał Następcę rangą.

Babcia przeprowadzała przegląd. Kiedy dotarła do mnie, powiedziała:

– Och, dzień dobry...

Uśmiechnąłem się. I zaczerwieniłem.

Po ceremonii promocji odegrano *Auld Lang Syne*, a następnie adiutant uczelni wjechał na białym koniu po stopniach Old College.

Na koniec odbył się lunch w Old College. Babcia wygłosiła uroczą mowę. Gdy dzień się skończył, dorośli poznikali i zaczęła się prawdziwa impreza. Noc ostrego picia i głośnego śmiechu. Chels była moją osobą towarzyszącą. W końcu urwał mi się film, co było niejako kolejnym etapem parady. Następnego ranka obudziłem się z szerokim uśmiechem i lekkim bólem głowy.

Kolejny przystanek, powiedziałem lusterku do golenia – Irak.

Konkretnie południowy Irak. Mój oddział miał zastąpić inny, który od miesiący prowadził zaawansowany rekonesans. Niebezpieczna robota, połączona z koniecznością nieustającego uważania na miny pułapki na drogach i na snajperów. W tym samym miesiącu zabitych zostało dziesięciu brytyjskich żołnierzy. W ciągu poprzednich sześciu miesięcy – czterdziestu.

Wejrzałem w swoje serce. Nie byłem przerażony. Byłem oddany. Byłem niecierpliwy. A poza tym: wojna, śmierć, cokolwiek, wszystko było lepsze niż pobyt w Wielkiej Brytanii, który sam w sobie stanowił swoistą odmianę wojny. Całkiem niedawno w gazetach ukazały się artykuły o tym, jak Willy nagrał mi wiadomość głosową, udając, że jest Chelsy. Opublikowano też materiał o tym, że poprosiłem JLP, żeby pomógł mi w pracy nad projektem dla Sandhurst. Przynajmniej obie te historie były prawdziwe. Pytanie brzmiało, jak prasa dotarła do tak bardzo prywatnych spraw.

Zaczynałem popadać w paranoję. Willy także. Skłoniło nas to do przemyślenia kwestii tej tak zwanej paranoi mamy, spojrzenia na nią z całkowicie odmiennej perspektywy.

Zaczęliśmy analizować nasz wewnętrzny krąg, wypytywać naszych najbliższych przyjaciół – i ich przyjaciół. Z kim rozmawiali? Komu się zwierzali? Nikt nie był poza podejrzeniami, ponieważ nikt nie mógł być. Zwątpiliśmy nawet w naszych ochroniarzy, których zawsze uwielbialiśmy (do diabła, sam przecież byłem teraz ochroniarzem – ochroniarzem królowej). Zawsze byli dla nas jak bracia. A teraz także byli podejrzani.

Przez ułamek sekundy zwątpiłem nawet w Marka. Tak toksyczna stała się podejrzliwość. Nikogo nie mogliśmy pominąć. Jakaś osoba albo osoby wyjątkowo bliskie mnie i Willy'emu podrzuciły informacje mediom, więc każdego trzeba było brać pod uwagę.

Jaką ulgą byłoby znaleźć się w strefie prawdziwych działań wojennych, gdzie to wszystko przestałoby stanowić część moich codziennych rachunków.

Błagam, zabierzcie mnie na pole bitwy, gdzie obowiązują jasne zasady zaangażowania.

Gdzie istnieje jakieś poczucie honoru.

CZEŚĆ II

PRZEKŁĘTY,
LECZ NIEUGIĘTY

CZEŚĆ II

PRZEKŁĘTY,
LECZ NIEUGIĘTY



W lutym 2007 roku brytyjskie Ministerstwo Obrony podało do publicznej wiadomości, że dostałem przydział – że będę dowodził grupą lekkich czołgów przy granicy Iraku, nieopodal Basry. Postanowione. Jechałem na wojnę.

Reakcja opinii publicznej była osobliwa. Połowa Brytyjczyków wpadła w furję, twierdząc, że to potworne narażać życie młodszego wnuka królowej. Zastępca czy nie, orzekli, nie jest rozsądne wysyłać członka rodziny królewskiej do strefy działań wojennych (coś takiego zrobiono pierwszy raz od dwudziestu pięciu lat).

Połowa natomiast powiedziała: brawo. Czemu Harry’emu miałyby przysługiwać specjalne traktowanie? Jakimż marnotrawstwem pieniędzy podatników byłoby wyszkolić chłopaka na żołnierza, a później go nie wykorzystać.

Jeśli zginie, to zginie, powiedzieli.

Wróg z pewnością uważał podobnie. Jak najbardziej, powiedzieli powstańcy, którzy starali się wywołać wojnę domową w całym Iraku, wyślijcie nam chłopaka.

Jeden z przywódców powstańców wystosował formalne zaproszenie, godne podwieczorku.

„Z zapartym tchem oczekujemy przybycia młodego, przystojnego, zepsutego księcia...”

Mieli dla mnie plan, powiedział przywódca powstańców. Zamierzali mnie porwać, a później postanowić, co ze mną zrobić: tortury, okup, śmierć.

W najwyraźniej oczywistej sprzeczności z tym planem zakończył obietnicą, że przystojny książę powróci do swojej babki „pozbawiony uszu”.

Pamiętam, że słuchałem tego i czułem, jak moje uszy robią się coraz gorętsze. Cofnąłem się myślami do dzieciństwa, kiedy przyjaciel zasugerował, że powinno mi się je chirurgicznie przyszpilić, żeby uniknąć rodzinnej klątwy albo ją odwrócić. Powiedziałem, spokojnie, nie.

Kilka dni później inny powstańczy przywódca przywołał moją matkę. Powiedział, że powinienem skorzystać z jej przykładu, zerwać z rodziną. „Zbuntuj się przeciwko imperialistom, Harry”.

Inaczej, ostrzegł, krew księcia „popłynie przez naszą pustynię”.

Powinienem się martwić, że coś z tego dotrze do Chelsy, ale odkąd zaczęliśmy ze sobą chodzić, prasa tak ją nękała, że w końcu całkowicie odcięła się od wiadomości. Gazety przestały dla niej istnieć. Internet był zakazany.

Jednak armia brytyjska od niczego się nie odcięła. Dwa miesiące po ogłoszeniu mojego przydziału najwyższy dowódca, generał Dannatt, nagle go odwołał. Wywiad brytyjski dowiedział się, że oprócz publicznych gróźb ze strony powstańczych dowódców moje zdjęcie jest dystrybuowane w grupie irackich snajperów z instrukcją, zgodnie z którą miałem być „podstawowym celem”. Chodziło o elitę snajperów, tych samych, którzy ostatnio zdjęli sześciu brytyjskich żołnierzy. Tak więc misja po prostu stała się zbyt niebezpieczna, dla mnie, dla każdego, kto miałby pecha znaleźć się tuż koło mnie. Stałem się, w ocenie Dannatta i innych, „magnesem przyciągającym kule”. Powodem tego, jak orzekł generał, była prasa. W publicznym oświadczeniu, w którym odwołano mój przydział, Dannatt przejechał się po dziennikarzach za rozdmuchiwanie relacji i za nieokiełznane spekulacje, które „podwyższyły” poziom zagrożenia.

Zespół taty także wydał publiczne oświadczenie, w którym stwierdzono, że jestem „wysoce rozczarowany”, co nie było prawdą. Byłem załamany. Kiedy po raz pierwszy dotarła do mnie ta informacja, znajdowałem się w koszarach w Windsorze, razem z moimi chłopcami. Dałem sobie chwilę na to, by się pozbierać, po czym przekazałem im złą wiadomość. Chociaż dopiero co spędziliśmy całe miesiące, podróżując i ćwicząc razem, i chociaż staliśmy się towarzyszami broni, teraz mieli zostać sami.

Nie chodziło tylko o moje uzalanie się nad sobą. Martwiłem się o swoją drużynę. Ktoś inny miał zająć się robotą, która należała do mnie, a ja już na zawsze będę musiał żyć z pytaniami, z poczuciem winy. A co, jeśli ten ktoś okaże się kiepski?

W kolejnym tygodniu kilka gazet napisało, że jestem pogrążony w depresji. Jedna czy dwie donosiły natomiast, że gwałtowny zwrot akcji w sprawie mojego przydziału był moim własnym dziełem. Historia tchórza, znów. Twierdzili, że za kulisami naciskałem moich przełożonych, żeby pociągnęli za sznurki.

Rozważałem odejście z armii. Jaki był sens zostawać, skoro nie mogłem naprawdę być żołnierzem?

Przedyskutowałem to z Chels. Była rozdarta. Z jednej strony nie potrafiła ukryć ulgi. Z drugiej wiedziała, jak bardzo chciałem być tam, z moim oddziałem. Wiedziała, że od dawna czułem się prześladowany przez prasę i że armia stała się jedynym zdrowym ujściem, jakie znalazłem.

Wiedziała też, że wierzyłem w misję.

Przedyskutowałem to z Willym. Jego emocje też były skomplikowane. Współczuł mi jako żołnierz. Ale jako brat? Jako wysoce rywalizacyjny starszy brat? Nie był w stanie zmusić się do tego, żeby w pełni żałować takiego biegu wydarzeń.

Na ogół Willy i ja nie angażowaliśmy się w cały ten nonsens z Następcą i Zastępcą. Ale od czasu do czasu coś sprowadzało mnie na ziemię i uświadamiałem sobie, że na pewnym poziomie miało to dla niego znaczenie. Zawodowo, osobiście przejmował się moją pozycją, tym, co robiłem.

Nie znajdując pociechy u nikogo z bliskich, szukałem jej w wódce i red bullu. I w ginie z tonikiem. W tym okresie fotografowano mnie w późnych godzinach nocnych, wchodzącego do albo wychodzącego z niezliczonych pubów, klubów, domówek.

Nie przepadałem za tym, że po przebudzeniu znajdowałem swoje zdjęcie na pierwszej stronie tabloidu. Przede wszystkim jednak nie potrafiłem znieść odgłosu robienia zdjęć. To kliknięcie, ten potworny dźwięk, znad mojego ramienia albo zza pleców, albo z obrzeża mojego pola widzenia, zawsze mnie triggerował, zawsze sprawiał, że serce zaczynało mi walić, przy czym po Sandhurst kojarzył mi się z odciąganiem kurka strzelby albo otwieraniem składanego noża. A potem następowało to, co było jeszcze gorsze, jeszcze bardziej traumatyczne – oślepiający błysk flesza.

Świetnie, myślałem. Armia sprawiła, że potrafiłem lepiej rozpoznawać zagrożenie, wyczuwać je, przeżywałem skok adrenaliny w obliczu zagrożeń, a teraz armia mnie odrzuca.

Byłem w bardzo, bardzo złym stanie.

Paparazzi skądś to wiedzieli. W tym mniej więcej czasie zaczęli wpadać na mnie z aparatami, specjalnie starając się mnie sprowokować. Ocierali się o mnie, klepali, szturchali albo po prostu przywalali mi w nadziei, że coś wywołają, że wezmę odwet, ponieważ w ten sposób powstałoby lepsze zdjęcie, a co za tym idzie – więcej pieniędzy wpłynęłoby do ich kieszeni. Moja fotka w 2007 roku była warta około trzydziestu tysięcy funtów. Zadatek na mieszkanie. Ale fotka ze mną w ataku agresji? Mogła być warta tyle, ile zadatek na dom na wsi.

Wdałem się w jedną bójkę, która stała się wielkim newsem. Wyszedłem z niej z opuchniętym nosem, a mój ochroniarz był wściekły.

– Harry, dałeś tym paparazzim zarobić majątek! Zadowolony?!

Zadowolony? Nie, odpowiedziałem. Nie jestem zadowolony.

Paparazzi zawsze byli groteskowi, ale odkąd osiągnąłem dojrzałość, stali się jeszcze gorsi. Mogłeś to zobaczyć w ich oczach, w mowie ciała. Byli coraz zuchwalsi, radykalizowali się, podobnie jak radykalizowali się młodzi mężczyźni w Iraku. Ich mułkami byli redaktorzy naczelni, ci sami, którzy po śmierci mamy przyrzekali poprawę. Redaktorzy naczelni publicznie obiecywali, że nigdy już nie wyślą fotografów, żeby kogokolwiek ścigali, a tymczasem teraz, dziesięć lat później, wrócili do starych nawyków. Usprawiedliwiali się, że nie wysyłają już własnych fotografów, nie bezpośrednio. Zamiast tego zawierali kontrakty z agencjami paparazzich, minimalna różnica. Redaktorzy naczelni wciąż podzegli i wciąż hojnie wynagradzali męty i przegrywów, żeby śledzili rodzinę królewską czy kogokolwiek innego, kto miał pecha zostać uznanym za sławnego albo wartego publikacji.

I wyglądało na to, że wszyscy mają to gdzieś. Pamiętam, jak wychodziłem z londyńskiego klubu, a wokół mnie tłoczyło się dwudziestu paparazzich. Otoczyli mnie, później otoczyli wóz policyjny, w którym siedziałem, rzucając się na maskę, wszyscy z twarzami osłoniętymi piłkarskimi szalami i zakapturzeni, w typowym stroju terrorystów z całego świata. Była to jedna z najbardziej przerażających chwil w moim życiu i wiedziałem, że nikogo to nie obchodzi. Cena, jaką płacisz, powiedzieliby ludzie, chociaż nigdy nie rozumiałem, co mieli na myśli.

Cena za co?

Byłem szczególnie blisko z jednym z moich ochroniarzy, Billym. Nazywałem go Billy Rock, bo był solidny i spolegliwy jak skała. Raz rzucił się na granat, którym

ktoś z tłumu we mnie cisnął. Na szczęście okazało się, że granat nie był prawdziwy. Obiecywałem Billemu, że nie będę już odpychał paparazzich. Nie mogłem jednak tak po prostu wchodzić w ich pułapki. Więc kiedy wyszliśmy z klubu, powiedziałem:

– Będziesz musiał wcisnąć mnie do bagażnika, Billy.

Spojrzał na mnie osłupiały.

– Naprawdę?

– To jedyny sposób, żeby mnie nie podkusiło rzucić się na nich i żeby nie mogli nic na mnie zarobić.

Podwójne zwycięstwo.

Nie powiedziałem Billy'emu, że było to coś, co robiła moja matka.

W ten sposób wypracowaliśmy sobie bardzo dziwne zwyczaje. W 2007 roku, kiedy opuszczałem pub albo klub, czekał na mnie samochód zaparkowany w tylnej alejce albo na podziemnym parkingu, włąziłem do bagażnika, Billy zamykał klapę, a ja leżałem w ciemności, z rękami na piersiach, kiedy on razem z drugim ochroniarzem wieźli mnie do domu. Czułem się jak w trumnie. Miałem to gdzieś.

3

Dla uczczenia dziesiątej rocznicy śmierci naszej matki zorganizowaliśmy z Willym koncert ku jej czci. Zyski miały trafić do jej ulubionych organizacji dobroczynnych i do nowej organizacji, którą niedawno założyłem – Sentebale. Jej misją była walka z epidemią HIV w Lesotho, zwłaszcza wśród dzieci (*sentebale* w sesotho oznacza niezapominajkę, ulubiony kwiat mamy).

Planowaliśmy z Willym koncert zupełnie na zimno, bez emocji. To tylko interesy. To rocznica, musimy to zrobić, jest milion detali, kropka. Wydarzenie musiało być naprawdę wielkie (stadion Wembley), bilety sporo kosztowały (czterdzieści, pięćdziesiąt funtów), a artyści musieli być z najwyższej półki (Elton John, Duran Duran, P. Diddy). Ale kiedy nadszedł wieczór koncertu i stanęliśmy za kulisami, spojrzeliśmy na te wszystkie twarze, poczuliśmy pulsującą energię, tę skumulowaną miłość do naszej matki i tęsknotę za nią, pękliśmy.

Wtedy na scenę wszedł Elton. Zasiadł przed wielkim fortepianem, a widownia oszalała. Poprosiłem go, żeby zaśpiewał *Candle in the Wind*, ale odmówił, nie chciał przeszarżować. Wybrał *Your Song*.

Ufam, że ci nie przeszkadza

Że ująłem w słowa

Jak cudowne jest życie, gdy jesteś na świecie.

Śpiewał, mrugając okiem, rozpromieniony, uśmiechając się do dobrych wspomnień. Willy i ja próbowaliśmy poczuć tę samą energię, ale wtedy zdjęcia mamy zaczęły pojawiać się na ekranie. Każde kolejne bardziej promienne od poprzedniego. Już nie byliśmy załamani, wryło nas w ziemię.

Piosenka się skończyła, Elton poderwał się i przedstawił nas:

– Ich królewskie wysokości, księżę William i księżę Harry!

Brawa były ogłuszające, nigdy nie słyszeliśmy nic podobnego. Oklaskiwano nas na ulicach, podczas gry w polo, na paradach, w operze, ale nigdy w miejscu tak ogromnym ani w sytuacji takiego napięcia. Willy wyszedł, ja ruszyłem za nim, obaj mieliśmy blezery i koszule, jakbyśmy wybierali się na szkolną potańcówkę. Obaj byliśmy potwornie zdenerwowani. Nie przywykliśmy do przemawiania publicznie na żaden temat, a już zwłaszcza na temat mamy (w gruncie rzeczy nie przywykliśmy do tego, żeby rozmawiać o niej prywatnie). Stojąc przed sześćdziesięcioma pięcioma tysiącami ludzi, wiedząc, że kolejne pięćset milionów w stu czterdziestu krajach ogląda nas na żywo, zdrętwieliśmy.

Być może właśnie dlatego tak naprawdę... nic nie powiedzieliśmy? Oglądam to nagranie teraz i uderza mnie to. Była to chwila, może najlepsza chwila, w której mieliśmy szansę o niej opowiedzieć, sięgnąć głęboko i znaleźć słowa, by przypomnieć światu o jej szlachetnych cechach, o jej czarze, jednym na tysiąclecie – i o jej zniknięciu. Ale nie zrobiliśmy tego. Nie sugeruję, że obszerny hołd byłby na miejscu, ale może jakieś małe osobiste wspomnienie?

Nie podzieliliśmy się niczym takim.

Wciąż byliśmy przytłoczeni, wszystko było zbyt świeże.

Jedyną rzeczą, jaką powiedziałem, która była autentyczna, prosto z serca, były pozdrowienia dla mojej drużyny.

– Chciałbym też wykorzystać ten moment, żeby pozdrowić wszystkich chłopców ze szwadronu A Kawalerii Przybocznej, którzy w tej chwili służą w Iraku! Chciałbym być z wami, przykro mi, że nie mogę! Ale wam i wszystkim innym, którzy teraz są na misjach, obaj chcemy powiedzieć: „Wracajcie bezpiecznie!”.

4

Kilka dni później byłem w Botswanie z Chels. Zatrzymaliśmy się u Teej i Mike’a. Dołączył do nas także Adi. Pierwsze zetknięcie tych czworga ważnych dla mnie ludzi. Czuję się, jakbym przyprowadził Chels do domu, żeby poznała mamę, tatę i starszego brata. Wielki krok, wszyscy zdawaliśmy sobie z tego sprawę.

Na szczęście Teej, Mike i Adi ją pokochali. A ona także dostrzegła, jak byli wyjątkowi.

Pewnego popołudnia, kiedy wybieraliśmy się na spacer, Teej zaczęła mnie upominać.

– Weź kapelusz!

– Dobra, dobra.

– I krem z filtrem! Mnóstwo kremu z filtrem! Spike, usmażysz się z tą swoją białą skórą!

– W porządku!

– Spike...

– W pooooorządku, matko!

To słowo po prostu samo wyskoczyło mi z ust. Usłyszałem je i zatrzymałem się. Teej usłyszała i zatrzymała się. Nie poprawiłem się. Teej wyglądała na zaszokowaną, ale też na wzruszoną. Ja także byłem wzruszony. Od tego czasu stale nazywałem ją matką. To było bardzo miłe dla nas obojga. Chociaż pilnowałem się, żeby nazywać ją matką, a nie mamą.

Miałem tylko jedną mamę.

Bardzo szczęśliwe spotkanie, tak ogólnie. A jednak wciąż obecny był pewien podtekst, stres. Było to widać po tym, ile piłem.

W pewnym momencie Chels i ja wzięliśmy łódź, żeby popływać po rzece, i w zasadzie pamiętam przede wszystkim southern comfort i sambucę (sambuca gold w dzień, sambuca black na noc). Pamiętam, jak budziłem się rano z twarzą wciśniętą w poduszkę, przy czym moja głowa wydawała się nieprzymocowana do karku. Bawiłem się świetnie, jasne, ale też na swój sposób próbowałem radzić sobie z nierozwiązanym problemem wściekłości i poczucia winy, związanych z tym, że nie jestem na wojnie – nie dowodzę swoimi chłopcami. I nie radziłem sobie z tym zbyt dobrze. Chels, Adi, Teej i Mike nic nie mówili. Może niczego nie dostrzegali. Prawdopodobnie nieźle mi szło ukrywanie wszystkiego. Z zewnątrz moje picie wyglądało pewnie na imprezowanie. I sam powtarzałem sobie, że właśnie o to chodzi. Ale w głębi, na jakimś poziomie, wiedziałem.

Coś musiało się zmienić. Nie mogłem tak dłużej funkcjonować.

Więc w chwili, w której wróciłem do Anglii, poprosiłem o spotkanie z moim oficerem dowodzącym, pułkownikiem Edem Smythem-Osournem.

Podziwiałem pułkownika Eda. I byłem nim zafascynowany. Nie był poskładany tak jak inni mężczyźni. Jeśli już o to chodzi, nie był poskładany tak jak żaden człowiek, którego znałem. Różnica leżała w podstawowych elementach. Żelazny złom, wełna stalowa, lwia krew. Nawet wyglądał inaczej. Miał długą twarz, jak u konia, ale bez końskiej gładkości: z wyraźną kępką włosów na każdym policzku. Miał wielkie spokojne oczy, zdolne wyrażać mądrość i stoicką postawę. Tymczasem moje oczy wciąż były zaczerwienione po hulankach na Okavango i kiedy wygłaszałem swoje przemówienie, cały czas uciekałem wzrokiem.

– Pułkowniku, muszę znaleźć sposób, żeby wrócić do czynnej służby, inaczej będę musiał opuścić armię.

Nie jestem pewien, czy pułkownik Ed uwierzył w moją groźbę. Nie jestem pewien, czy sam w nią wierzyłem. Nadal jednak, z powodów politycznych, dyplomatycznych i strategicznych, nie mógł pozwolić sobie na to, żeby ją zlekceważyć. Książę w siłach zbrojnych stanowił poważny atut z punktu widzenia PR-u, cenne narzędzie rekrutacyjne. Nie mógł zignorować faktu, że gdybym uciekł, przełożeni mogliby go za to obwinić, podobnie jak ich przełożeni, w górę przez cały łańcuch dowodzenia.

Z drugiej strony tym, co u niego dostrzegłem tamtego dnia, było przede wszystkim autentyczne człowieczeństwo. Ten facet zrozumiał, o co chodzi. Jako

żołnierz współczuł mi. Wzdrygnął się na myśl o byciu trzymanym z dala od walki. Naprawdę chciał pomóc.

– Harry, być może istnieje sposób...

Irak już nie wchodził w grę, powiedział. Niestety.

– Bez dwóch zdań, obawiam się. Ale może – dodał – Afganistan jest jakąś opcją. Zrobiłem zeza.

– Afganistan?

Wymruczał coś o „bezpieczniejszej opcji”.

– Tia... Bezpieczniejsza.

Co on, do licha, wygadywał? Afganistan był bez porównania niebezpieczniejszy niż Irak. W tym momencie Wielka Brytania miała w Afganistanie siedem tysięcy żołnierzy i codziennie okazywało się, że angażują się w najgwałtowniejsze walki od czasów II wojny światowej.

Ale kim byłem, żeby się kłócić? Jeśli pułkownik Ed uznał, że Afganistan jest bezpieczniejszy i gotów był mnie tam wysłać, wspaniale.

– Jakie zadania miałbym wykonywać w Afganistanie, pułkowniku?

– FAC. Kontroler wysuniętych sił lotniczych.

Zamrugalem.

Wysoce pożądane zadanie, wyjaśnił. Kontrolerzy mieli za zadanie kierować wszystkimi siłami powietrznymi, zabezpieczać chłopaków w terenie, meldować o potrzebie nalotów – nie wspominając o operacjach ratunkowych, ewakuacjach medycznych i tak dalej. Jasne, nie było to nowe zajęcie, ale w tej wojnie nowego typu nabrało wagi.

– Czemu, sir?

– Ponieważ ci cholerni talibowie są wszędzie! I nigdzie!

Po prostu nie sposób ich znaleźć, wyjaśnił. Teren jest zbyt nierówny, zbyt niedostępny. Góry i pustynie, podziurawione tunelami i jaskiniami – to jak polowanie na kozice. Albo na duchy. Musisz mieć widok z lotu ptaka.

Ponieważ talibowie nie mieli sił powietrznych, ani jednego samolotu, nie było to trudne. My, Brytyjczycy, razem z Jankesami, panowaliśmy na niebie. A FAC pomagał nam wykorzystać tę przewagę. Powiedzmy, że szwadron na patrolu potrzebował dowiedzieć się, jakie są zagrożenia w pobliżu. FAC sprawdzał teren za

pomocą dronów, zbierał informacje od myśliwców i helikopterów, analizował na swoim nowoczesnym laptopie i tworzył trzystusześćdziesięciostopniowy obraz pola bitwy.

Powiedzmy, że ten sam szwadron nagle znalazł się pod ostrzałem. FAC sprawdzał, co ma w menu – Apache, Tornado, Mirage, F-15, F-16, A-10 – i wysyłał samolot najbardziej odpowiedni w danej sytuacji, albo najlepszy z dostępnych, a później naprowadzał go na wroga. Wykorzystując nowatorskie oprogramowanie, FAC nie spuszczał po prostu ognia na głowę wroga, umieszczał go na niej, jak koronę.

Później pułkownik powiedział mi, że każdy FAC ma szansę polecieć hawkiem i doświadczyć bycia w powietrzu.

Zanim pułkownik Ed skończył, ja już śliniłem się na samą myśl.

– A zatem FAC, sir. Kiedy wyjeżdżam?

– Nie tak prędko.

FAC to wspaniałe zadanie. Każdy je chce. Więc jest z tym trochę zachodu. Poza tym to skomplikowana robota. Cała ta technologia i odpowiedzialność wymagają długiego treningu.

Wszystko po kolei, powiedział. Będę musiał przejść niełatwy proces certyfikacji.

– Gdzie, sir?

– W bazie RAF Leeming.

– W... dolinach Yorkshire?

5

Wczesna jesień. Kamienne murki, patchworkowe pola, owce podjadające trawę na zboczach. Robiące wrażenie wapienne klify, granie i osypiska. W każdą stronę ciągną się przepiękne purpurowe wrzosowiska. Ten krajobraz nie był tak sławny jak leżąca nieco na zachód Kraina Jezior, ale tak czy inaczej zapierał dech w piersi i stanowił natchnienie dla wielu wielkich artystów w brytyjskiej historii. Na przykład Wordswortha. Udało mi się uniknąć czytania tekstów staruszka w szkole, ale teraz myślałem, że musiał być cholernie dobry, skoro spędzał czas gdzieś w tych okolicach.

Stanie na klifie ponad tym miejscem i rozważanie, jak zrównać je z ziemią, wydawało się niemal świętokradztwem.

Oczywiście tylko udawałem, że próbuję zrównać cokolwiek z ziemią. Nigdy nie wysadziłem ani jednej doliny. Wciąż jednak pod koniec każdego dnia czułem się, jakbym to zrobił. Studiowałem Sztukę Zniszczenia i pierwszą rzeczą, jakiej się nauczyłem, było to, że zniszczenie jest w pewnej mierze twórcze. Zaczyna się w wyobraźni. Zanim coś zniszczysz, musisz wyobrazić to sobie już zniszczone, a ja stawałem się coraz lepszy w wyobrażaniu sobie dolin jako dymiącego piekła.

Każdy dzień wyglądał tak samo. Pobudka o świcie. Szklanka soku pomarańczowego, miska owsianki, później pełne angielskie śniadanie i ruszaliśmy w pole. Kiedy pierwszy brzask pojawiał się nad horyzontem, zaczynałem prowadzić rozmowy z samolotem, zwykle z hawkiem. Samolot osiągał swój punkt początkowy, pięć do ośmiu mil morskich od nas, a ja wskazywałem cel i dawałem sygnał do ataku. Samolot obracał się i rozpoczynał atak. Prowadziłem go przez chmury, nad wioskami, wykorzystując różne punkty orientacyjne. Stos drzewa w kształcie litery L. Grobla w kształcie litery T. Srebrny barak. Uczono mnie, że wybierając punkty orientacyjne, mam zaczynać od dużych, przechodzić do średnich, a później wybierać coś małego. Przedstaw sobie świat zhierarchizowany.

Zhierarchizowany, mówicie? Myślę, że z tym dam sobie radę.

Za każdym razem, kiedy wskazywałem punkt orientacyjny, pilot odpowiadał:

– Potwierdzam.

Albo jeszcze:

– Mam kontakt wzrokowy. – Podobało mi się to.

Podobały mi się rytm, poetyckość, medytacyjny zaśpiew tego wszystkiego. Odkrywałem też w tych ćwiczeniach głębsze znaczenie. Często myślałem: to cała gra, czyż nie? Sprawić, żeby ludzie widzieli świat tak, jak ty go widzisz? I powtarzali ci wszystko?

Zazwyczaj pilot musiał lecieć nisko, pięćset stóp znad pokładu lotniskowca, wyrównując do wschodzącego słońca, ale czasem kierowałem go jeszcze niżej, zmuszając następnie do szybkiego wzbicia się do góry. Mknął w moją stronę z prędkością dźwięku i następnie podrywał się, wystrzeliwując w górę pod kątem 45 stopni. Następnie zaczynałem podawać nową serię opisów, nowe szczegóły. Kiedy osiągał szczyt swojej świecy i zwijał skrzydła, kiedy wyrównywał lot

i zaczynał odczuwać siłę grawitacji, mógł zobaczyć świat takim, jakim go odmalowałem, i zanurkować.

Wtedy wydawał nagły okrzyk:

– Cel namierzony! – I zaraz: – Nad ziemią!

A ja odpowiadałem:

– Łąd czysty.

Co oznaczało, że jego bomby to tylko duchy rozpływające się w powietrzu^[8].

Następnie czekałem, nasłuchując uważnie udawanych wybuchów.

I tak mijały tygodnie.

6

Odkąd zostałem wyszkolonym FAC, musiałem być gotów do walki, co oznaczało opanowanie dwudziestu ośmiu różnych bojowych systemów kontroli.

System kontroli to zasadniczo sposób wchodzenia w interakcję z samolotem. Każdy z nich był jakby scenariuszem, małym dramatem. Na przykład wyobraźcie sobie dwa samoloty wlatujące w twoją przestrzeń powietrzną. „Dzień dobry, tu gość Zero Jeden i gość Zero Dwa. Jesteśmy parą F-15, dwa PGM-y na pokładach plus system JDAM, dostaliśmy dziewięćdziesiąt minut, jesteśmy obecnie dwie mile morskie na wschód od twojego położenia, poziom lotu 150, czekamy na kontakt...”

Musiałem dokładnie wiedzieć, co mówią i jak odpowiedzieć w identycznym żargonie.

Niestety, nie mogłem uczyć się tego w normalnym ośrodku treningowym. Normalne miejsca, jak równina Salisbury, były zbyt otwarte. Ktoś mógłby mnie zobaczyć, poinformować prasę i moja przykrywka przestałaby istnieć: znalazłbym się z powrotem w punkcie wyjścia. W tej sytuacji razem z pułkownikiem Edem postanowiliśmy, że powinienem uczyć się komend w jakimś odległym miejscu... w miejscu takim jak...

Sandringham.

Obaj uśmiechnęliśmy się, kiedy naszła nas ta myśl. A potem wybuchnęliśmy śmiechem.

Ostatnie miejsce, o którym ktokolwiek mógłby pomyśleć, że księżę Harry tam właśnie szkoli się do walki. Wiejska posiadłość babci.

Dostałem pokój w hoteliku w pobliżu Sandringham – Knights Hill. Znałem to miejsce przez całe moje życie, przejeżdżałem obok niego milion razy. Ilekroć odwiedzaliśmy babcię na Gwiazdkę, spali tam nasi ochroniarze. Standardowy pokój „sto funtów”.

Latem Knights Hill pełen był obserwatorów ptaków i przyjęć weselnych. Ale teraz, jesienią, był pusty.

Prywatność była podniecająca, przy czym byłaby zupełna, gdyby nie starsza dama w pubie przylegającym do hotelu. Obserwowała mnie, wytrzeszczając oczy, ilekroć przechodziłem.

Sam, niemal anonimowy, całe moje istnienie sprowadzone do jednego interesującego zadania. Byłem rozgorączkowany. Próbowałem nie mówić tego Chelsy, kiedy dzwoniłem do niej wieczorami, ale szczęście tego rodzaju trudno było ukryć.

Przypominam sobie jedną trudną rozmowę. Co robimy? Dokąd zmierzamy?

Wiedziała, że mi na niej zależy. Ale nie czuła się dostrzeżona.

– Mnie nie widać.

Wiedziała, jak rozpaczliwie chciałem iść na wojnę. Jak to możliwe, że nie potrafiła wybaczyć mi, że jestem trochę nieprzytomny? Byłem zbity z tropu.

Wyjaśniałem, że robię to, co muszę, to, co pragnąłem całe moje życie, i że muszę oddać się temu sercem i duszą. Jeśli miałoby to znaczyć, że będę miał mniej serca i duszy na cokolwiek czy kogokolwiek innego, cóż... Przykro mi.

7

Tata wiedział, że mieszkałem w Knights Hill, wiedział, co planuję. Był tuż obok, odbywał dłuższą wizytę w Sandringham.

A jednak nigdy nawet do mnie nie zajrzał. Jak sądzę, dawał mi przestrzeń.

Poza tym wciąż jeszcze przechodził fazę miesiąca miodowego, mimo że ślub odbył się dwa lata temu.

Aż pewnego dnia spojrział w niebo i zobaczył samolot Typhoon wykonujący niski przelot wzdłuż falochronu i zrozumiał, że to muszę być ja. Wskoczył więc do swojego audi i ruszył naprzód.

Znalazł mnie na moczarach, na quadzie, rozmawiającego z oddalonym o kilka kilometrów typhoonem. Kiedy czekałem, aż samolot pojawi się na niebie nad nami, odbyliśmy krótką pogawędkę. Powiedział, że widzi, jak dobry robię się w tej nowej pracy. A przede wszystkim że widzi, jak ciężko pracuję, i jest tym zachwycony.

Tata zawsze był pracusiem. Wierzył w pracę. Każdy musi pracować, powtarzał często. Przy czym akurat jego praca była dlań zarazem czymś w rodzaju religii, ponieważ jak szalony próbował ratować planetę. Walczył od dziesięcioleci, żeby uczulić ludzi na problem zmian klimatu, nigdy się nie ugiął, chociaż prasa okrutnie się z niego wyśmiewała. Niezliczoną ilość razy późną nocą razem z Willym znajdowaliśmy go przy biurku, wśród stosów wypchanych niebieskich worków pocztowych – jego korespondencja. Więcej niż raz odkrywaliśmy, że zasnął z głową na biurku. Potrzęsaliśmy go za ramię, a on podrywał się z kawałkiem papieru przyklejonym do czoła.

Przy czym wierzył nie tylko w znaczenie pracy, ale też w magię latania. W końcu był pilotem helikoptera, więc szczególnie podobało mu się patrzeć, jak sterując odrzutowcami ponad bagnistą równiną, z piekielną szybkością. Wspomniałem mu, że zacni obywatele Wolferton nie podzielają jego entuzjazmu. Dziesięcotonowy odrzutowiec przelatujący z rykiem tuż nad ich pokrytymi gontem dachami nie wywoływał raczej radości. Baza RAF Marham otrzymała dziesiątki skarg. Sandringham miało być strefą wolną od lotów.

Wszyscy skarżący się usłyszeli to samo: to jest wojna.

Byłem zachwycony, widząc tatę, szczęśliwy, mogąc poczuć jego dumę, i czułem się podniesiony na duchu jego pochwałami, ale musiałem wracać do roboty. Byłem w środku ćwiczeń i nie mogłem powiedzieć typhoonowi, żeby chwilę zaczekał.

– Tak, tak, kochany chłopcze, wracaj do pracy.

Odjechał. Kiedy ruszył drogą, przekazałem typhoonowi:

– Nowy cel. Szare audi. Porusza się na południowy zachód od mojej pozycji, drogą. W kierunku wielkiej srebrnej stodoły, zorientowanej wschód–zachód.

Typhoon śledził tatę, zszedł nisko tuż nad nim, niemal rozbijając okna jego audi.

Ale ostatecznie go oszczędził. Na mój rozkaz.

Ruszył rozsadzić srebrną stodołę na drobne kawałki.

8

Anglia znalazła się w 2007 roku w półfinałach pucharu świata w rugby. Nikt tego nie przewidział. Tym razem nikt nie wierzył, że Anglia ma coś do zaprezentowania, a tymczasem nasi znaleźli się o włos od pełnego zwycięstwa. Miliony Brytyjczyków, nie wyłączając mnie, ogarnęła gorączka rugby.

Więc kiedy zaproszono mnie, żebym był obecny na październikowych półfinałach, nie wahałem się. Natychmiast powiedziałem „tak”.

Bonus: półfinały w tym roku odbywały się w Paryżu – w mieście, w którym nigdy jeszcze nie byłem.

Puchar świata zapewnił mi kierowcę, a ja podczas mojej pierwszej nocy w mieście światła spytałem, czy zna tunel, w którym moja matka...

Widziałem w lusterku jego oczy, rozszerzające się.

Był Irlandczykiem o miłej, otwartej twarzy i łatwo mogłem odczytać jego myśli: co, do cholery? Na to się nie pisałem.

Powiedziałem mu, że tunel nazywa się Pont de l'Alma.

Tak, tak. Znał go.

– Chcę przez niego przejechać.

– Chce pan przejechać przez tunel?

– Z prędkością stu pięciu kilometrów na godzinę, żeby być bardziej precyzyjnym.

– Stu pięciu?

– Tak.

Z dokładnie taką prędkością jechał podobno, według policji, samochód mamy w czasie wypadku. Nie dwieście kilometrów na godzinę, jak pierwotnie raportowała prasa.

Kierowca spojrział w kierunku siedzenia dla pasażera. Billy Rock potwierdził z powagą:

– Tak zrobimy.

Billy dodał, że jeśli kierowca kiedykolwiek wyjawি komukolwiek, że go o to poprosiliśmy, znajdziemy go i słono nam za to zapłaci.

Kierowca uroczyście skinął głową.

Ruszyliśmy, lawirując wśród korków, okrążając Ritza, gdzie tamtej sierpniowej nocy mama zjadła swój ostatni posiłek w towarzystwie swojego chłopaka. Dotarliśmy do tunelu. Ruszyliśmy naprzód, przeskakując nad wybojem przy samym wjeździe – uderzenie o niego miało podobno wyrzucić mercedesa mamy z kursu.

Ale ten wybój był niczym. Ledwie go poczuliśmy.

Kiedy samochód wjechał do tunelu, wychyliłem się do przodu, patrząc, jak światło zmienia się, nabierając wodniście pomarańczowej barwy, patrząc na przemykające obok nas betonowe filary. Liczyłem je, liczyłem uderzenia swojego serca, gdy tymczasem po kilku sekundach wynurzyliśmy się z drugiej strony.

Usiadłem prosto. Cicho powiedziałem:

– I to wszystko? To takie... nic. Zwykły prosty tunel.

Zawsze wyobrażałem sobie ten tunel jako jakiś zdradliwy korytarz, niebezpieczny z samej swojej natury, tymczasem był to krótki, prosty, pozbawiony ozdób tunel.

– Nie ma powodu, żeby ktokolwiek kiedykolwiek miał tu umierać.

Kierowca i Billy nic nie odpowiedzieli.

Wyjrzałem przez okno.

– Jeszcze raz.

Kierowca zagapił się na mnie w lusterku.

– Jeszcze raz?

– Tak, poproszę.

Raz jeszcze przejechaliśmy przez tunel.

– Wystarczy. Bardzo dziękuję.

Był to naprawdę zły pomysł. Miałem masę złych pomysłów w czasie mojego dwudziestotrzyletniego życia, ale ten był wyjątkowo nieprzemyślany. Powiedziałem sobie, że potrzebuję zamknięcia, ale w gruncie rzeczy wcale tak nie było. W głębi serca miałem nadzieję, że w tym tunelu pocuję to samo, co czułem,

kiedy JLP dał mi akta policyjne – niedowierzanie. Wątpliwości. Tymczasem tej właśnie nocy wszystkie wątpliwości się rozwiały.

Ona nie żyje, pomyślałem. Mój Boże, naprawdę odeszła na zawsze.

Uzyskałem zamknięcie, którego udawałem, że szukam. Uzyskałem go w nadmiarze. A teraz już nigdy nie będę się w stanie tego pozbyć.

Myślałem, że przejechanie tunelu położy kres albo zapewni krótką ulgę w bólu, w nieubłaganym bólu, który odczuwałem od dekady. Tymczasem przyniosło mi Ból, Część Drugą.

Była prawie pierwsza w nocy. Kierowca zawiózł mnie i Billy'ego do baru, gdzie piłem i piłem. Było tam kilku kolesi, piłem razem z nimi, z kilkoma próbowałem wszcząć bójkę. Kiedy wyrzucono nas z pubu, kiedy Billy Rock eskortował mnie z powrotem do hotelu, próbowałem także z nim się pobić. Warczałem na niego, zamachnąłem się, trzepnąłem go w głowę.

Nawet nie zareagował. Po prostu skrzywił się, jak ultracierpliwy rodzic.

Trzepnąłem go ponownie. Kochałem go, ale zaparłem się, żeby go zranić.

Widział mnie już kiedyś w takim stanie. Raz, może dwa razy. Słyszałem, jak mówi do innego ochroniarza:

– Dziś rozrabia.

Och, chcesz zobaczyć, co to znaczy rozrabiać? Proszę bardzo, oto jest rozróżba.

W jakiś sposób Billy'emu i drugiemu ochroniarzowi udało się zaprowadzić mnie do mojego pokoju i wepchnąć do łóżka. Kiedy tylko wyszli, natychmiast się poderwałem.

Rozejrzałem się po pokoju. Słońce właśnie wschodziło. Wyszedłem na zewnątrz, na korytarz. Ochroniarz siedział na krześle koło drzwi, ale spał twardo. Minąłem go na palcach, dotarłem do windy, wyszedłem z hotelu.

Ze wszystkich reguł rządzących moim życiem tę uważano za najbardziej żelazną. Nigdy nie oddalaj się od ochroniarzy. Nigdy nie snuj się nigdzie sam, a już zwłaszcza nigdy w obcym mieście.

Szedłem wzdłuż Sekwany. Zerkałem z daleka na Champs-Élysées. Stałem obok jakiegoś wielkiego diabelskiego młyna. Przechodziłem koło straganów bukinistów, mijalem ludzi, piłem kawę, jadłem croissanta. Palilem, nie skupiając na niczym wzroku. Mam mgliste wspomnienie, że kilka osób mnie rozpoznało i gapilo

się, ale na szczęście było to przed epoką smartfonów. Nikt mnie nie zatrzymał, żeby zrobić mi zdjęcie.

Później, kiedy już się przespałem, zadzwoniłem do Willy'ego i opowiedziałem mu o mojej nocy.

Nic z tego nie było dla niego nowością. Jak się okazało, on także przejechał się tunelem.

Przyjeżdżał do Paryża na finały rugby. Postanowiliśmy zrobić to razem.

Później rozmawialiśmy o wypadku, pierwszy raz w życiu. Rozmawialiśmy o najnowszym dochodzeniu. Zgodziliśmy się, że to była kpina. Ostateczny pisemny raport był dosłownie obraźliwy. Dziwaczny, pełen błędów dotyczących podstawowych faktów i gigantycznych luk logicznych. Zamiast dać jakieś odpowiedzi, stawiał więcej pytań.

Po tych wszystkich latach powiedzieliśmy sobie, po wydaniu takich pieniędzy – jak to?

Przede wszystkim ostateczny wniosek, że kierowca mamy był pijany i że to była jedyna przyczyna wypadku, był wygodny i absurdalny. Nawet gdyby ten człowiek pił, nawet gdyby był napruty, nie powinien mieć żadnych problemów z nawigowaniem w tym krótkim tunelu.

Chyba że ścigali go paparazzi – i że go oślepiłi.

Czemu nie oskarżono tych paparazzich bardziej otwarcie?

Czemu nie są w więzieniu?

Kto ich wysłał? I czemu ci, co ich wysyłali, nie są w więzieniu?

Czemu, w rzeczy samej – chyba że korupcja i zamiatanie pod dywan są aktualnie modne.

Byliśmy zgodni co do tych punktów, a także co do kolejnych kroków. Wydamy oświadczenie, wspólnie domagając się ponownego otwarcia dochodzenia. Może zwołamy konferencję prasową.

Ale władze odwiodły nas od tego.

Miesiąc później pojechałem do bazy RAF Brize Norton i wsiadłem na pokład C-17. W samolocie były dziesiątki innych żołnierzy, ale tylko ja byłem pasażerem na gapę. Dzięki pomocy pułkownika Eda i JLP wszedłem na pokład w tajemnicy, a później wślizgnąłem się do niszy za kokpitem.

W niszy znajdowały się łóżka piętrowe, dla załogi na czas nocnych lotów. Kiedy rozgrzały się wielkie silniki, a samolot zajeżdżał na pas startowy, leżałem na dolnym łóżku, z moim małym plecakiem w charakterze poduszki. Gdzieś poniżej, w ładowni, miałem plecak marki Bergen, starannie zapakowany, zawierający trzy pary spodni polowych, trzy czyste tiszerty, parę gogli, jeden nadmuchiwany materac, mały notes i tubkę kremu z filtrem. Wyglądało na to, że to więcej, niż trzeba. Mogłem uczciwie stwierdzić, że nie zostawiłem za sobą niczego, czego mógłbym chcieć czy potrzebować w życiu, może z wyjątkiem kilku sztuk maminej biżuterii, kosmyka jej włosów w małym niebieskim pudełku i jej zdjęcia w srebrnej ramie, które stało kiedyś na moim biurku w Eton – przy czym wszystko to zostawiłem w bezpiecznym miejscu. No i rzecz jasna, była jeszcze broń. Moja dziewiątka i karabinek szturmowy zostały powierzone funkcjonariuszowi o surowym wyrazie twarzy i zamknięte w metalowym pudle, które także powędrowało do luku. Ich brak odczuwałem szczególnie dotkliwie, ponieważ pierwszy raz w życiu, nie licząc tamtego chwiejnego porannego spaceru po Paryżu, miałem wyruszyć w szeroki świat bez uzbrojonych ochroniarzy.

Lot trwał wieczność. Siedem godzin? Dziewięć? Nie umiem powiedzieć. Miałem wrażenie, że tydzień. Próbowałem spać, ale głowę miałem zbyt zajęta. Większość czasu spędziłem, gapiąc się. Na górne łóżko. Na własną stopę. Wsłuchiwałem się w odgłos silników, słuchałem innych żołnierzy na pokładzie. Oglądałem w myślach własne życie. Myślałem o tacie i Willym. A także o Chels.

Gazety donosiły, że zerwaliśmy ze sobą (jeden z nagłówków: „Paniczyk Harry porzucony!”). Odległość, odmienne życiowe cele, za dużo tego było. Dostatecznie trudno było już utrzymać związek w granicach tego samego kraju, a w sytuacji, w której szedłem na wojnę, przestało się to wydawać wykonalne. Rzecz jasna, nic z tego nie było prawdą. Nie zerwaliśmy ze sobą. Pożegnała się ze mną ciepło i czule i obiecała, że będzie na mnie czekać.

Wiedziała więc, że powinna ignorować wszystkie te artykuły opowiadające, jak zareagowałem na zerwanie. Według doniesień ruszyłem na wędrowkę po pubach i wlałem w siebie kilka tuzinów kieliszków wódki, zanim dotoczyłem się do

czekającego na mnie samochodu. Jedna z gazet zapytała matkę żołnierza, niedawno zabitego w akcji, co myśli na temat tego, że pokazuję się publicznie pijany.

(Była przeciw).

Pomyślałem, że jeśli zginę w Afganistanie, przynajmniej nigdy już nie będę musiał oglądać ani jednego zmyślonego nagłówka, czytać kolejnego haniebnego kłamstwa na własny temat.

Podczas tego lotu wiele myślałem o śmierci. Co by oznaczała? Czy to by mnie obchodziło? Próbowałem wyobrazić sobie własny pogrzeb. Czy byłby to pogrzeb państwowy? Prywatny? Próbowałem wyobrazić sobie nagłówki. „Pa, Harry”.

Jak zapamiętałaby mnie historia? Takiego jak ten z nagłówków? Czy może takiego, jakim byłem naprawdę?

Zanim wyruszyłem, JLP kazał mi usiąść i powiedział, że muszę zaktualizować testament.

– Testament? Naprawdę?

Jeśli cokolwiek się wydarzy, powiedział, Pałac musi wiedzieć, co chciałem, żeby stało się z tymi kilkoma rzeczami, które do mnie należały, i gdzie życzyłbym sobie zostać... pochowany. Pytał tak otwarcie, tak spokojnie, jakby chciał wiedzieć, gdzie mam ochotę zjeść lunch. Taki już miał dar. Prawda to prawda, nie ma sensu się przed nią uchylać.

Odwróciłem wzrok. Nie potrafiłem naprawdę wyobrazić sobie miejsca, w którym chciałbym spędzić wieczność. Nie przychodziło mi na myśl żadne miejsce, które sprawiałoby wrażenie poświęconego, może oprócz Althorp, a to nie wchodziło w grę. Więc powiedziałem: Frogmore Gardens?

Było piękne i nieco oddalone od wszystkiego. Spokojne.

JLP skinął głową. Zamierzał tego dopilnować.

Wśród takich myśli i wspomnień zdołałem zdrzemnąć się na kilka minut, a kiedy otworzyłem oczy, schodziliśmy na lotnisko w Kandaharze.

Czas założyć kamizelkę kuloodporną. Czas na kevlar.

Czekałem, aż wszyscy inni wysiądą, po czym w niszy pojawiło się kilku gości z sił specjalnych. Zwrócili mi broń i podali fiolkę z morfiną, którą miałem zawsze mieć przy sobie. Znajdowaliśmy się w miejscu, w którym ból, urazy i rany były powszechne. Błyskawicznie wyprowadzili mnie z samolotu do terenówki

z przyciemnionymi szybami i zakurzonymi siedzeniami. Pojechaliśmy do innej części bazy, a później ruszyliśmy do kontenerowych baraków.

Pusto. Ani żywej duszy.

– Gdzie są wszyscy? Kurde, czy kiedy byłem w powietrzu, ogłoszono pokój?

Nie, cała baza wyruszyła na misję.

Rozejrzałem się. Najwyraźniej wyruszyli w połowie posiłku. Stoły pokryte były częściowo opróżnionymi pudełkami po pizzy. Próbowałem przypomnieć sobie, co jadłem w trakcie lotu. Nic. Zacząłem wpychać sobie do ust zimne kawałki pizzy.

Przystąpiłem do testu w warunkach polowych, ostatniej próby, która miała udowodnić, że nadaję się do tej roboty. Zaraz potem wdrapałem się do chinooka i przeleciałem jakieś osiemdziesiąt kilometrów na o wiele mniejszy posterunek. Wysunięta Baza Operacyjna Dwyer. Długa, nieporęczna nazwa czegoś, co było niewiele więcej niż piaskowym zamkiem wykonanym z worków z piachem.

Na moje spotkanie wyszedł pokryty piaskiem żołnierz, który powiedział, że ma rozkaz oprowadzić mnie po bazie.

– Witamy w Dwyer.

– Dzięki.

Spytałem, skąd wzięła się nazwa tego miejsca.

– Jeden z naszych chłopców. Zabity w akcji. Samochód najechał na mnie przeciwpiechotną.

Krótką wycieczką ujawniła, że baza Dwyer była jeszcze bardziej spartańska, niż wydawało się, kiedy patrzyło się z chinooka. Żadnego ogrzewania, niewiele światła, nie za dużo wody. Było tam coś w rodzaju kanalizacji, ale rury zazwyczaj były zablokowane albo zamarzały. Znajdował się tam także budynek, który rzekomo miał być „blokiem prysznicowym”, ale – jak usłyszałem – korzysta się z niego na własne ryzyko.

Zasadniczo mój przewodnik powiedział mi, żebym darował sobie bycie czystym. I skupił się raczej na tym, jak nie zmarznąć.

– Czy naprawdę bywa tu tak zimno?

Zarechotał.

Baza Dwyer była domem około pięćdziesięciu żołnierzy, w większości z artylerii albo z Kawalerii Przybocznej. Spotykałem ich po dwóch–trzech. Wszyscy mieli

piaskowe włosy: mam na myśli włosy zmatowiałe od piasku. Twarze, szyje i rzęsy także mieli grubo pokryte piachem. Wyglądali jak filety rybne obtoczone przed smażeniem w panierce.

W ciągu godziny także zacząłem tak wyglądać.

Wszyscy i wszystko w Dwyer było albo pokryte skorupą piasku, albo posypane piaskiem, albo pomalowane na kolor piasku. Na zewnątrz zaś, za piaskowej barwy namiotami i ścianami z piasku, rozciągał się nieskończony ocean... piasku. Delikatny, lekki piasek, jak talk. Chłopcy spędzali większą część dnia, gapiąc się na cały ten piasek. Ja także, kiedy już skończyłem zwiedzanie, przydzielono mi łóżko polowe i dano coś do jedzenia, zacząłem się gapić.

Mówiliśmy sobie, że rozglądamy się, czy nie widać wroga, i jak sądzę, tak też było. Ale nie jesteś w stanie gapić się na tyle piasku i nie zacząć myśleć o wieczności. Cały ten poruszający się, kłębiący i wirujący piasek, masz wrażenie, że mówi ci coś o twojej maleńkiej niszy w kosmosie. Prochem jesteś i w proch się obrócisz. Piach i do piachu. Nawet kiedy kończyłem służbę, układałem się na mojej metalowej polówce, odpływałem w sen, piasek wypełniał moją głowę. Słyszałem go tam, jak szeptem rozmawia sam ze sobą. Czulem ziarnko na języku. Na gałce ocznej. Śniłem o nim.

A kiedy się budziłem, miałem łyżkę piasku w ustach.

10

W centrum bazy Dwyer wznosiła się iglica, coś w rodzaju prowizorycznej Kolumny Nelsona. Przymocowano do niej dziesiątki strzałek wskazujących w dowolne strony, na każdej napisano nazwę miejsca, które któryś z żołnierzy z Dwyer uważał za dom.

Sydney, Australia 7223 mile

Glasgow 3654 mile

Bridgwater Somerset 3610 mil

Pierwszego ranka, kiedy przechodziłem koło iglicy, pomyślałem: może powinienem napisać tu nazwę mojego domu.

Clarence House 3456 mil

To by było zabawne.

Ale nie. Tak jak nikt z nas nie chciał przyciągać uwagi talibów, tak samo ja zaparłem się, że nie chcę zwracać na siebie uwagi kolegów ze szwadronu. Moim głównym celem było wtopić się w tłum.

Jedna ze strzałek wskazywała w kierunku armat, dwóch gigantycznych stuściomilimetrowych dział z tyłu niedziałającego bloku prysznicowego. Prawie każdego dnia kilka razy z bazy Dwyer strzelano z tych wielkich dział, wyrzucając po dymiącej paraboli masywne pociski w kierunku pozycji talibów. Hałas sprawiał, że krew przestawała krążyć ci w żyłach, a mózg się lasował (któregoś dnia działa wystrzeliły prawie sto razy). Wiedziałem, że do końca życia będę słyszał pogłosy tego dźwięku: zawsze będzie odbijał się echem w jakiejś części mojego jestestwa. Nie zapomnę też nigdy tej niezmiernej ciszy, zapadającej, gdy działa milkły.

11

Stanowisko operacyjne w bazie Dwyer było pudełkiem opakowanym w pustynną tkaninę maskującą. Podłogę wykonano z połączonych ze sobą kawałków grubego czarnego plastiku, przypominających puzzle. Kiedy się po niej chodziło, wydawała dziwny odgłos. Centralną część pomieszczenia, w zasadzie centralną część całego obozu, stanowiła ściana, na której widniała gigantyczna mapa prowincji Helmand, z powbijanymi pinezkami (żółtymi, pomarańczowymi, zielonymi, niebieskimi), które symbolizowały jednostki grupy bojowej.

Powitał mnie sierżant kawalerii Baxter. Starszy ode mnie, za to z takim samym kolorem włosów. Wymieniliśmy smętny uśmiech i kilka ironicznych uwag na temat niedobrowolnej przynależności do Ligi Czerwonowłosych Gentelmanów. A także do Bractwa Łysiejących. Podobnie jak ja, Baxter tracił już warstwę ochronną na czubku.

Spytałem, skąd jest.

– Hrabstwo Antrim.

– Irlandczyk, co?

– Jasne.

Miał śpiewny akcent i pomyślałem, że można sobie z niego pożartować. Dałem mu trochę popalić, podkpiwając z Irlandczyków, a on odgryzał się dzielnie; śmiał

się, ale jego niebieskie oczy miały nieco niepewny wyraz. „Rany, robię sobie jaja z księcia”.

Zabraliśmy się do pracy. Pokazał mi kilka odbiorników radiowych upchniętych na biurku pod mapą. Pokazał mi terminal Rovera, mały i gruby laptop z rumbami naniesionymi wzdłuż boków.

– Te odbiorniki to twoje uszy. Rover jest twoimi oczyma.

Za ich pomocą mam tworzyć obraz pola bitwy, a następnie starać się kontrolować to, co się dzieje na nim i nad nim. W pewnym sensie nie miało się to zbyt różnić od kontroli lotów na Heathrow: miałem spędzać czas, wysyłając odrzutowce tam i z powrotem. Często praca nie była nawet tak atrakcyjna: byłem ochroniarzem, wyęzającym wzrok, żeby monitorować transmisje z dziesiątek kamer, zamocowanych na wszystkim, od samolotów rozpoznawczych po drony. Jediną walką, jaka miała mnie czekać, stanowiła walka z sennością.

– Do dzieła. Proszę siadać, poruczniku Wales.

Odchrząknąłem i usiadłem. Zacząłem obserwować rovera. Obserwowałem i obserwowałem.

Mijały minuty.

Pogłośniłem radia. Ściszyłem je.

Baxter prychnął.

– I to jest robota. Witamy na wojnie.

12

Rover miał swój przydomek, ponieważ w wojsku każda rzecz potrzebuje przydomka. Zabójcza TV.

Na przykład:

– Co porabiasz?

– Oglądam sobie Zabójczą.

Doszedłem do wniosku, że miało to być określenie ironiczne. Inaczej byłyby to rażąco fałszywa reklama. Ponieważ jedyną rzeczą, jaką się tu zabijało, był czas.

Obserwowałeś opuszczony kompleks, który jak podejrzewano, był wcześniej wykorzystywany przez talibów.

Nic się nie działo.

Obserwowałeś piaszczystą wydłużkę. I kolejną piaszczystą wydłużkę.

Jeśli istnieje coś nudniejszego niż obserwowanie, jak rośnie trawa, to tym czymś jest obserwowanie pustyni... pustyni. Zastanawiałem się, jak to się stało, że Baxter jeszcze nie oszalał.

Spytałem go o to.

Powiedział, że po godzinach niczego coś się wydarza. Sztuka polega na tym, żeby być czujnym i gotowym na to coś.

Jeśli Zabójcza TV była nudna, Zabójcze radio było szalone. Ze wszystkich zestawów słuchawkowych na biurku dobiegało nieustanne mamrotanie, słychać było dziesiątki akcentów, brytyjski, amerykański, holenderski, francuski, że nie wspomnę o najróżniejszych osobach.

Zacząłem dopasowywać akcenty do sygnałów wywoławczych. Piloci amerykańscy mieli „Gościu”. Duńscy byli „Kurna”. Francuscy „Złuda” albo „Gniew”. Brytole byli „Mgłą”.

Helikoptery apache miały ksywę „Brzydal”.

Mój osobisty sygnał wywoławczy brzmiał „Wdowa Sześć Siedem”.

Baxter powiedział, że mam łapać zestaw słuchawkowy i witać się.

– Przedstaw się.

Kiedy się przedstawiałem, wszystkie głosy ożywały, zaczynały zwracać się do mnie. Były jak pisklęta domagające się nakarmienia. Pokarmem była informacja.

– Kim jesteś? Co się dzieje na dole? Dokąd leczę?

Oprócz informacji najczęściej potrzebowali zezwoleń. Na wejście w moją przestrzeń albo na opuszczenie jej. Zasady zabraniały pilotom przelatywania nam nad głową bez upewnienia się, że jest bezpiecznie, że nie doszło do bitwy, że baza Dwyer nie została rozstrzelana z ciężkich dział. Innymi słowy, chyba byliśmy w „gorącej” ograniczonej strefie operacyjnej. A może w „zimnej”? Jeśli chodzi o wojnę, wszystko obracało się wokół tych dwóch biegunów. Działania wojenne, pogoda, woda, żywność – gorące czy zimne?

Lubiłem tę rolę, strażnika ograniczonej strefy operacyjnej. Podobała mi się myśl, że blisko współpracuję z najlepszymi z najlepszych, że jestem oczyma i uszami

tych wysoko wykwalifikowanych mężczyzn i kobiet, ostatnim ogniwem łączącym ich ze stałym lądem, ich alfą i omegą. Byłem... Ziemią.

To, że mnie potrzebowali, że zależeli ode mnie, natychmiast tworzyło więź. Przepływały między nami niezwykle emocje, pojawiała się dziwaczna bliskość.

– Hej tam, Wdowa Sześć Siedem.

– Hej, Gościu.

– Jak mija dzionek?

– Na razie spokój, Gościu.

Natychmiast stawaliśmy się kumplami. Towarzyszami. To się czuło.

Kiedy odmeldowali się u mnie, przekazywałem ich do FAC w Garmsir, niewielkim nadrzecznym mieście nieopodal.

– Dzięki, Wdowa Sześć Siedem. Dobranoc.

– Przyjąłem, Gościu. Bezpiecznego lotu.

13

Po otrzymaniu pozwolenia na przelot przez moją przestrzeń powietrzną pilot nie zawsze przez nią przelatywał, mógł przez nią strzelać, czasem też pilnie potrzebował wiedzieć, co się dzieje na dole. Liczyła się każda sekunda. Trzymałem w swoich rękach życie i śmierć. Spokojnie siedziałem za biurkiem, miałem pod ręką puszkę napoju i długopis („Och. Długopis. Wow”), a jednocześnie brałem udział w akcji. Do tego mnie szkolono i to było ekscytujące, ale też przerażające. Krótco przed moim przybyciem jakiś kontroler, podając współrzędne geograficzne amerykańskiemu F-15, pomylił jedną cyfrę: w rezultacie źle wymierzona bomba zamiast we wroga trafiła w siły brytyjskie. Trzech zabitych żołnierzy, dwóch straszliwie okaleczonych. Tak więc każde słowo i cyfra, jakie wymawiałem, miały konsekwencje. „Zapewnialiśmy wsparcie” – tak brzmiał stale używany zwrot – ale zdawałem sobie sprawę, że to gruby eufemizm. Nie mniej niż piloci czasem nieśli śmierć, a kiedy chodzi o śmierć, a tym bardziej o życie, musisz być dokładny.

Wyznaję: byłem szczęśliwy. To była ważna patriotyczna praca. Wykorzystywałem umiejętności, doskonalone w Yorkshire, w Sandringham

i jeszcze wcześniej, w dzieciństwie. Nawet w Balmoral. Wyraźna linia łączyła podchodzenie zwierzyny z Sandym i moją pracę tu i teraz. Nareszcie byłem brytyjskim żołnierzem na polu bitwy – rola, do której przygotowywałem się przez całe życie.

Byłem też Wdową Sześć Siedem. Miałem w życiu masę przezwisk, ale pierwszy raz takie, które przypominało przydomek. Mogłem naprawdę i w pełni skryć się za nim. Pierwszy raz było to po prostu określenie, przypadkowe słowo i przypadkowe cyfry. Żaden tytuł. I żadnego ochroniarza. Czy tak właśnie inni ludzie czują się na co dzień? Smakowałem tę normalność, pławiłem się w niej i zarazem rozważałem, jak długą odbyłem podróż, żeby jej doświadczyć. Środek Afganistanu, środek zimy, środek nocy, wojna, a ja rozmawiam z człowiekiem znajdującym się piętnaście tysięcy stóp nad moją głową – jak nienormalne musi być twoje życie, jeśli to jest pierwsze miejsce, w którym czujesz się zwyczajnie?

Po każdej akcji następowała cisza, czasem psychicznie jeszcze trudniejsza do zniesienia. Nuda była naszym wrogiem, walczyliśmy z nią, grając w rugby – w charakterze piłki występowała starannie owinięta taśmą rolka papieru toaletowego – albo biegając w miejscu. Robiliśmy też tysiąc pompek i zbudowaliśmy prymitywne sprzęty do podnoszenia ciężarów, przymocowując drewniane skrzynki do metalowych prętów. Worki treningowe robiliśmy ze zwykłych worków. Czytaliśmy książki, organizowaliśmy maratony szachowe, spaliśmy jak koty. Widziałem dorosłych facetów zalegających w łóżku jak kłody dwanaście godzin na dobę.

Poza tym jedliśmy. Baza Dwyer miała prawdziwą kuchnię. Makarony. Frytki. Fasola. Raz w tygodniu dawano nam na trzydzieści minut dostęp do telefonu satelitarnego. Karta telefoniczna nazywała się Paradigm, miała z tyłu kod, który wystukiwało się na klawiaturze. Wtedy robot, miłym kobiecym głosem, informował, ile zostało ci minut. I zaraz potem...

– Spike, czy to ty?

Chels.

Twoje dawne życie, po drugiej stronie linii. Ten dźwięk zawsze sprawiał, że zapierało ci dech. Myślenie o domu nigdy nie było łatwe, z wielu złożonych powodów. Słuchanie domu było jak cios w serce.

Jeśli nie dzwoniłem do Chels, dzwoniłem do taty.

– Jak się masz, kochany chłopcze?

– Nie najgorzej. No wiesz.

Prosił mnie jednak, żebym raczej pisał, niż dzwonił. Uwielbiał moje listy.

Mówił, że zdecydowanie woli listy.

14

Czasem martwiłem się, że w gruncie rzeczy omija mnie prawdziwa wojna. A może siedziałem w wojennej poczekalni? Obawiałem się, że prawdziwa wojna toczy się w dolinie nieopodal: mogłem dostrzec kłęby dymu, unoszące się po wybuchach, najczęściej w Garmsir i wokół niego. Miejsce o ogromnym znaczeniu strategicznym. Kluczowe przejście, port rzeczny, przez który do talibów docierały zapasy, przede wszystkim broni. Plus port, przez który przybywali nowi bojownicy. Dostawali kałasznikowy, garść kul i nakazywano im ruszać w kierunku labiryntu namiotów. Na tym polegał ich pierwszy test, przez talibów określany jako „inicjacja przez krew”.

Czy Sandy i Tiggy pracowali dla talibów?

Często tak się zdarzało. Rekruci talibów pojawiali się znienacka, strzelali do nas, a my odpowiadaliśmy dwudziestokrotnie silniejszym ogniem. Każdy rekrut, który przetrwał ten ostrzał, dostawał awans i wysyłano go na walkę i śmierć do któregoś z większych miast, jak Gereszk czy Laszkargah, nazywany przez niektórych Las Vegas. Większość, swoją drogą, nie przeżywała. Talibowie zostawiali ich ciała, żeby gniły. Obserwowałem psy rozmiarów wilków, pożerające wielu rekrutów na polu bitwy.

Zacząłem błagać moich dowódców: zabierzcie mnie stąd. Kilku chłopców zgłaszało podobne prośby, tyle że z innych powodów. Ja błagałem, żeby przeniesiono mnie bliżej frontu.

– Wyślijcie mnie do Garmsiru.

I wreszcie, w wigilię Bożego Narodzenia 2007 roku, moja prośba została przyjęta. Miałem zastąpić odchodzącego FAC w Wysuniętej Bazie Operacyjnej Delhi, znajdującej się w opuszczonej szkole w Garmsir.

Niewielki, pokryty żwirem dziedziniec, dach z miedzianej blachy falistej. Ktoś powiedział, że ta szkoła była kiedyś uniwersytetem rolniczym. Ktoś inny, że to była medresa. Na razie jednak stanowiła część Wspólnoty Narodów. I stała się moim nowym domem.

Była też domem kompanii Gurkhów.

Rekrutowani w Nepalu, pochodzący z najodleglejszych wiosek położonych u stóp Himalajów, Gurkhowie walczyli w ciągu ostatnich dwustu lat w każdej toczony przez Brytyjczyków wojnie i w każdej się wyróżnili. Bili się jak tygrysy, nigdy się nie poddawali i w rezultacie zajmowali specjalne miejsce w armii brytyjskiej – i w moim sercu. Słyszałem o Gurkach już jako mały chłopiec: jednym z pierwszych mundurów, jakie włożyłem kiedykolwiek, był mundur gurkhijski. W Sandhurst Gurkhowie za każdym razem odgrywali wroga podczas ćwiczeń wojskowych, co zawsze wydawało się dość śmieszne, ponieważ ich uwielbialiśmy.

Po ćwiczeniach któryś z Gurkhów niezmiennie podchodził do mnie i proponował mi kubek gorącej czekolady. Żywili głęboki szacunek wobec członków rodziny królewskiej. Król, według nich, był istotą boską (ich własny król, jak wierzone, miał być wcieleniem hinduskiego boga Wisznu). Co za tym idzie, księżę także nie był zbyt odległy od boskości. Kiedy przechodziłem przez bazę Delhi, wszyscy Gurkhowie się kłaniali. Zwracali się do mnie *per saab*.

– Tak, *saab*. Nie, *saab*.

Błagałem: nie mówcie tak. Jestem po prostu porucznikiem Walesem. Po prostu Wdowa Sześć Siedem.

Śmiali się.

– Nie da rady, *saab*.

Poza tym nawet im się nie śniło, żeby pozwolić mi na chodzenie gdziekolwiek samemu. Osoba z królewskiego rodu wymagała królewskiej eskorty. Często wędrowałem do kantyny albo do toalety i nagle uświadamiałem sobie, że z prawej towarzyszy mi cień. A później inny, z lewej.

– Witam, *saab*.

Było to zawstydzające i wzruszające jednocześnie. Uwielbiałem ich, podobnie jak miejscowi Afgańczycy, którzy sprzedawali Gurkom kurczaki i kozy i nawet spierali się z nimi o przepisy. Armia miała wiele do powiedzenia na temat

podbijania „serc i umysłów” Afgańczyków, mając na myśli nawracanie miejscowych na wolność i demokrację, ale jak się wydaje, jedynie Gurkhowie naprawdę to robili.

Gurkhowie, kiedy mnie nie eskortowali, zajmowali się tuczeniem mnie. Jedzenie było ich językiem miłości. I chociaż każdy Gurkha uważał się za pięciogwiazdkowego kucharza, wszyscy mieli to samo popisowe danie. Curry z kozłiny.

Pamiętam, jak pewnego dnia, słysząc nad głową śmigła, spojrzałem w górę. Wszyscy w bazie spojrzeli w górę. Helikopter powoli podchodził do lądowania. Spod płóz, owinięta w siatkę, zwisała koza. Świąteczny prezent dla Gurkhów.

Helikopter, wzbijając masę kurzu, osiadł na ziemi. Wyskoczył z niego jakiś człowiek, łysy, z resztkami jasnych włosów, obraz brytyjskiego oficera.

Wyglądał też jakby znajomo.

– Znam tego faceta – powiedziałem na głos.

Pstryknąłem palcami.

– Stary dobry Bevan!

Przez kilka lat pracował dla taty. Nawet opiekował się nami pewnej zimy w Klosters (pamiętam, jak jeździł na nartach w kurtce Barbour, kwintesencja arystokracji). Teraz najwyraźniej był numerem dwa w dowództwie brygady. I w związku z tym w imieniu dowództwa dostarczał kozy ukochanym Gurkhom. Byłem zaskoczony tym, że na siebie wpadliśmy, on jednak okazał umiarkowane zdziwienie – albo też nie był nadmiernie zainteresowany. Za bardzo zajmowały go kozy. Oprócz tej w siatce trzymał też kolejną na kolanach przez cały lot, a teraz prowadził malucha na smyczy, jak spaniela, żeby oddać go Gurkhom.

Biedny Bevan. Widziałem, że przywiązał się do kozy i zupełnie nie był przygotowany na to, co miało nadejść.

Któryś Gurkha wyciągnął swój nóż *kukri* i odciął kozie łeb.

Brązowa brodata głowa upadła na ziemię jak jedna z oklejonych taśmą rolek papieru, których używaliśmy jako piłek do rugby.

Następnie Gurkha starannie, fachowo, zebrał krew do naczynia. Nic nie mogło się zmarnować.

Jeśli chodzi o drugą kozę, Gurkha podał mi *kukri* i spytał, czy chcę czynić honory.

U siebie w domu miałem kilka takich noży. Były prezentami od Gurkhów. Wiedziałem, jak się nimi posługiwać. Ale nie, powiedziałem, nie, dziękuję, nie tutaj, nie teraz.

Nie jestem pewien, czemu odmówiłem. Może dlatego, że wokół mnie było już dość zabijania, nie czułem potrzeby dodawania kolejnego. Przypomniało mi się, jak mówiłem George'owi, że zdecydowanie nie chcę obcinać żadnych jaj. Gdzie wytyczyłem linię?

Tam, gdzie w grę wchodziło cierpienie, tak, to było to. Nie chciałem potraktować tej kozy w stylu Henryka VIII przede wszystkim dlatego, że nie byłem wyszkolony w tej sztuce, i gdybym chybił albo źle obliczył cios, biedne stworzenie by cierpiało.

Gurkha skinął głową.

– Wedle życzenia, *saab*.

Machnął *kukri*. Pamiętam, że kiedy głowa kozy uderzyła o ziemię, jej żółte oczy nadal mrugały.

15

Moje zadania w Delhi były podobne do tych, które wykonywałem w Dwyer. Tylko godziny były inne. W Delhi byłem na dyżurze dniem i nocą, bez przerwy.

Centrum operacyjne znajdowało się w dawnej klasie szkolnej. Jak chyba wszystko w Afganistanie, szkoła, w której mieściło się Delhi, została zbombardowana – zwisające drewniane belki, powywracane biurka, podłogi zasypane strzępami papieru i książkami – przy czym centrum operacyjne wyglądało, jakby znalazło się dokładnie w miejscu wybuchu. Obszar katastrofy. Na plus zaliczyć można to, że podczas nocnych zmian dziury w ścianach zapewniały wspaniały widok na gwiazdy.

Pamiętam jedną zmianę, koło pierwszej w nocy. Spytałem pilota przelatującego nad nami o jego kod, żebym mógł wprowadzić go do mojego rovera i zobaczyć jego transmisję.

Pilot odpowiedział kwaśno, że się mylę.

– Mylę się w czym?

– To nie jest rover, tylko longhorn.

– Long co?

– Jesteś tu nowy, nie?

Opisał longhorna, urządzenie, o którym nikt nie pofatygował się mi opowiedzieć. Rozejrzałem się i je znalazłem. Wielka czarna walizka, pokryta kurzem. Zdmuchnąłem kurz, włączyłem urządzenie. Pilot przeprowadził mnie przez proces uruchamiania. Nie wiedziałem, czemu w jego przypadku wymagany był longhorn zamiast rovera, ale nie zamierzałem pytać, żeby go jeszcze bardziej nie irytować.

Zwłaszcza że całe to doświadczenie stworzyło między nami więź. Odtąd on i ja byliśmy kumplami.

Jego sygnał wywoławczy brzmiał Magik.

Często rozmawiałem z Magikiem po całych nocach. I on sam, i jego załoga lubili sobie pogadać, pośmiać się, zjeść coś (pamiętam, że pewnej nocy zrobili sobie ucztę ze świeżych krabów). Przede wszystkim zaś lubili robić kawały. Po którymś starcie Magik ustawił swoją kamerę na zbliżenie i kazał mi spojrzeć. Nachyliłem się nad ekranem. Z odległości dwudziestu tysięcy stóp widok na krzywiznę Ziemi był oszałamiający.

Powoli obrócił kamerę.

Mój ekran wypełniły piersi.

Pornograficzny magazyn.

– Ach, masz mnie, Magik.

Wśród pilotów były też kobiety. Z nimi rozmawiało się inaczej. Pewnej nocy rozmawiałem z brytyjską pilotką, która opowiadała, że księżyc jest dziś niesamowity.

– Jest pełnia – powiedziała. – Powinieneś to zobaczyć, Wdowa Sześć Siedem.

– Widzę księżyc. Przez jedną z dziur w ścianie. Uroczy.

Nagle radio ożyło: chór okrzyków. Chłopaki z Dwyer kazali nam „znaleźć sobie pokój”. Poczulem, że się czerwienię. Miałem nadzieję, że pilotka nie pomyślała, że flirtuję. Miałem nadzieję, że nie pomyśli tak teraz. A przede wszystkim miałem nadzieję, że ani ona, ani inni piloci nie dojdą do tego, kim jestem, i nie powiedzą brytyjskiej prasie, że wykorzystuję wojnę, żeby poznawać kobiety. Miałem nadzieję, że prasa nie potraktuje jej jak każdej innej dziewczyny, z którą kiedykolwiek miałem do czynienia.

Jednak zanim skończyła się tamta zmiana, pilotka i ja poradziliśmy sobie z tym momentem zażenowania i odwaliliśmy razem kawał dobrej roboty. Pomogła mi monitorować bunkier talibów, w samym sercu ziemi niczyjej, niezbyt daleko od murów bazy Delhi. Dookoła bunkra znajdowały się źródła ciepła... kształtu człowieka. Jakiś tuzin. Może piętnaście.

Talibowie bez wątpienia, orzekliśmy. Kto jeszcze mógłby poruszać się w tych okopach?

Przeszedłem dla pewności listę kontrolną. Wzorce życiowe, jak nazywała to armia. Czy widzisz kobiety? Czy widzisz dzieci? Psy? Koty? Czy jest tam cokolwiek, co wskazuje, że ten cel mógłby znajdować się w pobliżu szpitala? Albo szkoły?

Czy są tam jacykolwiek cywile?

Nie. Odpowiedź za każdym razem brzmiała „nie”.

To oznaczało talibów i nikogo oprócz talibów.

Zaplanowałem atak na następny dzień. Przydzielono mnie do tego zadania razem z dwoma amerykańskimi pilotami, Gościem Zero Jeden i Gościem Zero Dwa. Przekazałem im informacje o celu i powiedziałem, że chcę JDAM, dwa tysiące funtów. Zastanawiałem się, czemu używamy tej niezgrabnej nazwy: wspólna amunicja ataku bezpośredniego. Dlaczego nie mówimy po prostu bomba? Może dlatego, że nie była to zwykła bomba – miała kontrolowany radarowo system naprowadzania. I była ciężka. Ważyła tyle co nosorożec.

Zazwyczaj kiedy chodziło o rozproszenie bojowników talibów, standardowo proszono o pięciusetfuntówkę. Uznałem jednak, że może się okazać, że to zbyt mała moc, żeby przebić się do ufortyfikowanego bunkra, który widziałem na ekranie.

Oczywiście, FAC nigdy nie uważał, że pięćset funtów wystarczy. Zawsze chcieliśmy dwóch tysięcy funtów. Wszystko albo nic, zwykliśmy mawiać. W tym przypadku jednak naprawdę uważałem, że tylko duża się nadaje. System bunkrów wytrzymałby wszystko inne. Nie tylko chciałem umieścić JDAM na szczycie bunkra, chciałem, żeby po pierwszym nadleciał drugi samolot z dwudziestomilimetrowym działkiem, ostrzelał okopy otaczające bunkier, namierzył tamtych, kiedy będą go opuszczać.

Odmowa, powiedział Gość Zero Jeden.

Amerykanie nie widzieli potrzeby wykorzystywania bomby o masie dwóch tysięcy funtów.

– Wolimy zrzucić pięćsetfuntową bombę, Wdowa Sześć Siedem.

Jakże to nieamerykańskie.

Uważałem, że to ja mam rację, i chciałem się kłócić, ale byłem nowy i brakowało mi pewności siebie. To był mój pierwszy nalot. Więc powiedziałem tylko:

– Przyjąłem.

Sylwester. Trzymałem F-15 w odległości jakichś ośmiu kilometrów, żeby odgłos ich silników nie wystraszył celu. Kiedy wyglądało na to, że warunki są odpowiednie, cisza i spokój, wezwałem ich.

– Wdowa Sześć Siedem, podchodzimy.

– Gość Zero Jeden, Gość Zero Dwa, macie czyste podejście.

– Czyste podejście.

Pomknęli w kierunku celu.

Na ekranie obserwowałem, jak celownik pilota namierza bunkier.

Sekunda.

Dwie.

Biały błysk. Głośny huk. Ściany pokoju operacyjnego zadrżały. Kurz i kawałki kamieni posypały się z sufitu.

Usłyszałem głos Gościa Zero Jeden – Delta Hotel (bezpośrednie trafienie). Gotowość do oszacowania zniszczeń.

Kłęby dymu uniosły się nad pustynią.

Chwilę później... dokładnie tak, jak się obawiałem, pojawili się talibowie wybiegający z okopu. Jęknąłem nad moim roverem, po czym ciężkim krokiem ruszyłem na zewnątrz.

Powietrze było zimne, niebo jaśniało błękitem. Słyszałem Gościa Zero Jeden i Zero Dwa wysoko nade mną, odgłos ich silników zamierał. Słyszałem echo ich bomb. Później zapadła cisza.

Nie wszystkim się udało, pocieszałem się. Przynajmniej dziesięciu nie wydostało się z tego okopu.

Wciąż jednak – większa bomba załatwiłaby sprawę.

Następnym razem, powiedziałem sobie. Następnym razem zaufam własnym przeczuciom.

16

Dostałem awans, w pewnym sensie. Przeniesiono mnie do małego punktu obserwacyjnego wysoko ponad polem bitwy. Przez pewien czas ten punkt obserwacyjny doprowadzał talibów do białej gorączki. Był w naszych rękach, chcieli go, a skoro nie mogli go zdobyć, zaparli się, żeby go zniszczyć. W miesiącach poprzedzających moje przybycie atakowali ten punkt dziesiątki razy.

Kilka godzin po tym, jak tam dotarłem, przyszli znowu.

Warkot AK-47, świst przelatujących kul. Brzmiało to tak, jak gdyby ktoś wrzucił nam rój pszczoł przez okno. Razem ze mną było tam czterech Gurkhów, którzy odpalili pocisk Javelin w kierunku, z którego szedł ogień.

Później kazali mi zająć miejsce na stanowisku karabinu maszynowego.

– Proszę wskakiwać, *saab!*

Wdrapałem się do gniazda karabinu M2, złapałem wielkie uchwyty. Włożyłem zatyczki do uszu, wycelowałem przez siatkę zwieszającą się z okna. Nacisnąłem spust. Poczułem się, jak gdyby pociąg wjechał mi w klatkę piersiową. Także dźwięk przypominał odgłos lokomotywy. Tak to to, tak to to, tak to to. Karabin wypluwał kule, które przelatywały przez pustynię, a łuski latały dookoła po całym punkcie jak popcorn. Pierwszy raz strzelałem z karabinu maszynowego. Dosłownie nie byłem w stanie uwierzyć w jego moc.

Bezpośrednio na mojej linii wzroku znajdowało się opuszczone pole uprawne, rowy, drzewa. Podpaliłem wszystko. Był tam stary budynek z dwiema kopułami, które wyglądały jak żabie oczy. Zasypałem je kulami.

Tymczasem baza Dwyer uruchomiła swoje potężne działa.

Zapanował chaos.

Nie pamiętam zbyt wiele z tego, co nastąpiło później, ale nie muszę – jest nagranie. Była tam prasa, u mego boku, filmowali. Nienawidziłem tego, że tam byli, ale rozkazano mi zabrać ich na posterunek. W zamian zgodzili się, że nie opublikują żadnych zdjęć ani informacji, zanim nie wrócę do kraju.

Prasa chciała wiedzieć, ilu zabiliśmy.

Nie byliśmy pewni.

Nie da się określić, powiedzieliśmy.

Myślałem, że zostanę na tym posterunku na dłużej. Ale wkrótce po tamtym dniu zostałem wezwany na północ do wysuniętej bazy operacyjnej Edinburgh. Załadowałem się do chinooka pełnego toreb pocztowych i położyłem między nimi, żeby się ukryć. Czterdzieści minut później wyskoczyłem, trafiając w sięgające kolan błoto. Kiedy, do cholery, tu padało? Pokazano mi moją kwaterę w domku z worków z piaskiem. Małe łóżko.

I współlokator. Estoński oficer dyżurny.

Przypadliśmy sobie do gustu. W prezencie powitalnym dał mi jedną ze swoich odznak.

Osiem kilometrów dalej znajdowało się Musa Qala, miasto, które kiedyś było fortecą talibów. Zdobyliśmy je w 2006 roku, po jednej z najgorszych walk, jakie brytyjscy żołnierze oglądali od pół wieku. Pokonanych zostało ponad tysiąc talibów. Jednak, mimo ceny, jaką zapłacono za jego zdobycie, miasto wkrótce znów nieostrożnie stracono. Teraz odbiliśmy je po raz drugi i mieliśmy zamiar je utrzymać.

Była to paskudna robota. Jeden z naszych chłopców dopiero co wyleciał w powietrze na minie pułapce.

Poza tym w mieście i w okolicy byliśmy znienawidzeni. Miejscowych, którzy z nami współpracowali, torturowano, ich głowy zatknięto na pikach wokół murów miasta.

Tu nie było mowy o zdobywaniu serc i umysłów.

Pojechałem na patrol. Jechałem z konwojem czołgów Scimitar z bazy Edinburgh przez Musa Qala i dalej. Droga prowadziła przez wadi, w której wkrótce natknęliśmy się na miny.

Pierwsze, z jakimi miałem do czynienia.

Moim zadaniem było wezwanie saperów. Godzinę później nadleciał chinook. Znalazłem mu bezpieczne miejsce do lądowania, rzuciłem granat dymny, żeby wskazać najlepszy punkt i pokazać, w którą stronę wieje wiatr.

Drużyna szybko wyskoczyła z helikoptera i zbliżyła się do miny. Powolna, mozolna robota. Zajęła im wieki. Tymczasem byliśmy na totalnie otwartej przestrzeni. Spodziewaliśmy się pojawienia się talibów, oczekiwaliśmy, że kontakt może nastąpić w dowolnej chwili: wokół słychać było porykiwania silników motocyklowych. Bez wątpienia zwiadowcy. Sprawdzający nasze położenie. Kiedy motocykle zanadto się zbliżyły, wystrzeliliśmy świece dymne jako ostrzeżenie.

Z dala widać było pola maków. Patrzyłem na nie i myślałem o słynnym wierszu. *Pośród pól Flandrii rosną maki...* W Brytanii mak jest symbolem pamięci, tu jednak był jedynie walutą tej ziemi. Wszystkie te maki miały wkrótce zostać przerobione na heroinę, której sprzedaż miała opłacić kule, wystrzeliwane w nas przez talibów, i miny, zostawiane dla nas na drogach i w wadi.

Takie jak ta.

W końcu saperzy wysadzili minę. Grzyb dymu wystrzelił w powietrze i tak nasyczone pyłem do tego stopnia, że trudno sobie było wyobrazić, że pomieści go jeszcze więcej.

Następnie spakowali się i odlecieli, a my ruszyliśmy dalej na północ, coraz bardziej zagłębiając się w pustynię.

18

Ustawiliśmy pojazdy w kwadrat i nazwaliśmy to schronieniem. Następnego dnia, jeszcze następnego i tak dalej wyprawialiśmy się na patrole dookoła miasta.

Trzeba zaznaczyć obecność, jak nam powiedziano.

Macie być w ruchu, powiedziano nam.

Zadbajcie, żeby talibowie mieli się nad czym zastanawiać, powiedziano nam. Wytrąćcie ich z równowagi.

Ogólnie jednak misją bazy było wspieranie trwającej właśnie amerykańskiej ofensywy. Nad nami nieustannie rozlegał się ryk amerykańskich odrzutowców,

w pobliskiej wiosce słyhać było odgłosy wybuchów. Działaliśmy w bliskim kontakcie z Amerykanami, często angażując talibów w wymianę ognia.

Dzień czy dwa po tym, jak zorganizowaliśmy nasze schronienie, siedzieliśmy na wyżej położonym terenie, obserwując pasterzy w oddali. Na wiele kilometrów dookoła nie widać było niczego, oprócz tych ludzi i ich owiec. Scena wyglądała całkiem niewinnie. Tyle że pasterze nadmiernie zbliżyli się do Amerykanów, niepokojąc ich. Amerykanie oddali kilka strzałów ostrzegawczych. I, co było nie do uniknięcia, trafili jednego z pasterzy. Jechał na motorze. Z odległości nie potrafiliśmy powiedzieć, czy był to wypadek, czy zamierzone działanie. Patrzyliśmy, jak owce się rozpraszają, a potem pojawiają się Amerykanie i zabierają pasterza.

Kiedy zniknęli, wyszedłem na pole razem z kilkoma fidżyjskimi żołnierzami i podniosłem motocykl. Oczyszciliśmy go i odstawiłem. Zadbaliśmy o niego. Kiedy Amerykanie przesłuchali pasterza, opatrzyli i wypuścili, przyszedł do nas.

Był zaszokowany tym, że mamy jego motocykl.

Jeszcze bardziej zaszokowało go to, że go wyczyściliśmy.

A kiedy zwróciliśmy mu go, prawie zemdłał.

19

Kolejnego dnia, a może dwa dni później, do naszego konwoju dołączyło trzech dziennikarzy. Rozkazano mi zabrać ich na pole bitwy i oprowadzić – przy czym rozumiało się samo przez się, że embargo na publikacje nadal obowiązuje.

Jechałem spartanem, z przodu konwoju, dziennikarze zapakowali się do środka. Nieustannie się wychylali i narzekali na mnie. Chcieli wysiąść, porobić zdjęcia, coś sfilmować. Ale to nie było bezpieczne. Amerykanie wciąż oczyszczali ten obszar.

Stałem w wieżyczce, kiedy jeden z dziennikarzy poklepał mnie po nodze i raz jeszcze poprosił o pozwolenie na wyjście.

Westchnąłem.

– Okej. Tylko uważajcie na miny. I trzymajcie się blisko.

Wszyscy wysypali się z transportera i zaczęli ustawiać kamery i aparaty.

Kilka chwil później chłopcy przed nami zostali zaatakowani. Nad naszymi głowami zaroilo się od kul.

Dziennikarze zamarli, patrzyli na mnie bezradnie.

– Nie stójcie tak! Wracać do środka!

Zdecydowanie ich tam nie chciałem, ale jeszcze bardziej nie chciałem, żeby cokolwiek stało się im pod moją opieką. Nie chciałem mieć żadnych dziennikarzy na sumieniu. Nie zniósłbym takiego paradoksu.

Czy o tym, że Amerykanie zrzucili na najbliższą wieś pocisk Hellfire, dowiedzieliśmy się kilka godzin czy kilka dni później? Było wielu rannych. Z wioski wyniesiono chłopca, wieziono go pod górę, na taczkach, z których z boku zwisały jego nogi. Były poszarpane na strzępy.

Dwóch mężczyzn, którzy pchali taczki, ruszyli w naszym kierunku. Nie umiałem określić, co ich łączyło z chłopcem. Byli jego rodziną? Przyjaciółmi? Kiedy do nas dotarli, nie byli w stanie nic wyjaśnić. Żaden z nich nie mówił po angielsku. Ale chłopak znajdował się w fatalnym stanie, to było jasne, i widziałem, że nasi medycy szybko się nim zajęli.

Jeden z tłumaczy próbował uspokoić chłopca i jednocześnie dowiedzieć się czegoś od jego eskorty.

– Jak to się stało?

– Amerykanie.

Podszedłem bliżej, ale zatrzymał mnie sierżant, który odbywał właśnie swoją szóstą turę.

– Nie, szefie, nie chce pan tego zobaczyć. Nigdy nie będzie pan w stanie wyrzucić tego z głowy, jeśli pan teraz spojrzy.

Cofnąłem się.

Kilka minut później usłyszeliśmy gwizd, a potem świszczący dźwięk. Potężny wybuch, tuż za nami.

Poczułem go aż w mózgu.

Rozejrzałem się. Wszyscy leżeli płasko na ziemi. Poza mną i jeszcze dwoma innymi.

– Skąd to się wzięło?

Kilku naszych chłopców wskazało kierunek. Koniecznie chcieli odpowiedzieć ogniem i poprosili mnie o pozwolenie.

– Tak!

Ale talibowie, którzy do nas strzelili, już odeszli. Straciliśmy okazję.

Czekaliśmy, aż opadnie adrenalina, aż przestanie dzwonić nam w uszach. Trochę to potrwało. Pamiętam, że jeden z naszych chłopców cały czas szeptał: „Niech mnie, ale było, kurwa, blisko”.

Przez kilka godzin próbowaliśmy poskładać to wszystko do kupy, zrozumieć, co się stało. Kilku z nas uważało, że to Amerykanie zranili chłopca, inni uznali, że chłopiec był pionkiem w typowym dla talibów manewrze. Cała ta sprawa z taczkami miała być komedyjką, która zatrzyma nas na wzgórzu, odwróci naszą uwagę, unieruchomi nas, żeby talibowie mogli namierzyć naszą pozycję. Wrogowie skrzywdzili tego chłopca z taczek, a potem użyli go jako przynęty.

– Ale czemu ci mężczyźni i chłopiec zgodzili się na to?

– Ponieważ w przeciwnym razie zostaliby zabici.

– A razem z nimi wszyscy ich najbliżsi.

20

Z oddali widać było światła Musa Qala. Luty 2008 roku.

Nasze wozy opancerzone były w schronieniu, a my jedliśmy obiad z torebek, rozmawiając przyciszonymi głosami.

Po posiłku, koło północy, poszedłem zająć się radiem. Siedziałem z tyłu spartana, przy otwartych drzwiach, wyciągnąłem pulpit i notowałem to, co przekazywało radio. Jedyne światło dawała ciemna żarówka zawieszona nad moją głową w koszyku z drutu. Gwiazdy na pustynnym niebie świeciły jaśniej niż ta żarówka i wydawały się bliższe.

Radio było podłączone do akumulatora spartana, więc od czasu do czasu odpalałem silnik, żeby podładować baterie. Nie podobało mi się, że hałasuję, bałem się, że hałas przyciągnie talibów, ale nie miałem wyboru.

Po chwili uporządkowałem wnętrze spartana i nalałem sobie z termosu kubek gorącej czekolady; nawet ona nie dała rady mnie rozgrzać. Nic nie dawało rady.

Pustynia potrafiła być piekielnie zimna. Miałem na sobie pustynny mundur bojowy, pustynne buty, zieloną puchówkę, wełnianą czapkę – i nadal się trząsałem.

Podkręciłem dźwięk w radiu, próbując podchwycić jakieś głosy wśród trzasków i szumów. Zaczęły spływać raporty z misji. Informacje o dostarczaniu poczty. Wiadomości, przekazywane w sieci grupy bojowej, z których żadna nie dotyczyła mojego szwadronu.

Myślę, że było koło pierwszej w nocy, kiedy usłyszałem, jak kilkoro ludzi rozmawia o Czerwonym Lisie.

Zero Alfa, oficer dowodzący, mówił komuś, że Czerwony Lis to, Czerwony Lis tanto... Zacząłem notować, ale przerwałem i zapatrzyłem się na gwiazdy, kiedy usłyszałem, że rozmawiający wspominają... Szwadron C.

Głosy mówiły, że Czerwony Lis ma kłopoty, nie ma wątpliwości.

Zrozumiałem, że Czerwony Lis to osoba. Czy zrobił coś złego?

Nie.

Czy inni zamierzali go skrzywdzić?

Tak.

Sądząc z tonu głosów, Czerwonemu Lisowi groziło, że może zostać zamordowany. Przełknąłem łyk gorącej czekolady, zamrugąłem, spojrzałem na radio i już wiedziałem, z całkowitą pewnością, że Czerwony Lis to ja.

Teraz głosy mówiły już jaśniej, że przykrywka Czerwonego Lisa została odkryta, że jest znany wrogowi, że trzeba go natychmiast wywieźć.

Kurwa, powiedziałem. Kurwa kurwa kurwa.

Mój mózg podsunął mi wspomnienie z Eton. Lis, którego dostrzegłem, upalony, z okna kibelka. Czyli ostatecznie naprawdę był posłańcem z przyszłości. „Pewnego dnia będziesz sam, późną nocą, w mroku, będą na ciebie polować, jak na mnie... Zobaczymy, jak ci się to spodoba”.

Następnego dnia wyruszyliśmy na patrol, a ja dostałem totalnej paranoi, zamartwiałem się, że zostanę rozpoznany. Owinąłem całą twarz chustą, założyłem przyciemniane gogle narciarskie, wciąż się rozglądałem, z palcem na spuście pistoletu maszynowego.

Po zmroku zabrały mnie siły specjalne, ich chinooka eskortowały dwa apache, z którymi rozmawiałem przez radio. Przewieźli mnie nad doliną, z powrotem do

bazy Edinburgh. Wylądowaliśmy w ciemności, nic nie widziałem. Wbiegłem do bazy, później do zielonego płóciennego namiotu, w którym było jeszcze ciemniej.

Usłyszałem zgrzyt.

Pojawiło się miękkie światło.

Przede mną stał jakiś człowiek, który wkręcał właśnie małą żarówkę do gniazda zwieszającego się z sufitu.

Pułkownik Ed.

Jego długa twarz wydawała się dłuższa, niż zapamiętałem, miał na sobie obszerny zielony płaszcz, jakby wprost z czasów I wojny światowej. Zdał mi relację o tym, co się stało. Wsyłało mnie australijskie czasopismo, które ogłosiło na cały świat, że jestem w Afganistanie. Było to mało znaczące czasopismo, więc początkowo nikt nie zwrócił na nie uwagi, ale później jakiś cymbał w Ameryce podchwycił tę historię, opublikował na swojej głównej stronie internetowej, a stamtąd trafiła na paski w wiadomościach. Teraz ta informacja była już wszędzie. Najgorzej strzeżonym sekretem Drogi Mlecznej była obecność niejakiego księcia Harry'ego w prowincji Helmand.

– Tak więc to koniec.

Pułkownik Ed przepraszał. Zdawał sobie sprawę, że nie w ten sposób i nie w takim czasie chciałem zakończyć swoją turę. Z drugiej strony zależało mu, żebym się dowiedział, że na moich przełożonych od tygodni naciskano, żeby mnie wywieźli, więc miałem szczęście, że moja służba nie trwała krócej. Wymykałem się władzom i talibom, udało mi się odsłużyć w sumie godną szacunku ilość czasu z nienagannym wynikiem. Brawo, powiedział.

Byłem prawie gotów błagać, żeby pozwolił mi zostać, ale rozumiałem, że nie ma szans. Moja obecność naraziłaby wszystkich wokół mnie na poważne niebezpieczeństwo. W tym pułkownika Eda. Teraz, kiedy talibowie wiedzieli, że jestem w kraju, i mniej więcej wiedzieli gdzie, zrobiliby wszystko, żeby mnie zabić. Armia nie chciała mojej śmierci, ale rzecz dotyczyła tego samego co rok wcześniej: armii szczególnie zależało na tym, żeby inni nie umierali przeze mnie.

Podzielałem to pragnienie.

Uścisnąłem dłoń pułkownika Eda i opuściłem namiot. Zebrałem swoje nieliczne rzeczy, wymieniłem kilka pospiesznych pożegnań, po czym znów wskoczyłem do chinooka, który czekał z włączonym silnikiem i obracającym się śmigłem.

W ciągu godziny byłem z powrotem w Kandaharze.

Wziąłem prysznic, ogoliłem się i już byłem gotów ładować się na samolot lecący do Anglii. Wokół kręcili się inni żołnierze, także oczekujący wejścia na pokład. Byli w zupełnie odmiennych nastrojach. Świętowali, wracali do domu.

Ja gapiłem się w ziemię.

W pewnym momencie wszyscy zdaliśmy sobie sprawę, że przygotowania do startu zajmują wyjątkowo dużo czasu.

Skąd ten zastój? Pytaliśmy niecierpliwie.

Członek załogi powiedział, że czekamy na ostatniego pasażera.

Czyli?

Do luku bagażowego pakują trumnę duńskiego żołnierza.

Zamilkliśmy wszyscy.

Kiedy ostatecznie wsiedliśmy i wystartowaliśmy, zasłona z przodu samolotu na chwilę się odchyliła. Zobaczyłem trzech chłopaków na łózkach szpitalnych. Odpiąłem pasy, przeszedłem między fotelami i odkryłem trzech ciężko rannych brytyjskich żołnierzy. Jeden, pamiętam, miał okropne rany od wybuchu miny. Inny był od stóp do głów owinięty plastikiem. Chociaż nieprzytomny, ścisnął probówkę, zawierającą kawałki szrapnela, które wyjęto mu z szyi i głowy.

Porozmawiałem z lekarzem, który się nimi zajmował. Spytałem, czy ci chłopcy przeżyją. Nie wiedział. Ale nawet jeśli tak, czekała ich ciężka przeprawa.

Wściekałem się sam na siebie za to, że tak bardzo przejąłem się własnym losem. Resztę lotu spędziłem, rozmyślając o młodych kobietach i mężczyznach, z których wielu wróciło do domu w podobnym stanie, i o tych, którzy w ogóle nie wrócili. Myślałem o ludziach w domu, którzy nie mieli zielonego pojęcia o tej wojnie – z wyboru. Wielu się jej sprzeciwiało, ale niewielu wiedziało o niej cokolwiek. Zastanawiałem się dlaczego. Kto powinien był im to wyjaśnić?

A tak, pomyślałem. Prasa.

Wylądowałem 1 marca 2008 roku. Między mną a godziwym posiłkiem znajdowała się obowiązkowa konferencja prasowa. Wstrzymałem oddech, stanąłem przed

wybranym dziennikarzem, odpowiedziałem na jego pytania. Użył słowa „bohater”, na które się nie zgodziłem.

– Bohaterami są ci chłopcy w samolocie. Nie wspominając o chłopcach, którzy wciąż znajdują się w Delhi, w Dwyer, w Edinburgh.

Wyszedłem z sali i wpadłem prosto na Willy’ego i tatę. Wydaje mi się, że Willy mnie objął. Wydaje mi się, że pocałowałem tatę w oba policzki. I że on też chyba... uściśnął moje ramię? Mogło to wyglądać, dla każdego, kto by spoglądał z pewnej odległości, jak normalne rodzinne powitanie i normalna interakcja, jednak, jeśli chodzi o nas, był to ekstrawagancki, bezprecedensowy pokaz fizycznej bliskości.

Obaj gapili się na mnie szeroko otwartymi oczyma. Wyglądałem na wyczerpanego. Udęconego.

– Wyglądasz doroślej – powiedział tata.

– Wydoroślałem.

Stłoczyliśmy się w audi taty i ruszyliśmy w kierunku Highgrove. Po drodze rozmawialiśmy, jakbyśmy byli w bibliotece. Ściszonymi głosami.

– Jak się masz, Haroldzie?

– Och, nie wiem. A ty jak?

– Nie najgorzej.

– Jak się miewa Kate?

– Dobrze.

– Coś mnie ominęło?

– Nic. Wszystko po staremu.

Opuściłem szybę, patrzyłem na przesuwany się krajobraz. Moje oczy nie były w stanie w pełni przyswoić sobie tych wszystkich barw, tej zieleni. Odetchnąłem świeżym powietrzem i zastanawiałem się, co było snem: miesiące w Afganistanie czy ta podróż samochodem? Działa w Dwyer, bezgłowe kozy, chłopiec na taczkach – czy to była rzeczywistość? Czy też rzeczywiste były te miękkie skórzane siedzenia i woda kolońska taty?

Dostałem miesiąc wolnego. Pierwszą jego część spędziłem z kumplami. Usłyszeli, że jestem w domu, wydzwonili mnie, zapraszając na drinka.

– Dobra, ale tylko na jednego.

Miejsce zwane Cat and Custard Pot. Ja: siedzę w ciemnym kącie, sącząc gin z tonikiem. Oni: śmieją się i gadają, robią najróżniejsze plany dotyczące wycieczek i wakacji.

Wszyscy wydawali się tak hałaśliwi. Czy zawsze robili tyle hałasu?

Wszyscy powiedzieli, że jestem jakiś cichy. Tak, powiedziałem, no tak, chyba rzeczywiście.

– Ale czemu?

– Bez powodu.

Po prostu nie miałem ochoty się odzywać.

Czułem się nie na miejscu, jak gdyby trochę oderwany. Chwilami miewałem jakby ataki paniki. Albo ogarniał mnie gniew. „Czy wy, ludzie, w ogóle wiecie, co się teraz dzieje po drugiej stronie globu?”

Po jednym czy dwóch dniach zadzwoniłem do Chels, poprosiłem, żeby się ze mną spotkała. Błagałem. Była w Kapsztadzie.

Poprosiła mnie, żebym wpadł.

Tak, pomyślałem. Właśnie tego mi teraz trzeba. Dzień czy dwa z Chels i jej bliskimi.

Później oboje uciekliśmy do Botswany, aby spotkać się z całą bandą. Zaczęliśmy od domu Teej i Mike’a. Uściski i pocałunki w drzwiach: potwornie się o mnie martwili. Później karmili mnie, a Mike nalewał mi drinki, i wreszcie byłem w miejscu, które najbardziej kochałem, pod niebem, które najbardziej kochałem, tak szczęśliwy, że w którymś momencie zastanawiałem się, czy przypadkiem nie mam łez w oczach.

Dzień czy dwa później razem z Chels popłynęliśmy w górę rzeki wynajętą barką mieszkalną. „Kubu Queen”. Gotowaliśmy proste posiłki, spaliśmy na górnym pokładzie, pod gwiazdami. Patrząc na Pas Oriona, na Mały Wóz, próbowałem odreagować, ale nie było to łatwe. Prasa dostała cynk na temat naszej wycieczki i fotografowano nas nieustannie, za każdym razem, kiedy łódź zbliżała się do brzegu.

Po jakimś tygodniu wróciliśmy do Maun, zjedliśmy pożegnalną kolację z Teej i Mikiem. Wszyscy wcześniej poszli spać, tylko ja siedziałem z Teej, opowiadając jej trochę o wojnie. Tylko trochę. Pierwszy raz od powrotu do domu w ogóle o tym rozmawiałem.

Willy i tata pytali. Ale nie w taki sposób, w jaki pytała Teej.

Inaczej było z Chelsy. Czy omijała ten temat, ponieważ wciąż nie podobało się jej, że tam pojechałem? A może wiedziała, że będzie mi trudno o tym mówić? Nie byłem pewien i czułem, że ona też nie jest pewna, że żadne z nas nie jest już pewne niczego.

O tym także rozmawialiśmy z Teej.

– Lubi mnie – powiedziałem. – Myślę, że mnie kocha. Ale nie podoba jej się ten bagaż, który się ze mną wiąże, nie podoba jej się wiele z tego, co się wiąże z przynależnością do rodziny królewskiej, prasa i tak dalej, a nic z tego nigdy nie zniknie. Więc czy jest jakaś nadzieja?

Teej spytała bez ogródek, czy jestem w stanie wyobrazić sobie, że żenię się z Chels.

Próbowałem wyjaśnić. Uwielbiałem w Chels jej beztroskiego, autentycznego ducha. Nigdy nie przejmowała się tym, co inni sobie pomyślą. Nosiła krótkie spódniczki i wysokie buty, tańczyła z pasją, piła tyle samo tequili co ja i uwielbiałem w niej to wszystko... ale nie potrafiłem nie martwić się tym, co mogła sądzić na ten temat babcia. Albo brytyjska opinia publiczna. No i ostatnią rzeczą, której chciałem, było to, żeby Chels się zmieniła, żeby ich zadowolić.

Tak rozpaczliwie chciałem zostać mężem i ojcem... ale po prostu nie miałem pewności.

– Żeby znosić ochronę, trzeba być osobą szczególnego rodzaju, Teej, i nie wiem, czy Chels zdoła sobie z tym poradzić. Nie wiem, czy chcę ją prosić, żeby sobie z tym radziła.

Prasa dostawała zadyszki, donosząc po naszym powrocie do Wielkiej Brytanii: że pomknęliśmy do mieszkania Chelsy w Leeds, poza kampusem, gdzie mieszkała z dwiema dziewczynami, którym ufałem i które, co ważniejsze, miały zaufanie do

mnie, że wślizgiwałem się do ich mieszkania, przebrany, w bluzie z kapturem i czapce bejsbolówce, co śmieszyło współlokatorki, i że uwielbiałem udawać studenta, chodzić na pizzę i przesiadywać w pubach, a nawet że zastanawiam się, czy decyzja o tym, żeby nie iść na uniwersytet, była słuszna – i nic z tego nie było prawdą.

W mieszkaniu Chels w Leeds byłem dwa razy.

Ledwie znałem jej współlokatorki.

Nigdy, ani razu, nie żałowałem decyzji o tym, żeby nie podejmować studiów.

Ale prasa robiła się coraz gorsza. Teraz już po prostu rozpuszczali plotki, fantazje, urojenia, a jednocześnie fizycznie nękali i prześladowali mnie i wszystkie osoby z mojego wewnętrznego kręgu. Chels mówiła mi, że paparazzi śledzą ją, kiedy idzie na wykłady lub z nich wraca – i prosiła, żebym coś z tym zrobił.

Powiedziałem jej, że próbuję. Mówiłem, jak bardzo mi przykro.

Kiedy wróciła do Kapsztadu, dzwoniła do mnie i opowiadała, że różni ludzie chodzą za nią wszędzie i to doprowadza ją do szaleństwa. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jakim cudem zawsze wiedzieli, gdzie jest i dokąd zamierza iść. Była przerażona. Przegadałem to z Markiem, który poradził, żebym poprosił brata Chels o sprawdzenie spodu jej auta.

Oczywiście: urządzenie śledzące.

Marko i ja byliśmy w stanie wyjaśnić jej bratu tak dokładnie, czego ma szukać i gdzie, ponieważ to samo zdarzyło się już wielu osobom z mojego otoczenia.

Chels kolejny raz powtórzyła, że nie jest pewna, czy się na to pisze. Być przez całe życie wystawioną na prześladowania?

Co mogłem powiedzieć?

Brakowało mi jej, bardzo. Ale w pełni rozumiałem jej pragnienie wolności.

Gdybym miał wybór, także nie chciałbym takiego życia.

Flack, tak na nią mówiono.

Była zabawna. Słodka. I wyluzowana. Poznałem ją w restauracji, gdzie byłem z kilkorgiem znajomych, wiele miesięcy po tym, jak Chels i ja postanowiliśmy się

rozejść.

– Spike, to jest Flack.

– Cześć. Czym się zajmujesz, Flack?

Wyjaśniła, że pracuje w telewizji. Była prezenterką.

– Przykro mi – powiedziałem – nie oglądam za często telewizji.

Nie zniechęciło jej to, że jej nie rozpoznałem, co mi się podobało. Nie miała wielkiego ego.

Nawet kiedy już wyjaśniła, kim jest i czym się zajmuje, wciąż nie byłem pewien.

– To jak brzmi twoje pełne imię i nazwisko?

– Caroline Flack.

Kilka dni później spotkaliśmy się na kolację i żeby pograć. Poker z Markiem, w jego mieszkaniu w Bramham Gardens. Po jakiejś godzinie wyszedłem na zewnątrz, skryty pod jednym z kowbojskich kapeluszy Marka, żeby porozmawiać z Billym Rockiem. Kiedy opuściłem budynek, zapaliłem papierosa i spojrzałem w prawo. Tam, za zaparkowanym samochodem... dwie pary stóp.

I dwie podskakujące głowy.

Kimkolwiek byli, nie rozpoznali mnie w kapeluszu Marka. Więc mogłem swobodnie podejść do Billy'ego, pochylić się nad jego policyjnym autem i szepnąć:

– Przeciwnik na trzeciej.

– Co? Nie!

– Billy, skąd mogli wiedzieć? Przeszukaj mnie. Nikt nie wie, że tu jestem. Czy mnie namierzają? Czy dostali się do mojego telefonu? Albo do telefonu Flack?

Billy wyskoczył z samochodu, obiegnął zakręt i zaskoczył dwóch paparazzich. Nawrzeszczał na nich. Ale oni zaczęli wrzeszczeć na niego. Pewni swoich praw. Rozzuchwaleni.

Tamtego wieczoru nie zrobili zdjęcia – małe zwycięstwo. Jednak wkrótce potem dopadli mnie razem z Flack i te zdjęcia wywołały szal. Nie minęło kilka godzin, a cały tłum obozował pod domem rodziców Flack, pod domami jej przyjaciół, pod domem jej babki. W jednej z gazet opisano ją jako moją „odrobinę nieokrzesania”, ponieważ kiedyś pracowała w fabryce albo coś w tym rodzaju.

Jeżu, pomyślałem, czy naprawdę jesteśmy krajem takich niereformowalnych snobów?

Nadal spotykałem się z Flack od czasu do czasu, ale nie czuliśmy się już swobodnie. Trzymaliśmy się razem, jak sądzę, dlatego że naprawdę dobrze czuliśmy się w swoim towarzystwie i ponieważ nie chcieliśmy przyznać się do porażki, jaką ponieśliśmy z rąk tych dupków. Ale nasz związek został nieodwracalnie skażony i po pewnym czasie zgodziliśmy się, że po prostu nie jest wart żalu i nękania.

Zwłaszcza nękania jej rodziny.

Żegnaj, powiedzieliśmy sobie. Żegnaj i powodzenia.

25

Udałem się razem z JLP do pałacu Kensington na koktajl z generałem Dannattem.

Kiedy zapukaliśmy do drzwi apartamentu generała, byłem bardziej zdenerwowany niż wtedy, gdy wyruszałem na wojnę.

Generał i jego żona, Pippa, przywitani nas ciepło i pogratulowali mi służby.

Uśmiechnąłem się i zaraz skrzywiłem. Tak, powiedzieli. Było im przykro, że mój przydział został skrócony.

– Prasa: wszystko zniszczą. Czyż nie?

– To prawda, bez wątpienia.

Generał nalał mi ginu z tonikiem. Usiedliśmy na fotelach w salonie, pociągnąłem głęboki łyk, poczułem, jak gin spływa mi do gardła, i wyrzuciłem z siebie, że muszę wrócić. Musiałem odbyć pełną rundę, tak jak trzeba.

Generał wpatrywał się we mnie.

– Och. Rozumiem. Cóż, w takim wypadku...

Zaczął zastanawiać się na głos, rozważając różne możliwości, analizując polityczne znaczenie i konsekwencje każdej z nich.

– A jakby na przykład... pilot helikoptera?

Wow. Przechyliłem się do tyłu. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Może dlatego, że Willy, mój ojciec – a także dziadek i stryj Andrew – byli pilotami. Zawsze starałem się żyć własnym życiem, mieć coś swojego, ale generał Dannatt

powiedział, że to najlepszy sposób. Jedyne rozwiązanie. Będę bezpieczniejszy, jeśli tak można powiedzieć, ponad walką, wśród chmur. Podobnie jak wszyscy służący razem ze mną. Nawet jeśli prasa dowie się, że wracam do Afganistanu, nawet jeśli znów palną jakąś głupotę – co z tego? Talibowie mogą się dowiedzieć, gdzie jestem, ale życzymy im powodzenia w śledzeniu mnie w powietrzu.

– Ile czasu zajmie mi zdobycie kwalifikacji pilota, panie generale?

– Około dwóch lat.

Potrząsnąłem głową.

– Za długo, sir.

Wzruszył ramionami.

– Tyle to trwa. I tyle powinno.

Trzeba się będzie sporo poduczyć, jak wyjaśnił.

Jasna cholera. Za każdym razem życie upierało się, żeby zaciągnąć mnie z powrotem do klasy.

Podziękowałem mu i powiedziałem, że się zastanowię.

26

Tymczasem jednak spędziłem lato 2008 roku, nie zastanawiając się nad tym.

Nie myślałem za wiele o niczym, oprócz trzech rannych żołnierzy, którzy lecieli razem ze mną samolotem do domu. Chciałem, żeby inni ludzie także o nich myśleli i mówili. Zbyt mało osób myślało i mówiło o brytyjskich żołnierzach wracających z pola bitwy.

W każdej wolnej chwili próbowałem wykombinować jakiś sposób, żeby to zmienić.

Pałac starał się, żebym miał stale jakieś zajęcie. Wysłano mnie do Stanów, w moją pierwszą oficjalną służbową podróż tamże (byłem wcześniej w Kolorado, na spływie rzeczonym i zwiedzałem z mamą Disney World). JLP, który został zaangażowany do opracowania planu wizyty, doskonale wiedział, co chcę robić. Chciałem odwiedzić rannych żołnierzy i chciałem złożyć wieniec na miejscu World Trade Center. Chciałem także spotkać się z rodzinami tych, którzy zginęli 11 września 2001 roku. JLP zadbał, żeby wszystko to się wydarzyło.

Niewiele więcej pamiętam z podróży, jedynie te właśnie momenty. Spoglądam w przeszłość, czytam artykuły o zgiełku, jaki mi towarzyszył, gdziekolwiek się pojawiłem, zawzięte dyskusje o mojej matce, na ogół związane z jej miłością do Stanów i jej historycznymi wizytami w tym kraju, ale sam pamiętam przede wszystkim, jak siedziałem z rannymi żołnierzami, odwiedzałem cmentarze wojskowe, rozmawiałem z rodzinami pogrążonymi w żałobie.

Trzymałem ich za ręce, kiwałem głową i mówiłem:

– Rozumiem. – Myślę, że dzięki temu i oni, i ja zyskiwaliśmy pociechę. Żałoba jest czymś, czym najlepiej jest się podzielić.

Wracałem do kraju utwierdzony w przekonaniu, że trzeba zrobić jeszcze więcej dla wszystkich, których dotknęła wojna z terrorem. Wiele od siebie wymagałem – zbyt wiele. Byłem wypalony, o czym nie wiedziałem; bardzo często budziłem się rano słaby i zmęczony. Ale nie miałem pojęcia, jak mógłbym zwolnić, skoro tak wielu potrzebowało pomocy. Tak wielu cierpiało.

Mniej więcej w tym czasie dowiedziałem się o nowej brytyjskiej organizacji: Help for Heroes. Zachwyciło mnie to, co robili, to, że szerzyli wiedzę o losach żołnierzy. Razem z Willym zwróciliśmy się do nich:

– Co możemy zrobić?

Jest coś takiego, powiedzieli założyciele, rodzice brytyjskiego żołnierza:

– Czy będziecie nosić naszą opaskę na nadgarstkach?

Oczywiście! Założyliśmy opaski podczas meczu piłki nożnej, gdzie byliśmy razem z Kate, i skutki tego okazały się oszałamiające. Zapotrzebowanie na opaski podskoczyło gwałtownie, dotacje zaczęły napływać. To był początek długiego ważnego związku. Co więcej, stanowiło to dogłębne przypomnienie o mocy naszego PR-u.

Jednak nadal większość pracy wykonywałem za kulisami. Wiele dni spędziłem w szpitalu Selly Oak i w Headley Court, rozmawiając z żołnierzami, wysłuchując ich historii, starając się dać im chwilę spokoju i śmiechu. Nigdy nie zawiadamałem prasy i pozwoliłem Pałacowi zrobić to chyba tylko raz. Nie chciałem żadnych dziennikarzy w promieniu choćby mili od tych spotkań, które mogły z pozoru wydawać się swobodne, ale w rzeczywistości były dojmująco osobiste.

– Pan też był w prowincji Helmand?

- O tak.
- Stracił pan tam jakichś chłopców?
- Tak.
- Jest coś, co mogę zrobić?
- Robisz to, człowieku.

Stałem przy łózkach mężczyzn i kobiet będących w strasznej kondycji, często razem z ich rodzinami. Pewien młody chłopak, owinięty bandażem od stóp do głów, znajdował się w stanie śpiączki farmakologicznej. Byli przy nim jego mama i tata, powiedzieli, że prowadzą dziennik, w którym opisują proces jego powrotu do zdrowia, i poprosili, żebym go przeczytał. Później, za ich zgodą, napisałem w tym dzienniku kilka słów dla tego chłopaka, żeby odczytali mu je, kiedy się obudzi. Potem uściskaliśmy się, a kiedy się żegnaliśmy, czuliśmy się, jakbyśmy byli rodziną.

Ostatecznie udałem się do ośrodka rehabilitacyjnego, żeby dostać tam oficjalne zadanie i spotkać się z jednym z żołnierzy, z którymi leciałem do domu, z Benem. Opowiedział mi, jak mina zabrała mu lewą rękę i prawą nogę. Piekielnie upalny dzień, powiedział. Biegł, usłyszał wybuch, a potem poczuł, że leci dwadzieścia stóp nad ziemią.

Pamiętał, że widział, jak jego noga odrywa się od ciała.

Opowiadał mi to ze słabym męznym uśmiechem.

Dzień przed moją wizytą dostał nową protezę nogi. Spojrzałem w dół.

– Elegancka, stary. Wygląda na mocną!

Zobaczy się wkrótce, odparł. Jego rehabilitacja tego dnia obejmowała wspinaczkę w górę i w dół po ścianie.

Kręciłem się w pobliżu, obserwując.

Usadowił się w uprzęży, chwycił za linę, zaczął wspinać się na ściankę. Na szczycie wydał radosny, triumfalny okrzyk i pomachał, a potem zszedł na dół.

Byłem oszołomiony. Nigdy nie czułem takiej dumy – z bycia Brytyjczykiem, z bycia żołnierzem, z bycia jego towarzyszem broni. Powiedziałem mu to. Powiedziałem, że za wejście na szczyt tej ścianki chętnie postawiłbym mu piwo, a właściwie całą skrzynkę piwa.

Zaśmiał się.

– Na pewno bym nie odmówił, stary!

Wspomniał coś o tym, że chce przebiec maraton.

Powiedziałem, że jeśli kiedyś to zrobi, spotka mnie czekającego na linii mety.

27

Pod koniec tego lata pojechałem do Botswany spotkać się z Teej i Mikiem. Niedawno zrobili swoje arcydzieło dla serii *Planeta Ziemia* Davida Attenborough i parę innych materiałów dla BBC, a teraz kręcili ważny film o słońiach. Kilka stad, zestresowanych suszą i naruszaniem ich siedlisk, ruszyło do Namibii w poszukiwaniu pożywienia, wpadając prosto w objęcia kłusowników – setek uzbrojonych w AK-47. Teej i Mike mieli nadzieję, że ich film pomoże rzucić światło na dokonującą się masakrę.

Spytałem, czy mogę pomóc. Nie wahali się.

– Jasne, Spike.

I naprawdę zaproponowali, że zatrudnią mnie jako nieodpłatnego, ale wymienionego w napisach kamerzystę.

Od pierwszego dnia mówili o tym, jak się zmieniłem. Jasne, że zawsze umiałem ciężko pracować, ale niewątpliwie w wojsku nauczyłem się przyjmowania poleceń. Nigdy nie musieli mi niczego powtarzać dwukrotnie.

Podczas tych zdjęć wiele razy jeździliśmy po buszu ich ciężarówką z otwartym tyłem, a ja rozglądałem się, myśląc, jakie to dziwaczne. Przez całe życie nienawidziłem fotografów, ponieważ specjalizowali się w odbieraniu mi swobody, a teraz sam pracuję jako fotograf, walcząc o uratowanie tych majestatycznych stworzeń. I robiąc to, czuję się wyzwolony.

Jeszcze większym paradoksem było to, że filmowałem weterynarzy, którzy przyczepiali zwierzętom urządzenia tropiące (te urządzenia pomagały badaczom lepiej zrozumieć wzorce migracji stad). Aż dotąd nie miałem zbyt miłych skojarzeń z urządzeniami tropiącymi.

Pewnego dnia filmowaliśmy weterynarza, który postrzelił strzałką wielkiego samca słońia, a następnie zakładał mu na szyję obręcz z nadajnikiem. Ale strzałka tylko musnęła grubą skórę zwierzęcia, które zdołało wstać i ruszyć.

Mike wrzasnął:

– Łap kamerę, Spike! Biegnij!

Słoń przedzierał się przez gęste krzaki, na ogół piaszczystą ścieżką, która jednak niekiedy znikwała. Razem z weterynarzem staraliśmy się iść jego śladem. Nie potrafiłem uwierzyć w to, jak szybko słoń się poruszał. Przebiegł osiem kilometrów, zanim zwolnił, a potem się zatrzymał. Nie zbliżałem się, a kiedy weterynarz do nas dotarł, patrzyłem, jak wbija w słonia kolejną strzałkę. I wreszcie olbrzym opadł na ziemię.

Kilka chwil później nadjechał Mike, z rykiem ciężarówki.

– Dobra robota, Spike!

Sapałem ciężko, z rękami na kolanach, zlany potem.

Mike spojrzał na mnie z przerażeniem.

– Spike, gdzie masz buty?

– A, tak. Zostały w ciężarówce. Uznałem, że nie ma czasu, żeby je złapać.

– Przebiegłeś osiem kilometrów... przez busz... bez butów?

Roześmiałem się.

– Kazałeś mi biec. Sam mówiłeś, że wojsko nauczyło mnie słuchać rozkazów.

28

Dokładnie na początku nowego roku, 2009, wszędzie zaczął pojawiać się pewien film.

Ja jako kadet, trzy lata wcześniej, w towarzystwie innych kadetów.

Na lotnisku. Chyba na Cyprze? A może czekaliśmy na lot na Cypr?

Sam nakręciłem ten film. Dla zabicia czasu przed lotem, wygłupiając się, uchwyciłem całą grupę, rzucając kilka słów komentarza o każdym chłopaku, i kiedy doszedłem do mojego współtowarzysza i przyjaciela, Ahmeda Razy Kahna, który był Pakistańczykiem, powiedziałem:

– Ach, nasz drogi kumpel Pakistaniec!...

Nie miałem pojęcia, że „Pakistaniec” to obelżywe określenie. Gdy byłem młodszy, wiele osób używało przy mnie tego słowa i nigdy nie widziałem, żeby

ktokolwiek wzdrygał się czy okazywał zażenowanie, przy czym nigdy nie podejrzewałem tych osób o rasizm. Nie wiedziałem też nic o nieświadomych uprzedzeniach. Miałem dwadzieścia jeden lat, byłem chowany pod kloszem, w izolacji i uprzywilejowany i w ogóle nie zastanawiałem się nad tym słowem. Myślałem, że jest jak Brytol. Neutralne.

Wysłałem nagranie koledze kadetowi, który robił film na zakończenie roku. Od tego czasu krążył, przeskakując z komputera na komputer, aż ostatecznie trafił w ręce kogoś, kto sprzedał go „News of the World”.

Ze wszystkich stron posypały się gorące słowa potępienia.

Niczego się nie nauczyłem, orzekli ludzie.

Nie stałem się ani odrobinę dojrzałszy od czasu katastrofy z nazistowskim mundurem, stwierdzono.

Książę Harry to nie tylko przygłup, mówiono, nie tylko imprezowicz, jest dużo gorzej – to rasista.

Piętnował mnie przywódca torysów. Jeden z ministrów, członków rządu, pojawił się w telewizji, żeby mnie ubiczować. Wuj Ahmeda potępił mnie na antenie BBC.

Siedziałem w Highgrove, patrzyłem, jak ta wściekłość wali się na mnie, ledwie byłem w stanie ogarnąć to wszystko.

Biuro mojego ojca wystosowało w moim imieniu przeprosiny. Chciałem wystosować także własne, ale dworscy urzędnicy odwodzili mnie od tego.

– To nie najlepsza strategia, sir.

– Do diabła ze strategią. – Gdzieś miałem strategię. Zależało mi na tym, żeby ludzie nie myśleli, że jestem rasistą. Zależało mi na tym, żeby nie być rasistą.

Przede wszystkim zależało mi na Ahmedzie. Odezwałem się do niego bezpośrednio, przepraszałem. Powiedział, że wie, że nie jestem rasistą. To nie było nic takiego.

Ale było. A jego przebaczenie, łatwość, z jaką okazał wielkoduszność, spowodowały tylko, że poczułem się jeszcze gorzej.

W czasie, kiedy ta dyskusja zataczała coraz szersze kręgi, zostałem wysłany do bazy RAF Barkston Heath. Dziwny moment na rozpoczęcie szkolenia pilota, na rozpoczynanie jakiegokolwiek szkolenia. Moja zdolność koncentracji, od urodzenia marna, nigdy nie była marniejsza. Może jednak, powiedziałem sobie, jest to też dobry moment. Chciałem ukryć się przed ludźmi, uciec z tej planety, a ponieważ nie miałem pod ręką rakiety, może wystarczy samolot.

Zanim jednak pozwolono mi wejść do jakiegokolwiek pojazdu latającego, armia musiała się upewnić, że stanowią odpowiedni materiał. Przez kilka tygodni dźgali moje ciało, badali mój umysł.

Wolny od narkotyków, orzekli. Wydawali się zdziwieni.

No i też, niezależnie od filmu, nie taki kompletny przygłup.

Tak więc... można procedować.

Moim pierwszym samolotem będzie firefly, orzekli. Jasnożółty, stałopłat, z jednym śmigłem.

Prosta maszyna zdaniem mojego pierwszego instruktora pilotażu, starszego sierżanta Booleya.

Wsiadłem i pomyślałem: doprawdy? Jak dla mnie nie wygląda na prostą.

Odwróciłem się w stronę Booleya, przyjrzałem mu się. On także nie był prosty. Niski, solidny, twardy, walczył w Iraku i na Bałkanach i powinien być ciężkim przypadkiem, biorąc pod uwagę wszystko, co widział i przez co przeszedł, tymczasem nie wydawało się, żeby cierpiał z powodu jakichkolwiek negatywnych skutków kolejnych tur bojowych. Przeciwnie, był samą łagodnością.

Musiał być. Miałem tyle na głowie, że pojawiłem się na naszych zajęciach straszliwie rozkojarzony, i było to widać. Wciąż spodziewałem się, że Booley straci cierpliwość, zacznie na mnie wrzeszczeć, ale nigdy tego nie zrobił. Za to po jednej z sesji zaprosił mnie na przejażdżkę motocyklową po okolicy.

– Pojedziemy oczyścić sobie głowy, poruczniku Wales.

To zadziałało. Jak czary. A motocykl, wspaniały triumph 675, był doskonałym przypomnieniem tego, czego szukałem na tych lekcjach latania. Prędkości i mocy.

I wolności.

Później odkryliśmy, że nie jesteśmy wolni: paparazzi podążali za nami całą drogę i uchwycili nas przed domem Booleya.

Po okresie aklimatyzowania się w kokpicie firefly, zapoznawania się z panelem kontrolnym wreszcie poleciliśmy. Na jednym z naszych pierwszych wspólnych lotów, bez żadnego ostrzeżenia, Booley doprowadził samolot do turbulencji. Czułem, jak lewe skrzydło opada, miałem wywołujące mdłości wrażenie chaosu, entropii, a później, po kilku sekundach, które ciągnęły się jak lata, Booley opanował samolot i wyrównał lot.

Gapilem się na niego.

– Co, do jasnej...?

Czy była to przerwana próba samobójcza?

Nie, powiedział łagodnie. To był kolejny etap mojego szkolenia. W powietrzu niezliczona ilość rzeczy może pójść nie tak, więc musiał pokazać mi, co robić – ale też jak to robić.

Zachowaj. Spokój.

Podczas naszego kolejnego lotu wykonał ten sam manewr. Tym razem jednak nie opanował maszyny. Kiedy lecieliśmy, wirując i kręcąc piruety, ku Ziemi, powiedział:

– Już czas.

– Na co?

– Żeby pan... TO ZROBIŁ.

Spojrzał na układ sterowania. Chwyciłem drążek, zastartowałem, odzyskałem kontrolę nad samolotem, jak mi się wydawało, w mgnieniu oka.

Spojrzałem na Booleya, oczekując gratulacji.

Nic. W zasadzie żadnej reakcji.

Z czasem Booley zaczął powtarzać ten sam manewr, odcinał zasilanie, skazywał nas na swobodny upadek. Kiedy trzask metalu i ryk białego szumu zatrzymanego silnika stawały się ogłuszające, odwracał się spokojnie w lewo:

– Już czas.

– Czas?

– Pan steruje.

– Ja steruję.

Kiedy przywracałem moc, kiedy wracaliśmy bezpiecznie do bazy, nie było żadnych fanfar. Ani nawet zbyt wielu rozmów. W kokpicie Booleya nie dawano

medali za robienie tego, co trzeba.

Wreszcie, pewnego jasnego poranka, po kilku rutynowych okrążeniach nad lotniskiem wylądowaliśmy miękko, a Booley wyskoczył, jak gdyby firefly stanął w ogniu.

– O co chodzi?

– Już czas, poruczniku Wales.

– Czas?

– Na pana samodzielny lot.

– Ach. Okej.

I poleciałem (upewniwszy się uprzednio, że mam przypięty spadochron). Zrobiłem jedno czy dwa okrążenia nad lotniskiem, cały czas mówiąc do siebie: „Pełna moc. Utrzymuj ster na białej linii. Poderwij... powoli! Opuść przód. Nie zatrzymuj! Skręć w górę. Wyrównaj. Okej, teraz lecisz z wiatrem. Wywołaj wieżę. Sprawdź oznaczenia terenu.

Kontrola przed lądowaniem.

Zmniejsz moc!

Zaczynaj schodzić na zakręcie.

Dobrze, teraz spokojnie.

Skręć tam, przygotuj, przygotuj go.

Trzystopniowy tor lotu, dziób ustaw na klawiszach.

Poproś o zezwolenie na lądowanie.

Skieruj samolot tam, gdzie chcesz lądować...”

Wylądowałem niezbyt równo, z jednym podskokiem, i zjechałem z pasa startowego. Dla przeciętnego obserwatora wyglądało to jak najnudniejszy lot w historii pilotażu. Dla mnie była to jedna z najcudowniejszych chwil życia.

Czy byłem już pilotem? Nie za bardzo. Ale byłem na dobrej drodze.

Wyskoczyłem, pomaszerowałem do Booleya. O Boże, tak chciałem przybić z nim piątkę, zabrać go na drinka, ale to nie wchodziło w grę.

Tym, na co absolutnie nie miałem ochoty, była konieczność pożegnania się z nim, ale to właśnie miało teraz nastąpić. Teraz, kiedy poleciałem już sam, musiałem rozpocząć kolejną fazę mojego szkolenia.

Jak Booley lubił powtarzać, już czas.

30

Wysłano mnie do bazy RAF Shawbury, gdzie przekonałem się, że śmigłowce są o wiele bardziej skomplikowane niż firefly.

Nawet procedury przedstartowe obejmowały znacznie więcej czynności.

Gapiąc się na niezliczone przyciski i przełączniki, zadawałem sobie pytanie: „Jak ja to wszystko spamiętam?”.

Jakoś się udało. Powoli uczyłem się wszystkiego pod czujnym okiem moich dwóch nowych instruktorów, starszych sierżantów Lazla i Mitchella.

Wkrótce zaczęliśmy loty, śmigła, niczym trzepaczki, ubijały pierzaste chmury. Pod wieloma względami był to najbardziej autentyczny sposób latania. Mało co mogło się równać z uczuciem, którego doświadczyłem. Kiedy pierwszy raz wznieśliśmy się pionowo w górę, pomyślałem, że jestem do tego stworzony.

Ale – jak się przekonałem – latanie wcale nie jest najtrudniejszym elementem. Cała sztuka to utrzymywać maszynę nieruchomo w powietrzu. Poświęciliśmy na to co najmniej sześć lekcji. Z początku myślałem, że będzie łatwo, wkrótce jednak odniosłem wrażenie, że to prawie niemożliwe. Ba, im dłużej ćwiczysz zawis, tym bardziej wydaje się on niewykonalny.

Główną przyczyną jest zjawisko określane mianem małp w zawisie. Kiedy śmigłowiec znajdzie się tuż nad ziemią, pilot musi zmierzyć się z piekielnie trudnym splotem czynników: aerodynamiką, podmuchami od pracującego wirnika, grawitacją. Maszyna najpierw zaczyna się trząść, potem się kołysze, przechyla się, znosi ją z kursu – jak gdyby niewidzialne małpy zwisały z obu płoz i ciągnęły śmigłowiec w dół. Żeby wylądować, trzeba się ich pozbyć. Jest tylko jeden sposób, by to zrobić: musisz je zignorować.

Łatwo powiedzieć. Próbowałem i próbowałem, ale małpy zawsze triumfowały i niespecjalnie pocieszało mnie, że inni piloci uczestniczący w szkoleniu również sobie z nimi nie radzili. Często rozmawialiśmy o tych sukinkotach, o tych niewidzialnych gremlinach. Nienawidziliśmy ich, wściekaliśmy się i ścisnęło nas w żołądku na samą myśl o wstydzie, którego się najemy, kiedy znów zwyciężą. Nikt nie potrafił znaleźć sposobu, żeby wyrównać śmigłowiec, posadzić go bez

uszkodzenia kadłuba lub bez szorowania płozami po płycie. Nic nie upokarzało tak bardzo jak lądowanie, po którym na asfalcie zostawały długie krzywe ślady.

W miarę jak zbliżał się dzień pierwszych solowych lotów, każdemu kompletnie odbijało. Małpy, małpy – w stołówce nie mówiło się o niczym innym. Przyszła kolej na mnie, wgramoliłem się do śmigłowca, odmówiłem szybki pacierz i poprosiłem wieżę o zgodę na start. „Masz zgodę”. Odpaliłem silnik, wystartowałem, zrobiłem kilka okrążeń wokół lotniska, żaden problem mimo silnego wiatru.

Teraz nadeszła godzina zero.

Na płycie namalowano osiem okręgów, zadanie polegało na tym, by wylądować wewnątrz jednego z nich. Płyta sąsiadowała z budynkiem z pomarańczowej cegły, w którym pozostali piloci i kadeci czekali na swoją kolej. Wiedziałem, że wszyscy stoją przy ogromnych oknach i mi się przyglądają. Tymczasem małpy uczepliły się mojej maszyny. Śmigłowiec zaczął się kołysać. „Spadajcie!”, krzyknąłem. „Idźcie sobie!”

Walczyłem ze sterem, aż wreszcie udało mi się posadzić śmigłowiec wewnątrz jednego z okręgów.

Wchodząc do ceglanego budynku, wypiąłem pierś i dumnie stanąłem przy oknie, żeby przyglądać się pozostałym. Byłem zlany potem, ale na twarzy miałem uśmiech.

Kilku kadetów musiało przerwać manewr lądowania. Jeden posadził maszynę na trawie, drugim tak bardzo rzucało, kiedy się zniżał, że na płytę wysłano karetkę i wozy strażackie.

Zobaczyłem potem w jego oczach, że czuje się dokładnie tak, jak ja czułbym się na jego miejscu.

Jakaś częśćka tego chłopaka wołała, żeby śmigłowiec rozbił się i spłonął.

Przez cały tamten czas mieszkałem w Shropshire razem z Willym, który również szkolił się na pilota. Wynajął niewielki dom na terenie czyjejś posiadłości, dziesięć minut od bazy, i zaproponował, żebym się tam wprowadził. A może to ja się wprosiłem?

Domek był przytulny i uroczy, stał przy wąskiej wiejskiej drodze przesłonięty gęstymi drzewami. Lodówkę wypełniały pakowane próżniowo zestawy lunchowe przygotowane przez kucharzy taty. Kurczak z ryżem w delikatnym sosie, curry z wołowiny... Na tyłach domu znajdowały się przepiękne stajnie, co tłumaczyło, dlaczego w każdym pokoju czuć było końmi.

Układ ten pasował nam obu. Pierwszy raz od czasów Eton mieszkaliśmy pod jednym dachem i dobrze się bawiliśmy. Co najlepsze, mogliśmy wspólnie nacieszyć się katastrofą medialnego imperium Murdocha. Po wielu miesiącach śledztwa aresztowano gang reporterów i redaktorów pracujących w najbardziej śmieciowej gazecie należącej do Murdocha. Zakuto ich w kajdanki, oskarżono o nękanie polityków, celebrytów – a także członków rodziny królewskiej. Korupcja została wreszcie ujawniona, pozostawało tylko czekać na wymierzenie kar.

Jednym ze zdemaskowanych złoczyńców był Kciuk, dziennikarz, który dawno temu, kiedy chodziłem do Eton, opublikował absurdalny i kompletnie zmyślony tekst na temat mojego złamanego palca. Kość dobrze się zrosła, ale Kciuk okazał się niereformowalny. Robił coraz gorsze rzeczy. Jego kariera w gazetowym światku świetnie się rozwijała, był teraz naczelnym, szefował zespołowi innych małych Kciuków, którzy na lewo i prawo hakowali ludziom telefony. Bezczelne przestępstwo – a tymczasem główny Kciuk powtarzał śmiechu warte kłamstwa, że nie wiedział o postępowaniu swoich podwładnych.

Kto jeszcze poleciał? Odwykowa Wariatka! Obmierzła redaktorka, która nakręciła historię o moim rzekomym odwyku. Kazali jej „złożyć dobrowolną rezygnację”. Dwa dni później została aresztowana.

Rany, poczuliśmy taką ulgę. Pomyślne wieści dla nas i dla całego kraju.

Podobny los spotkał wkrótce kolejnych manipulatorów, stalkerów i łgarzy. Potracili stanowiska i pieniądze zarobione nieuczciwie za sprawą działalności w jednej z najpodlejszych grup przestępczych w dziejach Wielkiej Brytanii.

Sprawiedliwości stało się zadość.

Szalałem z radości. Willy również. Wspaniałe było też to, że wreszcie potwierdziły się nasze podejrzenia, a nasi najbliżsi przyjaciele zostali oczyszczeni z zarzutów. Mieliśmy dowód, że nie jesteśmy paranoikami. Zło istniało naprawdę. Zostaliśmy zdradzeni, ale nie przez ochroniarzy czy najlepszych kumpli. Winowajcami raz jeszcze okazały się łasice z Fleet Street. A także Scotland Yard,

który z niezrozumiałych powodów nie robił tego, co do niego należało, i wielokrotnie odmawiał wszczęcia śledztwa przeciwko ewidentnym przestępcom.

Pytanie dlaczego. Kwestia łapówek? Zmowy? Strachu?

Wkrótce mieliśmy poznać odpowiedź.

Opinia publiczna była przerażona. Okazało się, że ogromna władza, którą społeczeństwo powierzyło prasie, została wykorzystana do czynienia zła, co świadczyło o fatalnym stanie demokracji. Poza tym dziennikarze mogli bezkarnie utrudniać zapewnianie bezpieczeństwa osobom publicznym i urzędnikom państwowym. W ten sposób dawali przykład terrorystom. Groziło to koszmarną jatką. Wówczas nikt już nie mógłby czuć się bezpiecznie.

Od dziesięcioleci Brytyjczycy powtarzali z drwiącym uśmiechem: cóż, powszechnie wiadomo, że nasze gazety są chujowe, ale przecież nie da się z tym nic zrobić. Teraz nikt się nie śmiał. Nastął powszechny konsensus: potrzebujemy zmian.

Najpopularniejsza niedzielna gazeta, wydawana przez Murdocha „News of the World”, dogorywała. Odegrała główną rolę w skandalu z hakowaniem telefonów i wyglądało na to, że go nie przetrwa. Reklamodawcy przymierzali się do zakończenia współpracy, czytelnicy rozważali bojkot. Nie mogłem w to uwierzyć. Czyżby dziecko Murdocha – szkaradne dwugłowe dziecko, prosto z gabinetu osobliwości – miało wreszcie wyzionąć ducha?

Czyżby nadchodziła nowa epoka?

Dziwna rzecz: wszystkie te wydarzenia wprawiły Willy'ego i mnie w znakomity nastrój, ale raczej o nich nie rozmawialiśmy. Cieszyliśmy się, że mieszkamy razem w domku w Shropshire. W jego murach często można było usłyszeć nasz śmiech, spędziliśmy wiele szczęśliwych godzin, gadając o najrozmaitszych sprawach, ale o tej jednej akurat nie. Sądzę, że była zbyt bolesna. A może czekaliśmy na definitywne zakończenie? Może nie chcieliśmy zapeszać, odkładaliśmy otwarcie szampana do momentu, kiedy Odwykowa Wariatka i Kciuk trafią do wspólnej celi?

Niewykluczone też, że pojawiło się między nami jakieś napięcie, z którego nie do końca zdawałem sobie sprawę. Któregoś dnia zgodziliśmy się udzielić wspólnego wywiadu, co zdarzało się raczej rzadko. Spotkaliśmy się z dziennikarzami w hangarze w Shawbury. Willy przez cały czas wbijał mi szpile. Harry jest strasznym niechlujem, powiedział. I do tego chrapie.

Posłałem mu wymowne spojrzenie. Żartował?

Zawsze po sobie sprzątałem. Nie chrapałem. Zresztą nasze sypialnie dzieliła gruba ściana, więc nawet gdybym chrapał, Willy i tak nic by nie usłyszał. Dziennikarze strasznie się rozchichotali, ale uznałem, że muszę się wciąć.

– Kłamstwo i potwarz – powiedziałem.

Jeszcze bardziej ich to rozbawiło. Willy'ego również.

Ja także się zaśmiałem. Często przecież się przekomarzaliśmy, ale kiedy teraz o tym myślę, zastanawiam się, czy kryło się w tym coś jeszcze. Szkoliłem się, żeby wyjechać na front. Willy też się do tego przygotowywał, dopóki Pałac nie wyraził sprzeciwu. Zastępca – proszę bardzo, niech sobie biega po polu bitwy jak kura z oderzniętą głową, jeśli tylko ma na to ochotę.

Ale Następca? Wykluczone.

Dlatego Willy szkolił się obecnie na pilota w lotniczym pogotowiu ratunkowym i być może zżerała go cicha frustracja. Jeśli tak, szkoda, że nie umiał dostrzec prawdy. Uważałem, że wykonuje fantastyczną, niezwykle ważną robotę. Każdego tygodnia ratował ludziom życie. Byłem z niego dumny, imponowało mi, z jak wielkim zaangażowaniem poświęcił się tej sprawie.

Powinienem był jednak się domyślić jego uczuć. Aż za dobrze znałem rozpacz, która ogarnia człowieka, kiedy mimo wielu lat przygotowań zostaje zmuszony do opuszczenia pola walki.

32

Z Shawbury przeniosłem się do Middle Wallop. Armia uznała, że potrafię już pilotować śmigłowiec, więc teraz muszę nauczyć się latać w warunkach bojowych. I robić równocześnie inne rzeczy. Dużo rzeczy. Na przykład czytać mapę, namierzać cel, odpalać pociski, komunikować się przez radio lub sikać do specjalnego woreczka. Wielozadaniowość w powietrzu przy prędkości ponad dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę nie jest dla każdego. Wymaga sprawności godnej rycerza Jedi. Żeby ją osiągnąć, musiałem przemodelować swój mózg i zmienić jego okablowanie. Czekają mnie poważne neuroprzeróbki. Rolę mistrza Yody w całym tym procesie miał odegrać Nigel.

Albo po prostu Nige.

Jemu właśnie przypadło niewdzięczne stanowisko mojego czwartego – i bodaj najważniejszego – instruktora.

Początkowo do ćwiczeń służyła nam wiewiórka. Tak potocznie nazywa się w Wielkiej Brytanii niewielki francuski śmigłowiec jednosilnikowy wykorzystywany przez większość kadetów. Nige'a jednak obchodziły przede wszystkim wiewiórki w mojej głowie. Jak powtarzał, od niepamiętnych czasów wiadomo, że wiewiórki w mózgu uniemożliwiają skupienie uwagi. Najwyraźniej niepostrzeżenie zakradły się do mojego umysłu. Były o wiele podstępniejsze niż mały zwisające z płoz śmigłowca i znacznie bardziej niebezpieczne.

Aby się ich pozbyć, mówił Nige, niezbędna będzie żelazna dyscyplina. Łatwo opanować śmigłowiec. Uporanie się z własną głową wymaga więcej czasu i cierpliwości.

Czas i cierpliwość, pomyślałem niecierpliwie. Słuchaj, Nige, nie mam ani jednego, ani drugiego, więc bierzmy się do roboty.

Trzeba też pokochać samego siebie, dodał Nige. Stąd bierze się pewność siebie.

– Pewność siebie, poruczniku Wales. Musisz w siebie uwierzyć, to najważniejsze zadanie.

Wiedziałem, że ma rację, ale nie umiałem sobie wyobrazić, jak by to miało wyglądać w praktyce. Tak naprawdę bowiem nie wierzyłem w siebie. Niespecjalnie w cokolwiek wierzyłem, a już na pewno nie w Harry'ego. Ilekroć popełniłem jakiś błąd – co zdarzało się często – brutalnie obchodziłem się z Harrym. Mój mózg się zacierał, jak przegrzany silnik. Przed oczami pojawiała mi się czerwona mgła, przestawałem myśleć, przestawałem funkcjonować.

Nige, ilekroć się to działo, mówił spokojnie:

– Nie pozwól, żeby jedna pomyłka popsuła cały lot.

Mimo to często skutek był właśnie taki.

Czasami wyładowywałem na Nige'u moją nienawiść do samego siebie. Najpierw wymyślałem sobie, a potem jemu.

– Pierdołę, sam pilotuj, jak jesteś taki mądry!

Ze spokojem kręcił głową.

– Trzymaj ster, poruczniku Wales, ja go nie tykam. Pora na lądowanie. Posadzisz maszynę, a potem obgadamy wszystko, co tu się wydarzyło.

Miał nadludzką wolę. Na pierwszy rzut oka nigdy byście się tego nie domyślili. Wzrost przeciętny, budowa ciała przeciętna, stalowoszare włosy zaczesane starannie na bok. Nosił nieskazitelnie czysty zielony kombinezon i nieskazitelnie czyste okulary. Nie służył w wojsku: był cywilem, amatorem żeglarstwa, sympatycznym dziadkiem, fantastycznym gościem. A zarazem miał serce jak pieprzony ninja.

Właśnie kogoś takiego wówczas potrzebowałem.

33

Miesiące mijały, ninja Nige zdołał nauczyć mnie, jak pilotować śmigłowiec i robić jednocześnie inne rzeczy, mnóstwo innych rzeczy. Co ważniejsze, dzięki niemu udało mi się tak jakby pokochać samego siebie. Z perspektywy czasu myślę, że te lekcje latania były raczej lekcjami życia. Im dłużej ćwiczyliśmy, tym częściej były udane.

Udane czy nie, po każdej półtoragodzinnej sesji w dojo ninja Nige'a czułem się kompletnie wyczerpany. Zaraz po wylądowaniu myślałem: muszę się zdrzemnąć.

Ale najpierw ewaluacja.

Za każdym razem ninja Nige dokręcał mi śrubę. Niczego nie osładzał, wypowiadał się rzeczowo i potrafił mocno zranić. Musiał powiedzieć, co miał do powiedzenia – ton w ogóle się dla niego nie liczył.

Na to ja przybierałem postawę defensywną.

On nie odpuszczał.

Patrzyłem na niego koso.

Nie odpuszczał.

Mówiłem: tak, tak, łapię.

Nie odpuszczał.

Przestawałem słuchać.

Biedny Nige... Nie odpuszczał.

Dopiero po latach zdałem sobie sprawę, że był jedną z najbardziej szczerych osób, jakie poznałem, i że rozumiał istotny sekret ludzkiej natury: prawda, której nie umiemy zaakceptować, jest zazwyczaj bolesna. Chciał, żebym uwierzył

w siebie, ale taka wiara nie może opierać się na fałszywych obietnicach lub nieszczerých pochwałach. A zatem żadnego królewskiego traktowania – tylko twarde fakty.

Nie oznacza to jednak, że zawsze był dla mnie surowy. Pewnego dnia niemal przelotnie wspomniał, że chyba nie znam strachu.

– Pozwolę sobie zauważyć, poruczniku Wales, że myśl o śmierci najwyraźniej nie spędza ci snu z powiek.

– To prawda.

Wyjaśniłem, że przestałem bać się śmierci, kiedy miałem dwanaście lat.

Skinął głową. Zrozumiał. Zajęliśmy się innym tematem.

34

Nige uznał, że już pora, bym wyfrunął w świat, jak zraniony ptak, któremu zrosło się skrzydło. Wystawił mi opinię, na podstawie której armia uznała, że jestem gotów pilotować apache.

Ale, ale. To tylko zmyłka. Zamiast nimi latać, miałem o nich czytać, siedząc w sali lekcyjnej pozbawionej okien.

Myślałem: czy istnieje większe okrucieństwo? Obiecali mi śmigłowiec, a zamiast tego zadali mnóstwo pracy domowej.

Kurs trwał trzy miesiące, niewiele brakowało, a bym zwariował. Co wieczór wracałem do mojego pokoiku, właściwie celi, i dzwoniłem do któregoś z kumpli albo ochroniarzy, żeby wyładować frustrację. Rozważałem przerwanie szkolenia. Tak naprawdę nigdy nie chciałem latać apache'ami, powtarzałem jak rozkapryszone dziecko. Chciałem latać lynxem. Łatwiej byłoby się tego nauczyć i mógłbym szybciej wrócić na wojnę. Ale mój przełożony, pułkownik David Meyer, natychmiast zamknął temat:

– Nie ma szans, Harry.

– Dlaczego, panie pułkowniku?

– Bo masz doświadczenie w rekonesansie, świetnie się spisywałeś jako FAC i jesteś cholernie dobrym pilotem. Będziesz latał apache'ami.

– Ale...

– Widzę, co potrafisz. Widzę, jak dobrze czytasz teren. Jesteś do tego stworzony. Stworzony? Cały ten kurs był męczarnią!

Mimo to każdego dnia punktualnie zjawiałem się w sali, niosąc pod pachą segregatory z dokumentacją silników apache'a, słuchałem wykładów, ryłem jak wściekły, byle tylko nadążyć. Próbowałem wykorzystywać wszystko, czego nauczyłem się od instruktorów latania, począwszy od Booleya, a skończywszy na Nige'u. Udział w zajęciach potraktowałem jak siedzenie za sterami spadającego śmigłowca. Musiałem za wszelką cenę odzyskać kontrolę.

Aż wreszcie pewnego dnia... było po wszystkim. Powiedzieli, że w końcu będę mógł wsiąść do najprawdziwszego apache'a.

I trenować kołowanie po pasie startowym.

– Żarty sobie robicie?

Cztery lekcje, powiedzieli.

– Cztery lekcje... tylko po to, żeby nauczyć się kołowania?

Jak się okazało, cztery lekcje ledwo wystarczały, by opanować kołowanie tym gigantycznym śmigłowcem. Miałem wrażenie, że ktoś ustawił maszynę na szczudłach, a pas startowy zrobiony jest z galaretki. Czasami zastanawiałem się, czy dam radę. Wyglądało na to, że doszedłem do ściany. Że moja podróż skończy się, zanim się na dobre zaczęła.

Część problemów, powtarzałem sobie, wynikała z układu siedzeń. W firefly i w wiewiórcie instruktor siedział obok mnie, toteż w każdej chwili mógł naprawić mój błąd lub pokazać mi, co powinienem robić. Booley kładł rękę na sterach, Nige obsługiwał pedały, a ja po nich powtarzałem. Uświadomiłem sobie, że przez całe życie uczyłem się w taki sposób. Bardziej niż inni potrzebowałem przewodnika, guru, partnera.

Tymczasem w apache'u instruktor siedział albo przede mną, albo za mną, więc go nie widziałem.

Byłem sam.

Po jakimś czasie układ siedzeń przestał być problemem. Każdego dnia apache wydawał się coraz bardziej znajomy. Czasami latanie nim sprawiało mi wręcz przyjemność.

Nauczyłem się funkcjonować samodzielnie, myśleć samodzielnie. Nauczyłem się komunikować z tą potężną, szybką, wstrętną, piękną bestią, opanowałem jej język, nasłuchiwałem, co próbuje mi powiedzieć. Potrafiłem wykonywać jedną czynność rękami i drugą stopami. Zacząłem doceniać fenomenalną maszynę, niewyobrażalnie ciężką, a zarazem zwinną jak baletnica. Apache to najbardziej skomplikowany i najbardziej zwrotny śmigłowiec na świecie. Zrozumiałem, dlaczego tylko nieliczni są w stanie nim latać i dlaczego wyszkolenie pilota kosztuje miliony dolarów.

A potem musiałem nauczyć się pilotować w nocy.

Zaczęliśmy od ćwiczenia zwanego torebką. Nazwa w miarę dosłowna: wszystkie szyby były zasłaniane i człowiek czuł się jak wewnątrz brązowej torebki z papieru. Wszelkie informacje na temat warunków na zewnątrz czerpało się wyłącznie z instrumentów pokładowych. Czułem niepokój i lęk, ale szybko przychodziły efekty. Pilot rozwijał w sobie instynkt.

Potem zaczęliśmy latać po ciemku, najpierw nad bazą, potem stopniowo coraz dalej. Trochę się trząsałem, kiedy za pierwszym razem lecieliśmy nad równiną Salisbury, nad dolinami i lasami, w których przeczołgano mnie podczas pierwszych ćwiczeń. Potem znaleźliśmy się nad gęściej zaludnionymi terenami. I wreszcie: Londyn. Tamiza lśniła w ciemności, Millennium Wheel puszczał oko do gwiazd. Zobaczyłem budynek parlamentu, Big Bena i pałac. Ciekawe, czy babcia jest w domu i czy nie śpi. Może corgi pomału układają się do snu, podczas gdy ja wykonuję zgrabne okrążenia wysoko nad ich puchatymi głowami?

Czy flaga powiewa u góry masztu?

Podczas ćwiczeń w ciemności opanowałem sztukę korzystania z monokla, najsłynniejszego i najbardziej niesamowitego elementu wyposażenia apache'a. Specjalny sensor w dziobie maszyny przekazywał obrazy do małego ekranu przyczepionego do mojego hełmu, tuż przed moim prawym okiem. To właśnie był monokl. Dostarczał mi informacji o tym, co się dzieje na zewnątrz. Wszystkie moje zmysły skupiały się na tym jednym małym ekraniku. Na początku było mi z tym dziwnie, czułem się, jak gdybym próbował pisać stopą albo

oddychać uchem, wkrótce jednak korzystanie z monokla stało się odruchowe. A potem przerodziło się w niemal mistyczne doświadczenie.

Pewnej nocy nad Londynem niespodziewanie coś mnie oślepiło i przez pół sekundy myślałem, że spadnę do Tamizy. Ujrzałem jasne kolory, szmaragdowa poświata zamigotała mi przed oczami i dopiero po kilku sekundach zrozumiałem, co się stało: ktoś na ziemi skierował na nas wskaźnik laserowy. Byłem zdezorientowany. I wściekły. Zaraz jednak powiedziałem sobie, że w sumie to dobre ćwiczenie. Poza tym poczułem dziwną wdzięczność z powodu zbłąkanego wspomnienia, które przy okazji do mnie wróciło. Mohamed Al Fayed sprezentował kiedyś Willy'emu i mnie laserowe wskaźniki z Harrodsa. Był jego właścicielem, był też ojcem chłopaka mamy, więc może próbował kupić sobie naszą sympatię. Jeśli tak, udało mu się. Wskaźniki uważaliśmy za absolutnie genialne.

Wymachiwaliśmy nimi jak mieczami świetlnymi.

36

Pod koniec mojego szkolenia w bazie Wattisham w Suffolk przydzielono mi nowego instruktora. Miał mnie odpowiednio doszlifować.

Kiedy spotkałem go po raz pierwszy i uścisnęliśmy sobie dłonie, uśmiechnął się do mnie porozumiewawczo.

Odpowiedziałem uśmiechem.

Nadal się uśmiechał.

Ja też, ale zacząłem się zastanawiać, o co mu chodzi.

Spodziewałem się, że zaraz powie mi coś miłego. Albo poprosi o jakąś przysługę.

Zamiast tego zapytał, czy rozpoznaję jego głos.

Nie.

Był częścią ekipy, która mnie ewakuowała, odpowiedział.

– A, w 2008 roku, tak?

– Zgadza się.

Przypomniałem sobie, że rozmawialiśmy wówczas przez radio.

– Pamiętam, jak bardzo byłeś zawiedziony.

- No, byłem.
 - Słyszałem to w twoim głosie.
 - Tak, byłem kompletnie załamany.
- Uśmiechnął się jeszcze szerzej.
- A teraz? Popatrz no tylko na siebie!

37

Za parę dni miałem skończyć dwadzieścia pięć lat i czułem, że nie będą to zwykłe urodziny. Kumpole powtarzali mi, że dwadzieścia pięć lat to Czas Przełomu. Że wielu młodych ludzi staje wówczas na rozstaju dróg. Musisz dziarsko posuwać się naprzód, bo inaczej zaczniesz się cofać. Byłem na to gotowy. Miałem wrażenie, że od dawna szykowałem się do tej chwili, jak pilot latający z przesłoniętymi szybami.

Poza tym dwadzieścia pięć lat to ważny wiek dla wielu członków mojej rodziny. Na przykład babcia. Miała dwadzieścia pięć lat, kiedy została sześćdziesiątą pierwszą królową w dziejach Anglii.

Postanowiłem zatem, że dla podkreślenia wagi tych urodzin wybiorę się w podróż.

Wracam do Botswany.

Zjawiała się cała banda, były tort i drinki. Wszyscy twierdzili, że znowu się zmieniłem. Po pierwszym pobycie na froncie wydawałem się starszy, zhardziały. A teraz, mówili, sprawiam wrażenie kogoś, kto twardo stąpa po ziemi.

Dziwne, pomyślałem. Dzięki nauce latania zacząłem twardo stąpać po ziemi?

Najwięcej czułości i komplementów mieli dla mnie Teej i Mike. Ale pewnego wieczoru Mike wziął mnie na poważną, szczerą rozmowę. Usadził mnie przy swoim kuchennym stole i długo mówił o mojej relacji z Afryką. Pora, żeby ta relacja się zmieniła, oznajmił. Do tej pory tylko brałeś, brałeś i brałeś – jak typowy Brytyjczyk. Powinieneś się odwzajemnić. Przez wiele lat Mike, Teej i inni rozpaczali z powodu kryzysów nękających Afrykę. Zmiany klimatu. Kłusownictwo. Susze. Pożary. Byłem jedyną znaną im osobą, dzięki której mogli zostać usłyszani na całym świecie.

- Co mam zrobić, Mike?
- Rzucić światło.

38

Załadowaliśmy się do płaskodennych łodzi i popłynęliśmy w górę rzeki. Obozowaliśmy przez kilka dni, eksplorowaliśmy odludne wyspy. Byliśmy tu zupełnie sami, żadnych ludzi w promieniu wielu kilometrów.

Pewnego wieczoru wylądowaliśmy na Wyspie Zimorodka, wypiliśmy parę drinków, patrzyliśmy na zachód słońca. Padający deszcz sprawiał, że światło stawało się różowe. Słuchaliśmy muzyki, sennej, nastrojowej, straciliśmy poczucie czasu. Kiedy ruszyliśmy w drogę powrotną, pojawiły się nagle dwa spore problemy.

Zrobiło się ciemno.

I rozpętała się potężna burza.

Na Okawango lepiej unikać jednego i drugiego. Obie rzeczy naraz? Byliśmy w tarapatach.

Wzmógł się wiatr.

W ciemności, wśród rozszalałej burzy nie dawało się nawigować. Przetaczały się potężne fale, poza tym sternik naszej łodzi był zbyt pijany. Ciągłe wpadaliśmy na mielizny.

Pomyślałem, że jak tak dalej pójdzie, skończymy w rzece.

Zawołałem, że przejmuję ster.

Pamiętam majestatyczne błyskawice i gromy przywodzące na myśl trzęsienie ziemi. Była nas dwunastka, płynęliśmy dwiema łodziami, wszyscy milczeli. Nawet najbardziej doświadczeni afrykańscy pomocnicy mieli ściągnięte twarze. Puściliśmy muzykę na cały regulator, żeby udawać przed sobą, że panujemy nad sytuacją.

Nagle rzeka się zwężyła, potem gwałtownie skręciła. Rozpaczliwie chcieliśmy wrócić do obozu, ale musieliśmy być cierpliwi. Musieliśmy posłusznie słuchać rzeki. Płynąć tam, gdzie nas prowadzi.

Potężna błyskawica rozdarła niebo. Na dwie sekundy zrobiło się jasno jak w południe i zobaczyliśmy, że na wprost nas, na samym środku rzeki, stoi stado ogromnych słońi.

W świetle błyskawicy spojrzałem jednej ze słońic prosto w oczy. Widziałem jej śnieżnobiałe kły, każdą zmarszczkę w ciemnej, mokrej skórze, wielkie uszy w kształcie anielskich skrzydeł.

Ktoś szepnął: „Ja pierdolę”.

Ktoś inny wyłączył muzykę.

Zgasiliśmy silniki w obu łodziach.

Dryfowaliśmy w całkowitej ciszy po wezbranych wodach, czekaliśmy na kolejną błyskawicę. Jej światło znów ukazało nam majestatyczne zwierzęta. Tym razem, kiedy napotkałem spojrzenie słońicy stojącej najbliżej mnie, pomyślałem o wszechwidzącym oku apache'a, o diamentie Koh-i-Noor, o obiektywie aparatu fotograficznego, lśniącym i wypukłym jak oko słońia. Tyle że na widok obiektywu zawsze robiłem się spięty, a tym razem poczułem się bezpiecznie. Słońica nie osądzała. Nie próbowała mi nic odebrać. Po prostu była. Jej oko wydawało się wręcz... zasnute łzami? Czy to w ogóle możliwe?

Słoniom zdarza się płakać. Urządzają pogrzeby członkom stada, a kiedy w lesie natykają się na martwego brata lub siostrę, przystają, by okazać im szacunek. Może zakłóciliśmy im smutną ceremonię? Jakiegoś rodzaju spotkanie? A może próbę? Do naszych czasów zachowała się starożytna opowieść o słońiu, który w samotności ćwiczył skomplikowany taniec przed zbliżającą się paradą.

Burza przybierała na sile. Musieliśmy odpłynąć. Ponownie uruchomiliśmy łodzie i ruszyliśmy dalej. Żegnajcie, szepnęliśmy. Wpłynąłem w środkowy nurt, zapaliłem papierosa i powiedziałem sobie, że muszę na zawsze zapamiętać to spotkanie, tę nierzeczywistą chwilę, kiedy linia między mną a światem zewnętrznym stała się nieostra – a nawet zniknęła.

Przez pół sekundy wszystko było jednością. Wszystko miało sens.

Spróbuj to zapamiętać, powiedziałem sobie. Zapamiętaj, jak to jest znaleźć się tak blisko prawdy, najprawdziwszej prawdy.

Brzmi ona następująco: życie nie zawsze jest dobre, ale też nie zawsze jest złe.

Spróbuj zapamiętać moment, kiedy wreszcie zrozumiałeś, co próbował ci powiedzieć Mike.

„Musisz rzucić światło”.

39

Dostałem odznakę pilota. Tata jako dowódca korpusu kadetów przypiął mi ją do piersi.

Maj 2010 roku.

Szczęśliwy dzień. Tata wręcza mi niebieski beret. Wkładam beret, salutuję, tata też salutuje. Miałem wrażenie, że to bardziej serdeczne, niż gdybyśmy się objęli.

Zjawiała się też Camilla. I siostry mamy. I Chels. Znowu ze sobą byliśmy.

A potem znowu się rozstaliśmy.

Nie mieliśmy wyboru. Wróciły stare problemy, żaden nie doczekał się rozwiązania. Poza tym Chels chciała podróżować, chciała się bawić, cieszyć się młodością, podczas gdy mnie znów czekała wojna. Wkrótce wyruszałem na front. Gdybyśmy ze sobą zostali, w najlepszym razie widzielibyśmy się kilka razy w ciągu następnych dwóch lat. Trudno nazywać to związkiem. Nie byliśmy ani trochę zaskoczeni, gdy znowu znaleźliśmy się w tej samej sytuacji patowej co poprzednio.

Żegnaj, Chels.

Żegnaj, Hazza.

Ja dostałem odznakę pilota, a Chels odfrunęła.

Pojechaliśmy po raz ostatni do Botswany. Ostatnia wspólna podróż rzeką. Ostatnia wizyta u Teej i Mike'a.

Było nam świetnie, więc naturalnie ogarnęły nas wątpliwości co do naszej decyzji. Od czasu do czasu próbowałem przegadać z Chels możliwe sposoby uratowania związku. Podejmowała grę. Nie ulegało wątpliwości, że nasze pomysły nie mają sensu i że tylko się łudzimy, więc w końcu Teej postanowiła zainterweniować.

– Drogie dzieci, to już koniec. Odwlekacie nieuniknioną decyzję i do tego kompletnie wariujecie.

Usiadła z nami w namiocie, który rozbiliśmy w ogrodzie przed jej domem, wzięła nas za ręce i wyłożyła nam gorzką prawdę. Potem spojrzała nam w oczy

i powiedziała, że powinniśmy się rozstać na dobre.

– Nie ma nic cenniejszego niż czas. Bardzo proszę, nie marnujcie go.

Miała rację, dobrze to zrozumiałem. Jak mówił starszy sierżant Booley, już czas.

Zmusiłem się więc, żeby nie myśleć o związku z Chels. I w ogóle o związkach. Zajmij się czymś, powtarzałem sobie w drodze powrotnej z Botswany. Niedługo wyślą cię do Afganistanu, a w międzyczasie po prostu znajdź sobie coś do roboty.

Pojechałem zatem do Lesotho z Willym. Odwiedziliśmy kilka szkół zbudowanych przez Sentebale. Towarzyszył nam książę Seeiso, z którym zakładałem tę organizację w 2006 roku, krótko po śmierci jego matki. (Ona także walczyła w wojnie przeciwko HIV). Rozmawialiśmy z mnóstwem dzieci, każde z nich miało do opowiedzenia okrutnie smutną historię. W tamtym czasie średnia przewidywana długość życia w Lesotho wynosiła czterdzieści kilka lat, podczas gdy w Wielkiej Brytanii mężczyźni żyli przeciętnie siedemdziesiąt dziewięć lat, a kobiety osiemdziesiąt dwa lata. Dziecko w Lesotho miało za sobą mniej więcej ten sam odsetek życia co trzydziestoletni mieszkaniec Manchesteru. Istniało wiele skomplikowanych przyczyn, ale główną był HIV.

Jedna czwarta dorosłych mieszkańców kraju żyła z HIV.

Po jakichś dwóch czy trzech dniach wybraliśmy się z księciem Seeiso do szkół leżących na odludziu. Naprawdę daleko. Książę sprezentował nam dzikie konie, na których pokonaliśmy część drogi, oraz tradycyjne koce, chroniące od zimna. Posłużyły nam za peleryny.

Najpierw zatrzymaliśmy się w Semonkongu, zimnej wiosce w chmurach, położonej na wysokości przeszło dwóch tysięcy metrów nad poziomem morza między górskimi szczytami przykrytymi śniegiem. Gdy wspinaliśmy się coraz wyżej i wyżej, z końskich nozdrzy buchały co chwila kłęby pary. W końcu zrobiło się zbyt stromo i przesiadliśmy się do ciężarówek.

Po przybyciu na miejsce udaliśmy się prosto do szkoły. Synowie pasterzy zjawiali się tu dwa razy w tygodniu, dostawali ciepły posiłek i szli na lekcje. Siedzieliśmy w półmroku i obserwowaliśmy dzieci uczące się przy lampie naftowej. Potem pogadaliśmy z dwunastką chłopców. Niektórzy mieli zaledwie osiem lat. Opowiadali o codziennej wędrówce do szkoły. Ich historie brzmiały wręcz niewiarygodnie: po dwunastu godzinach doglądania bydła i owiec szli przez dwie godziny po górskich przełęczach, by uczyć się matematyki, czytania i pisanie.

Byli niesamowicie głodni nauki. Znosili odciski na stopach, mróz i inne, znacznie gorsze rzeczy. Po drodze byli kompletnie zdani na łaskę żywiołów. Kilku uczniów szkoły zabiły błyskawice, zdarzały się ataki bezpańskich psów. Przyciszonymi głosami uczniowie opowiedzieli nam, że często dochodzi też do gwałtów i molestowania seksualnego, których sprawcami są wałęsający się w okolicy tułacze, złodzieje bydła, nomadzi oraz inni chłopcy.

Poczułem wstyd na myśl o tym, że sam nieustannie narzekałem na szkołę. Że w ogóle na cokolwiek narzekałem.

Mimo wszystkich trudów i cierpień dzieciaki pozostały dzieciakami. Nic nie mogło stłumić ich radosnego usposobienia. Cieszyły się z ciepłych kurtek i czapek, które od nas dostały. Natychmiast je włożyły, tańczyły, śpiewały. Chętnie do nich dołączyliśmy.

Jeden z chłopców trzymał się trochę z boku. Miał okrągłą twarz, z której bez trudu dawało się wyczytać, że na sercu leży mu ogromny ciężar. Nie chciałem być wścibski i go o to wypytywać. Wyjąłem z torby latarkę i dałem mu ją w prezencie.

Mam nadzieję, powiedziałem, że oświetli ci drogę do szkoły.

Uśmiechnął się.

Chciałem mu powiedzieć, że jego uśmiech oświetli moją drogę.

Niestety, kiepsko radziłem sobie z językiem soto.

40

Krótko po naszym powrocie do Wielkiej Brytanii Pałac ogłosił, że Willy bierze ślub.

Listopad 2010 roku.

Kompletne zaskoczenie. Przez całą podróż ani razu o tym nie wspomniał.

W gazetach pełno było łzawych historii o tym, że gdy uświadomiłem sobie, jak wspaniałą parą są Willy i Kate, gdy ujrzałem głębię ich miłości, postanowiłem dać Willy'emu legendarny pierścionek z szafirem, który odziedziczyłem po mamie. Czuły braterski gest, który wzmocnił więź między całą naszą trójką – a poza tym kompletna bzdura. Nic takiego się nie wydarzyło. Nie sprezentowałem Willy'emu

pierścionka z szafirem, bo nie należał do mnie. Należał do Willy'ego. Poprosił o niego po śmierci mamy, bardzo chętnie zgodziłem się, żeby go sobie wziął.

Willy zajął się przygotowaniem do ślubu. Złożyłem mu życzenia i niemal od razu oddałem się myślom o moim singielskim życiu. Zawsze sądziłem, że ożenię się pierwszy, bo tak bardzo tego pragnąłem. Spodziewałem się, że wcześniej zostanę mężem i ojcem, gdyż poprzysiągłem sobie, że nie będę taki jak mój tata. W jego przypadku ojcostwo przyszło późno i miałem wrażenie, że właśnie stąd wzięły się dzielące nas bariery. Odkąd wkroczył w wiek średni, polubił spokój i rutynę. Nie należał do ojców gotowych długo bawić się z dziećmi w berka lub grać w piłkę do późnego wieczora. Te czasy dawno minęły. Kiedyś ganiał się z nami po Sandringham, wymyślał fantastyczne zabawy. Owijał mnie i Willy'ego ciasno w koc, doprowadzając nas do kompletnej głupawki, a potem gwałtownie ciągnął jeden koniec koca i nagle obaj turlaliśmy się po podłodze. Nigdy chyba nie śmialiśmy się tak bardzo jak wtedy. Potem jednak, zanim jeszcze byliśmy na to gotowi, zrezygnował z tego rodzaju zabaw. Po prostu stracił entuzjazm.

Obiecywałem sobie, że mnie to nie spotka.

Teraz jednak zastanawiałem się, czy aby na pewno.

Czy moje prawdziwe ja chciało wcześniej zostać ojcem? Jeśli tak, dlaczego nie umiałem znaleźć sobie odpowiedniej towarzyszki, odpowiedniej partnerki i nie potrafiłem odpowiedzieć na pytanie, kim tak naprawdę jestem?

Dlaczego to, czego niby tak bardzo pragnąłem, nie chciało się ziścić?

Co, jeśli nigdy nie zostanę mężem i ojcem? Jaki sens będzie miało wówczas moje życie? Co będzie moim prawdziwym przeznaczeniem?

Wojna, pomyślałem. Nawet jeśli wszystkie inne plany nie wypalą – a przecież zazwyczaj tak właśnie było – zawsze zostanie mi wojna. Chociaż nadal nie wiedziałem, kiedy wyślą mnie na front.

A gdy wojny dobiegną już końca, mówiłem sobie, będę mógł zająć się działalnością charytatywną. Od czasu podróży do Lesotho bardziej niż kiedykolwiek pragnąłem kontynuować dzieło mamy. Chciałem też podjąć się misji, którą wyznaczył mi Mike, gdy rozmawialiśmy przy jego kuchennym stole. To wystarczy, by nadać życiu znaczenie, mówiłem sobie.

Dlatego właśnie kiedy skontaktowała się ze mną grupa weteranów, którzy planowali wyprawę na biegun północny, uznałem to za niezwykle szczęśliwy zbieg

okoliczności. Mogłem przekuć moje myśli w realne działania. Weterani chcieli zebrać miliony funtów dla organizacji Walking With The Wounded i zostać pierwszymi ludźmi po amputacji, którzy samodzielnie dotrą na biegun. Poprosili mnie, żebym do nich dołączył.

Chciałem się zgodzić. Rwałem się do tej wyprawy. Był tylko jeden problem: wyprawa miała się odbyć na początku kwietnia, niebezpiecznie blisko dnia ślubu Willy'ego. Musiałbym dotrzeć na biegun i wrócić stamtąd bez żadnych opóźnień. W przeciwnym razie nie zdążyłbym na uroczystość.

Nie można jednak zakładać, że podczas wyprawy na biegun północny uniknie się jakichkolwiek kłopotów. Biegun to kraina nieskończenie wielu pułapek. Mnóstwo rzeczy mogło się nie powieść, głównie z powodu pogody. Nerwowo rozmyślałem o wyprawie. Pałac był dwa razy bardziej nerwowy.

Zapytałem JLP o radę. Uśmiechnął się.

– Taka okazja trafia się raz w życiu.

– To prawda.

– Skoro tak, musisz pojechać na biegun.

Ale najpierw, dodał, czeka cię jeszcze jeden wyjazd.

W ramach dalszego ciągu naszych rozmów sprzed pięciu lat, po skandalu z nazistowskim mundurem, JLP zorganizował mi podróż do Berlina.

Pojechałem. Był grudzień 2010 roku, okrutnie mroźny dzień. Dotknąłem opuszkami palców dziur po kulach w ścianie domu, wciąż świeżych blizn stanowiących pozostałość obłąkańczej przysięgi Hitlera, że miasto będzie walczyć do ostatniej kropli krwi. Udałem się na miejsce, gdzie niegdyś ciągnął się mur berliński i gdzie esesmani urządzili sobie salę tortur. Mogłem przysiąc, że wśród wiatru słyszę echo krzyków udręczonych ofiar. Spotkałem się z kobietą, którą wysłano do Auschwitz. Opowiadała o tym, co przeszła. Przywoływała koszmarne widoki, hałasy, zapachy. Była to trudna historia, ale tym bardziej musiałem jej wysłuchać. Nie będę jej tu przytaczał. Nie mam do tego prawa.

Już wcześniej zrozumiałem, że moje zdjęcie w nazistowskim mundurze to wynik rozmaitych błędów i ignorancji, bezmyślności i wad charakteru. Była to również konsekwencja niewyedukowania. Nie mam na myśli wyłącznie niedostatecznej wiedzy wyniesionej ze szkoły. Sam także zaniedbałem własną edukację. Za mało

wiedziałem na temat nazizmu, za mało się uczyłem, nie zadawałem odpowiednich pytań moim nauczycielom, a także ocalałym i ich rodzinom.

Obiecałem sobie, że się poprawię.

Inaczej nie mógłbym stać się człowiekiem, którym pragnąłem być.

41

Samolot wylądował na jednej z wysp Svalbardu. Marzec 2011 roku.

Wysiadłem i obróciłem się powoli, chłonąc krajobraz. Biel, biel i jeszcze więcej bieli. Jak okiem sięgnąć, tylko śnieżna biel. Białe góry, białe zasy, białe wzgórza, między którymi biegły nieliczne białe drogi. Większość spośród dwóch tysięcy mieszkańców wyspy poruszała się pługami śnieżnymi, a nie samochodami. Krajobraz był tak surowy, tak minimalistyczny, że przez głowę przebiegła mi myśl: może się tu przeprowadzę?

Może do tego zostałem stworzony?

A potem dowiedziałem się, że lokalne przepisy zabraniają poruszania się poza miastem bez broni, bo na wzgórzach grasują wygłodniałe niedźwiedzie polarne, i pomyślałem sobie, że to chyba jednak nie dla mnie.

Pojechaliśmy do Longyearbyen, najdalej wysuniętego na północ miasta na świecie, położonego zaledwie tysiąc dwieście kilometrów od czubka naszej planety. Spotkałem się z pozostałymi uczestnikami wyprawy. Kapitan Guy Disney był kawalerzystą, któremu granat przeciwpancerny urwał dolną część prawej nogi. Kapitan Martin Hewitt, spadochroniarz, na skutek postrzału stracił władzę w ramieniu. Szeregowiec Jaco Van Gass, również spadochroniarz, stracił większość lewej nogi i połowę lewego ramienia wskutek wybuchu granatu. (Kikutowi ręki nadał wesołą ksywkę Nemo, co zawsze nas bawiło). Sierżant Steve Young, Walijczyk, doznał złamania kręgosłupa na skutek wybuchu miny pułapki. Lekarze mówili, że już nigdy nie będzie chodził. Teraz, na przekór ich prognozom, miał zaciągnąć stukilogramowe sanie aż na biegun północny.

Imponująca banda. Powiedziałem im, że dołączenie do wyprawy to dla mnie zaszczyt. Nie miało znaczenia, że temperatura wynosi trzydzieści stopni poniżej zera. Pogoda była okropna. Tak okropna, że musieliśmy opóźnić start.

Cholera, ślub Willy'ego, pomyślałem, kryjąc twarz w dłoniach.

Przez kilka dni czekaliśmy, trenowaliśmy, jedliśmy pizzę i frytki w miejscowym pubie, urządzaliśmy sobie ćwiczenia, żeby przyzwycząić się do mroźnych temperatur. Włożyliśmy pomarańczowe kombinezony morskie i wskoczyliśmy do Oceanu Arktycznego. Szokujące, jak ciepłe były jego wody w porównaniu z brutalnie zimnym powietrzem.

Przede wszystkim jednak poznawaliśmy się nawzajem i budowaliśmy więzi.

Kiedy pogoda wreszcie się poprawiła, wsiedliśmy do antonowa i poleciliśmy do prowizorycznego obozu. Potem przesiedliśmy się do śmigłowców, które dostarczyły nas do punktu leżącego jakieś trzysta dwadzieścia kilometrów od bieguna. Wylądowaliśmy o pierwszej nad ranem, ale było jasno jak w południe na pustyni. Żadnej ciemności. Ciemności zostały stąd wypędzone. Pomachaliśmy pilotom na pożegnanie i ruszyliśmy w drogę.

Doświadczeni polarnicy radzili członkom wyprawy, że trzeba unikać pocenia się, bo pot natychmiast zamarza, a wtedy masz problem. Niestety, nikt mnie o tym nie uprzedził. Przegapiłem treningi z ekspertami. Dlatego właśnie po pierwszym dniu ciągnięcia ciężkich sań byłem kompletnie spocony, a moje ubrania zamieniały się w lód. Co gorsza, zauważyłem że z moimi uszami i palcami coś jest nie tak.

Odmrożenia pierwszego stopnia.

Nie narzekałem. Jak mógłbym narzekać w takim towarzystwie? Poza tym miałem całkiem niezły nastrój. Mimo trudów czułem jedynie wdzięczność, że uczestniczę w wyprawie z prawdziwymi bohaterami, że pomagam w słusznej sprawie i znalazłem się w miejscu, do którego tak niewielu ludzi ma szansę dotrzeć. Czwartego dnia musiałem wracać, choć strasznie chciałbym zostać. Zwłaszcza że nadal nie dotarliśmy do bieguna.

Niestety, nie miałem wyboru. Albo powrót teraz, albo przegapię ślub brata.

Wsiadłem do śmigłowca, który miał mnie zabrać na lądowisko Barneo. Tam czekał już na mnie samolot.

Ale pilot śmigłowca się zawahał. Oznajmił, że koniecznie muszę zobaczyć biegun.

– Skoro przebyłeś taki kawał drogi, nie możesz po prostu odlecieć – stwierdził.

Zabrał mnie więc na północ, wylądował i wskoczyliśmy w biel. Zlokalizowaliśmy biegun za pomocą GPS.

Stałem na czubku świata.

Sam.

Trzymając flagę Wielkiej Brytanii.

Wróciłem do śmigłowca, dotarliśmy do Barneo. A potem przyszła potężna burza śnieżna. Mój lot został odwołany. Rozszalały się huraganowe wiatry, tak potężne, że uszkodziły pas startowy.

Niezbędna była naprawa.

Spędzałem czas w towarzystwie inżynierów. Piliśmy wódkę, pociliśmy się w prowizorycznej saunie, a potem wskakiwaliśmy do lodowatej wody oceanu. Wychylałem kolejne szoty i powtarzałem sobie: nie martw się pasem startowym i weselem. Niczym się nie martw.

Burza się skończyła, pas został naprawiony, a może po prostu wytyczono go gdzie indziej – nie pamiętam. Mój samolot popędził po lodzie i zabrał mnie wysoko w błękitne niebo. Pomachałem przez okno. Do widzenia, bracia.

42

W przeddzień ślubu Willy i ja pojechaliśmy do Clarence House na kolację z tatą. Zjawili się też James i Thomas, świadkowie Willy'ego.

Opinię publiczną poinformowano, że to mnie przypadła rola świadka. Było to absolutne kłamstwo. Ludzie spodziewali się, że zostanę świadkiem, więc Pałac nie miał wyboru i ogłosił, że tak właśnie będzie. Nikt nie wiedział, że Willy wybrał swoich przyjaciół zamiast mnie. Nie chciał, żebym wygłaszał tradycyjne przemówienie. Bał się tego, co może się stać, jeśli dostanę do ręki mikrofon. Istniało ryzyko, że powiem coś totalnie niestosownego.

Bardzo słuszna obawa.

Poza tym kłamstwo chroniło Jamesa i Thomasa, dwóch niewinnych cywili. Gdyby ujawniono, że to oni są świadkami, rozszalała prasa zaraz by ich wytropiła, dopadła, zhakowała ich telefony, wszystkiego by się o nich dowiedziała, zrujnowałaby im życie. Obaj byli cisi i nieśmiali. Nie znieśliby takiej nagonki. Nikogo nie wolno na nią narażać.

Willy wyjaśnił mi sytuację i nawet nie mrugnąłem okiem. Od razu wszystko zrozumiałem. Udało nam się nawet trochę pozartować i pospekulować, jakie

konkretnie niestosowne kawały mogłyby się pojawić w moim przemówieniu. Kolacja przedślubna upłynęła w sympatycznej, wesołej atmosferze, mimo że Willy był ewidentnie zdenerwowany. Thomas i James wmusili w niego kilka szklanek rumu z colą, co chyba trochę go uspokoiło. Ja tymczasem raczyłem towarzystwo opowieściami z bieguna północnego. Tata słuchał z zainteresowaniem, wyraził współczucie z powodu moich lekko odmrożonych uszu i policzków. Z trudem powstrzymałem się, żeby nie wyznać mu, że mam też kłopoty z członkiem. Po powrocie do domu z przerażeniem odkryłem, że tam na dole również doszło do lekkich odmrożeń. O ile uszy i policzki już się goiły, o tyle wacek niespecjalnie.

Z każdym dniem coraz bardziej mnie to niepokoiło.

Nie wiem w sumie, dlaczego uznałem, że nie wypada mi rozmawiać o moim penisie z tatą i pozostałymi panami siedzącymi przy stole. Mój penis był przecież sprawą publiczną. Budził powszechną ciekawość. Prasa rozpisywała się na jego temat. W niezliczonych książkach i gazetach (nawet w „New York Timesie”) powtarzano, że Willy i ja nie zostaliśmy obrzezani, bo mama się na to nie zgodziła. Cóż, ryzyko odmrożenia członka jest znacznie większe, jeśli nie zostało się obrzezanym, ale prasa była w błędzie. Ciachnięto mnie, kiedy byłem niemowlakiem.

Po kolacji przeszliśmy do salonu i obejrzeliliśmy wiadomości w telewizji. Dziennikarze rozmawiali z ludźmi, którzy rozbili obóz przed Clarence House, żeby zapewnić sobie dobrą miejscówkę podczas jutrzejszej uroczystości. Podeszliśmy do okna. Na Mall, alei biegnącej między pałacem Buckingham a Trafalgar Square, zebrały się wielotysięczne tłumy. Niektórzy rozstawili sobie namioty albo leżeli w śpiworach. Inni pili i śpiewali, szykowali posiłki na kuchenkach turystycznych, wznosili okrzyki, świętowali, jak gdyby to oni brali jutro ślub.

Willy, rozgrzany rumem, zawołał:

– Powinniśmy do nich wyjść!

Wysłał esemesa do swoich ochroniarzy.

Odpowiedzieli: „Stanowczo odradzamy”.

Nie przyjmuję tego do wiadomości, odpisał.

– Chcę wyjść do ludzi. To mój obowiązek. Muszę się z nimi spotkać.

Poprosił, żebym poszedł razem z nim. Błagał mnie.

Spojrzałem mu w oczy i zobaczyłem, że rum mocno go trzepnął. Potrzebował skrzydłowego.

Boleśnie dobrze znana rola. No ale okej.

Wyszliśmy, podeszliśmy do zebranych ludzi, ściskaliśmy im dłonie. Wszyscy składali Willy'emu serdeczne życzenia, mówili, że go kochają, że kochają Kate. Uśmiechali się do nas i mieli łzy w oczach, patrzyli na nas z taką samą sympatią i współczuciem jak w sierpniu 1997 roku. Mimowolnie pokręciłem głową. Jutro Willy będzie miał swój wielki dzień, jeden z najszcześniejszych dni swojego życia, a mimo to i tak pobrzmiwają echa naszego Najgorszego Dnia.

Spojrzałem na brata. Miał czerwone policzki, jak gdyby to on wrócił z bieguna z odmrożeniami. Pożegnaliśmy ludzi i wcześniej położyliśmy się spać, bo Willy był trochę wstawiony.

Poza tym obaj byliśmy wymęczeni fizycznie i emocjonalnie. Potrzebowaliśmy odpoczynku.

Dlatego właśnie przeżyłem szok, kiedy wszedłem rano do jego pokoju. Wyglądał, jakby przez całą noc nie zmrużył oka. Miał wymizerowaną twarz i czerwone oczy.

– Dobrze się czujesz?

– Tak, tak, wszystko w porządku.

Wcale nie.

Miał na sobie jasnoczerwony mundur Gwardii Irlandzkiej zamiast fraku mundurowego Kawalerii Przybocznej. Może to go trapiło? Wiedziałem, że chciał włożyć frak Kawalerii Przybocznej, ale babcia się nie zgodziła. Jako Następca musi przywdziać Strój Galowy Numer Jeden, oznajmiła. Willy był przybity, że w dniu ślubu nie może ubrać się tak, jak chce, i że pozbawia się go autonomii. Kilka razy zwierzał mi się ze swoich frustracji.

Zapewniłem, że wygląda cholernie szykownie. Guziki munduru przedstawiały irlandzką harfę i brytyjską koronę państwową, oprócz tego Willy miał też czapkę garnizonową z mottem *Quis separabit?* „Któż nas rozdzieli?”

Wydawało się, że w ogóle mnie nie słyszy.

Ja skądinąd nie wyglądałem szykownie w niewygodnym mundurze Blues and Royals, który musiałem włożyć zgodnie z protokołem. Nigdy wcześniej go nie nosiłem i liczyłem, że kolejna okazja trafi się nieprędko. Miał za bardzo wypchane

ramiona i potężne mankiety. W głowie słyszałem komentarze ludzi: „Wygląda jak pajac”. Czuję się jak kiczowata wersja Johnny’ego Bravo.

Wsiedliśmy do śliwkowego bentleya. W milczeniu czekaliśmy, aż kierowca ruszy.

Dopiero kiedy to się stało, przerwałem ciszę:

– Cuchniesz.

Skutki wczorajszego rumu.

Dla żartu opuściłem szybę, ostentacyjnie zatkałem nos, zaoferowałem Willy’emu miętówki.

Kąciki jego ust lekko się uniosły.

Po dwóch minutach bentley się zatrzymał.

– Krótka podróż – stwierdziłem.

Wyjrzałem przez okno.

Opactwo westminsterskie.

Jak zwykle poczułem ścisk w żołądku. Pomyślałem: nie ma to jak ślub w kościele, w którym odbywał się pogrzeb twojej mamy.

Spojrzałem na Willy’ego. Czy myślał o tym samym?

Weszliśmy do środka, ramię w ramię. Znów spojrzałem na jego mundur i czapkę. „Któż nas rozdzieli?” Byliśmy teraz dorośli, byliśmy żołnierzami, ale miałem wrażenie, że stąpamy ostrożnie, chłopięco, jak wtedy, gdy szliśmy za trumną mamy. Dlaczego dorośli nas do tego zmusili? Weszliśmy do środka i nawa główną udaliśmy się do pomieszczenia znajdującego się koło ołtarza. Nazywano je kryptą. Wszystko w tym budynku przypominało mi o śmierci.

Nie mam na myśli wyłącznie wspomnień z pogrzebu mamy. Pochowano tu przeszło trzy tysiące ludzi. Groby znajdowały się pod posadzką i w ścianach. W opactwie leżeli bohaterowie wojenni i poeci, uczeni i święci, najwybitniejsze postacie Wspólnoty Narodów. Isaac Newton, Charles Dickens, Chaucer, a także trzynastu królów i osiemnaście królowych.

Mimo to trudno było myśleć o mamie w krainie śmierci. Czy mama, która tańczyła z Travoltą, przekomarzała się z Eltonem, oczarowała Reaganów, naprawdę mogła przebywać teraz w zaświatach razem z duchami Newtona i Chaucera?

Myśli o niej i śmierci, a także o moim odmrożonym członku sprawiły, że zacząłem się denerwować prawie tak samo jak pan młody. Dla odprężenia przechadzałem się w tę i z powrotem, kołysałem ramionami, nasłuchiwałem ludzi poroządzanych w ławach. Kazano im zjawić się bardzo wcześnie, dwie godziny przed naszym przybyciem.

– Pomyśl tylko, ilu z nich musi się wysikać – powiedziałem Willy’emu, żeby trochę przełamać napięcie.

Żadnej reakcji. Wstał i też zaczął się nerwowo przechadzać.

Spróbowałem ponownie:

– Obrączka! Cholera, co ja z nią zrobiłem? Nie mogę jej znaleźć...

I zaraz triumfalnie ją wyciągnąłem:

– Uff!

Uśmiechnął się i nadal dreptał po pokoju.

Nie zgubiłbym tej obrączki, nawet gdybym chciał: w mundur wszyto mi specjalną zamykaną kieszonkę. Sam wpadłem na ten pomysł. Oto dowód, jak poważnie traktowałem mój zaszczytny obowiązek.

Wyciągnąłem obrączkę z kieszonki i uważnie się jej przyjrzałem. Była cienka, wykonano ją z walijskiego złota, którego bryłkę rodzina królewska otrzymała prawie sto lat wcześniej. Z tej samej bryłki zrobiono obrączkę ślubną babci oraz księżniczki Małgorzaty, ale podobno zostało już niewiele kruszcu. Mogło go zabraknąć na mój ślub – o ile w ogóle kiedykolwiek się ożenię.

Nie pamiętam momentu, kiedy wyszliśmy z krypty, nie pamiętam stania przed ołtarzem, czytań, wręczenia bratu obrączki. Z uroczystości zostało mi niewiele wspomnień. Pamiętam tylko Kate idącą główną nawą. Wyglądała niesamowicie. Mam też przed oczami chwilę, gdy Kate i Willy wychodzą z kościoła, znikają za drzwiami. Zaraz wsiądą do powozu i odjadą do pałacu Buckingham, gdzie zaczną wspólne życie, które sobie ślubowali. Żegnajcie, pomyślałem.

Kochałem szwagierkę. Uważałem ją wręcz za siostrę, o której zawsze marzyłem. Cieszyłem się, że będzie odtąd stała u boku Willy’ego. Świetnie do siebie pasowali. Widać było, że są razem szczęśliwi, a skoro tak, ja również byłem szczęśliwy. W głębi ducha wiedziałem jednak, że to kolejne pożegnanie pod tym okropnym gotyckim sklepieniem. Kolejna rozłąka. Brat, którego rankiem odeskortałem do opactwa westminsterskiego, odszedł na zawsze. Nie było sensu

wypierać prawdy. Nigdy już nie będę dla niego na pierwszym miejscu. Nie będziemy jeździli konno po górach w Lesotho, a nasze peleryny nie będą łopotały na wietrze. Nie zamieszkamy razem w niewielkim domku, gdzie pachnie końmi. „Któż nas rozdzieli?”

To oczywiste: życie.

Podobne uczucie ogarnęło mnie na ślubie taty. Miałem wówczas te same przypuszczenia i proszę bardzo, wszystko się potwierdziło. Odkąd nastąpiła epoka Camilli, widywałem go coraz rzadziej. Jasne, ślub to zawsze radosna okazja, ale to również pożegnanie, bo gdy tylko nowożeńcy złożą sobie przysięgę, znikają, odchodzą do własnego świata.

Uzmysłowiłem sobie wówczas, że tożsamość to tak naprawdę sukcesja. Najpierw mamy przede wszystkim tożsamość A, potem tożsamość B i tak dalej, aż do śmierci. Jedna następuje po drugiej. Każda zajmuje miejsce na tronie twojego ja, ale zarazem sprawia, że coraz bardziej oddalasz się od swojej pierwotnej dziecięcej istoty. Owszem, zmiana, dojrzewanie, nabieranie mądrości są zdrowe i naturalne, dzieciństwo to jednak autentyczność, którą tracimy z każdą kolejną tożsamością. Jest jak okrawana bryłka złota, coraz mniejsza i mniejsza.

Tak w każdym razie myślałem tamtego dnia. Mój starszy brat Willy zaczynał nowy rozdział, zrobił kolejny krok, od tej pory będzie przede wszystkim mężem, potem ojcem, potem dziadkiem. Będzie nowym człowiekiem, wieloma nowymi ludźmi. I żaden z nich nie będzie już Willym. Będzie księciem Cambridge – taki tytuł wybrała mu babcia. Dobrze, myślałem, czeka go wspaniała przyszłość. Dla mnie jednak oznaczało to stratę.

Chyba reagowałem podobnie jak wtedy, gdy pierwszy raz miałem pilotować apache'a. Dotąd zawsze obok miałem kogoś, na kim mogłem się wzorować. Teraz znów zostałem sam i ogarnął mnie lęk.

A do tego groziło mi bycie eunuchem.

W co niby pogrywa wszechświat? Odbiera mi brata i do tego jeszcze penisa?

Parę godzin później, na weselu, wygłosiłem kilka zdań. Nie było to przemówienie, raczej dwuminutowa rozgrzewka, zanim prawdziwi świadkowie zabiorą głos. Willy kilkakrotnie przypomniał mi, że mam poprzestać na roli konferansjera.

Musiałem sprawdzić w słowniku, co to znaczy.

Prasa rozpisywała się na temat moich przygotowań do wygłoszenia mowy. Podobno zadzwoniłem do Chels, żeby wypróbować na niej parę fragmentów. Strasznie się obraziłem, kiedy doradziła, żebym nie wspominał o „zabójczych nogach Kate”, ale w końcu przyznałem jej rację. Totalna gównoprawda. Nigdy nie rozmawiałem z Chels na ten temat, w ogóle rzadko mieliśmy kontakt i dlatego Willy zapytał mnie, czy może zaprosić ją na ślub. Nie chciałem, żeby któreś z nas czuło się niekomfortowo.

W rzeczywistości skonsultowałem kilka zdań z JLP, zasadniczo jednak po prostu improwizowałem. Opowiedziałem parę żartów na temat naszego dzieciństwa, głupią anegdotę z czasów, gdy Willy grał w piłkę wodną, potem przeczytałem wybrane zabawne fragmenty z listów z gratulacjami od zwykłych ludzi. Pewien Amerykanin postanowił uszyć tradycyjną szatę z gronostajów dla nowej księżnej Cambridge. Zamierzał złapać tysiąc gronostajów (Jezu, chciał uszyć szatę czy cały namiot?), ale niestety, ostatecznie upolował zaledwie dwa.

Najwyraźniej w tym roku nie obrodziło w gronostaje, stwierdziłem.

Ale, ciągnąłem, Jankes skorygował plany, postarał się jak najlepiej wykorzystać swoje zasoby, co Jankesi mają wszak w zwyczaju, i uszył tę oto szatę, którą zaraz wam pokażę.

Wszyscy obecni wydali zduszony okrzyk.

Trzymałem w ręku stringi.

Miękkie, wykonane z cienkiego paska jedwabistego materiału. Ich przednia część była uszyta z gronostajowego futra – a przy tym niewiele większa niż kieszonka na obrączkę wszyta w mój mundur.

Po chwili wszyscy serdecznie się roześmiali.

Śmiech ucichł i na koniec krótkiej przemowy uderzyłem w poważniejszy ton. Wspomniałem mamę:

– Cieszyłaby się, gdyby tu z nami była. Na pewno pokochałaby Kate i byłaby szczęśliwa, że razem znaleźliście miłość.

Kiedy wypowiadałem te słowa, spuściłem wzrok. Bałem się, że przypadkiem spojrzę w oczy tacie lub Camilli – albo, co najgorsze, Willy’emu. Nie płakałem od czasu pogrzebu mamy i nie zamierzałem zerować licznika.

Poza tym chciałem mieć przed oczami jej twarz. Wyobrażałem sobie, jak promienieje radością w wielkim dniu Willy’ego i śmieje się na całe gardło

z nieszczęsnych gronostajowych stringów.

43

Kiedy czterech żołnierzy dotarło na czubek świata, otworzyli butelkę szampana i wzniesli toast za zdrowie mojej babci. Zatelefonowali do mnie, żebym mógł usłyszeć, jak bardzo się cieszą.

Ustanowili rekord świata, zebrali mnóstwo forsy dla rannych weteranów i zdobyli cholerny biegun północny. Niezłe osiągnięcie. Pogratulowałem im, powiedziałem, że cieszę się i że za nimi tęsknię. Strasznie chciałbym móc być tam razem z nimi.

Białe kłamstewko. Mój członek chwilami był nadwrażliwy, a chwilami zwyczajnie bolał. Za żadne skarby nie zamierzałem wracać do Odmrożeniowa.

Próbowałem rozmaitych domowych metod. Pewna przyjaciółka zasugerowała, że najlepiej sprawdzi się krem Elizabeth Arden.

– Moja mama używała go do ust. Mam nim sobie posmarować wacka?

– Zaufaj mi, Harry, na pewno podziała.

Kupiłem krem, otworzyłem go i zapach natychmiast przeniósł mnie w przeszłość. Miałem wrażenie, że moja mama przed chwilą wyszła z pokoju.

Nałożyłem odrobinę na palec i rozsmarowałem krem tam na dole.

Było to bardziej niż dziwaczne.

Musiałem jak najszybciej pójść do lekarza, ale nie mogłem poprosić Pałacu o załatwienie mi wizyty. Za dużo dworzan dowie się o moim problemie, sprawa wycieknie do prasy i zanim się obejrzę, mój wacek trafi na pierwsze strony gazet. Nie mogłem też sam zadzwonić do losowego lekarza: nie wchodziło to w grę nawet w przypadku zwyczajnej wizyty, a co dopiero teraz. „Dzień dobry, mówi księżę Harry, mam kłopot ze sprzętem, czy mógłbym wpaść, żeby...”

Zwróciłem się do innego przyjaciela z prośbą o dyskretne wyszukanie dermatologa, który ma doświadczenie z członkami członków elity. Niełatwa sprawa.

Przyjaciel jednak skontaktował się ze mną i powiedział, że jego ojciec zna odpowiedniego specjalistę. Dostałem telefon i adres. Ochrona zawiozła mnie na

Harley Street, gdzie mieści się wiele prywatnych przychodni. Zatrzymaliśmy się przed najzupełniej zwyczajnym domem. Jeden z ochroniarzy wprowadził mnie tylnym wejściem do gabinetu. Lekarz siedział za potężnym biurkiem i robił notatki, zapewne po wizycie poprzedniego pacjenta. Nie podnosząc wzroku, powiedział:

– Zapraszam.

Wszedłem i przyglądałem się, jak sporządza notatki. Zdawało się, że trwa to strasznie długo. Nie wiem, co dolegało gościowi przede mną, ale biedak najwyraźniej miał poważny problem.

Lekarz, nadal nie podnosząc wzroku, kazał mi wejść za zasłonkę i się rozebrać.

– Zaraz się panem zajmę – powiedział.

Wykonałem polecenie i położyłem się na kozetce. Minęło pięć minut.

W końcu zasłonka się rozsunęła i pojawił się lekarz.

Popatrzył na mnie, mrugnął i powiedział:

– A, rozumiem. To pan.

– To ja. Myślałem, że ktoś pana uprzedził, ale najwyraźniej nie.

– Cóż... No tak, to pan. Taaak... Okej. To pan. Hmmm. Proszę powiedzieć, z czym pan przychodzi.

Pokazałem mu wacka potraktowanego kremem Elizabeth Arden.

Nie zobaczył nic niepokojącego.

Bo tego nie widać, wyjaśniłem. Nie ma żadnych zmian skórnych. Z jakiegoś powodu w moim przypadku odmrożenie spowodowało nieprzyjemną nadwrażliwość.

– Jak do niego doszło? – zapytał.

Biegun północny, wyjaśniłem. Pojechałem na biegun północny i od tego czasu zaczęły się perturbacje w rejonie mojego bieguna południowego.

Twarz lekarza mówiła: coraz to ciekawiejsze i ciekawiejsze.

Opisałem mnożące się problemy:

– Ze wszystkim mam teraz trudności, panie doktorze. Z chodzeniem, siedzeniem...

Seks, dodałem, jest wykluczony. Co gorsza, podrażnienie sprawiało, że czułem się, jakbym właśnie go uprawiał. Albo się do niego zabierał. Wyznałem lekarzowi, że strasznie się niepokoję. Niestety, coś mnie podkusiło, wygooglowałem

odmrożenie członka i naczytałem się przerażających historii o penektomiach. Nie chcesz natrafić na słowo „penektomia”, kiedy sprawdzasz w internecie swoje objawy.

Lekarz zapewnił, że w moim przypadku taki zabieg jest mało prawdopodobny.

Mało prawdopodobny?

Powiedział, że musi mnie zbadać, żeby wykluczyć inne rzeczy. Był drobiazgowy, więc badanie okazało się bardzo inwazyjne. Potraktował moje klejnoty z jubilerską precyzją.

Najlepszym lekarstwem będzie czas, oznajmił w końcu.

– Jak to: czas?

– Czas leczy rany – odparł lekarz.

Naprawdę, panie doktorze? Z moich doświadczeń życiowych bynajmniej to nie wynika.

44

Spotkanie z Chels na weselu Willy’ego okazało się trudne. Nadal nosiłem w sobie mnóstwo uczuć; jedne próbowałem stłumić, istnienia innych nawet nie podejrzewałem. Ponadto dziwnie było patrzeć, jak rozmaici wygłodniali koleśki łążą za nią, osaczają ją, namawiają, żeby z nimi zatańczyła.

Zazdrość wygrała. Powiedziałem jej to wszystko i poczułem się jeszcze gorzej. Zachowałem się żałośnie.

Musiałem zamknąć ten rozdział, znaleźć sobie kogoś nowego. Lekarz miał rację: mój wacek z czasem wydobrzeł. Kiedy te same czary pozwolą mi uleczyć serce?

Kumple próbowali pomóc. Podsuwali rozmaite nazwiska, umawiali spotkania i randki.

Nic z tego nie wychodziło. Dlatego kiedy latem 2011 roku któryś z nich znowu wspomniał o pewnej dziewczynie, początkowo go zignorowałem. Ale mówił dalej. Jest niesamowicie inteligentna, piękna i fantastyczna. Niedawno z kimś zerwała. I na pewno szybko sobie kogoś znajdzie.

– Jest wolna, Spike. Ty też jesteś wolny.

Jestem?

– Będziecie do siebie świetnie pasować. Na pewno między wami zaiskrzy.

Przewróciłem oczami. Tego typu zapewnienia nigdy się nie sprawdzały.

Ale, o dziwo, w tym przypadku okazały się trafne. Siedzieliśmy przy barze, rozmawialiśmy, śmialiśmy się, przyjaciele, którzy przyszli tu z nami, rozpląnęli się w powietrzu, tak samo jak ściany, drinki i barman. W końcu sobie o nich przypomniałem i zaproponowałem, żebyśmy wszyscy przenieśli się do Clarence House.

Kontynuowaliśmy naszą rozmowę, słuchaliśmy muzyki. Wesoła grupa. Potem kolejne osoby zaczęły się wykruszać. Odwiozłem Florence do domu. Tak właśnie miała na imię: Florence. Wszyscy mówili na nią Flea.

Powiedziała, że mieszka w Notting Hill. Przy cichej ulicy. Zatrzymaliśmy się przed wejściem, zaprosiła mnie na herbatę. Jasne, powiedziałem.

Kazałem ochroniarzowi zrobić jakieś kilkaset kółek dookoła domu.

Nie pamiętam już, czy to właśnie tamtej nocy Flea opowiedziała mi o jednym ze swoich odległych przodków. Chociaż nie, chyba opowiedział mi o tym później któryś z kumpli. Jakkolwiek było, ów przodek dowodził szarżą lekkiej brygady, czyli sławnym nieudanym natarciem na rosyjskie działa podczas wojny krymskiej. Niekompetentny, a może zupełnie szalony oficer, odpowiadał za śmierć ponad setki żołnierzy. Haniebny rozdział w historii brytyjskiej wojskowości, zupełne przeciwieństwo bitwy pod Rorke's Drift. Mimo to, wzorem niesławnego przodka, ja również szarżowałem. Piłem z Fleą earl greya i zastanawiałem się: czy ona jest tą jedyną?

Owszem, mieliśmy tak dobrą chemię, że zadałem sobie to pytanie.

A poza tym kompletnie mi odbiło. Wiedziałem, że Flea to widzi, że może wyczytać wszystko z mojej kompletnie niepokerowej twarzy. Pozostawało tylko liczyć, że uzna to za urocze.

Najwyraźniej uznała. Kilka następnych tygodni było absolutną sielanką. Często się spotykaliśmy, dobrze się bawiliśmy, nikt o nas nie wiedział.

Dałem się omamić nadziei.

A potem prasa nas wytropiła i taki był koniec idylli.

Flea zadzwoniła do mnie z płaczem. Przed jej domem koczowało ośmiu paparazzich. Ścigali ją przez pół Londynu.

Jakaś gazeta nazwała ją „modelką występującą w reklamach bielizny”. Nieprawda, tylko raz wzięła udział w tego rodzaju sesji, wiele lat temu. Całe jej życie zostało sprowadzone do jednej fotografii. Było to strasznie umniejszające i poniżające.

Tak, powiedziałem cicho.

– Wiem, co czujesz.

Grzebali, grzebali, grzebali, dzwonili do wszystkich ludzi, których kiedykolwiek spotkała. Zaczęło się już przeświadczenie jej rodziny. Potraktowali ją tak samo jak Caroline Flack – za którą zresztą nadal się uganiali.

Flea powtarzała tylko: „Nie dam rady”.

Mówiła, że śledzą ją przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, jak gdyby popełniła jakieś przestępstwo. W słuchawce usłyszałem wycie syren.

Płakała, była roztrzęsiona, mnie również chciało się płakać, ale oczywiście powstrzymałem łzy.

Powtórzyła po raz ostatni:

– Dłużej już nie dam rady, Harry.

Przełączyłem telefon na głośnik. Byłem na drugim piętrze Clarence House, stałem przy oknie otoczony pięknymi meblami. Sympatyczny pokój. Lamy wisiały dość nisko, dywan pod moimi stopami wydawał się dziełem sztuki. Przycisnąłem twarz do zimnej szyby i poprosiłem Flea, żeby spotkała się ze mną po raz ostatni. Żebyśmy przynajmniej przegadali sytuację.

Przed domem przemaszerowali żołnierze. Zmiana warty.

– Nie.

Była nieugięta.

Kilka tygodni później zadzwonił do mnie kumpel, który spiknął nas ze sobą.

– Słyszałeś? Flea zeszła się ze swoim dawnym chłopakiem.

– Naprawdę?

– Chyba jednak związek nie był wam pisany.

– No tak...

Przyjaciel powiedział też, że podobno to matka Flea radziła jej ze mną zerwać i ostrzegała, że prasa zniszczy jej życie. Będą cię ścigać aż do piekła, mówiła.

– Taaa – powiedziałem przyjacielowi. – Matki zawsze mają rację.

Przestałem spać.

Po prostu przestałem. Byłem tak rozczarowany, tak przybity, że przez całą noc chodziłem od ściany do ściany i rozmyślałem. Żałowałem, że nie mam telewizora.

Ale mieszkałem teraz w bazie wojskowej, w niewielkim pokoju, właściwie w celi.

A potem rano, mimo nieprzespanej nocy próbowałem pilotować apache'a.

Przepis na katastrofę.

Próbowałem ziół. Trochę pomogły, udawało mi się przespać godzinę albo dwie, rano jednak mój mózg był zupełnie martwy.

Armia tymczasem poinformowała mnie, że czeka mnie udział w manewrach i ćwiczeniach.

Może to podziąła, pomyślałem. Może dzięki ćwiczeniom się otrząsnę.

Albo będzie to gwóźdź do trumny.

Najpierw wysłali mnie do Ameryki, na południowy zachód. Przez jakiś tydzień latałem nad ponurymi, odludnymi terenami niedaleko miasteczka o nazwie Gila Bend. Wybrano je, bo tutejsze warunki były podobne do tych, które panują w Afganistanie. Coraz lepiej radziłem sobie z apache'em, odpalane przeze mnie rakiety coraz skuteczniej niszczyły cele. Wśród pyłu i kurzu czułem się całkiem dobrze. Rozwaliłem mnóstwo kaktusów. Skłamałbym, mówiąc, że nie dostarczyło mi to frajdy.

Potem trafiłem do Kornwalii, na wrzosowiska Bodmin, kompletne odludzie.

Styczeń 2012 roku.

Ze słonecznej upalnej krainy w nieprzyjemny chłód. W styczniu na wrzosowiskach zawsze jest zimno, a tym razem na miejscu przywitała mnie szalejąca śnieżycą.

Zostałem skoszarowany w bazie z dwudziestoma innymi żołnierzami. Przez kilka pierwszych dni próbowałem się zaaklimatyzować. Wstawaliśmy o piątej nad ranem, szliśmy pobiegać, żeby krew zaczęła szybciej krążyć w żyłach, potem wymiotowałem, potem do sali lekcyjnej, żeby słuchać o najnowszych metodach uprowadzania ludzi przez naszych nieprzyjaciół. Wkrótce mieliśmy poznać kilka tych metod na własnej skórze. Ćwiczenie nosiło nazwę Uniknąć i Uciec, stanowiło

jeden z ostatnich elementów szkolenia pilotów i załóg śmigłowców przed wysłaniem na front.

Pewnego dnia ciężarówkami pojechaliśmy na zamarzniete wrzosowiska, żeby ćwiczyć techniki survivalowe. Udało nam się złapać kurczaka, zabić go, oskubać i ugotować. Zaczęło padać i od razu przemokliśmy. Byliśmy wycieńczeni. Naszych przełożonych najwyraźniej bardzo to ubawiło.

Nagle ktoś chwycił mnie i dwóch innych koleś, załadowali nas do ciężarówki, zawieźli nas w jakieś jeszcze bardziej odludne miejsce.

– Wysiadać.

Mrużąc oczy, rozejrzeliśmy się po okolicy, spojrzeliśmy w niebo.

– Serio? Tutaj?

Padał coraz intensywniejszy i coraz zimniejszy deszcz. Instruktorzy krzyknęli: macie sobie wyobrazić, że wasz śmigłowiec właśnie rozbił się za linią nieprzyjaciela. Żeby przeżyć, musicie dotrzeć pieszo na drugi koniec wrzosowiska, piętnaście kilometrów stąd. Wcześniej, na początku szkolenia, przedstawiono nam specjalny metascenariusz. Udawaliśmy chrześcijańską armię, która walczy z muzułmańskimi bojówkami.

Misja na dzisiaj: uniknąć wroga, uciec z nieprzyjaznego terenu.

Ruszać!

Ciężarówka odjechała z rykiem silnika.

Zmarznięci i przemoczeni rozejrzeliśmy się dookoła, spojrzeliśmy na siebie: główniana sprawa.

Mieliśmy mapę i kompas, każdy z nas został też wyposażony w wodoodporny śpiwór. Nie pozwolili nam zabrać żadnego prowiantu.

– W którą stronę?

– Tędy?

– Okej.

Wrzosowiska były ponoć niezamieszkałe, czasami jednak w oddali widzieliśmy gospodarstwa. W oknach paliły się światła, z ceglanych kominów unosił się dym. Wiele byśmy dali, żeby móc zapukać do którychś drzwi. Dawniej, w starych dobrych czasach, ludzie chętnie pomagali żołnierzom podczas ćwiczeń, ale później sporo się zmieniło. Tutejsi mieszkańcy zbyt wiele razy sparzyli się, mając do

czynienia z armią. Nauczyli się, że nie należy zapraszać do domów nieznajomych ze śpiworami.

Jednym z dwóch towarzyszących mi żołnierzy był mój kumpel Phil. Lubiłem go, ale wkrótce obaj kompletnie zakochaliśmy się w trzecim żołnierzu, bo powiedział nam, że zna wrzosowisko Bodmin, gdyż wybrał się tu kiedyś na letni trekking. Wiedział, gdzie jesteśmy, i co więcej, wiedział, jak nas stąd wydostać.

Szliśmy za nim jak dzieci przez ciemność, aż do następnego poranka.

O świcie znaleźliśmy jodłowy zagajnik. Temperatura zbliżała się do zera, deszcz wzmógł się jeszcze bardziej. Machnęliśmy ręką na śpiwory, ułożyliśmy się jeden koło drugiego i mocno do siebie przyłgnęliśmy. Oczywiście każdy z nas chciał znaleźć się w środku, bo tam było najcieplej. Ponieważ dobrze znałem Phila, tuląc się do niego, czułem się trochę skrępowany. To samo dotyczyło naszego trzeciego towarzysza. „Sorry, to twoja ręka?” Po kilku godzinach czegoś, co przypominało sen, odkleiliśmy się od siebie i znów ruszyliśmy w długi marsz.

W ramach ćwiczenia musieliśmy zatrzymać się w paru wyznaczonych punktach i za każdym razem wykonać określone zadanie. Nie pominęliśmy żadnego z nich, wreszcie dotarliśmy do ostatniego punktu i znaleźliśmy się w czymś w rodzaju schronu. Powiedziano nam, że to już koniec ćwiczenia.

Był środek nocy, panowała zupełna ciemność. Pojawili się nasi szkoleniowcy i oznajmili:

– Dobra robota, chłopaki, udało wam się.

Ledwo stałem na nogach.

Kazali nam wsiąść do ciężarówki, powiedzieli, że wracamy do bazy. Nagle pojawiła się grupa gości w kominiarkach. Z jakiegoś dziwnego powodu w pierwszej chwili pomyślałem o lordzie Mountbattenie, który zginął w pułapce zastawionej przez IRA. Zupełnie inne okoliczności, ale najwyraźniej w moim DNA kryły się zapisane wspomnienia o tamtym akcie terroru.

Rozległy się wybuchy i strzały, napastnicy krzyczeli, że mamy patrzeć w ziemię. Natychmiast nałożyli nam zaciemniające gogle, skrępowali nasze ręce opaskami zaciskowymi i wywlekli nas z ciężarówki.

Znaleźliśmy się w jakimś podziemnym bunkrze połączonym z innymi bunkrami. Ściany były zimne i wilgotne, każdy dźwięk niósł się echem. Prowadzono nas z pomieszczenia do pomieszczenia. Zakładali nam worki na głowy, potem je

zdejmowali. W niektórych pomieszczeniach obchodzili się z nami dobrze, w innych byliśmy traktowani jak śmieci. Totalna huśtawka emocjonalna. Oferują ci szklankę wody, chwilę później rzucają cię na kolana i każą trzymać ręce nad głową. Przez trzydzieści minut. Przez godzinę.

Spędziliśmy trzy doby bez porządnego snu.

Większość z tego, co z nami robiono, było niezgodne z konwencją genewską. O to właśnie chodziło.

Pewnego razu zasłonili mi oczy i zabrali do jakiegoś pokoju. Poczujęm, że nie jestem tu sam. Wydawało mi się, że drugi gość to Phil, ale mógł to być również nasz trzeci towarzysz. Albo ktoś z innego zespołu. Nie ośmieliłem się zapytać.

Słyszeliśmy przytłumione głosy dochodzące z innej części budynku, nad nami albo pod nami. Potem dziwne hałasy, na przykład szum wody.

Próbowali nas zdezorientować.

Było mi przerażająco zimno. Nigdy tak bardzo nie marzłem. Biegun północny nie mógł się równać z tutejszym zimnem. Do tego dochodziły otepienie i senność. Obudziłem się gwałtownie, kiedy nagle do pokoju wtargnęli nasi porywacze. Odsłonili nam oczy. Okazało się, że miałem rację, w pokoju był też Phil. I jeszcze nasz trzeci towarzysz. Kazali się nam rozebrać. Wyśmiewali się z naszych nagich ciał, z naszych zwiotczałych fiutów. Patrzcie, jakie małe, mówili raz po raz. Żeby tylko wiedzieli, jakie problemy miałem z moim...

Przesłuchiwali nas. Nie ujawniliśmy im żadnych informacji.

Zabrali nas do osobnych pokojów i kontynuowali przesłuchanie.

Kazali mi klęknąć. Weszło jakichś dwóch gości, zaczęli się na mnie wydzierać.

Wyszli.

Rozległa się kocia muzyka: brzmiała, jak gdyby rozgniewany dwulatek dorwał się do skrzypiec.

– Co to jest?

– Milczeć! – odpowiedział mi głos.

Sam nie wiem, czemu wmówiłem sobie, że to nie żadne nagranie. Że naprawdę jakiś dzieciak siedzi w bunkrze i próbuje grać na instrumencie. Może też jest więźniem? Jezu, co on robi z tymi skrzypcami? I co oni robią temu dzieciakowi?

Porywacze wrócili. Przyprawdzili Phila. Starannie przejrżeli wszystkie jego wpisy w mediach społecznościowych i zaczęli mówić o jego rodzinie i partnerce, co strasznie go wystraszyło. Niesamowite, jak wiele o nim wiedzieli. Jak to możliwe, że obcy ludzie mają tyle informacji?

Uśmiechnąłem się. Witaj w klubie, stary.

Nie traktowałem sytuacji dostatecznie poważnie. Jeden z porywaczy chwycił mnie i przystawił do ściany. Na głowie miał czarną kominiarkę. Przydusił mnie przedramieniem, wypływał każde słowo. Kazał mi wyciągnąć ręce nad głowę. Czubkami wszystkich palców musiałem dotykać betonowej ściany, chociaż stałem prawie o metr od niej.

Pozycja stresowa.

Dwie minuty.

Dziesięć minut.

Ramiona odmawiały mi posłuszeństwa.

Nie mogłem oddychać.

Weszła kobieta. Twarz miała zasłoniętą nikabem. Zaczęła mówić, gadała i gadała. Nie rozumiałem, nie byłem w stanie nadążyć.

Wreszcie pojąłem. Mama. Mówiła o mojej matce.

– Twoja matka była w ciąży, kiedy zginęła, prawda? Nosiła w brzuchu twojego braciszka albo siostrzyczkę. Muzułmańskie dziecko!

Z trudem obróciłem głowę i na nią spojrzałem. Nic nie powiedziałem, ale wrzeszczałem na nią wzrokiem. „Że niby robicie to dla mnie? To nadal ćwiczenia? A może chcecie się zabawić moim kosztem?”

Wybiegła z pokoju. Jeden z porywaczy splunął mi w twarz.

Usłyszeliśmy strzały.

I hałas śmigłowca.

Zawleczono nas do innego pokoju i ktoś zawołał:

– Okej, wystarczy. Koniec ćwiczenia!

Odbyło się krótkie podsumowanie, jeden z instruktorów bez przekonania przeprosił mnie za zagrywkę z kobietą w nikabie.

– Trudno znaleźć takie informacje na twój temat, żebyś był zszokowany, że je wygrzebaliśmy.

Nie odpowiedziałem.

– Uznaliśmy, że musimy mocno przykręcić ci śrubę.

Nie odpowiedziałem.

– Ale posunęliśmy się trochę za daleko.

Prawda.

Dowiedziałem się później, że dwaj inni żołnierze przeszli po tych ćwiczeniach załamanie psychiczne.

46

Ledwo doszedłem do siebie po wydarzeniach na wrzosowisku Bodmin, gdy dostałem wiadomość od babci. Chciała, żebym pojechał na Karaiby. Dwutygodniowa wizyta dla uczczenia sześćdziesiątej rocznicy jej wstąpienia na tron. Moja pierwsza oficjalna podróż w jej imieniu.

W pierwszej chwili było to dla mnie dziwne: jedna decyzja i nagle muszę przerwać szkolenie wojskowe, choć niedługo mają mnie wysłać na front.

Potem uświadomiłem sobie, że nic w tym dziwnego.

Babcia była przecież naczelną dowódczynią sił zbrojnych.

Marzec 2012 roku. Poleciałem do Belize. Wzdłuż ulic, którymi jechałem z lotniska, stały tłumy. Ludzie wymachiwali chorągiewkami. Podczas każdej uroczystości podawano domowy bimber i wznosiliśmy toast za zdrowie babci i moich gospodarzy. Ponadto wiele razy tańczyłem punta, miejscowy taniec.

Pierwszy raz spróbowałem tradycyjnej zupy z krowiego kopyta. Dawała lepszego kopa niż bimber.

Na jednej z uroczystości zawołałem: *Unu come, mek we goo paati*. Po kreolsku oznacza to: chodźcie, zrobmy imprezę! Tłum oszalał z radości.

Ludzie skandowali moje imię, często też skandowano imię mojej matki. Pewnego razu jakaś kobieta objęła mnie i zawołała:

– Dziecko Diany! – A potem zemdlą.

Odwiedziłem zaginione miasto Xunantunich, potężną metropolię Majów. Wspiąłem się na kamienną świątynię El Castillo, kunsztownie zdobioną rzeźbionymi hieroglifami i wizerunkami postaci. Na szczycie powiedziano mi, że

był to kiedyś najwyżej położony punkt w całym kraju. Dookoła rozciągał się przepiękny widok, ale wciąż myślałem o tym, że w świątyni spoczywają kości niezliczonych majańskich władców. Stałem na szczycie majańskiego opactwa westminsterskiego.

Na Bahamach spotykałem się z ministrami, muzykami, dziennikarzami, sportowcami, duchownymi. Uczestniczyłem w nabożeństwach, świętach ulicznych, wziąłem też udział w oficjalnej kolacji. Kiedy płynęliśmy na Harbour Island, nasza motorówka miała awarię i zaczęła tonąć. Wkrótce podpłynęła łódź przedstawicieli prasy. Chciałem powiedzieć: dzięki, ale z tymi panami nie płynę, nigdy w życiu. Niestety, nie było wyboru.

Spotkałem się z Indią Hicks, córką chrzestną taty i jedną z druzhen mamy. Zabrała mnie na plażę na Harbour Island. Piasek był jasnoróżowy. Różowy piasek? Przez chwilę miałem całkiem przyjemne wrażenie, że upaliłem się trawą. India wyjaśniła mi, dlaczego piasek jest różowy, ale było to bardzo skomplikowane i niewiele zrozumiałem.

Jedna z uroczystości odbywała się na stadionie pełnym dzieci. Choć żyły w okrutnej nędzy i choć każdy dzień niósł im trudne wyzwania, powitały mnie śmiechem i radosnymi okrzykami. Bawiliśmy się, tańczyliśmy, zaliczyłem też parę rund boksu. Zawsze kochałem dzieci, tym razem doświadczenie było dla mnie szczególnie pamiętne, bo niedawno zostałem ojcem chrzestnym Jaspera, syna Marka. Ogromny zaszczyt. Miałem nadzieję, że będzie to ważny kamień milowy na mojej drodze. Że zacznym kolejny etap dorastania.

Pod koniec wizyty dzieci otoczyły mnie i wręczyły mi prezent: gigantyczną srebrną koronę i długą czerwoną szatę.

Jedno z nich wyjaśniło:

- To dla jej królewskiej mości.
- Dopilnuję, żeby dostała wasz prezent.

Opuszczając stadion, wyściskałem wiele dzieci, podczas lotu na następny przystanek dumnie włożyłem koronę na głowę. Była wielkości koszyczka wielkanocnego, członkowie mojej świty pokładali się ze śmiechu.

- Sir wygląda jak skończony idiota!
- Może i tak. Ale zamierzam pójść w tej koronie na dzisiejszą ceremonię!
- Oj nie, sir, w żadnym razie!

Nie mam pojęcia, jak udało im się wybić mi ten pomysł z głowy.

Pojechałem na Jamajkę, zaprzyjaźniłem się z premierem, ścigałem się z Usainem Boltem (wygrałem, ale tylko dlatego, że oszukiwałem). Tańczyłem z jakąś dziewczyną do piosenki *One Love* Boba Marleya:

Let's get together to fight this holy Armagiddyon.

Miałem wrażenie, że w każdym odwiedzanym miejscu każą mi posadzić co najmniej jedno drzewo. Królewska tradycja – postanowiłem jednak uzupełnić ją o dodatkowy element. Zazwyczaj w takich sytuacjach drzewo już jest wsadzone w ziemię, a twoim zadaniem jest tylko symboliczne przysypanie dziury. Ja jednak uparłem się, że starannie ją wypełnię, a potem podleję sadzonkę. Ludzie wydawali się zszokowani. Uważali to za radykalne zerwanie z obowiązującym zwyczajem.

Tłumaczyłem im:

– Chcę po prostu, żeby drzewo przeżyło.

47

Po powrocie do domu powitały mnie entuzjastyczne recenzje. Dworzanie orzekli, że godnie reprezentowałem Koronę. Zdałem babci raport.

– Wyśmienicie. Dobrze się spisałeś – powiedziała.

Postanowiłem to uczcić. Zasłużyłem. Poza tym zbliżał się wyjazd na wojnę. Może była to ostatnia okazja, żeby się dobrze bawić?

Imprezy, kluby, puby, tamtej wiosny często szedłem w miasto. Próbowiałem ignorować fakt, że ciągle łążą za mną dwaj paparazzi, żałośni i wyjątkowo wstrętni: Półdupek i Półgłówek.

Przez większość dorosłego życia w rozmaitych miejscach publicznych spotykałem paparazzich, którzy już na mnie czekali. Czasami cały tłum, czasami tylko garstka. Przeważnie za każdym razem nowe twarze, aczkolwiek czasami twarze były zasłonięte. Tych dwóch jednak pojawiało się teraz wszędzie i zawsze rzucało się w oczy. Jeśli akurat zebrała się większa grupa paparazzich, Półdupek i Półgłówek wciskali się w środek. Zdarzało się, że byli tylko we dwóch.

Czaili się wszędzie. Szedłem cichą uliczką, w którą postanowiłem skrócić parę sekund wcześniej, a tu nagle Półdupek i Półgłówek wyskakują z budki

telefonicznej albo spod zaparkowanego samochodu. Wychodziłem z mieszkania przyjaciela, absolutnie pewny, że nikt nie wie o mojej wizycie, ale ci dwaj już stoją przed budynkiem na środku jezdni.

Byli wszędzie i byli bezwzględni, znacznie bardziej agresywni od innych paparazzich. Zastawiali mi drogę, biegli za mną do auta moich ochroniarzy, nie pozwalali mi wsiąść do środka, potem biegli za samochodem.

Kim byli? Dlaczego to robili? Nie wierzyłem, że mają jakiś szósty zmysł pozwalający za każdym razem mnie wytropić. Przeciwnie, każdy wyglądał, jak gdyby brakowało mu sporej części płata czołowego. Na czym więc polegała ich sztuczka? Niewidzialne urządzenie lokalizujące? Źródło w szeregach policji?

Polowali też na Willy'ego. Często o nich rozmawialiśmy, o ich niepokojącym wyglądzie, bezwzględności i głupocie. O tym, że nie biorą zakładników. Przede wszystkim jednak zastanawiało nas, jakim cudem są tak wszechobecni. Skąd wiedzą? Skąd mają informacje pozwalające im zawsze nas wytropić?

Willy poprzysiągł sobie, że znajdzie odpowiedź.

Billy Rock też był zdeterminowany. Kilka razy podszedł do Półdupka i Półgłówka, zadawał im pytania, patrzył im głęboko w oczy. Sporo się o nich dowiedział. Starszy, Półdupek, był trochę nalany, miał ciemne włosy ostrzyżone na jeża i uśmiech, który mroził krew w żyłach. Półgłówek nigdy się nie uśmiechał i rzadko kiedy się odzywał. Wydawało się, że dopiero uczy się fachu. Przeważnie tylko się gapił.

W co grali? Billy'emu nie udało się ich rozpracować.

Śledzenie mnie, nękanie i bogacenie się moim kosztem najwyraźniej im nie wystarczało. Chcieli mnie też zgnoić. Truchtali koło mnie, dogryzali i przez cały czas strzelali fotki, dwieście na sekundę. Wielu paparazzich próbuje sprowokować człowieka, za którym się uganiają – nie ma nic lepszego niż mała szarpanina. Ale Półdupek i Półgłówek sprawiali wrażenie, jak gdyby zależało im na walce na śmierć i życie. Chwilami nie byłem w stanie trzeźwo myśleć, marzyłem, żeby im porządnie przylać. Potem brałem głęboki wdech. Nie rób tego, mówiłem sobie. Przecież o to im chodzi. Będą mogli cię pozwać i staną się sławni.

Ostatecznie uznałem bowiem, że taki właśnie jest ich cel. Dwaj kolesie, o których nikt nie słyszał, myślą sobie, że wspaniale jest być sławnym. Więc próbują zdobyć sławę, atakując znaną osobę. Niszcząc jej życie.

Dlaczego pragnęli sławy? Tego akurat nie byłem w stanie sobie wyjaśnić. Sądziłem, że sława daje wolność? Wolne żarty. Może czasami, ale sława królewska to życie w luksusowej niewoli.

Półdupek i Półgłówek nie potrafili tego pojąć. Byli gówniarzami, nie łapali żadnych niuansów. Ich uproszczona wizja świata przedstawiała się następująco: skoro jesteś członkiem rodziny królewskiej, to musisz zapłacić cenę za życie w pałacu.

Czasami więc zastanawiałem się, co by było, gdybym z nimi porozmawiał. Gdybym spokojnie wyjaśnił, że w pałacu mieszka moja babcia, a nie ja. Że w rzeczywistości obaj prowadzą o wiele bardziej wystawne życie niż ja. Naprawdę: Billy starannie przeanalizował ich finanse. Każdy z nich miał po kilka domów i po kilka luksusowych aut, które kupili dzięki zdjęciom przedstawiającym mnie i moją rodzinę. (Mieli też konta w zagranicznych bankach, podobnie jak ich klienci, baronowie medialni w rodzaju Murdocha czy – oto nazwisko godne Dickensa – Jonathana Harmswortha, czwartego wicehrabiego Rothermere).

Mniej więcej w tamtym okresie pierwszy raz pomyślałem, że Murdoch jest naprawdę złym człowiekiem. Chociaż nie, inaczej. Zrozumiałem, że jest złym człowiekiem. Przekonałem się o tym osobiście. Kiedy czyjeś przydupasy gonią cię po ulicach nowoczesnej metropolii, tracisz wszelkie wątpliwości i już wiesz, kto plasuje się w którym punkcie na Wielkim Kontinuum Moralności. Przez całe życie musiałem słuchać żartów o tym, że królewskie występki są konsekwencją wielu stuleci chowu wsobnego, teraz jednak pojąłem: brak różnorodności genetycznej to pestka w porównaniu z kłamstwami i przemocą psychologiczną stosowanymi przez prasę. Ślub z kuzynką jest o wiele mniej ryzykowny niż bycie dojną krową Murdocha i spółki.

Oczywiście, niezbyt podobało mi się również to, że jeśli chodzi o poglądy polityczne, Murdoch jest bardziej prawicowy od talibów. I że codziennie demoluje Prawdę. Że bezczelnie profanuje obiektywne fakty. Nasz gatunek istnieje od trzystu tysięcy lat, lecz nie przychodzi mi do głowy żaden jego przedstawiciel, który wyrządziłby tyle szkód zbiorowemu poczuciu rzeczywistości. W 2012 roku jednak tym, co brzydziło mnie i przerażało najbardziej, był powiększający się krąg jego wiernych sług, młodych, przetrąconych desperatów gotowych zrobić dowolną rzecz, byle tylko zasłużyć sobie na jego paskudny uśmiech.

A w samym środku tego kręgu dwa bezduszne przygłupy: Półdupek i Półgłówek.

Mógłbym długo opowiadać o naszych koszmarnych spotkaniach, ale jedno szczególnie zapadło mi w pamięć. Ślub przyjaciela. Ogród otoczony murem. Rozmawiam z gośćmi, słucham śpiewu ptaków, liści szumiących na wietrze. Nagle jednak, wśród wszystkich tych kojących dźwięków... ciche kliknięcie.

Odwracam się. Tam, w żywopłocie! Oko. I obiektyw.

A także ta doskonale znana pulchna twarz.

I jeszcze ten doskonale znany demoniczny uśmiech.

Półdupek.

48

Półdupek i Półgłówek mieli jedną zaletę: przygotowali mnie do wojny. Zawdzięczałem im wściekłość, która zawsze przydaje się przed bitwą. Sprawili też, że marzyłem o wyjeździe z Anglii. Gdzie, do cholery, są moje rozkazy?

Błagam, przyślijcie mi rozkazy.

A wtedy, rzecz jasna, jak to często bywa...

Festiwal muzyczny, kuzynka stuka mnie w ramię.

– Harry, to moja przyjaciółka Cressida.

– Yyyy... Mmmm... Cześć.

Okoliczności niezbyt sprzyjające. Mnóstwo ludzi, zero prywatności. Poza tym nadal miałem złamane serce. Z drugiej strony muzyka była dobra, pogoda też, miejsce bardzo ładne.

Zaiskrzyło.

Niedługo potem wybraliśmy się na kolację. Opowiadała mi o swoim życiu, rodzinie, o marzeniach. Chciała zostać aktorką. Miała cichy, nieśmiały głos, więc zupełnie nie potrafiłem sobie tego wyobrazić, co zresztą jej powiedziałem, ale odparła, że na scenie naprawdę czuje, że żyje. Jest wolna. Brzmiało to jak moje doświadczenia za sterami śmigłowca.

Kilka tygodni później odwiozłem ją po kolejnej randce.

– Mieszkam zaraz obok King's Road.

Zatrzymaliśmy się przed dużym domem przy zadbanej ulicy.

– Mieszkasz tutaj? To twój dom?

– Nie.

Wyjaśniła, że na kilka dni zatrzymała się u ciotki.

Odprowadziłem ją do drzwi wejściowych. Nie zaprosiła mnie do środka. Wcale nie oczekiwałem zaproszenia, wolałem wręcz go nie otrzymać. Nie spieszyłem się, pomyślałem. Nachyliłem się, żeby ją pocałować, ale nie trafiłem. Potrafiłem rozwalić kaktusa pociskiem hellfire z odległości pięciu kilometrów, nie udało mi się jednak odnaleźć jej ust. Odwróciła się, spróbowałem ponownie, musnęliśmy się wargami. Było to boleśnie niezręczne.

Następnego dnia zatelefonowałem do kuzynki. Zniechęcony opowiedziałem jej, że randka przebiegła dobrze, ale końcówka pozostawiła wiele do życzenia. Kuzynka nie zaprzeczała – okazało się, że już wcześniej rozmawiała z Cressidą.

– Niezręcznie – westchnęła.

Miała jednak dobre wiadomości. Cressida chciała spróbować ponownie.

Kilka dni później znów wybraliśmy się na kolację.

Tak się złożyło, że jej współlokatorka chodziła z moim starym kumplem Charliem. Bratem Hennersa, mojego nieżyjącego przyjaciela.

Zażartowałem:

– No, czyli jesteśmy sobie pisani. We czwórkę możemy się świetnie bawić.

Tak naprawdę nie był to do końca żart.

Znów spróbowaliśmy się pocałować. Wyszło trochę lepiej.

Poczułem nadzieję.

Następnym razem Cress i jej współlokatorka zaprosiły mnie i Charliego. Piliśmy, śmialiśmy się. Zanim zdążyłem się zorientować, byliśmy parą.

Niestety, mogliśmy widywać się tylko w weekendy. Miałem więcej zajęć niż kiedykolwiek, bo kończyłem przygotowania przed wyjazdem na front. Potem przekazano mi wreszcie oficjalne rozkazy i datę wyjazdu. Zegar tykał. Po raz drugi musiałem powiedzieć dopiero co poznanej dziewczynie, że ruszam na wojnę.

– Zaczekam – powiedziała. – Ale nie będę czekała w nieskończoność – dodała natychmiast. – Przecież nie wiemy, co się wydarzy, prawda, Haz?

– Prawda. Nie wiemy.

– Łatwiej powiedzieć sobie i innym, że nie jesteśmy parą.

- Tak, chyba tak będzie łatwiej.
 - Ale kiedy wrócisz...
- Kiedy. Powiedziała „kiedy”, nie „jeśli”.
- Byłem jej za to wdzięczny.
- Niektórzy mówili „jeśli”.

49

Zjawili się kumple, żeby przypomnieć mi o Planie.

- O Planie?
- No, Plan. Przecież pamiętasz, Spike.
- A, jasne. Plan.

Rozmawialiśmy o nim ładnych kilka miesięcy temu. Teraz nie byłem już taki pewny, czy Plan mi się podoba.

Nie zamierzali odpuszczać.

- Jedziesz na wojnę. Śmierć będzie ci patrzyła w oczy.
- Dzięki za przypomnienie.
- Masz obowiązek żyć. Teraz. Chwytaj dzień.
- Że co?
- *Carpe diem*.
- Okej... Co?
- *Carpe diem*. Chwytaj dzień.
- Aha, łapię.
- Vegas, Spike! Pamiętasz? Plan!
- Tak, tak, Plan. Ale... to brzmi trochę ryzykownie.

Chwytaj...

Dzień. Zrozumiałem.

Krótko wcześniej przytrafiło mi się coś, co kazało mi na poważnie przemyśleć ich propozycję. Zrozumiałem, że *carpe diem* to nie puste słowa. Wiosną wziąłem udział w charytatywnym meczu polo w Brazylii, pieniądze szły dla Sentebale.

W pewnym momencie jeden z graczy spadł z konia. Kiedy byłem dzieckiem, mój tata zaliczył na moich oczach taki sam upadek. Koń się potknął, tata huknął o twardą ziemię. Pomyślałem: dlaczego tata chrapie? Ktoś krzyknął: „Połknął język!”. Inny gracz natychmiast zeskoczył z konia i pomógł tacie. Uratował mu życie. Teraz, podczas meczu charytatywnego, podświadomie przypomniałem sobie tamten moment. Podbiegłem do faceta leżącego na ziemi, wyciągnąłem mu język z gardła.

Zakaszłał, znowu zaczął oddychać.

Jestem pewien, że jeszcze tego samego popołudnia przekazał solidną kwotę na Sentebale.

Ja natomiast otrzymałem cenną lekcję: *carpe diem*, póki nie jest za późno.

Powiedziałem więc kumplom:

– Dobra, jedziemy do Vegas.

Rok wcześniej, po ćwiczeniach w rejonie Gila Bend wynajęliśmy z kumplami harleye i przejechaliśmy z Phoenix do Las Vegas. Przez większą część podróży udało mi się zachować anonimowość. Teraz, po pożegnalnym weekendzie z Cressidą, poleciałem do Nevady, żeby powtórzyć tamtą wyprawę.

Zatrzymaliśmy się nawet w tym samym hotelu. Wszyscy w jednym apartamencie.

Był to dwupiętrowy apartament z wielkimi schodami z białego marmuru. Miało się wrażenie, że na ich szczycie lada chwila pojawią się Elvis i Wayne Newton. Jeśli ktoś nie chciał korzystać ze schodów, mógł wjechać na wyższe piętro windą. W apartamencie był też między innymi stół bilardowy.

Najlepszy był salon: sześć wielkich okien wychodzących na Strip, niska sofa w kształcie litery L, ustawiona tak, że można było gapić się na światła miasta, na góry majaczące w oddali lub na ogromny telewizor z płaskim ekranem. Niesamowity przepych. Zdarzało mi się bywać w pałacach; tutejsze wnętrze bez wątpienia zasługiwało na miano pałacowego.

Pierwszego wieczoru (a może drugiego? Wspomnienia z tego wyjazdu spowija rozświetlana neonami mgła) ktoś zamówił jedzenie, ktoś inny zamówił drinki, siedzieliśmy, rozmawialiśmy, nadrabialiśmy czas, który minął od ostatniego spotkania.

– No, poruczniku Wales, palisz się do powrotu na wojnę?

– Tak. Naprawdę nie mogę się doczekać.

Wszyscy wyglądali na zaskoczonych.

Na kolację poszliśmy do steakhouse'u i obzarliśmy się jak królowie. Steki nowojorskie, trzy rodzaje makaronu, bardzo przyjemne czerwone wino. Potem wybraliśmy się do kasyna, graliśmy w blackjacka i ruletkę, przegraliśmy. Poczuję zmęczenie, więc zostawiłem chłopaków i wróciłem do apartamentu.

Tak, tak, westchnąłem w duchu, kiedy kładłem się do łóżka. Stałem się jednym z tych koleś, co wcześniej idą spać i proszą pozostałych, żeby trochę mniej hałasowali.

Nazajutrz śniadanie, a do śniadania Krwawa Mary. Poszliśmy na basen. W Vegas był akurat sezon na imprezy w basenach – trafiliśmy w sam środek solidnego party. Kupiliśmy pięćdziesiąt piłek plażowych i zaczęliśmy je rozdawać na lewo i prawo, żeby przełamać lody.

Jak widać, byliśmy strasznymi nudziarzami. I strasznie zależało nam na nowych znajomościach.

Mówiąc ściślej, zależało na tym moim kumplom. Mnie nie. Miałem dziewczynę i nie zamierzałem uganiać się za spódniczkami. Siedząc w basenie, wymieniałem z nią wiadomości.

Tymczasem co i raz ktoś wręczał mi drinka. Kiedy słońce chowało się za górami, byłem w kiepskim stanie, a w mojej głowie rodziły się różne pomysły.

Uznałem, że muszę jakoś upamiętnić ten wyjazd. Upamiętnić uczucie wolności. Potrzebuję czegoś, co będzie dobrym symbolem hasła *carpe diem*.

Na przykład... tatuażu?

Tak! Właśnie tak!

Może na ramieniu?

Nie, zbyt widoczny.

Na dole pleców?

Zbyt frywolny.

Stopa?

Tak! Na podeszwie stopy. W miejscu, w którym kiedyś odlażała mi skóra. To będzie wręcz kilka warstw symbolizmu!

Decyzja podjęta. Teraz trzeba rozstrzygnąć, co sobie wytatuuję.

Myślałem i myślałem. Co jest dla mnie ważne? Święte?

Oczywiście! Botswana.

Kiedy chodziliśmy po mieście, mineliśmy salon tatuażu, całkiem niedaleko. Może mają porządny atlas z mapą Botswany?

Odszukałem Billy'ego i powiedziałem mu, dokąd się wybieramy. Uśmiechnął się.

– Mowy nie ma.

Kumple stanęli po jego stronie. Absolutnie nie.

Oznajmili, że w razie czego zatrzymają mnie siłą. Nie zrobisz sobie tatuażu, powiedzieli. A już na pewno tatuażu na stopie, przedstawiającego Botswanę. Znokautujemy cię, jeśli będzie trzeba.

– Tatuaż jest na zawsze, Spike!

Z całego tego wieczoru dobrze zapamiętałem tylko ich argumenty i groźby. Późniejsze wspomnienia są mocno zamazane.

Poddałem się. Tatuaż może poczekać do jutra.

Zamiast tego ruszyliśmy całą grupą do klubu. Siedziałem na skórzanej bankietce, oglądałem procesję dziewczyn, które podchodziły, żeby zagadać do moich kumpli. Rozmawiałem z jedną lub dwiema, dałem do zrozumienia, że nie jestem zainteresowany. Przede wszystkim gapiłem się w przestrzeń i myślałem o tym, że zmuszono mnie do porzucenia marzeń o tatuażu.

Koło drugiej w nocy wróciliśmy do naszego apartamentu. Kumple zaprosili cztery albo pięć dziewczyn pracujących w hotelu i dwie kobiety, które poznali przy stole do blackjacka. Ktoś rzucił pomysł gry w bilard. Brzmiało fajnie. Rozstawiłem bile i zacząłem grać z moimi ochroniarzami w ósemkę.

Zauważyłem, że kręcą się koło nas dziewczyny od blackjacka. Wydawały się trochę szemrane. Zapytały, czy mogą do nas dołączyć, nie chciałem odmawiać, bo byłoby to nieuprzejme. Zmienialiśmy się przy stole, nikomu nie szło szczególnie dobrze.

Zaproponowałem, żebyśmy zagrali o większą stawkę. Co powiecie na rozbieranego bilarda?

Entuzjastyczne okrzyki.

Dziesięć minut później totalnie przegrałem, zostałem w samych gaciach. Potem przegrałem również gacie. Była to tylko niewinna głupia zabawa. Tak przynajmniej myślałem. Aż do następnego dnia. Staliśmy przed hotelem w oślepiającym pustynnym słońcu, zobaczyłem, że jeden z kumpli gapi się z rozdziawionymi ustami w telefon. Spike, powiedział, jedna z dziewczyn od blackjacka strzeliła po cichu kilka fotek i je sprzedała.

– Spike... Jesteś wszędzie.

Mówiąc ściślej, w internecie roіło się od zdjęć mojego tyłka. Zostałem obnażony przed światem, chwytając mój *diem*.

Billy Rock zatonął w telefonie. „Nie jest dobrze, H.”, powtarzał.

Wiedział, że będzie mi ciężko. Jego i innych ochroniarzy również czekały kłopoty. Z powodu tej afery mogli stracić pracę.

Wściekałem się na siebie. Jak mogłem do tego dopuścić? Jak mogłem być tak głupi? Dlaczego znowu komuś zaufałem? Zakładałem dobrą wolę obcych ludzi, liczyłem, że szemrane dziewczyny od blackjacka wykażą się elementarną przyzwoitością, no i proszę, teraz będę musiał płacić za to do końca życia. Te zdjęcia nigdy nie znikną. Są na zawsze. W porównaniu z nimi tatuaż przedstawiający Botswanę to tylko niewielka plama tuszu.

Chwilami dławilem się winą i wstydem. Tymczasem gazety w kraju wzięły się już do obdzierania mnie ze skóry. „Wraca Hurra Harry. Książę Przygłup znowu w grze!”

Co pomyśli Cress, kiedy o tym przeczyta? Co pomyślą moi przełożeni z wojska?

Ciekawe, kto pierwszy ze mną zerwie: Cress czy armia?

W oczekiwaniu na wyrok uciekłem do Szkocji i spotkałem się z rodziną w zamku Balmoral. Był sierpień, więc wszyscy się tam zjechali. O tak, myślałem, w całym tym kafkowskim koszmarze brakuje jeszcze tylko Balmoral, miejsca, w którym kryje się tyle trudnych wspomnień, zwłaszcza że do rocznicy śmierci mamy zostało już tylko kilka dni.

Krótko po przyjeździe spotkałem się z tatą w pobliskiej posiadłości Birkhall. Ku mojemu zaskoczeniu potraktował mnie bardzo łagodnie, więc od razu mi ulżyło. Wydawał się wręcz lekko rozbawiony. Wyraził współczucie, powiedział, że doskonale wie, przez co przechodzę, choć jego nagie zdjęcia nigdy nie trafiły na pierwsze strony gazet. Chociaż nie – to nieprawda. Kiedy miałem jakieś osiem lat,

niemiecka gazeta wydrukowała jego gołe zdjęcia zrobione podczas wakacji we Francji, po kryjomu z użyciem teleobiektywu.

Obaj zapomnieliśmy o tym incydencie.

Tata bez wątplenia wiele razy czuł, że został obnażony przed całym światem, i to nas do siebie zbliżyło. Siedzieliśmy przy oknie i długo rozmawialiśmy o naszym dziwnym życiu, patrząc na wiewiórki hasające w trawie.

Carpe diem, wiewiórki.

50

Podobnie jak tata, moi przełożeni z armii odnieśli się do całej afery dość obojętnie. Nie obchodziło ich, że grałem w bilard – rozbierany czy tradycyjny – w jakimś tam pokoju hotelowym. Oznajmili, że mój status się nie zmienia. Nadal zamierzali wysłać mnie na front.

Towarzysze broni również stanęli za mną murem. W geście solidarności z księciem Harrym żołnierze i żołnierki na całym świecie zaczęli wrzucać do sieci swoje nagie lub prawie nagie zdjęcia, na których intymne części ciała mieli zasłonięte hełmami, beretami lub karabinami.

Cress wysłuchała moich wyczerpujących i pełnych skruchy wyjaśnień, następnie zaś doszła do tego samego wniosku: byłem idiotą, a nie żadnym casanovą.

Przeprosiłem za to, że z mojej winy znalazła się w krępującej sytuacji.

Co najlepsze, moi ochroniarze nie zostali zwolnieni ani nawet ukarani naganą – głównie dlatego, że nie zdradziłem, że mi wówczas towarzyszyli.

Mimo to brytyjska prasa – która dobrze wiedziała, że niedługo ruszam na wojnę – nadal wyrażała święte oburzenie, jak gdybym popełnił straszliwą zbrodnię.

Dobry moment, żeby wyjechać z kraju.

Wrzesień 2012 roku. Ten sam niekończący się lot. Na szczęście tym razem nie musiałem się ukrywać. Żadnej sekretnej pryczy. Pozwolono mi siedzieć z innymi żołnierzami. Mogłem poczuć się częścią zespołu.

Kiedy wylądowaliśmy w Camp Bastion, zrozumiałem jednak, że jest między nami istotna różnica. Niektórzy sprawiali wrażenie wystraszonych. Ich kołnierzyki wydawały się zbyt ciasne, grdyki poruszały się nerwowo. Sam to przeżywałem

podczas poprzedniej misji, teraz jednak czułem się, jak gdybym wracał do domu. Po przeszło czterech latach, na przekór przeciwnościom losu, wreszcie wracałem na wojnę. Tym razem w stopniu kapitana (w międzyczasie dostałem awans).

Zakwaterowanie okazało się lepsze niż poprzednio. W porównaniu z tamtą misją było tu prawie jak w Vegas. Pilotów traktowano po królewsku – nie da się uniknąć tego słowa, wszyscy je powtarzali. Miękkie łóżka, czyste pokoje. I to prawdziwe pokoje, a nie żadne namioty. W każdym zainstalowano nawet klimatyzację.

Dali nam tydzień na odnalezienie się w nowym miejscu i pozbycie się jet lagu. Inni żołnierze stacjonujący w Camp Bastion byli bardzo pomocni, chętnie tłumaczyli nam co i jak.

„Kapitanie Wales, latryny są tam dalej na prawo!”

„Kapitanie Wales, tu dostanie pan gorącą pizzę”.

Czułem się trochę jak na koloniach, aż do dnia poprzedzającego moje dwudzieste ósme urodziny. Siedziałem w pokoju, porządkowałem rzeczy, gdy nagle rozległy się syreny. Wyjrzałem na korytarz. Wszystkie drzwi otwierały się gwałtownie, żołnierze wystawiali głowy, by zobaczyć, co się dzieje.

Przybiegli moi ochroniarze (tym razem pojechali ze mną, bo było tu odpowiednie zakwaterowanie, a poza tym mogli się wtopić w tłum – w Camp Bastion mieszkały tysiące osób).

– Atakują nas! – zawołał jeden z nich.

W oddali, niedaleko hangarów, usłyszeliśmy eksplozje. Ruszyłem biegiem do apache'a, ale ochrona mnie powstrzymała.

– Jest zbyt niebezpiecznie.

Na zewnątrz rozległy się krzyki:

– Szykować się! SZYKOWAĆ SIĘ!

Wszyscy włożyliśmy kamizelki ochronne i stanęliśmy w drzwiach, czekając na dalsze rozkazy. Sprawdzałem, czy wszystko dobrze pozapinałem, a tymczasem jeden z ochroniarzy nawijał pod nosem: „Wiedziałem, że tak będzie, wiedziałem. Wszystkim to powtarzałem, ale nie słuchali. Mówili: zamknij się. A ja wiedziałem. Powtarzałem im, że Harry oberwie. Spierdalaj, mówili. No i proszę, potwierdziło się”.

Był Szkotem, twardo wymawiał głoski „r” i czasami brzmiał jak Sean Connery, co w normalnych okolicznościach wydawało się całkiem sympatyczne. Teraz brzmiał jak Sean Connery, który dostał ataku paniki. Przerwałem jego historię o tym, że nikt nie chciał słuchać jego kasandrycznych przepowiedni, i kazałem mu się przymknąć.

Czułem się nagi. Miałem pistolet kalibru 9 milimetrów, ale mój karabin, wchodzący w skład systemu uzbrojenia SA80A, był zamknięty w magazynie. Chciałem znaleźć się za sterami apache’a. Tylko w śmigłowcu mogłem się poczuć bezpieczny – i przydatny. Chciałem spuścić ognisty deszcz na napastników, kimkolwiek byli.

Kolejne eksplozje, jeszcze głośniejsze. Szyby w oknach drżały. Zobaczyliśmy płomienie. Gdzieś w górze rozległ się dudniący bas amerykańskich śmigłowców cobra i nagle cały budynek się zatrzęsł. Cobry zaczęły ostrzelać, apache również. Usłyszeliśmy potężny ryk, poczuliśmy strach i uderzenie adrenaliny. Najbardziej niespokojni byliśmy my, piloci śmigłowców. Pragnęliśmy jak najszybciej wystartować.

Ktoś przypomniał mi, że Camp Bastion dorównuje wielkością miasteczku Reading. Jak niby mamy odnaleźć nasze maszyny bez mapy, a do tego pod ostrzałem?

Właśnie wtedy odwołano alarm.

Syreny ucichły, dudnienie wirników śmigłowców także.

Camp Bastion znów był bezpieczny.

Ale cena okazała się straszliwa. Zginęło dwóch amerykańskich żołnierzy. Siedemnastu brytyjskich i amerykańskich żołnierzy odniosło rany.

Przez cały następny dzień próbowaliśmy ustalić, co się wydarzyło. Talibscy bojownicy zdobyli amerykańskie mundury, wycięli dziurę w ogrodzeniu i wślizgnęli się do środka.

– Wycięli dziurę w ogrodzeniu?

– Właśnie tak.

– Dlaczego?

W telegraficznym skrócie: bo chcieli mnie dorwać.

Powiedzieli, że szukają księcia Harry’ego.

Przywódcy talibów wydali nawet oświadczenie. Naszym celem był książę Harry, oznajmili. Data ataku została wybrana nieprzypadkowo.

Twierdzili, że to ze względu na moje nadchodzące urodziny.

Nie wiedziałem, czy im wierzyć.

Nie chciałem im wierzyć.

Jedna rzecz nie ulegała wątpliwości. Talibowie dowiedzieli się, że przebywam na terenie bazy, bo brytyjska prasa od tygodnia publikowała szczegółowe informacje na temat mojej misji.

51

Po ataku rozważano ściągnięcie mnie z frontu. Znowu.

Nie byłem w stanie o tym myśleć. Byłoby to zbyt potworne.

Skupiłem się wyłącznie na moich zadaniach, próbowałem wejść w rytm.

Na szczęście musiałem się trzymać surowego harmonogramu: dwa dni udziału w zaplanowanych operacjach, trzy dni w stanie najwyższej gotowości bojowej (czyli mówiąc inaczej, siedzenie w namiocie i czekanie na pilne rozkazy).

Wnętrze namiotu przypominało pokój w akademiku. Taka też panowała tam atmosfera. Kumpelskie rozmowy, nuda, bajzel. Mieliśmy do dyspozycji kilka sof obitych starą popękana skórą, na jednej ze ścian wisiała brytyjska flaga, wszędzie wałały się opakowania po chipsach i batonikach. Dla zabicia czasu graliśmy w FIFA, piliśmy całe litry kawy, przeglądaliśmy czasopisma dla facetów (szczególną popularnością cieszył się „Loaded”). A potem rozlegał się alarm i nagle zapomniałem o tym niemal studenckim życiu. Zapomniałem o wszystkim.

Jeden z chłopaków mawiał, że jesteśmy jak bardzo kosztowni strażacy. Miał rację. Nigdy nie mogliśmy sobie pozwolić na głęboki sen ani na całkowite odprężenie. W każdej chwili byliśmy gotowi ruszyć do akcji. Popijałeś herbatę albo jadłeś lody, rozpaczałeś z powodu dziewczyny, gadałeś z kumplami na temat piłki nożnej, równocześnie jednak twoje zmysły były wyczulone, a mięśnie spięte. Nieustannie czekałeś na alarm.

Alarmem był dzwonek telefonu. Zwykłego czerwonego telefonu. Żadnych guzików, żadnej tarczy, tylko aparat ze słuchawką. Dzwonek był staroświecki,

typowo brytyjski. *Brrrang*. Brzmiał znajomo, długo zastanawiałem się, z czym mi się kojarzy, aż wreszcie do mnie dotarło: taki sam odgłos wydawał telefon babci stojący na jej dużym biurku w ogromnym salonie w Sandringham. Czasami przerywał jej grę w brydża.

W namiocie zawsze było nas czterech: dwie dwuosobowe załogi, składające się z pilota i operatora uzbrojenia. Mnie przypadła druga z tych funkcji. Pilotował Dave, wysoki, tyczkowaty, zbudowany jak maratończyk – zresztą faktycznie uprawiał biegi długodystansowe. Miał krótkie ciemne włosy i niesamowitą pustynną opaleniznę.

Jego najbardziej charakterystyczną cechą było enigmatyczne poczucie humoru. Kilka razy dziennie zadawałem sobie pytanie: czy Dave mówi serio? Czy to sarkazm? Nie potrafiłem odgadnąć. Sądziłem, że z czasem rozwikłam tę zagadkę, ale nigdy mi się to nie udało.

Kiedy rozległ się dzwonek czerwonego telefonu, trzech z nas natychmiast wszystko rzuciło i gnaliśmy do naszych apache'y, podczas gdy czwarty podnosił słuchawkę, żeby zapoznać się ze szczegółami operacji. Medevac (ewakuacja medyczna)? Żołnierze w kontakcie bojowym z nieprzyjacielem? Jeśli tak, ilu żołnierzy, jak szybko możemy do nich dotrzeć?

Zajmowaliśmy miejsca w kokpicie apache'a, odpalaliśmy klimatyzację, zapinaliśmy pasy i kamizelki kuloodporne. Włączałem jedno z czterech urządzeń radiowych, przez które przekazywano mi dodatkowe szczegóły na temat operacji, a następnie wprowadzałem współrzędne GPS do komputera pokładowego. Kiedy pierwszy raz w życiu pilotujesz apache'a, procedura przedstartowa zabiera co najmniej godzinę. Po kilku tygodniach w Camp Bastion razem z Dave'em potrafiliśmy uwinąć się w osiem minut. A i tak wydawało nam się, że trwa to całą wieczność.

Maszyna zawsze była ciężka: wypełniona paliwem, wyposażona w pełny zestaw pocisków oraz tyle naboju kalibru 30 milimetrów, że dałoby się za ich pomocą zamienić spory betonowy budynek mieszkalny w ser szwajcarski. Miało się wrażenie, że wszystko to ciągnie cię do ziemi. Podczas mojej pierwszej operacji (żołnierze w kontakcie bojowym z nieprzyjacielem) okrutnie irytowało mnie, że choć tak bardzo nam się spieszy, musimy walczyć z grawitacją.

Pamiętam, że przelecieliśmy zaledwie centymetry nad workami z piaskiem zabezpieczającymi ogrodzenie Camp Bastion. Zrobiliśmy to kompletnie

odruchowo. Mieliśmy przecież zadanie do wykonania, musieliśmy ratować ludzkie życie. Parę sekund później w kokpicie zaświeciła się lampka alarmowa. ENG CHIPS.

Czyli: lądować. Natychmiast.

Kurwa. Mamy lądować na terytorium kontrolowanym przez talibów? Na moment wróciły wspomnienia z ćwiczeń na wrzosowisku Bodmin.

A potem pomyślałem: może po prostu zignorujemy migającą lampkę?

Nie, Dave już zawrócił i wracaliśmy do Camp Bastion. Miał znacznie większe doświadczenie ode mnie, odbył wcześniej trzy misje zagraniczne. Dobrze znał się na sygnałach alarmowych. Niektóre z nich można olać. Migają cały czas, wystarczy je wyłączyć. Ale akurat ta oznaczała poważne kłopoty.

Czułem się oszukany. Chciałem ruszyć do akcji. Byłem gotów zaryzykować, że się rozbijemy, że trafię do niewoli. Niech się dzieje, co chce. Wątpić – nie moja rzecz^[9], jak powiedział pradziadek Florence (a może Tennyson, nieważne). Liczyło się jedno: raz jeszcze w wyłom, kochani.

52

Nigdy się nie przyzwyczailem do tego, jak szybki jest apache.

Zazwyczaj krążyliśmy w rejonie celu z całkiem cywilizowaną prędkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę. Często jednak, kiedy spieszyliśmy się, żeby dotrzeć na miejsce, wyciskaliśmy prawie dwieście siedemdziesiąt kilometrów na godzinę. Ponieważ lecieliśmy nisko nad ziemią, prędkość wydawała się niesamowita. Myślałem wówczas: co za przywilej doświadczać takiej mocy i być w stanie ją wykorzystać na rzecz naszej strony.

Trzymanie się nisko nad ziemią stanowiło standardową procedurę. Dzięki temu talibskim wojownikom trudniej było wypatrzeć nas z daleka. Ale, niestety, coś za coś: miejscowe dzieciaki mogły ciskać w nas kamieniami, co robiły przez cały czas. Obrona przeciwlotnicza talibów sprowadzała się głównie do tych kamieni i kilku rosyjskich wyrzutni rakietowych ziemia–powietrze.

Unikanie nieprzyjaciela nie stanowiło problemu. Cała trudność polegała na tym, żeby go znaleźć. W ciągu czterech lat, które upłynęły od mojej pierwszej misji w Afganistanie, talibowie znacznie lepiej opanowali sztukę ucieczki. Ludzie mają niesamowitą zdolność adaptacji – zwłaszcza na wojnie. Talibowie wiedzieli co do

minuty, ile mają czasu od chwili ataku na nasze jednostki do momentu, gdy na horyzoncie pojawi się kawaleria. Ich wewnętrzne zegary działały wyjątkowo precyzyjnie. Uderzali, zabijali tylu ludzi, ilu tylko się dało, po czym wiali.

Byli też lepsi w ukrywaniu się. Bez trudu rozplýwali się wśród cywilów w wioskach lub znikali w podziemnych tunelach. Wydawało się, że opanowali mistyczną umiejętność dematerializacji.

Szukaliśmy ich uparcie. Krążyliśmy, przelatywaliśmy w tę i z powrotem, czasami przez bite dwie godziny (po tym czasie w apache'u kończy się paliwo). Bywało, że tankowaliśmy i wracaliśmy na miejsce, bo nie chcieliśmy kończyć poszukiwań.

Pewnego dnia tankowaliśmy trzy razy. W powietrzu spędziliśmy łącznie osiem godzin.

Nim wróciliśmy do bazy, sytuacja zrobiła się ponura: skończyły mi się woreczki na mocz.

53

Byłem pierwszym gościem w mojej eskadrze, który pociągnął za spust w gniewie.

Wyjątkowo dobrze pamiętam tę noc. Stan najwyższej gotowości bojowej, siedzimy w namiocie, dzwoni czerwony telefon, pędzimy do śmigłowca. Razem z Dave'em pospiesznie odbywamy procedurę przedstartową, przychodzą kolejne szczegóły operacji: jedna z placówek znajdujących się najbliżej Camp Bastion jest pod ostrzałem z broni małokalibrowej. Musimy dotrzeć na miejsce tak szybko, jak się da, i ustalić położenie napastników.

Startujemy, przelatujemy tuż nad ogrodzeniem, wznosimy się pionowo na wysokość czterystu metrów. Chwilę później włączam noktowizor. Tam!

Osiem postaci osiem kilometrów od nas. Kamera termowizyjna pokazuje, że oddalają się od ostrzeliwanej przed chwilą placówki.

- To muszą być oni – mówi Dave.
- Tak, na pewno nie ma tu żadnego naszego patrolu. Zwłaszcza o tej porze.
- Upewnijmy się. Potwierdź, że nie ma patroli.

Kontaktuję się z połączonymi granicznymi kontrolerami lotu. Potwierdzone, żadnych patroli.

Przelatujemy nad głowami tych ośmiu ludzi. Natychmiast dzielą się na dwie czteroosobowe grupy. Równe odstępami, idą powoli ścieżką. Wszystko zgodnie z techniką patrolową, którą wykorzystują nasze wojska. Czyżby zaczęli nas naśladować?

Wskakują na motory. Niektórzy jadą po dwóch na jednej maszynie. Mówię kontroli lotu, że wszystkie osiem celów jest w zasięgu wzroku, i proszę o pozwolenie na rozpoczęcie ostrzału. Pozwolenie jest niezbędne, chyba że działasz w samoobronie lub znajdujesz się w sytuacji bezpośredniego zagrożenia życia.

Pod moim siedzeniem umieszczono działko 30 milimetrów i dwa pięćdziesięciokilogramowe pociski naprowadzane hellfire. Można wyposażyć je w różne głowice. Jedna z nich doskonale nadaje się do niszczenia celów o dużej wartości. Oprócz tego mamy też kilka rakiet ziemia–powietrze, a konkretnie strzałek. Żeby użyć strzałek, trzeba przechylić śmigłowiec pod ściśle określonym kątem. Możesz wówczas wypuścić śmiertcioną serię osiemdziesięciu pięciocalowych wolframowych pocisków. W Garmsir opowiadano, że pewnego razu nasi żołnierze musieli zeskrobywać resztki trafionych strzałkami talibów z okolicznych drzew.

Jesteśmy gotowi, żeby odpalić strzałki. Ale nadal nie mamy pozwolenia.

Czekamy. I czekamy. Patrzymy, jak talibowie rozjeżdżają się na różne strony.

Mówię Dave'owi:

– Jeśli potem się dowiem, że któryś z nich ranił lub zabił jednego z naszych...

Ruszamy za dwoma motocyklami pędzącymi krętą drogą.

Rozdzielają się.

Wybieramy jeden. Lecimy za nim.

Wreszcie odzywa się kontrola lotu:

– Ludzie, których obserwujecie. Jaki jest ich status?

Kręcę głową i myślę: taki, że większość już zwała, bo zareagowaliście zbyt wolno.

Zamiast tego mówię:

– Rozdzielili się, widzimy jeden motor.

– Macie pozwolenie na otwarcie ognia.

Dave mówi, żeby użyć pocisku hellfire. Ale trochę się tego obawiam. W zamian strzelam z działka 30 milimetrów.

Błąd. Trafiam motor. Jeden z jadących nim ludzi spada na ziemię, najprawdopodobniej nie żyje, ale drugi zeskakuje i biegnie do pobliskiego budynku.

Krążymy, wzywamy jednostki naziemne.

– Miałeś rację – mówię do Dave’a. – Należało użyć hellfire.

– Nie martw się – odpowiada. – To twój pierwszy raz.

Długo po powrocie do bazy analizuję stan swojego umysłu. Uczestniczyłem już wcześniej w walkach, zabijałem ludzi, teraz jednak zaliczyłem najbardziej bezpośredni kontakt z nieprzyjacielem. Wcześniej wszystko wydawało się bezosobowe. Tym razem obserwowałem cel, trzymałem palec na spuście, użyłem działka.

Jak się z tym czuję?

Straumatyzowany?

Nie.

Smutny?

Nie.

Zaskoczony?

Nie. Byłem na to pod każdym względem przygotowany. Po prostu wykonywałem swoje zadanie. Do tego mnie szkolono.

Może zrobiłem się zobojętniały? Czy brak reakcji wiąże się z moim ambiwalentnym nastawieniem do śmierci, które mam już od dawna?

Nie wydaje mi się.

Tak naprawdę sprawa jest prosta. Miałem przeciwko sobie złych ludzi, którzy próbowali skrzywdzić moich towarzyszy. Zawinili też cierpieniu wielu innych osób. Nie wiem, czy facet, którego trafiłem, już kogoś zabił – ale prędzej czy później na pewno by to zrobił. Pozbywając się go, ratowałem życie Brytyjczykom. Oszczędzałem bólu brytyjskim rodzinom. Zabicie takiego człowieka oznacza, że mniej młodych mężczyzn i kobiet będzie wracało do domu owiniętych od stóp do głów w bandażu, jak chłopaki, z którymi leciałem cztery lata temu. Jak

rekonwalescenci, których odwiedzałem w Selly Oak i innych szpitalach. Albo dzielna ekipa, z którą maszerowałem na biegun północny.

Właśnie dlatego tego dnia myślałem tylko o jednym: szkoda, że kontrola lotu tak długo zwlekała. Gdybyśmy wcześniej dostali pozwolenie na otwarcie ognia, pozbylibyśmy się też pozostałej siódemki.

A jednak było coś jeszcze. Później, znacznie później, kiedy opowiedziałem tę historię kumplowi, zapytał: „Czy na twoje uczucia wpłynął jakoś fakt, że ci mordercy jechali na motorach? Bo wiesz, paparazzi na całym świecie najchętniej wybierają motory i skutery...”. Czy mogłem być stuprocentowo pewny, że podczas pogoni za talibami gdzieś w moim mózgu nie pojawiła się myśl o grupie ludzi na motocyklach, którzy pewnej nocy ścigali mercedesa po ulicach Paryża, aż do tunelu?

Albo o ludziach na motocyklach, którzy ścigali mnie tysiące razy?

Nie umiałem odpowiedzieć na te pytania.

54

Jeden z naszych dronów obserwował, jak talibowie się szkolą. Wbrew powszechnym wyobrażeniom mieli dobry sprzęt. Nie tak dobry jak my, ale całkiem skuteczny, jeśli tylko dobrze się nim posługiwać, często musieli więc szkolić swoich bojowników. Urządzali sobie ćwiczenia na pustyni, instruktorzy demonstrowali najnowszą broń z Rosji i Iranu. Najwyraźniej właśnie takie ćwiczenia wyłapał operator drona. Talibowie mieli lekcję strzelania.

Zadzwoił czerwony telefon. Odstawiliśmy kubki z kawą, cisnęliśmy pady do PlayStation. Pobiegliśmy do apache’y, poleciliśmy na północ z dużą prędkością, trzymając się jakieś dziewięć metrów nad ziemią.

Robiło się już ciemno. Kontrolerzy lotu kazali nam się trzymać osiem kilometrów od miejsca, w którym odbywało się szkolenie.

Ale, z powodu zapadającego mroku, ledwo widzieliśmy ten rejon. Mogliśmy dostrzec tylko jakieś ruszające się cienie.

I motory oparte o ścianę.

Czekajcie, powiedziała kontrola lotu.

Krążyliśmy i krążyliśmy.

Czekaliśmy.

Oddychaliśmy szybko.

Dostaliśmy sygnał: ćwiczenia się skończyły. Ruszać, ruszać, ruszać!

Instruktor, cel o dużej wartości, wsiadł na motor, za nim usadowił się jeden z uczestników. Pędem poleciliśmy w ich stronę, jechali z prędkością czterdziestu kilometrów na godzinę. Uczestnik miał karabin maszynowy PKM, z którego dopiero co strzelał. Trzymałem kciuk przy spuście. Tam! Pociągnąłem pierwszy spust, żeby wypuścić wiązkę lasera służącą do naprowadzania pocisku, i drugi spust, żeby wystrzelić pocisk.

Oba spusty były zdumiewająco podobne do tych z pada konsoli PlayStation, na której grałem jakąś godzinę wcześniej.

Pocisk uderzył tuż przy kole motocykla. Jak w podręczniku. Właśnie takiego celowania mnie uczone. Za wysoko i jest ryzyko, że przestrzelisz. Za nisko i trafisz w ziemię, a nie w cel.

Tango Bravo. Trafienie bezpośrednie.

Na dokładkę puściłem serię z działka 30 milimetrów.

Nie widziałem już motoru, tylko chmurę dymu i płomienie.

– Dobra robota – powiedział Dave.

Wróciliśmy do bazy, przeanalizowaliśmy nagranie.

Wzorowo zniszczony cel.

Pograliśmy jeszcze trochę na PlayStation.

Tej nocy wcześniej położyliśmy się spać.

Czasami kiedy odpala się pocisk hellfire, nie jest łatwo o precyzję. Apache latają z tak niesamowitą prędkością, że trudno o dobre naprowadzanie. W każdym razie niektórzy mają z tym trudności. Ja akurat naprowadzałem pociski idealnie, jak gdybym rzucał lotkami w pubie.

Cele zazwyczaj się poruszały. Najszybszy motor, który udało mi się trafić, sunął jakieś pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Jechał nim talibski dowódca, który przez cały dzień koordynował ostrzał naszych żołnierzy. Nachylał się nad kierownicą, oglądał się za siebie, kiedy go ścigaliśmy. Umyślnie wybierał drogę przez wioski, zasłaniał się cywilami. Starzy ludzie i dzieci byli dla niego tylko żywymi tarczami.

Okazje, żeby go zdjąć, trafiały się jedynie wówczas, gdy znajdował się na otwartym terenie między jedną wioską a drugą, co trwało może minutę.

Pamiętam, że Dave powiedział:

– Masz jeszcze dwieście metrów, potem nie da rady.

Czyli: za dwieście metrów talibski dowódca znowu zasłoni się dziećmi.

Usłyszałem kolejny komunikat Dave'a.

– Zaraz będą drzewa po lewej i ściana po prawej.

Zrozumiałem.

Dave ustawił nas na godzinie piątej względem celu i gwałtownie zszedł na wysokość dwudziestu metrów.

Teraz!

Odpaliłem pocisk. Hellfire uderzył w motor, cisnął nim w górę, prosto w niewielki zagajnik. Dave przeleciał nad drzewami, zobaczyliśmy kłęby dymu i kulę ognia. I motor. Ciała nie było.

Szykowałem się, żeby ostrzelać teren z działka 30 milimetrów, ale nie widziałem, do czego mam celować.

Krążyliśmy i krążyliśmy. Robiłem się nerwowy.

– Zwiął?

– Tam jest!

Kilkanaście metrów na prawo od motocykla: ciało na ziemi.

Potwierdzone zniszczenie celu.

Odlecieliśmy.

Trzy razy wysłano nas w to samo ponure miejsce: ciąg bunkrów przy ruchliwej szosie. Doniesiono nam, że regularnie zbierają się tam talibscy bojownicy. Przyjeżdżali trzema zdezelowanymi samochodami, mieli ze sobą granatniki i karabiny maszynowe, zajmowali pozycje i czekali, aż na szosie pojawią się ciężarówki.

Co najmniej raz wcześniej rozwalili konwój na oczach naszych kontrolerów lotu.

Czasami było ich sześciu, czasami aż trzydziestu. Zupełnie się nie kryli.

Trzy razy przylecieliśmy tam, żeby ich ostrzelać, trzy razy nie dostaliśmy pozwolenia na otwarcie ognia. Nie wiedzieliśmy dlaczego.

Tym razem byliśmy zdeterminowani, żeby zakończyć sprawę.

Dotarliśmy na miejsce bardzo szybko, zobaczyliśmy, że szosą zbliża się ciężarówka, a talibowie przygotowali się już do jej ostrzelania. Za chwilę miało dojść do tragedii. Ciężarówka oberwie, jeśli czegoś nie zrobimy.

Poprosiliśmy o zgodę na otwarcie ognia.

Odmowa.

Spróbowaliśmy ponownie.

– Kontrola lotu, prośba o zgodę na ostrzelanie nieprzyjaciela.

– Odmowa.

Huk. Rozbłysk i eksplozja na drodze.

Krzyczeliśmy. Pozwólcie nam otworzyć ogień.

– Odmowa. Czekamy na sygnał od dowódcy jednostek na ziemi.

Nadal krzyczeliśmy, zobaczyliśmy ciężarówkę rozwaloną na kawałki i talibów, którzy wskakują do swoich gruchotów i na motory. Śledziliśmy dwa pojazdy. Błagaliśmy: pozwólcie nam ich rozwalić. Teraz nie chodziło już o pozwolenie na prewencyjne otwarcie ognia, ale o zabicie sprawców.

Określano je mianem 429 Alfa.

– Czy mamy 429 Alfa?

– Odmowa.

Podążaliśmy za dwoma motorami przez kilka wiosek. Cały czas przeklinaliśmy wojenną biurokrację i przełożonych, którzy z jakiegoś powodu nie chcą wydać zgody, żebyśmy zrobili to, do czego nas szkolono. Może to samo drażni żołnierzy podczas każdej wojny? Chcieliśmy walczyć, nie znaliśmy się na geopolityce, nie

rozumieliśmy wielu aspektów całej sytuacji. Nie widzieliśmy szerszego obrazu. Niektórzy dowódcy powtarzali w prywatnych i publicznych wypowiedziach, że na miejsce każdego zabitego taliba pojawia się trzech kolejnych. Czasami ten punkt widzenia wydawał się nam trafny. Faktycznie, wskutek naszych działań talibów przybywało. Nie wierzę jednak, że najlepszą reakcją jest bezczynne patrzenie, jak giną niewinni ludzie.

Ścigaliśmy motory przez pięć minut, dziesięć, dwadzieścia.

Nigdy nie dostaliśmy zgody na otwarcie ognia.

57

Mieliśmy nagranie z każdej akcji.

Apache widział wszystko. Kamera na dziobie filmowała każde zniszczenie celu. Po zakończeniu akcji nagranie było starannie analizowane.

Wracaliśmy do Camp Bastion, szliśmy do sali wideo i oglądaliśmy nagranie na dużym telewizorze z płaskim ekranem. Dowódca eskadry przyciskał nos do ekranu, uważnie się wszystkiemu przyglądał, mruzczał, marszczył brwi. Za wszelką cenę pragnął wypatrzeć jakieś pomyłki. Chciał nam udowodnić, że popełniliśmy błąd.

Bluzgaliśmy na gościa za jego plecami. Czasami niewiele brakowało, a wygarnęlibyśmy mu w twarz: „Słuchaj, po czyjej stronie jesteś?”.

Ale na tym właśnie mu zależało. Chciał nas sprowokować, żebyśmy posunęli się za daleko.

Dlaczego?

Uznaliśmy, że to na pewno zazdrość.

Zzerało go, że sam nigdy nie pociągnął za spust podczas żadnej bitwy. Nigdy nie brał udziału w walce z nieprzyjacielem.

Więc zamiast tego atakował nas.

Starał się, jak mógł, ale ani razu nie dopatrywał się żadnych nieprawidłowości w naszych akcjach zakończonych czyjąś śmiercią. Uczestniczyłem w sześciu operacjach, podczas których zabiliśmy nieprzyjaciół. Przełożony za każdym razem uznawał, że nasze działania były uzasadnione, choć przecież najchętniej by nas ukrzyżował. Ja również uważałem, że postępowaliśmy bezbłędnie.

Najgorsze w zachowaniu dowódcy eskadry było to, że wykorzystywał nasze realne i w pełni uzasadnione lęki. Wojna w Afganistanie była wojną pomyłek i ogromnych niezamierzonych strat w ludności cywilnej. Tysiące niewinnych ludzi zostało zabitych lub okrutnie okaleczonych; myśl o tym nieustannie nas prześladowała. Odkąd mnie tu przysłano, miałem mocne postanowienie: za każdym razem, kiedy będę się kłaść do łóżka, muszę mieć absolutną pewność, że zrobiłem to, co należało. Że strzelałem wyłącznie do talibskich bojowników, a nie do przypadkowych cywilów. Chciałem wrócić do Wielkiej Brytanii z kompletem kończyn i co ważniejsze, z czystym sumieniem. Wymagało to ogromnej ostrożności. Przez cały czas musiałem kontrolować, co i dlaczego robię.

Większość żołnierzy nie jest w stanie ze stuprocentową pewnością powiedzieć, ilu ludzi zabili. Podczas wojny często strzela się na ślepo. Ale w epoce apache'y i laptopów wszystkie moje działania podczas obu misji zostały zarejestrowane. Dlatego wiem, ilu bojowników zabiłem. Uważałem, że nie wolno mi uciekać od tej liczby. Armia nauczyła mnie wielu rzeczy, zwłaszcza tego, jak ważne jest rozliczanie ludzi z ich obowiązków i pociąganie do odpowiedzialności.

Oto więc moja liczba: dwadzieścia pięć. Nie daje mi ona żadnej satysfakcji, ale też nie czuję wstydu. Oczywiście wolałbym nie mieć jej w aktach wojskowych i w głowie – tak samo jak wolałbym żyć w świecie, w którym talibowie i wojny nie istnieją. Ale – choć czasami oddaję się fantazjom – wiem, że pewnych rzeczy nie można zmienić.

W akcji, we mgle wojny nie myślałem o żadnym z tych dwudziestu pięciu jako o istocie ludzkiej. Nie zdołasz zabić kogoś, w kim widzisz człowieka. Nie zdołasz go nawet skrzywdzić. Byli dla mnie zatem jak pionki. Pozbyłem się ich z szachownicy. Byli Złymi, których trzeba powstrzymać, żeby nie zaatakowali Dobrych. Szkolono mnie, żebym traktował ich jak „innych”. Cóż, szkolenie okazało się skuteczne. Z jednej strony wiedziałem, że ta wyuczona obojętność jest problematyczna. Z drugiej strony uważałem ją za nieusuwalny element żołnierki.

Kolejna rzecz, której nie da się zmienić.

Co nie znaczy, że stałem się robotem. Nigdy nie zapomnę sali telewizyjnej w Eton, tej z niebieskimi drzwiami, w której oglądałem walące się wieże World Trade Center i ludzi skaczących z okien i dachów. Nigdy nie zapomnę ich rodziców, małżonków i dzieci. Poznałem ich w Nowym Jorku. Trzymali zdjęcia swoich mam i tatusiów, którzy zostali zmiażdżeni pod gruzami, spalili się żywcem

lub zmienili w popiół. Ataki z 11 września były haniebne, podłe i nic nie zdoła sprawić, że o nich zapomnę. Sprawcy – a także ich sympatycy, pomocnicy, sojusznicy i następcy – byli wrogami całej ludzkości. Walczyliśmy z nimi, żeby pomścić jedną z najokropniejszych zbrodni w dziejach i nie dopuścić, by się powtórzyła.

Kiedy moja misja zbliżała się ku końcowi, w okolicach świąt Bożego Narodzenia w 2012 roku, miałem wiele pytań i wątpliwości pod adresem wojny, ale nie dotyczyły one kwestii moralnych. Nadal wierzyłem w Wielką Misję. Ani razu nie otworzyłem ognia, jeśli nie byłem absolutnie pewien, że ucierpią wyłącznie nieprzyjaciele. Przykładem noc, kiedy wezwano nas na odsiecz jednostce Gurkhów. Znaleźli się pod ostrzałem talibów, ale kiedy dotarliśmy na miejsce, okazało się, że żaden kanał komunikacji nie działa i zupełnie nie byliśmy w stanie im pomóc. Wspomnienie to nadal mnie prześladowuje. Słyszałem, jak moi gurkhijscy bracia wzywają pomocy przez radio. Myślałem o każdym Gurce, którego znałem i kochałem. A zarazem nie byłem w stanie nic zrobić.

Pakowałem się przed wyjazdem, żegnałem się z chłopakami. Byłem ze sobą szczery: żałowałem wielu rzeczy, ale niczego nie musiałem się wstydić. Żałowałem rzeczy, których nie zrobiłem. I tego, że nie udało mi się pomóc tak wielu Brytyjczykom i Jankesom.

Żałowałem, że robota nie została dokończona.

Przede wszystkim żałowałem, że już pora wracać.

58

Wyładowałem plecak Bergen zakurzonymi ubraniami, zabrałem też dwie pamiątki: dywan kupiony na bazarze i łuskę pocisku 30 milimetrów wystrzelonego z działka apache'a.

Pierwszy tydzień 2013 roku.

Miałem wrócić samolotem razem z innymi żołnierzami, ale najpierw czekało mnie jeszcze jedno zadanie.

Obowiązkowy wywiad.

Dziennikarz, którego wybrano do tego zadania, zapytał, co robiłem w Afganistanie.

Opowiedziałem mu.

Zapytał, czy strzelałem do nieprzyjaciela.

– Słucham? Jasne, że tak.

Zaskoczyło go to, nagle się wyprostował.

Czego się spodziewał? Myślał, że przyjechaliśmy tu sprzedawać prenumeraty czasopism?

Zapytał, czy kogoś zabiłem.

– Tak...

Znów zaskoczenie.

Próbowałem wyjaśnić:

– Koleś, jesteśmy na wojnie.

Zeszło na kwestię moich stosunków z prasą. Powiedziałem mu, że brytyjska prasa jest główniana i że szczególnie brzydzi mnie to, jak dziennikarze traktują mojego brata i szwagierkę, którzy właśnie ogłosili, że spodziewają się dziecka.

– Zasługują teraz na spokój – powiedziałem. – Zamiast tego znaleźli się w stanie oblężenia.

Owszem, ciągnąłem, ojciec błaga mnie, żebym przestał czytać gazety i przejmować się prasą. Przyznałem, że powinienem go posłuchać i czuję się winny, bo podejmując ich grę, tylko im pomagam. Winny jest każdy, kto kupuje gazety. Mam tylko nadzieję, że nikt nie wierzy w to, co piszą.

Ale, rzecz jasna, ludzie wierzyli. I na tym polegał problem. Brytyjskie społeczeństwo jest jednym z najlepiej wykształconych na świecie, a zarazem najbardziej łatwowiernych. Nawet ci, którzy nie nabierali się na wersje wydarzeń przedstawiane w gazetach, myśleli sobie, że coś musi być na rzeczy. Nie ma dymu bez ognia... Mogłeś zdemaskować kłamstwa dziennikarzy, mogłeś wszystko sprostować, przedstawić żelazne dowody, a mimo to brud zawsze pozostawał.

Zwłaszcza jeśli zmyślona historia stawiała cię w niekorzystnym świetle. Ze wszystkich błędów poznawczych efekt negatywności jest najtrudniejszy do pokonania. Tak już działają nasze mózgi. Skupiaj się na negatywnych informacjach, nadawaj im priorytet – nasi przodkowie nie zdołaliby przetrwać, gdyby nie kierowali się tą zasadą. A teraz ów mechanizm jest wykorzystywany przez cholerne gazety.

Chciałem powiedzieć to wszystko dziennikarzowi, ale się powstrzymałem. Nie o tym rozmawialiśmy. Tak naprawdę w ogóle trudno tu mówić o rozmowie. Dziennikarz chciał zmienić temat. Zapytał o Vegas.

Niegrzeczny Harry, co? Hurra Harry.

Pożegnanie z Afganistanem wywoływało we mnie wiele sprzecznych emocji. Ale z tym koleśiem pożegnałem się bez żalu.

Najpierw razem z innymi członkami eskadry zostałem wysłany na Cypr, żebyśmy – jak to ujmowano w wojskowym żargonie – „przeszli dekompresję”. Po zakończeniu poprzedniej misji nie miałem takiej okazji, więc bardzo się na to cieszyłem. Jeszcze bardziej cieszyli się moi ochroniarze.

– No wreszcie! Będziemy mogli się napić zimnego piwa!

Wszystkim wydano po dwie puszki. Nie więcej. Ponieważ nie przepadałem za tą konkretną marką, oddałem mój przydział kumplowi. Zareagował tak, jak gdybym sprezentował mu rolexa.

Zabrano nas na show komediowy. Niby mogliśmy odmówić, ale tak naprawdę nie mogliśmy. Organizatorzy mieli zapewne dobre intencje: trochę śmiechu po pobycie w piekle. Trzeba przyznać, że niektórzy chłopaki się śmiały, ale większość obojętnie potraktowała występy. Przechodziliśmy trudny okres, choć nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy. Musieliśmy uporać się z różnymi wspomnieniami, zaleczyć rany w umyśle, odpowiedzieć sobie na rozmaite pytania egzystencjalne. (Zapewniono nam wsparcie kapelana, gdyby ktoś chciał z nim pogadać, ale o ile mi wiadomo, żaden z chłopaków się do niego nie wybrał). Siedzieliśmy więc w sali, oglądaliśmy show i było tak jak w namiocie, w którym załogi apache'y czekały na wezwanie do akcji. Stan zawieszenia. Oczekiwanie.

Żal mi było komików. Ciężki występ.

Zanim wylecieliśmy z Cypru, ktoś powiedział, że wszystkie gazety o mnie piszą.

Naprawdę?

Wywiad.

Kurwa. Zupełnie zapomniałem.

Najwyraźniej wywołałem duże zamieszanie, bo zabijałem ludzi. Na wojnie.

Poza tym ponoć lekceważąco się do tego odnosiłem.

Rzuciłem mimochodem, że system sterowania śmigłowcem apache przypomina konsolę do gry. Na to prasa: „Harry porównuje zabijanie do gry komputerowej!”.

Cisnąłem gazetą. Gdzie jest ten kapelan?

59

Wysłałem Cress esemesa, że jestem w domu.

Odpisała, że jej ulżyło. Mnie również ulżyło.

Nie byłem pewien, czego się spodziewać.

Chciałem się z nią zobaczyć, mimo to nie robiliśmy żadnych planów. Przynajmniej nie od razu. Był między nami jakiś dystans. Zachowywaliśmy się trochę sztywno.

– Brzmisz inaczej, Harry.

– Nie czuję się inaczej.

Nie chciałem, żeby myślała, że się zmieniłem.

Tydzień później kumple urządzili kolację. Witaj w domu, Spike! Spotkaliśmy się u Arthura. Cress zjawiała się w towarzystwie mojej kuzynki Eugenie, zwanej Euge. Uściskałem je obie, wydawały się zszokowane.

Powiedziały, że wyglądam jak inny człowiek.

Bardziej napakowany? Większy? Starszy?

Tak, tak i tak. Ale było też coś jeszcze. Nie potrafiły tego wyrazić słowami.

Cokolwiek to było, Cressida najwyraźniej się przestraszyła albo zniechęciła.

Zgodnie ustaliliśmy, że nie będziemy traktować tego spotkania jako powrotu. Nie możesz wrócić do kogoś, kogo nie znasz. Jeśli chcieliśmy nadal się spotykać – ja zdecydowanie tego chciałem – musieliśmy zacząć od nowa.

– Cześć, jestem Cress.

– Cześć, jestem Haz. Miło mi cię poznać.

60

Wstawałem każdego ranka, jechałem do bazy, pracowałem, nie sprawiało mi to żadnej przyjemności. Wydawało się bezcelowe.

I nudne. Nudziłem się tak, że aż chciało mi się płakać.

Poza tym po raz pierwszy od pięciu lat nie miałem przed sobą żadnego celu.

Co dalej? zastanawiałem się każdego wieczoru.

Błagałem dowódców, żeby wysłali mnie z powrotem.

– Z powrotem gdzie?

– Na wojnę.

– Bardzo śmieszne – mówili. – Mowy nie ma.

W marcu 2013 roku dostałem informację, że Pałac chce mnie wysłać w kolejną oficjalną podróż, pierwszą od czasu Karaibów. Tym razem do Ameryki.

Cieszyłem się, że przerwę monotonię. Z drugiej strony bałem się wracać na miejsce zbrodni. Spodziewałem się, że czekają mnie niekończące się pytania o bilard w Vegas.

Nie, nie, zapewniał Pałac. To niemożliwe. Minęło już dużo czasu, Wasza Królewska Wysokość był na froncie, wszyscy zapomnieli o Vegas. Teraz Wasza Królewska Wysokość będzie nagłaśniał problemy związane z rekonwalescencją brytyjskich i amerykańskich żołnierzy, którzy odnieśli rany na wojnie. Nikt nie wspomni o Vegas. Przeskoczmy zatem do maja 2013 roku, oglądam zniszczenia wyrządzone przez huragan Sandy w towarzystwie Chrisa Christiego, gubernatora New Jersey. Gubernator wręcza mi w prezencie niebieski polar. Żeby nie biegał nago, objaśnia prasa. Christie zresztą podjął tę grę już wcześniej. Dziennikarz spytał go, co myśli o moim pobycie w Las Vegas, gubernator zapewnił, że kiedy go odwiedzę, „na pewno wszyscy zostaniemy w ubraniach”. Uznano to za świetny dowcip, bo Christie słynie z nadwagi.

Przed wizytą w New Jersey polecałem do Waszyngtonu na spotkanie z prezydentem Barackiem Obamą i pierwszą damą Michelle Obamą. Odwiedziliśmy Cmentarz Narodowy w Arlington, złożyliśmy wieńce na grobie nieznanego żołnierza. Tysiące razy brałem udział w tego rodzaju uroczystościach, ale w Ameryce procedura wygląda inaczej. Nie składasz wieńca osobiście. W twoim imieniu robi to żołnierz w białych rękawiczkach. Potem na moment dotykasz wieńca. Ten dodatkowy element – misja wykonana razem z innym żołnierzem – bardzo mnie poruszył. Na sekundę położyłem dłoń na wieńcu

i zakręciło mi się w głowie, przed oczami ujrzałem twarze mężczyzn i kobiet, z którymi służyłem. Myślałem o śmierci, ranach i żałobie, o tym, co wydarzyło się w prowincji Helmand, o huraganie Sandy, o tunelu Alma. Zastanawiałem się, jak inni ludzie to robią – jakim cudem po prostu żyją dalej, podczas gdy ja wciąż czułem się zagubiony i pełen wątpliwości.

I jeszcze coś.

Co?

Smutek?

Otępienie?

Nie umiałem tego nazwać. A skoro nie umiałem tego nazwać, poczułem zawrót głowy.

Co się ze mną działo?

Wizyta w Ameryce trwała zaledwie pięć dni. Szalone tempo. Tyle widoków i twarzy, tyle pamiętnych chwil. Jednak w drodze powrotnej do domu myślałem tylko o jednym.

Przystanek w Kolorado. Igrzyska o nazwie Warrior Games. Coś w rodzaju olimpiady dla rannych żołnierzy, uczestniczyło w niej dwieście osób. Wszyscy niezwykle mnie inspirowali.

Obserwowałem ich uważnie, widziałem, że są szczęśliwi jak nigdy. Rywalizacja była zacięła. Pytałem: jak wam się to udaje?

Sport, odpowiadali. Najprostsza droga do wyzdrowienia.

Większość z nich od młodości uprawiała rozmaite sporty. Opowiadali, że udział w igrzyskach okazał się niezwykle szansą, by mimo odniesionych obrażeń na nowo odkryć swoje talenty. W rezultacie rany – fizyczne i psychiczne – zniknęły. Może tylko na moment lub na jeden dzień, ale to wystarczało. Jeśli choćby na chwilę pozbedziesz się traumy, traci ona swą moc. Nie ma już nad tobą władzy. Od tej pory przejmuje kontrolę.

Tak, pomyślałem. Łapię.

Dlatego w samolocie do Wielkiej Brytanii zastanawiałem się: czy moglibyśmy urządzić podobne igrzyska u nas? Przy formule nie trzeba za bardzo majstrować, ale może zaprosimy więcej uczestników, uczynimy udział atrakcyjniejszym, bardziej nagłośnimy wydarzenie? Notowałem pomysły na kartce i zanim samolot wylądował, miałem już ogólny plan.

Paraolimpiada dla żołnierzy z całego świata! W Parku Olimpijskim w Londynie, w którym właśnie odbyły się igrzyska.

Kto wie: może przy pełnej współpracy ze strony Pałacu?

Nie będzie o to łatwo. Miałem jednak wrażenie, że udało mi się zgromadzić trochę kapitału politycznego. Mimo Vegas, mimo co najmniej jednego artykułu, w którym zostałem przedstawiony niemal jako zbrodniarz wojenny, mimo że od dawna uchodziłem za „niegrzecznego brata”, Brytyjczycy zdawali się w miarę przychylnie nastawieni do Zastępcy. Uważali, że chyba pomalutką wychodzę na ludzi. Poza tym większość Brytyjczyków pozytywnie odnosiła się do wojskowych, choć mało kto popierał wojnę. Liczyłem zatem, że społeczeństwo na pewno poprze inicjatywę mającą na celu niesienie pomocy żołnierzom i ich rodzinom.

Na początek musiałem przekonać zarząd Royal Foundation, który nadzorował projekty charytatywne prowadzone przeze mnie, Willy'ego i Kate. Fundacja należała do nas, więc powiedziałem sobie: żaden problem.

Do tego sprzyjał mi kalendarz. Wszystko to działo się wczesnym latem 2013 roku, Willy i Kate za kilka tygodni mieli zostać rodzicami i na jakiś czas wycofali się z życia publicznego. Fundacja nie miała teraz żadnych projektów. Jej kapitał – mniej więcej siedem milionów funtów – leżał sobie odłogiem. Gdyby International Warrior Games wypaliły, na pewno poprawiłoby to wizerunek i rozpoznawalność fundacji. Darczyńcy chętniej przekazywaliby pieniądze, kwota na koncie mogłaby zostać pomnożona. Kiedy Willy i Kate wrócą do pracy na pełen etat, będą mieli o wiele więcej kasy do dyspozycji. Zbliżał się dzień spotkania z zarządem, a ja czułem się coraz bardziej pewny sukcesu.

Dzień nadszedł i owa pewność zniknęła. Uświadomiłem sobie, jak bardzo zależy mi na tych zawodach, nie tylko z powodu żołnierzy i ich rodzin, ale jeśli mam być szczery, również dla siebie. Nagły atak nerwów sprawił, że nie wypadłem tak dobrze, jak bym chciał. Mimo to jakoś udało mi się przebrnąć przez prezentację, a zarząd wyraził zgodę.

Potem odezwałem się do Willy'ego. Spodziewałem się, że będzie zachwycony.

Zamiast tego dał wyraz irytacji. Szkoda, że o niczym mnie nie poinformowałeś, oznajmił.

Myślałem, że przekazano ci plany, powiedziałem.

Narzekał, że wyzeruję konto Royal Foundation.

To absurd, wykrztusiłem. Powiedziano mi, że na start wystarczy tylko półmilionowy grant, co stanowiło niewielki ułamek środków fundacji. Poza tym pieniądze pochodziły z założonego przeze mnie funduszu pomocowego dla weteranów. Resztę kosztów mieli pokryć darczyńcy i sponsorzy.

O co tu chodzi? zastanawiałem się.

A potem zrozumiałem. O Boże, rywalizacja między braćmi.

Ukryłem twarz w dłoniach. Naprawdę nadal w to brniemy? Konflikt Następcy z Zastępcą? Nie jesteśmy za starzy na te dziecięce przepychanki?

Zresztą jeśli Willy naprawdę chce ze mną rywalizować, jeśli naprawdę mamy uczestniczyć w jakiejś prywatnej dwuosobowej olimpiadzie, to przecież i tak powinien zdawać sobie sprawę, że wysforował się daleko do przodu i nigdy nie zdołam go dogonić. Ożenił się, zaraz miało mu się urodzić dziecko, a tymczasem ja jadłem żarcie na wynos nad zlewem w kuchni.

I to nie nad własnym zlewem – nadal mieszkałem u taty!

Stary, zawody skończone. Wygrałeś.

61

Spodziewałem się magii. Sądziłem, że szlachetne wyzwanie, jakim była praca nad przygotowaniem International Warrior Games, pozwoli mi płynnie wkroczyć w następną fazę mojego powojennego życia. Ale sprawy wyglądały inaczej. Dzień po dniu czułem się coraz bardziej ospały. Ponury. Zagubiony.

Późnym latem 2013 roku byłem w naprawdę poważnych tarapatach, oscylowałem między otępieniem a koszmarnymi atakami paniki.

Wszystkie moje oficjalne obowiązki miały charakter publiczny: musiałem spotykać się z ludźmi, wygłaszać mowy, udzielać wywiadów. Teraz ledwo radziłem sobie z najprostszymi wystąpieniami. Już kilka godzin przed przemówieniem czy jakąś publiczną uroczystością byłem złany potem. Podczas eventu nie mogłem zebrać myśli, głowę wypełniały mi strach i fantazje o tym, żeby natychmiast dać nogę.

Za każdym razem udawało mi się powstrzymać pragnienie ucieczki. Wiedziałem jednak, że pewnego dnia mogę nad sobą nie zapanować, a wówczas zeskoczę ze

sceny i czym prędzej wybiegnę z sali. Zdawało mi się, że ten dzień już się zbliża. Wyobrażałem sobie również krzyżące nagłówki gazet, co sprawiało, że lęk jeszcze bardziej się nasilał.

Panika przychodziła rano, gdy ubierałem się w garnitur. Dziwne, że właśnie ta czynność działała jak pistolet startowy. Zapinałem koszulę i nagle gwałtownie skakało mi ciśnienie. Wiązałem krawat i czułem, że mam ściśnięte gardło. Kiedy wkładałem marynarkę i wiązałem eleganckie buty, po plecach i policzkach spływał mi pot.

Zawsze byłem nadwrażliwy na ciepło. Mam to po tacie. Często obaj z tego żartowaliśmy. Jesteśmy jak cholerne yeti, mawialiśmy. Nie nadajemy się do życia wśród ludzi. Przykładowo, w jadalni w Sandringham czuliśmy się jak cierpiętnicy z dantejskiego piekła. W innych pomieszczeniach utrzymywano raczej umiarkowane temperatury, ale w jadalni panował klimat podzwrotnikowy. Tata i ja czekaliśmy, aż coś odwróci uwagę babci, a wówczas rzucaliśmy się do okna, żeby choć troszkę je uchylić. „Błogosławione chłodne powietrze”. Niestety, corgi zawsze nas denuncjowały. Zaczynały popiskiwać, a babcia mówiła: „Chyba zrobił się przeciąg”. Na co służący natychmiast zamykał okno. (Towarzyszył temu głośny stuk – rzecz nieuchronna, bo okna były bardzo stare. Zawsze kojarzył mi się z hałasem zamykanych drzwi celi). Teraz przed każdym wystąpieniem publicznym, nieważne, gdzie się ono odbywało, czułem się jak w jadalni w Sandringham. Podczas jednego z przemówień zgrzałem się wręcz nieprawdopodobnie; byłem pewien, że wszyscy to widzą, że zaraz zaczną to komentować. Innym razem, podczas cocktail party, rozpaczliwie rozglądałem się za drugą osobą, której jest tak samo gorąco. Potrzebowałem dowodu, że nie tylko ja tak reaguję.

Ale nikt inny nie czuł się zgrzany.

W przypadku stanów lękowych często dochodzi do przerzutów i tak samo było ze mną. Wkrótce panika pojawiała się nie tylko przed oficjalnymi wystąpieniami, ale też we wszelkiego rodzaju miejscach publicznych. A także w tłumie. Zacząłem lękać się bycia wśród ludzi.

Najbardziej bałem się aparatów fotograficznych. Oczywiście, nigdy ich nie lubiłem, teraz jednak nie mogłem ich znieść. Kliknięcia nieomylnie oznaczające otwarcie przesłony... Sam ten dźwięk potrafił sprawić, że przez resztę dnia byłem kompletnie roztrzęsiony.

Nie miałem wyboru: przestałem wychodzić z domu. Dzień w dzień, noc w noc siedziałem w pokoju, jadłem żarcie na wynos i oglądałem *24 godziny* albo *Przyjaciół*. Wydaje mi się, że do końca 2013 roku zaliczyłem wszystkie odcinki tego sitcomu.

Uznałem, że jestem Chandlerem.

Moi prawdziwi przyjaciele czasami mówili mimochodem, że nie wydaję się sobą. Jak gdybym złapał przeziębienie. Niekiedy dawało mi to do myślenia. Może faktycznie nie jestem sobą? Czyżby właśnie w tym tkwił problem? Może przechodzę jakąś przemianę? Pomału wyłania się moje nowe ja. Nowy człowiek, wiecznie przełknięty, którym będę już do końca życia.

A może zawsze taki byłem, a teraz po prostu moja natura dała o sobie znać, moja psychika znalazła swój naturalny stan?

W poszukiwaniu odpowiedzi zagłębiałem się w czeluści Google'a, wpisywałem moje objawy w rozmaitych wyszukiwarkach medycznych. Próbowałem sam postawić diagnozę, nazwać problemy – a przecież rozwiązanie zagadki było oczywiste. Spotkałem niezliczonych żołnierzy, niezliczonych młodych mężczyzn i kobiet cierpiących z powodu stresu pourazowego. Opowiadali mi, że boją się wychodzić z domu, że źle czują się wśród innych ludzi, że przebywanie w miejscach publicznych jest dla nich torturą, zwłaszcza jeżeli panuje tam hałas. Mówili, że starannie planują zakupy w supermarkecie: przychodzą kilka minut przed zamknięciem, żeby uniknąć tłumów i zgiełku. Nigdy nie pomyślałem, że ja również zmagam się ze stresem pourazowym. Współpracowałem z rannymi żołnierzami i weteranami, próbowałem zorganizować imprezę sportową, by nagłośnić nękające ich problemy, nie przyszło mi jednak do głowy, że sam jestem żołnierzem przetrąconym przez los.

Moja wojna nie zaczęła się w Afganistanie.

Zaczęła się w sierpniu 1997 roku.

Pewnego wieczoru zatelefonowałem do Thomasa, brata mojego ukochanego kumpla Hennersa. Thomas był niesamowicie dowcipny. Thomas miał zaraźliwy śmiech.

Thomas był żywą pamiątką lepszych czasów.

Zadzwoiłem do niego z Clarence House, siedziałem na podłodze w pokoju z telewizorem. Pewnie oglądałem *Przyjaciół*.

– Hej, Boose, co porabiasz?

Zaśmiał się. Nikt inny nie zwracał się do niego Boose.

– Harr-eese! Cześć!

Uśmiechnąłem się. Nikt inny nie zwracał się do mnie Harr-eese.

Powiedział, że właśnie wraca do domu po jakiejś biznesowej kolacji. Cieszył się, że ma z kim pogadać po drodze.

Jego głos, tak podobny do głosu Hennersa, od razu przyniósł mi ulgę. Poczuję się szczęśliwy, choć w życiu Thomasa nie układało się najlepiej. Przechodził trudny okres. Rozwodził się, miał też inne problemy.

Rozmowa nieuchronnie potoczyła się w stronę problemu numer jeden, źródła wszystkich pozostałych. Henners. Thomas strasznie tęsknił za bratem. Ja też tęsknię, powiedziałem. Rany, jak bardzo za nim tęsknię.

Podziękował mi, że wygłosiłem przemówienie na evencie, podczas którego zbieraliśmy pieniądze na fundację imienia Hennersa.

– Jasna sprawa. Od czego ma się *przyjaciół*.

Wspominaliśmy różne małe chwile. Thomas i Henners, Willy i ja, sobotnie poranki, lenimy się razem z mamą, oglądamy telewizję, urządzamy sobie w piątkę konkurs bekania.

– Zachowywała się jak nastoletni chłopak!

– Święta prawda, stary.

Wizyta z mamą u Andrew Lloyd Webbera.

Henners i ja wystawiający gołe tyłki do kamery monitoringowej w Ludgrove.

Obaj się roześmieliśmy.

Thomas przypomniał mi pewien szczegół z dzieciństwa: Henners i ja byliśmy tak nierozłączni, że ludzie mówili o nas Jack i Russell. Może dlatego, że Willy i ja mieliśmy teriery tej rasy? Zamyśliłem się. Gdzie teraz jest Henners? Czy jest razem z mamą? Z poległymi w Afganistanie? Czy jest tam też bunia? Z rozmyślań wyrwał mnie nagle krzyk Thomasa.

– Boose, stary, wszystko okej?

Agresywne krzyki, szarpanina. Włączyłem tryb głośnomówiący, popędziłem do pokoju, w którym siedzieli ochraniający mnie policjanci. Krzyknąłem, że kumpel ma kłopoty. Nachyliliśmy się nad telefonem, ale połączenie zostało przerwane.

Domyśliłem się, co się stało: Thomas został obrabowany. Na szczęście podczas rozmowy wspomniał nazwę restauracji w Battersea, z której dopiero co wyszedł. Ponieważ wiedziałem, gdzie mieszka, sprawdziliśmy na mapie, jaką trasą mógł wracać do domu. Trasa okazała się oczywista. Natychmiast pojechaliśmy tam z kilkoma ochroniarzami, znaleźliśmy Thomasa. Leżał przy drodze niedaleko Albert Bridge. Został pobity, był mocno wstrząśnięty. Zabraliśmy go na najbliższy komisariat, żeby złożyć zeznania, potem odwieźliśmy go do domu.

Po drodze podziękował mi za ratunek.

Objąłem go mocno. „Od czego ma się przyjaciół”.

63

Przydzielono mi biurko w bazie lotniczej Wattisham. Nienawidziłem go. Nigdy nie chciałem mieć biurka, nie mogłem go znieść. Mój ojciec uwielbiał swoje biurko, wydawał się do niego przyklejony. Najlepiej czuł się, kiedy otaczały go książki i sterty listów. Ja byłem zupełnie inny.

Dostałem też nowe zadanie: miałem pogłębiać wiedzę na temat apache'y. Armia planowała zapewne, że zostanę instruktorem. Liczyłem, że uczenie innych, jak pilotować śmigłowiec, okaże się fajną pracą.

Myliłem się. Na pewno nie było to moje powołanie.

Znowu zaproponowałem, żeby wysłano mnie na front. Znowu stanowczo mi odmówiono. Poza tym pomału wycofywaliśmy się z Afganistanu.

Tymczasem w Libii robiło się gorąco. Może wyślecie mnie tam?

Nie, powiedziała armia. Odmówiła mi na wszelkie sposoby, oficjalne i nieoficjalne.

Wszyscy mają dość Harry'ego na froncie.

Na koniec typowego dnia pracy wyjeżdżałem z Wattisham i wracałem do pałacu Kensington. Nie mieszkałem już u taty i Camilli: przydzielono mi kilka pokoi w suterenie. Czyli częściowo pod ziemią.

W mieszkaniu były trzy wysokie okna, ale wpadało przez nie dość niewiele światła, toteż z trudem odróżniałem poranek od wieczora i południa. Czasami zresztą w ogóle nic nie widziałem, bo pan R., który mieszkał bezpośrednio nade mną, lubił parkować swojego ogromnego szarego land rovera tuż przy oknach i zasłaniać mi cały widok.

Napisałem liścik z uprzejmą prośbą, żeby przestawił auto kawałek do przodu. Natychmiast odpisał, że mam spadać. Potem poszedł do babci i poprosił, żeby go wsparła.

Babcia nigdy nie poruszyła tego tematu w rozmowie ze mną, ale fakt, że pan R. czuł się na tyle dobrze umocowany, by donieść na mnie królowej, uświadomił mi, jakie miejsce zajmuję w porządku dziobania. Pan R. był jednym z masztalerzy babci.

Powinienem walczyć, powiedziałem sobie. Powinienem skonfrontować się z gościem twarzą w twarz. Potem jednak uznałem, że nie chcę tego robić. Mieszkanie w suterenie i ciemność w południe dobrze pasowały do mojego nastroju.

Poza tym pierwszy raz w życiu mieszkałem sam, nie u taty, więc w gruncie rzeczy nie miałem się na co uskarżać.

Pewnego dnia zaprosiłem kumpla. Powiedział, że moje mieszkanie przypomina borsuczą norę. A może ja to powiedziałem? Nie pamiętam, w każdym razie była to święta prawda.

Rozmawialiśmy, popijaliśmy, kiedy nagle ujrzałem za oknem prześcieradło: ktoś zwiesił je z wyższego piętra i zaczął nim potrząsać. Kumpel wstał, podszedł do okna.

– Spike, co do...?

Z prześcieradła spadało coś, co wyglądało jak... brązowe konfetti?

Nie.

Brokat?

Nie.

Kumpel powiedział:

– Spike, to chyba włosy.

Miał rację. Pani R. ostrzygła jednego ze swoich synów, a potem wytrzepała za oknem prześcieradło, które wcześniej rozłożyła na podłodze. Problem w tym, że moje okna były otwarte, a do tego wiało. Włosy powpadały do mojego mieszkania. Były wszędzie, krztusiliśmy się nimi, przyklepiały się nam do języków. Zaśmialiśmy się.

Reszta włosów posypała się na wspólny ogródek, na kwitnące właśnie miętę i rozmaryn.

Przez kilka dni układałem w głowie ostry list do pani R. Nigdy go nie wysłałem. Wiedziałem, że nie zrobiła tego umyślnie. Poza tym moja antypatia do niej miała w rzeczywistości inną przyczynę. Pani R. dopuściła się jeszcze gorszej zbrodni motoryzacyjnej niż jej mąż: codziennie parkowała samochód na miejscu, które kiedyś należało do mamy.

Nadal widzę to oczyma wyobraźni. Auto pani R. zatrzymuje się tam, gdzie dawniej stało zielone bmw mamy. Wiedziałem, że to głupota, ale z jakiegoś powodu nie umiałem wybaczyć pani R.

64

Zostałem stryjkiem. Willy i Kate powitali na świecie George'a, swojego pierworodnego. Był przepiękny. Nie mogłem się doczekać, żeby uczyć go zasad gry w rugby, historii bitwy pod Rorke's Drift, pilotowania śmigłowca, Korytarzowego Krykieta. Przy okazji zamierzałem udzielić mu kilku rad na temat tego, jak przetrwać, kiedy żyje się w akwarium.

Dziennikarze jednak wykorzystali tę radosną okazję, żeby pytać mnie, czy jestem nieszczęśliwy.

Że co?

Po narodzinach dziecka spadłem o jedno miejsce w kolejce do tronu, byłem teraz czwarty, a nie trzeci. Kiepska sprawa, mówili dziennikarze.

– Chyba żartujecie.

– No, Wasza Królewska Wysokość na pewno ma jakieś obawy, prawda?

– Bynajmniej, nie mógłbym być szczęśliwszy.

Nie do końca.

Strasznie cieszyłem się z dobrych nowin Willy'ego i Kate, a moje miejsce w kolejce do tronu ani trochę mnie nie obchodziło.

Poza tym jednak nie byłem szczęśliwy. Ani trochę.

65

Angola. Pojechałem do tego rozdartego wojną kraju z oficjalną wizytą i odwiedzałem miejsca, w których codzienne życie było wyjątkowo trudne z powodu wszechobecnych min lądowych, w tym miasto uchodzące za najgęściej zaminowany kawałek Afryki.

Sierpień 2013 roku.

Miałem na sobie strój ochronny, taki sam, jaki nosiła moja matka podczas swojej historycznej wizyty w Angoli. Przyjechała tam na zaproszenie organizacji charytatywnej Halo Trust; ja również z nią współpracowałem. Sfrustrowały mnie doniesienia szefa i pracowników terenowych fundacji, że ich działalność, którą matka próbowała nagłośnić, a także zapoczątkowana przez matkę globalna kampania stanęły w miejscu. Brak środków finansowych, brak woli politycznej.

Pod koniec życia mamy właśnie ta sprawa była dla niej najważniejsza. (W sierpniu 1997 roku, trzy tygodnie przed Paryżem, pojechała do Bośni i Hercegowiny). Wiele osób nadal pamięta, jak weszła na pole minowe. Jak za pomocą zdalnego urządzenia odpaliła ukryty ładunek wybuchowy i oznajmiła dzielnie: Jeden usunięty, zostało jeszcze siedemnaście milionów. Marzył jej się świat, w którym nie będzie min lądowych. Wizja ta wydawała się wówczas bliska urzeczywistnienia. Potem jednak ludzkość zaczęła się cofać.

Przejąłem pałeczkę. Sam także miałem okazję zdetonować minę i poczułem jeszcze większą bliskość z mamą. Dało mi to siłę i nadzieję – ale tylko na chwilę. Ogólnie rzecz biorąc, czułem, że jeśli chodzi o mój stan emocjonalny i psychiczny, każdego dnia stąпам po polu minowym. Nigdy nie wiedziałem, kiedy nastąpi kolejna eksplozja paniki.

Po powrocie do Wielkiej Brytanii znowu zacząłem poszukiwania. Rozpaczliwie chciałem ustalić przyczynę i możliwe sposoby leczenia. Zwierzyłem się nawet tacie:

– Tato, mam poważny problem z atakami paniki i lęku.

Wysłał mnie do lekarza. Miło z jego strony, ale był to lekarz rodzinny. Brakowało mu specjalistycznej wiedzy, nie miał żadnych nowych pomysłów. Chciał zapisać mi pigułki.

Nie zamierzałem łykać pigułek.

Przynajmniej dopóki nie spróbuję wszystkich innych sposobów, w tym homeopatii. Podczas poszukiwań w internecie dowiedziałem się, że wiele osób zaleca magnez. Podobno działał uspokajająco. Owszem, działał. Ale przyjmowany w dużych ilościach miał też nieprzyjemny skutek uboczny, a mianowicie powodował biegunkę. Mocno dało mi się to we znaki na ślubie kumpla.

Pewnego wieczoru podczas kolacji w Highgrove długo rozmawiałem z tatą o moich problemach. Opisałem je szczegółowo, opowiedziałem różne historie. Pod koniec spuścił wzrok i powiedział cicho:

– To zapewne moja wina. Powinienem być ci zapewnić odpowiednią pomoc już wiele lat temu.

Odparłem, że nie jest winien. Mimo to doceniłem jego przeprosiny.

Nadchodziła jesień, moje lęki przybierały na sile, chyba również z powodu nadchodzących urodzin. Ostatnich przed trzydziestką. Oto resztki mojej młodości, pomyślałem. Męczyły mnie wszystkie typowe wątpliwości i lęki, zadawałem sobie typowe pytania. Kim jestem? Dokąd zmierzam? Było to najzupełniej normalne – gdyby nie prasa, która cały czas mi wtórowała: „Dlaczego książę Harry nie chce sobie znaleźć żony?”.

Wyciągnęli wszystkie moje związki, rozpisywali się o każdej dziewczynie, z którą kiedykolwiek mnie widziano, i zatrudnili „ekspertów” – a tak naprawdę kompletnych szarlatanów – żeby wyjaśnili, jak to jest z moim życiem uczuciowym. W książkach na mój temat poświęcano mu wiele uwagi, skupiano się na każdej porażce miłosnej, na każdej nieudanej znajomości. Jeśli dobrze pamiętam, w jednej z książek szczegółowo opisywano mój flirt z Cameron Diaz. Harry nie widział się w roli jej partnera, stwierdził autor. Rzeczywiście, nie widziałem się w tej roli, bo nigdy nie spotkałem Cameron Diaz. Jeszcze jeden dowód, że jeśli lubicie czytać brednie, powinniście sięgnąć po biografie osób z rodziny królewskiej.

Za wszystkimi tymi nieszczerymi obawami o moją przyszłość kryło się coś jeszcze. Małżeństwo jest fundamentem monarchii. Przez setki lat wielkie kontrowersje wokół królów i królowych dotyczyły przede wszystkim tego, kogo

poślubili, a kogo nie i czy doczekali się potomstwa. Bez ślubu nie było się pełnoprawnym członkiem rodziny królewskiej, a nawet pełnowartościową istotą ludzką. To nie przypadek, że babcia, głowa państwa w szesnastu krajach, rozpoczynała każde przemówienie słowami: „Mój mąż i ja...”. Kiedy Willy i Kate wzięli ślub, otrzymali tytuły księcia i księżnej Cambridge, ale, co ważniejsze, utworzyli nowy dwór królewski. Uprawniało ich to do liczniejszego personelu, dodatkowych samochodów, większego domu, bardziej okazałego biura, większych pieniędzy oraz papeterii z eleganckim nagłówkiem. Nie obchodziły mnie takie profity, obchodził mnie szacunek. Jako kawaler byłem outsiderem. Byłem nikim w mojej własnej rodzinie. Istniał tylko jeden sposób, żeby to zmienić: musiałem się chajtnąć.

Właśnie dlatego moje dwudzieste dziewięte urodziny były kamieniem milowym, ale czasami przyprawiły mnie o ciężką migrenę.

Bałem się na samą myśl o następnych, trzydziestych urodzinach. Wtedy to już naprawdę będzie po dacie przydatności do spożycia. Do tego dochodziła kwestia spadku. Po przekroczeniu trzydziestki miałem otrzymać sporą kwotę pieniędzy, które zapisała mi mama. Łajałem się, że jestem z tego powodu ponury: przecież większość ludzi była gotowa zabić, byle odziedziczyć taką forszę. Ja jednak traktowałem spadek jako jeszcze jedną rzecz, która przypominała mi o braku mamy, o pustce, którą po sobie pozostawiła. Funty i euro nie mogły tej pustki zapełnić.

Uznałem, że najlepiej będzie gdzieś wyjechać, uciec od urodzin, uciec od wszystkiego. Postanowiłem, że dla uczczenia rocznicy mojego pojawienia się na świecie odbędę podróż aż na jego koniec. Byłem już na biegunie północnym, teraz udam się na biegun południowy.

Kolejna wyprawa w towarzystwie weteranów z *Walking With The Wounded*.

Ludzie ostrzegali, że na biegunie południowym jest jeszcze zimniej niż na północnym. Śmiałem się. Co z tego? Zresztą zaliczyłem już odmrożenie penisa, a więc najgorszy możliwy scenariusz mam za sobą.

Ponadto tym razem wiedziałem, jak się przygotować. Potrzebowałem lepiej przylegającej bielizny i więcej warstw ubrania. Co najlepsze, bliski przyjaciel zatrudnił krawcową, żeby uszyła mi na miarę specjalną poduszkę na kutasa. Była kwadratowa, zapewniała dobre wsparcie, zrobiono ją z kawałków mięciutkiego polaru i...

Dobra, chyba już łapiecie.

66

W okresie przygotowań do wyprawy na biegun spotkałem się z moim nowym prywatnym sekretarzem. Nazywał się Ed Lane Fox, więc wszyscy mówiliśmy na niego Elf.

Listopad 2013 roku.

Służył niegdyś w Kawalerii Przybocznej, był szczupły i wysportowany, dobrze ubrany, elegancki. Wielu ludziom przypominał Willy'ego, ale raczej z powodu wysokiego czoła, a nie osobowości. Mnie z kolei kojarzył się z psem wyścigowym, bo niczym chart nigdy nie porzucał biegu. Goniłby za królikiem do końca wieczności. Mówiąc inaczej, jeśli tylko poświęcił się jakiejś Sprawie, był jej całkowicie oddany.

Jego największy talent polegał na tym, że zawsze potrafił dostrzec sedno, zredukować sytuację lub problem do podstawowych elementów, co czyniło go idealnym pomocnikiem w realizacji mojego ambitnego pomysłu zorganizowania International Warrior Games.

Ponieważ mamy już trochę pieniędzy, radził Elf, powinniśmy znaleźć osobę o nieprzeciętnych talentach menedżerskich, a także dobrych koneksjach towarzyskich i politycznych, zdolną podjąć się tak wielkiego wyzwania. Miał już nawet kandydata.

Był nim sir Keith Mills.

No jasne! powiedziałem. Sir Keith organizował Igrzyska Olimpijskie w Londynie w 2012 roku, które okazały się niesamowitym sukcesem.

Trudno o lepszego człowieka.

– Zaprośmy sir Keitha do pałacu Kensington na herbatę.

67

Znam ten salon tak dobrze, że mógłbym z pamięci zbudować jego model: dwa duże okna, niewielka czerwona sofa, żyrandol, który zapewnia delikatne światło, na

ścianie obraz olejny przedstawiający konia. Wiele razy odbywałem tu rozmaite zebrania, kiedy jednak tamtego dnia przekraczałem próg, czułem, że będzie to jedna z najważniejszych chwil mojego życia. Właśnie dlatego salon wrył mi się w pamięć.

Próbowałem być spokojny i opanowany, wskazałem sir Keithowi fotel, zapytałem, jaką herbatę woli.

Po kilku minutach swobodnej pogawędki przedstawiłem sprawę.

Wysłuchał wszystkiego uprzejmie, patrząc na mnie oczami drapieżnika, ale kiedy skończyłem, zaczął się krygować.

Pomysł brzmi wspaniale, stwierdził, ale zaraz dodał, że niestety, przeszedł już w zasadzie na emeryturę. Próbuje ograniczać liczbę projektów, którymi się zajmuje, Wasza Królewska Wysokość na pewno rozumie. Chce wieść spokojniejsze życie, skupić się na swoich pasjach, głównie żeglarstwie. Regaty o Puchar Ameryki i tak dalej.

Zresztą następnego dnia wyjeżdża na wakacje.

Jak nakłonić człowieka, który za moment udaje się w podróż, żeby zakasał rękawy i podjął się niewykonalnego projektu?

Nie ma sposobu, pomyślałem.

Ale przecież Warrior Games sprowadzały się do jednego: nie poddawaj się.

Dlatego postanowiłem przeczyć naprzód. Namawiałem go i namawiałem, opowiadałem mu o żołnierzach, których znam, przytaczałem ich historie, podzieliłem się też fragmentem własnej. Rzadko zdarzało się, żebym zdał komuś tak szczegółową relację z mojego pobytu na wojnie.

Widziałem, że mój zapał i entuzjazm pomału przełamują opór sir Keitha.

Zmarszczył brwi.

– Cóż... Kogo Wasza Królewska Wysokość ma już na pokładzie?

Spojrzałem na Elfa, Elf spojrzał na mnie.

– Na tym właśnie polega piękno sytuacji. Widzi pan, sir Keith, jest pan pierwszą osobą, do której się zwracamy.

Zaśmiał się.

– Bardzo sprytnie.

– To święta prawda. Jeśli pan chce, może pan zwerbować swoją starą ekipę. Będzie pan mógł zatrudnić, kogo tylko pan chce.

Mówiłem zupełnie szczerze. Jak dotąd nie udało nam się nakłonić nikogo do współpracy, więc sir Keith miałby absolutną *carte blanche*. Mógł stworzyć sobie zespół, ściągnąć wszystkich ludzi, którzy przyczynili się do sukcesu olimpiady.

Skinął głową.

– Kiedy mają się odbyć zawody?

– We wrześniu.

– Słucham?

– We wrześniu.

– Za dziesięć miesięcy?

– Właśnie tak.

– Nie ma mowy.

– Inny termin nie wchodzi w grę.

Chciałem, żeby zawody zbiegły się w czasie z obchodami setnej rocznicy wybuchu I wojny światowej. Uważałem to za absolutnie konieczne.

Sir Keith westchnął, obiecał, że się zastanowi.

Wiedziałem, że oznacza to zgodę.

68

Kilka tygodni później poleciałem na Antarktydę. Wylądowałem w stacji polarnej Nowołazarewskaja: była to niewielka wioska składająca się z kilku przenośnych budynków. Nieliczni mieszkańcy okazali się wspaniałymi gospodarzami. Zapewnili mi dach nad głową i wyżywienie. Robili fenomenalne zupy, brałem dokładkę za dokładką.

Może dlatego, że było trzydzieści pięć stopni poniżej zera?

– Więcej gorących nudli z kurczakiem, Harry?

– Poproszę.

Moi towarzysze i ja przez dobre dwa tygodnie ładowaliśmy w siebie węglowodany i szykowaliśmy się do wyprawy. No i oczywiście piliśmy duże ilości

wódki. Wreszcie pewnego skacowanego poranka wyruszyliśmy w drogę. Poleciliśmy samolotem na lodowiec, zatrzymaliśmy się, żeby zatankować. Samolot wylądował na płaskim lodowym polu i poczułem się niczym we śnie. Jak okiem sięgnąć, widziałem tylko biel i kilka ogromnych beczek z paliwem. Kiedy piloci napełniali bak, postanowiłem na chwilę wysiąść. Cisza zdawała się wręcz święta: nie śpiewały ptaki, nie warczały samochody, nie szumiały drzewa. Zarazem brak hałasu był tylko częścią wszechogarniającej pustki. Żadnych zapachów, żadnego wiatru, żadnych krawędzi ani kantów, żadnych punktów orientacyjnych wśród niekończącego się, niesamowicie pięknego białego pejzażu. Odszedłem kawałek na bok, żeby побыć przez chwilę sam. Nigdy nie znalazłem się w tak spokojnym miejscu. Dałem się porwać radości i stanąłem na rękach. Długie miesiące lęku odpłynęły... Ale tylko na kilka minut.

Wróciliśmy do samolotu, udaliśmy się na lądowisko, które było punktem startowym naszego trekku. Zaczęliśmy iść i dopiero wtedy sobie przypomniałem: a tak, mam złamany palec u nogi.

Stało się to dość niedawno. Weekend z chłopakami w Norfolk. Piliśmy, paliliśmy, imprezowaliśmy do samego rana, a potem, kiedy próbowaliśmy doprowadzić pokój do porządku, upuściłem sobie na stopę ciężki fotel na mosiężnych kółkach.

Głupi uraz, ale strasznie uciążliwy. Ledwo szedłem. Trudno, przysięgłem sobie, że nie zawiodę moich towarzyszy.

Jakimś cudem dotrzymywałem im tempa. Szliśmy przez dziewięć godzin dziennie, ciągnęliśmy sanie ważące około stu kilogramów. Śnieg stawiał opór, dla mnie jednak największym wyzwaniem były zastrugi, nieregularne bruzdy utworzone przez wiatr. Trek po zastrugach ze złamanym palcem u nogi? Może powinna to być jedna z dyscyplin International Warrior Games? Ilekroć jednak kuśiło mnie, żeby trochę pomarudzić, patrzyłem na towarzyszy i od razu brałem się w garść. Przede mną szedł Duncan, szkocki żołnierz, który stracił obie nogi. Za mną Ivan, Amerykanin, zupełnie ślepy. Obiecałem sobie: żadnego jojczenia.

Poza tym przed wyjazdem rozmawiałem z doświadczonym polarnikiem, który poradził mi, żebym wykorzystał trek jako okazję do „wyczyszczenia twardego dysku”. Właśnie takiego sformułowania użył. Wykorzystaj powtarzalność ruchów, wykorzystaj mróz i nicość, wyjątkową pustkę krajobrazu. Skup uwagę, a wówczas wpadniesz w trans. Wędrówka stanie się medytacją.

Posłuchałem jego rad. Powtarzałem sobie, że muszę być obecny tu i teraz. Stań się śniegiem, stań się zimnem, stań się każdym krokiem. Podziało. Wpadłem w najwspanialszy trans i nawet gdy moje myśli stawały się czarne i nieprzyjemne, mogłem się od nich oddzielić, poczekać, aż odpłyną. Czasami patrzyłem, jak łączą się z innymi. Nagle zaczynały mieć sens. Wspominałem inne trudne sytuacje, gdy musiałem iść do przodu. Wyprawa na biegun północny, ćwiczenia w wojsku, kroczenie za trumną mamy. Były to bolesne wspomnienia, zarazem jednak zapewniały mi poczucie ciągłości, pozwalały dostrzec, że moja historia układa się w całość. Bo życie to długi marsz. Jest cudowne. I wszystko w nim wiąże się ze wszystkim...

Potem pojawiły się zawroty głowy.

Biegun południowy jest położony jakieś trzy tysiące metrów nad poziomem morza, więc podczas wędrówki grozi ci choroba wysokościowa. Jeden z naszych towarzyszy już wcześniej musiał zostać ewakuowany. Teraz zrozumiałem dlaczego. Zaczęło się od lekkiego dyskomfortu, który zignorowałem. A potem naprawdę mnie trzępnęło. Kręciło mi się w głowie, dostałem koszmarnej migreny, czułem, że pod czaszką rośnie mi ciśnienie. Nie chciałem przerywać marszu, ale decyzja nie należała do mnie. Moje ciało oznajmiło: dzięki, tu wysiadam. Kolana się pode mną ugięły.

Runąłem na śnieg.

Sanitariusze rozbili namiot, ułożyli mnie na plecach, podali zastrzyk na migrenę. Chyba w pośladek. Mówili coś o sterydach. Kiedy się ocknąłem, poczułem się trochę lepiej. Dogoniłem resztę grupy, znowu próbowałem wejść w trans.

Stań się zimnem, stań się śniegiem...

Kiedy zbliżaliśmy się do bieguna, byliśmy idealnie zsynchronizowani i czuliśmy euforię. Mimo oszronionych rzęs widzieliśmy cel, już tam, niedaleko. Zaczęliśmy biec.

– Stać!

Przewodnicy oznajmili, że czas rozbić obóz.

– Obóz? Że co? Przecież meta jest tak niedaleko!

– Nie wolno wam obozować na samym biegunie. Musimy rozbić obóz tutaj, na biegun ruszymy jutro rano.

Z podniecenia nie mogliśmy spać, a skoro tak, pozostawało tylko urządzić imprezę. Piliśmy, dogadywaliśmy sobie. Na samym dole świata było głośno od naszego śmiechu.

Aż wreszcie z samego rana 13 grudnia 2013 roku wyruszyliśmy i zdobyliśmy biegun. Zastaliśmy tam krąg flag dwunastu państw, które podpisały Układ Antarktyczny. Patrzyliśmy na nie zmęczeni, pełni ulgi, zdezorientowani. „Dlaczego na trumnie jest Union Jack?” Padliśmy sobie w objęcia. Prasa pisała później, że jeden z żołnierzy odpiął protezę nogi i piliśmy z niej szampana. Nie pamiętam tego, ale brzmi całkiem prawdopodobnie. Piłem w życiu z wielu sztucznych kończyn, więc tego rodzaju wspomnienia trochę zlewają się w mojej głowie.

Obok flag stał spory budynek, jeden z najszpetniejszych, jakie kiedykolwiek widziałem, pudełko bez okien mieszczące stację badawczą postawioną przez Amerykanów. Architekt, który zaprojektował tę szkaradę, musiał nienawidzić ludzkości, planety i bieguna. Serce mi pękało na widok tak brzydkiego budynku psującego dziewiczy krajobraz. Mimo to razem z pozostałymi pospieszyłem do środka, żeby się ogrzać, wysikać i napić kakao.

Stłoczyliśmy się w sporej stołówce, bo wszyscy byliśmy wygłodniali. Sorry, usłyszeliśmy, stołówka jest nieczynna.

– Możemy wam zaproponować wodę.

– Wodę? A, okej.

Wypiliśmy po szklance.

Oprócz tego każdy z nas dostał pamiątkę: zakorkowaną probówkę.

Widniała na niej etykieta z napisem: NAJCZYSTSZE POWIETRZE NA ŚWIECIE.

Prosto z bieguna południowego udałem się do Sandringham.

Boże Narodzenie z rodziną.

Do babci zjechało się mnóstwo ludzi, więc przydzielono mi maleńki pokój w ciasnym korytarzu na zapleczu, gdzie mieściły się biura dworzan. Nigdy wcześniej tam nie nocowałem, zresztą w ogóle rzadko kiedy bywałem w tej części rezydencji. (Nie ma się co dziwić. Rezydencje babci są ogromne, na ich eksplorację

można by poświęcić całe życie). Podobało mi się, że będę mógł poznać nieznaną terytoria – byłem przecież doświadczonym polarnikiem. Zarazem czułem się trochę niedoceniony. Niekochany. Ześlany na odludzie.

Powiedziałem sobie, że warto potraktować to jako dar losu: w mojej klitce mogłem jeszcze przez jakiś czas cieszyć się spokojem, który znalazłem na biegunie, i uniknąć zaśmiecania twardego dysku.

Niestety, moją rodzinę zaatakował groźny malware.

Miało to głównie związek z Dworskim Bilansem, czyli przygotowywanym raz do roku dokumentem, w którym wymieniano wszystkie „oficjalne obowiązki” wypełnione przez każdego członka rodziny królewskiej w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy. Diabelska rzecz. Prasa chętnie korzystała z tych wyliczeń, żeby publikować porównania.

– Ten jest bardziej pracowity niż tamta.

– A ten to leniwy gnojek.

Dworski Bilans przygotowywano od niepamiętnych czasów, ostatnio zaś stał się bronią, którą wykorzystywali przeciwko sobie członkowie mojej rodziny. Nie był przyczyną ich skłonności do rywalizowania ze sobą, ale z pewnością ową skłonność nasilił. Nigdy o nim nie wspominaliśmy i paradoksalnie z tego powodu napięcie niepostrzeżenie rosło, w miarę jak zbliżał się ostatni dzień roku. Niektórzy członkowie rodziny wpadali w obsesję, gorączkowo zabiegali o to, żeby w Bilansie uwzględniono absolutnie wszystkie uroczystości i spotkania, w których brali udział – nawet jeśli nie miały one nic wspólnego z wypełnianiem oficjalnych obowiązków. Zgłaszali totalne bzdety, jakich Willy i ja w życiu nie umieścilibyśmy w tego rodzaju dokumencie. Właśnie dlatego Dworski Bilans był tak naprawdę idiotyczny. Opierał się na informacjach, które dostarczali sami zainteresowani, kierujący się subiektywnymi kryteriami. Dziewięć prywatnych spotkań z weteranami, pomaganie im w odzyskaniu zdrowia psychicznego? Zero punktów. Szybki wypad śmigłowcem, żeby przeciąć jakąś wstęgę w stadninie koni? Mamy zwyciężcę!

Główny powód, dla którego Dworski Bilans kompletnie rozmijał się z rzeczywistością i służył machlojkom, był następujący: nikt z nas nie mógł samodzielnie ustalać, ile weźmie na siebie obowiązków. Decydowali o tym babcia i tata, bo to oni przydzielali nam środki – czyli głównie pieniądze. Wszystko

sprowadzało się właśnie do pieniędzy. W przypadku moim i Willy'ego decydował tata. Sprawował jednoosobową kontrolę nad naszymi finansami. To, ile i jak będziemy pracować, zależało od budżetu, który nam wyznaczył. A potem publicznie wytykano nam lenistwo, co uważałem za rażącą niesprawiedliwość. Gra była ustawiona.

Niewykluczone, że stres towarzyszący publikacji Bilansu wynikał z poważniejszych obaw o los monarchii. Rodzina czuła wstrząsy sejsmiczne towarzyszące globalnym przemianom, słyszała głosy krytyków, którzy krzyczeli, że monarchia jest przestarzała i za dużo kosztuje. Tolerowała więc nonsensowny Bilans (a wręcz przejmowała się nim) z tego samego powodu, z którego godziła się na szkody i spustoszenia czynione przez prasę. Owym powodem był strach. Strach przed opinią publiczną. Przed tym, co przyniesie przyszłość. Przed nadejściem dnia, gdy społeczeństwo powie: okej, zwijajcie interes. Nic więc dziwnego, że w Boże Narodzenie 2013 roku cieszyłem się, mogąc siedzieć w moim maleńkim pokoju w korytarzu na zapleczu i oglądać na iPadzie zdjęcia z bieguna południowego.

Popatrzyłem na pamiątkową próbkę.

NAJCZYSTSZE POWIETRZE NA ŚWIECIE.

Odkorkowałem ją i dopiero po chwili dotarło do mnie, co zrobiłem.

Cholera.

70

Wyprowadziłem się z borsuczej nory i zamieszkałem w Nottingham Cottage, zwanej Nott Cott. Wcześniej zajmowali ją Willy i Kate, ale zrobiła się dla nich zbyt mała. Przenieśli się tuż obok, do domu zajmowanego kiedyś przez księżniczkę Małgorzatę, i oddali mi klucze.

Dobrze było opuścić borsuczą norę, jeszcze bardziej zaś cieszyłem się, że mieszkam tak blisko Willy'ego i Kate. Radowałem się na myśl, że będę mógł często do nich wpadać.

– Popatrz, przyszedł stryjek Harry!

– Cześć, pomyślałem, że na chwilę do was wstąpię.

Stryjek Harry z butelką wina i mnóstwem zabawek dla małego George'a, z którym zaraz potarza się po podłodze.

– Zostaniesz na kolację, Harold?

– Chętnie!

Ale nie wyszło.

Mieszkaliśmy zaledwie pół boiska od siebie, dzieliło nas tylko kamienne podwórze, często widziałem ich nianię spacerującą z wózkiem, słyszałem hałasy, kiedy robili skomplikowany remont. Spodziewałem się, że lada chwila mnie zaproszą. Lada dzień.

Mimo to zaproszenie nie przychodziło.

Rozumiem, myślałem. Są zajęci. Budują rodzinę.

A może... nie chcą piątego koła u wozu?

Może jeśli się ożenię, sprawy będą wyglądały inaczej?

Oboje wiele razy wymownie wspomnieli, że bardzo lubią Cressidę.

71

Marzec 2014 roku. Koncert na Wembley Arena. Wchodząc na scenę, czułem jak zwykle atak paniki. Dotarłem na sam środek, zacisnąłem pięści, wyplułem z siebie przemówienie. Przed sobą miałem czternaście tysięcy młodych uczestników We Day. Może gdybym bardziej skupił się na mojej publiczności, byłbym mniej zdenerwowany. Nie umiałem jednak wydostać się z własnej głowy i myślałem o poprzednim razie, kiedy występowałem w tym miejscu.

Dziesiąta rocznica śmierci mamy.

Wtedy też się denerwowałem. Ale nie tak jak teraz.

Pospiesznie zszedłem ze sceny, otarłem pot z twarzy i niepewnym krokiem wróciłem na swoje miejsce. Usiadłem obok Cress.

Popatrzyła na mnie i zbladła.

– Wszystko okej?

– Tak, tak.

Ale przecież wiedziała.

Słuchaliśmy kolejnych wystąpień. To znaczy Cress słuchała. Ja próbowałem złapać oddech.

Nazajutrz nasze zdjęcie pojawiło się we wszystkich gazetach i w internecie. Ktoś dał cynk dziennikarzom zajmującym się rodziną królewską, wskazał im, gdzie siedzimy, i nasz związek został wreszcie przedstawiony światu. Po prawie dwóch latach spotykania się w tajemnicy wyszło na jaw, że jesteśmy parą.

Dziwiliśmy się, że zrobiła się z tego wielka sprawa. Już wcześniej sfotografowano nas razem, kiedy byliśmy na nartach w Verbier. Z jakiegoś powodu tamte zdjęcia nie wywołały sensacji. Może teraz stało się inaczej, bo Cress pierwszy raz towarzyszyła mi podczas pełnienia oficjalnych obowiązków?

W rezultacie przestaliśmy się kryć, co uznałem za pomyślną zmianę. Kilka dni później na stadionie Twickenham oglądaliśmy mecz rugby między Anglią i Walią. Znowu strzelono nam zdjęcia, nie przejęliśmy się, nawet o tym nie rozmawialiśmy. Potem wybraliśmy się z przyjaciółmi na narty do Kazachstanu. Tam również ktoś nas sfotografował. Nie wiedzieliśmy o tym, byliśmy zaprzątnięci czym innym. Wypadki narciarskie były dla nas święte, niezwykle znaczące, zwłaszcza po poprzednim wyjeździe do Szwajcarii, gdy Cress dokonała cudu i sprawiła, że wreszcie się otworzyłem.

Zdarzyło się to późnym wieczorem po długim dniu na stokach i po dobrej zabawie na imprezie après-ski. Wróciliśmy do domku mojej kuzynki, w którym nocowaliśmy. Cress myła twarz i szorowała zęby, ja siedziałem na krawędzi wanny. Jeśli dobrze pamiętam, nie rozmawialiśmy o niczym szczególnym, lecz nagle Cress zapytała o moją matkę.

Wyjątkowa sytuacja. Żadna z moich poprzednich dziewczyn nigdy nie zadała mi takiego pytania. Liczył się też ton: Cress znalazła idealną mieszankę ciekawości i współczucia. Poza tym idealnie zareagowała na to, co usłyszała w odpowiedzi. Była zaskoczona, zatroskana, ale mnie nie osądzała.

Może w grę wchodziły też inne czynniki. Magiczna kombinacja zmęczenia po wysiłku fizycznym oraz szwajcarskiej gościnności. Świeże powietrze i alkohol. Może sprawił to śnieg, który cicho padał za oknem, lub siedemnaście lat tłumionego bólu po stracie matki? Może zacząłem dojrzewać? Bez względu na powód lub splot powodów odpowiedziałem na pytanie Cress, a potem się rozplakałem.

Pamiętam ten moment. Pomyślałem: o, płacę.

I zaraz powiedziałem jej:

– To pierwszy raz, kiedy...

Cress nachyliła się nade mną.

– Jak to: pierwszy raz?

– Pierwszy raz od pogrzebu mamy jestem w stanie po niej płakać.

Wytarłem oczy i podziękowałem Cress. Pomogła mi przebić tę barierę, sprawiła, że wreszcie popłynęły łzy. Było to oczyszczające doświadczenie, które wzmocniło łączącą nas więź, a także dodało pewien element nieobecny w moich poprzednich związkach: ogromną wdzięczność. Zaciągnąłem dług u Cress i właśnie dlatego, kiedy wracaliśmy z Kazachstanu, byłem okrutnie nieszczęśliwy, bo podczas tej podróży zrozumiałem, że do siebie nie pasujemy.

Po prostu wiedziałem. Cress chyba też wiedziała. Były między nami wielka czułość i głęboka lojalność, zabrakło jednak dozgonnej miłości. Cress zawsze otwarcie mówiła, że nie chce stresu, który wiązałby się ze wstąpieniem do rodziny królewskiej, ja zaś nigdy nie byłem pewny, czy pragnę prosić ją, aby zmieniała zdanie. Takie były niezaprzeczone fakty. Od dłuższego czasu kryły się gdzieś pod powierzchnią i wreszcie przypomniały o sobie podczas wyjazdu do Kazachstanu.

Nagle wszystko stało się oczywiste. To się nie uda.

Dziwne, pomyślałem. Ilekroć jedziemy na narty, doznaję olśnienia.

Dzień po powrocie z Kazachstanu zadzwoniłem do kumpla, który przyjaźnił się z Cress. Opowiedziałem mu o moich uczuciach i poprosiłem o radę. Bez wahania odparł, że jeśli sprawa jest przesądzona, związek trzeba szybko zakończyć. Skoro tak, od razu pojechałem do Cress.

Mieszkała u przyjaciółki. Jej sypialnia znajdowała się na parterze, okna wychodziły na ulicę. Słyszałem przejeżdżające samochody i przechodniów. Usiadłem ostrożnie na łóżku i wyjawiałem jej moje myśli.

Kiwała głową. Nie była ani trochę zaskoczona. Myślała o tym samym.

– Tak wiele się od ciebie nauczyłem, Cress.

Znów skinęła głową. Spuściła wzrok, patrzyła w podłogę, łzy spływały jej po policzkach.

Jasna cholera, pomyślałem.

Pomogła mi płakać. A teraz zostawiam ją we łzach.

72

Mój kumpel Guy brał ślub.

Nie byłem w nastroju na wesele. Ale Guy to Guy. Porządny chłop, Willy i ja od lat się z nim przyjaźniliśmy. Kochałem go i miałem u niego dług: prasa wiele razy wytarzała go w błocie z powodu naszej znajomości.

Ślub odbywał się w Ameryce, na głębokim południu.

Mój przyjazd sprawił, że natychmiast wszyscy podjęli stary temat.

Vegas. Jakżeby inaczej.

Serio? myślałem. Przecież minęło już tyle czasu. Czy mój tyłek jest aż tak wiekopomny?

Trudno, powiedziałem sobie. Niech gadają na temat Vegas. Ja tam skupię się po prostu na wielkim dniu Guya.

Wieczór kawalerski odbywał się w Miami. Zjedliśmy wspaniałą kolację, odwiedziliśmy kilka klubów, tańczyliśmy do późnej nocy. Piliśmy zdrowie pana młodego, raz, drugi i trzeci. Następnego dnia wszyscy poleciliśmy do Tennessee. Mimo że harmonogram był napięty, znaleźliśmy czas na wizytę w Graceland, niegdysiejszym domu Elvisa Presleya. (Pierwotnie kupił go dla swojej matki).

Wszyscy mówili: a więc tu mieszkał król.

– Kto?

– Król. Elvis.

– A, król. Jasne.

Ludzie mówili, że Graceland to zamek, rezydencja, pałac, mnie jednak kojarzył się z norą. Było tu ciemno i klaustrofobicznie. Chodziłem po pokojach i myślałem: więc mówicie, że tu mieszkał król? No nie wiem...

Wszedłem do małego pokoju, popatrzyłem na krzykliwe meble i dywan z długim włosiem leżący na podłodze. Pomyślałem, że dekorator wewnątrz wynajęty przez króla musiał być na kwasie.

Na cześć Elvisa wszystkie dziewczyny zaproszone na ślub nosiły niebieskie zamszowe buty. Na weselu buty te szalały na parkiecie, młodzi Brytyjczycy poszli

w pijackie tańce, radośnie śpiewali, fałszując i gubiąc rytm. Było hucznie i hałaśliwie, nigdy nie widziałem Guya tak szczęśliwego.

Zawsze przedstawiano go jako naszego przydupasa. Tym razem Guy i panna młoda byli gwiazdami, znajdowali się w centrum uwagi. Guy zasłużenie delektował się tą chwilą. Cieszyłem się, widząc jego radość, ale od czasu do czasu, kiedy rozmaite pary odłączały się od reszty towarzystwa, kiedy zakochani szli gdzieś w cichy kąt albo kołysali się na parkiecie w rytm kawałków Beyoncé lub Adele, stawałem przy barze i zastanawiałem się: kiedy przyjdzie moja kolej? Jak mało kto pragnąłem się ożenić i mieć dziecko, ale najwyraźniej nie było mi to pisane. Coraz bardziej dramatyzowałem i myślałem: to nie fair ze strony wszechświata.

73

A tymczasem wszechświat dopiero się rozkręcał. Krótko po moim powrocie do Wielkiej Brytanii Odwykowa Wariatka, główny czarny charakter skandalu z hakowaniem telefonów, została uniewinniona przez sąd.

Czerwiec 2014 roku.

Wszyscy twierdzili, że dowody były mocne.

Ale niedostatecznie mocne dla przysięgłych, którzy przyjęli za dobrą monetę zeznania złożone w sądzie przez Odwykową Wariatkę, choć były one kompletnie niewiarygodne. Odwykowa Wariatka potraktowała prawdę z buta, tak jak niegdyś potraktowała pewnego nastoletniego rudowłosego członka rodziny królewskiej.

Uniewinniono też jej męża. Kamery przyłapały go, kiedy kilka godzin przed nalotem policjantów wynosił z domu worki na śmieci pełne komputerów, pendrive'ów i innych rzeczy osobistych (wyrzucił chociażby swoją kolekcję pornosów). Ale przysięgał, że to tylko zabawny zbieg okoliczności, a więc... Mataczenia w śledztwie nie było, orzekł sąd. Jesteście wolni, zapomnijmy o całej sprawie. Nie wierzyłem, że to się dzieje. Jak to możliwe, że ją wypuścili? Że opinia publiczna nie zareagowała oburzeniem? Czy ludzie nie zdawali sobie sprawy, że nie chodzi tylko o prawo do prywatności, o bezpieczeństwo publiczne, o rodzinę królewską? Przecież skandal z hakowaniem telefonów został ujawniony z powodu sprawy biednej Milly Dowler, uprowadzonej i zamordowanej nastolatki. Fagasy

Odwykowej Wariatki włamały się do telefonu Milly po jej zaginięciu. Wyrządzili okrutną krzywdę jej rodzicom w chwilach najgorszego cierpienia, gdyż karmili ich złudną nadzieją, że córka nadal żyje, skoro ktoś odsłuchuje jej wiadomości. Rodzice nie mieli pojęcia, że owym „kimś” jest Odwykowa Wariatka i jej ekipa. Dziennikarze byli na tyle nikczemni, by znęcać się nad Dowlerami w najpotworniejszych momentach ich życia. Mimo to uniknęli kary. Czy zatem ktokolwiek mógł czuć się bezpiecznie?

I czy ludzi naprawdę to nie obchodziło?

Otóż nie obchodziło.

Moja wiara w sprawiedliwość poważnie się zachwiała, kiedy wypuszczono tę kobietę. Musiałem się zresetować. Odnowić zasoby wiary. Pojechałem więc tam, gdzie zawsze wybierałem się w takich sytuacjach.

Okawango.

Spędziłem kilka dni z Teej i Mikiem, żeby stanąć na nogi.

Pomogło.

Ale po powrocie do Wielkiej Brytanii zabarykadowałem się w Nott Cott.

74

Rzadko wychodziłem z domu. Co najwyżej od czasu do czasu jakaś proszona kolacja albo domówka.

Zdarzało mi się na chwilę wpadać do klubów nocnych.

Ale nie miało to sensu. Ilekroć wychodziłem na miasto, zawsze powtarzały się te same sceny. Tu paparazzi, tam paparazzi, wszędzie paparazzi. Dzień świstaka.

Spędzanie wieczorów poza domem i tak nie dostarczało mi większej przyjemności. Na pewno nie było warte tak wysokiej ceny.

Potem jednak przychodziła myśl: skoro prawie w ogóle nie wychodzę, jak niby mam kogoś spotkać?

Więc znów próbowałem.

I znów dzień świstaka.

Pewnej nocy, kiedy wychodziłem z klubu, zza rogu wybiegło dwóch facetów. Pędzili prosto w moją stronę, jeden z nich trzymał rękę na biodrze.

Ktoś krzyknął: Broń!

Pomyślałem: no cóż, trochę pograłem, ale najwyraźniej pora zejść z boiska.

Billy Rock skoczył naprzód, wyciągnął pistolet, niewiele brakowało, a zastrzeliby tych dwóch gości.

Okazało się jednak, że to tylko Półdupek i Półgłówek. Nie mieli broni, nie wiem, o co chodziło z tą ręką na biodrze. Billy chwycił jednego z nich i ryknął mu prosto w twarz:

– Ile razy mam ci powtarzać? Ktoś przez ciebie, kurwa, zginie!

Mieli to gdzieś. Mieli to kompletnie gdzieś.

75

Tower of London. Willy, Kate i ja. Sierpień 2014 roku.

Udaliśmy się tam z powodu instalacji artystycznej. W suchej fosie umieszczono dziesiątki tysięcy czerwonych ceramicznych maków. Plan zakładał, że będzie ich łącznie 888 246, dla upamiętnienia każdego żołnierza Wspólnoty Narodów poległego w czasie wielkiej wojny. Cała Europa obchodziła setną rocznicę jej wybuchu.

Instalacja była niesamowicie piękna, a przy tym w nowatorski sposób wizualizowała skalę wojennej rzezi – a nawet śmierć. Ogromnie mnie to poruszyło. Tyle ludzkich istnień. Tyle rodzin.

Nie pomagało, że wizyta w Tower odbywała się trzy tygodnie przed rocznicą śmierci mamy. Zresztą wspominając wielką wojnę, często myślałem o mamie, która urodziła się 1 lipca, w rocznicę rozpoczęcia bitwy nad Sommą. Był to najkrwawszy dzień całej wojny. Najkrwawszy dzień w historii brytyjskiej armii.

„Pośród pól Flandrii rosną maki...”

Wszystko to zbiegało się w moim sercu i w umyśle, kiedy stałem przed Tower. Ktoś podszedł, wręczył mnie, Willy’emu i Kate po maku. Mieliśmy umieścić je w ziemi. (Artyści, którzy przygotowali instalację, chcieli, żeby każdy mak został zasadzony ludzką ręką. Jak dotąd pomogły im już tysiące ochotników).

Kiedy to zrobiliśmy, cofnęliśmy się, a każde z nas tonęło w myślach.

Chyba właśnie wtedy pojawił się konstabl Tower of London, powitał nas, wyjaśnił, dlaczego mak stał się w Wielkiej Brytanii symbolem wojny. Żaden inny kwiat nie chciał rozkwiatać na przesiąkniętych krwią polach bitewnych. Konstabilem był nie kto inny tylko generał Dannatt.

Człowiek, który wysłał mnie z powrotem na front.

Tego dnia naprawdę wszystko się ze sobą łączyło.

Zapytał, czy mamy ochotę na krótkie oprowadzanie po Tower.

Jasne, powiedzieliśmy.

Szliśmy w górę i w dół stromymi schodami, zaglądaliśmy w rozmaite ciemne zakamarki, wkrótce stanęliśmy przed gablotą z grubego szkła.

W środku znajdowały się olśniewające klejnoty, w tym... korona.

Ja pierdolę. Korona.

Ta sama, którą włożono babci na głowę w 1953 roku.

Przez moment myślałem, że ta sama korona leżała na trumnie buni, gdy jej kondukt pogrzebowy jechał ulicami Londynu. Wyglądała bardzo podobnie, ale zaraz ktoś wskazał mi kilka zasadniczych różnic.

No tak. To była korona babci i tylko babci. Babcia opowiedziała mi kiedyś, jak niewyobrażalnie ciężka wydała jej się ta korona, gdy pierwszy raz miała ją na głowie.

Faktycznie, wyglądała na ciężką. A zarazem miała w sobie magiczną moc. Im dłużej jej się przyglądaliśmy, tym bardziej jaśniała. Jak to możliwe? Zdawało mi się, że świeci własnym światłem. Kamienie szlachetne na pewno wzmacniały ten efekt, ale z korony biła też tajemnicza energia. Była czymś więcej niż tylko sumą poszczególnych elementów: obręczy wysadzanej klejnotami, złotych *fleurs-de-lis*, obłąków, połyskliwego krzyża i oczywiście gronostajowej wyściółki. Mimowolnie pomyślałem, że jeśli nocami po Tower blakają się duchy, z pewnością ich poświata wygląda bardzo podobnie. Długo, z szacunkiem, przyglądałem się koronie i pojąłem, że jest cudownym, transcendentnym, poruszającym dziełem sztuki, jak instalacja z ceramicznych maków, którą przed chwilą podziwialiśmy. Ale w tamtej chwili mogłem myśleć tylko o jednym. Co za tragedia, że korona pozostaje zamknięta w Tower.

Jeszcze jeden więzień.

Marnuje się tutaj, powiedziałem do Willy'ego i Kate. Jeśli mnie pamięć nie myli, żadne z nich mi nie odpowiedziało.

Może patrząc na gronostajową wyściółkę, przypomnieli sobie przemówienie, które wygłosiłem na ich weselu.

A może nie.

76

Kilka tygodni później, po przeszło roku rozmów, planów, myślenia i zamartwiania się, siedem tysięcy fanów przybyło do Queen Elizabeth Olympic Park, by oglądać ceremonię otwarcia. Narodziły się Igrzyska Niezwycięzonych.

Uznano, że International Warrior Games to zła nazwa. Każdy połamie sobie na niej język. Pewien niezwykle inteligentny żołnierz królewskiej piechoty morskiej miał lepszą propozycję.

Kiedy tylko ją zaprezentowałem, powiedzieliśmy: no jasne! Cytat z wiersza Williama Ernesta Henleya!

Zna go każdy Brytyjczyk. Wiele osób potrafi z pamięci wyrecytować pierwszy wers:

„Z nocy, co wokół mnie zapada...”^[10].

Poza tym kto z nas nie pamięta ze szkoły dwóch ostatnich wersów?

Bo swego losu jestem panem

I kapitanem duszy swojej.

Za kilka minut miałem przemawiać na ceremonii otwarcia, stałem za sceną, w trzęsących się dłoniach trzymałem kartki z tekstem. Patrzyłem na podium, wyglądało jak szafot. Raz po raz czytałem przemówienie, tymczasem wysoko nad naszymi głowami odbywał się podniebny popis akrobacji Red Arrows: piloci przelecieli nad parkiem olimpijskim, zostawiając smugi czerwonego, białego i niebieskiego dymu. Następnie Idris Elba odczytał wiersz *Invictus* [Niezwyciężony], chyba lepiej niż ktokolwiek przed nim, a Michelle Obama

wygłosiła przez satelitę mowę, w której świetnie wyjaśniła sens igrzysk. Na koniec zaprosiła mnie na scenę.

Długi marsz przez labirynt wyłożony czerwonym dywanem. Moje policzki też były czerwone. Na twarzy miałem zastygły uśmiech, funkcjonowałem w trybie „uciekaj albo walcz”. Wściekałem się na siebie. Igrzyska zostały urządzone na cześć mężczyzn i kobiet, którzy stracili kończyny, a mimo to zmuszali swoje ciała do ciężkiej pracy, przekraczali granice tego, co możliwe. Tymczasem ja panikuję z powodu głupiego przemówienia.

Ale nie była to moja wina. W tamtym okresie lęk kompletnie zapanował nad moim ciałem i moim życiem. Przemówienie, które – jak uważałem – znaczy bardzo wiele dla bardzo wielu ludzi, musiało tylko pogorszyć sytuację.

Poza tym kiedy wchodziłem na scenę, producent powiedział mi, że mamy już opóźnienie. Świetnie. Jeszcze jeden problem na głowie. Dzięki.

Dotarłem na mównicę, którą wcześniej osobiście tam ustawiłem, starannie wyszukawszy najlepszy punkt. Wymyślałem sobie w duchu, bo miałem stąd idealny widok na wszystkich uczestników igrzysk. Patrzyły na mnie szlachetne, ufne twarze, na których malowało się oczekiwanie. Wszyscy na mnie liczyli. Zmusiłem się, żeby odwrócić wzrok, spojrzeć w jakiś martwy punkt. Pospiesznie – bo w głowie słyszałem tykanie zegara – wyrzuciłem z siebie:

– Dla niektórych z was będzie to trampolina do zawodowego sportu. Dla innych będzie to koniec jednego etapu na drodze do wydobrzeń i początek kolejnego.

Skończyłem, usiadłem w pierwszym rzędzie obok taty, który położył mi dłoń na ramieniu.

– Dobrze się spisałeś, kochany chłopcze.

Był bardzo wspaniałomyślny. Wiedział, że za szybko odczytałem przemówienie. Cieszyłem się, że raz w życiu nie zaserwował mi surowej prawdy.

Liczy mówią, że Igrzyska Niezwycięzonych były hitem. Dwa miliony widzów zasiadło przed telewizorami, każda dyscyplina przyciągała na trybuny tysiące ludzi. Jednym z najważniejszych dla mnie wydarzeń był finałowy mecz rugby na wózkach, rozegrany przez Wielką Brytanię i Stany Zjednoczone. Tysiące fanów zjawiało się w hali sportowej Copper Box, żeby dopingować brytyjską reprezentację.

Przez cały tydzień podchodzili do mnie ludzie, ściskali mi dłoń, opowiadali swoje historie. Dzieci, rodzice, dziadkowie, wszyscy mieli łzy w oczach, mówili, że igrzyska przywróciły to, co wydawało się już na zawsze stracone: syn, córka, brat, siostra, mama, tata odzyskali swojego prawdziwego ducha. Pewna kobieta postukała mnie w ramię i powiedziała, że przywróciłem uśmiech jej mężowi.

– Ten uśmiech... Nie widziałam go, odkąd mąż został ranny.

Od samego początku wiedziałem, że dzięki igrzyskom uda się zrobić trochę dobra, mimo to tak liczne wyrazy wdzięczności zupełnie mnie zaskoczyły. I uradowały.

Potem zaczęły napływać mejle. Były ich tysiące, wywoływały ogromne wzruszenie.

„Pięć lat temu złamałem kręgosłup. Ale teraz, kiedy zobaczyłem tych dzielnych ludzi, postanowiłem zwlec się z kanapy. Jestem gotów zacząć od nowa”.

„Od powrotu z Afganistanu choruję na depresję, ale ten pokaz odwagi i wytrwałości sprawił, że zrozumiałam...”

Podczas ceremonii zamknięcia, zaraz po tym, jak zapowiedziałem Dave’a Grohla i Foo Fighters, podeszła do mnie para z małą córką. Dziewczynka miała na sobie różową bluzę z kapturem i pomarańczowe nauszники chroniące przed hałasem. Popatrzyła na mnie.

– Dziękuję, że tata znowu stał się tatą.

Jej ojciec zdobył złoty medal.

Jest tylko jeden problem, powiedziała:

– Dorośli zasłaniają mi scenę, nie widzę Foo Fighters.

No nie, tak nie może być!

Wziąłem ją na barana i oglądaliśmy występ we czwórkę. Tańczyliśmy, śpiewaliśmy, świętowaliśmy życie.

Tego dnia wypadały moje trzydzieste urodziny.

Krótko po igrzyskach poinformowałem Pałac, że odchodzę z armii. Razem z Elfem ułożyliśmy oficjalny komunikat. Niełatwo było znaleźć odpowiednie słowa, żeby

wyjaśnić przyczyny, może dlatego, że sam nie do końca rozumiałem swoją decyzję. Z dzisiejszej perspektywy wiem, że nie było czego rozumieć. Po prostu przyszedł już czas.

Czas na wystąpienie z armii i na co jeszcze? Od tej pory miałem być kimś, kim nigdy nie byłem: pełnoetatowym członkiem rodziny królewskiej.

Jak niby ma to wyglądać?

I czy naprawdę tego chciałem?

Zaliczyłem w życiu wiele kryzysów egzystencjalnych, ale ten okazał się wyjątkowo wredny. Kim jesteś, kiedy przestajesz być tym, kim zawsze byłeś? Kiedy przestajesz robić jedyną rzecz, do której cię przygotowywano?

Pewnego dnia wydało mi się, że chyba znalazłem odpowiedź.

Był przyjemnie chłodny wtorek. Stałem na środku ulicy niedaleko Tower of London i czekałem, aż się pojawi. Nagle go zobaczyłem, szedł energicznym krokiem. Ben, żołnierz, z którym wracałem z Afganistanu w 2008 roku. Żołnierz, którego dopingowałem, gdy wspinał się na linie, testując nową protezę nogi. Sześć lat później, tak jak zapowiadał, biegł maraton. Nie uczestniczył w londyńskim maratonie – co przecież byłoby prawdziwym cudem i niezwykłym osiągnięciem. Zamiast tego Ben zdecydował się pobiec w pojedynkę. Sam wytyczył trasę, która układała się w kształt ogromnego maku.

Czterdzieści dziewięć kilometrów. Ben pokonał je, żeby zebrać pieniądze na cele charytatywne i nagłośnić problemy, z którymi borykają się weterani. Przy okazji poruszył wiele serc.

– Jestem w szoku – powiedział na mój widok.

– Ty jesteś w szoku? A co ja mam powiedzieć?

Był żołnierzem, choć już nie był żołnierzem. Kiedy go zobaczyłem, rozwiązałem zagadkę, z którą męczyłem się od tak dawna.

Pytanie: jak przestać być żołnierzem, skoro nigdy nie byłeś i nie chciałeś być nikim innym?

Odpowiedź: nijak.

Nawet kiedy odchodzisz z armii, nie przestajesz być żołnierzem. Nigdy.

Msza w katedrze Świętego Pawła za poległych podczas wojny w Afganistanie, później przyjęcie w Guildhall wydane przez City of London Corporation, następnie inauguracja Marszu wokół Wielkiej Brytanii, akcji zorganizowanej przez instytucję charytatywną Walking With The Wounded, następnie spotkanie z angielską reprezentacją rugby i wizyta na jej treningu, potem kibicowanie rugbistom podczas rozgrywanego w Twickenham meczu z Francją, następnie nabożeństwo żałobne za Richarda Meada, olimpijczyka i najbardziej utytułowanego jeźdźca sportowego w historii Wielkiej Brytanii, następnie podróż z tatą do Turcji i udział w obchodach setnej rocznicy bitwy o Gallipoli, potem zaś spotkanie z potomkami żołnierzy walczących w tej epickiej kampanii, wreszcie powrót do kraju i wręczenie medali zwycięzcom maratonu londyńskiego.

Tak zaczął się dla mnie rok 2015.

A wymieniam tu tylko najważniejsze wydarzenia.

Gazety rozpisywały się o tym, że Willy miga się od obowiązków, i dziennikarze zaczęli nazywać go „leniuszkiem Willem”, co było obrzydliwe i rażąco niesprawiedliwe, ponieważ zajmował się rodziną (Kate znowu była w ciąży). Poza tym wciąż był uzależniony od taty, który kontrolował jego wydatki. Mój brat robił tyle, ile oczekiwał od niego ojciec, a czasami nie było tego za wiele, ponieważ tata i Camilla nie chcieli, żeby o Willym i Kate zbyt często mówiono. Nie podobało im się, że młodzi odciągają od nich uwagę mediów. Nieraz otwarcie ganili za to Willy’ego.

Na przykład: rzeczniczka prasowa taty zrugowała zespół Willy’ego, gdy okazało się, że Kate ma odwiedzić klub tenisowy w tym samym dniu, w którym tata miał zaplanowane oficjalne spotkanie. Usłyszawszy, że jest już za późno na odwołanie wizyty, rzeczniczka prasowa rzuciła ostrzegawczo:

– Dopilnujcie tylko, żeby na żadnym ze zdjęć księżna nie trzymała w ręce rakiety!

Takie efektowne zdjęcie bez wątpienia wypchnęłoby tatę i Camillę z pierwszych stron gazet. A do tego nie można było dopuścić.

Willy powiedział mi, że oboje z Kate czują się jak w potrzasku, uważają, że są niesprawiedliwie traktowani zarówno przez prasę, jak i tatę oraz Camillę, dlatego uznałem, że w 2015 roku to ja z naszej trójki wysunę się bardziej na pierwszy plan. Choć oczywiście nie chciałem też, żeby prasa zanadto mi dogryzała. Mieliby mnie

nazywać leniwym? Aż przeszedł mnie dreszcz. Za nic nie chciałem widzieć tego słowa przy swoim imieniu. Przez większość mojego życia dziennikarze pisali, że jestem głupi i niesforny, przyczepili mi też łatkę rasisty, ale gdyby ośmielili się nazwać mnie leniwym... Nie mogę zagwarantować, że nie odwiedziłbym kilku redakcji i nie zaczął wyciągać ludzi zza biurka.

Dopiero parę miesięcy później zrozumiałem, że istniały jeszcze inne powody, dla których prasa wzięła Willy'ego na celownik. Przede wszystkim rozwścieczył dziennikarzy tym, że zaprzestał udziału w ich grze i pozbawił nieograniczonego dostępu do swojej rodziny. Kilka razy odmówił publicznego pokazania się z Kate i traktowania jej, jakby była jakimś kosztownym koniem wyścigowym, a media uznały, że posunął się za daleko.

Potem zaś miał czelność wygłosić umiarkowane antybrexitowe przemówienie i to naprawdę rozjuszyło prasę. Brexit był dla gazet żyłą złota. Więc jak on śmiał twierdzić, że to jedna wielka ściema?

79

Gdy przebywałem w Australii na ćwiczeniach wojskowych, otrzymałem wiadomość, że Willy'emu i Kate urodziło się drugie dziecko. Charlotte. Po raz kolejny zostałem wujkiem i byłem z tego powodu bardzo szczęśliwy.

Jak można się było jednak spodziewać, w trakcie wywiadu udzielanego tego samego lub następnego dnia jeden z dziennikarzy rozmawiał ze mną tak, jakbym zamiast o narodzinach bratanicy dowiedział się, że jestem nieuleczalnie chory.

– Nic podobnego, jestem przeszczeniwy.

– Ale to oznacza zepchnięcie na dalszą pozycję w kolejce do tronu.

– Ogromnie się cieszę szczęściem Willy'ego i Kate.

– Piąty w kolejce, tak? – nie odpuszczał dziennikarz. – Już nawet nie zastępca zastępcy.

Pomyślałem sobie, że po pierwsze, dobrze znajdować się nieco dalej od krateru wulkanu. Po drugie zaś, jakim trzeba być potworem, żeby w takiej chwili, zamiast witać na świecie nowe życie, myśleć o sobie i swoim miejscu w kolejce do tronu?

Słyszałem kiedyś, jak któryś z dworzan powiedział, że gdy jesteś piąty lub szósty w kolejce, od tronu „dzieli cię tylko jedna katastrofa lotnicza”. Nie mieściło mi się w głowie, że można żyć z taką świadomością.

Dziennikarz tymczasem drążył dalej. Czy narodziny dziecka nie sprawiły, że zacząłem kwestionować własne wybory życiowe?

– Wybory?

– Czy nie pora się ustatkować?

– No cóż...

– Ludzie zaczynają snuć porównania z Bridget Jones.

Z Bridget Jones? pomyślałem sobie. Naprawdę?

Dziennikarz czekał na odpowiedź.

– Prędzej czy później to nastąpi – zapewniłem go albo ją, ponieważ nie pamiętam już twarzy, tylko serię nedorzecznych pytań.

– A kiedy Wasza Królewska Wysokość zamierza się ożenić?

– We właściwym czasie – odparłem tonem, z jakim zwykle zbywa się natrętą ciotkę.

Dziennikarz przyjrzał mi się z pełną politowania miną.

– Czy aby na pewno?

80

Ludzie często spekulowali, że trzymałem się kurczowo kawalerskiego życia, ponieważ było ono tak bardzo ekscytujące. Nieraz wieczorem myślałem sobie: gdyby tylko mogli mnie teraz zobaczyć.

Po czym wracałem do składania bielizny i oglądania odcinka *Przyjaciół*, tym ze ślubem Moniki i Chandlera.

Oprócz tego, że sam robiłem sobie pranie (żeby wyschło, często rozwieszałem je na kaloryferach), zajmowałem się również innymi obowiązkami domowymi, sam gotowałem i sam chodziłem na zakupy. Niedaleko pałacu znajdował się supermarket, który odwiedzałem przynajmniej raz w tygodniu.

Oczywiście każdą wyprawę na zakupy planowałem tak starannie jak wyjście na patrol wokół Musa Qala. Szedłem tam o różnych, przypadkowych porach, żeby

zmylić prasę. Nosilem przebranie: nasuniętą nisko na oczy czapkę bejsbolową i luźny płaszcz. Poruszałem się między regałami sklepu z prędkością światła, porywając z półek moje ulubione filety z łososia i jogurty. (Plan sklepu znałem na pamięć). A do tego kilka jabłek Granny Smith i bananów. I naturalnie chipsy.

A potem sprintem do kasy.

Podczas gdy w wojsku starałem się coraz szybciej wykonywać procedurę kontrolną przed startem śmigłowca, teraz próbowałem zmieścić się z zakupami w czasie nieprzekraczającym dziesięciu minut. Ale pewnego razu poszedłem do sklepu i zacząłem biegać jak szalony wzdłuż alejek, ponieważ... wszystko zostało poprzestawiane.

Podbiegłem do jednego z pracowników.

– Co tu się wyprawia?

– Słucham?

– Gdzie są wszystkie rzeczy?

– Co takiego?...

– Dlaczego wszystko jest poprzestawiane?

– Szczerze?

– Tak, szczerze.

– Żeby zatrzymać klientów na dłużej. Żeby więcej kupowali.

Zatkało mnie. To tak można? To zgodne z prawem?

Lekko spanikowany wróciłem do robienia zakupów, napełniłem wózek najszybciej, jak umiałem, co chwila zerkając na zegarek, po czym popędziłem do kasy. To jest zawsze najtrudniejsza część wyprawy na zakupy, ponieważ kolejki do kasy nie da się przyspieszyć: jestem zdany na łaskę innych. Mało tego, kasa znajduje się pomiędzy stojakami z prasą, a tam na okładkach połowy brytyjskich tabloidów i magazynów widnieją zdjęcia mojej rodziny. Albo mojej mamy. Albo moje.

Nieraz widziałem, jak inni klienci czytają o mnie, słyszałem, jak spierają się na mój temat. W 2015 roku najczęściej słyszałem dyskusje o tym, czy kiedykolwiek się ożenię. Czy zdołam znaleźć szczęście w życiu. Albo o tym, czy jestem gejem. Zawsze wtedy kusiło mnie, żeby klepnąć taką osobę w ramię i powiedzieć: „Halo!”.

Któregoś wieczoru, gdy byłem w przebraniu, przysłuchiwałem się, jak jacyś ludzie rozmawiają o mnie i mojej sytuacji życiowej. Nagle na przodzie kolejki rozległy się podniesione głosy. Starsze małżeństwo robiło kasjerce awanturę. Z początku było to tylko nieprzyjemne, lecz potem stało się nie do zniesienia.

Ruszyłem naprzód, odsłoniłem twarz i odchrząknąłem.

– Przepraszam. Nie wiem, co się tutaj dzieje, ale nie powinniście tak się do niej zwracać.

Kasjerka była bliska łez. Wrzeszcząca na nią para odwróciła się i rozpoznała mnie. Nie byli jednak ani trochę zaskoczeni. Jedyne urażeni tym, że ich upomniałem.

Kiedy opuścili sklep i przyszła moja kolej na płacenie, kasjerka, pakując awokado, próbowała mi dziękować. Nie chciałem nawet o tym słyszeć. Powiedziałem jej, żeby się trzymała, zgarnąłem swoje zakupy i wypadłem stamtąd niczym Green Hornet.

Kupowanie ubrań było znacznie mniej skomplikowane.

Z zasady nie przywiązuję wagi do stroju. Nie przejmuję się zanadto modą i nie rozumiem, dlaczego ktoś miałby się nią przejmować. Często ludzie śmieją się ze mnie w mediach społecznościowych z powodu moich niedopasowanych ubrań albo znoszonych butów. Dziennikarze zamieszczają moje zdjęcia i zastanawiają się, dlaczego mam takie długie spodnie albo wymiętą koszulę. (Pewnie nawet im się nie śniło, że suszyłem ją na kaloryferze).

Nie prezentuję się, jak przystało na księcia, mawiają ludzie.

I mają rację.

Ojciec próbował temu zaradzić. Podarował mi absolutnie cudną parę czarnych brogów. Istne dzieło sztuki. Ważyły tyle, co kule do kręgli. Nosilem je, aż w podeszwach zrobiły się dziury, i dopiero gdy zaczęto ze mnie szydzić, że chodzę w dziurawych butach, oddałem je w końcu do naprawy.

Każdego roku dostawałem od taty oficjalny dodatek ubraniowy, ale był on przeznaczony wyłącznie na zakup ubrań na oficjalne uroczystości: garnitury, krawaty, stroje galowe. Rzeczy, które noszę na co dzień, kupuję w TK Maxx, a więc w zwykłej sieciówce. Szczególnie lubię ich doroczne wyprzedaże, kiedy można tam kupić lekko uszkodzone albo pochodzące z poprzedniego sezonu ubrania z GAP-a albo J.Crew. Jeśli trafisz akurat na pierwszy dzień wyprzedaży, możesz za

pół ceny upolować ciuchy, za które inni w sklepach firmowych płacą krocie! Wystarczy dwieście funtów, żeby wyglądać jak z żurnala.

Jeśli chodzi o kupno ubrań, też opracowałem własny system. Przychodziłem do sklepu piętnaście minut przed zamknięciem. Chwytałem czerwony koszyk. Biegłem na górne piętro i systematycznie przeglądałem jeden wieszak za drugim.

Jeśli znajdowałem coś interesującego, stawałem przed lustrem i przykładałem ubranie do siebie. Nigdy nie marudziłem z wyborem koloru ani fasonu, a już z pewnością nie zbliżałem się do przebieralni. Jeśli coś wyglądało ładnie i wydawało się wygodne, lądowało w koszyku. W razie wątpliwości pytałem o radę Billy'ego Rocka, który czuł się zachwycony rolą mojego osobistego stylisty.

Gdy sklep zamykano, wybiegaliśmy stamtąd z uczuciem triumfu, dźwigając dwie wielkie torby z zakupami. Teraz wreszcie przestanę w gazetach nazywać mnie fleją. Przynajmniej na pewien czas.

A co ważniejsze, co najmniej przez pół roku będę miał z głowy kupowanie ubrań.

81

Poza sporadycznymi wyjściami na zakupy przestałem gdziekolwiek bywać. W ogóle.

Koniec z kolacjami w gronie przyjaciół. Żadnych imprez, klubów. Nic.

Każdego dnia prosto po pracy wracałem do domu, jadłem nad zlewem, potem nadganiałem papierkową robotę, a w tle leciał odcinek *Przyjaciół*.

Raz na jakiś czas kucharz taty zapełniał mi zamrażarkę kurczakiem zapiekany w cieście i zapiekanką z mięsem i ziemniakami. Byłem mu wdzięczny, że nie musiałem tak często wyprawiać się do supermarketu... chociaż te zapiekanki przypominały mi czasem Gurkhów i duszony przez nich gulasz kozłęcy, a to głównie dlatego, że były kompletnie nieprzyprawione. Tęskniłem za Gurkhami i za armią. Tęskniłem za wojną.

Po kolacji wypalałem skręta, pilnując, żeby dym nie przedostał się do ogrodu mojego sąsiada, księcia Kentu.

A potem wcześniej kładłem się spać.

Wiodłem dziwne życie. Życie odludka. Czuję się osamotniony, ale lepsze to, niż miałbym żyć w stanie ciągłego lęku. Zaczynałem dopiero odkrywać zdrowe sposoby panowania nad lękiem, ale dopóki nie nabrałem co do nich pewności, dopóki nie stanąłem na solidniejszym gruncie, musiałem polegać na tym niezbyt zdrowym rozwiązaniu.

A więc unikałem ludzi.

Cierpiałem na agorafobię.

Trudno w to uwierzyć, biorąc pod uwagę moją funkcję publiczną.

Po jednym z przemówień, którego nie mogłem uniknąć ani odwołać, a podczas którego nieomal zemdlałem, Willy podszedł do mnie za kulisami.

– Haroldzie! Spójrz na siebie! – zawołał ze śmiechem. – Jesteś cały zlany potem.

Nie mogłem pojąć jego reakcji. Kto jak kto, ale on powinien mnie rozumieć. Razem z Kate byli świadkami mojego pierwszego ataku paniki. Jechaliśmy ich range roverem na mecz polo w Gloucestershire. Siedziałem z tyłu, a Willy zerknął na mnie w lusterku wstecznym. Zobaczył, że jestem spocony, czerwony na twarzy.

– Dobrze się czujesz, Haroldzie?

Nie, nie czuję się dobrze. Podróż trwała kilka godzin i co kilkanaście kilometrów miałem ochotę prosić Willy'ego o zjechanie na pobocze, żeby wyskoczyć na zewnątrz i złapać oddech.

Willy wiedział, że coś jest nie w porządku. Jeszcze tego samego dnia albo niedługo potem powiedział mi, że potrzebuję pomocy. A teraz się ze mnie naśmiewał? Nie mieściło mi się w głowie, jak mógł być tak gruboskórny.

Ale sam też nie byłem bez winy. Obaj powinniśmy szybciej się zorientować, co oznaczają moje kryzysy emocjonalne i psychiczne, ponieważ właśnie zaczęliśmy rozmawiać o kampanii społecznej na rzecz podniesienia poziomu wiedzy o zdrowiu psychicznym.

Pojechałem do szpitala Mildmay Mission we wschodnim Londynie na uroczystość z okazji sto pięćdziesiątej rocznicy jego założenia oraz oddania do użytku nowego budynku. Moja matka złożyła tutaj niegdyś wizytę, która odbiła się szerokim

echem na świecie. Uścisnęła wówczas dłoń mężczyzny zarażonego wirusem HIV i tym drobnym gestem odmieniła świadomość wielu osób. Pokazała, że HIV to nie trąd i nie musi być dla chorych przekleństwem. Pokazała, że choroba nie musi pozbawiać ludzi prawa do miłości i godności. Przypomniała światu, że szacunek i współczucie nie są jakimiś szczególnymi darami, lecz czymś, na co każdy z nas zasługuje.

Jak dowiedziałem się od personelu szpitala, tamta słynna wizyta była tak naprawdę jedną z wielu. Mama zaglądała tutaj ponoć bez przerwy. Bez robienia zamieszania, bez fotografów. Wpadała, starała się podnieść na duchu kilku pacjentów, po czym wracała do siebie.

Jedna z kobiet opowiedziała mi, że w tamtym czasie była pacjentką szpitala. Urodziła się z wirusem HIV i wspominała, że jako dziewczynka siadała mamie na kolanach. Miała wówczas tylko dwa lata, ale dobrze to pamiętała.

– Przytulałam się do niej. Do twojej mamy.

Zaczerwieniłem się. Ogarnęła mnie straszliwa zazdrość.

– Naprawdę?

– O tak, przytulałam się do niej, było mi tak przyjemnie. Twoja mama potrafiła świetnie przytulać!

– Tak, pamiętam.

Ale wcale nie pamiętałem.

Jakkolwiek bym się wyteżał, niewiele byłem sobie w stanie przypomnieć.

83

Odwiedziłem Botswanę i spędziłem kilka dni z Teej i Mikiem. Stęskniłem się za nimi, odczuwałem wręcz fizyczną potrzebę, żeby powłóczyć się z Mikiem, położyć głowę na kolanach Teej i znów z nimi porozmawiać, poczuć się bezpiecznie.

Jak w domu.

To była sama końcówka 2015 roku.

Wyznałem im w zaufaniu, że zmagam się z napadami lęku. Siedzieliśmy akurat przy ognisku, gdzie zwykle najlepiej rozmawia się na takie tematy. Powiedziałem też, że niedawno odkryłem kilka rzeczy, które zdają się mi pomagać.

A więc... jest dla mnie nadzieja.

Na przykład terapia. Posłuchałem rady Willy'ego i choć nie znalazłem terapeuty, który by mi odpowiadał, to same rozmowy z kilkoma z nich otworzyły mój umysł na nowe możliwości.

Poza tym jeden z terapeutów stwierdził bezceremonialnie, że ewidentnie cierpię na zespół stresu pourazowego, i ta uwaga skierowała mnie na właściwą drogę.

Pomagała mi również medytacja. Pozwalała wyciszyć gorączkowe myśli, przynosiła mi ukojenie. Nie należałem do osób, które się modlą, moim Bogiem wciąż była Natura, ale w najtrudniejszych chwilach po prostu zamykałem oczy i siedziałem nieruchomo. Czasami prosiłem też o pomoc, choć nie byłem pewien, do kogo w gruncie rzeczy się zwracam.

Zdarzało się jednak, że odczuwałem czyjąś obecność.

Dobrze też działały na mnie psychodeliki. Eksperymentowałem z nimi przez lata dla przyjemności, a teraz zacząłem ich używać terapeutycznie, jako substancji leczniczych. Nie tylko pozwalały mi choć na chwilę uciec od rzeczywistości, lecz także przedefiniować samą rzeczywistość. Pod ich wpływem byłem w stanie wyzbyć się sztywnych, z góry przyjętych sądów, zobaczyć, że poza moim mocno ograniczonym oglądem rzeczywistości istnieje inny świat, który jest równie prawdziwy i niesamowicie piękny. Świat, w którym nie było czerwonej mgły przed oczami ani powodów, żeby znów zaćmiła mi wzrok. Istniała tam tylko prawda.

Nawet gdy psychodeliki przestawały działać, wspomnienie tamtego świata wciąż było we mnie żywe: czułem, że musi być coś więcej. Wszyscy wielcy prorocy i filozofowie mówią, że nasze doczesne życie to tylko złudzenie. Zawsze uważałem, że jest w tym wiele prawdy. Jak sporo jednak dla mnie znaczyło, że dzięki kawałeczkowi grzyba lub łykowi ayahuaski mogłem samemu tego doświadczyć.

Ale najskuteczniejszym lekarstwem okazała się praca. Pomaganie ludziom, próby czynienia dobra na świecie, działania skupione na innych, a nie na samym sobie. To była właściwa droga. Afryka i Igrzyska Niezwyciężonych od dawna były najbliższymi mojemu sercu sprawami. Ale teraz chciałem zaangażować się w nie jeszcze mocniej. Przez miniony rok rozmawiałem z pilotami śmigłowców, weterynarzami, strażnikami leśnymi i wszyscy powtarzali, że toczy się właśnie wojna o ocalenie naszej planety. Wojna, powiadacie?

Wobec tego zgłaszam się na ochotnika.

Był tylko jeden mały szkopuł: Willy. Jak sam mówił, Afryka była jego dominium. Miał prawo tak powiedzieć, a przynajmniej tak mu się wydawało, ponieważ był Następcą. A zatem zawsze mógł zawetować moje działania i zamierzał nie tylko skorzystać z tego prawa, ale nawet nagiąć je do własnych potrzeb.

Opowiadałem Teej i Mike'owi, że w sprawie Afryki kłóciliśmy się z Willym nie na żarty. Pewnego razu w dzieciństwie o mało nie pobiliśmy się na oczach naszych kolegów, synów Emilie i Hugh.

– Dlaczego obaj nie możecie zajmować się Afryką? – zapytał jeden z nich.

Willy wpadł w szal i rzucił się na chłopaka za to, że w ogóle ośmielił się wyjść z taką propozycją.

– Bo nosorożce i słonie należą do mnie!

To było takie oczywiste. Nie interesowało go znalezienie własnej pasji życiowej, chodziło mu tylko o to, żeby wygrać w odwiecznej rywalizacji ze mną.

Po kilku dość burzliwych dyskusjach okazało się, że Willy czuł się dotknięty, wręcz upokorzony tym, że to mnie, a nie jego zaproszono na wyprawę na biegun północny. Jednocześnie bez przerwy zapewniał, że sam uprzejmie ustąpił mi miejsca i pozwolił mi jechać, a nawet że wyraził zgodę na moją pracę z rannymi na wojnie żołnierzami.

– Oddałem ci weteranów, dlaczego więc nie pozwolisz mi zatrzymać słoni i nosorożców?

Skarżyłem się Teej i Mike'owi, że wreszcie znalazłem swoją drogę, odkryłem coś, co może – i to w bardziej trwały sposób – wypełnić pustkę, jaką odczuwałem po odejściu z wojska, zaś Willy musiał stanąć mi na drodze.

Oboje byli zdumieni.

– Nie poddawaj się – mówili. – W Afryce znajdzie się miejsce dla was obu. Obaj możecie jej pomóc.

Za ich namową wyruszyłem więc na czteromiesięczną wyprawę, podczas której zamierzałem dowiedzieć się jak najwięcej o toczącej się w Afryce wojnie o kość słoniową. Odwiedziłem Botswanę, Namibię, Tanzanię, Republikę Południowej Afryki. Pojechałem do Parku Narodowego Krugera, rozległego obszaru suchej, spalanej słońcem ziemi wielkości Izraela. W wojnie prowadzonej z kłusownikami

miejsce to stanowiło pierwszą linię frontu. Tutejsza populacja nosorożców, zarówno białych, jak i czarnych, gwałtownie się kurczyła na skutek działalności armii kłusowników opłacanych przez chińskie i wietnamskie syndykaty zbrodni. Jeden róg nosorożca przynosił ogromne zyski, dlatego na jednego aresztowanego kłusownika przypadało pięciu nowych chętnych zająć jego miejsce.

Nosorożce czarne były rzadziej spotykane – a co za tym idzie, ich rogi miały większą wartość rynkową – ale również bardziej niebezpieczne. Jako zwierzęta roślinożerne żyły głównie w gęstych zaroślach, a zapuszczanie się w ich głąb mogło skończyć się dla człowieka śmiercią. Zwierzęta nie wiedziały przecież, że próbujemy im pomóc. Kilka razy musiałem uciekać przed szarżującym nosorożcem i miałem szczęście, że udało mi się ujść z życiem. (Mała rada: zawsze trzeba wiedzieć, gdzie znajduje się najbliższe drzewo, ponieważ czasem trzeba uchwycić się gałęzi). Znałem ludzi, którzy nie mieli tyle szczęścia.

Nosorożce białe są łagodniejsze i jest ich więcej, lecz właśnie ze względu na ich potulność ten stan zapewne nie utrzyma się długo. Są przeżuwaczami i dlatego żyją na otwartych trawiastych równinach, gdzie łatwiej je zauważyć i łatwiej zastrzelić.

Brałem udział w niezliczonych patrolach antykłusowniczych. Podczas kilku dni spędzonych w Parku Krugera niemal zawsze docieraliśmy na miejsce spóźnieni. Widziałem pewnie ze czterdzieści podziurawionych kulami ciał nosorożców.

Jak się dowiedziałem, w innych częściach RPA kłusownicy nie zawsze strzelają do nosorożców. Naboje są drogie, a huk wystrzałów zdradza pozycje kłusujących. Używają więc strzałek ze środkiem usypiającym, a kiedy zwierzę jest nieprzytomne, odcinają róg. Po przebudzeniu pozbawiony rogu nosorożec zaszywa się w buszu i tam umiera.

Pewnego razu asystowałem przy bardzo długo trwającej operacji samicy nosorożca o imieniu Hope: weterynarze próbowali pozszywać rozerwane tkanki w otworze, w którym niegdyś znajdował się jej róg. Cały nasz zespół bardzo mocno to przeżył. Zastanawialiśmy się wszyscy, czy na pewno słusznie postąpiliśmy, próbując ją ratować. Biedna Hope cierpiała straszne męki.

Nie mogliśmy jednak pozostawić jej samej sobie.

Któregoś ranka wypatrywaliśmy ze śmigłowca kłusowników, zataczając szerokie kręgi nad Parkiem Krugera. Nagle zauważyłem najbardziej oczywistą oznakę ich obecności.

– Tam! – zawołałem.

Sępy.

Szybko zeszliliśmy na mniejszą wysokość.

Kiedy śmigłowiec wylądował, w powietrze wzbily się chmary sępów.

Wyskoczyliśmy z maszyny, na piaszczystej ziemi widać było ślady gwałtownej walki, łuski nabojev lśniły w słońcu. Wszędzie krew. Poszliśmy jej śladem w zarośla i znaleźliśmy olbrzymią samicę nosorożca białego z ogromną dziurą ziejącą w miejscu, w którym odcięto jej róg. Wzdłuż grzbietu zwierzęcia ciągnęły się rany. Naliczyłem piętnaście krwawych otworów.

Obok samicy leżało półroczne młode. Martwe.

Odtworzyliśmy, co dokładnie się stało. Kłusownicy trafili matkę, która razem z młodym rzuciła się do ucieczki. Następnie ścigali oba zwierzęta aż do tego miejsca. Samica wciąż była w stanie bronić lub osłaniać młode, więc kłusownicy unieruchomili ją, przetrącając jej kręgosłup ciosami siekier. Gdy wciąż jeszcze żyła, odrąbali jej róg.

Nie mogłem wydusić z siebie ani słowa. Z rozgrzanego błękitnego nieba prażyło słońce.

Mój ochroniarz zapytał jednego ze strażników:

– Które zginęło pierwsze: młode czy matka?

– Trudno powiedzieć.

– Myślicie, że kłusownicy są niedaleko? – zapytałem. – Damy radę ich wytropić?

– Wykluczone.

Nawet gdyby przebywali gdzieś w pobliżu, to jak szukanie igły w stogu siana.

Na północy, w Namibii, gdzie szukaliśmy żyjących na pustyni nosorożców, spotkałem sympatycznego lekarza weterynarii, który zajmował się badaniem lwów.

W tej części Namibii były one mocno tępione, ponieważ często zapuszczały się na pola uprawne. Poznany przez nas lekarz tropił je, usypiał, a następnie sprawdzał ich stan zdrowia i śledził trasy wędrówek. Obiecał, że da nam znać, jeśli trafi na trop jakiegoś lwa.

Wieczorem rozbiliśmy obóz przy wyschniętym korycie strumienia. Wszyscy zaszyli się w namiotach albo zamknęli w samochodach, a ja rozwinąłem przy ognisku karimatę i położyłem się, przykrywając się jedynie cienkim kocem.

Wszyscy sądzili, że żartuję.

– W okolicy roi się od lwów, szefie.

– Nic mi nie będzie. Nocowałem tak setki razy – uspokajałem ich.

Okolo północy zabręczało radio. Tropiciel lwów. Znajdował się cztery kilometry od nas i właśnie uspił dwa lwy.

Wskoczyliśmy do land cruisera i popędziliśmy we wskazanym przez lekarza kierunku. Przydzieleni nam namibijscy żołnierze uparli się, że pojedą z nami. Podobnie jak miejscowi policjanci. Pomimo kompletnych ciemności bez trudu znaleźliśmy naszego badacza. Stał obok dwóch olbrzymich lwów. Zwierzęta leżały na brzuchach, z ciężkimi głowami opartymi na potężnych łapach. Mężczyzna skierował na nie latarkę. Ujrzelśmy, jak ich piersi unoszą się i opadają w spokojnym oddechu.

Ukląknęłam przy samicy, dotknąłem jej sierści, spojrzałem w półprzymknięte bursztynowe oczy. Nie potrafię tego w żaden sposób wyjaśnić, ale... czułem, że ją znam.

Gdy się podniosłem, jeden z namibijskich żołnierzy przeszedł szybko obok mnie i kucnął przy drugim z lwów. Wyciągnął przed siebie karabinek i poprosił, żeby któryś z kolegów zrobił mu zdjęcie. Jakby właśnie sam zastrzelił tego lwa.

Miałem już coś powiedzieć, ale Billy Rock mnie uprzedził i kazał żołnierzowi spierdalać.

Żołnierz oddalił się chyłkiem z posępną miną.

Odwróciłem się, żeby porozmawiać z lekarzem. Nagle coś błysnęło. Obejrzałem się za siebie, żeby zobaczyć, który z żołnierzy zrobił zdjęcie telefonem, i usłyszałem, jak wszyscy wokół wydali z siebie stłumiony jęk.

Przede mną stała lwica. W całej okazałości.

Ruszyła chwiejnie przed siebie.

– W porządku – powiedział lekarz. – W porządku.

Lwica upadła na ziemię, tuż przy moich stopach.

Słodkich snów, księżniczko.

Spojrzałem w lewo, w prawo. Wokół mnie nie było nikogo. Wszyscy żołnierze pochowali się w ciężarówkach. Ten, który pozował z karabinem, w pośpiechu zamykał właśnie okno. Nawet Billy Rock zrobił pół kroku w tył.

– Przepraszam za to – powiedział lekarz.

– Nie ma sprawy.

Wróciliśmy do obozu. Wszyscy ponownie ułożyli się do snu w namiotach i samochodach.

A ja znowu wyciągnąłem się przy ognisku na karimacie.

– No bez żartów, szefie – mówili wszyscy. – A co z lwami? Przecież sami właśnie widzieliśmy, że kręcą się w okolicy.

– E tam. Ta lwica nikomu nie robi krzywdy.

Mało tego, pewnie jeszcze czuwała nad naszym bezpieczeństwem.

86

W styczniu 2016 roku, wraz z dwoma dobrymi kumplami, ponownie wybrałem się do Ameryki.

Thomas spotykał się z kobietą, która mieszkała w Los Angeles, więc najpierw zatrzymaliśmy się u niej w domu. Urządziła dla nas przyjęcie powitalne i zaprosiła niedużą grupkę znajomych. Wszyscy mieliśmy takie samo podejście do alkoholu, to znaczy pochłanialiśmy go w dużych ilościach, w krótkim czasie.

Różniliśmy się jednak co do ulubionych trunków.

Jak na typowego Angoła przystało, poprosiłem o gin z tonikiem.

– Nie ma mowy – powiedzieli ze śmiechem Amerykanie. – Jesteś w Stanach, chłopie, więc napij się czegoś porządnego. Spróbuj tequili.

Tequila nie była mi wcale obca. Ale zwykle piłem ją w nocnych klubach, kiedy zabawa trwała już na całego. Teraz zaś zaproponowali mi jakąś markową, prima sort tequilę i uczyli mnie, na ile sposobów można ją pić. Bez przerwy podawano mi

kieliszki z tequilą w każdej możliwej postaci. Czystą. Z lodem. Margaritę. Z odrobiną wody gazowanej i limonką.

Wypiłem to wszystko, co do kropli, i zacząłem się czuć cholernie dobrze.

Pomyślałem sobie, że lubię tych Amerykanów. I to bardzo.

Ostatnimi czasy ciężko było mieć proamerykańskie nastawienie. Większość świata za nimi nie przepadała. A już z pewnością Brytyjczycy. Większość Brytyjczyków nienawidziła wojny w Afganistanie i miała za złe Amerykanom, że nas w nią wciągnęli. Część osób była wręcz zapiekła w swoich antyamerykańskich postawach. Pamiętałem, jak w dzieciństwie niektórzy bez przerwy przestrzegali mnie przed Amerykanami. Mieli być oni zbyt hałaśliwi, zbyt bogaci i zbyt radośni. Zbyt pewni siebie, zbyt bezpośredni i zbyt szczerzy.

Nigdy się z tym nie zgadzałem. Według mnie Jankesi nigdy nie owijali w bawełnę i nie wydawali z siebie uprzejmych chrząknięć i pomruków, zanim w końcu przejdą do sedna. Cokolwiek myśleli, zawsze wykładali kawę na łąwę i choć czasami wynikały z tego rozmaite problemy, wołałem takie podejście od alternatywy.

Czyli powszechnego milczenia na temat tego, co się naprawdę czuje.

Niechęci do słuchania o emocjach innych osób.

Doświadczyłem tego, gdy miałem dwanaście lat. I jeszcze dotkliwiej doświadczałem tego obecnie, kiedy miałem lat trzydzieści jeden.

Przez cały dzień unosiłem się na różowej chmurce oparów tequili. Nie, „unosłem się” to niewłaściwe określenie. Pilotowałem tę różową chmurę, a gdy wreszcie nią wylądowałem – tak na marginesie, było to wzorowe lądowanie – obudziłem się bez kaca. Istny cud.

Na drugi dzień, choć nie pamiętam, z jakiego powodu, musieliśmy się przenieść gdzie indziej. Wylądowaliśmy w domu Courteney Cox, która była przyjaciółką dziewczyny Thomasa i miała u siebie więcej miejsca. Poza tym wyjechała gdzieś na plan zdjęciowy i nie miała nic przeciwko, żebyśmy się u niej zatrzymali.

Nie mogłem narzekać. Byłem fanatycznym wielbicielem *Przyjaciół*, więc perspektywa przenocowania w domu Moniki wydała mi się niezwykle pociągająca. I zabawna. Ale nagle... zjawiała się sama Courteney, czym wprawiała mnie w niemałe zakłopotanie. Czyżby jej zdjęcia zostały odwołane? Uważałem jednak,

że nie powinienem jej o to pytać. Ale co z nami: czy to znaczyło, że mamy się wynieść?

Courteney się uśmiechnęła.

– Ależ skąd, Harry. Miejsca jest tu pod dostatkiem.

Super. Ale w dalszym ciągu czułem się nieco speszony, ponieważ... miałem przed sobą Monicę. A ja byłem Chandlerem. Czy kiedykolwiek ośmielę się jej to wyznać? Czy w całej Kalifornii znajdę dość tequili, żeby zdobyć się na taką odwagę?

Wkrótce po powrocie do domu Courteney zaprosiła kolejnych gości. Rozpoczęła się następna impreza. Wśród nowo przybyłych znajdował się znajomo wyglądający facet.

– To aktor – powiedział mi jeden z kumpli.

– Tak, wiem, że to aktor. Tylko jak się nazywa?

Kolega nie mógł sobie przypomnieć.

Podszedłem więc do gościa i zacząłem z nim rozmawiać. Wydał mi się dość sympatyczny i od razu go polubiłem. Wciąż jednak nie mogłem sobie przypomnieć jego nazwiska ani w czym go widziałem, za to jego głos wydał mi się jeszcze bardziej znajomy.

– Skąd mogę kojarzyć tego faceta? – szepnąłem do kumpla.

Ten się roześmiał.

– Z *Batmana*.

– Słucham?

– To Batman.

Piłem właśnie trzecią lub czwartą tequilę i przez chwilę miałem niejakie kłopoty z przyswojeniem tej zaskakującej nowiny.

– Kurwa, no tak! *Lego Batman*. – Odwróciłem się do aktora i spytałem: – Szy to prawda?

– Ale... co takiego?

– Jesteś nim?

– Kim?

– Batmanem.

Uśmiechnął się.

– Tak.

Ale frajda móc coś takiego powiedzieć!

– Zrób to – poprosiłem.

– Co mam zrobić?

– Głos Batmana.

Przymknął oczy. Najwyraźniej nie miał ochoty, ale nie chciał być nieuprzejmy. Albo zrozumiał, że nie przestanę go o to zadreć. Wbił we mnie swoje lodowate niebieskie spojrzenie, odchrząknął i idealnie chropawym tonem powiedział:

– Witaj, Harry.

Byłem zachwycony.

– Jeszcze raz!

Spełnił moją prośbę. Tym razem wypadło to nawet lepiej.

Wybuchnęliśmy głośnym śmiechem.

Potem zaś, może chcąc się nas pozbyć, Batman zaprowadził mnie i mojego kumpla do lodówki, z której wziął dla siebie jakiś napój orzeźwiający. Przez otwarte drzwi zobaczyliśmy w środku wielkie pudełko czekoladek z grzybkami halucynogennymi.

Ktoś za moimi plecami powiedział, że są dla wszystkich.

– Częstujcie się, chłopaki.

Obaj z kumplem wzięliśmy kilka, pożarliśmy je łapczywie i popiliśmy tequilą.

Czekaliśmy, aż Batman też się nimi uraczy, ale najwyraźniej nie była to rzecz w jego guście.

– I jak ci się podoba? – pytaliśmy się nawzajem. Ten facet wpuścił nas do pieprzonej Batjaskini!

Wyszliśmy na zewnątrz, usiedliśmy przy palenisku i czekaliśmy.

Pamiętam, że jakiś czas później podniosłem się i wszedłem do domu, żeby skorzystać z ubikacji.

Poruszanie się po domu pełnym kanciastych nowoczesnych mebli i gładkich, szklanych powierzchni przychodziło mi z pewnym trudem. Poza tym światła były w większości przygaszone. Ale udało mi się zdążyć do toalety.

Ale cudownie urządzona, pomyślałem, zamykając za sobą drzwi.

Rozejrzałem się wokół.

Piękne mydełka do rąk. Czyste białe ręczniki. Drewniane belki.

Nastrojowe oświetlenie.

Jankesi znajdują się na rzeczy.

Obok sedesu znajdował się okrągły srebrny kosz z pokrywą podnoszoną za pomocą pedału. Wpatrywałem się w niego. A on zdawał się wpatrywać we mnie.

Chwila... czy on naprawdę mi się przygląda?

Potem kosz zamienił się... w głowę.

Nacisnąłem stopą na pedał i głowa rozwarła usta. W wielkim, szerokim uśmiechu.

Roześmiałem się, odwróciłem i zacząłem sikać.

Teraz i sedes wyglądał jak głowa. Miska sedesowa była wielką rozdziawioną paszczą, a zawiasy klapy – przeszywającymi srebrnymi oczami.

Głowa powiedziała:

– Aaaa.

Zrobiłem swoje, spuściłem wodę, zamknąłem głowie usta.

Odwróciłem się do srebrnego kosza, podniosłem pokrywę i nakarmiłem głowę paczką po papierosach, którą wyjąłem z kieszeni.

– Otwórz szeroko.

– Aaaa. Dzięki, kolego.

– Proszę bardzo.

Chichocząc, wyszedłem z toalety i poszedłem prosto do mojego kumpla.

– Co cię tak śmieszy? – spytał.

Powiedziałem mu, że jak pójdzie zaraz do ubikacji, przeżyje tam coś niezapomnianego.

– Co takiego?

– Nie potrafię tego opisać. Sam musisz to zobaczyć. Poznanie Batmana błędnie w porównaniu z tym, czego tam doświadczyłem.

Kolega miał na sobie dużą puchową kurtkę z futrzanym kołnierzem, dokładnie taką, jaką nosiłem podczas wypraw na biegun północny i południowy. Nie

zdejmując jej, pomaszerował do ubikacji.

A ja poszedłem po kolejną tequilę.

Po kilku minutach kolega zjawił się z powrotem. Twarz miał bladą jak płótno.

– Co się stało?

– Nie chcę o tym rozmawiać.

– No powiedz.

– Moja kurtka... zamieniła się w smoka.

– W smoka? W kibelku?

– I próbowała mnie pożreć.

– O rany.

– Posłałeś mnie do smoczej jamy.

– Cholera. Przepraszam cię, stary.

Mój cudowny odlot okazał się dla niego koszmarem.

Dość niefortunnie się złożyło. Za to jak ciekawie.

Wyprowadziłem go ostrożnie na zewnątrz i zapewniłem, że wszystko będzie w porządku.

87

Następnego dnia poszliśmy na imprezę do innego domu. Był położony w głębi łądu, choć w powietrzu wciąż unosił się zapach oceanu.

Było tam jeszcze więcej tequili i więcej nowych osób do poznania.

I jeszcze więcej grzybków.

W pewnym momencie zaczęliśmy wszyscy grać w kalambury. Ktoś podał mi jointa. Cudownie. Wziąłem bucha, wpatrując się w kremowy błękit kalifornijskiego nieba. Ktoś klepnął mnie w ramię i powiedział, że chce mi przedstawić Christinę Aguilere. O, cześć, Christino. Przede mną stał jednak mężczyzna. Najwyraźniej źle usłyszałem, nie chodziło o Christinę Aguilere, ale o gościa, który był współautorem jednej z jej piosenek. *Genie in a Bottle*.

Czy znałem jej słowa? A czy możesz mi je przypomnieć?

„Jestem dżinem uwięzionym w butelce,

Wystarczy potrzebę, żeby mnie uwolnić”.

Facet zarobił na tym kawałku górę forsy i teraz żył wystawnie.

– Moje gratulacje, chłopie.

Zostawiłem go samego, ruszyłem przez podwórko i tu na jakiś czas moja pamięć się urywa. Niewyraźnie przypominam sobie kolejną imprezę... tego samego dnia? Następnego?

W końcu dotarliśmy z powrotem do domu Moniki. Znaczą się, Courteney. Była noc. Zszedłem po schodach na plażę, stanąłem ze stopami zanurzonymi w wodzie i przyglądałem się, jak spienione fale obmywają brzeg, po czym cofają się i znów podpływają. Miałem wrażenie, że stałem tak całe wieki. Przenosiłem wzrok z wody na niebo i z powrotem.

Potem zacząłem się wpatrywać prosto w księżyc.

Wydawało mi się, że do mnie mówi.

Jak kosz na śmieci i sedes.

Co takiego mówił?

Że najbliższy rok będzie dla mnie pomyślny.

– W jakim sensie?

– Stanie się coś ważnego.

– Serio?

– O tak.

– A nie będzie po prostu taki sam jak poprzednie?

– Nie, zdarzy się coś wyjątkowego.

– Nie ściemniasz, łysy?

– Ależ skąd.

– Proszę, nie okłamuj mnie.

Zbliżałem się do wieku, w którym tata się ożenił, a przecież wszyscy uważali, że nastąpiło to strasznie późno. Gdy miał trzydzieści dwa lata, naśmiewano się z niego, że nie potrafi lub nie chce znaleźć sobie żony.

A mnie właśnie w tym roku stukną trzydzieści dwa lata.

– Coś się musi zmienić. Dobrze?

– Obiecuję ci.

Otworzyłem usta w kierunku nieba i księżyca.

W stronę przyszłości.

– Aaaaa.

CZĘŚĆ III

KAPITAN
DUSZY SWOJEJ^[11]

CZĘŚĆ III

KAPITAN
DUSZY SWOJEJ¹¹



Siedziałem właśnie w Nott Cott i przeglądałem Instagram, gdy nagle wyświetliło mi się wideo z moją przyjaciółką Violet. I jakąś młodą kobietą.

Na nagraniu bawiły się nową aplikacją pozwalającą nakładać na zdjęcia śmieszne filtry. Violet i jej towarzyszka miały więc psie uszy, psie nosy, a z ust zwisały im długie czerwone psie jęzory.

Pomimo tej śmiesznej psiej animacji nagle cały się wyprostowałem.

Ta kobieta obok Violet... mój Boże.

Obejrzałem wideo kilka razy, aż w końcu zmusiłem się do odłożenia telefonu.

Po chwili wziąłem go i obejrzałem nagranie ponownie.

Zjeździłem cały świat, dosłownie z góry na dół. Skakałem z kontynentu na kontynent. Spotkałem setki tysięcy osób, moje ścieżki przecięły się z niewiarygodnie liczną grupą ludzi spośród siedmiu miliardów mieszkańców tej planety. Przez trzydzieści dwa lata oglądałem przesuwające się jak na taśmociągu twarze kolejnych ludzi, a jedynie garstka z nich zainteresowała mnie na tyle, żebym spojrział na nie po raz drugi. Ta kobieta zaś sprawiła, że taśmociąg się zaciął. Roztrzaskała go na kawałki.

Nigdy dotąd nie widziałem kogoś tak pięknego.

Dlaczego na widok piękna zapiera nam dech? Czy ma to coś wspólnego z wrodzonym ludzkim pragnieniem porządku? Czy nie tak właśnie twierdzą naukowcy? I artyści? Że piękno to symetria i dlatego stanowi wytchnienie od otaczającego nas chaosu? Moje życie jak dotąd było niezwykle chaotyczne. Nie przeczę, tęskniłem za porządkiem, szukałem odrobiny piękna. Wróciłem właśnie z tatą, Willym i Kate z podróży do Francji, gdzie wzięliśmy udział w uroczystościach z okazji rocznicy bitwy nad Sommą, oddaliśmy hołd poległym brytyjskim żołnierzom, a ja odczytałem poruszający wiersz zatytułowany *Przed*

walką. Napisał go żołnierz, który dwa dni po jego publikacji w prasie zginął na polu bitwy. Wiersz kończył się słowami: „Pomóż mi umrzeć, dobry Boże”.

Gdy odczytywałem go na głos, dotarło do mnie, że nie chcę umierać. Chciałem żyć.

Było to wówczas dla mnie dość zdumiewające odkrycie.

Ale uroda tej kobiety i moja reakcja na nią nie wynikały jedynie z symetryczności jej rysów twarzy. Biła od niej energia, nieokiełznana radość i pewna figlarność. A w tym, jak się uśmiechała, jak reagowała na wygłupy Violet, jak patrzyła w kamerę, widać było pewność siebie, swobodę. Traktowała życie niczym wielką przygodę. Jakim zaszczytem byłoby towarzyszyć jej w tej podróży.

Wszystko to wyczytałem z samej jej twarzy. Z jej pełnej blasku anielskiej twarzy. Nigdy nie miałem wyrobionej opinii na temat tego, czy na każdego z nas czeka w życiu ta jedna jedyna osoba. Ale w tej chwili miałem wrażenie, że właśnie ją znalazłem.

Wysłałem Violet wiadomość: „Kim jest ta kobieta?”.

Odpisała od razu: „Już sześciu innych facetów mnie o to pytało”.

Super, pomyślałem.

„Ale kim ona jest, Violet?”

„Aktorką. Gra w *W garniturach*”.

To był serial o prawnikach, grała tam młodą praktykantkę w firmie prawniczej.

„Amerykanka?”

„Tak”.

„Co robi w Londynie?”

„Przyjechała na Wimbledon”.

„Więc co robi u Ralpa Laurena?”

Violet pracowała u Ralpa Laurena.

„Przymiarki ubrań. Jeśli chcesz, mogę was ze sobą skontaktować”.

„Uhm. Mogłabyś?”

Violet spytała, czy może przekazać Amerykance nazwę mojego profilu na Instagramie.

„No pewnie”.

Był piątek, 1 lipca. Na drugi dzień rano miałem wyjechać z Londynu do domu sir Keitha Millsa i na jego jachcie wziąć udział w regatach żeglarskich wokół wyspy Wight. Pakując ostatnie rzeczy do torby podróźnej, zerknąłem na telefon.

Dostałem wiadomość na Instagramie.

Od kobiety.

Tej Amerykanki.

„Cześć!”

Napisała, że namiary na mnie otrzymała od Violet, i skomplementowała mój profil na Instagramie: „Piękne zdjęcia”.

„Dziękuję”.

Znajdowały się tam głównie fotki z Afryki. Wiedziałem, że ona też była w tamtych rejonach, ponieważ widziałem na Instagramie jej zdjęcia z goryłami w Rwandzie.

Napisała, że prowadziła tam również akcję pomocy dzieciom. Podzieliliśmy się przemyśleniami na temat Afryki, fotografowania i podróży.

W końcu wymieniliśmy się numerami telefonów i do późnej nocy kontynuowaliśmy rozmowę za pośrednictwem esemesów. Rankiem wyszedłem z Nott Cott i wsiadłem do samochodu, ani na chwilę nie przerywając esemesowania. Pisałem z nią przez całą długą drogę do domu sir Keitha, a także idąc holem – „Dzień dobry, sir Keith, miło pana widzieć” – oraz po schodach do pokoju gościnnego, w którym się zamknąłem i pisałem dalej. Siedziałem na łóżku i esemesowałem jak nastolatek do czasu, aż musiałem zejść na obiad z sir Keithem i jego rodziną. Ale zaraz po deserze szybko wróciłem na górę i znów rzuciłem się do telefonu.

Nie nadążałem z pisaniem. W kciukach zaczęły łapać mnie skurcze. Mieliśmy sobie tyle do powiedzenia, tak wiele nas łączyło, choć pochodziliśmy z zupełnie różnych światów. Ona była Amerykanką, ja – Anglikiem. Ona była dobrze wykształcona, ja – bynajmniej. Ona była swobodnym ptakiem, ja tkwiłem w pozłacanej klatce. Pomimo to żadna z tych różnic nie wydawała się niemożliwa do pokonania ani nawet szczególnie istotna. Wręcz przeciwnie – były one czymś naturalnym i ożywym. W mojej głowie kłębiły się sprzeczne myśli:

Hej... ja cię znam.

Ale także: muszę lepiej cię poznać.

Hej, znam cię chyba od zawsze.

Ale także: od dawna szukałem kogoś takiego jak ty.

Hej, dzięki Bogu, że się pojawiłaś.

Ale też: dlaczego tak długo to trwało?

Z pokoju gościnnego w domu sir Keitha roztaczał się widok na ujście rzeki. Wielokrotnie podczas tej esemesowej korespondencji podchodziłem do okna i wyglądałem na zewnątrz. Ten widok przywodził mi na myśl Okawango. Zacząłem rozmyślać o roli przypadku i szczęśliwego trafu. Obraz rzeki wpadającej do morza, ziemi łączącej się z niebem wzmagął we mnie niejasne przeczucie, że splatają się tutaj ważne sprawy.

Nagle przyszło mi do głowy, jak niezwykle, surrealistyczne i przedziwne było to, że ten esemesowy maraton rozpoczął się akurat 1 lipca 2016 roku.

W pięćdziesiąte piąte urodziny mojej matki.

Późno w nocy, w oczekiwaniu na odpowiedź od mojej amerykańskiej znajomej, wpisałem jej nazwisko do Google'a. Wyświetliły się setki zdjęć, a na każdym wyglądała jeszcze bardziej olśniewająco. Ciekawe, czy ona też mnie zgooglowała. Oby nie.

Zanim położyłem się spać, zapytałem ją, jak długo zamierza pozostać w Londynie. Cholera – wkrótce wyjeżdżała. Musiała wracać do Kanady, żeby dokończyć kręcić serial.

Spytałem, czy możemy się spotkać przed jej wyjazdem.

Wpatrywałem się w telefon, czekając na odpowiedź, a na ekranie migwały w nieskończoność trzy kropki.

...

W końcu odpisała: „Jasne!”.

Ekstra. Tylko gdzie się z nią umówić?

Zaproponowałem u mnie w domu.

„U ciebie? Na pierwszej randce?! Nie sądzę”.

„Nie, nie o to mi chodziło”.

Nie zdawała sobie sprawy, że jako członek rodziny królewskiej byłem jak napromieniowany i nie mogłem tak po prostu umówić się z nią w kawiarni albo w pubie. Nie chciałem zanadto wdawać się w wyjaśnienia, więc próbowałem jej

pokrętnie wytłumaczyć, jakie ryzyko wiąże się z tym, że ktoś nas zobaczy razem. Nie wyszło mi to najlepiej.

Zaproponowała więc inne rozwiązanie. Klub Soho House przy Dean Street 76. Zatrzymywała się tam za każdym razem, gdy przyjeżdżała do Londynu. Zarezerwuj dla nas stolik w ustronnej sali.

Nikt tam nie będzie nam przeszkadzał.

Stolik miał być zarezerwowany na jej nazwisko.

Meghan Markle.

2

Po tym, jak przez pół nocy wymienialiśmy esemesy, aż jęknąłem, gdy o świcie zadzwonił budzik. Pora wsiąść na łódź sir Keitha. W gruncie rzeczy czułem jednak ulgę z tego powodu. Regaty żeglarskie były jedyną gwarancją tego, że wreszcie odłożę telefon.

A musiałem go odłożyć, chociaż na pewien czas, żeby zebrać myśli.

Odzyskać spokój.

Łódź sir Keitha nazywała się Invictus. W hołdzie dla Igrzysk Niezwycięzonych, niech Bóg mu wynagrodzi. Tego dnia jej załoga składała się z jedenastu członków, w tym z dwóch sportowców, którzy kiedyś uczestniczyli w igrzyskach. W ciągu trwającego pięć godzin wyścigu okrążyliśmy przylądek Needles i skierowaliśmy się pod wiatr. Wiało jednak tak mocno, że część łodzi wycofała się z rywalizacji.

Żeglowałem wcześniej już wiele razy – pamiętam na przykład cudowne wakacje z Hennersem, kiedy dla śmiechu próbowaliśmy wywrócić do góry dnem naszą małą żaglówkę klasy Laser – ale nigdy w takich warunkach, na otwartym morzu, przy szkwałowych podmuchach wiatru. Fale były ogromne. Wcześniej nie bałem się śmierci, ale teraz zacząłem się modlić: proszę, obym tylko nie utonął przed moją wielką randką. Potem doszła kolejna obawa: jak się wysikać, gdy na pokładzie nie ma ubikacji? Wstrzymywałem się tak długo, jak to tylko możliwe, aż nie miałem wyjścia. Wysunąłem się lekko poza burzę, stanąłem prosto nad wzburzonym morzem... lecz nie mogłem wydusić ani kropli. Głównie z powodu tremy, ponieważ przyglądała mi się cała załoga.

W końcu wróciłem na swoje stanowisko, z zakłopotaniem chwyciłem się lin i zsikałem się w spodnie.

Rety, gdyby tylko pani Markle mogła mnie teraz zobaczyć.

Nasza łódź wygrała w swojej klasie, w klasyfikacji generalnej zajęliśmy drugie miejsce.

– Hurra! – zawołałem, nawet się nie zatrzymując, żeby uczcić ten sukces z sir Keithem i resztą załogi. Chciałem jak najszybciej wskoczyć do wody, zamaskować mokrą plamę na spodniach i czym prędzej wrócić do Londynu, gdzie czekał mnie o wiele ważniejszy, decydujący wyścig.

3

Tkwiłem w straszliwym korku. Był niedzielny wieczór i ludzie wracali do Londynu z weekendowych wypadów na wieś. Poza tym musiałem się przebić przez Piccadilly Circus, co nawet o najbardziej dogodnej porze stanowiło koszmar. Zwężenia jezdni, roboty drogowe, wypadki – napotykałem każdą przeszkodę, jaką tylko można sobie wyobrazić. Raz po raz samochód, którym jechałem ze swoimi ochroniarzami, zatrzymywał się i po prostu stał w miejscu. A my siedzieliśmy. Pięć minut. Dziesięć.

Pocąc się i utyskując, próbowałem w duchu poganiać nieruchomy sznur samochodów: No dalej! Ruszcie się!

W końcu, nie mogąc już dłużej tego odwlekać, wysłałem esemesa: „Przepraszam, nieco się spóźnię”.

Ona była już na miejscu.

„Potworne korki” – dodałem na usprawiedliwienie.

„Okej” – odpisała.

Przestraszyłem się, że nie poczeka na mnie.

– Ona zaraz stamtąd pójdzie – zwróciłem się do ochroniarzy.

Gdy sunęliśmy w kierunku restauracji, wysłałem kolejnego esemesa: „Jedziemy, ale wciąż dość wolno”.

„Nie możesz po prostu wysiąść?” – zapytała.

Jak by to wytłumaczyć? Nie, nie mogłem wysiąść. Nie mogłem tak po prostu biegać po londyńskich ulicach. To zupełnie jakby biegała po nich lama. Wywołałoby to nie lada zamieszanie i z punktu widzenia bezpieczeństwa byłaby to prawdziwa katastrofa, nie wspominając o zainteresowaniu mediów, jakie by to wzbudziło. Gdyby zauważono mnie, jak wbiegam do Soho House, moglibyśmy zapomnieć o jakiegokolwiek prywatności.

Poza tym towarzyszyło mi trzech ochroniarzy. Nie mogłem nagle kazać im uczestniczyć w zawodach lekkoatletycznych.

Trudno jednak było wytłumaczyć to wszystko w esemesie, więc po prostu... nie odpowiadałem. Czym na pewno nieco ją zirytowałem.

Wreszcie przybyłem na miejsce. Czerwony na twarzy, spocony, ciężko dysząc, wbiegłem z pół godziny po czasie do restauracji, wszedłem do prywatnej sali i ujrzałem ją siedzącą na niskiej aksamitnej kanapie przy niewysokim stoliku kawowym.

Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się.

Przeprosiłem ją z całego serca. Nie mieściło mi się w głowie, jak ktokolwiek mógłby kazać tej kobiecie na siebie czekać.

Usiadłem na kanapie i ponownie ją przeprosiłem.

Odparła, że mi wybacz.

Piła piwo w stylu IPA. Poprosiłem więc o peroni. Wprawdzie nie miałem ochoty na piwo, ale uznałem, że tak będzie najwygodniej.

Zapadło milczenie. Przyglądaliśmy się sobie nawzajem.

Miała na sobie czarny sweter, dzinsy i szpilki. Nie miałem pojęcia o modzie, ale wiedziałem, że jest elegancko ubrana. Wiedziałem też jednak, że cokolwiek by włożyła, we wszystkim wyglądałaby elegancko. Nawet w worku parcianym. Moją uwagę zwróciła przede wszystkim kolosalna różnica między jej wizerunkiem w internecie a rzeczywistością. Widziałem wiele jej zdjęć z sesji fotograficznych i występów w telewizji, na wszystkich prezentowała się efektownie i z dużym szykiem, a teraz siedziała obok we własnej osobie, bez żadnych filtrów czy innych bajerów... i była jeszcze piękniejsza. Tak piękna, że serce omal nie wyskoczyło mi z piersi. Starłem się jakoś to wszystko oswoić, zrozumieć, co się dzieje z moim organizmem, i w efekcie mój umysł doznał chwilowego zaćmienia. Konwersacja,

uprzejmości, podstawowe reguły gramatyki – wszystko to stanowiło dla mnie wyzwanie.

Na szczęście ona przejęła inicjatywę. Zaczęła opowiadać o Londynie, o tym, że bywa tu bez przerwy. Czasami, gdy wyjeżdżała stąd na kilka tygodni, po prostu zostawiała swoje rzeczy w Soho House. Przechowywano je tu bez problemu. Tutejszy personel był dla niej niczym rodzina.

Jak to możliwe, że nigdy jej nie spotkałem, skoro tak często bywała w Londynie? Mniejsza z tym, że w Londynie mieszka dziewięć milionów ludzi, a ja rzadko wychodzę z domu. Miałem poczucie, że skoro ona tutaj bywała, powinienem o tym wiedzieć. Ktoś powinien mnie o tym poinformować!

– Co tak często cię tu sprowadza?

– Przyjaciele. Interesy.

– Naprawdę? Interesy?

Wyjaśniła, że jej głównym zajęciem jest aktorstwo i z tego jest powszechnie znana, ale jej kariera zawodowa nie ograniczała się tylko do grania. Była także blogerką lifestyle’ową i podróżniczą, ambasadorką różnych organizacji, bizneswoman, aktywistką i modelką. Zjeździła cały świat, mieszkała w wielu krajach, pracowała dla ambasady Stanów Zjednoczonych w Argentynie – jej życiorys przyprawiał o zawrót głowy.

– Wszystko to jest częścią planu – stwierdziła.

– Planu?

– Pomocy ludziom, robienia dobrych rzeczy, życia pełną piersią.

Zjawiła się kelnerka. Miała na imię Mischa. Do tego wschodnioeuropejski akcent, nieśmiały uśmiech, mnóstwo tatuaży. Zapytaliśmy o nie i Mischa z radością wyjaśniła nam, co przedstawiają. Rozmowa z nią pozwoliła nam obojgu na zaczerpnięcie oddechu i zebranie myśli, a Mischa chyba zdawała sobie sprawę z roli, jaką odgrywała, i chętnie się jej podjęła. Byłem jej za to ogromnie wdzięczny.

Gdy Mischa odeszła, rozmowa z Meghan potoczyła się już gładko. Zniknęło początkowe skrępowanie, wróciła serdeczna atmosfera z naszych esemesowych wymian. Każde z nas było kiedyś na pierwszej randce, na której trudno znaleźć temat do rozmowy, ale teraz oboje czuliśmy tę szczególną ekscytację, jaka

towarzyszy nam, gdy mamy sobie tyle do powiedzenia z drugą osobą, a za mało czasu, żeby powiedzieć wszystko, co byśmy chcieli.

A skoro o czasie mowa... nasz właśnie dobiegł końca.

– Przykro mi, muszę już lecieć – oznajmiła, zbierając swoje rzeczy.

– Już? Tak szybko?

– Jestem umówiona na kolację.

Gdybym się nie spóźnił, moglibyśmy spędzić ze sobą więcej czasu. Przeklinając się w duchu, podniosłem się z kanapy.

Objęliśmy się szybko na pożegnanie.

Powiedziałem, że zajmę się rachunkiem, ona zaś zaproponowała, że w takim razie wyśle Violet kwiaty z podziękowaniami.

– Piwonie – dodała.

Roześmiałem się.

– W porządku. Do zobaczenia.

– Do zobaczenia.

Puf, i już jej nie było.

W porównaniu z nią Kopciuszek był królową długich pożegnań.

4

Później miałem w planach spotkać się z kumplem. Zadzwoiłem więc do niego i powiedziałem, że już jadę, a pół godziny później wparowałem do jego mieszkania przy King's Road.

Obrzucił mnie tylko spojrzeniem i spytał:

– Co się stało?

Nie chciałem mu o tym opowiadać. Wciąż sobie powtarzałem: tylko nic nie mów. Nic nie mów. Nic nie mów.

Ale i tak wszystko mu powiedziałem.

Zrelacjonowałem mu przebieg całej randki, po czym zapytałem błagalnym tonem:

– Cholera, stary, co mam robić?

Kumpel wyjął tequilę. Potem trawkę. Piliśmy, jaraliśmy i oglądaliśmy...
W głowie się nie mieści.

Film animowany... o emocjach. Cudownie. Tytuł zresztą doskonale oddawał to, jak się właśnie czułem.

Potem ogarnęły mnie jednak spokój i oświecenie.

– Niezłe zioło, stary.

Nagle zadzwonił mój telefon.

– O cholera. – Wyciągnąłem go w stronę kumpla. – To ona.

– Kto?

– ONA.

Tyle że wcale nie dzwoniła. Chciała połączyć się przez FaceTime'a.

– Halo?

– Cześć.

– Co porabiasz?

– Yy, siedzę z kumplem.

– Co tam leci w tle?

– Aa, to...

– Oglądacie kreskówki?

– Nie. Znaczą się tak jakby. To... *W głowie się nie mieści.*

Przeniosłem się do spokojniejszej części mieszkania. Ona była w swoim pokoju hotelowym. Zmyła z twarzy makijaż, a ja wypaliłem:

– Boże, uwielbiam twoje piegi.

Odetchnęła gwałtownie. Powiedziała, że za każdym razem, gdy ją fotografują, retuszują jej piegi.

– To chore. Twoje piegi są piękne.

Przeprosiła mnie, że musiała tak wcześnie wyjść. Nie chciała, żebym pomyślał, że źle się bawiła w moim towarzystwie.

Zapytałem, kiedy możemy się znów zobaczyć.

– We wtorek?

– We wtorek wyjeżdżam.

– Aha. To może jutro?

Chwila milczenia.

– Zgoda.

Umówiliśmy się na 4 lipca. Ponownie w Soho House.

5

Cały dzień spędziła na kortach Wimbledonu, kibicując swojej przyjaciółce Serenie Williams. W boksie Sereny zresztą. Napisała do mnie zaraz po zwycięskiej piłce, po raz kolejny, gdy wracała do hotelu, a także kiedy się przebierała i ponownie w drodze do Soho House.

Tym razem byłem już na miejscu i czekałem. Uśmiechnięty. Zadowolony z siebie.

Na jej widok podniosłem się i powiedziałem:

– Mam dla ciebie prezent.

Wyciągnąłem przed siebie różowe pudełko.

– Co to takiego? – Potrząsnęła nim.

– Nie, nie, nie potrząśaj! – Oboje się roześmialiśmy.

Otworzyła. W środku były babeczki. Czerwone, białe i niebieskie. Z okazji Dnia Niepodległości. Zażartowałem, że Anglicy mają zupełnie inny niż Jankesi stosunek do Dnia Niepodległości, ale cóż, było, minęło.

Odparła, że wyglądają przepysznie.

Zjawiała się nasza kelnerka z pierwszej randki, Mischa. Autentycznie ucieszyła się, widząc, że najwyraźniej doszło do randki numer dwa. Dobrze wiedziała, co się między nami dzieje, zdawała sobie sprawę z tego, czego jest świadkiem i że już na zawsze będzie częścią naszej prywatnej mitologii. Przyniosła nam po drinku, po czym zniknęła i bardzo długo nie wracała.

A gdy się w końcu pojawiła, zastała nas w trakcie długiego pocałunku.

Bynajmniej nie pierwszego.

Meghan, trzymając mnie za kołnierz koszuli, przyciągała mnie do siebie i obejmowała. Na widok Mischy natychmiast mnie puściła i wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem.

– Najmocniej przepraszamy.

– Nie ma za co. Jeszcze raz to samo?

Rozmowa znów popłynęła wartko. Na stole pojawiły się burgery i nietknięte wróciły do kuchni. Miałem nieodparte uczucie, że w moim życiu następuje jakaś uwertura, preludium, akt pierwszy, słysząc bicie werbli. A jednocześnie towarzyszyło mi poczucie końca. Jakby właśnie kończyła się pewna faza – pierwsza połowa? – mojego życia.

Przed końcem wieczoru odbyliśmy bardzo szczerą rozmowę. Nie mogliśmy dłużej unikać tego tematu.

Przyłożyła dłoń do twarzy i zapytała:

– I co teraz zrobimy?

– Musimy dać sobie szansę.

– Ale jak by to miało wyglądać? Przecież mieszkam w Kanadzie. I jutro tam wracam!

– Umówmy się na jakieś dłuższe spotkanie. Na przykład w te wakacje.

– Mam już plany na wakacje.

– Ja też.

Przez całe lato chyba uda jej się znaleźć kilka wolnych dni.

Potrząsnęła głową i oznajmiła, że zamierza zrobić pełen program z *Jedź, módl się, kochaj*.

– Jedź i co dalej?

– To taka książka.

– Aha. Wybacz. Niespecjalnie znam się na książkach.

Zrobiło mi się wstyd. Była moim całkowitym przeciwieństwem. Oczytana, wykształcona.

– Nieistotne – rzekła ze śmiechem. Rzecz w tym, że najpierw wybierała się z trzema przyjaciółkami do Hiszpanii, a potem z dwiema innymi do Włoch, potem zaś...

Zajrzała do swojego kalendarza, ja otworzyłem swój.

Podniosła wzrok i uśmiechnęła się.

– Co takiego? Powiedz.

– Prawdę mówiąc, mam jedno wolne okienko...

Jak wyjaśniła, ostatnio koleżanka z obsady serialu poradziła jej, żeby nie podchodziła zbyt metodycznie do wakacyjnego planu z jedzeniem, modleniem się i kochaniem. Żeby zostawiła sobie wolny tydzień, odrobinę przestrzeni na jakieś szaleństwo. A zatem Meghan zostawiła sobie jeden niezaplanowany tydzień i konsekwentnie odrzucała wszelkie oferty, w tym nawet brzmiącą jak marzenie propozycję wycieczki rowerowej wśród pól lawendy na południu Francji...

Zerknąłem w swój kalendarz i powiedziałem:

- Ja też mam jeden tydzień wolny.
- A gdyby się okazało, że to ten sam tydzień co mój?
- Co wtedy?
- Czy to możliwe?
- To byłoby zupełne wariactwo.

Okazało się, że to ten sam tydzień.

Zaproponowałem, żebyśmy spędzili go w Botswanie. Starłem się zareklamować jej Botswanę najlepiej, jak umiałem. To kolebka ludzkości. Kraj o najmniejszej gęstości zaludnienia na ziemi. Prawdziwie rajski ogród, w którym czterdzieści procent terenów zostało oddanych naturze.

Poza tym Botswana może się pochwalić największą ze wszystkich krajów świata liczbą słońi.

Nade wszystko zaś to miejsce, w którym zawsze udaje mi się odnaleźć samego siebie, w którym odkrywam siebie na nowo i w którym czuję się blisko – bo ja wiem – magii? Jeśli więc jest zainteresowana, to może pojechać tam ze mną i sama tego wszystkiego doświadczyć. Obóz pod rozgwieżdżonym niebem pośrodku niczego, a tak naprawdę w centrum wszechświata.

Wpatrywała się we mnie w milczeniu.

– Zdaję sobie sprawę, że to szaleństwo – powiedziałem. – Ale wszystko to jest kompletnym szaleństwem.

6

Nie mogliśmy polecieć razem. Po pierwsze, dlatego że już wcześniej miałem być w Afryce. Wybierałem się do Malawi, gdzie miałem współpracować z African

Parks, organizacją zajmującą się ochroną przyrody.

Nie wyjawilem jej jednak drugiego powodu: nie mogliśmy ryzykować, że ktoś nas ze sobą zobaczy i prasa o wszystkim się dowie. Jeszcze nie teraz.

Kiedy więc Meghan skończyła wojaże z przyjaciółkami, przyleciała z Londynu do Johannesburga, a stamtąd do Maun, skąd na moją prośbę odebrała ją Teej. (Chciałem wyjechać po nią sam, ale to od razu wzbudziłoby sensację). Po trwającej jedenaście godzin podróży, z trzygodzinną przerwą w Johannesburgu, i jeździe rozgrzanym samochodem do domu Teej i Mike'a Meghan miała prawo być rozdrażniona. Tymczasem nic podobnego. Pełna energii, z roziskrzonymi oczami była gotowa na nowe wyzwania.

A wyglądała... wprost fantastycznie. Miała na sobie obcięte džinsowe szorty, buty turystyczne i nieco zgniecioną panamę, którą widziałem już na jej Instagramie.

Gdy otworzyłem bramę wjazdową do domu Teej i Mike'a, wręczyłem Meghan zawiniętą w folię kanapkę z kurczakiem.

– Pomyślałem, że mogłaś zgłodnieć.

W tej samej chwili zacząłem żałować, że nie miałem ze sobą kwiatów, upominku lub czegoś jeszcze poza tą marną kanapką. Objęliśmy się na powitanie, choć wypadło to dość niezręcznie, nie tylko z powodu kanapki, lecz także nieuniknionego zdenerwowania. Od naszych dwóch pierwszych randek rozmawialiśmy przez telefon i FaceTime'a niezliczoną ilość razy, ale ta sytuacja była dla nas całkiem nowa i czuliśmy się nieco skrępowani.

Oboje zastanawialiśmy się nad tym samym. Czy uda nam się przenieść naszą dotychczasową relację na inny kontynent?

A jeśli to nie wypali?

Zapytałem ją o lot. Zaczęła się śmiać z załogi linii Air Botswana. Okazali się wielkimi fanami serialu *W garniturach*, więc poprosili ją, żeby zrobiła sobie z nimi zdjęcie.

– Super.

Cholera, pomyślałem w duchu, jeśli któryś z członków załogi wrzuci tę fotkę do internetu, to wszystko się wyda.

Wsiedliśmy do samochodu terenowego z trzema rzędami siedzeń – Mike prowadził, moi ochroniarze mieli jechać za nami – i ruszyliśmy. Po godzinie jazdy

asfaltem czekały nas cztery godziny wertepów i polnych dróg. Aby czas płynął nam nieco szybciej, wskazywałem na każdy mijany kwiat, roślinę i ptaka.

– To frankolin. A to dzioborożec. Ptak podobny do Zazu z *Króla Lwa*. A to samiec kraski liliowopierśnej, chyba właśnie wykonuje taniec godowy.

Po odczekaniu stosownie długiego czasu wziąłem ją za rękę.

Potem zaś, gdy droga zrobiła się nieco równiejsza, zaryzykowałem pocałunek.

Było tak, jak oboje to zapamiętaliśmy.

Jadący pięćdziesiąt metrów z tyłu ochroniarze udawali, że nie patrzą.

W miarę jak coraz bardziej zagłębialiśmy się w busz, jak zbliżaliśmy się do Okawango, fauna zaczęła się zmieniać.

– Tam! Spójrz!

– O mój Boże. Przecież to... żyrafy!

– A popatrz tam!

Rodzinka guźców.

Widzieliśmy też stado słoni. Samce, samice, młode. Siemacie. Wjechaliśmy w przecinę w zaroślach i ptaki wokół nas zaczęły wariować, co wywołało nieprzyjemny dreszcz na moich plecach.

– W pobliżu są lwy.

– Nie gadaj.

Coś kazało mi obejrzeć się za siebie. No jasne, w zaroślach mignął ogon. Zawołałem do Mike'a, żeby się zatrzymał. Nacisnął mocno na hamulec i wrzucił wsteczny. Naszym oczom ukazał się duży samiec. W cieniu zarośli wylegiwały się cztery lwiątko wraz z samicami.

Podziwialiśmy je przez chwilę, po czym ruszyliśmy dalej.

Tuż przed zapadnięciem zmroku dotarliśmy do niewielkiego obozu założonego przez Teej i Mike'a. Wniosłem nasze bagaże do namiotu stojącego obok dużego drzewa kielbasianego. Znajdowaliśmy się na skraju olbrzymiego lasu, teren opadał tu łagodnym zboczem w stronę rzeki, a dalej rozciągała się tętniąca życiem równina.

Meghan – teraz nazywałem ją Meg, a czasami po prostu M – była zachwycona żywymi kolorami i czystym, świeżym powietrzem. Dużo podróżowała w swoim

życiu, ale nigdy dotąd nie widziała czegoś takiego. Tak wyglądał świat u zarania swojego istnienia.

Meg otworzyła małą walizkę, żeby coś z niej wyciągnąć. Już się zaczyna, przeszło mi przez myśl. Lusterko, suszarka do włosów, zestaw do makijażu, puszysta kołderka, kilkanaście par butów. Kierowały mną najgorsze stereotypy: amerykańska aktorka, znaczy się diwa. Ku mojemu radosnemu zaskoczeniu w walizce znajdowały się same niezbędne rzeczy. Szorty, podarte dżinsy, przekąski. I mata do jogi.

Usiedliśmy na składanych płóciennych krzesłach i obserwowaliśmy zachód słońca oraz wschód księżyca. Przygotowałem nam naprędce proste afrykańskie drinki. Whisky z odrobiną wody z rzeki. Teej zaproponowała Meg wino i pokazała jej, jak odciąć dno w plastikowej butelce po wodzie i zrobić z niej kieliszek. Rozmawialiśmy, dużo się przy tym śmiejąc, a potem Teej i Mike przyrządzili nam pyszną kolację.

Zjedliśmy przy ognisku, patrząc w gwiazdy.

Gdy przyszała pora snu, poprowadziłem Meg w ciemnościach do namiotu.

– Nie masz latarki? – spytała.

– Chyba raczej pochodni?

Oboje się roześmialiśmy.

Namiot był dość ciasny i panowały w nim spartańskie warunki. Jeśli Meg spodziewała się luksusów, została teraz pozbawiona wszelkich złudzeń. Położyliśmy się na plecach, próbując jakoś się odnaleźć w tej sytuacji.

Mieliśmy osobne śpiwory, co było wynikiem licznych obaw i rozmów z Teej. Nie chciałem, żeby moje zachowanie uznano za niestosowne.

Zsunęliśmy ze sobą śpiwory i leżeliśmy ramię przy ramieniu. Wpatrywaliśmy się w dach namiotu, nasłuchiwaliliśmy, rozmawialiśmy i patrzyliśmy, jak światło księżyca rzuca cienie na nylonowy materiał.

Nagle rozległ się głośny dźwięk przeżuwania.

Meg poderwała się gwałtownie.

– Co to za odgłos?

– Słoń – odparłem.

O ile dobrze słyszałem, tylko jeden. Skubał spokojnie rosnące wokół krzewy.

– Nic nam nie zrobi.

– Na pewno?

Niedługo potem namiot zatrzęsł się od głośnego ryku.

Lwy.

– Nic nam nie grozi?

– Nie. Nie martw się.

Meg położyła się i oparła głowę na mojej piersi.

– Zaufaj mi – powiedziałem. – Przy mnie jesteś bezpieczna.

7

Obudziłem się tuż przed świtem, rozsunąłem zamek w namiocie i cicho wyszedłem na zewnątrz. Napawałem się ciszą botswańskiego poranka. Patrzyłem, jak stado kaczuszek afrykańskich frunie w górę rzeki, jak antylopy impala i koby moczarowe piją wodę przy samym brzegu.

Śpiew ptaków był oszałamiający.

Gdy słońce wzeszło, podziękowałem w duchu za ten dzień, po czym zszedłem do głównej części obozu na tosty. Po powrocie zobaczyłem Meg rozciągającą się na macie nad rzeką.

W pozycji wojownika. Psa z głową w dół. W pozycji dziecka.

Kiedy skończyła, oznajmiłem:

– Śniadanie podano.

Zjedliśmy pod drzewem akacjowym, a Meg zapytała podekscytowana, jaki jest plan.

– Przygotowałem kilka niespodzianek.

Najpierw poranna przejażdżka. Wskoczyliśmy do starej, pozbawionej drzwi terenówki Mike'a i ruszyliśmy w głąb buszu. Ze słońcem na twarzy, z wiatrem we włosach przejeżdżaliśmy przez strumienie i wzgórze, przepłaszaliśmy lwy z gęstej trawy. Dzięki, chłopcy, za ten harmider, który urządziliście nam w nocy! Natknęliśmy się na duże stado żyraf skubiących liście z wierzchołków drzew, ich rzęsy przypominały dziecięce grabki. Skinęły nam głowami na dzień dobry.

Nie wszystkie zwierzęta zachowywały się tak przyjaźnie. Przechadzając się wzdłuż rozległego wodopoju, ujrzeliśmy nagle kłęb pyłu. Przed nami stał rozdrażniony guziec. Wycofał się jednak, gdy zobaczył, że nie zamierzamy przed nim uciekać.

Hipopotamy również parskwały na nas wojowniczo. Pomachaliśmy do nich, wycofaliśmy się i wskoczyliśmy do samochodu.

Napotkaliśmy również stado likaonów, które próbowały uszczknąć odrobinę bawołu upolowanego przez dwie lwice. Nie szło im zbyt dobrze. Opuściliśmy je bez żalu.

Złocista trawa kołysała się na wietrze.

– Pora sucha – powiedziałem do Meg.

Powietrze było ciepłe, czyste, przyjemnie się nim oddychało. Urządziliśmy sobie mały piknik, wypiliśmy po cydrze Savanna. Później poszliśmy popływać przy ujściu rzeki, starając się trzymać z dala od krokodyli.

– Nie zbliżaj się do miejsc, w których woda jest ciemniejsza.

Wyjaśniłem Meg, że to najczystsza woda na świecie, ponieważ jest filtrowana przez wszystkie rosnące tu papirusy. A przy tym nawet słodsza niż woda w starej łaźni w Balmoral, chociaż... lepiej na razie nie myśleć o Balmoral.

Już za kilka tygodni przypadała rocznica.

O zmierzchu położyliśmy się na masce samochodu i wpatrywaliśmy się w niebo. Gdy pojawiły się nietoperze, poszliśmy poszukać Teej i Mike'a. Włączyliśmy muzykę i ponownie zjedliśmy kolację przy ognisku, a przy okazji śpiewaliśmy, rozmawialiśmy i dużo się śmialiśmy. Meg opowiadała nam o sobie, o dorastaniu w Los Angeles, o początkach kariery aktorskiej, o tym, jak pomiędzy kolejnymi przesłuchaniami do ról musiała szybko przebierać się w swoim zdezelowanym SUV-ie, w którym czasem zacinały się drzwi. Nie raz wchodziła do niego przez bagażnik. Mówiła o swojej rozwijającej się działalności biznesowej, o swoim blogu lifestyle'owym, który miał dziesiątki tysięcy czytelników. W wolnym czasie zajmowała się działalnością dobroczynną – szczególnie mocno angażowała się w walkę o prawa kobiet.

Słuchałem jej zafascynowany, chłonąc każde jej słowo, a w tyle głowy jakiś głos cicho powtarzał: ona jest idealna, idealna, idealna.

Chels i Cress często mówiły, że moje życie przypomina historię doktora Jekylla i pana Hyde'a. W Botswanie szczęśliwy Spike, w Londynie – spięty książę Harry. Nigdy nie potrafiłem pogodzić obu tych osobowości, co Chels i Cress bardzo przeszkadzało, podobnie zresztą jak mnie, ale przy tej kobiecie wydawało mi się to możliwe. Przy niej mogłem być szczęśliwym Spikiem przez cały czas.

Z tym że Meg nie mówiła do mnie Spike. W tym czasie zaczęła się do mnie zwracać Haz.

Każda chwila spędzona z nią tego tygodnia była prawdziwym objawieniem i darem od losu. Zarazem jednak każda chwila przybliżała nas do tego bolesnego momentu, w którym trzeba będzie się rozstać. Nie można było tego uniknąć: Meg musiała wracać do siebie. Ja z kolei miałem w Gaborone, stolicy Botswany, spotkać się z prezydentem kraju, żeby porozmawiać z nim o kwestiach ochrony środowiska, a potem wyruszyć w składającą się z trzech etapów podróż z kumplami, którą planowaliśmy od wielu miesięcy.

– Mógłbym ją odwołać – oznajmiłem Meg – ale kumple nigdy by mi tego nie wybaczyli.

Podczas pożegnania Meg zaczęła płakać.

– Kiedy cię znowu zobaczę?

– Wkrótce.

– To za długo.

– Nie. Wcale nie.

Teej objęła ją ramieniem i obiecała, że zaopiekuje się nią podczas tych kilku godzin, które Meg zostały do wylotu.

Potem ostatni pocałunek. Pomachaliśmy sobie na do widzenia.

Wskoczyliśmy z Mikiem do białego land cruisera i pojechaliśmy na lotnisko w Maun, gdzie wsiedliśmy do jego małej awionetki, i choć smutek ścisnął mi serce, odlecieliśmy.

8

Było nas jedenastu. Oczywiście Marko. I Adi. Do tego dwóch Mike'ów, Brent, Bidders, David, Jakie, Skippy i Viv. Cała ekipa. Spotkałem się z nimi w Maun.

Załadowaliśmy się na trzy srebrne łodzie płaskodenne i wyruszyliśmy w drogę. Czekало nas wiele dni pływania, łowienia ryb i zabawy. Wieczorami zachowywaliśmy się dość głośno i byliśmy bardzo niegrzeczni. Rano smażyliśmy nad ogniskiem jajka z bekonem, a potem szliśmy wykąpać się w zimnej wodzie. Piłem drinki, jakie od biedy da się przyrządzić w buszu, afrykańskie piwo i zażywałem różne niedozwolone substancje.

Gdy zrobiło się naprawdę upalnie, postanowiliśmy poszaleć na skuterach wodnych. Zachowałem na tyle przytomności umysłu, żeby wcześniej wyjąć z kieszeni iPhone'a i włożyć go do schowka w skuterze. Pogratulowałem sobie rozwagi. Potem jednak na tył mojego skutera wskoczył Adi, a za nim podążył nieuznający żadnych reguł Jakie.

To tyle, jeśli chodzi o rozwagę.

Powiedziałem Jakiemu, żeby zsiadł.

– Jest nas za dużo.

On jednak nie chciał mnie słuchać.

Cóż mogłem poradzić?

Wystartowaliśmy.

Roześmiani krążyliśmy po rzece, starając się nie wchodzić w parade hipopotamom. Przepłynęliśmy z głośnym rykiem obok piaszczystej łachy, na której wylegiwał się w słońcu trzymetrowy krokodyl. Gdy tylko odbiłem skuterem w lewo, zobaczyłem, że krokodyl otworzył oczy i zsunął się do wody.

Kilka chwil później Adiemu zwiąło z głowy czapkę.

– Zawracaj, zawracaj! – zawołał.

Zrobiłem nawrót, co z trzema osobami na skuterze nie było łatwe. Podpłynąłem do czapki i Adi nachylił się, żeby ją wyłowić. Jakie zaś nachylił się, żeby mu pomóc, i wszyscy wpadliśmy do wody.

Poczułem, że okulary zsuwają mi się z nosa, i zobaczyłem, jak lądują w wodzie. Zanurkowałem za nimi. Gdy tylko się wynurzyłem, przypomniałem sobie o krokodylu.

Adi i Jakie najwyraźniej pomyśleli o tym samym. Potem spojrzałem na skuter. Unosił się na wodzie przewrócony na bok. Cholera.

Mój iPhone!

Ze wszystkimi zdjęciami! I numerami telefonów!

W tym do MEG!

Skuter utknął na łasze piasku. Postawiliśmy go, a ja wyjąłem telefon ze schowka. Zalany. Zniszczony. Przepadły wszystkie moje zdjęcia z Meg!

I wszystkie nasze wiadomości!

Wiedziałem, że wypad z chłopakami będzie szalony, więc na wszelki wypadek wysłałem przed wyjazdem część zdjęć do Meg i innych kumpli. Ale pozostałych zdjęć raczej nie da się odzyskać.

Mało tego, jak teraz mam się z nią skontaktować?

Adi powiedział, żebym się nie martwił, włożymy telefon do ryżu, to niezawodny sposób, żeby go osuszyć.

Była to pierwsza rzecz, którą zrobiliśmy, gdy kilka godzin później wróciliśmy do obozu. Włożyliśmy telefon do wielkiego wiadra z surowym białym ryżem.

Przyjrzałem się temu z powątpiewaniem.

– Jak długo to potrwa?

– Dzień lub dwa.

– Niedobrze. Potrzebuję jakiegoś rozwiązania już teraz.

Razem z Mikiem opracowaliśmy plan. Mogę napisać do Meg list, który Mike zabierze ze sobą do domu w Maun. Następnie Teej sfotografuje list i wyśle zdjęcie Meg (Teej miała do niej numer telefonu, dałem go jej, kiedy jechała odebrać Meg z lotniska).

Teraz trzeba było tylko napisać list.

Najpierw jednak musiałem znaleźć wśród tej bandy świrów coś do pisania.

– Czy ktoś ma pióro?

– Co takiego?

– Pióro.

– Mam czapkę z piórkiem.

– Nie! Pióro do pisania. Albo długopis! Królestwo za długopis!

„Och. Długopis. Wow”.

Wreszcie poszukiwania zakończyły się sukcesem. Kolejnym wyzwaniem było znalezienie miejsca do napisania listu.

Usiadłem pod drzewem.

Zacząłem się zastanawiać. Wpatrywałem się w przestrzeń. Wreszcie napisałem:

„Hej, Piękna. No dobra, przyłapałaś mnie – nie mogę przestać o tobie myśleć i BARDZO za tobą tęsknię. Telefon wpadł mi do rzeki. Smuteczek... Poza tym świetnie się bawię. Szkoda, że cię tu nie ma”.

Mike odjechał z listem.

Kilka dni później, kończąc naszą rzeczną wyprawę, wróciliśmy do Maun. Tam spotkaliśmy się z Teej, która natychmiast mnie uspokoiła:

– Wyluzuj, dostałam już od niej odpowiedź.

A więc to nie był sen. Meg była prawdziwa. Wszystko to wydarzyło się naprawdę.

Meg napisała między innymi, że chciałyby ze mną porozmawiać.

Uradowany wyruszyłem na drugą część naszego wypadu z chłopakami, czyli wyprawę do rezerwatu Moremi. Tym razem zabrałem ze sobą telefon satelitarny. Kiedy reszta kończyła kolację, znalazłem polanę i wspiąłem się na najwyższe drzewo w jej pobliżu, licząc na to, że znajdę tam lepszy zasięg.

Wybrałem numer do Meg. Zaraz odebrała.

Zanim zdążyłem się odezwać, powiedziała:

– Wiem, że nie powinnam tego mówić, ale tęsknię za tobą!

– Ja też nie powinienem tego mówić, ale również za tobą tęsknię!

Roześmialiśmy się, a potem po prostu wsłuchiwaliliśmy się w swoje oddechy.

9

Nazajutrz, gdy usiadłem do napisania kolejnego listu, poczułem olbrzymią presję. Dopadła mnie wręcz paraliżująca niemoc twórcza. Nie byłem w stanie znaleźć słów, żeby opisać swoją ekscytację, radość i tęsknotę. Żeby wyrazić swoje pragnienia.

Uznałem, że skoro zawiodły mnie słowa, najlepsze, co mogę zrobić, to sprawić chociaż, żeby list pięknie się prezentował.

Niestety, nie znajdowałem się w miejscu, które sprzyjałoby pracom artystycznym. Nasza wyprawa wchodziła właśnie w trzeci etap, czyli ośmiogodzinną jazdę samochodami po bezdrożach na kompletnym zadupiu.

Co tu robić?

Podczas postoju wyskoczyłem z samochodu i pobiegłem w głąb zarośli.

– Spike, gdzie się tam pchasz?

Nie odpowiedziałem.

– Co się z nim dzieje?

Spacerowanie po tej okolicy nie było dobrym pomysłem. Znajdowaliśmy się w samym środku terenów łowieckich lwów. Byłem jednak zdeterminowany, żeby znaleźć... cokolwiek.

Szedłem, potykając się i zataczając, ale nie widziałem nic poza bezmiarem brązowej trawy. Zupełnie jakbym trafił w sam środek cholernego australijskiego Outbacku.

Adi nauczył mnie, gdzie na pustyni szukać kwiatów. W przypadku ciernistych krzewów, powtarzał zawsze, sprawdź najwyższe gałęzie. Tak też zrobiłem. Bingo! Wspiąłem się na palce, zerwałem kwiaty i włożyłem je do przewieszanej przez ramię niedużej torby.

Podczas dalszej drogi wjechaliśmy do lasu drzew mopane, gdzie zauważyłem dwa drzewka, których jasnoróżowe kwiaty nazywane są różami pustyni.

Zerwałem je również.

Wkrótce udało mi się zebrać niewielki bukiet.

Wjechaliśmy w część lasu strawioną przez niedawne pożary. Wśród zwęglonych pni drzew dostrzegłem interesujący kawałek kory z drzewa zwanego ołowiowym. Po chwili również trafił do mojej torby.

O zachodzie słońca dotarliśmy do obozu. Napisałem drugi list do Meg, nadpaliłem brzegi kartki i umieściłem ją na zwęglonym kawałku kory, a następnie ułożyłem wokół niej kwiaty i komórką Adiego zrobiłem zdjęcie całej kompozycji. Fotkę wysłałem Meg i z niecierpliwością odliczałem sekundy, aż dostałem od niej odpowiedź podpisaną: „Twoja dziewczyna”.

Dzięki improwizacji i silnej woli zdołaliśmy w trakcie całej tej eskapady utrzymać ze sobą stały kontakt. Gdy wreszcie wróciłem do Anglii, ogarnęło mnie

poczucie, że dokonałem czegoś niezwykłego. Nie dopuściłem do tego, żeby zamknięty telefon, pijani kumple, brak zasięgu czy dziesiątki innych przeszkód zniweczyły początek tej pięknej...

Tylko jak to nazwać?

Siedziałem w Nott Cott otoczony nierozpakowanymi jeszcze bagażami, wpatrywałem się w ścianę i zastanawiałem się nad tym pytaniem. Jakiego określenia użyć?

Czy to...

Ta jedyna?

Czy wreszcie ją znalazłem?

Zawsze powtarzałem sobie, że w kwestii związków obowiązują twarde reguły, przynajmniej w odniesieniu do członków rodziny królewskiej, a najważniejsza z nich mówi, że zanim się oświadczysz, powinieneś spotykać się ze swoją wybranką minimum przez trzy lata. Jak inaczej zdołasz ją dobrze poznać? Jak inaczej ona zdoła poznać ciebie i twoje dworskie życie? Jak inaczej możecie przekonać się, że tego właśnie oboje pragniecie, że uda wam się to wspólnie przetrwać?

To nie jest życie dla każdego.

Meg zdawała się jednak wyjątkiem od tej reguły. Od wszystkich reguł. Od razu dobrze ją poznałem, a ona poznała mnie. Takiego, jaki jestem naprawdę. Mogło się to wydawać pochojne, a nawet bezsensowne, ale nie mogłem temu zaprzeczyć: po raz pierwszy miałem poczucie, że żyję w prawdzie.

10

Bez przerwy ze sobą esemesowaliśmy i rozmawialiśmy przez FaceTime'a. Choć dzieliły nas tysiące kilometrów, nigdy tak naprawdę się nie rozstawaliśmy. Budziłem się i od razu do niej pisałem. Natychmiast przychodziła odpowiedź. Potem następowała wymiana kolejnych esemesów. Po lunchu FaceTime. A przez całe popołudnie jeden esemes za drugim. Późnym wieczorem zaliczaliśmy kolejny maraton na FaceTimie.

Wciąż było nam jednak mało. Rozpaczliwie pragnęliśmy się ponownie zobaczyć. Ustaliliśmy, że spotkamy się za około dziesięć dni, pod sam koniec sierpnia.

Zgodziliśmy się też, że najlepiej będzie, jeśli Meg przyjedzie do Londynu.

Tuż po przylocie zatelefonowała do mnie, wchodząc do swojego pokoju w Soho House.

– Jestem na miejscu. Wpadnij do mnie!

– Nie mogę, muszę coś załatwić...

– Co takiego?

– Coś dla mojej mamy.

– Dla twojej mamy? Gdzie?

– W Althorp.

– Co to za miejsce?

– To posiadłość, w której mieszka mój wujek Charles.

Powiedziałem, że wyjaśnię jej później. Wciąż jeszcze nie rozmawialiśmy... o całej tej sprawie.

Teraz byłem już niemal pewien, że Meg mnie nie googlowała, ponieważ ciągle zadawała mi najróżniejsze pytania. Wyglądało na to, że prawie nic o mnie nie wiedziała, co stanowiło dość miłą odmianę. Najwyraźniej cała ta królewska otoczka nie robiła na niej wrażenia, co według mnie stanowiło pierwszy krok do tego, żeby wyjść cało ze starcia z moją rodziną. Co więcej, skoro Meg nie zagłębiała się zanadto w to, co powszechnie pisano na nasz temat, jej umysł był wolny od wszelkiego rodzaju dezinformacji.

Kiedy razem z Willym złożyliśmy kwiaty na grobie mamy, ruszyliśmy samochodem z powrotem do Londynu. Zadzwoiłem do Meg, żeby jej powiedzieć, że jestem już w drodze. Starłem się mówić obojętnym tonem, nie chcąc niczego dać po sobie poznać w obecności Willy'ego.

– Do hotelu prowadzi dyskretne wejście – powiedziała Meg. – Na górę wjedź windą towarową.

Do środka miała mnie wprowadzić jej przyjaciółka Vanessa, która pracowała w Soho House.

Wszystko poszło zgodnie z planem. Najpierw spotkałem się z Vanessą, która powiodła mnie labiryntem korytarzy wypełniających Soho House, wreszcie stanąłem przed drzwiami do pokoju Meg.

Zapukałem i wstrzymałem oddech.

Drzwi się otworzyły.

Ach, ten uśmiech.

Włosy częściowo zasłaniały jej oczy. Meg objęła mnie, po czym jednym płynnym ruchem wciągnęła do środka i jednocześnie podziękowała przyjaciółce, po czym zamknęła szybko drzwi, żeby nikt nas nie zauważył.

Chciałbym napisać, że powiesiliśmy na kłamce karteczkę z napisem „Nie przeszkadzać”.

Ale zdaje się, że nie było na to czasu.

11

Rano zgłodnieliśmy, więc zadzwoniliśmy na *room service*. Gdy rozległo się pukanie do drzwi, zacząłem się gorączkowo rozglądać za jakimś miejscem, w którym mógłbym się ukryć.

Nie było tu jednak żadnego schowka, żadnej garderoby ani szafy na ubrania.

Położyłem się więc płasko na łóżku i naciągnąłem kołdrę na głowę. Meg poradziła mi szeptem, żebym poszedł do łazienki, ale wolałem swoją kryjówkę.

Niestety, śniadanie dostarczył nam nie zwykły kelner, ale zastępca kierownika hotelu, który uwielbiał Meg, zresztą z wzajemnością, więc chciał z nią pogawędzić. Nie zwrócił uwagi, że na tacy znajduje się śniadanie dla dwóch osób. Nie zauważył też leżącego pod kołdrą obiektu w kształcie księcia. Facet mówił i mówił, wypytywał Meg, co u niej słychać, a tymczasem mnie zaczynało powoli brakować powietrza.

Na szczęście miałem doświadczenie z ukrywaniem się w bagażniku wozu policyjnego Billy'ego.

Gdy facet w końcu odszedł, usiadłem, ciężko dysząc.

Chwilę później oboje z trudem łapaliśmy oddech, tak mocno się śmialiśmy.

Postanowiliśmy, że zaproszę dziś do siebie kilkoro znajomych i zjemy z nimi kolację. W dodatku sami ją przygotowujemy. Super, tylko to oznaczało, że najpierw musimy zrobić zakupy. W lodówce nie miałem nic poza winogronami i zapiekanką z mięsem.

– Możemy wyskoczyć do Waitrose – zaproponowałem.

Oczywiście nie mogliśmy tam iść razem: to wywołałoby niezłe zamieszanie. Postanowiliśmy więc zrobić zakupy jednocześnie, lecz równolegle obok siebie, w przebraniu i udając, że się nie znamy.

Meg weszła do sklepu trzy minuty przede mną. Miała na sobie flanelową koszulę, obszerny płaszcz i wełnianą czapkę, ale i tak byłem zdziwiony, że nikt jej nie rozpoznał. Z pewnością wielu Brytyjczyków oglądało *W garniturach*, a mimo to nikt się na nią nie gapił. Ja rozpoznałbym ją bez trudu nawet w wielotysięcznym tłumie.

Poza tym nikt nie patrzył na jej wózek sklepowy, do którego włożyła swoje walizki i dwie duże torby z Soho House z puszystymi szlafrokami, które kupiła dla nas, kiedy się wymeldowywała.

Ja, wyglądając równie anonimowo, chwyciłem koszyk i wolnym krokiem zacząłem przechadzać się sklepowymi alejkami. Przy stoisku z owocami i warzywami poczułem, że Meg przeszła obok mnie. Nie tyle przeszła, ile otarła się o mnie. Bardzo kokieteryjnie. Spojrzeliśmy na siebie przelotnie, po czym szybko się odwróciliśmy.

Z numeru „Food & Wine” Meg wycięła przepis na piezonego łososa, na jego podstawie zrobiliśmy listę zakupów i podzieliliśmy ją między siebie. Ponadto ona miała za zadanie kupić blachę, a ja – papier do pieczenia.

Wysłałem jej esemesa: „Gdzie, u licha, można znaleźć papier do pieczenia?”.

Zaraz wskazała mi właściwe miejsce.

„Nad twoją głową”.

Obróciłem się. Meg stała kilka kroków za mną i przyglądała mi się zza jakiejś ekspozycji.

Oboje się roześmialiśmy.

Spojrzałem na wskazaną półkę.

„To?”

„Nie, to obok”.

Teraz już dusiliśmy się ze śmiechu.

Kiedy wreszcie zapłaciłem za zakupy, wysłałem Meg esemesa, gdzie mamy się spotkać: „Przy zjeździe na parking podziemny, przy minivanie z przyciemnianymi szybami”. Kilka chwil później zapakowaliśmy zakupy do bagażnika i z Billym Rockiem za kierownicą wyjechaliśmy z parkingu w kierunku Nott Cott. Przyglądałem się mijanemu za oknami miastu, wszystkim budynkom i ludziom, i myślałem sobie: nie mogę się doczekać, kiedy wszystkim wam ją przedstawię.

12

Czułem się bardzo podekscytowany pierwszą wizytą Meg w moim domu, ale także nieco zakłopotany. Nott Cott nie było żadnym pałacem, ale przybudówką do pałacu – to najlepsze, co można o nim powiedzieć. Przyglądałem się Meg, jak szła ścieżką do głównego wejścia, przechodziła przez bramkę w płocie z białych sztachet. Ku mojej wielkiej uldze nie okazała najmniejszego niepokoju czy śladu rozczarowania.

Dopóki nie weszła do środka i nie stwierdziła, że przypomina to trochę dom bractwa studenckiego.

Rozejrzałem się wokół. Nie pomyliła się zbyt. Nie.

W kącie wisiała brytyjska flaga (ta sama, którą zatknąłem na biegunie północnym). Na stoliku telewizyjnym leżała stara strzelba (podarunek otrzymany podczas oficjalnej wizyty w Omanie). Do tego konsola Xbox.

– Potrzebuję po prostu miejsca na swoje graty – wyjaśniłem, przesuając jakieś papiery i ubrania. – Rzadko tutaj bywam.

Poza tym dom został zbudowany w innej epoce, z myślą o znacznie niższych ludziach. Dlatego pokoje w nim były maleńkie, a sufity tak niskie jak w domku dla lalek. Oprowadziłem Meg po domu, co zajęło mi nie więcej niż pół minuty.

– Uważaj na głowę!

Nigdy wcześniej też nie zauważyłem, jak bardzo zniszczone są meble. Brązowa kanapa, jeszcze bardziej zbrązowiała worek sako. Meg przystanęła przed nim.

– Tak, wiem, wiem.

Na kolację zaprosiłem moją kuzynkę Euge, jej chłopaka Jacka oraz mojego kumpla Charliego. Łosoś wyszedł znakomicie i wszyscy komplementowali talenty kulinarne Meg. Z wypiekami pochłaniali również jej opowieści. Chcieli dowiedzieć się jak najwięcej o tym, jak kręciła *W garniturach*. I o jej podróżach. Byłem im wdzięczny za ich zainteresowanie i serdeczność.

Wino było równie wyborne jak towarzystwo, wypiliśmy go niemało, a po kolacji przenieśliśmy się do małego saloniku, włączyliśmy muzykę, założyliśmy śmieszne czapeczki i zaczęliśmy tańczyć. Mam niewyraźne wspomnienie – i rozmazane wideo na swoim telefonie – jak razem z Charliem turlamy się po podłodze, a Meg siedzi obok i zanosi się śmiechem.

Potem otworzyliśmy tequilę.

Pamiętam, jak Euge przytulała Meg, jakby były siostrami. Pamiętam, jak Charlie pokazywał mi uniesione kciuki. Pamiętam, że pomyślałem wtedy: jeśli spotkanie z resztą mojej rodziny będzie przebiegać podobnie, to nie mam się czym martwić. Nagle jednak zauważyłem, że Meg źle się poczuła. Skarżyła się, że ma kłopoty z żołądkiem, i wyglądała strasznie blado.

O rety, najwyraźniej alkohol jej nie służy.

Poszła się położyć. Kiedy z gośćmi wypiliśmy strzemiennego, odprowadziłem ich do wyjścia i nieco posprzątałem po imprezie. Około północy dowlokłem się do łóżka i natychmiast zasnąłem, ale o drugiej w nocy obudziły mnie dobiegające z łazienki niepokojące odgłosy. Meg naprawdę coś dolegało, nie była tylko pijana, jak mi się wydawało.

Okazało się, że to zatrucie pokarmowe.

Powiedziała, że na obiad zjadła dziś w restauracji kalmary.

Ach, brytyjskie kalmary! I wszystko jasne.

Siedząc na podłodze, Meg zwróciła się do mnie:

– Proszę, powiedz mi, że nie trzymałeś mi włosów, kiedy wymiotowałam.

– Owszem, trzymałem.

Pogłaskałem ją po plecach i w końcu odprowadziłem do łóżka. Osłabiona, bliska łez, powiedziała, że zupełnie inaczej wyobrażała sobie naszą randkę.

– Daj spokój – odparłem. – Najważniejsze, żeby się o siebie nawzajem troszczyć, prawda?

To musi być miłość, pomyślałem, ale zdołałem zachować te słowa dla siebie.

13

Przed wylotem Meg do Kanady wybraliśmy się na spacer do ogrodów Frogmore.

Znajdowały się akurat po drodze na lotnisko.

– To moje ulubione miejsce – powiedziałem. Meg również bardzo się tu spodobało. Zachwyciły ją szczególnie łabędzie, zwłaszcza ten najbardziej naburmuszony. (Nazwaliśmy go Steve). – Wszystkie łabędzie mają takie nadąsane miny – dodałem. – Są majestatyczne, ale straszne z nich ponuraki. Zawsze zastanawiało mnie, dlaczego tak jest, skoro wszystkie brytyjskie łabędzie stanowią własność królowej i tym samym, jeśli ktoś się nad nimi znęca, popełnia przestępstwo.

Rozmawialiśmy o Euge i Jacku, których Meg pokochała. Rozmawialiśmy o jej pracy. I o moich obowiązkach. Ale przede wszystkim rozmawialiśmy o naszym związku, a był to temat tak rozległy, że mogliśmy go ciągnąć w nieskończoność. Kontynuowaliśmy tę rozmowę, kiedy wsiedliśmy z powrotem do samochodu i w drodze na lotnisko, a także na parking, gdzie dyskretnie ją podrzuciłem. Ustaliliśmy, że jeśli podchodzimy do tego poważnie i jeśli naprawdę chcemy dać sobie szansę, to powinniśmy opracować solidny plan. To zaś oznaczało złożenie sobie obietnicy, że nie będziemy się rozstawać na dłużej niż dwa tygodnie.

Oboje mieliśmy za sobą związki na odległość i nigdy nie były one łatwe, po części właśnie ze względu na brak planowania. Brak starań. W takich sytuacjach trzeba walczyć o związek, zniwelować dzielący was dystans. A to wymaga częstych podróży.

Moje podróże przyciągały niestety większą uwagę, również ze strony mediów. Gdy przekraczałem granice innych państw, należało uprzedzić o tym rząd danego kraju, powiadomić miejscową policję. Wszędzie towarzyszyli mi ochroniarze. Ciężar podróży wzięła zatem na siebie Meg. Na początku naszej znajomości to ona musiała spędzać więcej czasu w samolotach i kursować w tę i z powrotem przez Atlantyk, cały czas kręcąc kolejne odcinki *W garniturach*. Zazwyczaj zaś na plan zdjęciowy wyruszała piętnaście po czwartej rano.

Przerzucenie na Meg tego ciężaru nie było wobec niej w porządku, ale jak sama zapewniała, była gotowa się poświęcić.

– Nie mamy wyjścia – stwierdziła. – W przeciwnym razie przestaniemy się widywać, a tego nie byłabym w stanie znieść.

Po raz chyba setny od dnia, w którym się poznaliśmy, poczułem, jak smutek ściska mi serce.

– Do zobaczenia za dwa tygodnie – powiedziała na pożegnanie.

– O Boże, tak, tylko dwa tygodnie.

14

Niedługo potem Willy i Kate zaprosili mnie do siebie na kolację.

Podejrzewali, że w moim życiu coś się wydarzyło, i chcieli się dowiedzieć, o co chodzi.

Nie byłem pewien, czy jestem gotów o wszystkim im opowiedzieć. Nie byłem pewien, czy chcę, żeby ktokolwiek się o tym dowiedział.

Gdy jednak usiedliśmy w pokoju telewizyjnym, a dzieciaki poszły już spać, uznałem, że to odpowiednia pora.

Niby mimochodem wspomniałem, że... w moim życiu pojawiła się nowa kobieta.

Oboje nachylili się w moją stronę.

– Kto to taki?

– Powiem wam, ale błagam was, błagam, błagam, żebyście zachowali to w tajemnicy.

– Jasne, Haroldzie, w porządku. Mów, co to za jedna?

– Jest aktorką.

– Serio?

– Pochodzi z Ameryki.

– O!

– Gra w serialu zatytułowanym *W garniturach*.

Oboje rozdziawili usta i spojrzeli na siebie.

Potem Willy odwrócił się do mnie i powiedział:

– Weź nie pierdol!

– Co takiego?

– Nie ściemniaj.

– Słucham?

– To niemożliwe.

Byłem kompletnie skonsternowany, dopóki Willy i Kate nie wyjaśnili mi, że są wiernymi, by nie rzec fanatycznymi, widzami *W garniturach*.

Świetnie, pomyślałem ze śmiechem. A więc martwiłem się zupełnie niepotrzebnie. Obawiałem się, że Willy i Kate mogą nie zaakceptować Meg w naszej rodzinie, tymczasem teraz bardziej niepokoiło mnie to, że będzie musiała się od nich opędać niczym od łowców autografów.

Oboje zasypali mnie pytaniami. Opowiedziałem im, jak się poznaliśmy, opowiedziałem o Botswanie, o Waitrose, o tym, że jestem nią oczarowany, ale w sumie wszystko, co im powiedziałem, było mocno ocenzone. Nie chciałem im zdradzać zbyt wiele.

Oznajmiłem, że nie mogę się doczekać, aż ją poznają i będziemy mogli spędzać więcej czasu we czwórkę, po raz enty też wyznałem im, że od dawna marzę o tym, żeby dołączyć do nich na równych prawach z własną towarzyszką życia. Żebyśmy tworzyli dwie równorzędne pary. Mówiłem o tym Willy'emu już wiele razy, a on ciągle powtarzał: „Wiesz, Haroldzie, że to może nigdy nie nastąpić! I musisz się z tym pogodzić”. Cóż, teraz miałem poczucie, że wreszcie może do tego dojść, i tak też mu powiedziałem, ale Willy wciąż twierdził, że powinienem nieco zwolnić.

– W końcu to amerykańska aktorka, Haroldzie. Z taką wszystko może się wydarzyć.

Lekko urażony skinąłem głową. Potem uściskałem oboje na pożegnanie i wyszedłem.

Meg przyleciała do Londynu tydzień później.

Październik 2016 roku.

Zjedliśmy lunch z Markiem i jego rodziną, przedstawiłem ją również kilku innym bliskim znajomym. Poszło jak z płatka. Wszyscy byli nią zachwyceni.

Ośmielony takim obrotem spraw, poczułem, że czas, aby Meg spotkała się z kimś z mojej rodziny.

Zgodziła się.

Pierwszy przystanek: Royal Lodge. Chciałem, żeby poznała Fergie, ponieważ znała już jej córkę Euge oraz Jacka, więc wydawało mi się to logicznym kolejnym krokiem. Ale gdy już zbliżaliśmy się do Royal Lodge, odebrałem wiadomość na telefonie.

Była tam babcia.

Wpadła z niezapowiedzianą wizytą.

W drodze z kościoła do zamku.

– Super! – wykrzyknęła Meg. – Uwielbiam babcię.

Spytałem ją, czy potrafi dygnać. Odparła, że tak jej się wydaje. Ale nie była pewna, czy pytam na poważnie.

– Masz spotkać królową.

– Wiem, ale to twoja babcia.

– Ale to królowa.

Wjechaliśmy na wysypany żwirem podjazd i zaparkowaliśmy obok wielkiego zielonego żywopłotu z bukszpanu.

Fergie wyszła nas przywitać, była nieco zdenerwowana.

– Wiesz, jak trzeba dygnać? – zapytała.

Meg potrząsnęła głową.

Fergie zademonstrowała dygnięcie, a Meg powtórzyła jej ruchy.

Nie było czasu na dalsze korepetycje. Nie mogliśmy kazać babci czekać.

Idąc w kierunku drzwi, oboje z Fergie nachyleni nad Meg szeptaliśmy jej do ucha ostatnie wskazówki.

– Gdy po raz pierwszy spotykasz królową, zwracasz się do niej „Wasza Królewska Mość”. Potem wystarczy samo „proszę pani”.

– I cokolwiek się stanie, nigdy nie wchodzić jej w słowo – mówiliśmy oboje, wchodząc sobie w słowo.

Weszliśmy do dużego salonu i oto ukazała się naszym oczom. Babcia. Monarchini. Królowa Elżbieta II. Stała pośrodku pokoju. Odwróciła się nieznacznie. Meg ruszyła prosto w jej kierunku i wykonała głębokie, bezbłędne dygnięcie.

– Wasza Królewska Mość. To dla mnie zaszczyt.

Euge i Jack stali blisko babci i udawali, że wcale Meg nie znają. Oboje zachowywali się cicho i bardzo przyzwoicie. Każde z nich delikatnie pocałowało Meg w policzek, ale był to bardzo królewski, bardzo brytyjski pocałunek.

Po drugiej stronie babci stał jakiś facet. Niezidentyfikowany cel na godzinie dwunastej, przeszło mi przez głowę. Meg spojrzała na mnie, szukając jakiejś podpowiedzi co do jego tożsamości, ale nie potrafiłem jej pomóc – widziałem gościa po raz pierwszy w życiu. Euge szepnęła mi do ucha, że to przyjaciel jej mamy. No tak. Wbiłem w niego wzrok. Cudownie, pomyślałem. Gratulacje, stary, że możesz być świadkiem jednej z najbardziej doniosłych chwil w moim życiu.

Babcia była ubrana do kościoła: w jasną kolorową suknię i dopasowany do niej kapelusz. Niestety nie mogę sobie przypomnieć koloru, ale na pewno było to coś jasnego i bardzo szykownego. Zauważyłem, że Meg poczuła się niezręcznie w zwykłych dżinsach i czarnym swetrze.

Mnie też zrobiło się nieswojo z powodu moich wytartych spodni. Chciałem powiedzieć babci, że nie mieliśmy w planach spotkania z nią, ale ona wypytywała już Meg, jak przebiega jej wizyta w Anglii.

– Świetnie – odparliśmy oboje. – Wspaniale.

W rewanżu zapytaliśmy o nabożeństwo, z którego wracała.

– Przepiękne.

Panowała bardzo sympatyczna atmosfera. Babcia zapytała nawet Meg, co sądzi o Donaldzie Trumpie. (W Stanach Zjednoczonych trwała właśnie kampania przed listopadowymi wyborami prezydenckimi i wszyscy na świecie dyskutowali o kandydacie republikanów). Meg stroniła od polityki, więc szybko zmieniła temat na Kanadę.

Babcia zmrużyła oczy.

– Wydawało mi się, że jest pani Amerykanką.

– Tak, ale od siedmiu lat mieszkam i pracuję w Kanadzie.

Ta odpowiedź wyraźnie ucieszyła babcię. Brytyjska Wspólnota Narodów. Dobrze, to się chwali.

Po dwudziestu minutach babcia oświadczyła, że na nią już czas. Mój wujek Andrzej, który siedział obok niej i trzymał jej torebkę, odprowadził ją do wyjścia. Euge poszła razem z nimi. Nim babcia dotarła do drzwi, odwróciła się jeszcze, żeby pożegnać się z Jackiem i przyjacielem Fergie.

Spojrzała na Meg i pomachała jej z serdecznym uśmiechem.

– Do widzenia.

– Do widzenia. Cudownie było panią poznać – odparła Meg i ponownie dygnęła.

Gdy babcia odjechała, wszyscy pozostali wrócili do salonu. Atmosfera od razu uległa wyraźnej zmianie. Euge i Jack znów zachowywali się swobodnie, padła nawet propozycja, żeby wypić coś mocniejszego.

O tak, poproszę.

Wszyscy gratulowali Meg jej dygnięcia. Jaki głęboki ukłon! Wyśmienicie!

Po chwili Meg zapytała mnie o asystenta królowej.

Nie bardzo wiedziałem, o kogo jej chodzi.

– O tego faceta, który trzymał jej torebkę. Tego, który odprowadził ją do wyjścia.

– To nie był jej asystent.

– A kto?

– Jej drugi syn. Książę Andrzej.

Meg faktycznie nas nie googlowała.

16

Teraz przyszła kolej na Willy'ego. Chybaby mnie zabił, gdybym dłużej to odwlekał. Któregoś popołudnia wybraliśmy się do niego z Meg z wizytą, zaraz potem zaś we dwóch mieliśmy jechać na polowanie. Idąc pod dużym sklepieniem przejściem i przez dziedziniec pałacu Kensington do apartamentu pod numerem 1A, denerwowałem się bardziej niż przed spotkaniem z babcią.

Zastanawiałem się dlaczego, ale żadna odpowiedź nie przychodziła mi do głowy.

Weszliśmy po szarych kamiennych schodach i nacisnęliśmy dzwonek do drzwi.

Cisza.

Dopiero po dłuższej chwili drzwi się otworzyły i stanął w nich mój starszy brat. Nieco się wystroił: eleganckie spodnie, ładna koszula, rozpięty kołnierzyk. Przedstawiłem mu Meg, która nachyliła się do niego i objęła go, wprawiając go tym w osłupienie.

Willy cofnął się odruchowo.

Zazwyczaj nie obejmował się z nieznajomymi. Tymczasem Meg robiła to bardzo często. Sytuacja ta była klasycznym przykładem zderzenia kultur, podobnie jak moje nieporozumienia językowe z Meg, które zawsze wydawały mi się zabawne i urocze. Kiedy jednak rozmyślałem o tym później, zastanawiałem się, czy nie chodziło o coś więcej. Może Willy spodziewał się, że Meg przed nim dygnie? Tak nakazywał protokół przy pierwszym spotkaniu z członkiem rodziny królewskiej, ale Meg tego nie wiedziała, a ja jej nie uprzedziłem. Gdy mieliśmy się spotkać z babcią, powiedziałem jasno: to królowa. Ale teraz szliśmy na spotkanie z moim bratem Willym, fanem serialu *W garniturach*.

Cokolwiek było przyczyną dziwnej reakcji Willy'ego, po chwili zachowywał się już naturalnie. Tuż za progiem, gdy staliśmy w korytarzu na przypominającej szachownicę posadzce, wymienił kilka ciepłych słów z Meg. Nagle pojawił się jego spaniel Lupo, szczekając na nas, jakbyśmy byli włamywaczami. Willy zaraz go uciszył.

– A gdzie Kate?

– Wyszła z dziećmi.

– Ach, szkoda. Może następnym razem.

Potem musieliśmy się pożegnać z Meg. Willy miał dokończyć pakowanie i obaj jechaliśmy na weekend na polowanie. Meg pocałowała mnie i życzyła nam obu dobrej zabawy, a potem wróciła do Nott Cott, gdzie po raz pierwszy miała spędzić noc sama.

W kolejnych dniach nie mogłem przestać o niej mówić. Skoro Meg już poznała babcię, skoro poznała Willy'ego i jej związek ze mną przestał stanowić tajemnicę, miałem tyle do powiedzenia na jej temat. Mój brat słuchał uważnie, cały czas lekko się uśmiechając. Wiedziałem, że wynurzenia świeżo zakochanego mogą być dość nużące, ale nie potrafiłem się powstrzymać.

Muszę jednak przyznać Willy'emu, że nie dokuczał mi z tego powodu, nie kazał mi się przymknąć. Mało tego, powiedział coś, na co zawsze liczyłem i czego bardzo potrzebowałem z jego strony:

– Cieszę się twoim szczęściem, Haroldzie.

17

Kilka tygodni później wjechaliśmy przez bramę do otaczających Clarence House bujnych ogrodów, na których widok Meg wydała z siebie okrzyk zachwytu.

– Powinnaś zobaczyć je wiosną. Tata sam wszystko zaprojektował. Na cześć buni – dodałem. – Mieszkała tu przed nim.

Opowiedziałem Meg o buni. Wspomniałem, że od dziewiętnastego do dwudziestego ósmego roku życia też mieszkałem w Clarence House. Kiedy się wyprowadziłem, Camilla zamieniła moją sypialnię w garderobę. Starłem się tym nie przejmować. Choć na początku dość mocno mnie to ubodło.

Stanęliśmy przed drzwiami frontowymi. Piąta po południu, punktualnie. Spóźnienie nie byłoby mile widziane.

Meg wyglądała pięknie, czego zresztą nie omieszkalem jej powiedzieć. Miała na sobie czarno-białą suknię z rozkloszowaną spódnicą w kwiaty. Gdy położyłem rękę na jej plecach, poczułem, z jak delikatnej tkaniny jest uszyta. Włosy miała rozpuszczone, zresztą sam jej zasugerowałem takie uczesanie.

– Tata lubi, gdy kobiety noszą rozpuszczone włosy.

Babcia też. Często mówiła, jaką „piękną grzywę ma Kate”.

Meg – także za moją sugestią – nałożyła delikatny makijaż. Tata nie przepadał za zbyt mocno umalowanymi kobietami.

Drzwi otworzyły się i przywitał nas Gurkha, który służył u taty jako kamerdyner. Towarzyszył mu Leslie, wieloletni zarządca domu, który pracował jeszcze dla buni. Poprowadzili nas długim korytarzem, wzdłuż ogromnych obrazów i lusterek w połączonych ramach, po szkarłatnym dywanie, obok dużej szklanej gabloty wypełnionej lśniąca porcelaną i cennymi pamiątkami i dalej w górę po skrzypiących schodach, gdzie po trzech stopniach trzeba było skrócić w prawo,

pokonać następnych dwanaście stopni i znów skrócić w prawo. Tam wreszcie, na znajdującym się powyżej podeście, stał tata.

Towarzyszyła mu Camilla.

Ćwiczyliśmy z Meg tę sytuację kilkakrotnie.

– Przed tatą musisz dygnąć i zwrócić się do niego „Wasza Królewska Wysokość”. Jeżeli się nachyli, możesz go pocałować w oba policzki, w przeciwnym razie wystarczy uścisk dłoni. W przypadku Camilli dygnięcie jest zbyteczne. Wystarczy krótki pocałunek lub uścisk dłoni.

– Bez dygnięcia? Jesteś pewien?

Uznałem, że nie byłoby to właściwe.

Wszyscy poszliśmy do przestronnego salonu. W drodze tata zapytał Meg, czy to prawda, że – jak go poinformowano – jest gwiazdą amerykańskiej opery mydlanej! Meg uśmiechnęła się. Ja również. Kusilo mnie, żeby powiedzieć: „Opera mydlana, serio, tato? To określenie bardziej pasuje do naszej rodziny”.

Meg odparła, że występuje w serialu amerykańskiej sieci kablowej, który jest nadawany wieczorami. Opowiada o prawnikach i nosi tytuł *W garniturach*.

– Wspaniale – stwierdził tata. – Wybornie.

Podeszliśmy do okrągłego stołu nakrytego białym obrusem. Obok stał wózek barowy z herbatą, był tam również miodownik, herbatniki z płatkami owsianymi, kanapki, ciepłe racuszki, herbatniki z jakąś kremową masą i przysmak taty, czyli posiekana bazylia. Wszystko precyzyjnie ułożone. Tata usiadł plecami do otwartego okna, jak najdalej od trzeszczącego w kominku ognia. Camilla naprzeciwko niego, zwrócona plecami do kominka. Meg i ja usiedliśmy między nimi, naprzeciwko siebie.

Pożarłem racucha posmarowanego pastą Marmite, a Meg zjadła dwie kanapeczki z wędzonym łososiem. Oboje umieraliśmy z głodu. Przez cały dzień tak się denerwowaliśmy, że nic nie zjedliśmy.

Tata zaproponował Meg herbatniki z płatkami owsianymi. Była nimi zachwycona.

Camilla zapytała Meg, jaką woli herbatę, ciemną czy jasną. Meg przeprosiła, ponieważ nie wiedziała.

– Sądziłam, że herbata to herbata.

To wywołało pełną śmiechu dyskusję o herbacie, winie i innych trunkach, o brytyjskości i amerykańskości, a potem przeskoczyliśmy na znacznie szersze zagadnienie, czyli rozmowę o naszych największych przyjemnościach, co skierowało nas wprost na temat psów. Meg opowiadała o swoich dwóch „futrzystych maleństwach”, czyli Bogarcie i Guyu, psach, które przygarnęła ze schroniska. Zwłaszcza beagle Guy miał smutną historię. Meg znalazła go w schronisku w Kentucky, w którym usypiano niechciane psy. Ktoś porzucił go wcześniej w lesie, bez jedzenia i wody. Tymczasem w Kentucky, jak wyjaśniła Meg, beagle usypiano częściej niż w innych stanach, więc gdy trafiła na zdjęcie Guya na stronie internetowej schroniska, natychmiast się w nim zakochała.

Zobaczyłem, że Camilla posmutniała na twarzy. Sprawowała patronat nad schroniskiem dla psów i kotów w Battersea, więc tego typu opowieści zawsze bardzo mocno ją poruszały. Tą zresztą też. Nie mógł znieść myśli o cierpieniu zwierząt. Zawsze przypominało mu to o jego ukochanym psie Pooh, który zaginął na wrzosowiskach w Szkocji – prawdopodobnie wpadł do króliczej nory – i już nigdy się nie odnalazł.

Rozmowa toczyła się gładko, cała nasza czwórka zdawała się mówić równocześnie, lecz w pewnym momencie tata i Meg pograżyli się w cichej pogawędce, a ja zwróciłem się do Camilli, która chyba bardziej była zainteresowana podsłuchiowaniem ich dwoje niż konwersacją z pasierbem, ale niestety była na mnie skazana.

Wkrótce wszyscy zamieniliśmy się miejscami. Jakie to dziwne, pomyślałem, że instynktownie przestrzegamy tego samego protokołu co na oficjalnym obiedzie u babci.

W końcu ponownie wszyscy uczestniczyliśmy w rozmowie. Dyskutowaliśmy o aktorstwie i ogólnie o sztuce.

– Ileż wysiłku musiało panią kosztować przebicie się w tej branży – stwierdził tata. Miał wiele pytań na temat kariery Meg, a jej odpowiedzi wywarły na nim duże wrażenie. Wydawało mi się, że był zaskoczony jej pewnością siebie i inteligencją.

W końcu nasza wizyta dobiegła końca. Na tatę i Camillę czekały kolejne obowiązki. Takie już życie członka rodziny królewskiej. Poddane ścisłemu reżimowi, przeładowane spotkaniami i tak dalej.

Zanotowałem w pamięci, żeby później wszystko to wyjaśnić Meg.

Wstaliśmy od stołu. Meg nachyliła się w stronę taty. Zadrzałem. Podobnie jak Willy, tata niespecjalnie lubił się przytulać. Na szczęście Meg pożegnała go w typowo brytyjski sposób, całując go w oba policzki, co bardzo mu się spodobało.

Pełen radości wyszedłem z Meg z Clarence House i znaleźliśmy się w bujnym, pachnącym ogrodzie.

A więc już po wszystkim. Witaj w rodzinie, Meg.

18

Pod koniec października poleciałem do Toronto. Meg była bardzo podekscytowana, chciała pokazać mi swoje życie, swoje psy, swój mały dom, który uwielbiała. A ja pragnąłem to wszystko zobaczyć, poznać każdy szczegół jej życia. (Wcześniej byłem raz krótko w Kanadzie, teraz miała to być moja pierwsza właściwa wizyta). Chodziliśmy z psami na spacerunki po parkach i dużych, szerokich wawozach. Zapuszczaliśmy się w rzadko uczęszczane przez ludzi zakątki w okolicy jej domu. Toronto to przecież nie Londyn, ale i nie Botswana, więc powtarzaliśmy sobie, że na każdym kroku trzeba zachować ostrożność. Trzymać się od innych na odległość. Nosić przebrania.

A skoro o przebraniach mowa. Zaprośmy Euge i Jacka na Halloween. Miał też dołączyć do nas Markus, najlepszy przyjaciel Meg. Klub Soho House w Toronto urządzał wielką imprezę halloweenową. Temat: „Apokalipsa”. Odpowiednie stroje mile widziane.

Mruknąłem do Meg, że nie mam zbyt dużego szczęścia do imprez kostiumowych, ale mogę zaryzykować. O pomoc zwróciłem się do mojego przyjaciela, aktora Toma Hardy’ego, do którego zadzwoniłem z pytaniem, czy pożyczy mi swój kostium z *Mad Maxa*.

– Cały komplet?

– Tak, stary! Cały komplet.

Podarował mi kostium, zanim jeszcze wyleciałem z Anglii, i teraz przymierzałem go w małej łazience Meg. Kiedy w końcu wyszedłem, na mój widok wybuchnęła śmiechem.

Wyglądałem zabawnie. Ale i odrobinę przerażająco. Najważniejsze jednak, że byłem nie do poznania.

Meg z kolei włożyła czarne podarte szorty, top moro i siatkowe rajstopy. Jeśli tak ma wyglądać apokalipsa, to koniec świata mi niestraszny.

Impreza była głośna, wszystko tonęło w mroku, a alkohol lał się strumieniami. Idealnie. Kilka osób przyjrzało się bliżej Meg, gdy przechodziła przez kolejne sale, za to nikt nie poświęcał większej uwagi jej wyrwanemu z jakiejś dystopijnej opowieści partnerowi. Żałowałem, że nie mogę nosić tego kostiumu codziennie. A zwłaszcza że nie mogę go włożyć na drugi dzień i odwiedzić Meg na planie *W garniturach*.

Choć może lepiej nie. Popęliłem błąd i obejrzałem w sieci kilka scen miłosnych z udziałem Meg. Widziałem, jak razem z kolegą z obsady obłapiają się w jakimś biurze czy sali konferencyjnej... Potrzeba by chyba elektrowstrząsów, żeby wymazać te obrazy z mojej pamięci. Wolałem więc nie oglądać takich scen na żywo. Poza tym i tak nie było o czym mówić: na drugi dzień była niedziela i Meg nie pracowała.

Potem zaś wszystko nieodwracalnie się zmieniło, ponieważ nazajutrz w mediach gruchnęła wieść o naszym związku.

No cóż, mówiliśmy, wpatrując się w ekrany telefonów, prędzej czy później to się musiało stać.

Prawdę mówiąc, mieliśmy przecieki, że może do tego dojść właśnie tego dnia. Przed wyjściem na naszą halloweenową apokalipsę uprzedzono nas, że może się wydarzyć apokalipsa innego rodzaju. Kolejny dowód na to, że wszechświat ma dość pokręcone poczucie humoru.

– Meg, jesteś gotowa na to, co nas czeka?

– Tak myślę. A ty?

– Tak.

Siedzieliśmy na kanapie w jej domu, tuż przed moim wyjazdem na lotnisko.

– Boisz się?

– Tak. Nie. Może.

– Będą nas śledzić. Nie ma co do tego wątpliwości.

– Podejdę do tego tak jak wtedy, gdy byliśmy w afrykańskim buszu.

Przypomniała mi, co powiedziałem jej w Botswanie, gdy wokół nas słychać było ryk lwów.

„Zaufaj mi. Zapewnię ci bezpieczeństwo”.

– Uwierzyłam ci wtedy – powiedziała. – I wierzę ci teraz.

Gdy wylądowałem na Heathrow, cała historia jakby... przygasła.

Niczego nie udało się potwierdzić, nie było żadnych zdjęć, więc nie było nic, co by podsycalo zainteresowanie mediów.

Czyżby sprawa rozeszła się po kościach? Może wszystko jednak skończy się dobrze.

Ale gdzie tam. To była tylko cisza przed burzą.

19

W pierwszych dniach listopada 2016 roku prasa co rusz dopuszczała się nowych podłości. Byłem tym zszokowany i zarazem złościłem się na siebie, że wciąż mnie to szokuje. I że zupełnie się na to nie przygotowałem. Szykowałem się na zwyczajowe szaleństwo, na standardowe insynuacje, ale nie spodziewałem się takiej skali niczym niepoahamowanych oszczerstw.

Przede wszystkim nie byłem gotowy na rasistowskie ataki. Zarówno na ukryty rasizm, jak i ten bezpośredni, jawny i wulgarny.

Przodował w tym „Daily Mail”, w którym pojawił się nagłówek: „Dziewczyna Harry’ego wywodzi się (prawie) ze slumsów Compton”^[12]. Podtytuł zaś głosił: „Jej matka mieszka w okolicy nękaney przez gangi – czy Harry będzie do niej wpadał na herbatkę?”.

Do nagonki dołączył kolejny tabloid, publikując taką oto bombę: „Czy Harry zamierza się wżenić w gangsterską rodzinę królewską?”.

Zdębiałem. Krew odpłynęła mi z twarzy. Byłem wściekły, ale chyba jeszcze bardziej – zawstydzony. Jak moja własna ojczyzna może tak postępować z Meg? Z nami? To niedorzeczne.

Jakby sam nagłówek nie był dostatecznie haniebnym, w „Daily Mail” napisano, że w Compton w zeszłym tygodniu popełniono aż czterdzieści siedem przestępstw. Czterdzieści siedem, pomyślcie tylko. Mniejsza z tym, że Meg nigdy nie mieszkała w Compton ani nawet w jego pobliżu. Mieszkała pół godziny jazdy od Compton, a więc w takiej odległości, jaka dzieli pałac Buckingham od zamku Windsor.

Zresztą, jakie to ma znaczenie: nawet gdyby mieszkała w Compton, przed laty czy obecnie, to co z tego? Kogo obchodzi, ile przestępstw popełniono w Compton czy gdziekolwiek indziej, o ile to nie Meg była ich sprawczynią?

Dzień lub dwa później „Daily Mail” zaatakował ponownie, tym razem publikując felieton autorstwa siostry Borisa Johnsona, która przewidywała, że Meg... zaburzy pulę genetyczną rodziny królewskiej: „Jeśli z jej rzekomego związku z księciem Harrym cokolwiek wyniknie, Windsorowie zagęszczą swoją wodnistą błękitną krew, a typowe dla Spencerów rude włosy i blada cera wzbogacą się o nowe, egzotyczne DNA”.

Siostra Borisa Johnsona sugerowała dalej, że matka Meg, Doria, „pochodzi z biednej dzielnicy”, a jako dowód na to podała, że Doria nosi dredy. Fala brudów na temat Dorii – czarującej Dorii, która urodziła się w Cleveland w Ohio i ukończyła liceum w Fairfax, w typowej dzielnicy Los Angeles zamieszkaney przez klasę średnią – dotarła do trzech milionów Brytyjczyków.

„Telegraph” ruszył do natarcia, publikując nieco mniej obrzydliwy, choć równie nedorzeczny artykuł, którego autor rozważał pod każdym możliwym kątem palącą kwestię, czy zgodnie z prawem mogą poślubić (tu jęk oburzenia) rozwódkę.

Boże, a więc zabrali się już za jej przeszłość i prześwietili jej pierwsze małżeństwo.

Mniejsza z tym, że mój ojciec, sam rozwodnik, był obecnie żonaty z rozwódką ani że moja ciotka, księżniczka Anna, rozwiodła się i ponownie wyszła za mąż – można by tak jeszcze długo wymieniać. Najwyraźniej brytyjska prasa w 2016 roku uważała, że rozwód okrywa człowieka hańbą.

Następnie redakcja „The Sun” przecesała profile Meg w mediach społecznościowych i odkryła jej stare zdjęcie z przyjacielem, zawodowym hokeistą. Na tej podstawie dziennikarze wysnuli misterną opowieść o tym, że Meg łączył z nim płomienny romans. Spytałem ją o to.

– Skąd, on się wtedy spotykał z moją przyjaciółką. Sama ich sobie przedstawiłam.

Poprosiłem więc prawnika rodziny królewskiej, żeby skontaktował się z redakcją gazety, przekazał jej, że ta historia jest zupełnie fałszywa i szkalująca, w związku z czym żądamy jej natychmiastowego usunięcia z serwisu internetowego.

Kierownictwo gazety wzruszyło na to ramionami i pokazało nam środkowy palec.

- Zachowujecie się nierozważnie – ostrzegali redaktorów „The Sun” prawnik.
- Nie nudź, człowieku – odpowiadali mu.

Wiedzieliśmy już, że prasa nasłała prywatnych detektywów nie tylko na Meg, lecz także na wszystkich ludzi z jej życia i otoczenia, a nawet na osoby spoza jej najbliższego kręgu, więc było jasne, że gazety mają sporą wiedzę o jej przeszłości i mężczyznach, z którymi się spotykała. Dziennikarze stali się ekspertami od Meg; wiedzieli o niej więcej niż ktokolwiek inny poza nią samą i dlatego zdawali sobie sprawę, że wszystko, co napisali o jej romansie z hokeistą, to kompletne bzdury. W dalszym ciągu jednak na ostrzeżenia ze strony pałacowego prawnika udzielali takich samych wymijających odpowiedzi, które sprowadzały się zasadniczo do szyderczego:

„Mamy was gdzieś”.

Naradzałem się z naszym prawnikiem, jak mogę ochronić Meg przed tym i kolejnymi atakami. Przez większość dni, od rana aż do późnej nocy, robiłem wszystko, żeby je powstrzymać.

Pozwijmy ich, powtarzałem raz po raz prawnikowi. A on w kółko tłumaczył, że właśnie tego chcą gazety. Czekają, żebym złożył przeciwko nim pozew, ponieważ tym samym potwierdziłbym swój związek z Meg, a wtedy dziennikarze mogliby pójść na całość.

Szalałem z gniewu. I poczucia winy. Zaraziłem Meg i jej matkę wirusem znanym inaczej jako moje życie. Obiecałem Meg, że ją ochronię, a tymczasem sam naraziłem ją na niebezpieczeństwo.

Jeśli akurat nie naradzałem się z prawnikiem, rozmawiałem z Jasonem, specjalistą do spraw komunikacji w pałacu Kensington. Jason był bardzo mądrym facetem, ale według mnie podchodził do tego kryzysu z nadmiernym spokojem. Namawiał mnie, żebym w żaden sposób nie reagował.

- Bo wtedy będziemy tylko dostarczać im paliwa. Najlepiej zachować milczenie.

Ale milczenie nie wchodziło już w grę. Ze wszystkich dostępnych opcji milczenie było najgorszą taktyką. Nie mogliśmy po prostu pozwolić, żeby prasa w dalszym ciągu tak znęcała się nad Meg.

I chociaż udało mi się w końcu przekonać Jasona, że powinniśmy coś zrobić lub powiedzieć, Pałac nie udzielił na to zgody. Urzędnicy dworscy nas zablokowali. Oznajmili, że nic nie da się zrobić. A zatem nic nie zostanie zrobione.

Uznałem to rozstrzygnięcie za ostateczne. Dopóki nie przeczytałem felietonu na „Huffington Post”, którego autorka stwierdziła, że łagodna reakcja Brytyjczyków na tę eksplozję rasizmu wcale jej nie dziwi, ponieważ jesteśmy spadkobiercami rasistowskich kolonialistów. Ale rzeczą najbardziej „niewybaczalną”, dodała, było moje milczenie.

Moje milczenie.

Pokazałem ten tekst Jasonowi i powiedziałem, że natychmiast musimy zmienić taktykę. Koniec debat i dyskusji. Trzeba wydać oświadczenie.

W ciągu jednego dnia napisaliśmy jego tekst. Komunikat był mocny, precyzyjny, szczery i pełen gniewu. Nie spodziewałem się, że to zakończy sprawę, ale może chociaż coś zmieni.

Jeszcze raz przeczytałem tekst oświadczenia i poprosiłem Jasona, żeby je opublikował.

20

W chwili publikacji oświadczenia Meg już od kilku godzin znajdowała się w drodze na spotkanie ze mną. Gdy przyjechała samochodem na lotnisko Pearsona w Toronto, cały czas śledzili ją paparazzi. Roztrzęsiona, mając wrażenie, że wszyscy na nią patrzą, szła ostrożnie przez tłum podróżnych. Poczekalnia w hali odlotów była pełna, więc przedstawiciel linii Air Canada zlitował się nad Meg i wpuścił ją do bocznego pomieszczenia. Przyniósł jej nawet coś do jedzenia.

Gdy wylądowała na Heathrow, o moim oświadczeniu mówiono już wszędzie. Ale niewiele to zmieniło. Nagonka medialna trwała w najlepsze.

Oświadczenie tymczasem sprowokowało całkiem nowy atak – tym razem ze strony mojej rodziny. Tata i Willy byli wściekli. Palnęli mi kazanie o tym, że moje oświadczenie postawiło ich w złym świetle.

Ale czemu, do licha?

Ponieważ oni nigdy nie wydali oświadczenia w obronie swoich dziewczyn czy żon, kiedy były nękanie przez prasę.

Tak więc ta wizyta Meg w niczym nie przypominała poprzedniej. Stanowiła jej całkowite przeciwieństwo. Zamiast spacerować po ogrodach Frogmore, przesiadywać w mojej kuchni i snuć plany na przyszłość czy też poznawać siebie nawzajem, byliśmy zestresowani, naradzaliśmy się z prawnikami i zastanawialiśmy się, jak walczyć z całym tym szaleństwem.

Meg z zasady nie zaglądała do internetu. Usiłowała odciąć się od sączącej się stamtąd trucizny, nie dopuszczać jej do swojego umysłu. Mądrze. Ale na dłuższą metę było to niemożliwe, jeśli zamierzaliśmy prowadzić walkę o jej reputację i bezpieczeństwo fizyczne. Musiałem zatem dokładnie wiedzieć, co jest faktem, a co kłamstwem, a to oznaczało, że co kilka godzin pytałem ją o nowe doniesienia pojawiające się w internecie.

Czy to prawda? A to jest prawdą? Czy w tym jest choćby ziarno prawdy?

Meg często wybuchała płaczem.

– Nie rozumiem, dlaczego oni wypisują takie rzeczy, Haz? Mogą sobie tak po prostu wymyślać, co im się żywnie podoba?

– Owszem, mogą. I robią to.

Pomimo narastającego stresu i potwornego napięcia, jakie towarzyszyło nam w ciągu tych kilku dni, zdołaliśmy ocalić łączącą nas więź i ani razu nie straciliśmy nad sobą panowania. Kiedy wizyta Meg dobiegała końca, oboje byliśmy szczęśliwi i spokojni, a Meg zaproponowała, że na pożegnanie przygotuje dla mnie obiad.

Moja lodówka jak zwykle świeciła pustkami. Ale niedaleko znajdował się sklep Whole Foods. Wyjaśniłem Meg, jak najbezpieczniej tam dotrzeć:

– Musisz minąć strażników pałacowych, skrócić w prawo w kierunku Kensington Palace Gardens, potem idź Kensington High Street do szlabanu policyjnego, przy nim skręć w prawo i zobaczysz przed sobą Whole Foods. To olbrzymi sklep, nie da się go przegapić.

Ja musiałem stawić się na umówione spotkanie, ale niebawem miałem wrócić do domu.

– Czapka bejsbolowa, kurtka, głowa opuszczona, wyjdź boczną bramą. Wszystko będzie dobrze, wierz mi.

Gdy po dwóch godzinach wróciłem do domu, zastałem Meg roztrzęsioną i zapłakaną.

– O co chodzi? Co się stało?

Z trudem zdołała opowiedzieć całą historię.

Ubrała się tak, jak jej poradziłem, i swobodnie, przez nikogo nierozpoznana, krążyła po alejkach supermarketu. Kiedy jednak wjechała na górę schodami ruchomymi, podszedł do niej mężczyzna.

– Przepraszam, wie pani może, gdzie tu jest wyjście? – zapytał.

– Tak, musi pan pójść w lewo.

– Hej! To pani gra w tym serialu, *W garniturach*? Moja żona panią uwielbia.

– Och, bardzo mi miło! Dziękuję. Jak pan ma na imię?

– Jeff.

– Miło mi cię poznać, Jeff. Podziękuj, proszę, żonie za oglądanie serialu.

– Jasne. Czy mogę zrobić sobie z tobą zdjęcie... wiesz, dla mojej mamy?

– Zdaje się, że mówiłeś o żonie.

– Eee, no tak.

– Przepraszam, jestem tu tylko na zakupach.

Twarcz mężczyzny nagle się zmieniła.

– Cóż, nawet jeśli nie mogę zrobić sobie zdjęcia z tobą... nic nie powstrzyma mnie przed robieniem zdjęć tobie.

Mężczyzna wyciągnął telefon i ruszył za Meg do stoiska mięsnego, gdzie pstrykał jej zdjęcia, kiedy wybierała indyka. Chrząnić indyka, pomyślała Meg, idąc szybko w stronę kas. Facet nie odstępował jej na krok.

Meg ustawiła się w kolejce. Przed nią leżały w rzędach czasopisma i gazety, a na nich, opatrzone najbardziej szokującymi i ohydnyymi nagłówkami, znajdowały się... jej zdjęcia. Pozostali klienci również ją rozpoznali. Spoglądali na okładki czasopism, następnie na Meg i po kolei niczym zombie kierowali na nią swoje telefony.

Meg dostrzegła, jak dwie kasjerki wymieniły ze sobą szydercze uśmiechy. Zapłaciwszy za zakupy, szybko wyszła na zewnątrz, gdzie nadziała się na grupę czterech mężczyzn z wymierzonymi w nią obiektywami iPhone'ów. Opuściła nisko głowę i czym prędzej ruszyła Kensington High Street. Była już prawie w domu,

kiedy z Kensington Palace Gardens wytoczyła się zaprzęzona w konie kareta. Odbywała się właśnie jakaś parada i boczne wejście do pałacu było zablokowane. Meg musiała zawrócić wzdłuż ulicy, gdzie znów wytropiła ją czwórka mężczyzn, którzy śledzili ją aż do głównej bramy, cały czas wykrzykując jej imię.

Gdy wreszcie znalazła się w Nott Cott, zadzwoniła do swoich przyjaciółek. Każda z nich zaś pytała ją o to samo:

– Czy on jest tego wart, Meg? Czy ktokolwiek jest tego wart?

Objąłem ją i powiedziałem, że jest mi bardzo przykro.

Przytulaliśmy się przez pewien czas, aż powoli zaczęło do mnie docierać, że w mieszkaniu unosi się przecudowny zapach.

Rozejrzałem się wokół.

– Chwila. Chcesz powiedzieć... że po tym wszystkim... dałaś jeszcze radę zrobić obiad?

– Chciałam cię nakarmić przed wyjazdem.

21

Trzy tygodnie później w przychodni na Barbadosie przechodziłem badanie na wirusa HIV.

Razem z Rihanną.

Ech, królewskie życie.

Zbliżał się właśnie Światowy Dzień AIDS i w ostatniej chwili poprosiłem Rihannę, żeby wzięła udział w akcji mającej zwiększyć wśród mieszkańców Karaibów wiedzę na temat wirusa HIV. Ku mojemu zdumieniu zgodziła się.

Koniec listopada 2016 roku.

Ważny dzień, ważna sprawa, ale ja byłem myślami gdzie indziej. Martwiłem się o Meg. Nie mogła wrócić do swojego domu, ponieważ był otoczony przez paparazzich. Nie mogła pojechać do swojej matki w Los Angeles, bo tam też już na nią czyhali. Nastąpiła akurat przerwa w zdjęciach do serialu i Meg była sama, zagubiona, a w dodatku zbliżało się Święto Dziękczynienia. Skontaktowałem się więc ze znajomymi, którzy mieli wolny dom w Los Angeles i wielkodusznie zgodzili się użyć go Meg. Problem rozwiązany, przynajmniej na pewien czas.

Wciąż jednak niepokoiłem się o nią i odczuwałem wyjątkową wrogość wobec dziennikarzy, tymczasem zewsząd otaczali mnie właśnie... dziennikarze.

Ci sami co zwykle reporterzy zajmujący się rodziną królewską...

Przyglądając się im wszystkim, pomyślałem: jesteście współwinni.

Nagle poczułem ukłucie igły w palec. Popatrzyłem na wypływającą z niego krew i przypomniałem sobie wszystkich ludzi, przyjaciół i nieznajomych, dziennikarzy, pisarzy, kolegów ze szkoły i z wojska, którzy mówili, że w moich żyłach płynie błękitna krew. Zastanawiałem się, skąd się wzięło to dawne określenie arystokracji i rodów królewskich. Ktoś powiedział, że nasza krew jest błękitna, ponieważ jest zimniejsza od krwi innych ludzi, ale to chyba nie mogła być prawda. W mojej rodzinie zawsze mówiono, że nasza krew jest błękitna, ponieważ jesteśmy wyjątkowi, ale to raczej też nie miało nic wspólnego z rzeczywistością. Patrząc, jak pielęgniarka zbiera moją krew do próbki, pomyślałem sobie: czerwona, jak u wszystkich.

Odwróciłem się do Rihanny i ucieliśmy sobie krótką pogawędkę, czekając na wyniki badań. Okazały się negatywne.

Teraz chciałem jak najszybciej stamtąd wybiec, znaleźć gdzieś wi-fi i sprawdzić, co u Meg. Ale to było niemożliwe. Miałem grafik wypełniony wizytami i spotkaniami – typowy, niepozostawiający zbyt wiele swobody harmonogram członka rodziny królewskiej. A potem musiałem czym prędzej wracać na przerdzewiały statek marynarki handlowej, którym opływałem Karaiby.

Kiedy późnym wieczorem w końcu na niego dotarłem, sygnał wi-fi na pokładzie był tak słaby, że ledwo wyczuwalny. Mogłem jedynie wysłać z Meg wiadomości tekstowe, i to tylko pod warunkiem, że stałem w swojej kabine na ławce z telefonem przyciśniętym do iluminatora. Udało nam się porozmawiać na tyle długo, że dowiedziałem się, że jest bezpieczna w domu moich znajomych. Co więcej, jej rodzice zdołali dołączyć do niej przez nikogo niezauważeni i we troje spędzili Święto Dziękczynienia. Ojciec Meg przywiózł jednak ze sobą stos tabloidów i z niewyjaśnionych powodów chciał porozmawiać o tym, co w nich wypisywano. Nie skończyło się to zbyt dobrze i w rezultacie wyszedł od Meg wcześniej, niż zamierzał.

Kiedy Meg relacjonowała mi spotkanie z rodzicami, padła sieć wi-fi.

Statek handlowy sunął powoli w kierunku następnego portu.

Odłożyłem telefon i wpatrywałem się przez iluminator w ciemne morze.

22

Meg, wracając do domu z planu zdjęciowego, zauważyła, że jedzie za nią pięć samochodów.

Nagle rozpoczęły za nią pościg.

Wszystkie prowadzili podejrzanie wyglądający mężczyźni. W ich twarzach kryło się coś drapieżnego.

Była zima, drogi oblodzone. Wiadomo, w końcu to Kanada. W dodatku samochody niebezpiecznie krążyły wokół Meg, starały się ją osaczyć, cały czas siedziały jej na ogonie, przejeżdżając za nią nawet na czerwonym świetle, a kierujący nimi mężczyźni nieprzerwanie próbowali ją sfotografować – w związku z tym Meg bała się, że zaraz się rozbije.

Nakazała sobie zachować spokój, skupić się na jeździe i nie pozwolić tym facetom wyprowadzić się z równowagi. Potem zadzwoniła do mnie.

Byłem w Londynie i tak się złożyło, że też jechałem samochodem, prowadził mój ochroniarz, a zapłakany głos Meg natychmiast przypomniał mi scenę z dzieciństwa. Z Balmoral. „Obawiam się, że nie przeżyła, kochany chłopcze”. Prosiłem Meg, żeby starała się opanować i skupiła wzrok na drodze. Do głosu doszło moje doświadczenie ze służby wojskowej. Kazałem jej pojechać na najbliższy posterunek policji. Gdy wysiadła z samochodu, w tle usłyszałem biegnących za nią paparazzich.

– No dalej, Meghan, uśmiechnij się do nas!

Pstryk, pstryk, pstryk.

Meg opowiedziała policjantom, co się dzieje, błagała ich o pomoc. Funkcjonariusze okazali jej zrozumienie, a przynajmniej zapewniali ją o tym, ale jako że Meg była osobą publiczną, twierdzili, że nic nie mogą zrobić. Meg wróciła więc do samochodu, paparazzi natychmiast ją otoczyli, a ja towarzyszyłem jej przez telefon całą drogę do domu, do chwili, aż zamknęła za sobą drzwi i osunęła się na podłogę.

Ja też osunąłem się na siedzenie samochodu. Czułem się bezradny. To była moja pięta achillesowa. Mogłem znieść wszystko, dopóki byłem w stanie podjąć jakieś działania. Ale kiedy nic nie mogłem zrobić... chciałem umrzeć.

Chociaż Meg była już w domu, nie mogła wcale liczyć na chwilę wytchnienia. Podobnie jak poprzedniej nocy paparazzi i tak zwani dziennikarze nieustannie pukali do jej drzwi i naciskali dzwonek. Psy Meg odchodziły od zmysłów. Nie mogły zrozumieć, co się dzieje, dlaczego ich pani nie otwiera drzwi, dlaczego ktoś ciągle się do nich dobija. Podczas gdy psy wyły i krążyły po domu, Meg siedziała skulona na podłodze w kącie kuchni. Po północy, kiedy w końcu wszystko ucichło, odważyła się wyjrzeć na zewnątrz przez rolety i zobaczyła mężczyzn śpiących w samochodach z włączonymi silnikami.

Sąsiedzi powiedzieli Meg, że oni również byli nękani. Dziennikarze chodzili wzdłuż ulicy, zadawali pytania, proponowali pieniądze za najmniejsze informacje na temat Meg – a nawet za kłamstwa, byleby pikantne. Jeden z sąsiadów przyznał, że zaoferowano mu sporą sumę za zamontowanie na dachu jego domu kamery skierowanej w okna Meg. Inny z sąsiadów przyjął taką propozycję i na dachu domu umieścił kamerę wycelowaną prosto w jej podwórko. Meg po raz kolejny skontaktowała się z policją, która jednak znów okazała się bezradna. Obowiązujące w Ontario przepisy nie zabraniają takich działań, oznajmili policjanci. Jeśli sąsiad nie wkraczał fizycznie na teren prywatny Meg, mógł zamontować na swoim domu nawet teleskop Hubble’a i skierować go na jej podwórko.

Tymczasem w Los Angeles matkę Meg każdego dnia śledzono w drodze do pracy, do pralni i z powrotem. Obrzucano ją również oszczerstwami. W jednym tekście napisano, że wywodzi się z „marginesu społecznego mieszkającego w przyczepach kempingowych”. Gdzie indziej nazwano ją „ćpunką”. Tymczasem Doria zajmowała się opieką paliatywną i jeździła po całym Los Angeles, niosąc pomoc śmiertelnie chorym ludziom.

Paparazzi często wspinali się na mury i ogrodzenia otaczające domy oraz hospicja odwiedzanych przez nią pacjentów. I podobnie jak w przypadku mojej mamy, nieraz zdarzało się, że ostatnim dźwiękiem, jaki słyszeli ci umierający, był... trzask migawki aparatu.

Znowu razem. Był spokojny grudniowy wieczór w Nott Cott, przygotowaliśmy wspólnie kolację.

Odkryliśmy z Meg, że mamy tę samą ulubioną potrawę: pieczonego kurczaka.

Nie potrafiłem go jednak przyrządzić, więc Meg postanowiła wszystkiego mnie nauczyć.

Pamiętam panujące w kuchni ciepło, smakowite zapachy. Ćwiartki cytryny na desce do krojenia, czosnek i rozmaryn, bulgoczący w rondlu sos do pieczenia.

Pamiętam, jak nacierałem kurczaka solą, odkorkowałem butelkę wina.

Meg włączyła muzykę. Otwierała mnie na zupełnie nowe doznania muzyczne, zapoznawała mnie z folkiem i soulem, puszczała mi Jamesa Taylora i Ninę Simone.

„Wstaje nowy świt, wstaje nowy dzień”.

Może to wino uderzyło mi do głowy. Może byłem znużony ostatnimi tygodniami użerania się z prasą. Z jakiegoś powodu, gdy rozmowa przyjęła nieoczekiwany obrót, stałem się drażliwy.

A potem rozzłoszczony. Przesadnie i bez istotnych powodów.

Meg powiedziała coś, co opacznie zrozumiałem. Wynikało to po części z różnic kulturowych i językowych, ale również z tego, że po prostu byłem tego wieczoru przewrażliwiony. Pomyślałem sobie: dlaczego się mnie czepia?

Odburknąłem jej coś w odpowiedzi ostrym, agresywnym tonem. Gdy tylko moje słowa wybrzmiały, poczułem, jak wszystko dookoła zamarło. Sos przestał bulgotać na kuchence, cząsteczki powietrza przestały wirować. Wydawało się, że nawet Nina Simone zamilkła. Meg wyszła z pokoju.

Kiedy po piętnastu minutach wciąż jej nie było, poszedłem za nią na górę. Znalazłem ją w sypialni. Siedziała spokojna i rzekła do mnie cichym, opanowanym głosem, że nie pozwoli, by kiedykolwiek tak do niej mówiono.

Skinąłem głową.

Chciała wiedzieć, skąd wzięły się u mnie takie słowa.

– Nie mam pojęcia.

– Słyszałeś kiedyś, żeby mężczyzna zwracał się w ten sposób do kobiety? Czy w dzieciństwie słyszałeś, jak dorośli tak ze sobą rozmawiają?

Odchrząknąłem, odwróciłem wzrok.

– Tak.

Meg oświadczyła, że nie zamierza tolerować takiego zachowania u swojego partnera. Ani u ojca swoich dzieci. Nie chce takiego życia. Nie zamierza wychowywać dzieci w atmosferze przesyconej gniewem i pogardą. Wyraziła to w sposób niepozostawiający wątpliwości. Oboje wiedzieliśmy, że mój napad gniewu nie był spowodowany przez to, czego dotyczyła nasza rozmowa. Pochodził gdzieś z mojego wnętrza, z jakiegoś głęboko ukrytego miejsca i nie ulegało wątpliwości, że przydałaby mi się fachowa pomoc, żeby do niego dotrzeć.

– Próbowałem chodzić na terapię – oznajmiłem. – Za radą Willy’ego. Ale nie trafiłem na takiego terapeutę, który by mi odpowiadał. Nic z tego nie wyszło.

– W takim razie – powiedziała łagodnie Meg – spróbuj raz jeszcze.

24

Któregoś wieczoru opuściliśmy pałac Kensington ciemnym nieoznakowanym samochodem, oboje ukryci na tylnym siedzeniu. Około wpół do siódmej wyjechaliśmy przez tylną bramę. Ochroniarze zapewnili nas, że nikt nas nie śledził, kiedy więc utknęliśmy w korku na Regent Street, wyskoczyliśmy z Meg z wozu. Wybieraliśmy się do teatru i nie chcieliśmy zwracać na siebie uwagi, wchodząc do sali już po rozpoczęciu przedstawienia. Byliśmy tak bardzo skupieni na tym, żeby się nie spóźnić, że nie zauważyliśmy, jak śledzą nas ci dwaj – bezczelnie przy tym naruszając wszelkie zasady stalkingu.

Zrobili nam zdjęcia blisko teatru. Z jadącego samochodu, przez szybę w wiacie przystanku autobusowego.

Tymi, którzy nas ustrzelili, okazali się oczywiście Półdupek i Półgłówek.

Nie przepadamy za byciem fotografowanymi, zwłaszcza przez tych dwóch. Udawało nam się ich unikać przez pięć miesięcy. Niezła passa, stwierdziłbym.

Następnym razem zdybali nas kilka tygodni później, kiedy wychodziliśmy z kolacji z Dorią, która przyleciała do Anglii razem z Meg. Paparazzi dopadli nas dwoje, ale na szczęście przegapili Dorię. Ona skręciła do hotelu, a my razem z ochroniarzami poszliśmy do naszego samochodu. Tym sposobem im umknęła.

Bardzo denerwowałem się przed tą kolacją. Poznanie matki swojej dziewczyny to zawsze dość stresująca sytuacja, a już szczególnie wtedy, kiedy zamieniłeś życie tej dziewczyny w piekło. „The Sun” zamieścił ostatnio na pierwszej stronie

nagłówek: „Dziewczyna Harry’ego na Pornhubie”. W tekście znalazły się kadry ze scen z serialu *W garniturach*, które jacyś zboczeńcy wrzucili na stronę porno. W „The Sun” oczywiście nie napisali, że zdjęcia zostały wykorzystane bezprawnie, że Meg nic nie wiedziała o ich publikacji i miała tyle wspólnego z porno co moja babcia. To był tylko wybieg, który miał nakłonić czytelników do kupienia gazety bądź kliknięcia w link. Kiedy ludzie orientowali się, że w tekście nie ma nic sensacyjnego, było już za późno! A pieniądze z reklam płynęły na konto „The Sun”.

Walczyliśmy z tą publikacją, złożyliśmy oficjalną skargę, ale na szczęście temat nie wypłynął podczas kolacji z Dorią. Mieliśmy przyjemniejsze rzeczy do omówienia. Meg wróciła właśnie ze zorganizowanej przez World Vision podróży do Indii, podczas której uczestniczyła w akcji na rzecz walki z ubóstwem menstruacyjnym oraz zwiększenia dostępu do edukacji wśród młodych dziewcząt. Potem zaś, w ramach spóźnionego świętowania sześćdziesiątych urodzin Dorii, zabrała ją do ośrodka jogi na Goa. Teraz również spotkaliśmy się, żeby uczcić urodziny Dorii, a także fakt, że jesteśmy razem z Meg, i w tym celu wybraliśmy się do naszego ulubionego miejsca: klubu Soho House na Dean Street 76. Jeśli chodzi o Indie, śmiałyśmy się z rady, jakiej udzieliłem Meg przed wyjazdem: nie rób sobie zdjęcia przed Tadz Mahal. Na pytanie dlaczego odparłem:

– Z powodu mojej mamy.

Wyjaśniłem, że matka pozowała przed Tadz Mahal do fotografii, która zyskała ikoniczny status, a nie chciałem, by ktokolwiek pomyślał, że Meg usiłuje ją naśladować. Meg nie знаła tego zdjęcia i cała ta historia wprowadziła ją w zdumienie, a ja byłem zachwycony tym, w jaki sposób zareagowała.

Kolacja z Dorią była cudowna, ale teraz patrzę na tamten wieczór jak na koniec początkowego okresu naszej znajomości z Meg. Nazajutrz w prasie pojawiły się nasze zdjęcia i nastąpił zalew nowych historii, które spiętrzoną falą przeszły przez liczne kanały w mediach społecznościowych. Rasizm, mizoginia, skandaliczna wręcz głupota – wszystko to uległo natężeniu.

Nie wiedząc, do kogo się zwrócić, zadzwoniłem do taty.

– Nie czytaj tego, kochany chłopcze.

– To nie takie proste – rzuciłem gniewnie. – Mogę ją stracić. Albo ona dojdzie do wniosku, że szkoda marnować na mnie czas, albo prasa tak zatruje opinię

publiczną, że jakiś idiota może jej zrobić krzywdę.

To wszystko już się działo, tylko w zwolnionym tempie. Plan zdjęciowy został zamknięty dla osób z zewnątrz, ponieważ ktoś na podstawie tego, co przeczytał o Meg, zaczął jej grozić śmiercią.

– Meg czuje się osaczona i przerażona – powiedziałem – od miesiący nie podnosi w domu rolet. A ty mówisz mi, że mam nie czytać, co o niej piszą?

Tata stwierdził, że przesadzam.

– Tak już niestety jest na tym świecie.

Zaapelowałem do jego poczucia własnego interesu: jeśli nic nie zrobimy, postawi to monarchię w niekorzystnym świetle.

– Ludzie bardzo mocno reagują na to, co spotyka Meg, tato. Odbierają to bardzo osobiście, musisz to zrozumieć.

Tata pozostał jednak niewzruszony.

25

Podany mi adres znajdował się pół godziny drogi od Nott Cott. Krótka przejażdżka samochodem przez Tamizę, obok parku... ale miałem wrażenie, jakby to była jedna z moich wypraw polarnych.

Serce waliło mi mocno, wziąłem głęboki wdech i zapukałem do drzwi.

Otworzyła mi kobieta. Przywitała się ze mną i krótkim korytarzem zaprowadziła mnie do gabinetu.

Pierwsze drzwi na lewo.

Nieduży pokój. Okna z żaluzjami. Tuż przy ruchliwej ulicy. Słysząc było samochody i buty przechodniów stukające o chodnik. Rozmowy i śmiech ludzi.

Była ode mnie piętnaście lat starsza, ale zachowywała się w młodzieńczy sposób. Przypominała mi Tiggy. To było naprawdę niesamowite, jak podobną roztaczała wokół siebie aurę.

Wskazała mi miejsce na ciemnozielonej kanapie, a sama usiadła na krześle po drugiej stronie pokoju. Tego dnia panowała jesienna pogoda, a ja byłem zlany potem. Przeprosiłem za to.

– Szybko się pocę. Poza tym trochę się denerwuję.

– Nie musisz się tłumaczyć.

Podniosła się, wyszła, by po chwili wrócić z niewielkim wiatrakiem, który skierowała w moją stronę.

– Och, cudownie. Dziękuję.

Czekała, aż zacznę. Ale nie wiedziałem, od czego powinienem. Postanowiłem więc zacząć od mamy. Powiedziałem, że boję się, że ją stracę.

Kobieta posłała mi długie, badawcze spojrzenie.

Oczywiście wiedziała, że już straciłem matkę. Co za surrealistyczne uczucie spotkać terapeutkę, która zna już sporą część twojego życia, która pewnie podczas wakacji czytała o tobie na plaży całe książki.

– Tak, zgadza się, już straciłem moją mamę, ale obawiam się, że rozmawiając tutaj o niej, z zupełnie mi obcą osobą, i być może łagodząc nieco ból związany z jej śmiercią, utracę ją ponownie. Utracę poczucie jej obecności albo to, co zawsze odczuwałem jako jej obecność.

Terapeutka zmrużyła oczy. Spróbowałem wytłumaczyć wszystko raz jeszcze.

– Rozumiesz... ten ból... jeśli tak to można nazwać... jest wszystkim, co mi po niej zostało. I ten ból w pewnym sensie mnie napędza. W niektóre dni tylko on sprawia, że jakoś się trzymam. I wydaje mi się, że gdy zniknie, ona może pomyśleć... że o niej zapomniałem.

Wiedziałem, że to brzmi idiotycznie. Ale tak właśnie się czułem.

Z nagłym przygniatającym smutkiem wyjaśniłem, że wszystkie moje wspomnienia związane z matką przepadły. Znajdowały się po drugiej stronie Ścianki. Opowiedziałem jej o Ściance. O tym, że rozmawiałem z Willym o braku wspomnień związanych z matką. Poradził mi, żebym przejrzał albumy z fotografiami, co też czym prędzej zrobiłem. Nic to nie dało.

A zatem myśl o matce nie przywoływała żadnych obrazów ani wrażeń, matka była po prostu dziurą w moim sercu i nie miałem pojęcia, co się stanie, jeśli załatam jakoś tę dziurę, jeśli w końcu się zagoi.

Zapytałem, czy to nie zakrawa na kompletne szaleństwo.

– Nie.

Milczeliśmy.

Bardzo długo.

Wreszcie zapytała mnie, czego oczekuję.

– Dlaczego tutaj przyszedłeś?

– Proszę posłuchać – powiedziałem – chcę po prostu... pozbyć się tego ciężaru z mojej piersi. Potrzebuję... potrzebuję...

– Tak?

– Potrzebuję się wypłakać. Proszę. Pomóż mi się wypłakać.

26

Podczas kolejnej sesji spytałem, czy mogę się położyć.

– Byłam ciekawa, kiedy o to zapytasz – odparła z uśmiechem.

Wyciągnąłem się na zielonej kanapie, podłożyłem poduszkę pod głowę.

Opowiadałem o bólu fizycznym i emocjonalnym. O atakach paniki, lęku. O oblewającym mnie pocie.

– Od jak dawna to trwa?

– Od dwóch czy trzech lat. Kiedyś było o wiele gorzej.

Opowiedziałem o rozmowie, którą odbyłem z Cress podczas wyjazdu na narty. Emocje wylały się wówczas ze mnie jak szampan z odkorkowanej butelki. Trochę wtedy płakałem... jednak to wciąż było za mało. Musiałem wypłakać się bardziej. Ale nie potrafiłem.

Zacząłem mówić o głęboko we mnie tkwiącym gniewie, który stanowił bezpośrednią przyczynę udania się na terapię. Opisałem scenę z Meg w kuchni.

Potrząsnąłem głową.

Następnie dałem upust swojej złości na rodzinę. Na tatę i Willy'ego. Na Camille. Często, słysząc przechodniów za oknem, przerywałem w pół zdania. Gdyby tylko wiedzieli, że tuż obok księżę Harry obgaduje swoją rodzinę. Rozprawia o swoich problemach. Och, gazety dopiero miałyby używanie.

Ta uwaga skierowała rozmowę na temat prasy. Poczułem mocniejszy grunt pod stopami i ruszyłem do natarcia. Moi rodacy i rodaczki, mówiłem, okazują taką pogardę, tak haniebną brak szacunku kobiecie, którą kocham. Jasne, prasa od lat była wobec mnie bezlitosna, ale to co innego. Byłem na to skazany z racji

urodzenia. A czasami sam się prosiłem o takie traktowanie, sam ściągałem na siebie uwagę mediów.

– Ale ta kobieta niczym sobie nie zasłużyła na takie okrucieństwo.

Gdy zaś skarżyłem się na to, prywatnie bądź publicznie, ludzie tylko przewracali oczami. Mówili, że strasznie się nad sobą użalam i tak naprawdę jedynie udaję, że zależy mi na prywatności, a Meg wcale nie jest lepsza. „Twierdzi, że reporterzy się za nią uganiają? Ojej, jak nam przykro! Nic jej nie będzie, w końcu jest aktorką, więc jest przyzwyczajona do paparazzich, a nawet zależy jej na ich zainteresowaniu”.

Ale nikt nie chciałby takiego życia. Nikt nie byłby w stanie do tego przywyknąć. Ci wszyscy przewracający oczami nie wytrzymałoby nawet dziesięciu minut takiego traktowania. Meg po raz pierwszy w życiu miała ataki paniki. Ostatnio dostała wiadomość od zupełnie jej obcego człowieka, który znał jej adres w Toronto i obiecywał, że wpakuje jej kulkę w głowę.

Terapeutka stwierdziła, że w moim głosie słychać wściekłość.

Tak, do cholery, bo byłem wściekły!

Dodała, że bez względu na to, jak uzasadnione były moje żale, sprawiałem wrażenie, jakbym utknął w martwym punkcie. To prawda, oboje z Meg przechodziliśmy gehennę, ale tamten Harry, który wyładował swoją złość na Meg, nie był tym samym Harrym, który leżał teraz na kanapie i rozsądnie wszystko tłumaczył. Wtedy w kuchni byłem strauumatyzowanym dwunastoletnim Harrym.

– To, przez co teraz przechodzisz, Harry, przypomina ci rok dziewięćdziesiąty siódmy, ale obawiam się również, że jakaś część twojej osoby wciąż tkwi w tamtym czasie.

Nie spodobały mi się jej słowa. Poczuję się nieco urażony.

– Nazywasz mnie dzieckiem? Wydaje mi się to odrobinę niegrzeczne.

– Twierdzisz, że chcesz usłyszeć prawdę, że prawdę cenisz ponad wszystko. No więc taka jest właśnie prawda.

Przekroczyliśmy czas wyznaczony na sesję. Trwała prawie dwie godziny. Na koniec umówiliśmy się na następne spotkanie. Zapytałem, czy mogę ją uściskać na do widzenia.

– Tak, oczywiście.

Objąłem ją delikatnie i podziękowałem.

Gdy wyszedłem na ulicę, kręciło mi się w głowie. W każdą stronę ciągnęły się wspaniałe restauracje i sklepy, a ja oddałbym wszystko, żeby móc przespacerować się wzdłuż nich, pozaglądać w ich witryny i dać sobie czas na przemyślenie wszystkiego, co przed chwilą powiedziałem i czego sam dowiedziałem się o sobie.

Ale to oczywiście było niemożliwe.

Nie chciałem wywoływać zamieszania.

27

Jak się okazało, moja terapeutka poznała kiedyś Tiggy. Zdumiewający zbieg okoliczności. Świat jest naprawdę mały. Podczas kolejnej sesji rozmawialiśmy więc o Tiggy, o tym, że była matką zastępczą dla mnie i Willy'ego, a także o tym, że Willy i ja często traktowaliśmy kobiety jak matki zastępcze. I jeszcze o tym, jak chętnie one same obsadzały się w tej roli.

Przyznałem, że dzięki matkom zastępczym czułem się lepiej, ale zarazem budziły we mnie poczucie winy, bo ciągle zastanawiałem się: co mama by pomyślała?

Zaczęliśmy rozmawiać o poczuciu winy.

Opowiedziałem o doświadczeniach mamy z terapią, tak jak sam to zapamiętałem. Niewiele jej pomogła. Wszystko wskazuje na to, że mogła nawet zaszkodzić. Tyle osób na niej zerowało, wykorzystywało ją – w tym również terapeutę.

Rozmawialiśmy o podejściu mamy do naszego wychowania, o tym, że czasami bywała nadopiekuńcza, by potem zniknąć na dłuższy czas. Dyskusja o tym była ważna, ale zarazem czułem się, jakbym ją zdradzał.

Kolejna fala wyrzutów sumienia.

Rozmawialiśmy o życiu w bańce brytyjskości i w bańce rodziny królewskiej. A więc o życiu w bańce ukrytej w kolejnej bańce – nie da się tego opisać komuś, kto sam tego nie doświadczył. Ludzie po prostu nie zdawali sobie sprawy, jak wygląda nasze życie, słyszeli słowo „królewski” i tracili wszelki rozsądek: „Aha, jesteś księciem – więc nie masz żadnych zmartwień”.

Zakładali... a raczej tak ich uczono... że to wszystko jakaś bajka. A my nie jesteśmy prawdziwymi ludźmi.

Pisarka, którą wielu Brytyjczyków podziwiała, autorka grubych powieści historycznych, za które zdobywała nagrody literackie, napisała o mojej rodzinie esej, stwierdzając w nim, że jesteśmy ni mniej, ni więcej, tylko... pandami: „Panująca obecnie rodzina królewska nie ma takich trudności z rozmnażaniem się, jakie mają pandy, ale pandy, podobnie jak członkowie rodziny królewskiej, są bardzo kosztowne w utrzymaniu i słabo przystosowują się do nowego środowiska. Ale czyż nie są interesujące? Czy nie miło na nie popatrzeć?”.

Nigdy nie zapomnę, jak bardzo szanowany eseista w najszacowniejszym brytyjskim piśmie literackim napisał o mojej matce, że jej „wczesna śmierć oszczędziła nam mnóstwa nudy”. (W tym samym tekście wspominał o „schatzce Diany z tunelem drogowym”). Ale to porównanie do pand zawsze uderzało mnie jako wyjątkowo trafne i niezwykle okrutne. Rzeczywiście, żyliśmy niczym w zoo, ale jako żołnierz wiedziałem, że myślenie o ludziach w kategorii zwierząt, pozbawianie ich człowieczeństwa prowadzi w rezultacie do przemocy i zabijania. Skoro nawet słynna intelektualistka porównuje nas do zwierząt, to czego możemy oczekiwać od zwykłych ludzi na ulicy?

Pokrótce przedstawiłem terapeutce, jak w pierwszej połowie mojego życia przebiegał proces dehumanizacji naszej rodziny. Ale w przypadku Meg te ataki były przyprawione jeszcze większą dawką jadu i nienawiści – a do tego szczyptą rasizmu. Mówiłem o tym, co obserwowałem, co słyszałem i czego byłem świadkiem przez ostatnie kilka miesięcy. W pewnym momencie podniosłem się z kanapy i wyciągnąłem szyję, żeby sprawdzić, czy terapeutka mnie słucha. Siedziała z szeroko otwartymi ustami. Jako rodowita Brytyjka sądziła, że dobrze zna ten kraj.

Nic podobnego.

Pod koniec sesji poprosiłem ją o profesjonalną opinię:

– Czy to, co czuję, jest... normalne?

Roześmiała się. Czym w ogóle jest normalność?

Ale przyznała, że jedno nie ulega najmniejszej wątpliwości: znalazłem się w bardzo nietypowym położeniu.

– Uważasz, że mam osobowość nałogowca?

A mówiąc ściśle, chciałem wiedzieć, na jakim etapie znajdowałbym się obecnie, gdybym miał taką osobowość.

– Ciężko powiedzieć. To czysto hipotetyczny problem.

Spytała, czy zażywam narkotyki.

Tak.

Opowiedziałem jej rozmaite szalone historie.

– Cóż, w takim razie wydaje mi się dość zaskakujące, że nie jesteś uzależniony.

Stwierdziła, że jeśli jestem od czegoś uzależniony, to bezsprzecznie od prasy. Kompulsywnie wręcz czytałem gazety, a potem wściekałem się na nie.

– To prawda – przyznałem ze śmiechem. – Ale wypisują w nich kompletne bzdury.

– Masz rację. – Zaśmiała się.

28

Zawsze wydawało mi się, że Cressida dokonała cudu, kiedy sprawiła, że otworzyłem się przed nią, uwolniłem tłumione wcześniej emocje. Ale ona jedynie zapoczątkowała tę cudowną przemianę, moja terapeutka zaś doprowadziła ją do końca.

Przez całe życie mówiłem ludziom, że nie pamiętam przeszłości, nie mogę przypomnieć sobie mamy, ale nigdy nie przedstawiałem nikomu pełnego obrazu swojej sytuacji. Moja pamięć była martwa. Ale teraz, po kilku miesiącach terapii, w końcu się odblokowała, zaskoczyła niczym dawno nieodpalany samochód.

Wróciła do życia.

Zdarzały się takie dni, że otwierałem oczy i widziałem przed sobą... mamę.

Wracały do mnie tysiące obrazów, a niektóre z nich wydawały się tak żywe i barwne, jakby były hologramami.

Przypominałem sobie poranki w pałacu Kensington, kiedy niania budziła mnie i Willy'ego, a potem pomagała nam zejść do apartamentów mamy. W jej sypialni znajdowało się łóżko wodne i obaj z Willym skakaliśmy po nim, wrzeszcząc i śmiejąc się, a mokre od potu włosy sterczały nam na wszystkie strony. Przypominałem sobie wspólne śniadania, mama uwielbiała grejpfruty i liczi,

rzadko pijała kawę czy herbatę. Po śniadaniu zabierała się do pracy, a my siedzieliśmy obok niej, gdy wykonywała telefony służbowe, chodziliśmy z nią na oficjalne spotkania.

Pamiętam, jak razem z Willym towarzyszyliśmy mamie podczas rozmowy z Christy Turlington, Claudią Schiffer i Cindy Crawford. Dla dwóch nieśmiałych chłopców wchodzących w okres dojrzewania była to wyjątkowo deprymująca sytuacja.

Przypomniałem sobie wieczory w pałacu Kensington, kiedy u podnóża schodów mówiliśmy mamie dobranoc i całowaliśmy ją w gładką szyję, wdychając jej perfumy, a potem leżałem w swoim łóżku, w ciemnościach, czując się tak bardzo samotny i pragnąc choć raz jeszcze usłyszeć jej głos. Mój pokój był najbardziej oddalony od jej sypialni i leżąc w ciemności, w tej okropnej ciszy, nie byłem w stanie się uspokoić, nie potrafiłem zasnąć.

Terapeutka zachęcała mnie, żebym nie ustawał w wysiłkach.

– Nasza praca zaczyna przynosić efekty – mówiła. – Nie zaprzepaśmy tego.

Na jedną z sesji przyniosłem flakonik ulubionych perfum mamy. (Najpierw skontaktowałem się z siostrą mamy i zapytałem o nazwę). Były to perfumy First marki Van Cleef & Arpels. Otworzyłem flakonik i głęboko wciągnąłem ich zapach.

Jakbym zażył LSD.

Przeczytałem gdzieś, że węch to nasz najstarszy zmysł, i to w pełni zgadzało się z tym, czego doświadczyłem w tej właśnie chwili, kiedy z najbardziej pierwotnej części mojego mózgu zaczęły się wyłaniać kolejne obrazy.

Przypomniałem sobie, jak któregoś dnia w Ludgrove mama chowała słodycze do mojej skarpety. Wnoszenie słodyczy na teren szkoły było zabronione, więc mama postanowiła zlekceważyć jej regulamin, a przy tym cały czas chichotała, za co kochałem ją jeszcze bardziej. Oboje śmialiśmy się, upychając słodycze głęboko do skarpety, a ja piszczalem:

– Och, mammo, jesteś niegrzeczna!

Pamiętam nawet, jak się nazywały te cukierki. Opal Fruits!

Twarde kwadratowe kostki o jaskrawych kolorach... nie to co te wyciągnięte z mroków pamięci wspomnienia.

Nic dziwnego, że tak uwielbiałem w szkole „dni wyzerki”.

I cukierki Opal Fruits!

Przypomniałem sobie też, jak jechaliśmy kiedyś na lekcję tenisa, mama prowadziła, a ja z Willym siedzieliśmy z tyłu. Bez ostrzeżenia mama nacisnęła nagle pedał gazu i pomknęliśmy jak strzała przez wąskie ulice, przejeżdżając na czerwonych światłach i chwiejąc się na zakrętach. Obaj z Willym byliśmy przypięci pasami, więc nie mogliśmy obejrzeć się przez tylną szybę, ale mieliśmy wrażenie, że ktoś nas goni. Paparazzi na motorach i skuterach.

– Czy oni chcą nas zabić, mamó? Czy zginiemy?

Mama, w wielkich okularach przeciwsłonecznych, zerknęła ciągle w lusterka. Po piętnastu minutach, w trakcie których kilkakrotnie uniknęła zderzenia z innymi samochodami, nacisnęła na hamulec, zatrzymała wóz, wyskoczyła z niego i ruszyła w stronę jadących za nami fotoreporterów.

– Zostawcie nas w spokoju! Na miłość boską, jestem z dziećmi, nie możecie zostawić nas na chwilę w spokoju?

Roztrzęsiona i zarumieniona na twarzy wróciła do samochodu, zatrzasnęła drzwi i zasunęła szyby, po czym oparła głowę na kierownicy i zaczęła płakać, a te hieny bez przerwy robiły jej zdjęcia. Pamiętam łzy spadające spod jej wielkich okularów i Willy'ego, który siedział nieruchomo jak posąg, pamiętam też paparazzich, którzy cały czas tylko naciskali spusty migawek, i pamiętam, że poczułem do nich straszliwą nienawiść oraz głęboką, wieczną miłość do mamy i Willy'ego.

Przypomniałem sobie, jak byliśmy na wakacjach na Necker Island i siedzieliśmy we trójkę w chatce na szczycie klifu, gdy nagle zobaczyliśmy podpływającą łódź z grupką fotoreporterów. Bawiliśmy się tego dnia balonami wodnymi i mieliśmy ich spory arsenał. Mama szybko skleciła prowizoryczną katapultę i rozdzieliła między nas balony. Na trzy zaczęliśmy ostrzeliwać nimi fotoreporterów. Przez wszystkie te lata zapomniałem, jak mama się wówczas śmiała, ale teraz jej śmiech znowu rozbrzmiewał w mojej głowie. Głośno i wyraźnie jak gwar ruchu ulicznego dobiegający zza okna gabinetu.

Ten śmiech wywołał u mnie łzy szczęścia.

„The Sun” zamieścił sprostowanie artykułu o zdjęciach Meg na stronie porno. W niewielkiej ramce na drugiej stronie, tak żeby nikt go nie zobaczył.

Zresztą jakie to miało znaczenie? Już i tak nie da się tego naprawić.

Nie mówiąc o tym, że Meg wydała na prawników kilkadziesiąt tysięcy dolarów.

Zadzwoiłem ponownie do taty.

– Nie czytaj tego, kochany...

Przerwałem mu w pół zdania. Nie miałem ochoty po raz kolejny wysłuchiwać tych bzdur.

Poza tym nie byłem już małym chłopcem.

Postanowiłem użyć innego argumentu, przypomniałem tacie, że dziennikarze piszący o Meg to te same podłe gnojki, które przez całe jego życie przedstawiały go jako kłowna i wyśmiewały go, kiedy podnosił alarm w związku ze zmianą klimatu. To byli również jego dręczyciele, jego prześladowcy, a teraz prześladowali i gnębili także jego syna oraz dziewczynę, z którą ów syn się spotyka – czy to nie budziło w nim oburzenia?

– Dlaczego muszę cię błagać, tato? Dlaczego ta sprawa nie jest dla ciebie priorytetem? Nie boli cię to, w jaki sposób prasa traktuje Meg? Możesz spać spokojnie z tą świadomością? Przecież uwielbiasz Meg, sam mi to powiedziałeś. Łączy was miłość do muzyki, uważasz, że jest zabawna, dowcipna, ma nienaganne maniery, więc powiedz mi dlaczego, tato? Dlaczego?

Nie mogłem uzyskać od niego jednoznacznej odpowiedzi. Ciągle uchylał się od jasnych deklaracji, a gdy skończyliśmy rozmowę, poczułem się opuszczony.

Meg tymczasem skontaktowała się z Camillą, która próbowała ją uspokoić, mówiąc, że prasa zawsze postępuje w ten sposób z nowymi osobami w rodzinie królewskiej i że wszystko to minie z czasem, przecież kiedyś to z niej usiłowano zrobić czarny charakter.

Tylko co z tego miało wynikać? Że teraz kolej Meg zbierać cięgi od prasy? Przecież sytuacje ich obu były nieporównywalne.

Camilla zasugerowała również Meg, że powinienem zostać gubernatorem Bermudów, co rozwiązałoby wszystkie nasze problemy, usuwając nas ze środka całej tej zawieruchy. Jasne, pomyślałem sobie, a dodatkowa korzyść będzie taka, że odstawią nas na boczny tor.

Zrozpaczony zwróciłem się do Willy'ego. Postanowiłem wykorzystać pierwszą spokojniejszą chwilę, jaka nam się nadarzyła od dłuższego czasu, czyli dwudziestą rocznicę śmierci mamy, z okazji której pod koniec sierpnia 2017 roku odwiedziliśmy Althorp.

Wiosłowaliśmy, płynąc małą łódką na wyspę. (Prowadzący na nią mostek został zdemontowany, żeby nieproszone osoby nie zakłócały mamie spokoju). Obaj złożyliśmy na grobie po bukietcie kwiatów. Staliśmy przez chwilę pogrążeni w myślach, a potem zaczęliśmy rozmawiać. Streściłem mu, z czym razem z Meg musimy się ostatnio mierzyć.

– Nie przejmuj się tym, Haroldzie. Nikt nie wierzy w te brednie.

– To nieprawda. Ludzie w to wierzą. Są tym karmieni dzień po dniu i choć nie zdają sobie z tego sprawy, powoli zaczynają w to wierzyć.

Willy nie miał na to żadnej zadowalającej odpowiedzi, więc zamilkliśmy.

A potem powiedział coś zdumiewającego:

– Mam wrażenie, że mama jest tutaj. Znaczy się... między nami.

– Tak, mnie też się tak wydaje, Willy.

– Myślę, że jest obecna w moim życiu, Haroldzie. Kieruje mną. Ułatwia mi pewne rzeczy. Pomogła mi na przykład założyć rodzinę. I wydaje mi się, że teraz pomaga również tobie.

– Całkowicie się z tobą zgadzam. – Kiwnąłem głową. – Mam wrażenie, że pomogła mi znaleźć Meg.

Willy zrobił krok do tyłu. Spojrzał na mnie z niepokojem, jakbym posunął się odrobinę za daleko.

– No cóż, Haroldzie, nie jestem tego pewien. Akurat tego bym nie powiedział!

30

We wrześniu 2017 roku Meg przyleciała do Londynu. Byliśmy w Nott Cott. Szykowaliśmy w kuchni kolację.

Cały dom był wypełniony... miłością. Aż po brzegi. Atmosfera miłości wręcz wylewała się z niego przez otwarte drzwi wprost do ogrodu, porośniętego krzakami małego skrawka ziemi, którego przez długi czas nikt nie chciał, aż w końcu Meg

i ja zaczęliśmy o niego dbać. Grabiliśmy go i kosiliśmy, sadziliśmy na nim rośliny i podlewaliśmy je, a wieczorami siadywaliśmy w nim na kocu i słuchaliśmy koncertów muzyki klasycznej, której dźwięki napływały od parku. Opowiedziałem Meg o ogrodzie, który znajdował się po drugiej stronie muru. O ogrodzie mamy, w którym obaj z Willym bawiliśmy się jako dzieci. Teraz jednak był dla nas niedostępny.

Tak jak do niedawna moje wspomnienia.

– Do kogo teraz należy? – zapytała Meg.

– Do księżnej Michałowej z Kentu. I jej kotów syjamskich. Mama nie cierpiała tych kotów.

Podczas gdy ja wdychałem woń ogrodu i zastanawiałem się nad swoim nowym życiem, rozkoszowałem się nim, Meg po przeciwnej stronie kuchni nakładała do misek jedzenie zamówione w restauracji Wagamama. Bez zastanowienia wypaliłem:

– Sam nie wiem, po prostu...

Stałem odwrócony do niej plecami. Urwałem w połowie zdania, nie mogąc się zdecydować, czy powinienem dokończyć, a może najpierw powinienem się odwrócić.

– Czego nie wiesz, Haz?

– Po prostu...

– Tak?

– Kocham cię.

Czekałem na odpowiedź. Ale nie padła.

Usłyszałem jednak, a raczej poczułem, że Meg idzie w moją stronę.

Odwróciłem się i oto stała przede mną.

– Ja też cię kocham, Haz.

Słowa te miałem na końcu języka niemal od początku naszej znajomości, więc w pewnym sensie nie były one szczególnie odkrywcze ani nawet konieczne. Oczywiście, że ją kochałem. Meg dobrze to wiedziała, zresztą cały świat to wiedział. Kochałem ją całym sercem, tak jak nikogo dotąd. Jednak wypowiedzenie tego na głos sprawiło, że to uczucie stało się rzeczywiste. I automatycznie pociągnęło za sobą dalsze konsekwencje. Wyznanie stanowiło pierwszy krok.

Oznaczało to, że musimy teraz podjąć kolejne ważne decyzje.

Jak chociażby... wspólne mieszkanie?

Zapytałem Meg, czy zastanowi się nad przeprowadzką do Wielkiej Brytanii i zamieszkaniem w Nott Cott.

Rozmawialiśmy o tym, z czym to będzie się wiązać, jak to ma wyglądać i z czego Meg będzie musiała zrezygnować. O tym, jak zamknąć jej sprawy w Toronto. Dyskutowaliśmy o tym, kiedy, jak i przede wszystkim... za jaką cenę.

– Nie mogę tak po prostu odejść z serialu, żeby tylko przekonać się, czy to wypali. Czy przeprowadzka do Anglii oznacza zobowiązanie na stałe?

– Tak – odparłem. – Jak najbardziej.

– W takim razie – oznajmiła z uśmiechem – zgoda.

Pocałowaliśmy się, objęliśmy, a potem usiedliśmy do kolacji.

Odetchnąłem. A więc naprzód, pomyślałem.

Później jednak, gdy Meg zasnęła, zacząłem wszystko analizować. To pewnie wpływ terapii. Zdałem sobie sprawę, że wszystkim kłębiącym się we mnie emocjom towarzyszyło silne poczucie ulgi. Cieszyłem się, że Meg powiedziała te słowa, „kocham cię”, choć nie było to wcale oczywiste, nie uważałem tego za czystą formalność. Nie będę zaprzeczał, że w pewnym stopniu szykowałem się na najgorszy możliwy scenariusz: „Haz, przykro mi, ale nie wiem, czy temu podołam...”.

Bałem się, że Meg mnie zostawi, wyjedzie do Toronto i zmieni numer telefonu.

Posłucha rad przyjaciółek.

„Czy ktokolwiek jest tego wart?”

W pewnym sensie liczyłem na to, że Meg wykaże się zdrowym rozsądkiem i tak właśnie postąpi.

Traf sprawił, że Igrzyska Niezwycięzonych w 2017 roku odbywały się w Toronto. A więc niemal u Meg na podwórku. Pałac uznał, że to świetna okazja, żebyśmy po raz pierwszy oficjalnie pokazali się razem publicznie.

Meg trochę się denerwowała. Ja też. Ale nie mieliśmy wyboru. W końcu trzeba było to zrobić. Już wystarczająco długo ukrywaliśmy się przed światem. Poza tym nie mogliśmy chyba liczyć na bardziej sprzyjające i przewidywalne okoliczności.

Przede wszystkim zaś wspólne publiczne wystąpienie mogło zmniejszyć nagrodę, jaką za nasze zdjęcia wyznaczyły media, a która w tamtym czasie oscylowała w granicach setek tysięcy funtów.

Staraliśmy się, żeby wszystko odbyło się jak najnormalniej w świecie. Z pierwszego rzędu obserwowaliśmy rozgrywki tenisa na wózkach, skupialiśmy się na grze i na szczytnym celu, jaki temu przyświecał, ignorując otaczający nas szmer aparatów. Nieźle się nawet bawiliśmy, wymieniliśmy kilka żartów z siedzącymi za nami Nowozelandczykami, a nasze zdjęcia, które ukazały się na drugi dzień w prasie, były urocze, choć w kilku brytyjskich tytułach skrytykowano Meg za włożenie rozdartych džinsów. Nikt jednak nie zająknął się o tym, że wszystko, co miała na sobie, od butów na płaskim obcasie po koszulę z przypinanym kołnierzykiem, zostało wcześniej zaakceptowane przez Pałac.

A pisząc „nikt”, mam na myśli przedstawicieli Pałacu.

Wystarczyłoby w tamtym tygodniu jedno oświadczenie w obronie Meg... a sporo by to zmieniło.

32

Powiedziałem Elfowi i Jasonowi, że chcę się oświadczyć.

– Nasze gratulacje. – Obaj się ucieszyli.

Ale Elf zaraz dodał, że musi zrobić szybki research i sprawdzić, co na ten temat mówi protokół. Kwestie małżeństwa są podporządkowane ścisłym regułom.

– Regułom? Serio?

Kilka dni później oznajmił, że zanim cokolwiek zrobię, najpierw muszę poprosić o zgodę babcię.

Zapytałem, czy to prawdziwy przepis prawny, czy taki, który można obejść.

– O nie, jest jak najbardziej prawdziwy – odparł.

Nie miało to najmniejszego sensu. Dorosły facet ma prosić babcię o pozwolenie na ślub? Nie przypominałem sobie, żeby Willy pytał kogokolwiek o zgodę, kiedy

poprosił o rękę Kate. Ani mój kuzyn Peter, kiedy oświadczył się swojej żonie Autumn. Ale jeśli dobrze się zastanowić, to pamiętam, że tata pytał o pozwolenie, gdy chciał poślubić Camillę. W tamtym czasie jakoś umknął mi absurd całej sytuacji, w której pięćdziesięciosześcioletni mężczyzna prosi swoją matkę o zgodę na zawarcie małżeństwa.

Elf powiedział, że nie ma sensu analizować, dlaczego tak jest i skąd się to wzięło, to po prostu obowiązujące prawo. Pierwsze sześć osób w kolejce do tronu musi prosić monarchę o zgodę na małżeństwo. Tak mówiła ustawa o małżeństwach królewskich z 1772 roku i ustawa o sukcesji koronnej z 2013 roku – Elf wymieniał tak i wymieniał, a ja nie wierzyłem własnym uszom. Rzecz w tym, że miłość musi ustąpić przed prawem. Istotnie, prawo niejednemu raz brało górę nad miłością. Całkiem niedawno jedną z moich krewnych stanowczo odwodzono od... wyjścia za mąż za człowieka będącego miłością jej życia.

- Kogo?
- Twoją ciotkę Małgorzatę.
- Naprawdę?
- Tak. Chciała poślubić rozwodnika i... no cóż.
- Rozwodnika?

Elf skinął głową.

Cholera, pomyślałem. A więc nic nie jest jeszcze przesądzone.

– Ale przecież tata i Camilla też byli rozwiedzeni – zauważyłem – a dostali zgodę na ślub. Może ten przepis już nie obowiązuje?

– To oni – powiedział Elf. – Ty to co innego.

Nie mówiąc już o skandalu wywołanym przez pewnego króla, który chciał się ożenić z rozwiedzioną Amerykanką, co – jak przypomniał mi Elf – zakończyło się jego abdykacją i wygnaniem.

– Księżę Windsoru? Słyszałeś może o nim?

I tak oto z sercem przepelnionym lękiem i czując suchość w ustach, zajrzałem do kalendarza. Z pomocą Elfa zaznaczyłem weekend pod koniec października. Nasza rodzina wyjeżdżała wtedy na polowanie do Sandringham. Wyjazdy na polowanie zawsze wprawiały babcię w dobry nastrój.

Może wtedy spojrzy życzliwszym okiem na zakochanych?

Był pochmurny, wietrzny dzień. Wskoczyłem do wiekowego land rovera, który kiedyś służył jako ambulans wojskowy, dopóki dziadek nie odkupił go od armii. Tata siedział za kierownicą, Willy z tyłu. Usiadłem na fotelu pasażera, zastanawiając się, czy mam im obu wyjawić, co zamierzam.

Uznałem, że lepiej nie. Tata, jak przypuszczałem, i tak wiedział, a Willy już mnie ostrzegał, żebym tego nie robił.

– To dzieje się za szybko – mówił. – Jeszcze na to za wcześnie.

Prawdę mówiąc, Willy dość niechętnie odnosił się nawet do tego, że spotykałem się z Meg. Któregoś dnia, gdy siedzieliśmy u niego w ogrodzie, zaczął wyliczać kolejne trudności, jakich mogę się spodziewać, jeśli zwiążę się z „amerykańską aktorką”, a określenie to zawsze brzmiało w jego ustach niczym „skazana przestępczyni”.

– Jesteś co do niej pewien, Haroldzie?

– Tak, Willy.

– Ale wiesz, jakie to będzie trudne?

– Co zatem chcesz, żebym zrobił? Mam się w niej odkochać?

Wszyscy trzej mieliśmy czapki z daszkiem, zielone kurtki i pumpy do kolan, jakbyśmy byli zawodnikami jednej drużyny sportowej. (W pewnym sensie tak było). Tata, prowadząc samochód, zapytał, co słyhać u Meg. Nie było w tym szczególnego zainteresowania, po prostu zwykłe grzecznościowe pytanie. Nie zawsze jednak o nią pytał, więc bardzo mnie to ucieszyło.

– Wszystko w porządku, dzięki.

– Czy zamierza dalej pracować?

– Słucham?

– Czy zamierza dalej grać?

– Aha. Nie wiem tego, ale nie wydaje mi się. Sądzę, że będzie chciała być ze mną i pełnić związaną z tym funkcję, co wyklucza dalsze występy w serialu... tym bardziej że *W garniturach* kręczą... w Toronto.

– Hmm. Rozumiem. Cóż, kochany chłopcze, chyba jednak zdajesz sobie sprawę, że pieniędzy nie starczy dla wszystkich.

Spojrzałem na niego. Co on wygaduje?

– Nie mogę utrzymać nikogo więcej – próbował wyjaśnić tata. – Łożę już przecież na twojego brata i Catherine.

Wzdrygnąłem się. Ton, jakim wymówił imię Catherine. Przypomniało mi się, jak tata z Camillą chcieli, żeby Kate zmieniła pisownię swojego imienia, ponieważ już dwoje członków rodziny miało inicjał C zwieńczony koroną: Karol i Camilla. Kolejny taki inicjał powodowałby zbyt duże zamieszanie. Zasugerowali więc Kate zmianę imienia na Catherine.

Zastanawiałem się, jak miałem rozumieć tę uwagę taty.

Popatrzyłem na Willy'ego z miną zdającą się mówić: „Czy ty to słyszysz?”.

Jego twarz niczego jednak nie zdradzała.

Tata nie wspierał finansowo Willy'ego i mnie oraz naszych rodzin z samej hojności. To był jego obowiązek. Na tym to wszystko polegało. My zgodziliśmy się służyć monarchii, jeździć wszędzie, gdzie nas pošlą, robić, co tylko nam każą, poświęcić własną niezależność, siedzieć cały czas w złotej klatce, a w zamian strażnicy tej klatki będą nas karmić i przyodziewać. Czy tata ze swoimi milionowymi dochodami z księstwa Kornwalii próbował powiedzieć, że nasza niewola zaczyna mu ciążyć finansowo?

Poza tym ile mogło kosztować utrzymanie i wyżywienie Meg? Miałem ochotę powiedzieć, że ona wcale nie je tak dużo! A jeśli tata sobie życzy, poproszę ją, żeby sama szyła dla siebie ubrania.

Nagle dotarło do mnie, że tu wcale nie chodzi o pieniądze. Tata mógł się oczywiście obawiać rosnących kosztów naszego utrzymania, ale tak naprawdę nie mógł znieść myśli, że w centrum uwagi znalazł się ktoś nowy, ktoś inny ściągnął na siebie zainteresowanie mediów, odsuwając jego i Camillę w cień. Przeżył to już raz i nie miał ochoty przechodzić przez to ponownie.

Nie miałem jednak teraz czasu ani głowy do tego, żeby zajmować się dworskimi intrygami i małostkowym zachowaniem moich bliskich. Wciąż próbowałem wymyślić, co dokładnie powiedzieć babci, a powoli kończył mi się czas.

Land rover się zatrzymał. Wysiedliśmy i ustawiliśmy się wzdłuż zasadzonego kiedyś przez tatę żywopłotu. Czekaliśmy na pojawienie się ptaków. Wiał wiatr, a ja byłem kompletnie rozkojarzony. Gdy jednak rozpoczęło się polowanie, zorientowałem się, że radzę sobie całkiem nieźle. Strzelałem jak w transie. Może

wynikało to z ulgi, że mogę pomyśleć o czymś innym. A może wolałem skupić się na kolejnym strzale niż na tym wielkim wyzwaniu, które mnie później czekało. Tak więc przesuwałem tylko lufę strzelby, naciskałem spust i trafiałem za każdym razem.

Zrobiliśmy przerwę na lunch. Kilka razy próbowałem, ale nie byłem w stanie porozmawiać z babcią na osobności. Ciągłe ktoś przy niej stał i smęcił jej coś nad uchem. Zabrałem się więc do jedzenia, czekając na odpowiedni moment.

Był to klasyczny posiłek podczas królewskiego polowania. Grzaliśmy przy ogniu przemarznięte stopy i zajadaliśmy się opiekanymi ziemniakami, soczystym mięsem, kremowymi zupami, a wokół uwijała się służba, dbając o wszystko w najmniejszym szczególe. Na deser doskonały pudding. Potem jeszcze mała herbata, łyk lub dwa czegoś mocniejszego i z powrotem na stanowiska strzeleckie.

Podczas dwóch ostatnich naganek nieustannie zerkąłem w stronę babci, żeby zobaczyć, jak sobie radzi. Szło jej dobrze. I wydawała się bardzo skupiona.

Czy naprawdę nie podejrzewała, o co zamierzam ją zapytać?

Po ostatniej serii strzałów wszyscy się rozproszyli. Skończyli zbierać ustrzelone ptaki i wracali z nimi do samochodów. Zobaczyłem, że babcia wskoczyła do swojego małego range rovera i pojechała nim na środek ścierniska. Zaczęła rozglądać się za martwymi ptakami, a jej psy węszyły dookoła.

Nie kręcił się wokół niej nikt z obstawy, więc wyglądało na to, że okazja jest idealna.

Ruszyłem na środek ścierniska, zrównałem się z babcią i zacząłem jej pomagać. Kiedy rozglądaliśmy się po ziemi w poszukiwaniu ptaków, próbowałem nawiązać z nią swobodną pogawędkę, trochę ją rozluźnić, a także rozgrzać własne struny głosowe. Wiatr przybrał na sile, a policzki babci, chociaż była szczelnie opatulona szalem, wyglądały na zmarznięte.

Moja podświadomość z pewnością mi nie pomagała. Kotłowało się w niej od przeróżnych myśli. W końcu zaczęła do mnie docierać cała powaga sytuacji. Jeśli babcia się nie zgodzi... czy to znaczy, że będę musiał rozstać się z Meg? Nie umiałem sobie wyobrazić życia bez niej... ale nie mieściło mi się też w głowie, że mógłbym otwarcie sprzeciwić się babci. Mojej królowej i głównodowodzącej. Gdyby odmówiła mi zgody na małżeństwo, chyba pękłoby mi serce, ale oczywiście wciąż szukałbym okazji, żeby ponowić swoją prośbę, choć szanse miałbym

niewielkie. Babcia zwykle nie zmieniała raz podjętej decyzji. A zatem ta chwila miała stanowić albo początek mojego życia, albo jego koniec. Wszystko zależało od tego, jakich słów użyję, w jaki sposób je wypowiem i jak babcia je odbierze.

Jeśli to jeszcze nie wystarczyło, żeby spętać mi język, przypomniały mi się liczne doniesienia prasowe cytujące „związane z Pałacem źródła”, według których pewni członkowie mojej rodziny, jak by to powiedzieć, nie do końca zaaprobowali Meg. Nie spodobała im się jej bezpośredniość. Nie czuli się zbyt komfortowo z tym, jak bardzo była oddana swojej pracy. Nie przypadły im nawet do gustu zadawane przez nią pytania. To, co w gruncie rzeczy było z jej strony zdrową i naturalną ciekawością, uważali za impertynencję.

Krążyły również pogłoski na temat niejasnych, lecz wszechobecnych obaw dotyczących pochodzenia rasowego Meg. Tu i ówdzie zastanawiano się bowiem, czy Wielka Brytania jest na nią „gotowa”. Cokolwiek to znaczyło. Czy któreś z tych bzdur dotarły do uszu babci? A jeśli tak, to czy moja prośba nie była z góry skazana na niepowodzenie?

Czy było mi pisane zostać drugą Małgorzatą?

„Och. Długopis. Wow”.

Przypomniało mi się wiele kluczowych momentów w moim życiu, w których potrzebowałem czyjś pozwolenia. Prośba o pozwolenie dowództwa na otwarcie ognia do nieprzyjaciela. Prośba o pozwolenie Fundacji Królewskiej na stworzenie Igrzysk Niezwyciężonych. Prośby innych pilotów o pozwolenie na wejście w moją przestrzeń powietrzną. Moje życie wydało mi się nagle szeregiem nieustannych próśb o udzielenie na coś zgody, które prowadziły w końcu do tej jednej, najważniejszej prośby.

Babcia ruszyła z powrotem w stronę range rovera. Pospieszyłem zaraz za nią, psy kręciły mi się pod nogami. Patrzyłem na nie, a w głowie miałem natłok myśli. Moja matka mawiała, że gdy przebywa w pobliżu babci i jej psów corgi, czuje się, jakby stała na poruszającym się dywanie, a ja znałem kiedyś większość z tych psów, zarówno obecnych, jak już nieżyjących, jakby były moimi kuzynami, Dookie, Emma, Susan, Linnet, Pickles, Chipper, wszystkie podobno pochodziły od corgich należących jeszcze do królowej Wiktorii, a im bardziej zmieniał się otaczający świat, tym one wydawały się bardziej niezmiennie, ale teraz wokół mnie biegały nie corgi, tylko psy myśliwskie, one miały swój cel, a ja swój i zdałem sobie sprawę, że bez chwili wahania muszę przejść do rzeczy, więc gdy babcia

opuściła tylną klapę samochodu, psy zaś wskoczyły do środka, już chciałem je pogłaskać, lecz przypomniałem sobie, że w każdej ręce trzymam martwego ptaka, ich zwiotczałe szyje zwisały mi między palcami, szkliste oczy miały odwrócone do góry (trochę ich jednak szkoda) i pomimo rękawiczek czułem jeszcze ciepło ich ciał, no więc odwróciłem się wreszcie do babci, a ona spojrzała na mnie, marszcząc brwi (Czy zorientowała się, że się boję? Zarówno pytania, które mam zadać, jak i jej królewskiego majestatu? Czy zdawała sobie sprawę, że choć ogromnie ją kocham, często ogarnia mnie zdenerwowanie w jej obecności?), jakby czekała, aż w końcu się odezwę, i powoli traciła cierpliwość.

Jej twarz zdawała się mówić: „No, wyduś to wreszcie”.

Odkaszlnąłem.

– Babciu, wiesz, że bardzo kocham Meg i postanowiłem, że chcę ją poprosić o rękę, tylko powiedziano mi, że zanim się oświadczę, najpierw muszę spytać cię o zgodę.

– Musisz?

– Hmm, no tak. Tak twierdzą członkowie twojego i mojego personelu. Muszę poprosić cię o zgodę.

Stałem w kompletnym bezruchu, zastygłem niczym martwe ptaki w moich rękach. Wpatrywałem się w twarz babci, ale niczego nie można z niej było wyczytać. W końcu odezwała się:

– Cóż, wobec tego chyba muszę się zgodzić.

Zmrużyłem oczy. Chyba musi się zgodzić? Czy to znaczy, że się zgadza? Ale może wolałaby powiedzieć „nie”?

Nic nie rozumiałem. Czy to był sarkazm? Ironia? Babcia celowo chciała udzielić enigmatycznej odpowiedzi? A może pozwoliła sobie na jakąś grę słów? Nigdy nie spotkałem się z tym, żeby babcia stosowała gry słów, i byłoby wyjątkowo dziwne (nie mówiąc o tym, że szalenie kłopotliwe), gdyby zdecydowała się na coś takiego akurat w tej chwili, a może po prostu zwietrzyła okazję, żeby zabawić się moim kosztem z powodu niefortunnego użycia przeze mnie słowa „muszę”, i nie mogła się jej oprzeć?

Albo też w jej odpowiedzi znajdowało się jakieś ukryte znaczenie, komunikat, którego nie potrafiłem rozszyfrować?

Stałem tak ze zmrużonymi oczami, uśmiechałem się i w kółko zadawałem sobie pytanie: co też królowa Anglii usiłuje mi właśnie powiedzieć?

W końcu pojąłem: ona się zgadza, ty pacanie! Udziela ci pozwolenia. Nieważne, jak to sformułowała, należy cieszyć się, że się zgodziła.

– W porządku. Dobrze, babciu! – wykrztusiłem z siebie. – Cóż, to wspaniale. Dziękuję ci! Bardzo ci dziękuję.

Chciałem ją uściskać.

Tak bardzo pragnąłem ją uściskać.

Ale nie zrobiłem tego.

Poczekalem, aż wsiądzie do range rovera, po czym pomaszerowałem z powrotem w kierunku taty i Willy’ego.

34

Ze szkatułki na biżuterię Meg wyjąłem pierścionek i zaniósłem jubilerowi, żeby sprawdził jego rozmiar.

Jako że przechowywał u siebie wszystkie bransoletki, kolczyki i naszyjniki mamy, poprosiłem go, żeby wyjął diamenty z jednej szczególnie pięknej bransoletki i ozdobił nimi pierścionek dla Meg.

Zawczasu ustaliłem to oczywiście z Willym. Zapytałem, czy mogę wziąć dla siebie bransoletkę mamy, i wyjaśniłem, do czego jej potrzebuję. Nie przypominam sobie, żeby wahał się choć chwilę; zgodził się natychmiast. Willy zdawał się lubić Meg, pomimo częstych doniesień prasy o jego zastrzeżeniach wobec niej. Kate również ją polubiła. Podczas jednej z wizyt Meg zaprosiliśmy ich oboje na kolację. Meg gotowała i panowała miła atmosfera. Willy był akurat przeziębiony, co rusz kichał i pokasływał, więc Meg pobiegła na górę, żeby przynieść mu swoje homeopatyczne cudowne leki. Olejek z oregano i kurkumę. Willy’ego wyraźnie ujął i wzruszył ten gest, chociaż Kate oświadczyła, że nigdy w życiu nie przyjęłaby takich niekonwencjonalnych środków.

Rozmawialiśmy tego wieczoru o Wimbledonie i *W garniturach*, przy czym Willy i Kate nie zdobyli się na odwagę, by przyznać, że są wielkimi fanami serialu. Było to dość urocze.

Pełną harmonię zakłócał jedynie wyraźnie odmienny strój pań, na co obie zresztą zwróciły uwagę.

Meg: podarte dżinsy, bosa stopy.

Kate: ubrana jak spod igły.

To nic takiego, pomyślałem.

Oprócz dwóch diamentów wyjętych z bransoletki poprosiłem jubilera, żeby dodał jeszcze jeden: „bezkrwawy” diament z Botswany.

Zapytał, czy mi się spieszy.

– Cóż... skoro już o tym mowa...

35

Meg spakowała cały swój dobytek, wcześniej zrezygnowała z gry w serialu. Po siedmiu sezonach. Był to dla niej trudny moment, ponieważ uwielbiała *W garniturach*, uwielbiała postać, którą grała, uwielbiała całą ekipę i Kanadę. Ale dalsze życie tam stało się niemożliwe. A zwłaszcza praca na planie serialu. Scenarzyści byli sfrustrowani ciągłym wtrącaniem się ze strony zespołu do spraw komunikacji Pałacu, który sugerował zmianę kwestii dialogowych, a także tego, co grana przez Meg postać powinna robić i jak się zachowywać.

Meg zamknęła również swój blog i opuściła wszystkie media społecznościowe, ponownie na życzenie pałacowych specjalistów od komunikacji. Pożegnała się ze swoimi przyjaciółmi, ze swoim samochodem, a także z jednym ze swoich psów, Bogartem, który miał taką traumę z powodu ciągłego obłężenia domu przez dziennikarzy i nieustannie rozbrzmiewającego dzwonka, że jego zachowanie przy Meg bardzo się zmieniło. Stał się agresywnym psem stróżującym. Sąsiedzi Meg łaskawie zgodzili się go adoptować.

Do Anglii przyjechał za to Guy. Nie mój przyjaciel, tylko drugi z psów Meg, doświadczony przez los mały beagle, który ostatnio też sporo przeżył. Nie tylko tęsknił za Bogartem, ale w dodatku doznał poważnych obrażeń. Kilka dni przed wyjazdem Meg z Kanady Guy uciekł osobie, która się nim opiekowała (Meg była wtedy w pracy). Znalaziono go wiele kilometrów od domu, biedak nie miał siły iść. Łapy trzeba mu było włożyć w specjalne opatrunki.

Nieraz musiałem go trzymać, żeby mógł się wysikać.

Nie miałem nic przeciwko temu. Uwielbiałem tego psa. Ciągłe go całowałem i głaskałem. Uczucia, które żywiłem do Meg, były tak silne, że obejmowały każdego, kogo kochała. Poza tym sam od dawna chciałem mieć psa, lecz ze względu na to, że jestem w ciągłych rozjazdach, nigdy nie mogłem sobie na to pozwolić. Pewnego wieczoru, niedługo po przeprowadzce Meg do Anglii, szykowaliśmy kolację, bawiliśmy się z Guyem i kuchnię w Nott Cott przepełniała atmosfera miłości.

Otworzyłem butelkę szampana – był to otrzymany bardzo dawno temu prezent, który przechowywałem na specjalną okazję.

Meg uśmiechnęła się.

– Co to za okazja?

– Żadna.

Wziąłem Guya na ręce, zaniósłem go do ogrodu i położyłem na kocu rozścielonym na trawie. Potem pobiegłem do domu i poprosiłem Meg, żeby wzięła swój kieliszek i poszła ze mną.

– Co jest grane?

– Nic.

Zaprowadziłem ją do ogrodu. Noc była chłodna. Oboje byliśmy ubrani w grube kurtki, a kurtka Meg miała kaptur obszyty sztucznym futerkiem, które okalało jej twarz niczym kameę. Wokół koca rozstawiłem świece elektryczne. Chciałem, żeby wszystko przypominało botswański busz, gdzie po raz pierwszy pomyślałem o oświadczeniach.

Uklęknąłem na kocu, Guy leżał obok mnie. Obaj przyglądaliśmy się Meg badawczo.

Z oczami pełnymi łez wyciągnąłem z kieszeni pierścione i wypowiedziałem swoją kwestię. Cały drżałem, serce biło mi głośno, głos mi się trząsł, ale Meg zrozumiała mnie doskonale.

– Czy spędzisz ze mną resztę życia? Uczynisz mnie najszczęśliwszym facetem na ziemi?

– Tak.

– Tak?

– Tak!

Roześmiałem się. Meg również. Jak inaczej mogliśmy zareagować? Na tym zwariowanym świecie, w tym pełnym cierpienia życiu odnaleźliśmy siebie nawzajem.

A potem na przemian płakaliśmy i śmialiśmy się, i przytulaliśmy Guya, który zdawał się kompletnie przemarznięty.

Ruszyliśmy więc z powrotem do domu.

– Chwileczkę. Nie chcesz obejrzeć pierścionka, kochanie?

Meg nawet o tym nie pomyślała.

Pobiegliśmy do środka i dokończyliśmy nasze świętowanie w ciepłym zaciszu kuchni.

Był 4 listopada.

Udało nam się utrzymać wszystko w tajemnicy przez jakieś dwa tygodnie.

36

W normalnych okolicznościach udałbym się najpierw do ojca Meg i poprosił go o błogosławieństwo. Ale Thomas Markle był skomplikowanym człowiekiem.

Rodzice Meg rozstali się, gdy miała dwa lata, i od tamtego momentu spędzała czas na przemian to z jednym, to z drugim. Od poniedziałku do piątku mieszkała z mamą, a na weekendy zabierał ją do siebie tata. Przez pewien czas w szkole średniej przeprowadziła się do ojca na stałe. Byli ze sobą bardzo blisko związani.

Po studiach Meg dużo podróżowała po świecie, ale zawsze była w stałym kontakcie z tatusiem. Nadal zresztą, choć miała ponad trzydzieści lat, tak go nazywała. Kochała go, niepokoiła się o niego – martwiła się jego zdrowiem, nałogami – i często szukała u niego wsparcia. Przez cały okres kręcenia *W garniturach* Meg co tydzień konsultowała z nim ustawienie oświetlenia (jej ojciec był reżyserem światła w Hollywood i zdobył dwie Nagrody Emmy). W ostatnich latach jednak nie pracował regularnie i w pewnym sensie usunął się w cień. Wynajął mały domek w miasteczku przy granicy z Meksykiem i ogólnie nie radził sobie zbyt dobrze.

Meg uważała, że jej ojciec pod żadnym względem nie będzie w stanie znieść presji psychicznej, jaka wiąże się z nękaniami ze strony mediów, a teraz właśnie musiał się z tym zmierzyć. Od dawna trwało polowanie na wszystkie osoby z otoczenia Meg, na wszystkich jej obecnych przyjaciół i byłych chłopaków, na wszystkich kuzynów, nawet takich, których nigdy nie znała, na wszystkich byłych pracodawców i współpracowników, ale po tym, jak się jej oświadczyłem, rozpętało się prawdziwe szaleństwo wokół... jej ojca. Uznano go za szczególnie łakomy kęs. Kiedy w „Daily Mirror” ujawniono miejsce jego pobytu, fotoreporterzy dokonali najazdu na jego dom, prowokowali go i próbowali wywabić na zewnątrz. Żadne polowanie na lisy czy nagonka na niedźwiedzia nie wydawały mi się bardziej okrutne. Różni dziwni osobnicy, w tym również kobiety, kusili go rozmaitymi ofertami, proponowali pieniądze, podarki, przyjaźń. Gdy żadna z tych rzeczy nie poskutkowała, wynajęli dom naprzeciwko i dzień i noc fotografowali go przez okna. Prasa donosiła, że w rezultacie ojciec Meg zabił okna płytami ze sklejki.

Ale to nie była prawda. Nieraz zdarzało mu się zabijać okna deskami, kiedy mieszkał w Los Angeles, jeszcze na długo przed tym, jak Meg zaczęła się ze mną spotykać.

Zaiste, skomplikowany człowiek.

Paparazzi zaczęli jeździć za nim do miasta, śledzili go, gdy załatwiał sprawunki, chodzili za nim wzdłuż alejek sklepowych. A potem ukazywały się jego zdjęcia z wielkim nagłówkiem: „MAMY GO!”.

Meg często dzwoniła do ojca i prosiła go, żeby zachował spokój.

– Nie rozmawiaj z nimi, tatusiu. Ignoruj ich, a w końcu sobie pójdą, pod warunkiem że nie będziesz reagował na ich zaczepki. Tak przynajmniej radzi Pałac.

37

Trudno było nam obojgu, mierząc się z tym wszystkim, skupić się jeszcze na milionie szczegółów związanych z planowaniem królewskiego ślubu.

Co dziwne, Pałac też miał z tym kłopoty.

Chcieliśmy się pobrać w miarę szybko. Po co dawać gazetom i fotoreporterom czas na wyrządzenie jeszcze większych szkód? Ale Pałac nie mógł się zdecydować

na datę. Ani na miejsce ślubu.

W oczekiwaniu na postanowienie z góry, z nieokreślonych wyższych regionów królewskiego aparatu decyzyjnego, wybraliśmy się z Meg w tradycyjną „podróż zaręczynową”. Anglia, Irlandia, Szkocja, Walia – objechaliśmy całą Wielką Brytanię, przedstawiając Meg społeczeństwu.

Tłumy za nią szalały.

„Meg, Diana by cię pokochała!” – raz po raz dobiegały nas okrzyki kobiet. Stało to w całkowitej sprzeczności z tonem dominującym w tabloidach, co tylko przypominało mi, że brytyjska prasa nie ma zbyt wiele wspólnego z rzeczywistością.

W drodze powrotnej zatelefonowałem do Willy’ego, żeby wybadać go, gdzie jego zdaniem powinniśmy się pobrać z Meg.

Powiedziałem, że myśleliśmy o opactwie westminsterskim.

– To zły pomysł. My tam braliśmy ślub.

– Racja, racja. Katedra Świętego Pawła?

– Za duża. Poza tym tam brali ślub rodzice.

– Hm, no tak. Słuszna uwaga.

Willy zasugerował Tetbury.

– Tetbury? – prychnąłem. – Chodzi ci o kaplicę w pobliżu Highgrove? Serio, Willy? Ile osób tam się pomieści?

– Czy nie tego właśnie chcieliście: małej, skromnej uroczystości?

Prawdę mówiąc, chcieliśmy się pobrać w tajemnicy przed wszystkimi. Na bosaka w Botswanie, może z jakimś przyjacielem, który przewodniczyłby ceremonii. Takie było nasze marzenie. Ale spodziewano się, że na ślub zaprosimy wielu gości. Tak więc nie zależało to od nas.

38

Zwróciłem się ponownie do Pałacu. Czy ustalono już datę? A miejsce?

Nie, usłyszałem w odpowiedzi.

Może w takim razie marzec?

Niestety, w marcu wszystkie terminy są zajęte.

To może czerwiec?

Przykro nam, Dzień Orderu Podwiązki.

W końcu zakomunikowano nam datę: maj 2018 roku.

I zaakceptowano miejsce, które sami wybraliśmy: kaplica Świętego Jerzego.

Gdy to zostało ustalone, po raz pierwszy pokazaliśmy się publicznie w towarzystwie Willy'ego i Kate.

Okazją do tego było zorganizowane w lutym 2018 roku Forum Fundacji Królewskiej.

Wszyscy czworo siedzieliśmy na scenie przed dość liczną widownią, a prowadząca dyskusję zadawała nam w miarę łatwe pytania. Zbliżała się dziesiąta rocznica istnienia Fundacji i rozmawialiśmy o jej przeszłości, a także o czekających ją wyzwaniach pod kierownictwem naszej czwórki. Publiczność reagowała entuzjastycznie, my czworo dobrze się bawiliśmy i panowała bardzo serdeczna atmosfera.

Później któryś z dziennikarzy nazwał nas nawet „fantastyczną czwórką”.

Nie jest źle, pomyślałem z nadzieją.

Kilka dni później pojawiły się kontrowersje. Pisano o tym, że poprzez swój ubiór Meg okazała wsparcie ruchowi #Metoo, w przeciwieństwie do Kate. Wydaje mi się, że z grubsza o to właśnie chodziło, ale kto to wie? Nie miało to nic wspólnego z rzeczywistością. Na pewno jednak komentarze te zabolowały Kate, a przy tym zwróciły uwagę wszystkich, że od teraz stale będzie porównywana z Meg i będzie musiała z nią rywalizować.

Wszystko to nastąpiło w dodatku po pewnej krępującej sytuacji za kulisami forum. Meg poprosiła Kate o pożyczenie błyszczyka do ust. W Ameryce nie ma w tym nic dziwnego. Meg zapomniała swojego błyszczyka i poprosiła Kate o pomoc. Kate, nieco tym zaskoczona, sięgnęła do torebki i niechętnie wyjęła z niej małą tubkę. Meg wycisnęła odrobinę błyszczyka na palec i posmarowała wargi. Kate się skrzywiła. Może to tylko drobna różnica kulturowa, z której wszyscy chwilę potem powinniśmy się śmiać. Zostawiło to jednak pewien niesmak. Potem zaś prasa wywęszyła, że doszło do jakiegoś nieporozumienia, i usiłowała to rozdmuchać.

No pięknie, pomyślałem ze smutkiem.

W marcu babcia wydała oficjalną zgodę na nasz ślub.

Zatwierdziła go dekretem królewskim.

Tymczasem Meg i ja sukcesywnie powiększaliśmy naszą rodzinę. Przygarnęliśmy kolejnego psa – towarzystwo dla małego Guya. Biedaczek bardzo go potrzebował. Kiedy znajomy z Norfolk powiedział mi, że jego labradorka się oszczeniła, i zaproponował mi cudną suczkę o bursztynowych oczach, nie potrafiłem mu odmówić.

Nazwaliśmy ją Pula. W języku tswana słowo to oznacza deszcz.

I powodzenie.

Gdy budziłem się rano otoczony istotami, które kochałem i które mnie również kochały oraz polegały na mnie, wielokrotnie myślałem sobie, że nie zasługuję na takie szczęście. Pomijając bowiem obowiązki służbowe, czułem się szczęśliwy. Życie było dobre.

I najwyraźniej podążało z góry wyznaczoną mu ścieżką. Wydanie dekretu dotyczącego ślubu zbiegło się w czasie z emisją pożegnalnego dla Meg sezonu *W garniturach*, w którym jej postać, Rachel, także szykuje się do ślubu. Sztuka naśladowała życie i na odwrót.

Ładnie ze strony twórców serialu, że zakończyli wątek Meg ślubem, a nie zepchnęli jej do szybu windy. Dostatecznie wiele osób próbowało to zrobić w prawdziwym życiu.

Tej wiosny jednak prasa jakby przycichła. Chętniej pisano o szczegółach dotyczących ślubu, niż wymyślano kolejne oszczerstwa. Codziennie pojawiały się najnowsze doniesienia na temat kwiatów, muzyki, jedzenia, tortu. Żadna informacja nie wydawała się zbyt błaha, nawet wygląd przenośnych toalet. Donoszono, że będą to najbardziej wytworne toalety przenośne na świecie – porcelanowe muszle, pozłacane deski klozetowe – inspirowane tymi, jakich użyto podczas wesela Pippy Middleton. Prawdę mówiąc, nie zauważyliśmy niczego szczególnego, jeśli chodzi o to, gdzie goście Pippy robili siku i kupę, w dodatku nie mieliśmy nic wspólnego z wyborem toalet na nasze przyjęcie. Mieliśmy jednak szczerą nadzieję, że wszyscy zaproszeni będą mogli załatwiać swoje potrzeby w spokoju i komforcie.

Przede wszystkim zaś liczyliśmy na to, że akredytowani przy dworze korespondenci dalej będą pisać o kupie, zamiast próbować nas nią obrzucać.

Gdy więc Pałac zachęcał nas, żebyśmy udostępniali dziennikarzom, określanych mianem królewskiej roty, więcej szczegółów na temat ślubu, bez problemu się podporządkowaliśmy. Zarazem oświadczyłem Pałacowi, że w dniu ślubu, najszcześniejszym dniu naszego życia, nie chcę widzieć w kaplicy ani jednego dworskiego korespondenta, chyba że Rupert Murdoch osobiście przeprosi za hakowanie telefonów.

Pałacowi niezbyt się to podobało. Urzędnicy ostrzegali, że zakaz wstępu na ślub dla królewskiej roty będzie jednoznaczny z wypowiedzeniem otwartej wojny.

W takim razie chodźmy na wojnę.

Miałem już dość królewskiej roty, zarówno poszczególnych dziennikarzy, jak i całego systemu, który był bardziej przestarzały niż powóz konny. Został stworzony około czterdziestu lat temu, żeby dać brytyjskiej prasie i nadawcom radiowo-telewizyjnym bezpośredni dostęp do rodziny królewskiej, ale układ ten śmierdział na kilometr. Zniechęcał do uczciwej rywalizacji między dziennikarzami, promował kumoterstwo i dawał niewielkiej grupie pismaków przekonanie, że powinni być traktowani na specjalnych zasadach.

Po trwających kilka tygodni dyskusjach wreszcie ustalono: dziennikarze nie zostaną wpuszczeni do kaplicy, ale mogą czekać na zewnątrz.

Małe zwycięstwo, które świętowałem z wielką radością.

40

Tata chciał nam pomóc wybrać muzykę na ceremonię ślubną, więc któregoś wieczoru zaprosił nas do Clarence House na kolację i... koncert.

Przyniósł zestaw grający i zaczęliśmy słuchać wspaniałej muzyki wszelkich gatunków. Bardzo zależało nam na tym, żeby podczas ślubu zamiast organisty grała orkiestra, a tata w pełni nas w tym popierał i aby wprowadzić nas w odpowiedni nastrój, puszczał nam rozmaite utwory orkiestrowe.

Po pewnym czasie przeszliśmy płynnie na muzykę klasyczną i tata zaczął opowiadać o swojej miłości do Beethovena.

Meg z kolei mówiła, jak wielkim uczuciem darzy muzykę Chopina.

Zawsze uwielbiała go słuchać, ale w Kanadzie praktycznie nie mogła się bez niego obyć, ponieważ tylko muzyka Chopina potrafiła uspokoić Guya i Bogarta.

Puszczala im Chopina dzień i noc.

Tata uśmiechnął się ze zrozumieniem.

Gdy jeden utwór się kończył, zaraz włączał kolejny, zaczynał nucić pod nosem, a stopą wystukiwał rytm. Zachowywał się swobodnie, dowcipnie, czarująco, a ja kręciłem w zdumieniu głową. Wiedziałem, że tata uwielbia muzykę, ale nie miałem pojęcia, że aż do tego stopnia.

Meg zdołała wydobyć z niego tyle rzadko widywanych cech. W jej obecności tata stał się wręcz chłopięcy. Widziałem, jak rodzi się między nimi coraz silniejsza więź i w wyniku tego moja relacja z nim również ulegała wzmocnieniu. Tak wiele osób zachowywało się podle wobec Meg, że serce przepełniała mi radość, gdy widziałem, że tata traktuje ją jak księżną, którą niebawem miała się stać, a może nawet się nią urodziła.

41

Po całym stresie związanym z proszeniem babci o zgodę na poślubienie Meg myślałem, że już nigdy nie będę miał odwagi poprosić ją o coś innego.

Ośmieliłem się jednak zwrócić do niej z jeszcze jedną prośbą:

– Babciu, proszę, czy mogę zostawić sobie brodę do ślubu?

Nie była to wcale drobna prośba. Niektórzy uważali, że byłoby to wyraźne naruszenie protokołu i obowiązujących od dawna norm, tym bardziej że miałem brać ślub w swoim mundurze wojskowym. A noszenie brody w brytyjskiej armii było zakazane.

Ale nie służyłem już w wojsku, a bardzo zależało mi na tym, żeby zostawić sobie coś, co było widoczną oznaką moich skutecznych zmagania z poczuciem lęku.

Może było to nielogiczne, lecz prawdziwe. Brodę zapuściłem podczas wyprawy na biegun południowy, po powrocie do domu już jej nie zgoliłem i jak się okazało, wraz z terapią, medytacją i kilkoma innymi rzeczami pomogła mi ona ukoić nerwy. Nie umiałem tego wyjaśnić, aczkolwiek natrafiłem na artykuły opisujące ten

fenomen. Może miało to podłoże freudowskie – broda jako źródło poczucia bezpieczeństwa. A może jungowskie – broda jako maska. Z czegokolwiek to wynikało, broda zapewniała mi spokój, a w dniu ślubu chciałem być tak spokojny, jak to tylko możliwe.

Poza tym moja przyszła żona nigdy nie widziała mnie bez brody. Uwielbiała ją, lubiła mnie za nią ciągnąć, żeby mnie pocałować. Nie chciałem, żeby idąc do ołtarza, ujrzała przed sobą kompletnie obcego mężczyznę.

Wyjaśniłem to wszystko babci, a ona odparła, że to rozumie. Zresztą jej mąż też od czasu do czasu pozwalał sobie na lekko niechlujny zarost.

– Dobrze – powiedziała – możesz zostawić brodę.

Potem jednak próbowałem wyjaśnić to bratu i Willy tak jakby się... zjeżył.

Stwierdził, że nie jest to rzecz powszechnie przyjęta. Poza tym wojsko, zasady i tak dalej.

Udzieliłem mu więc krótkiej lekcji historii i wymieniałem kilku członków rodziny królewskiej, którzy mieli brody i nosili mundury wojskowe. Król Edward VII, król Jerzy V, księżę Albert, a ostatnio księżę Michał z Kentu.

Odesłałem go uprzejmie do grafiki w Google.

– To nie to samo – oznajmił Willy.

Gdy poinformowałem go, że jego opinia nie ma większego znaczenia, ponieważ uzyskałem już zgodę babci, Willy wpadł w szał. Zaczął krzyczeć.

– Poszedłeś z tym do niej?!

– Tak.

– I co babcia powiedziała?

– Żebym zostawił brodę.

– Postawiłeś ją w kłopotliwym położeniu, Haroldzie! Nie miała wyboru, musiała się zgodzić.

– Nie miała wyboru? Przecież jest królową! Gdyby nie chciała, żebym miał brodę na ślubie, to chyba sama by mi to powiedziała.

Willy zawsze jednak uważał, że babcia ma do mnie słabość, że stale mi pobłaża, tymczasem jemu stawia bardzo wysokie wymagania. Wiadomo... bo on jest Następcą, ja tylko Zastępcą i tak dalej. Zawsze go to irytowało.

Dyskusja na temat brody ciągnęła się ponad tydzień, w bezpośrednich rozmowach i przez telefon. Willy nie chciał odpuścić.

W pewnym momencie rozkazał mi nawet, jako następcą tronu, żebym zgolił brodę.

– Mówisz poważnie?

– Jak najbardziej, masz ją zgolić.

– Na miłość boską, Willy, dlaczego to dla ciebie takie ważne?

– Ponieważ ja nie mogłem mieć brody na swoim ślubie.

Ach, więc o to chodziło. Po tym, jak Willy wrócił ze służby w siłach specjalnych, zapuścił brodę, ale ktoś powiedział mu, żeby był grzecznym chłopcem i ją zgolił. Teraz zaś nie mógł znieść myśli, że ja będę cieszył się przywilejem, którego jemu odmówiono.

Podjeżdżałem też, że cała ta sytuacja przypomniała mu, że nie mógł wziąć ślubu w takim mundurze, w jakim chciał.

Willy zresztą potwierdził moje przypuszczenia. Podczas jednej z naszych kłótni oznajmił z goryczą w głosie, że pozwolono mi włożyć surdut Kawalerii Przybocznej, w którym on chciał wystąpić na swoim ślubie.

Zachowywał się śmiesznie, o czym zresztą mu powiedziałem. Ale on stawał się coraz bardziej rozżłoszczony.

W końcu oznajmiłem mu kategorycznym tonem, że jego brodaty brat wkrótce bierze ślub i albo się z tym pogodzi, albo nie. Decyzja należy do niego.

42

Na wieczorze kawalerskim pojawiłem się gotowy na wszystko. Chciałem się śmiać, dobrze bawić i zrzucić z siebie cały stres ostatnich miesięcy. Ale obawiałem się, że jeśli zanadto się rozluźnię, upiję się i urwie mi się film, Willy i jego kumple dopadną mnie i ogolą.

Willy zresztą z całą powagą oświadczył mi, że „taki właśnie ma plan”.

Przez cały czas starałem się więc mieć mojego brata na oku.

Impreza odbywała się w domu znajomego na wsi w Hampshire. Nie na południowym wybrzeżu Anglii ani w Kanadzie, ani w Botswanie, jak podawały

media.

Oprócz mojego starszego brata brało w niej udział jeszcze piętnastu facetów.

Gospodarz wyposażył kryty kort tenisowy w rozmaite chłopięce zabawki.

Gigantyczne rękawice bokserskie.

Łuki i strzały niczym z *Władcy pierścieni*.

Mechanicznego byka.

Pomalowaliśmy sobie twarze i ganialiśmy się po całym domu jak wariaci.
Świetna zabawa.

Po godzinie czy dwóch padałem już z sił, dlatego ucieszyłem się, gdy ktoś zawołał, że jedzenie gotowe.

W przestronnej, dużej stodole urządziliśmy sobie piknik, a potem pomaszerowaliśmy na prowizoryczną strzelnicę.

Uzbrojenie po zęby tej pijanej zgrai było dość ryzykownym pomysłem. Jakimś cudem jednak nikomu nic się nie stało.

Kiedy wszystkim już znudziło się strzelanie, przebrali mnie w strój ogromnego kurczaka z żółtymi piórami i zaczęli puszczać we mnie fajerwerki. No dobra, sam to zaproponowałem:

– Kto trafi najbliżzej celu, ten wygrywa!

Przypomniały mi się weekendy sprzed lat w Norfolk, kiedy razem z synami Hugh i Emilie bawiliśmy się w unikanie fajerwerków.

Byłem ciekaw, czy Willy też to pamięta.

Jak to się stało, że tak bardzo obaj się od siebie oddaliliśmy?

A może nie?

Może jeszcze zdołamy odbudować łączącą nas więź?

Zwłaszcza teraz, kiedy miałem się ożenić.

W kuluarach Pałacu toczono zaciekle spory o to, czy Meg może – lub powinna – mieć welon. Według niektórych to nie wchodziło w grę.

W przypadku rozwódki welon nie mógł być brany pod uwagę.

Osoby władne w tej kwestii wykazały się jednak, nieoczekiwanie, elastycznością.

Kolejne pytanie dotyczyło tiary. Moje ciotki spytały, czy Meg chciałaby włożyć diadem mojej matki. Wzruszyliśmy się. Meg wraz z projektantką poświęciły potem mnóstwo godzin na dobranie welonu do tiary i nadanie jego brzegowi stosownego kształtu.

Tyle że na krótko przed ślubem do akcji wkroczyła babcia i zaproponowała nam dostęp do swojej kolekcji tiar. Zaprosiła nas nawet do pałacu Buckingham, żeby Meg mogła je przymierzyć. Pamiętam, jak powiedziała:

– Przyjdźcie.

To był nadzwyczajny poranek. Weszliśmy do prywatnej garderoby babci znajdującej się tuż obok jej sypialni. Nigdy tam nie byłem. Babci towarzyszył ekspert od biżuterii, wybitny historyk znający pochodzenie każdego klejnotu w królewskiej kolekcji. Była tam również garderobiana babci i jej powierniczka, Angela. Na stół wyłożono pięć diademów. Babcia kazała Meg przymierzyć każdy z nich przed wysokim lustrem. Stałem z tyłu i się przyglądałem.

Jedną tiarę wykonano wyłącznie ze szmaragdów. Inną z akwamaryn. Każda była bardziej oszłamiająca od poprzedniej. I na widok każdej dech mi zapierało.

Zresztą nie tylko mnie. Babcia zwróciła się do Meg dość czule:

– Do twarzy ci w diademie.

Meg się rozpląnęła.

– Dziękuję, proszę pani.

Jedna z tiar się wyróżniała. Wszyscy się co do tego zgodzili. Była piękna i jakby zrobiona dla Meg. Babcia oznajmiła, że trafi ona do sejfu i że nie może się doczekać, by ujrzeć ją na głowie Meg w wielki dzień.

– Zadbaj o to – dodała – żeby poćwiczyć wkładanie jej. Z fryzjerem. To trudne i nie chcesz robić tego w dniu ślubu po raz pierwszy.

Wyszliśmy z pałacu zachwyceni, czując respekt, miłość i wdzięczność.

Tydzień później skontaktowaliśmy się z Angellą i poprosiliśmy ją, by przysłała nam wybraną tiarę, abyśmy mogli poćwiczyć wkładanie jej. Zrobiliśmy rozeznanie, porozmawialiśmy również z Kate o jej doświadczeniu i dowiedzieliśmy się, że ostrzeżenie babci miało uzasadnienie. Wkładanie tiary jest misternym i pracochłonnym procesem. Najpierw trzeba ją przyszyć do welonu, a potem fryzjer

będzie musiał przypiąć ją do cienkiego warkocza splecionego z włosów Meg. Skomplikowane, czasochłonne – potrzebna jest co najmniej jedna próba generalna.

Z jakiegoś powodu Angela nie odpowiadała na nasze wiadomości.

Próbowaliśmy dalej.

Bez odzewu.

Gdy wreszcie udało nam się skontaktować, Angela poinformowała nas, że tiara może opuścić pałac wyłącznie w towarzystwie ordynansa i pod eskortą policji.

To zakrawało na... lekką przesadę. No ale przystałem na to, skoro tego wymaga protokół. Znajdźmy ordynansa i policjanta i bierzmy się do roboty. Czas uciekał.

Z tajemniczych powodów usłyszeliśmy:

– To niemożliwe.

– Dlaczego?

Angela miała zbyt napięty grafik.

Ewidentnie utrudniała nam działanie, lecz z jakiej przyczyny? Nawet nie ryzykowaliśmy domysłów. Zastanawiałem się, czy nie udać się do babci, tyle że oznaczałoby to zainicjowanie jawnej konfrontacji, a nie miałem pewności, po czyjej stronie by stanęła. Ponadto uważałem Angelę za wichrzycielkę i nie chciałem robić sobie z niej wroga.

Przecież tiara wciąż znajdowała się u niej.

I to ona trzymała wszystkie karty w garści.

44

Chociaż prasa przeważnie dawała Meg spokój i skupiała się głównie na zbliżającym się ślubie, zdążyła wyrządzić jej krzywdę. Po osiemnastu miesiącach mieszania jej z błotem dziennikarze nakręcili trolli, którzy teraz wypełzali ze swoich nor. Odkąd potwierdziliśmy, że jesteśmy parą, zalewały nas w mediach społecznościowych rasistowskie drwiny i grożono nam śmiercią. („Do zoba, zdrajco rasy!”) Teraz oficjalny poziom zagrożenia, będący dla ochrony Pałacu podstawą do rozmieszczenia personelu i broni, osiągnął pułap przyprawiający o zawrót głowy. Z przedślubnych rozmów z policją dowiedzieliśmy się, że jesteśmy cennym celem dla terrorystów i ekstremistów. Pamiętałem, jak generał

Dannatt nazwał mnie magnesem przyciągającym kule i poinformował, że nikt stojący obok mnie nie będzie bezpieczny. Cóż, znowu byłem magnesem, a obok mnie stanie osoba, którą kochałem najbardziej na świecie.

Informowano o tym, że Pałac postanowił przeszkolić Meg w taktykach walk partyzanckich i survivalowych na wypadek próby porwania. Opisany w pewnym bestsellerze dzień, w którym siły specjalne przybyły do naszego domu, zabrały Meg i zafundowały jej kilka dni musztry, upychania na tylnych siedzeniach samochodów i w bagażnikach i kazały ćwiczyć błyskawiczne ucieczki do bezpiecznych domów, jest wierutną błądą. Meg nie przeszła ani minuty treningu. A w Pałacu postanowiono nie dawać jej żadnej ochrony, skoro jestem dopiero szóstym z kolei pretendentem do tronu.

Jakże pragnąłem, by doniesienia o akcji sił specjalnych były choć w części prawdą! Jak bardzo chciałem zadzwonić do kumpli z sił specjalnych i poprosić, żeby przyjechali przeszkolić Meg i przypomnieli szkolenie mnie. A jeszcze lepiej – żeby nas chronili. I jakże żałowałem, że nie mogę posłać nikogo z sił specjalnych po tiarę.

Angela wciąż jej nie dostarczała.

Fryzjer Meg przyleciał z Francji na próbę generalną, a diadem nie było. No to wrócił do Francji.

I znowu zadzwoniliśmy do Angeli. I znowu nic.

Wtem Angela pojawiła się nieoczekiwanie w pałacu Kensington. Spotkałem się z nią w sali audiencyjnej.

Położyła przede mną dokument poświadczający przekazanie, a gdy go podpisałem, wręczyła mi tiarę.

Podziękowałem jej, aczkolwiek dodałem, że ułatwiłaby nam znacznie życie, gdyby doszło do tego wcześniej.

Oczy jej zapłonęły. Zaczęła mnie krytykować.

– Angelo, naprawdę chcesz to robić teraz? Serio? Teraz?

Uraczyła mnie spojrzeniem, na widok którego zadrzałem. Wyczytałem z jej twarzy jawne ostrzeżenie.

To jeszcze nie koniec.

Meg przez wiele miesięcy usiłowała uspokoić ojca. Co rusz czytał o sobie coś nowego, coś uwłaczającego mu, co brał sobie do serca. Raniono jego dumę raz po raz. Każdego dnia w gazetach pojawiały się nowe upokarzające go zdjęcia. Thomas Markle kupuje nowy sedes. Thomas Markle kupuje sześciopak. Thomas Markle z brzuchem wiszącym nad paskiem.

Rozumieliśmy go. Meg powtarzała mu, że wiemy, jak się czuje. Prasa, paparazzi, są okropni. Meg przyznawała, że nie da się całkowicie bagatelizować tego, co piszą. I prosiła, by ignorował konkretne osoby. Ignoruj każdego, kto się do ciebie zbliża, tato. Uważaj na każdego, kto udaje twojego najlepszego przyjaciela. I wydawało się, że słucha. Odnosiliśmy wrażenie, że miewa się lepiej pod względem psychicznym.

I wtedy, w sobotę przed ślubem, zadzwonił do nas Jason.

– Mamy problem.

– Słucham?

– „Mail on Sunday” opublikuje artykuł o tym, że ojciec Meg współpracował z paparazzi i pozwolił im za pieniądze wykonać zdjęcia.

Natychmiast zadzwoniliśmy do taty Meg i powiedzieliśmy mu, co się kroi. Zapytaliśmy, czy to prawda. Zgodził się na zdjęcia za kasę?

Nie.

Meg powiedziała:

– Może nam się udać zablokować ten tekst, tato, ale jeśli się okaże, że kłamiesz, nie zdołamy już nigdy zablokować żadnej innej fałszywej historii o nas lub o naszych dzieciach. Sprawa jest poważna. Musisz nam powiedzieć prawdę.

Przysiągł, że nie godził się na żadne zdjęcia, że nie brał udziału w żadnej szaradzie i że nie zna rzeczonoego paparaziego.

– Wierzę mu – szepnęła do mnie Meg.

Powiedzieliśmy mu, żeby w takim razie natychmiast opuścił Meksyk. Zetknie się z zupełnie nowym nagabywaniem przez prasę, więc lepiej niech przylatuje do Wielkiej Brytanii. Zamierzaliśmy zapewnić mu mieszkanie, w którym będzie mógł się bezpiecznie zadekować do czasu lotu.

Air New Zealand, pierwsza klasa, bilet zarezerwowany i opłacony przez Meg.

Mieliśmy przysłać po niego samochód z prywatną ochroną, żeby natychmiast go zabrał.

Powiedział, że ma coś do zrobienia.

Mina Meg uległa zmianie. Coś było na rzeczy.

Odwróciła się do mnie i westchnęła.

– Kłamie.

Tekst opublikowano następnego ranka. Przerósł nasze obawy. Istniało nagranie ukazujące ojca Meg podczas spotkania z paparazzim w kafejce internetowej. Pokazano serię zakrawających na farsę upozowanych zdjęć, na których ojciec czyta książkę o Wielkiej Brytanii, jakby się przygotowywał do ślubu. Fotografie, warte rzekomo sto tysięcy funtów, zdawały się dowodzić ponad wszelką wątpliwość, że ojciec Meg rzeczywiście kłamał. Uczestniczył w tym fałszerstwie, możliwe, że dla pieniędzy albo dlatego, że mieli na niego haka. Tego nie wiedzieliśmy.

Nagłówki głosiły: „Ojciec Meg Markle oszustem! Pozował dla pieniędzy!”. Na tydzień przed ślubem to była sensacja.

I chociaż zdjęcia zrobiono kilka tygodni wcześniej, trzymano je w zanadrzu aż do najbardziej delikatnej chwili.

Krótko po ukazaniu się tekstu Thomas Markle przysłał nam wiadomość: „Bardzo mi wstyd”.

Dzwoniliśmy do niego.

Pisaliśmy.

Znowu dzwoniliśmy.

„Nie jesteśmy źli. Prosimy, odbierz”.

Nie odebrał.

A potem, wraz z resztą świata, usłyszeliśmy, że miał najprawdopodobniej zawał serca i nie przyleci na ślub.

Następnego dnia Meg dostała esemesa od Kate. Pojawił się jakiś problem z sukniami dla druhen. Wymagały poprawek. Suknie szyto we Francji, ręcznie, na miarę, nie szokowało więc, że wymagały jakichś zmian.

Meg nie od razu odpisała Kate. Owszem, dostawała bez końca esemesy związane ze ślubem, ale zajmowała się głównie chaosem dotyczącym ojca. Następnego ranka napisała do Kate, że nasz krawiec czeka. W pałacu. Nazywa się Ajay.

To nie wystarczyło.

Umówiły się na rozmowę po południu.

– Suknia Charlotte jest za duża, za długa, workowata. Rozpłakała się, gdy przymierzyła ją w domu – poinformowała Kate.

– No dobrze. Ale przecież pisałam, że krawiec czeka w gotowości od ósmej rano. Tutaj. W pałacu Kensington. Możesz przywieźć Charlotte, żeby dokonał poprawek? Inne matki tak robią.

– Nie. Wszystkie suknie wymagają przeróbek.

Kate dodała, że zgodził się z tym projektant jej sukni ślubnej.

Meg spytała, czy Kate ma świadomość tego, co się dzieje. Z jej ojcem.

Kate odparła, że tak, zdaje sobie z tego sprawę, no ale suknie.

– Ślub jest za cztery dni!

– Tak, Kate, wiem...

Kate nie podobało się też parę innych rzeczy w planowaniu ślubu przez Meg. Miało to związek z przyjęciem dla chłopców, którzy mieli nieść tren.

Przecież połowa dzieciaków, które wezmą udział w ślubie, pochodzi z Ameryki Północnej. Jeszcze tu nawet nie dotarły.

I tak w tę i we w tę.

– Nie wiem, co jeszcze mogę powiedzieć. Jeśli suknia źle leży, zabierz Charlotte na spotkanie z Ajayem. Czeką cały dzień.

– Dobrze.

Krótko potem wróciłem do domu i zastałem Meg na podłodze. Zalaną łzami.

Przeraziło mnie jej zdenerwowanie, jednak nie uznałem go za katastrofę. Emocje kipiały, rzecz jasna, po stresie minionego tygodnia, ostatniego miesiąca i dnia. To było nie do zniesienia, ale tymczasowe. Kate nie miała złych intencji, przekonywałem.

I rzeczywiście następnego dnia Kate przyjechała z kwiatami i kartką, na której napisała, że przeprasza. Najlepsza przyjaciółka Meg, Lindsay, była akurat

w kuchni.

To zwykle nieporozumienie, powiedziałem sobie.

47

W przeddzień ślubu przebywałem w hotelu Coworth Park. To prywatna wiejska rezydencja. Towarzyszyło mi przy szklaneczce kilku kolegów. Jeden z nich zauważył, że jestem rozkojarzony.

– No cóż, sporo się dzieje.

Nie chciałem wyjawiać zbyt dużo. Zamieszanie w związku z ojcem Meg, Kate i suknią, ciągle martwienie się, że ktoś z tłumu zrobi coś głupiego – lepiej o tym nie mówić.

Ktoś spytał mnie o brata. Gdzie Willy?

I znowu nie odpowiedziałem.

Kolejny drażliwy temat.

Miał do nas dołączyć tego wieczoru. Tyle że, podobnie jak ojciec Meg, odwołał to w ostatniej chwili.

Tuż przed herbatką z babcią oznajmił:

– Nie mogę, Haroldzie. Kate i dzieciaki.

Przypomniałem mu, że taką mamy tradycję, że poszliśmy na kolację przed jego ślubem, a potem spotkaliśmy się z tłumem.

Obstawał przy swoim.

– Nie mogę.

– Dlaczego taki jesteś, Willy? – naciskałem. – Spędziłem z tobą cały wieczór przed twoim ślubem z Kate. Dlaczego tak robisz?

Zapytałem sam siebie, co się tu dzieje. Było mu przykro, że nie został moim druhną? Zdenerwował się, że poprosiłem o to swojego dobrego przyjaciela Charliego? (Pałac wypuścił historię, że Willy jest druhną, jak zrobiono ze mną, kiedy on i Kate się pobierali). Czy mogło chodzić o to?

A może to był kac po aferze z brodą?

Czy też miał poczucie winy związane z relacją Kate i Meg?

Niczego mi nie podpowiadał. Po prostu mówił „nie”. I pytał, dlaczego to dla mnie takie ważne.

– Dlaczego chcesz pozdrowić tłum, Haroldzie?

– Bo biuro prasowe mi kazało. Żeby było tak jak przed twoim ślubem.

– Nie musisz ich słuchać.

– A niby od kiedy?

Miałem tego dość. Zawsze wierzyłem, że pomimo problemów między nami nasza więź jest silna. Uważałem, że braterstwo pokona kłopoty z sukniami druhen lub brodą. Wyglądało na to, że nie.

Tuż po wyjściu od babci, około osiemnastej, Willy napisał do mnie. Zmienił zdanie. Przyjedzie.

Może babcia interweniowała?

Nieważne. Podziękowałem mu wesoło, serdecznie.

Kilka chwil później spotkaliśmy się na dworze i wsiedliśmy do samochodu, który zawiózł nas pod bramę króla Edwarda. Wyszliśmy i szliśmy wśród tłumu, dziękując ludziom za przybycie.

A oni życzyli nam dobrze i ślali całuski.

Pomachaliśmy na do widzenia, wsiedliśmy do auta.

Gdy odjeżdżaliśmy, poprosiłem, żeby udał się ze mną na kolację. Wspomniałem, że mógłby zostać na noc, tak jak ja przed jego ślubem.

Powiedział, że na kolacji będzie, ale zostać nie będzie mógł.

– Willy, proszę cię.

– Przepraszam, Haroldzie. Nie mogę. Dzieciaki.

48

Stanąłem przed ołtarzem, wygładziłem mundur Kawalerii Przybocznej i patrzyłem na Meg sunącą w moją stronę. Bardzo się napracowałem przy wyborze muzyki i w końcu postawiłem na *Wieczne źródło boskiego światła* Händla.

I teraz, kiedy głos solistki dźwięczał nad naszymi głowami, uznałem, że dobrze wybrałem.

Gdy Meg zbliżała się do mnie, dziękowałem za wszystkie swoje wybory.

Niesamowicie, że słyszałem muzykę poprzez bicie mojego serca, gdy Meg stanęła obok i wzięła mnie za rękę. Teraźniejszość się rozplynęła, wróciła przeszłość. Nasze pierwsze niepewne wiadomości na Instagramie. Pierwsze spotkanie w Soho House. Pierwsza wyprawa do Botswany. Pierwsze podekscytowane rozmowy po tym, jak telefon wpadł mi do rzeki. Pierwszy pieczony kurczak. Pierwsze loty w tę i z powrotem nad Atlantykiem. Pierwszy raz, gdy powiedziałem: „Kocham cię”. I gdy usłyszałem te słowa od niej. Gburowaty łabędź Steve. Brutalna walka o to, by chronić ją przed prasą. I oto znaleźliśmy się tutaj, przy linii mety. I początku.

W ciągu ostatnich miesięcy niewiele działo się zgodnie z planem. Ale przypomniałem sobie, że nic z tego nie było planowane. To był plan. To. Miłość.

Zerknąłem na tatę, który prowadził Meg na ostatnim fragmencie drogi do ołtarza. Nie jej ojciec, lecz też wyjątkowy. Wzruszyła się. Nie wynagrodziło jej to zachowania jej ojca, tego, jak wykorzystywała go prasa, niemniej bardzo pomogło.

Ciotka Jane wstała i odczytała fragmenty Biblii ku czci mamy. Z Pieśni nad Pieśniami.

Meg i ja je wybraliśmy.

Powstań, przyjaciółko ma, piękna ma, i pójdź! [...] ^[13]

Położ mię jak pieczęć na twoim sercu, jak pieczęć na twoim ramieniu, bo jak śmierć potężna jest miłość, a zazdrość jest nieprzejednana jak Szeol... ^[14]

Potężna jak śmierć. Nieprzejednana. Tak, pomyślałem. Tak.

Zobaczyłem, że arcybiskup podaje nam obrączki drżącą ręką. Zdołałem zapomnieć, ale on najwyraźniej nie: skierowano na nas obiektywy dwunastu kamer, dwa miliony ludzi oglądały nas w telewizji, wokół roiło się od fotografów, ogromny tłum na zewnątrz krzyczał i wiwatował.

Wymieniliśmy się obrączkami. Obrączkę Meg wykonano z tej samej grudki walijskiego złota, które wykorzystano na obrączkę Kate.

Babcia wspomniała, że prawie się skończyło.

Ostatnie złoto. To samo myślałem o Meg.

Arcybiskup doszedł do części oficjalnej, powiedział kilka słów, które uczyniły nas księciem i księżną Sussex – tytuły te nadała nam babcia – i połączył nas, póki

śmierć nas nie rozłączy, chociaż coś podobnego zrobił już kilka dni wcześniej, w naszym ogrodzie, podczas skromnej ceremonii, w której uczestniczyliśmy tylko my dwoje oraz Guy i Pula w charakterze świadków. Ceremonii nieoficjalnej, wiążącej wyłącznie nasze dusze.

Czuliśmy wdzięczność dla każdego w katedrze Świętego Jerzego i wokół niej, każdego, kto oglądał nas w telewizji, ale nasza miłość narodziła się w prywatności, a życie publiczne przysparzało nam głównie bólu, więc pragnęliśmy, żeby i konsekracja naszej miłości, pierwsza przysięga, miała prywatny charakter. I chociaż formalna ceremonia była magiczna, oboje zaczęliśmy się trochę bać... tłumów.

To, co ujrzeliśmy zaraz po odejściu spod ołtarza i wyjściu z kościoła, nasiliło to uczucie: oprócz zalewu uśmiechniętych twarzy zobaczyliśmy snajperów. Na dachach budynków, pośród flag, za wodospadami chorągwi. Policja poinformowała mnie, że jest to niezwykle, ale konieczne.

Ze względu na bezprecedensową liczbę gróźb, które otrzymują.

49

Nasz miesiąc miodowy był ściśle strzeżonym sekretem. Wyjechaliśmy z Londynu w samochodzie udającym furgonetkę firmy przeprowadzkowej, z oknami zasłoniętymi kartonami, i wybraliśmy się na dziesięć dni nad Morze Śródziemne. Jakże cudownie było się wyrwać, być nad morzem, na słońcu. Niestety, pochorowaliśmy się. Napięcie związane ze ślubem wykończyło nas.

Wróciliśmy w czerwcu w samą porę na oficjalne obchody urodzin babci. Trooping the Color było jedną z pierwszych uroczystości, na których wystąpiliśmy jako nowożeńcy. Wszyscy zgromadzeni mieli świetny nastrój, radosny. Za to potem:

Kate spytała Meg, co myśli o swojej pierwszej uroczystości Trooping the Color.

Meg zażartowała, że było kolorowo.

Ziejąca cisza groziła połknięciem nas wszystkich w całości.

Kilka dni później Meg wybrała się na pierwszą wyprawę z babcią. Denerwowała się, ale dogadały się wyśmienicie. Zbliżyła je wspólna miłość do psów.

Wróciła z wyjazdu rozpromieniona.

– Nawiązałyśmy z królową bliską relację! – powiedziała mi. – Rozmawiałyśmy ze sobą naprawdę swobodnie! O tym, jak bardzo chciałabym zostać mamą, a ona powiedziała mi, że najlepszym sposobem na wywołanie porodu jest ostra jazda autem po wyboistej drodze! Obiecałam o tym pamiętać we właściwym czasie.

Oboje stwierdziliśmy, że sytuacja się teraz zmieni.

Gazety jednakże przedstawiły ich wyprawę jako kompletną katastrofę. Uznały Meg za arogancką, zarozumiałą i nieznającą królewskiego protokołu, ponieważ popełniła niedopuszczalny błąd i wsiadła do samochodu przed babcią.

Prawda zaś była taka, że właśnie to babcia kazała jej zrobić. Powiedziała, żeby wsiadła, więc Meg wsiadła.

Nieważne. Przez wiele dni krążyły opowieści o wyłamaniu się Meg, o jej ogólnym braku klasy – i o tym, że się ośmieliła wystąpić bez kapelusza w obecności babci. A to Pałac poinstruował Meg, by nie włożyła kapelusza. Babcia ubrała się na zielono, by oddać cześć ofiarom Grenfell Tower. Nikt nie powiedział Meg, by również to zrobiła – stąd wniosek, że ofiary guzik ją obchodziły.

Oświadczyłem:

– Pałac wykona telefon. Sprostują to.

Tak się nie stało.

50

Willy i Kate zaprosili nas na herbatę. Żeby oczyścić atmosferę.

Czerwiec 2018 roku.

Przyjechaliśmy do nich późnym popołudniem. Widziałem, jak Meg otwiera szeroko oczy po przekroczeniu progu, a potem minęliśmy frontowy salon, hol i weszliśmy do gabinetu.

Meg kilkakrotnie wyrażała zachwyt.

Tapety, sztukaterie, regały z drewna orzechowego zapełnione ustawionymi według kolorów tomami, bezcenna sztuka. Coś wspaniałego. Istne muzeum. I tak im powiedzieliśmy. Szczodrze komplementowaliśmy ich renowację, myśląc

z zażenowaniem o naszych lampach z Ikei, kanapie kupionej na przecenie na sofa.com, za którą zapłaciliśmy kartą kredytową Meg.

Usiedliśmy z Meg na szeszlengu w jednym końcu pokoju, podczas gdy Kate usiadła naprzeciwko nas na obitej skórą osłonie przed kominkiem. Willy siedział na lewo od niej w fotelu. Na ławie stały herbata i ciasteczka. Przez dziesięć minut prowadziliśmy klasyczną grzecznościową rozmowę. „Jak się miewają dzieci? Jak wam upłynął miesiąc miodowy?”

Meg napomknęła o napięciu między nami czworgiem i odważyła się powiedzieć, że być może sięga ono pierwszych dni, gdy dołączyła do rodziny, i nieporozumienia, które przeszło niemal niezauważone. Kate myślała, że Meg chce zdobyć namiary na jej ludzi ze świata mody. A przecież miała własnych. Kiepsko zaczęły. A potem, dodała Meg, wszystko spotęgował ślub i piekielne suknie druhen.

Okazało się jednak, że chodziło też o coś innego... o czym nie mieliśmy pojęcia.

Willy i Kate zdenerwowali się, że nie daliśmy im prezentów na Wielkanoc.

Prezenty na Wielkanoc? To jest coś takiego? Willy i ja nigdy się nie obdarowywaliśmy w Wielkanoc. Tata zawsze robił masę szumu z powodu Wielkanocy, owszem, no ale to był tata.

Niemniej, skoro Willy i Kate byli tym zdenerwowani, przeprosiliśmy ich.

My przebaknęliśmy o tym, że nie byliśmy szczególnie zadowoleni z tego, że Willy i Kate przestawili wizytówki na stole podczas naszego wesela. Zgodnie z amerykańską tradycją posadziliśmy pary razem, ale Willy’emu i Kate tradycja się nie spodobała, więc przy ich stole partnerzy siedzieli osobno.

Upierali się, że to nie oni, że zrobił to ktoś inny.

I stwierdzili, że zrobiliśmy to samo na weselu Pippy.

Nieprawda. Mimo że chcieliśmy. Oddzielała nas wielka kwiatowa kompozycja i chociaż pragnęliśmy rozpaczliwie siedzieć obok siebie, nie podjęliśmy żadnego działania.

Uznałem, że to wylewanie gorzkich żali niczemu nie służy. Kroczyliśmy drogą donikąd.

Kate spojrzała w stronę ogrodu, ściskając skórzane obicie tak mocno, że aż palce jej pobielaly, i oznajmiła, że jesteśmy jej winni przeprosiny.

– Za co? – spytała Meg.

– Zraniłaś moje uczucia, Meghan.

– Kiedy? Powiedz mi, proszę.

– Powiedziałaś ci, że nie mogę sobie czegoś przypomnieć, a ty oznajmiłaś, że to przez hormony.

– O czym ty mówisz?

Kate wspomniała o rozmowie na temat godzin próby ślubu.

– A tak! Pamiętam – przyznała Meg. – Nie pamiętałaś czegoś, a ja powiedziałam, że nic się nie stało, że to przez funkcjonowanie mózgu po porodzie. Dopiero co urodziłaś. To hormony.

Kate otworzyła szeroko oczy.

– Tak. Mówiłaś o moich hormonach. Nie jesteśmy ze sobą na tyle blisko, by rozmawiać o moich hormonach!

Meg również wybałuszyła oczy. Wyglądała na szczerze zmieszaną.

– Przepraszam, że wspomniałam o twoich hormonach. Rozmawiam w ten sposób z przyjaciółkami.

Willy wytknął ją palcem.

– To niegrzeczne, Meghan. W Wielkiej Brytanii tak się nie robi.

– Będziesz uprzejmy zabrać palec sprzed mojej twarzy?

To się naprawdę działo? Doszło aż do czegoś takiego? Krzyczeliśmy na siebie z powodu wizytówek na stołach i hormonów?

Meg powiedziała, że nigdy nie zrobiła celowo nic, by zranić Kate, i jeśli jeszcze się jej to zdarzy, prosi, żeby Kate ją o tym poinformowała, aby to się nigdy więcej nie powtórzyło.

Objęliśmy się wszyscy. Tak jakby.

Oznajmiłem, że powinniśmy już iść.

Nasi pracownicy wyczuwali te tarcia, czytali prasę i dlatego w biurze dochodziło do częstych utarczek. Zajmowano stanowiska. Drużyna Cambridge spierała się

z drużyną Sussex. Rywalizacja, zazdrość, konkurencyjne motywy – to wszystko psuło atmosferę.

Nie pomagało też to, że wszyscy pracowali non stop. Prasa stawiała nam tyle wymagań, bezustanny napór błędów wymagał wyjaśnienia, nam zaś brakowało ludzi lub środków. W najlepszym razie mogliśmy się zająć dziesięcioma procentami spraw. Mieliśmy napięte nerwy, ludzie warczeli do siebie. W takim klimacie nie istnieje coś takiego jak konstruktywna krytyka. Każdą informację zwrotną postrzegano jako afront, zniewagę.

Za to wszystko, dosłownie za wszystko, Willy obwinił jedną osobę. Meg. Powiedział mi to kilka razy i zdenerwował się na moje stwierdzenie, że postępuje niestosownie. Powtarzał po prostu narrację prasy, wygłaszał fałszywe historie, które przeczytał albo usłyszał. Największą ironię stanowiło zaś to, że prawdziwymi złoczyńcami byli ludzie, których ściągnął do gabinetu, osoby z rządu, nieodporne na takie spory, a wręcz od nich uzależnione. Miały smykałkę do wbijania komuś noża w plecy, talent do snucia intryg i bezustannie nastawiały nasze dwie grupy pracowników przeciwko sobie.

Tymczasem, mimo wszystko, Meg udawało się zachować spokój. Chociaż pewni ludzie wygadywali różne rzeczy na jej temat, nigdy nie słyszałem, żeby mówiła o kimś źle lub zwracała się nieuprzejmie do kogoś. Wręcz przeciwnie, obserwowałem, że ze zdwojonym wysiłkiem starała się dotrzeć do ludzi, szerzyć życzliwość. Wysyłała wypisywane ręcznie podziękowania, interesowała się chorymi pracownikami, słała kosze z jedzeniem, kwiatami lub smakołykami do każdego, komu było trudno, kto był przygnębiony lub chory. W biurze często panowały ciemność i chłód, więc ogrzała je nowymi lampami i przenośnymi grzejnikami, za które płaciła własną kartą kredytową. Przynosiła pizzę i herbatniki, organizowała spotkania przy herbacie i lodach. Wszystkimi podarunkami takimi jak ubrania, perfumy i kosmetyki do makijażu dzieliła się z innymi kobietami z biura.

Podziwiałem jej umiejętność, lub determinację, dostrzegania dobra w innych ludziach. A pewnego dnia poznałem w pełni wielkość jej serca. Dowiedziałem się, że pana R., mojego byłego sąsiada z góry z czasów, gdy mieszkalem w borsuczej norze, spotkała tragedia. Zmarł jego dorosły syn.

Meg nie знаła pana R. Ani jego syna. Wiedziała jednak, że jego rodzina była moimi sąsiadami, i często widywała ich wyprowadzających psy. Dlatego bardzo się

zasmuciła i napisała do ojca list, w którym złożyła kondolencje i wyznała, że chętnie by go uściskała, ale nie wie, czy to byłoby stosowne. Do listu dołączyła gardenię, by zasadzono ją na cześć syna.

Tydzień później pan R. stanął w progu naszych drzwi w Nott Cott. Wręczył Meg liścik z podziękowaniem i mocno ją uściskał.

Byłem z niej taki dumny i żałowałem waśni z panem R.

Ale jeszcze bardziej żałowałem tego, że moja rodzina była zwaśniona z moją żoną.

52

Nie chcieliśmy czekać. Chcieliśmy od razu powiększyć rodzinę. Harowaliśmy jak opętani, mieliśmy wymagającą pracę i czas nie był idealny, ale co tam. To zawsze było dla nas priorytetem.

Martwiliśmy się ilością stresu w codziennym życiu i że może nam to utrudnić poczęcie. Stres zaczął odciskać widoczne piętno na Meg; straciła w ciągu roku sporo na wadze, mimo zjadanych zapiekaneek pasterskich. Informowała mnie, że je więcej niż zwykle, a jednak jej waga spadała.

Przyjaciele polecili nam ajurwedyjską lekarkę, która pomogła im zajść w ciążę. O ile dobrze ich zrozumiałem, medycyna ajurwedyjska dzieli ludzi na kategorie. Nie pamiętam, do jakiej pani doktor zaliczyła Meg, ale potwierdziła nasze obawy, że utrata wagi przez Meg może jej utrudnić zajście w ciążę.

Obiecała, że jeśli jej przybędzie dwa i pół kilograma, uda się.

Tak więc Meg jadła i jadła i niebawem wrzuciła te zalecane dwa i pół kilograma; z nadzieją patrzyliśmy w kalendarz.

Pod koniec lata 2018 roku udaliśmy się do Szkocji, do zamku Mey, żeby spędzić kilka dni z tatą. Więż między Meg i tatą, zawsze silna, jeszcze się umocniła w ciągu tego weekendu.

Pewnego wieczoru, podczas picia koktajli przed kolacją, z muzyką Freda Astaire'a w tle, okazało się, że Meg miała urodziny tego samego dnia co ulubiona osoba taty: bunia.

4 sierpnia.

Tata stwierdził z uśmiechem, że to niesamowite.

Na wspomnienie buni i powiązania jej z moją żoną zrobił się nagle wesoły i zaczął snuć opowieści, których nigdy nie słyszałem, i w zasadzie urządził przedstawienie, popisując się przed Meg.

W szczególności jedna historia zachwyciła nas oboje i pobudziła naszą wyobraźnię. Dotyczyła selkie.

– Co to jest, tato?

Szkockie odpowiedniki syren, odrzekł. Przybierały postać fok i pływały przy brzegu w okolicy zamku, rzut beretem od miejsca, w którym siedzieliśmy.

– Dlatego kiedy widzisz fokę – poradził – niczego nie możesz być pewien... Zaśpiewaj jej. Często odśpiewują.

– Bajki opowiadasz, tato!

– Ależ to prawda!

Wyobraziłem to sobie – czy tata nas co do tego zapewnił – że selkie mogą spełniać życzenia.

Przy kolacji porozmawialiśmy również o stresie, jakiego doświadczamy. Gdybyśmy mogli przekonać gazety, żeby sobie odpuściły... na jakiś czas.

Tata przytaknął. Niemniej uznał za niezwykle istotne, by nam przypomnieć...

– Tak, tak, tato. Wiemy. Nie należy tego czytać.

Przy herbacie następnego dnia dobra aura się utrzymywała. Wszyscy się śmialiśmy, rozmawialiśmy o tym i owym. Wtem do sali wtargnął kamerdyner, wnosząc telefon stacjonarny.

– Wasza Królewska Wysokość, Jej Królewska Mość.

Tata usiadł prosto.

– Och tak. – Wyciągnął rękę po słuchawkę.

– Przepraszam, sir, ale dzwoni do księżnej.

– Och.

Zdziwiliśmy się. Meg z wahaniem sięgnęła po telefon.

Wyglądało na to, że babcia dzwoniła porozmawiać z Meg o jej ojcu. W reakcji na list, który Meg do niej napisała, prosząc o radę i pomoc. Meg powiedziała, że nie wie, jak powstrzymać prasę przed prowadzeniem z nim wywiadów i zachęcaniem go do mówienia okropnych rzeczy. Babcia zasugerowała, by Meg

zapomniała o prasie i spotkała się z ojcem, żeby spróbować przemówić mu do rozsądku.

Meg wyjaśniła, że ojciec mieszka w przygranicznym meksykańskim miasteczku i nie wie, jak miałyby się przemknąć po cichu i bezpiecznie przez lotnisko, dziennikarzy otaczających jego dom, przez miasteczko i z powrotem.

Babcia przyznała, że taki plan wiąże się z licznymi problemami.

– Może w takim razie napisz do niego list?

Tata się z tym zgodził. Świetny pomysł.

53

Udaliśmy się z Meg na plażę przed zamkiem. Dzień był chłodny, ale słońce świeciło jasno.

Stanęliśmy na skałach i patrzyliśmy w morze. Wtem wśród jedwabistych wysepek wodorostów dostrzegliśmy... coś.

Głowę.

Parę smutnych oczu.

– Patrz! Foka!

Głowa zanurzała się i wynurzała. Oczy niezaprzeczalnie się nam przyglądały.

– Patrz! Druga!

Zgodnie z radą taty podbiegłem do brzegu i im zaśpiewałem. Serenadę.

– Arooo.

Nie odpowiedziały.

Meg dołączyła do mnie i też im zaśpiewała. Rzecz jasna odezwały się.

Pomyślałem, że naprawdę jest czarodziejką. Nawet foki to wiedzą.

Wtem, gdzie okiem sięgnąć, z wody wynurzały się głowy i do niej śpiewały.

– Arooo.

Focza opera.

Może to głupi przesąd, lecz nie przejmowałem się tym. Uznałem to za dobry znak. Rozebrałem się, wskoczyłem do wody i podpłynąłem do nich.

Później szef kuchni taty, Australijczyk, przeraził się, słysząc to. Stwierdził, że to był nadzwyczaj zły pomysł, gorszy od nierozważnego nurkowania w rzece Okawango. Przy tej części szkockiego wybrzeża roi się od orek i śpiewanie im jest jak przywoływanie ich na pewną krwawą śmierć.

Pokręciłem głową.

To była taka urocza bajka, pomyślałem.

Jakim cudem zrobiła się tak szybko mroczna?

54

Meg spóźniła się miesiączka. Kupiliśmy dwa testy ciążowe dla pewności i zrobiła je w łazience w Nott Cott.

Leżałem na naszym łóżku i kiedy na nią czekałem... zasnąłem.

Gdy się obudziłem, była przy mnie.

– Co się stało? Czy...?

Powiedziała, że nie sprawdzała. Czekala na mnie.

Płytki leżały na szafce nocnej. Trzymałem tam tylko kilka rzeczy, między innymi niebieskie puderko z włosami mamy. No dobra, pomyślałem. Zobaczmy, co mama poradzi na tę sytuację.

Sięgnąłem po płytki. Spojrzałem na okienka.

Niebieskie.

Wyraźnie niebieskie kreski. Obie.

Niebieski znaczy... ciąża.

O rety.

Cóż.

No cóż.

Objęliśmy się. Pocałowaliśmy.

Odłożyłem płytki na szafkę nocną.

Pomyślałem: Dziękuję, selkie.

A potem: Dziękuję, mamó.

Euge wychodziła za mąż, za Jacka. Cieszyliśmy się obłądnie razem z nią, ale też z samolubnych pobudek, bo Jack jest jednym z naszych ulubionych ludzi. Mieliśmy wybrać się z Meg w pierwszą oficjalną podróż zagraniczną jako małżeństwo, lecz przełożyliśmy wizytę o kilka dni, żeby móc uczestniczyć w ślubie.

Poza tym przeróżne spotkania związane ze ślubem dadzą nam okazję do odciążenia poszczególnych członków rodziny na bok, by podzielić się z nimi dobrą wiadomością.

W Windsorze, tuż przed drinkami ku czci pary młodej, zastaliśmy tatę w jego gabinecie. Siedział za wielkim biurkiem, skąd mógł podziwiać swój ulubiony widok na Long Walk. Wszystkie okna otwarto, żeby schłodzić pomieszczenie, i wiatr szeleścił papierami spiętrzonymi w wysokie stosy zwieńczone przyciskami. Tata przyjął z zachwytem wieść, że zostanie dziadkiem po raz czwarty. Jego ciepły uśmiech rozgrzał mnie.

Po drinkach w St George's Hall Meg i ja odciągnęliśmy na bok Willy'ego. Znajdowaliśmy się w przestronnej sali ze zbrojami zawieszonymi na ścianach. Dziwne pomieszczenie, dziwna chwila. Przekazaliśmy mu wiadomość szeptem. Willy się uśmiechnął i oznajmił, że musimy powiedzieć Kate. Stała po drugiej stronie sali i rozmawiała z Pippą. Uznałem, że możemy to zrobić później, ale nalegał. Podeszliśmy więc i powiedzieliśmy Kate, a ona również uśmiechnęła się szeroko i złożyła nam serdeczne gratulacje.

Oboje zareagowali zgodnie z moją nadzieją... tak jak chciałem.

Kilka dni później ciężę podano do publicznej wiadomości. Gazety donosiły, że Meg zмага się ze zmęczeniem i nudnościami, a także nie może nic jeść, zwłaszcza rano, co było nieprawdą. Owszem, czuła się zmęczona, ale oprócz tego tryskała energią. Miała szczęście, że nie nękały jej silne poranne mdłości, ponieważ wybieraliśmy się w bardzo wymagającą podróż.

Dokądkolwiek się udawaliśmy, pojawiał się tam wielki tłum, a Meg nikogo nie zawiodła. Olśniewała wszystkich w Australii, Tonga, Fidżi, Nowej Zelandii. Jedną z jej wyjątkowo porywających mów nagrodzono owacjami na stojąco.

Była tak fantastyczna, że w połowie podróży poczułem się zmuszony... ją przestrzec.

– Idzie ci aż za dobrze, kochanie. Za dobrze. Wszystko wygląda na zbyt łatwe. Tak właśnie się zaczęło... z moją matką.

Może to zakrawało na obłąd, paranoję. Niemniej wszyscy wiedzieli, że zła sytuacja mamy uległa jeszcze pogorszeniu, gdy pokazała światu, rodzinie, że radzi sobie z podróżami, nawiązywaniem kontaktu z ludźmi, byciem „królewską” bardziej, niż miała prawo.

To wtedy wszystko naprawdę się zmieniło.

W domu powitano nas radośnie, nagłówki w gazetach były entuzjastyczne. Meg, spodziewając się dziecka nieskazitelną reprezentantkę Korony, chwalono. Nie napisano ani jednego negatywnego słowa.

Nastąpiła zmiana, stwierdziliśmy. Wreszcie nastąpiła zmiana.

A potem przysłała następna. I to jaka.

Kolejne historie napływały niczym fale chłoszczące brzeg. Zaczęło się od bzdury autorstwa miernoty – biografą taty, który stwierdził, że dostałem napadu złości przed ślubem. Potem pojawiła się fikcyjna opowieść o tym, jak to Meg unieszczęśliwia pracowników, jest dla nich zbyt surowa i dopuszcza się niewybaczalnego grzechu pisania do ludzi mejli wczesnym rankiem. (Tak się złożyło, że nie spała o tej porze, a odezwała się do będących nocnymi markami przyjaciółek z Ameryki – nie oczekiwała natychmiastowej odpowiedzi). Rzekomo doprowadziła również do odejścia z pracy naszej asystentki; w rzeczywistości to Pałac poprosił ową asystentkę, by zrezygnowała, bo dostarczyliśmy dowody, że wykorzystywała stanowisko, by dostawać prezenty od Meg. Z uwagi na to, że nie mogliśmy wyjawic publicznie powodów odejścia asystentki, pogłoski wypełniły pustkę. I pod wieloma względami to był prawdziwy początek wszystkich problemów. Niebawem narracja o „trudnej księżnej” zaczęła się pojawiać we wszystkich gazetach.

W brukowcach pojawiła się również opowieść o tiarze. W artykule napisano, że Meg zażądała konkretnego diademu mamy, a gdy królowa odmówiła, wpadłem

w szak: „Jeśli Meghan czegoś chce, to to dostanie!”.

Kilka dni później wymierzono w nas *coup de grâce*: królewska korespondentka puściła wodze fantazji i opisała „narastającą oziębłość” (dobry Boże) między Kate i Meg, twierdząc, że jak podaje „dwoje informatorów”, Meg doprowadziła Kate do łez w związku z sukniami druhen.

Ta konkretna korespondentka zawsze mnie denerwowała. Zawsze, niezmiennie się myliła. Ale to mi zakrawało na coś więcej niż błąd.

Czytałem tekst z niedowierzaniem. Meg nie. Nadal jeszcze niczego nie czytała.

Niemniej usłyszała o tym, bo przez kolejną dobę w Wielkiej Brytanii nie rozmawiano o niczym innym, i jak długo będę żył, nie zapomnę tonu jej głosu, kiedy popatrzyła mi w oczy i spytała:

– Haz, doprowadziłam ją do łez? To ja ją doprowadziłam do płaczu?

57

Zorganizowaliśmy drugie spotkanie na szczycie z Willym i Kate. Tym razem na naszym gruncie.

10 grudnia 2018 roku. Wczesnym wieczorem.

Zebraliśmy się w naszym małym frontowym aneksie i tym razem darowaliśmy sobie grzecznościową rozmowę – Kate od razu przeszła do rzeczy i przyznała, że opowieści, jakoby Meg doprowadziła ją do płaczu, były kłamstwem.

– Wiem, Meghan, że to ty płakałaś przeze mnie.

Westchnąłem. Świetny początek, pomyślałem.

Meg przyjęła przeprosiny, ale chciała wiedzieć, dlaczego w gazetach tak napisano i co zrobiono, by to sprostować. Innymi słowy: „Dlaczego twoje biuro mnie nie broni? Dlaczego nikt nie zadzwonił do tej obrzydliwej kobiety i nie zażądał reakcji?”.

Podenerwowana Kate nie odpowiedziała, a Willy uraczył nas udającymi wsparcie unikami, ale ja znałem prawdę. Nikt z Pałacu nie mógł zadzwonić do korespondentki, bo wywołałoby to nieuchronne pytanie: „Skoro to nie było tak, to co się wydarzyło naprawdę między księżnymi?”. A tych drzwi nie wolno otwierać, ponieważ okryłyby wstydem przyszłą królową.

Monarchię trzeba chronić zawsze i za wszelką cenę.

Od tego, co zrobić z tą historią, przeszliśmy do kwestii, skąd się wzięła. Kto mógł podsunąć coś takiego? Kto mógł przekazać prasie taką informację? Kto?

Mieliliśmy temat bez końca. Lista podejrzanych skurczyła się niebywale.

I wreszcie, wreszcie, Willy odchylił się w fotelu i przyznał, że, hm-hm, gdy podróżowaliśmy po Australii, on i Kate udali się na kolację z tatą i Camillą... i, bąknął zażenowany, niewykluczone że napomknął coś o niesnaskach między naszymi parami...

Zasłoniłem twarz dłonią. Meg zamarła. Zapadło ciężkie milczenie.

Już wiedzieliśmy.

– Kto jak kto, ale ty powinieneś wiedzieć... – zwróciłem się do Willy’ego.

Potaknął. Wiedział.

Dalsze milczenie.

Nadszedł czas, by poszli.

58

I tak to było. Jedna historia za drugą. Chwilami nie mogłem się pozbyć myśli o szalonym panie Marstonie^[15].

Kto zdoła kiedykolwiek zapomnieć o fali artykułów z pierwszych stron przypisujących Meg wyłączną odpowiedzialność za koniec świata? „Przyłapano” ją na tym, jak jadła tost z awokado, więc w wielu artykułach napisano czym prędzej, że uprawa awokado przyspiesza niszczenie lasów deszczowych, destabilizuje kraje rozwijające się i pomaga finansować państwowy terroryzm. Oczywiście te same media niewiele wcześniej rozplęwały się nad uwielbieniem Kate dla awokado. (Och, jaki piękny blask zapewniają jej skórze!)

I właśnie mniej więcej w tym czasie supernarracja obecna w każdym z tych tekstów zaczynała się zmieniać. Nie pisano już o sporze dwóch kobiet, nieporozumieniu dwóch księżnych czy nawet domów. Teraz artykuły opowiadały o jednej osobie, czarownicy, od której wszyscy uciekają, a była nią moja żona. A w budowaniu tej narracji prasie najwyraźniej pomagał ktoś lub kilkoro ktosiów z Pałacu.

Ktoś, kto miał coś do Meg.

Jednego dnia pisano: „Fuj. Było widać ramiączko od biustonosza Meg”. (Meg bez klasy).

Następnego: „Ohyda. Ona włożyła taką sukienkę”? (Tandetna Meghan).

A potem: „Boże, uchowaj! Miała paznokcie pomalowane na czarno”! (Meghan gotka).

Kolejnego dnia: „Wielkie nieba, ona wciąż nie wie, jak się właściwie uklonić”. (Meghan Amerykanka).

I: „O rety! Znowu sama zamknęła drzwi samochodu!”. (Arogancka Meghan).

59

Wynajęliśmy dom w Oxfordshire. Jako miejsce, do którego od czasu do czasu można uciec przed chaosem, a także z Nott Cott, który był uroczy, ale za ciasny. No i sypał się nam na głowy.

Zrobiło się na tyle źle, że pewnego dnia musiałem zadzwonić do babci. Powiedziałem jej, że potrzebujemy nowego domu. Wyjaśniłem, że Nott Cott nie tyle zrobił się dla rodziny Willy’ego i Kate za mały, ile raczej oni z niego uciekli z powodu niezbędnych napraw i braku przestrzeni i teraz my mamy ten sam problem. Dwa niesforne psy... dziecko w drodze...

Powiedziałem, że rozmawialiśmy o naszej sytuacji z Pałacem i zaproponowano nam kilka nieruchomości, tyle że każda z nich wydawała się nam zbyt wielka. Wystawna. A jej renowacja zbyt kosztowna.

Babcia to przemyślała i po kilku dniach wróciliśmy do rozmowy.

Zaproponowała Frogmore.

– Frogmore, babciu?

– Tak. Frogmore.

– Frogmore House?

Dobrze znałem ten dom. To tam mieliśmy zaręczynową sesję zdjęciową.

– Nie, nie. Frogmore Cottage. Blisko Frogmore House.

Dom stoi w lekkim ukryciu, powiedziała. Jest schowany. Pierwotnie był domem królowej Karoliny i jej córek, potem jednej z pomocnic królowej Wiktorii,

a jeszcze później podzielono go na mniejsze części. Co było odwracalne. Babcia stwierdziła, że to urocze miejsce. Do tego historyczne. Wchodzące w skład Crown Estate. Bardzo słodkie.

Odparłem na to, że uwielbiamy z Meg ogrody we Frogmore i często chodziliśmy tam na spacer, więc jeśli dom znajduje się blisko, to czy mogłoby być coś lepszego?

Babcia przestrzegła:

– Na razie przypomina plac budowy. Sama skorupa. Rozejrzyjcie się jednak i dajcie znać, czy wam odpowiada.

Udaliśmy się tam tego samego dnia. Babcia miała rację. Dom przemówił do nas obojga. Czarujący, pełen potencjału. Stoi tuż przy Królewskim Cmentarzu, ale co z tego? Nie był to problem ani dla mnie, ani dla Meg. Nie będziemy przeszkadzali zmarłym, o ile oni nie będą przeszkadzali nam.

Zadzwoiłem do babci i powiedziałem, że Frogmore Cottage będzie spełnieniem marzeń. Serdecznie jej podziękowałem. Za jej zgodą zaczęliśmy się spotykać z budowlancami, planować minimalną renowację, żeby w budynku dało się zamieszkać – instalacja hydrauliczna, system grzewczy.

Uznaliśmy, że na czas remontu moglibyśmy się przenieść do Oxfordshire. To miejsce nas zachwycało. Świeże powietrze, zielone tereny – no i żadnych paparazzi. A co więcej, mogliśmy wykorzystać talent długoletniego kamerdynera mojego ojca, Kevina. Znał Oxfordshire i wiedział, jak sprawić, abyśmy szybko poczuli się tam jak w domu. Ponadto znał mnie, nosił mnie na rękach, kiedy byłem dzieckiem, i przyjaźnił się z mamą, gdy przechadzała się po zamku w Windsorze w poszukiwaniu współczującej twarzy. Powiedział mi, że mama była jedyną osobą z rodziny, która odważyła się zapaść „pod schody”, żeby porozmawiać z personelem. Wręcz często się tam zakradała, by porozmawiać w kuchni z Kevinem przy czymś do picia lub pogryzania albo pooglądać telewizję. W dniu pogrzebu mamy to Kevin witał nas, gdy wróciliśmy do Highgrove. Wspominał, jak stał na schodach, czekając na samochód z nami, i zastanawiał się, co powie. A kiedy samochód się zatrzymał i Kevin otworzył drzwi, spytałem go: „Jak się trzymasz, Kevinie?”.

Stwierdził, że to było takie uprzejme.

A ja pomyślałem, że pełne frustracji.

Meg uwielbiała Kevina, z wzajemnością, więc uznałem, że to może być początek czegoś dobrego. Wielce potrzebna zmiana scenerii i wielce potrzebny nam sprzymierzeniec. I wtedy, pewnego dnia, odebrałem wiadomość od kogoś z naszej ekipy informującą mnie o krzykliwych artykułach w „The Sun” i „Daily Mail” ze szczegółowymi zdjęciami Oxfordshire robionymi z lotu ptaka.

Nad posiadłością wisiał śmigłowiec, paparazzi wychylił się z niego i mierzył z teleobiektywu w każde okno. Zajrzał nawet do naszej sypialni.

I tak się skończyło marzenie o Oxfordshire.

60

Udałem się z biura do domu i zastałem Meg siedzącą na schodach.

Szlochała. Niekontrolowanie.

– Kochanie, co się stało?

Byłem niemal pewien, że straciliśmy dziecko.

Podszedłem do niej na kolanach. Wydusiła z siebie, że nie chce tego robić nigdy więcej.

– Czego?

– Życ.

Nie od razu złapałem znaczenie jej słów. Nie rozumiałem ich, a może nie chciałem zrozumieć. Mój umysł odmawiał przetworzenia ich.

Stwierdziła, że to takie bolesne.

– Ale co?

– Że mnie tak nienawidzą. Za co?

Pytała o to, co takiego zrobiła. Naprawdę chciała wiedzieć. Popełnieniem jakiego grzechu zasłużyła sobie na takie traktowanie?

Pragnęła, żeby ból ustał. Nie tylko w jej przypadku, ale wszystkich. Żebyśmy nie cierpieli – ja, jej mama. No ale nie mogła go powstrzymać, więc postanowiła zniknąć.

– Zniknąć?

Oznajmiła, że gdyby jej nie było, prasa zniknęłaby i nie musiałbym żyć w ten sposób. Nasze nienarodzone dziecko nie musiałyby tak żyć.

– To takie oczywiste – powtarzała. – Takie oczywiste. Przestać oddychać. Przestać istnieć. To istnieje, bo ja istnieję.

Błagałem ją, żeby tak nie mówiła. Obiecałem, że to przetrwamy, że znajdziemy drogę wyjścia. A w międzyczasie znajdziemy dla niej pomoc, jakiej potrzebuje.

Prosiłem ją, żeby była silna, żeby się trzymała.

Niesamowite, że kiedy ją pocieszałem i tuliłem, nie mogłem tak do końca przestać myśleć jak pieprzony royals. Tego wieczoru musieliśmy uczestniczyć w organizowanym na rzecz Sentebale widowisku w Royal Albert Hall i powtarzałem w myślach: nie możemy się spóźnić. Nie możemy się spóźnić. Obedrą nas żywcem ze skóry! I zrzucą winę na nią.

Powoli – zbyt wolno – docierało do mnie, że spóźnienie to nasz najmniejszy problem.

Powiedziałem jej, naturalnie, że powinna zrezygnować z wyjścia. Ja będę musiał się tam na chwilę pokazać, ale szybko wrócę do domu.

Upierała się, że sobie nie ufa i nie zostanie w domu sama z takimi mrocznymi myślami nawet na godzinę.

Włożyliśmy więc nasze najlepsze kreacje, ona pociągnęła usta bardzo, bardzo ciemną szminką, żeby odciągnąć uwagę od przekrwionych oczu. I wyszliśmy z domu.

Samochód zatrzymał się przed Royal Albert Hall. Meg wysiadła na ulicę zalaną migoczącym błękitnym światłem policyjnych kogutów i białymi błyskami lamp fotografów, wzięła mnie za rękę. Ścisnęła ją mocno. A gdy weszliśmy do środka, ścisnęła moją dłoń jeszcze mocniej. Siła tego uścisku podniosła mnie na duchu. Meg się trzymała. To lepsze niż sobie odpuścić.

Ale gdy zajęliśmy miejsce w królewskiej łoży i światła przygasły, dała upust emocjom. Nie potrafiła powstrzymać łez. Łkała cicho.

Zaczęła się muzyka, więc patrzyliśmy przed siebie. Przez cały czas trwania Cirque du Soleil ścisaliśmy się za rękę, a ja obiecywałem jej szeptem:

– Zaufaj mi. Zapewnię ci bezpieczeństwo.

Obudziła mnie wiadomość od Jasona.

„Złe wieści”.

„Co tym razem?”

W „Mail on Sunday” opublikowano prywatny list napisany przez Meg do ojca. Ten, do którego napisania namówili ją babcia i tata.

Luty 2019 roku.

Leżałem w łóżku, z Meg śpiącą u mojego boku.

Odczekałem chwilę, a potem delikatnie przekazałem jej wiadomość.

– Twój ojciec dał list tym z „Mail”.

– Nie.

– Meg, nie wiem, co powiedzieć. On udostępnił im twój list.

To była dla mnie decydująca chwila. W kwestii pana Markle, ale też prasy. Takich chwil było mnóstwo, niemniej to była TA. Nie chciałem słyszeć już nic więcej o protokole, tradycji, strategii. Dość, pomyślałem.

Dość.

Gazeta wiedziała, że publikacja listu jest nielegalna, wiedziała to bardzo dobrze, ale mimo to pokusiła się o to. Dlaczego? Bo wiedziała również, że Meg była bezbronna. Nie miała lojalnego wsparcia mojej rodziny, a w jaki sposób dziennikarze mieliby się tego dowiedzieć, jeśli nie od ludzi bliskich rodzinie? Lub jej członków? Gazety wiedziały, że jedynym rozwiązaniem dla Meg jest je pozwać, a ona nie mogła tego zrobić, bo dla rodziny pracował tylko jeden prawnik kontrolowany przez Pałac, Pałac zaś nigdy nie da zgody na to, by reprezentował Meg.

List nie zawierał niczego, czego można by się wstydzić. Córka błagała ojca, by zachowywał się przyzwoicie. Meg wierzyła w każde napisane przez siebie słowo. I wiedziała, że korespondencja może zostać przechwycona, że ktoś z sąsiadów ojca albo paparazzi koczujący pod jego domem może ukraść pocztę. Wszystko było możliwe. Nigdy jej przez głowę jednak nie przeszło, że jej ojciec mógłby udostępnić list i że gazeta by go przyjęła, a potem opublikowała.

A wcześniej zredagowała. Chyba najbardziej irytujące było to, jak dziennikarze pocięli i przerobili słowa Meg, by ująć im czułości.

Widok czegoś tak dogłębnie osobistego na pierwszych stronach gazet i świadomość, że Brytyjczycy chłoną to łapczywie przy porannych tostach z dżemem, były wystarczająco denerwujące. Ale ból okazał się dziesięciokrotnie większy wskutek opublikowanych równocześnie wywiadów z rzekomymi grafologami, którzy analizowali list Meg i z tego, jak stawiała kreskę nad „T” i jak krągłe były jej „R”, wnioskowali, że jest okropną osobą.

Pismo pochylone w prawo? Nadmierna emocjonalność.

Mocno stylizowane litery? Doskonała aktorka.

Nietrzymanie się linii? Brak kontroli impulsów.

Kiedy informowałem Meg o tych oszczerstwach, na jej twarzy malował się... Znam się na smutku i nie miałem wątpliwości – jej twarz wyrażała czysty smutek. Opłakiwała stratę ojca, jak również własnej niewinności. Przypomniała mi szeptem, jakby ktoś mógł podsłuchiwać, że w liceum brała lekcje kaligrafii i w rezultacie zawsze miała piękny charakter pisma. Ludzie go komplementowali. Na studiach nawet wykorzystywała tę umiejętność, żeby sobie dorobić. Wieczorami i w weekendy wypisywała zaproszenia na śluby i urodziny, aby opłacić czynsz. A teraz próbowano powiedzieć, że to jest okno do jej duszy? I że owo okno jest brudne?

„Nękanie Meghan Markle stało się sportem narodowym, który przynosi nam wstyd”, głosił nagłówek w „Guardianie”.

Szczera prawda. Tyle że nikt się nie wstydził i na tym polegał problem. Nikt nie czuł najsłabszych nawet wyrzutów sumienia. Czy coś by się zmieniło, gdyby doszło do rozwodu? A może potrzebna będzie kolejna śmierć?

Co się stało z całym tym wstydem, który poczuli pod koniec lat dziewięćdziesiątych?

Meg chciała założyć sprawę. Ja też. W zasadzie oboje czuliśmy, że nie mamy wyboru. Jeżeli nie pozwiemy gazety za coś takiego, jaki sygnał wyślemy? Prasie. Światu. Dlatego porozmawialiśmy z prawnikiem z Pałacu.

Spotkaliśmy się z wykrętami.

Skontaktowałem się z tatą i Willym. Obaj pozywali prasę z powodu napaści i kłamstw. Tata z powodu tak zwanych Notatek Czarnego Pajaka, czyli listów do

przedstawicieli rządu. A Willy w związku z publikacją zdjęć Kate topless.

Obaj żarliwie się sprzeciwili idei, abyśmy podejmowali z Meg jakiegokolwiek prawne działania.

Spytałem dlaczego.

Coś tam mruczeli i chrząkali. Udało mi się z ich wydusić tylko tyle, że po prostu nie radzą tego robić. Co się stało... i tak dalej.

– Można by pomyśleć, że chcesz pozwać ich najbliższego przyjaciela – powiedziałem do Meg.

62

Willy poprosił o spotkanie. Chciał porozmawiać o wszystkim, o całej katastrofie. W cztery oczy ze mną.

Tak się złożyło, że Meg wyjechała z miasta na spotkanie z przyjaciółkami, więc pora była idealna. Zaprosiłem go do nas.

Godzinę później wkroczył do Nott Cott, gdzie nie zaglądał, odkąd Meg się wprowadziła. Wyglądał, jakby się gotował.

Był wczesny wieczór. zaproponowałem mu drinka, spytałem o rodzinę.

Wszyscy miewają się dobrze.

Nie zapytał mnie o moją rodzinę. Od razu przeszedł do rzeczy. Wyłożył kawę na ławę.

– Meg jest trudna – oznajmił.

– Doprawdy?

– Jest niegrzeczna. Szorstka. Zraziła do siebie połowę personelu.

Nie po raz pierwszy powtarzał jak papuga narrację prasy. Trudna księżna i takie tam bzdury. Pogłoski, kłamstwa rozpowszechniane przez jego ekipę, brednie z brukowców – znowu mu o tym przypomniałem. I powiedziałem, że spodziewałbym się czegoś lepszego po starszym bracie. Zszokowało mnie, że go to naprawdę wkurzyło. Przyszedł tu z innym oczekiwaniem? Myślał, że zgodzę się z nim i przyznam, że moja żona jest potworem?

Kazałem mu się opanować, złapać oddech i zadać sobie pytanie o to, czy Meg nie jest przypadkiem jego szwagierką. Czy ta pozycja nie byłaby toksyczna dla

każdej nowej osoby? I w najgorszym razie czy skoro jego szwagierce trudno jest się dostosować do nowej pozycji, rodziny, kraju, kultury, nie może jej trochę odpuścić krytyki? Nie mógłby stanąć u jej boku? Pomóc jej?

Nie interesowała go dyskusja. Przyszedł wyłożyć prawo. Chciał, abym przyznał, że Meg jest zła, i zgodził się coś z tym zrobić.

Na przykład co? Miałbym ją złać? Zwolnić? Rozwieść się z nią? Tego nie wiedziałem. Zresztą Willy też nie wiedział, bo nie myślał racjonalnie. Za każdym razem, gdy próbowałem go uspokoić, wykazał brak logiki w jego słowach, mówił coraz głośniej. I po chwili mówiliśmy jeden przez drugiego, krzyczeliśmy do siebie.

Tego wieczoru moim bratem targwały rozmaite gwałtowne emocje, ale jedna wychodziła na pierwszy plan. On zdawał się zraniony. Dotknięty tym, że go potulnie nie posłuchałem, że miałem czelność się z nim nie zgodzić, postawić się mu, wykazać, że wiedza pochodząca od jego zaufanych pomocników jest błędna. On miał gotowy scenariusz, a ja śmiałem za nim nie podążać. Wszedł w pełni w rolę Następcy i nie potrafił pojąć, dlaczego grzecznie nie wcieliłem się w Zastępcę.

Siedziałem na kanapie, a on stał nade mną. Pamiętam, jak mu powiedziałem, że musi mnie wysłuchać.

Nie słuchał. Po prostu nie słuchał.

I jeśli mam być szczery, on tak samo myślał o mnie.

Wyzywał mnie. Obrzucał różnymi obelgami. Twierdził, że nie chcę wziąć na siebie odpowiedzialności za to, co się dzieje. Jak również że nie dbam o swoją pozycję i ludzi, którzy dla mnie pracują.

– Willy, podaj mi jeden przykład...

Nie dał mi dokończyć stwierdzeniem, że próbuje mi pomóc.

– Poważnie? Pomóc mi? Przepraszam, ale ty to tak nazywasz? Pomocą?

Z jakiegoś powodu to go naprawdę rozjuszyło. Podszedł bliżej, przeklinając.

Do tej pory czułem się niepewnie, ale w tym momencie trochę się przestraszyłem. Wstałem, przecisnąłem się obok niego i ruszyłem do kuchni. Szedł za mną, depcząc mi po piętach, wymyślał mi, wrzeszczał.

Stałem przy zlewie, nalałem szklanek wody dla siebie i drugą dla niego. Podałem mu ją. Chyba nawet nie umoczył ust.

– Willy, nie mogę z tobą rozmawiać, gdy jesteś w takim stanie.

Odstawił szklanę, znowu mnie wyzwał i rzucił się na mnie. To się stało tak szybko. Błyskawicznie. Chwycił mnie za kołnierzyk, zerwał mi łańcuszek i rzucił mnie na podłogę. Upadłem na psie miski, które roztrzaskały się pod moimi plecami i mnie poraniły. Leżałem tak przez chwilę oszołomiony, następnie wstałem i kazałem mu się wynosić.

– No dalej! Uderz mnie! Lepiej się poczujesz!

– Co takiego?

– Przecież zawsze się biliśmy. Poczujesz się lepiej, kiedy mnie walniesz.

– Nie. Tylko ty się wtedy lepiej poczujesz. Proszę... wyjdź.

Opuścił kuchnię, ale nie Nott Cott. Słyszałem, że siedzi w salonie. Zostałem na swoim miejscu. Minęły dwie minuty – dwie długie minuty. Wrócił ze skruszoną miną i przeprosił.

Następnie ruszył w stronę drzwi wejściowych. Tym razem za nim poszedłem. Odwrócił się i powiedział:

– Nie musisz mówić o tym Meg.

– O tym, że mnie zaatakowałeś?

– Nie zaatakowałem cię, Haroldzie.

– W porządku. Nie powiem jej.

– Dobrze. Dziękuję.

Wyszedł.

Zerknąłem na telefon. Słowo jest słowem, upomniałem się, więc nie mogłem zadzwonić do żony, chociaż bardzo tego chciałem.

Musiałem jednak z kimś porozmawiać. Wybrałem numer do terapeutki.

Dzięki Bogu odebrała.

Przeprosiłem, że ją niepokoję, i wyjaśniłem, że nie wiedziałem, do kogo mógłbym zadzwonić. Opowiedziałem jej o tym, że Willy się ze mną pokłócił i że mnie powalił na podłogę. Spojrzałem na siebie i dodałem, że mam porwaną koszulę i zerwany łańcuszek.

Biliśmy się w życiu z milion razy. Jako chłopcy w zasadzie wyłącznie się praliśmy. Ale to było według mnie coś innego.

Terapeutka kazała mi oddychać głęboko. Poprosiła, żebym opisał tę scenę kilkakrotnie. Za każdym razem coraz bardziej przypominała zły sen.

I robiłem się spokojniejszy.

Poinformowałem ją, że jestem z siebie dumny.

– Dumny, Harry? Jak to?

– Nie oddałem mu.

Zgodnie z danym słowem nie powiedziałem nic Meg.

No ale krótko po jej powrocie zobaczyła mnie wychodzącego spod prysznic i wydała stłumiony okrzyk.

– Haz, co to za zadrapania i siniaki na twoich plecach?

Nie mogłem jej okłamać.

Nie zaskoczyło jej to i ani trochę nie rozzłościło.

Potwornie ją to zasmuciło.

63

Krótko po tym dniu ogłoszono, że dwa domy królewskie Cambridge'ów i Sussexów nie będą dzieliły biura. Nie będziemy ze sobą współpracowali na żadnym polu. Fantastyczna czwórka... *finis*.

Reakcja była zgodna z oczekiwaniami. Publika jęczała, dziennikarze grzmieli. Bardziej przygnębiająca była reakcja rodziny. Milczenie. Nikt nie skomentował sytuacji publicznie, nikt nie powiedział nic do mnie prywatnie. Nie usłyszałem ani słowa od taty, ani od babci. Kazało mi się to zastanowić, tak naprawdę, nad milczeniem towarzyszącym wszystkiemu innemu, co spotkało mnie i Meg. Zawsze sobie powtarzałem, że brak potępienia ataków prasy ze strony mojej rodziny nie oznacza, że je ona akceptuje. Teraz jednak zapytałem sam siebie, czy to prawda. Skąd to wiem? Skoro nigdy nic nie mówili, dlaczego tak często zakładam, że wiem, co czują?

I że stoją kategorycznie po naszej stronie?

Wszystko, czego mnie nauczono, wszystko, w co nauczyłem się wierzyć w kwestii mojej rodziny, monarchii, jej sprawiedliwości i tego, że ma ona raczej jednoczyć, a nie dzielić, było właśnie podkopywane, podawane w wątpliwość. To

wszystko było fałszem? Czymś wyłącznie na pokaz? Bo przecież jeśli nie potrafiliśmy bronić się nawzajem, wspierać najnowszego członka rodziny, do tego pierwszego więcej niż jednej rasy, to kim w rzeczywistości byliśmy? Prawdziwie konstytucyjną monarchią? Prawdziwą rodziną?

Czy „stawanie we wzajemnej obronie” nie jest podstawową zasadą w każdej rodzinie?

64

Przenieśliśmy z Meg nasze biuro do pałacu Buckingham. Przeprowadziliśmy się również do nowego domu.

Frogmore było gotowe.

To miejsce nas zachwycało. Od pierwszej minuty. Zupełnie jakby było stworzone do tego, by być naszym domem. Nie mogliśmy się doczekać, by rano wstać, wyjść na przechadzkę po ogrodzie, zajrzeć do łabędzi. W szczególności do gderliwego Steve’a.

Spotkaliśmy się z królewskimi ogrodnikami, nauczyliśmy się ich imion i nazw wszystkich kwiatów. Byli zachwyceni tym, jak bardzo docenialiśmy i chwaliliśmy ich kunszt.

Pośród tych wszystkich zmian naradzaliśmy się z nową szefową komunikacji, Sarą. Tworzyliśmy wspólnie nową strategię, której kluczowym elementem było nie mieć nic wspólnego z królewską rotą, i mieliśmy nadzieję na to, że będziemy mogli niebawem zacząć od nowa.

Pod koniec kwietnia 2019 roku, na kilka dni przed wyznaczonym terminem porodu Meg, zadzwonił Willy.

Odebrałem telefon w naszym nowym ogrodzie.

Coś się wydarzyło między nim a tatą i Camillą. Nie rozumiałem wszystkiego, bo mówił tak szybko i był taki zdenerwowany. W zasadzie gotowało się w nim. Wywnioskowałem, że ludzie taty i Camilli wypuścili jakąś historię lub historie na temat jego i Kate oraz dzieciaków i że on nie będzie tego dłużej znosił. Daj im palec, a wezmą całą rękę, stwierdził.

– Zrobili mi coś takiego po raz ostatni.

Rozumiałem go. Zrobili to samo mnie i Meg.

A raczej nie oni, tylko największy gangster z zespołu do spraw komunikacji taty, prawdziwie oddany, który obmyślił i wprowadził w życie nową kampanię mającą na celu poprawienie wizerunku taty i Camilli w prasie kosztem złego pisania o nas. Przez pewien czas ta osoba rozpowszechniała we wszystkich gazetach niepochlebne fałszywe historie na temat Następcy i Zastępcy.

Podjeżdżałem, że to ta osoba była jedynym źródłem opowieści o mojej wyprawie łowieckiej do Niemiec w 2017 roku, opowieści odmalowujących mnie na podobieństwo siedemnastowiecznego barona z tłustym zadkiem głodnego krwi i trofeów, podczas gdy w rzeczywistości współpracowałem z niemieckimi rolnikami przy selektywnym odstrzale dzików i ratowaniu plonów. Według mnie tę historię opublikowano w ramach prostej wymiany za większy dostęp do taty i była nagrodą za wstrzymanie artykułów o synu Camilli, który włóczył się po Londynie, rozpuszczając tandetne plotki. Nie podobało mi się, że wykorzystano mnie w ten sposób, i byłem wściekły, że potraktowano tak Meg, ale musiałem przyznać, że ostatnio spotykało to o wiele częściej Willy'ego. I jego rozsierzenie miało podstawy.

Już raz rozmawiał z tatą o tej kobiecie twarzą w twarz. Towarzyszyłem mu jako moralne wsparcie. Scena rozegrała się w Clarence House, w gabinecie taty. Pamiętam, że okna były szeroko otwarte, białe firany powiewały w nich, więc był to pewnie ciepły wieczór. Willy wyłuszczył sprawę tacie.

– Jak możesz pozwalać, by ktoś obcy traktował tak twoich synów?

Tata natychmiast się zdenerwował. Zaczął wykrzykiwać, że Willy ma paranoję. Że obaj ją mamy. Tylko dlatego, że prasa pisze o nas źle, a o nim dobrze, nie znaczy, że stoją za tym jego ludzie.

Mieliśmy jednak dowód. Dziennikarze, ludzie z newsroomów, zapewniali, że ta kobieta nas sprzedawała.

Tata nie chciał tego słuchać. Jego reakcja była grubiańska, żałosna.

– Babcia ma swojego człowieka, dlaczego ja nie mogę?

Mówiąc o człowieku babci, miał na myśli Angelę. Świadczyła babci wiele usług i podobno miała talent do tworzenia plotek.

Willy stwierdził, że to beznadziejne porównanie. Kto przy zdrowych zmysłach, a w szczególności jaki dorosły mężczyzna, chciałby mieć swoją Angelę?

Ale tata powtarzał tylko, że babcia ma swojego człowieka i nadeszła pora, żeby on miał swojego.

Ucieszyłem się, że Willy zwrócił się do mnie w sprawie taty i Camilli, mimo sytuacji, przez którą ostatnio przeszliśmy. Dostrzegłem w tym okazję do nawiązania do naszych ostatnich napięć i spróbowałem połączyć to, co tata i Camilla zrobili jemu, z tym, jak prasa traktowała Meg.

– Z wami mam inny problem! – warknął.

W jednej chwili przeniósł całą wściekłość na mnie. Nie mogę sobie przypomnieć jego słów, bo miałem już naprawdę dość naszych kłótni, milczenia na temat przeprowadzki do Frogmore i nowego biura; no i skupiałem się na zbliżających się narodzinach naszego pierwszego dziecka. Zapamiętałem jednak każdy fizyczny detal sceny. Wschodzące żonkile, świeżą trawę, samolot startujący niezwykle wolno z Heathrow w kierunku zachodnim i wibracje, w jakie ryk jego silników wprawiał moją klatkę piersiową. Pomyślałem, jakie to niezwykle, że mimo to wciąż słyszę Willy’ego. Nie pojmowałem, jakim cudem miał w sobie jeszcze tyle gniewu po konfrontacji w Nott Cott.

Mówił i mówił, a ja straciłem wątek. Nie potrafiłem go zrozumieć i przestałem się starać. Zamilkłem i czekałem, aż skończy.

Obejrzałem się za siebie. Meg wyszła z domu i szła ku mnie. Szybko wyłączyłem głośnik, ale ona i tak już coś usłyszała. Poza tym Willy mówił tak donośnym głosem, że i bez głośnika było go słychać.

Łzy w jej oczach zaśniły w promieniach wiosennego słońca. Chciałem coś powiedzieć, ale się zatrzymała i pokręciła głową.

Podtrzymując brzuch, zawróciła i udała się do domu.

65

Doria zamieszkała z nami i czekała na narodziny dziecka. Ani ona, ani Meg nie oddalały się od domu. Nikt się nie oddalał. Czekaliśmy, sporadycznie wychodziliśmy na spacer popatrzeć na krowy.

Gdy Meg była tydzień po terminie, zespół do spraw komunikacji i Pałac zaczęli na mnie naciskać. Kiedy dziecko przyjdzie na świat? Prasa nie może wiecznie czekać.

Och. Prasa się frustruje? Boże, uchowaj!

Lekarka Meg wypróbowała kilka homeopatycznych sposobów przyspieszenia akcji, ale nasz mały gość postanowił zostać na swoim miejscu. (Nie pamiętam, czy skorzystaliśmy z sugestii babci, by udać się na przejażdżkę wyboistą drogą). W końcu stwierdziliśmy, że trzeba sprawdzić, czy nic się nie stało. I przygotować się na to, że lekarka może stwierdzić, że to już czas.

Wsiadliśmy do nijakiego busa i wymknęliśmy się z Frogmore, nie informując dziennikarzy koczujących przy bramie. Nie podejrzewali, że moglibyśmy podróżować takim pojazdem. Krótco potem podjechaliśmy pod Portland Hospital, wsiadliśmy do tajnej windy i weszliśmy do prywatnej sali. Przyszedł lekarz, porozmawiał z nami i powiedział, że trzeba wywołać poród.

Meg była taka spokojna. Ja też.

Widziałem jednak dwa sposoby na zwiększenie mojego spokoju. Jeden to kurczak z Nando's (przyniesiony przez naszych ochroniarzy). A drugi: zbiornik z gazem rozweselającym ustawiony przy łóżku Meg. Wystarczyło kilka głębokich wdechów. Meg skakała na olbrzymiej fioletowej piłce, co było sprawdzonym sposobem na danie kopa naturze, śmiała się i wywracała oczami.

Znowu zaciągnąłem się kilka razy i również podskakiwałem.

Gdy skurcze zrobiły się częstsze i silniejsze, przyszła pielęgniarka, żeby zaaplikować Meg jeszcze trochę gazu. Zbiornik był pusty. Pielęgniarka spojrzała na niego, na mnie i zobaczyłem, jak powoli do niej dociera: wielkie nieba, mąż zużył wszystko.

– Przepraszam – wydukałem potulnie.

Meg parsknęła śmiechem, pielęgniarka też musiała się zaśmiać i szybko wymieniła zbiornik.

Meg weszła do basenu, ja włączyłem kojącą muzykę. Deva Premal zrobiła remiks sanskryckich mantr, tworząc z nich wzruszające hymny. (Twierdzi, że pierwszą mantrę usłyszała jeszcze w łonie, gdy nucił ją jej ojciec, a gdy on umierał, ona nuciła tę samą mantrę jemu). Mają moc.

Mieliśmy w torbie te same elektryczne świece, które rozmieściłem w ogrodzie w wieczór oświadczyn. Rozstawiłem je w pomieszczeniu. Postawiłem też na stoliku fotografię mamy. To był pomysł Meg.

Czas płynął. Kolejne godziny zlewały się ze sobą. Minimalne rozwarcie.

Meg oddychała głęboko, żeby złagodzić ból. Techniki oddechowe przestały działać. Ból nasilił się do tego stopnia, że trzeba było podać znieczulenie zewnątrzoponowe.

Przyszedł anestezjolog. Wyłączono muzykę, zapalono światło.

Rety. Klimat się zmienił.

Lekarz zrobił zastrzyk w dolny odcinek kręgosłupa.

Mimo to ból nie odpuszczał. Środek najwyraźniej nie działał tam, gdzie powinien.

Lekarz wrócił i powtórzył procedurę.

Teraz zrobiło się ciszej i wszystko przyspieszyło.

Lekarka Meg wróciła po dwóch godzinach, naciągnęła na dłonie gumowe rękawiczki.

– Działamy.

Zająłem pozycję u wezłowia i trzymając Meg za rękę, dodawałem jej otuchy.

– Przyj, kochanie. Oddychaj.

Lekarka podała Meg małe lusterko. Staralem się nie patrzeć, ale musiałem. Zerknąłem i zobaczyłem odbicie małej główki wyłaniającej się z łona. Utknęła. Opleciona czymś. Lekarka podniosła wzrok, usta miała ułożone w ten szczególny sposób. Robi się poważnie.

– Kochanie, musisz przeć – zwróciłem się do Meg.

Nie powiedziałem jej dlaczego. Nie wspomniałem o pepowinie i ryzyku, że trzeba będzie robić cesarskie cięcie. Powiedziałem tylko:

– Postaraj się dla mnie z całych sił.

I zrobiła to.

Ujrzałem małą buzię, plecki, klatkę piersiową, ramionka. Wiły się i wierciły. Życie, życie – niesamowite! Pomyślałem sobie, że wszystko naprawdę zaczyna się od walki o wolność.

Pielęgniarka wytarła dziecko ręcznikiem i położyła na klatce piersiowej Meg. Rozplakaliśmy się, widząc go, poznając. Nasz zdrowy chłopczyk tu był.

Nasza ajurwedyjska lekarka poradziła nam, że w pierwszej minucie po przyjściu na świat dziecko chłonie wszystko, co się do niego mówi. „Szepczcie do niego, powiedzcie, czego mu życzycie i że je kochacie. Powiedzcie to”.

Tak też zrobiliśmy.

Nie pamiętam, bym do kogoś dzwonił lub pisał. Przyglądałem się, jak pielęgniarki badały moje godzinne dziecko, a potem się stamtąd wynieśliśmy. Weszliśmy do windy, zjechaliśmy na parking, wsiedliśmy do busa i pojechaliśmy. Dwie godziny po narodzinach naszego syna byliśmy z powrotem we Frogmore. Słońce weszło i znaleźliśmy się za zamkniętymi drzwiami, zanim podano do publicznej wiadomości...

...że Meg rodzi?

Wdałem się z tego powodu w sprzeczkę z Sarą. Przecież Meg już nie rodziła.

Sara wyjaśniła mi, że prasa musi otrzymać dramatyczną i pełną napięcia historię, jakiej potrzebuje.

Zaoponowałem, że to nieprawda.

Prawda się nie liczy. Ważne jest, by przyciągnąć uwagę ludzi.

Kilka godzin później stałem przed stajniami w Windsorze i ogłosiłem światu, że to chłopiec. Po kilku dniach podaliśmy imię: Archie.

Gazety były rozsierdzone. Twierdziły, że wystrychnęliśmy je na dudka.

Rzeczywiście.

I uważały, że postępując w ten sposób, okazaliśmy się... złymi partnerami?

Zdumiewające. Prasa nadal uznawała nas za partnerów? Oczekiwała, że będziemy o niej myśleli, traktowali ją preferencyjnie – zważywszy na to, jak traktowała nas przez te trzy lata?

A potem dziennikarze pokazali światu, jakimi „partnerami” byli naprawdę. Prezenter radia BBC opublikował na swoim koncie w mediach społecznościowych zdjęcie przedstawiające mężczyznę i kobietę trzymających za ręce szympansa. Podpis głosił: „Królewskie dziecko opuszcza szpital”.

Spędziłem z babcią sporo czasu przy herbacie, tuż przed jej wyjazdem do Balmoral. Zreferowałem jej najnowsze wieści. Co nieco wiedziała, ale uzupełniałem ważne szczegóły.

Wyglądała na zszokowaną.

Stwierdziła, że to bulwersujące.

Obiecała przysłać Pszczołę, by z nami porozmawiał.

Przez całe życie miałem do czynienia z dworzanami, mnóstwem dworzan, ale teraz byli to głównie trzej biali mężczyźni w średnim wieku, którzy zdołali połączyć siły za sprawą serii śmiałych manewrów godnych Machiavellego. Mieli normalne imiona i nazwiska, bardzo brytyjskie, tyle że lepiej zakwalifikować ich do zwierzęcych kategorii. A byli to: Pszczoła, Mucha i Osa.

Pszczoła miał owalną twarz, był kędzierzawy i zachowywał się z opanowaniem i swobodą, jakby był dobrodziejem dla wszystkich żywych istot. Był tak wyluzowany, że ludzie się go nie bali. A to wielki błąd. Czasami czyjś ostatni.

Mucha większą część kariery poświęcił gównu, które go przyciągało. Bebechy rządu, media, robaczywe wnętrze – uwielbiał to, tuczył się tym, z radością nacierał sobie tym rękę, chociaż udawał, że jest zgoła przeciwnie. Usiłował roztaczać wokół siebie aurę swobody, kogoś nieangażującego się w trudne spory, spokojnie efektywnego, a nawet pomocnego.

Osa był tyczkowaty, uroczy, arogancki i tryskał energią. Doskonale udawał uprzejmość czy wręcz służalczość. Można było wygłosić przy nim fakt, coś z pozoru niezaprzeczalnego – „Wierzę, że słońce wstaje rano” – a on wyjąkałby, że może zechciałbyś się zastanowić nad tym, że źle cię poinformowano. „No bo, hm-hm, nie jestem pewien, Wasza Królewska Wysokość. Wszystko zależy od tego, jak ktoś rozumie ranek, sir”.

Przez to, że wydawał się taki cherlawy, skromny, można było poczuć pokusę, żeby zareagować, upierać się przy swoim, a wtedy wciągał człowieka na swoją listę. I krótko potem, bez ostrzeżenia, dźgał cię swoim wielkim żądłem tak, że aż krzyczałeś ze zdumienia. „A skąd się to wzięło?”

Nie lubiłem tych ludzi i nie uważałem ich za użytecznych. Oni mieli mnie w najlepszym razie za nieistotnego, w najgorszym za głupiego. A nade wszystko wiedzieli, kogo w nich widziałem: uzurpatorów. W głębi duszy obawiałem się, że każdy z nich uważał siebie za Prawdziwego Monarchę i każdy z osobna wykorzystywał królową po dziewięćdziesiątce, radując się swoją wpływową pozycją i tylko udając, że jej służy.

Doszedłem do tego wniosku na podstawie własnych przykrych doświadczeń. Na przykład radziłem się Osy w sprawie prasy. Zgodził się, że sytuacja jest paskudna

i że należy to przerwać, zanim ktoś ucierpi.

– Tak. Nie będziemy się z tym sprzeczać!

Zaproponował, żeby Pałac wezwał wszystkich głównych wydawców i wyłuszczył im naszą sprawę.

Powiedziałem do Meg, że ktoś to wreszcie rozumie.

Tyle że już się do nas nie odezwał.

Dlatego sceptycznie przyjąłem propozycję babci, że przyśle do nas Pszczołę. Nakazałem sobie jednak zachować otwartość umysłu. Może tym razem będzie inaczej, bo babcia kieruje go do nas osobiście.

Kilka dni później przyjęliśmy Pszczołę we Frogmore, ugościliśmy go w naszym nowym salonie, poczęstowaliśmy kieliszkiem różowego wina i dokonaliśmy szczegółowej prezentacji problemu. Sporządzał skrupulatne notatki, często przysuwał dłoń do ust i kręcił głową. Owszem, widział nagłówki, ale nie zdawał sobie sprawy z wpływu, jaki to może mieć na młodą parę.

Stwierdził, że taki zalew nienawiści i kłamstw jest w brytyjskiej historii bezprecedensowy. Nieproporcjonalny do czegokolwiek, co widział.

Podziękowaliśmy mu. Podziękowaliśmy mu za wszystko.

Obiecał przedyskutować kwestię z niezbędnymi stronami i skontaktować się z nami z gotowym planem działania, konkretnymi rozwiązaniami.

I nie odezwał się nigdy więcej.

67

W rozmowie z Eltonem Johnem i jego mężem Davidem wyznaliśmy, że potrzebujemy pomocy.

– Nie ogarniamy tego.

– Przyjedźcie do nas – zaproponował Elton.

Miał na myśli ich dom we Francji.

Lato 2019.

Posłuchaliśmy ich. Przez kilka dni siedzieliśmy na ich tarasie i chłoniliśmy słońce. Spędziliśmy wiele leczniczych godzin na wpatrywaniu się w lazur morza, co odbieraliśmy jak ekstrawagancję, nie tylko ze względu na luksusowe otoczenie.

Wolność w jakiegokolwiek postaci, w każdej ilości, wydawała nam się skandalicznym luksusem. Wyrwanie się z akwarium choćby na jedno popołudnie było jak wyjście z więzienia na przepustkę na cały dzień.

Któregoś popołudnia pojechaliśmy na przejażdżkę skuterami z Davidem, lokalną drogą wzdłuż wybrzeża. Ja kierowałem, Meg siedziała za mną. Wyrzucała ręce w górę i krzyczała z radości, kiedy przejeżdżaliśmy przez miasteczka, czuliśmy zapachy obiadów wydobywające się z otwartych okien, machaliśmy dzieciakom bawiącym się w ogródkach. Wszyscy do nas machali i się uśmiechali. Nie znali nas.

Najlepsze w tej wizycie było przyglądanie się, jak Elton, David i ich dwóch synów zakochują się w Archiem. Często widziałem, jak Elton patrzy na twarz Archiego, i wiedziałem, o kim myśli: o mamie. Wiedziałem, bo i ja nieraz tak myślałem. Zdarzało się, że na widok miny Archiego zamierałem. Prawie wyjawiałem Eltonowi, jak bardzo żałuję, że moja matka nie może wziąć wnuka na ręce, jak często mi się zdarzało, że gdy tuliłem synka, czułem ją – lub pragnąłem czuć. Każde tulenie było zaprawione nostalgią; układanie w łóżeczku – smutkiem.

– Czy coś przywołuje przeszłość silniej niż rodzicielstwo?

Ostatniego wieczoru wszyscy doświadczaliśmy znajomej apatii końca wakacji: dlaczego nie może tak być zawsze? Przenosiliśmy się z tarasu do basenu i z powrotem, Elton proponował koktajle, rozmawiałem z Davidem o wiadomościach. I żalonym stanie prasy. Oraz znaczeniu tego dla stanu Wielkiej Brytanii.

Przeszliśmy do tematu książek. David wspomniał o pamiętniku Eltona, nad którym pracował ciężko od lat. Wreszcie skończył i był z niego ogromnie dumny; nadciągał dzień publikacji.

– Brawo, Eltonie!

Elton wspomniał, że będzie drukowany w odcinkach.

– Tak?

– W „Daily Mail”.

Zobaczył moją minę. Szybko odwrócił wzrok.

– Eltonie, jakim cudem...?

– Chcę, żeby ludzie go przeczytali!

– Przecież ci sami ludzie cię unieszczęśliwili!

– No właśnie. Gdzie lepiej publikować fragmenty? Jeśli nie w gazecie, która zatruwała mi całe życie?

– Gdzie lepiej? Nie... nie rozumiem.

Wieczór był ciepły, więc już się pocilem, ale teraz kropelki potu spływały mi po czole. Przypomniałem mu kilka sławetnych kłamstw opublikowanych przez „Mail”. Cholera, on ich pozwał zaledwie dekadę wcześniej, po tym jak stwierdzili, że zabronił ludziom z eventu charytatywnego rozmawiać z nim. W końcu wystawili dla niego czek na sto tysięcy funtów.

Przypomniałem mu też, jak w jednym z wywiadów wygłosił wzruszające stwierdzenie: „Mogą mnie nazywać grubą starą ci... Mogą mówić, że jestem beztalenciem. Mogą mnie nazywać pedziem. Ale nie wolno im kłamać na mój temat”.

Nie znajdował odpowiedzi.

Nie naciskałem na niego.

Uwielbiałem go. I zawsze będę uwielbiał.

No i nie chciałem psuć wakacji.

68

Cudownie było patrzeć, jak w mojej żonie zakochuje się cały kraj. Republika Południowej Afryki.

Wrzesień 2019 roku.

Kolejna podróż zagraniczna reprezentująca królową i kolejny triumf. Od Kapsztadu po Johannesburg ludzie nie mogli się nasycić Meg.

Oboje czuliśmy się nieco pewniej i dlatego byliśmy odważniejsi na kilka dni przed powrotem do domu, gdy wciągaliśmy na nowo zbroję i ogłosiliśmy, że wytaczamy sprawę trzem brytyjskim tabloidom (w tym temu, który wydrukował list Meg do ojca) z powodu skandalicznego postępowania i długoletniej praktyki włamywania się ludziom do telefonów.

Po części stało się tak za sprawą Eltona i Davida. Pod koniec naszej wizyty u nich przedstawili nas adwokatowi, ich znajomemu, uroczemu człowiekowi, który wiedział o hakowaniu telefonów więcej niż ktokolwiek ze znanych mi ludzi.

Podzielił się ze mną tą wiedzą i zapoznał mnie z mnóstwem jawnych dowodów sądowych, a kiedy mu powiedziałem, że chciałbym coś zrobić w tej sprawie, gdy wyraziłem ubolewanie w związku z tym, że Pałac blokował nas na każdym kroku, zaproponował eleganckie i zapierające dech w piersiach obejście tego problemu.

– Dlaczego nie wynajmiecie własnego prawnika?

– To znaczy... twierdzisz, że moglibyśmy...? – wydukałem.

Co za myśl! Nigdy nie przyszła mi do głowy.

Zostałem tak mocno uwarunkowany do postępowania zgodnie z tym, co mi się każe.

69

Zadzwoiłem do babci, żeby ją uprzedzić. Tatę również. Do Willy'ego wysłałem esemesa.

Poinformowałem też Pszczolę i wysłałem mu zawiadomienie o złożeniu pozwu, aby wiedział, że mamy już gotowe oświadczenie, i poprosiłem, by kierował do naszego biura wszelkie pytania, które niewątpliwie się pojawią. Życzył nam powodzenia. Dlatego bardzo mnie rozbawiło, kiedy usłyszałem, że on i Osa twierdzą, jakoby nie zostali wcześniej poinformowani.

Ogłaszając złożenie pozwu, wyłuszczyłem światu swoją sprawę:

Moja żona została jedną z najświeższych ofiar brytyjskiej prasy brukowej prowadzącej kampanie przeciwko jednostkom, bez względu na konsekwencje – w tym przypadku kampania eskalowała na przestrzeni roku, w okresie ciąży i opieki nad noworodkiem. [...] Nie potrafię nawet wyrazić, jakie to było bolesne. [...] Chociaż to działanie może nie być bezpieczne, jest właściwe. Najbardziej bowiem boję się, że historia się powtórzy. [...] Straciłem matkę, a teraz widzę, że moja żona padła ofiarą tej samej potężnej siły.

O pozwie nie rozpisywano się tak jak, powiedzmy, o tym, że Meg ośmieliła się samodzielnie zamknąć drzwi. W zasadzie ledwie o nim wspomniano. Niemniej przyjaciele się zorientowali. I wielu przysłało pytanie: dlaczego teraz?

To proste. Kilka dni później prawo o ochronie danych osobowych w Wielkiej Brytanii miało się zmienić na korzyść tabloidów. Zależało nam na tym, by o naszej sprawie usłyszano, zanim do gry zostanie wprowadzony haczyk.

Przyjaciele pytali również o to, dlaczego zdecydowaliśmy się na pozew, skoro mamy takie wysokie notowania w prasie. Wizyta w Republice Południowej Afryki była sukcesem, publikowano same pozytywy.

Tłumaczyłem, że o to właśnie chodzi. Nie chcemy ani nie potrzebujemy dobrej opinii. Zależy nam na tym, by nadużycia nie uchodziły ludziom płazem. I kłamstwa. A w szczególności oszczerstwa, które mogą zniszczyć niewinnych.

Może wydawałem się nieco zadufany w sobie. Jakbym czuł się lepszy. Ale krótko po ogłoszeniu naszego pozwu doświadczyłem przypływu energii w związku z paskudnym artykułem z „Expressu”:

„Jak kwiaty od Meghan Markle mogły zagrozić życiu księżniczki Charlotte”.

Najnowszy „skandal” dotyczył wianków naszych druhien, czyli czegoś sprzed ponad roku. W wiankach znalazło się kilka konwalii majowych, które mogą okazać się trujące dla dzieci. Pod warunkiem że dzieci je zjedzą.

A i wtedy powoduje to raczej dyskomfort, który może zmartwić rodziców, lecz tylko w najrzadszych przypadkach konsekwencje mogą być zabójcze.

Nieważne, że wianki robiła oficjalna florystka. Nieważne, że to nie Meg podjęła „groźną decyzję”. Nieważne, że wcześniejsze królewskie panny młode, także Kate i moja matka, miały wianki z konwaliami.

Nic nie było ważne. Historia Meghan Zabójczyni to zbyt dobra gratka.

Dołączone do tekstu zdjęcie przedstawiało moją biedną bratanicę w wianku z twarzą wykrzywioną w paroksyzmie bólu lub kichającą. Obok zamieszczono fotografię Meg absolutnie nieprzejmującej się nieuchronną śmiercią anielskiego dziecka.

Wezwano mnie do pałacu Buckingham. Na lunch z babcią i tatą. Zaproszenie miało postać lakonicznego mejla od Pszczoły, bynajmniej nie w tonie: „Miałbyś ochotę wpaść?”, tylko: „Zbieraj się i tu przyjeżdżaj”.

Wskoczyłem w garnitur i wsiadłem do samochodu.

Pierwszymi ludźmi, których zobaczyłem po wejściu do pokoju, byli Pszczoła i Osa. Zasadzka. Myślałem, że to miał być rodzinny lunch. Najwyraźniej nie.

Sam, bez moich ludzi, bez Meg, zostałem odpytany na okoliczność moich prawnych działań. Ojciec oznajmił, że to wielce szkodliwe dla reputacji rodziny.

– Jak to?

– To komplikuje nasze relacje z mediami.

– Komplikuje. Dobre słowo.

– Każde twoje działanie wpływa na całą rodzinę.

– To samo można powiedzieć o waszych działaniach i decyzjach. Wpływają na nas. Na przykład to, że się spotykacie przy stole z tymi samymi wydawcami i dziennikarzami, którzy atakują mnie i moją żonę...

Pszczoła i Osa postanowili mi przypomnieć, że:

– Trzeba sobie układać relacje z prasą... Sir, rozmawialiśmy już o tym!

– Relacje, tak. Ale nie plugawy romans. Każdy w tej rodzinie pozywał już prasę, babcia także. – Wypróbowałem nową taktykę. – Dlaczego ta sytuacja jest inna?

Cykanie świerszczy. Milczenie.

Jeszcze chwila przepychanek. I wtedy powiedziałem:

– Nie mieliśmy innego wyjścia. I nie musielibyśmy tego robić, gdybyście wszyscy nas chronili. A przy okazji monarchię. Nie chroniąc mojej żony, szkodzicie także sobie.

Przyjrzałem się zebranym przy stole. Kamienne twarze. Brak zrozumienia? Dysonans poznawczy? Myśl o długoterminowej misji? A może... naprawdę nie wiedzieli? Siedzieli tak bardzo w otoczonej bańką bańce, że nie pojmowali, w jakim stopniu się to rozwinęło?

Na przykład czasopismo „Tatler” zacytowało starego absolwenta Eton, który stwierdził, że wziąłem Meg za żonę, bo „cudzoziemki” takie jak ona są „łatwiejsze” od dziewcząt „o właściwym pochodzeniu”.

W „Daily Mail” nazwano przypadek Meg przykładem „mobilności społecznej w górę”, ponieważ ukazuje przejście „od niewolników do królów” w zaledwie sto pięćdziesiąt lat.

We wpisach na portalach społecznościowych co rusz zwano ją „kobietą do towarzystwa” albo „łowczynią posagów”, „dziwką”, „suką” i „zdzirą”, a także „Murzynką”. Niektóre z tych wpisów znajdowały się w komentarzach na trzech kontach Pałacu, a mimo to nie zostały usunięte.

Na Twitterze ktoś napisał: „Droga księżno, nie twierdzę, że cię nienawidzę, ale mam nadzieję, że następnego okresu dostaniesz w basenie z rekinami”.

Weźmy też na przykład rewelacje rasistowskiej Jo Marney, dziewczyny lidera Partii Niepodległości Zjednoczonego Królestwa Henry’ego Boltona, między innymi stwierdzenie, że moja „czarna amerykańska” narzeczona „zbruka” rodzinę królewską i przygotowuje podwaliny dla „czarnego króla”; panna Marney oświadczyła również, że nigdy nie uprawiała seksu z „czarnuchem”. „To jest Wielka Brytania, nie Afryka”.

Ktoś z „Mail” narzekał też, że Meg nie potrafiła trzymać rąk z dala od swojego ciężowego brzucha i gładziła go, i gładziła, jakby była demonem sukubem.

Sytuacja wymknęła się spod kontroli do tego stopnia, że siedemdziesiąt dwie kobiety zasiadające w parlamencie, reprezentantki obu partii, potępiły „kolonialne podteksty” w sposobie pisania przez gazety o księżnej Sussex.

Nic z tego nie spotkało się z komentarzem, publicznym lub prywatnym, ze strony mojej rodziny.

Wiedziałem, jak to sobie racjonalizowali, twierdząc, że to się nie różni od tego, co spotkało Camillę. Albo Kate. Tyle że się różniło. W pewnym badaniu przyjrano się uważnie czterystu podłym wpisom na temat Meg. Dzięki zatrudnieniu specjalistów od danych i analityków komputerowych wykazano, że taka lawina hejtu była wysoce nietypowa i lata świetlne dzieliły ją od tego, jak traktowano Camillę lub Kate. Wpis określający Meg mianem „królowej wyspy małp” nie miał historycznego precedensu lub odpowiednika.

I nie chodziło tu o zranione uczucia lub pokiereszowane ego. Nienawiść daje fizyczne efekty. Cała masa naukowych dowodów pokazuje, jak niezdrowe jest bycie obiektem publicznej nienawiści i drwin. A szersze skutki społeczne przerażały jeszcze bardziej. Pewien rodzaj ludzi jest bardziej podatny na taką nienawiść i podlegany przez nią. Przykładem była paczka z podejrzanym białym proszkiem przysłana do naszego biura wraz z ohydny rasistowskim liścikiem.

Spojrzałem na babcię, powiodłem wzrokiem po pozostałych i przypomniałem im, że Meg i ja borykamy się z zupełnie wyjątkową sytuacją i robimy to sami. Oddany nam personel jest za mały, za młody i ogromnie niedofinansowany.

Pszczola i Osa chrząknęli i oznajmili, że powinniśmy byli dać znać, że brakuje nam środków.

– Dać znać?

Przypomniałem, że błagałem ich raz po raz, wszystkich, i że jedna z naszych głównych pracownic też im słała prośby – wielokrotnie.

Babcia spojrzała na Pszczolę i Osę.

– To prawda?

Pszczola popatrzył jej prosto w oczy i przy energicznym potakującym kiwaniu głową przez Osę oznajmił:

– Wasza Królewska Mość, nigdy nie otrzymaliśmy tych próśb o wsparcie.

71

Uczestniczyliśmy z Meg w WellChild Awards, dorocznym evencie na rzecz dzieci z poważnymi schorzeniami. Październik 2019 roku.

Brałem udział w tym wydarzeniu od lat, bo byłem królewskim patronem organizacji od 2007 roku. Zawsze mnie ono wykańczało. Te dzieci były takie dzielne, ich rodzice tacy dumni – i udręczeni. Tego wieczoru przyznano różne nagrody za inspirację, hart ducha, a ja wręczałem jedną wyjątkowo wytrwałemu przedszkolakowi.

Wszedłem na scenę, zacząłem wygłaszać krótką mowę i spojrzałem na twarz Meg. Cofnąłem się myślami o rok, do czasu, gdy uczestniczyliśmy w gali kilka tygodni po zrobieniu domowego testu ciążowego. Byliśmy wtedy pełni nadziei i obaw, jak wszyscy przyszli rodzice, a teraz w domu czekał na nas zdrowy synek. Tym rodzicom i dzieciom aż tak się nie poszczęściło. W moim sercu wezbrały wdzięczność i współczucie, i się zaciąłem. Nie mogąc wydusić z siebie słowa, ścisnąłem pulpit mównicy i pochyliłem się do przodu. Prezenter, przyjaciel mamy, podszedł do mnie i poklepał mnie po ramieniu. Pomogło, podobnie jak gromki aplauz, który dał mi chwilę na odzyskanie władzy nad strunami głosowymi. Krótco

potem dostałem esemesa od Willy'ego. Składał wizytę w Pakistanie. Napisał, że widać wyraźnie, że jest mi ciężko, i że się o mnie martwi.

Podziękowałem mu za troskę i zapewniłem, że nic mi nie jest. Wzruszyłem się na sali pełnej chorych dzieciaków i ich rodziców, a przecież sam zostałem dopiero co ojcem – nie ma w tym nic niezwykłego.

Odpisał, że to niedobrze. I powtórzył, że potrzebuję pomocy.

Przypomniałem mu, że chodzę na terapię. I że nawet ostatnio chciał uczestniczyć w sesji, ponieważ podejrzewał, że jestem poddawany „praniu mózgu”.

– Chodź ze mną – powiedziałem mu wtedy. – Dobrze ci to zrobi. Nam obu.

Nie przyszedł.

Jego strategia była jasna: ja źle się czułem, co znaczyło, że byłem nierozsądny. Jakby całe moje zachowanie należało podawać w wątpliwość.

Bardzo się starałem utrzymać kulturalny ton esemesów do niego. Mimo to wymiana przekształciła się w sprzeczkę, która się ciągnęła przez siedemdziesiąt dwie godziny. Odbijaliśmy piłeczkę przez cały dzień i późno w nocy – jeszcze nigdy nie kłóciliśmy się tak za pośrednictwem esemesów. Żli i oddaleni od siebie o tysiące kilometrów zachowywaliśmy się, jakbyśmy posługiwali się różnymi językami. I wtedy dotarło do mnie, że ziściły się moje największe obawy: po miesiącach terapii, po ciężkiej pracy nad tym, by stać się bardziej świadomym i niezależnym, stałem się dla brata kimś obcym. Nie potrafił już się do mnie odnosić – ani tolerować mnie.

A może ujście znalazł stres ostatnich kilku lat, kilku dekad.

Zachowałem te wiadomości. Nadal je mam. Czytam je niekiedy ze smutkiem, konsternacją, myśląc: jak mogliśmy dojść do czegoś takiego?

W ostatnich esemesach Willy napisał, że mnie kocha. Że głęboko się o mnie troszczy. I że robi wszystko, co trzeba, żeby mi pomóc.

Napisał, żebym nigdy nie myślał inaczej.

Dyskutowaliśmy z Meg o wyjeździe, ale tym razem nie rozmawialiśmy o dniu w Wimbledonie czy weekendzie z Eltonem.

Omawialiśmy temat ucieczki.

Przyjaciel znał kogoś, kto miał dom do wynajęcia na wyspie Vancouver. Cisza, zieleń – pozornie miejsce odludne. Można tam dotrzeć wyłącznie promem lub samolotem, jak twierdził przyjaciel.

Listopad 2019 roku.

Dotarliśmy na miejsce z Archiem, Guyem, Pulą i naszą nianią pod osłoną burzowej nocy i przez kolejne dni próbowaliśmy się odprężyć, co nie było trudne. Od rana do nocy nie musieliśmy myśleć o żadnych zasadzkach. Dom stał na skraju lśniącego zielonego lasu, Archie i psy mogli się bawić w dużym ogrodzie, a teren otaczało czyste zimne morze. Mogłem brać w nim rano orzeźwiającą kąpiel. Najlepsze zaś było to, że nikt nie wiedział o naszym pobycie tutaj. Chodziliśmy na wędrówki, pływaliśmy w kajakach, graliśmy – w spokoju.

Po kilku dniach musieliśmy zrobić zakupy. Wybraliśmy się na nie nieśmiało, pojechaliśmy do najbliższej wioski i wędrowaliśmy po chodnikach jak ludzie z horroru. Skąd pojawi się atak? Z której strony?

Nic się nie wydarzyło. Przechodnie nie dostawali szmergła. Nie gapili się na nas. Nie sięgali po iPhone'y. Wszyscy wiedzieli lub wyczuwali, że jest nam ciężko. Dawali nam przestrzeń, a równocześnie pozwalali poczuć się mile widzianymi – ktoś się życzliwie uśmiechnął, ktoś inny pomachał. Czuliśmy się częścią wspólnoty. Zwyczajnymi ludźmi.

Przez sześć tygodni.

Wtedy „Daily Mail” podał nasz adres.

Łodzie przypląnęły po kilku godzinach. To była inwazja. Z każdej łodzi sterczały teleobiektywy wymierzone niczym lufy karabinowe w nasze okna. W naszego synka.

To by było na tyle w temacie zabaw w ogrodzie.

Złapaliśmy Archiego i zabraliśmy go do domu.

Fotografowali go przez kuchenne okno w czasie posiłków.

Zasłoniliśmy okna.

Gdy znowu jechaliśmy do wioski, wzdłuż drogi stało czterdzieścioro paparazzich. Czterdzieścioro. Policzyliśmy. Niektórzy nas gonili. W naszym ulubionym sklepie spożywczym w oknie zawieszono żalostną tabliczkę: „Zakaz wstępu mediom”.

Popędziliśmy z powrotem do domu i zasłoniliśmy okna jeszcze szczelniej. Wróciliśmy do życia w półmroku.

Meg stwierdziła, że oto oficjalnie zatoczyła pełne koło. Wróciła do Kanady i boi się podnieść rolety.

Rolety nie wystarczyły. Kamery monitoringu dość szybko wychwyciły chudego jak szkielet mężczyznę, który przechadzał się w tę i z powrotem, szukając możliwości wtargnięcia na posesję. Robił zdjęcia przez ogrodzenie. Miał na sobie brudną puchową kamizelkę, brudne spodnie marszczące się nad znoszonymi butami i wyglądał, jakby nie cofał się przed niczym. Przed niczym. Nazywał się Steve Dennett. Był freelancerem, który już kiedyś nas szpiegował na zlecenie „Splash!”.

Był utrapieniem. A kolejny gość może być kimś gorszym.

Uznaliśmy, że nie możemy tam zostać.

Chociaż...

Posmak wolności, mimo że tak krótki, zmusił nas do myślenia. A co, jeśli życie mogłoby tak wyglądać... zawsze? Gdybyśmy mogli przynajmniej jakąś część roku spędzać gdzieś daleko, wciąż pracując dla królowej, ale poza zasięgiem dziennikarzy?

Wolni. Wolni od brytyjskiej prasy, dramatu, kłamstw. I wolni od rzekomego „interesu publicznego”, który wykorzystywano dla usprawiedliwienia gorączkowego zainteresowania nami.

Zastanawialiśmy się... gdzie. Rozmawialiśmy o Nowej Zelandii. O Republice Południowej Afryki. Może tak pół roku w Kapsztadzie? To by się mogło sprawdzić. Daleko od dramatu, ale bliżej mojej pracy na rzecz ochrony środowiska – i do osiemnastu innych krajów wchodzących w skład Wspólnoty Narodów.

Swego czasu przedstawiłem nawet taki pomysł babci. A ona go zaaprobowała. Opowiedziałem o nim tacie w Clarence House w obecności Osy. Kazał mi go spisać, co natychmiast zrobiłem. Po kilku dniach tekst opublikowano we wszystkich gazetach, co wywołało wielki smród. Dlatego teraz, pod koniec grudnia 2019 roku, w czasie rozmowy telefonicznej z tatą, gdy oznajmiłem, że bardzo poważnie myślimy o spędzaniu części roku poza Wielką Brytanią, nie chciałem nawet słuchać tego, że mam o tym napisać.

– Cóż, już kiedyś to zrobiłem, tato. Tekst natychmiast wyciekł i twój plan spalił na panewce.

– Kochany chłopcze, nie pomogę ci, jeśli tego nie opiszesz. Coś takiego musi zaaprobować rząd.

Na miłość...

A więc. W pierwsze dni stycznia 2020 roku wysłałem ojcu list, na papierze ze znakiem wodnym, w którym zaprezentowałem pomysł w postaci punktów i z wieloma szczegółami. W dalszej korespondencji opatrzonej pieczęcią „TREŚĆ PRYWATNA I POUFNA” wyłuszczyłem główny temat: byliśmy gotowi ponieść niezbędne poświęcenie, by znaleźć trochę spokoju i bezpieczeństwa, uwzględniając nawet rezygnację z tytułów.

Zadzwoiłem, by poznać jego przemyślenia.

Nie podszedł do telefonu.

Krótko potem otrzymałem od niego długiego mejla, w którym poinformował mnie, że będziemy musieli się spotkać i przedyskutować wszystko osobiście. Chciałby, abyśmy przyjechali jak najszybciej.

„Masz szczęście, tato! Wracamy do Wielkiej Brytanii za kilka dni, żeby się spotkać z babcią. Więc... kiedy się możemy zobaczyć?”

„Na pewno nie przed końcem stycznia”.

„Słucham? Przecież to ponad miesiąc”.

„Przebywam w Szkocji. Wcześniej nie zdołałem przyjechać”.

„Naprawdę mam nadzieję i ufam, że będziemy mogli prowadzić dalsze rozmowy na ten temat w prywatności i nie przekształci się to w cyrk”, napisałem.

W odpowiedzi uraczył mnie złowrogą groźbą: „Wykażesz się brakiem posłuchu dla monarchini i mnie, jeśli postanowisz dalej działać w tym kierunku, zanim będziemy mieli okazję porozmawiać”.

Zadzwoiłem do babci 3 stycznia.

Powiedziałem, że wracamy do Wielkiej Brytanii. I że chcielibyśmy się z nią zobaczyć.

Bez ogródek wyjawilem, że mam nadzieję przedyskutować nasz plan opracowania innego systemu pracy.

Nie była zadowolona. Ani zszokowana. Wiedziała, jacy byliśmy nieszczęśliwi, i wypatrywała tego dnia na horyzoncie.

Czułem, że jedna porządna rozmowa z babcią położy kres tej gehennie.

– Masz wolny termin, babciu? – spytałem.

– Oczywiście. Mam wolny cały tydzień. W kalendarzu nie mam żadnych notatek.

– To świetnie. Możemy przyjechać z Meg na herbatę, a potem pojedziemy do Londynu. Następnego dnia jesteście umówieni w Canada House.

– Będziecie zmęczeni po podróży. Chcecie się tutaj zatrzymać?

Mówiąc „tutaj”, miała na myśli Sandringham. Owszem, to by nam ułatwiło sprawę, o czym jej powiedziałem.

– Byłoby cudownie, dziękuję.

– Zamierzacie spotkać się także z ojcem?

– Pytałem go o to, ale powiedział, że to niemożliwe. Jest w Szkocji i nie może stamtąd wyjechać przed końcem stycznia.

Wydała z siebie cichy dźwięk. Jakby westchnęła albo chrząknęła porozumiewawczo. Musiałem się zaśmiać.

– Mogę to skomentować tylko w jeden sposób – stwierdziła.

– Tak?

– Twój ojciec zawsze robi to, co chce.

Parę dni później, 5 stycznia, gdy wsiedliśmy z Meg do samolotu w Vancouver, odebrałem gorączkową wiadomość od naszego pracownika, który otrzymał gorączkową wiadomość od Pszczoły. Babcia nie będzie się mogła ze mną zobaczyć. „Jej Królewska Mość sądziła początkowo, że to będzie możliwe, ale niestety... Księżę Sussex nie może przyjechać jutro do Norfolk. Jej Królewska Mość zdoła umówić się na spotkanie innego dnia w tym miesiącu. Do tego czasu nie należy wydawać żadnych oświadczeń na żaden temat”.

– Nie pozwalają mi się zobaczyć z własną babką – rzuciłem do Meg.

Po wylądowaniu rozważałem wybranie się od razu do Sandringham. Do diabła z Pszczołą. Kim był, żeby próbować mnie blokować? Wyobraziłem sobie, jak

policja pałacowa zatrzymuje nasz samochód przed bramą. I jak przejeżdżam mimo to, a brama rozpada się, staranowana przez maskę auta. Fajnie tak pofantazjować w drodze z lotniska, ale nie. Musiałem uzbroić się w cierpliwość.

Po dotarciu do Frogmore zadzwoniłem do babci ponownie. Wyobraziłem sobie aparat dzwoniący na jej biurku. Słyszałem w głowie to „drrrryń”, a przed oczami stanął mi czerwony telefon w namiocie wojskowym w czasie najwyższej gotowości bojowej. „Wymiana ognia!”

Usłyszałem jej głos.

– Halo?

– Cześć, babciu, mówi Harry. Przepraszam, ale chyba źle zrozumiałem, kiedy mówiłaś, że nie masz dzisiaj nic do zrobienia.

– Wypadło mi coś, o czym nie miałam pojęcia.

Miała dziwny głos.

– A mógłbym wpaść jutro, babciu?

– Cóż, jestem zajęta przez cały tydzień.

A przynajmniej, jak dodała, tak powiedział jej Pszczoła...

– Czy on jest teraz z tobą, babciu?

Brak odpowiedzi.

74

Sara poinformowała nas, że „The Sun” zamierza opublikować artykuł o tym, że książę i księżna Sussex rezygnują z wypełniania obowiązków królewskich, by spędzać więcej czasu w Kanadzie. Głównym dziennikarzem prowadzącym tę historię był podobno smutny człowieczek, redaktor działu show-biznesu.

Dlaczego on? Dlaczego spośród wszystkich możliwości wybrano właśnie gościa od show-biznesu?

Dlatego że ostatnio przekwalifikował się na quasi-królewskiego korespondenta, głównie za sprawą potajmnego związku ze szczególnie bliską przyjaciółką sekretarki działu komunikacji w biurze Willy’ego, która podsuwała mu trywialne (i najczęściej fałszywe) plotki.

Musiał wszystko spaprać, jak to się stało przy okazji jego poprzedniej rewelacji „na wyłączność”, czyli afery z tiarą. I równie pewne było to, że opublikuje artykuł jak najszybciej, bo prawdopodobnie działał w porozumieniu z Pałacem, a dworzanie pragnęli nas wyprzedzić i ujawnić sprawę.

My tego nie chcieliśmy. Nie chcieliśmy, żeby ktokolwiek ogłaszał nasze wiadomości, wypaczając ich sens.

Musieliśmy czym prędzej wydać oświadczenie.

Zadzwoiłem do babci ponownie, powiedziałem jej o „The Sun” i że niewykluczone, że musimy się pospieszyć z oświadczeniem. Zrozumiała nas. I wydała zgodę, pod warunkiem że „nie rozbudzimy spekulacji”.

Nie powiedziałem, jak dokładnie będzie brzmiało oświadczenie. Nie spytała. A ponadto sam jeszcze nie znałem jego pełnego kształtu. Przedstawiłem istotę rzeczy i podałem niektóre z podstawowych szczegółów opisanych w notatce do taty, której zażądał i którą babcia widziała.

Oświadczenie wymagało precyzyjnego doboru słów. Musiało też być neutralne i wyważone. Nie chcieliśmy przypisywać nikomu winy, rozniecać ognia. Nie wolno nam podsycać spekulacji.

Potworne zadanie.

I szybko sobie uzmysłowiliśmy, że niemożliwe do wykonania; nie mieliśmy czasu, by ogłosić je jako pierwsi.

Otworzyliśmy butelkę wina. Działaj, smutny człowieczku, działaj.

I zrobił to. „The Sun” opublikowało artykuł późnym wieczorem i ponownie rano na pierwszej stronie.

Tytuł głosił: „SPADAMY!”.

Zgodnie z oczekiwaniem artykuł prezentował nasze odejście jako wesołe, beztrioskie, hedonistyczne wymiksowanie się, a nie przemyślane wycofanie się i próbę ratowania siebie. Znalazła się w nim również wymowna wzmianka o tym, że zaproponowaliśmy rezygnację z tytułów książąt Sussex. A na całym świecie istniał tylko jeden dokument, w którym o tym wspomnieliśmy – prywatny i poufny list do mojego ojca.

Do tej korespondencji miała dostęp szokująco cholernie mała liczba osób. Nie powiedzieliśmy nic nawet najbliższym przyjaciołom.

7 stycznia popracowaliśmy jeszcze trochę nad tekstem, zorganizowaliśmy krótkie publiczne wystąpienie, spotkaliśmy się z pracownikami biura. I wreszcie, świadomi tego, że wypłynie więcej szczegółów, 8 stycznia zainstalowaliśmy się w głębi pałacu Buckingham, w jednym z głównych pokoi państwowych, z dwójką najstarszych członków naszej ekipy.

Zawsze lubiłem ten pokój państwowy. Białe ściany, błyszczący kryształowy żyrandol. Tym razem spodobał mi się wyjątkowo i zastanowiłem się, czy zawsze tak wyglądał. Zawsze prezentował się tak... królewsko?

W rogu pomieszczenia stało masywne drewniane biurko. Tam urządziliśmy sobie przestrzeń do pracy. Na zmianę siadaliśmy przy biurku i stukaliśmy w klawiaturę laptopa. Zamierzaliśmy powiedzieć, że chcemy ograniczyć swoje role, wycofać się, ale nie zrezygnować. Trudno znaleźć właściwe słowa i ton. Poważny, lecz pełen szacunku.

Od czasu do czasu któreś z nas wyciągało się na pobliskim fotelu albo dawało odpocząć oczom i wyglądało przez jedno z dwóch wielkich okien z widokiem na ogród. Gdy potrzebowałem dłuższej przerwy, wybierałem się na przechadzkę po oceanicznym dywanie. W głębi pokoju, w jego lewym rogu, znajdowały się małe drzwi prowadzące do Apartamentu Belgijskiego, gdzie swego czasu spędziliśmy z Meg noc. Bliżej nas znajdowało się dwoje wysokich drzwi, takich, jakie ludzie sobie wyobrażają, gdy słyszą słowo „pałac”. Te wiodły do pokoju, w którym uczestniczyłem w niezliczonych przyjęciach koktajlowych. Wróciłem myślami do tych spotkań, do wszystkich moich miłych chwil w tym pałacu.

Przypomniałem sobie, że w sąsiednim pokoju rodzina zawsze się zbierała na drinka przed bożonarodzeniowym obiadem.

Wyszedłem do holu. Stała tam strzelista piękna choinka, nadal jasno oświetlona. Zatrzymałem się przed nią i wspominałem. Zdjąłem dwie ozdoby, miękkie pieski corgi, i zaniósłem je pracownikom. Po jednym dla każdego. Powiedziałem, że to pamiątka z tej dziwnej misji.

Wzruszyło ich to. Ale też obudziło poczucie winy.

– Nikt nie będzie za nimi tęsknił – zapewniłem ich.

Te słowa zdawały się mieć podwójny wydźwięk.

W dalszej części dnia, gdy mozolnie zbliżaliśmy się do końcowego kształtu tekstu, pracownicy zaczęli się niepokoić. Martwili się na głos, co się stanie, jeśli

ich zaangażowanie zostanie odkryte. Jak to wpłynie na ich pracę? Lecz przede wszystkim byli podekscytowani. Czuli, że są po dobrej stronie; oboje czytali napastliwe słowa w prasie i na portalach społecznościowych, pojawiające się tam od miesięcy.

Skończyliśmy o osiemnastej. Stanęliśmy przy laptopie i po raz ostatni przeczytaliśmy oświadczenie. Jeden z pracowników wysłał wiadomości do prywatnych sekretarzy babci, taty i Willy'ego, z informacją, co się wydarzy. Człowiek Willy'ego odpowiedział natychmiast: „To będzie jak odpalenie bomby atomowej”.

Wiedziałem, naturalnie, że wielu Brytyjczyków będzie w szoku i się zasmuci, przez co ścisnęło mnie w żołądku. Czułem jednak pewność, że w odpowiednim czasie, gdy poznają prawdę, zrozumieją.

Jeden z pracowników spytał:

– Robimy to?

– Tak. Nie mamy wyboru – odpowiedzieliśmy równocześnie Meg i ja.

Wysłaliśmy oświadczenie naszemu człowiekowi od mediów społecznościowych. W niecałą minutę pojawiło się na naszym koncie na Instagramie, jedynej platformie dla nas dostępnej. Objęliśmy się wszyscy, otarliśmy oczy i szybko zebraliśmy rzeczy.

Meg i ja wyszliśmy z pałacu i wskoczyliśmy do samochodu. Gdy pędziliśmy do Frogmore, wieści przekazywano już w radiu. Na każdym kanale. Wybraliśmy jedną stację. Magic FM. Ulubioną Meg. Słuchaliśmy prezentera, który pieniał się w bardzo brytyjskim stylu. Wzięliśmy się za ręce i wymieniliśmy uśmiechy z ochroniarzami siedzącymi z przodu. A potem wszyscy spojrzeliśmy przez szyby.

75

Kilka dni później odbyło się spotkanie w Sandringham. Nie pamiętam, kto nazwał je szczytem w Sandringham. Podejrzewam, że ktoś z prasy.

W drodze tam odebrałem wiadomość od Marka z informacją o artykule w „Timesie”.

Willy oznajmił, że ja i on jesteśmy od teraz „odrębnymi jednostkami”. „Otczałem brata ramieniem przez całe życie, ale dłużej już nie mogę”, stwierdził.

Meg wróciła do Kanady do Archiego, więc uczestniczyłem w szczycie sam. Przyjechałem wcześniej z nadzieją na krótką rozmowę z babcią. Siedziała na ławie przed kominkiem. Usiadłem obok niej. Zobaczyłem, że Osa reaguje niepokojem. Wyszedł, bzyząc, i po chwili wrócił z tatą, który usiadł przy mnie. Tuż po nim wkroczył Willy. Posłał mi spojrzenie, jakby chciał mnie zamordować.

– Witaj, Haroldzie.

Usiadł naprzeciwko mnie. Rzeczywiście odrębna jednostka.

Po zjawieniu się wszystkich uczestników przenieśliśmy się do dużego stołu konferencyjnego. Babcia zajęła najważniejsze miejsce. Przed każdym krzesłem leżały królewski notatnik i ołówek.

Pszczola i Osa przedstawili krótkie podsumowanie sytuacji. Temat prasy pojawił się dość szybko. Odniosłem się do okrutnego i niezgodnego z prawem postępowania, ale dodałem, że mieli ogromną pomoc. Ta rodzina udostępniała dokumenty, spuszczać je z oczu albo wręcz aktywnie je podsuwając, niektórzy pracownicy współpracowali bezpośrednio z prasą, informowali dziennikarzy, inicjowali historie, od czasu do czasu nagradzali i chwalili media. Prasa odpowiadała w dużej mierze za powstały kryzys – ich model biznesowy wymagał, żebyśmy trwali w waśni – lecz nie była jedynym winowajcą.

Popatrzyłem na Willy’ego. To był moment, w którym powinien mi zawtórować, powiedzieć o jego koszmarnych doświadczeniach z tatą i Camillą. Zamiast tego narzekał na artykuł z porannej prasy sugerujący, że to on jest przyczyną, dla której odchodzimy.

– Zostałem oskarżony o to, że zmuszam ciebie i Meg do opuszczenia rodziny!

Chciałem powiedzieć: Nie mieliśmy z tą historią nic wspólnego... ale wyobraź sobie, jak mógłbyś się czuć, gdybyśmy byli źródłem wycieku. Wtedy będziesz wiedział, jak Meg i ja czujemy się od trzech lat.

Prywatni sekretarze zaczęli pytać babcię o Pięć Opcji.

– Wasza Królewska Mość widziała Pięć Opcji?

– Tak – odparła.

Wszyscy się z nimi zapoznaliśmy. Wysłano nam mejlem pięć możliwości postępowania. Opcja 1 polegała na kontynuowaniu status quo: Meg i ja nie

odchodzimy, wszyscy starają się wrócić do normalności. Opcja 5 to całkowite zerwanie z rodziną, żadnej roli w służbie królestwu, żadnej pracy dla babci, całkowita utrata bezpieczeństwa.

Opcja 3 była czymś pomiędzy. Kompromisem. Czymś najbliższym naszej pierwotnej propozycji.

Powiedziałem wszystkim zebranym, że nade wszystko rozpaczliwie zależy mi na ochronie. To mnie martwiło najbardziej – fizyczne bezpieczeństwo mojej rodziny. Chciałem zapobiec powtórce z historii, kolejnej przedwczesnej śmierci jak ta, która wstrząsnęła nami do cna dwadzieścia trzy lata wcześniej i po której nadal usiłowaliśmy dojść do siebie.

Konsultowałem się z kilkorgiem weteranów Pałacu, ludźmi, którzy znali mechanizm działania monarchii i jej historię – wszyscy stwierdzili, że Opcja 3 jest najlepsza dla wszystkich. Meg i ja mieszkalibyśmy gdzieś przez część roku, kontynuując pracę i zachowując ochronę, wracalibyśmy do Wielkiej Brytanii na wydarzenia dobroczynne, uroczystości, eventy. Weterani Pałacu nazwali to rozsądnym rozwiązaniem. I jak najbardziej dającym się zrealizować.

Rodzina, rzecz jasna, naciskała na mnie, abym wybrał Opcję 1. W przeciwnym razie zaakceptują wyłącznie Opcję 5.

Omawialiśmy wszystkie opcje przez blisko godzinę. W końcu Pszczoła wstał i obszedł stół, wręczając nam szkic oświadczenia, które Pałac miał niebawem ogłosić. Informującego o realizacji Opcji 5.

– Chwileczkę. Pogubiłem się. Przygotowaliście już oświadczenie? Bez wcześniejszej dyskusji? Informujące o wyborze Opcji piątej? Innymi słowy, przez cały czas wiedzieliście? Ten szczyt odbył się tylko na pokaz?

Żadnej odpowiedzi.

Spytałem, czy powstało więcej szkiców oświadczeń. Obwieszczających wybór innej opcji.

Pszczoła zapewnił mnie, że ależ tak, oczywiście.

– Mogę je zobaczyć?

Niestety, jego drukarka się zacięła. Co za pech! I to właśnie w chwili, gdy miał drukować pozostałe szkice!

Parsknąłem śmiechem.

– To jakiś żart?

Każdy gapił się przed siebie lub wbijał wzrok w buty. Odwróciłem się do babci.

– Czy mogę poprosić o chwilę przerwy dla zaczerpnięcia powietrza?

– Oczywiście!

Wyszedłem z pokoju. Wkroczyłem do dużego holu, gdzie natknąłem się na lady Susan pracującą dla babci od lat i pana R., mojego byłego sąsiada z borsuczej nory. Zorientowali się, że jestem zdenerwowany, i spytali, czy mogą coś dla mnie zrobić. Podziękowałem im i wróciłem do pokoju.

Trwała dyskusja na temat Opcji 3. A może Opcji 2? Zaczynała mi od tego wszystkiego pękać głowa. Męczyli mnie. Nie obchodziło mnie, którą opcję przyjmujemy, o ile zapewni nam ona bezpieczeństwo. Błagałem o kontynuację ochrony uzbrojonej policji, jaką miałem i jakiej potrzebowałem od przyjscia na świat. Nie mogłem udać się nigdzie bez towarzystwa trzech uzbrojonych ochroniarzy, nawet gdy byłem rzekomo najbardziej popularnym członkiem rodziny, a teraz byłem obiektem, wspólnie z żoną i synem, bezprecedensowej nienawiści – a propozycja przeważająca w dyskusji przewidywała całkowitą rezygnację z ochrony?

Obłąd.

Zaproponowałem, że będę pokrywał koszty ochrony z własnej kieszeni. Nie miałem pewności, jak to zrobić, ale wiedziałem, że znajdę jakiś sposób.

Podjąłem ostatnią próbę:

– Posłuchajcie, proszę. Meg i ja nie dbamy o dodatkowe korzyści. Zależy nam na pracy i służbie. No i na życiu.

Wydawało mi się, że mówię w jasny i przekonujący sposób. Wszystkie głowy przy stole podniosły się i opuściły.

Spotkanie zakończyło się podstawowym ogólnym uzgodnieniem. Wiele drobnych szczegółów tego hybrydowego porozumienia zostanie dopracowanych podczas dwunastomiesięcznego okresu przejściowego, w czasie którego będziemy mieli zapewnioną ochronę.

Babcia wstała. Wszyscy wstaliśmy. Wyszła.

Została mi jeszcze jedna niedokończona sprawa. Poszedłem szukać gabinetu Pszczoły. Na szczęście spotkałem najprzyjaźniejszego gońca babci, który zawsze mnie lubił. Poprosiłem go, by wskazał mi drogę, a on zaproponował, że mnie

zaprowadzi. Przeszliśmy przez kuchnię, potem tylnymi schodami i wąskim korytarzem.

– Trzeba iść w tamtą stronę – powiedział, pokazując mi kierunek.

Po kilku krokach natknąłem się na dużą drukarkę wypluwającą z siebie dokumenty. Zobaczyłem też asystenta Pszczoły.

– Witam! Zdaje się, że działa – powiedziałem, wskazując na urządzenie.

– Tak, Wasza Królewska Wysokość!

– Nie jest zepsuta?

– Ta drukarka? Jest niezniszczalna, sir!

Spytałem o drukarkę w gabinecie Pszczoły.

– Tamta też działa?

– Ależ tak! Potrzebuje pan coś wydrukować?

– Nie, dziękuję.

Poszedłem dalej korytarzem, pokonałem drzwi. Wszystko nagle zaczęło wyglądać znajomo. I przypomniałem sobie. To w tym korytarzu spałem w owo Boże Narodzenie po powrocie z bieguna południowego. A teraz szedł nim Pszczoła. Nadchodził z naprzeciwka. Dostrzegł mnie i wyglądał na speszonego... jak na Pszczołę. Zorientował się, co robię. Słyszał szum drukarki. Wiedział, że go nakryłem.

– Och, sir, proszę się tym nie przejmować, to naprawdę nieważne.

– Doprawdy?

Zostawiłem go i poszedłem na dół. Ktoś zasugerował, żebyśmy wyszli z Willym na dwór. Żeby przewietrzyć głowy.

Dobra.

Chodziliśmy w tę i z powrotem wzdłuż szpaleru cisów. Dzień był mroźny. Miałem na sobie tylko lekką marynarkę, Willy był w swetrze, więc obaj dygotaliśmy.

Zdumiało mnie piękno tego wszystkiego. Podobnie jak w pokoju państwowym, czułem się, jakbym nigdy wcześniej nie widział pałacu. Przecież te ogrody to raj. Dlaczego nie możemy się nimi po prostu cieszyć?

Przygotowałem się na kazanie. Willy go nie wygłosił. Był opanowany. Chciał słuchać. Po raz pierwszy od lat mój brat mnie wysłuchał, za co byłem mu ogromnie

wdzięczny. Opowiedziałem mu o byłej pracownicy sabotującej Meg. Spiskującej przeciwko niej. I o obecnej pracownicy, której bliska przyjaciółka przyjmuje pieniądze za udostępnianie prasie prywatnych informacji na temat Meg i mnie. Moi informatorzy byli pewni, a znajdowało się wśród nich kilkoro dziennikarzy i prawników. Poza tym złożyłem wizytę w Scotland Yardzie.

Willy ściągnął brwi. On i Kate mieli własne podejrzania. Zbada sprawę.

Ustaliliśmy, że wrócimy do rozmowy.

76

Wskoczyłem do samochodu i natychmiast zostałem poinformowany, że Pałac wydał napisane w mocnych słowach dementi opublikowanego rano tekstu o wymuszaniu. Dementi zostało podpisane przez nikogo innego tylko... mnie. I Willy'ego. Pozbawieni twarzy inni dołączyli moje nazwisko do słów, których nigdy nie widziałem – a już na pewno nie zaaprobowałem? Byłem zdumiony.

Wróciłem do Frogmore. Stamtąd, zdalnie, przez kilka kolejnych dni uczestniczyłem w pracy nad finalnym oświadczeniem, które wydano 18 stycznia 2020 roku.

Pałac poinformował, że książę i księżna Sussex zgodzili się „wycofać”, że już nie będziemy „formalnie” reprezentowali królowej, że w czasie tego przejściowego roku nasze tytuły JKW będą pozostawały „w stanie zawieszenia”, jak również że zaproponowaliśmy zwrócić Sovereign Grant koszty renowacji Frogmore Cottage.

Stanowczym „bez komentarza” opatrzone nasz status dotyczący ochrony.

Poleciałem do Vancouver. Cudowne zjednoczenie z Meg, Archiem i psami. Mimo to przez kolejne dni nie czułem w pełni, że wróciłem. Jakaś część mnie nadal przebywała w Wielkiej Brytanii. W Sandringham. Godzinami siedziałem przyklejony do telefonu i internetu, monitorując konsekwencje. Wściekłość na nas nakręcana przez gazety i trolli budziła niepokój.

„Nie miejcie wątpliwości, że to jest obraza”, krzyczał „Daily Mail”, który wzywał „sąd Fleet Street” do rozpatrzenia naszych „przestępstw”. Głos zabrał również były sekretarz prasowy królowej, który wspólnie z innymi sędziami doszedł do wniosku, że od tego momentu nie powinniśmy „oczekiwać litości”.

Pokręciłem głową. Żadnej litości. Język wojny?

To było ewidentnie coś więcej niż zwykły gniew. Ci mężczyźni i kobiety widzieli we mnie zagrożenie dla ich egzystencji. Jeżeli nasze odejście stanowiło niebezpieczeństwo dla monarchii, jak niektórzy twierdzili, to zagrażało również tym, którzy żyli z pisania o monarchii.

Dlatego należało nas zniszczyć.

Jedna z tych osób, która napisała o mnie książkę i prawdopodobnie dzięki mojej osobie jest w stanie opłacać czynsz za mieszkanie, wystąpiła w telewizji na żywo i opowiedziała o tym, że Meg i ja opuściliśmy Wielką Brytanię bez zgody babci. Nie dyskutowaliśmy o tym z nikim, zapewniała, nawet z tatą. A prawiała te kłamstwa z tak niezachwianą pewnością siebie, że nawet ja czułem pokusę, by jej uwierzyć, dlatego jej wersja wydarzeń szybko stała się „prawdą” w wielu kręgach. „Harry zaskoczył Królową!” Oto dominująca narracja. Czułem, jak przechodzi do podręczników historii, i potrafiłem sobie wyobrazić, jak za kilka dekad chłopcy i dziewczęta w Ludgrove będą wygłaszać te bzdury.

Siedziałem do późna, rozmyślając o tym wszystkim, analizując bieg wydarzeń i zadając sobie pytania: co się porobiło z tymi ludźmi? Dlaczego zachowują się w ten sposób?

Chodzi wyłącznie o pieniądze?

Jak zawsze? Przez całe życie słyszałem, jak ludzie powtarzali, że monarchia jest kosztowna, anachroniczna, a Meg i ja mieliśmy być teraz tego dowodem. Nasz ślub i wesele podawano jako koronny przykład. Kosztowało miliony, a my krótko potem wyjechaliśmy. Niewdzięcznicy.

Tyle że za uroczystość zapłaciła rodzina, a pozostałe koszty generowała ochrona, niezbędna w dużej mierze z powodu prasy, która rozbudziła postawy rasistowskie i klasowe urazy. Eksperci od bezpieczeństwa poinformowali nas, że snajperów i psy węszące wprowadzono nie tylko dla nas – miało to zapobiec temu, by ktoś ostrzelał tłum na Long Walk albo jakiś samobójca wysadził się w powietrze na trasie parady.

Możliwe, że każda kontrowersja dotycząca monarchii sprowadza się do pieniędzy. Wielka Brytania od dawna ma problem z podjęciem decyzji. Wielu ludzi popiera Koronę, ale wielu też obawia się kosztów. Ten niepokój nasila fakt, że koszty nie są znane. Wszystko zależy od tego, kto analizuje liczby. Czy Korona obciąża podatników? Tak. Wpłaca fortunę do skarbcza rządowego? Również tak.

Czy Korona przyciąga turystów, którzy zostawiają u nas swoje pieniądze, na czym wszyscy korzystają? Oczywiście. A czy czerpie zyski z terenów zdobytych i zajętych w czasach niesprawiedliwości, gdy bogactwo budowano na wyzysku robotników, bandytyzmie, aneksji i niewolnictwie?

Czy ktoś może temu zaprzeczyć?

Z ostatnich badań, jakie czytałem, wynika, że monarchia rocznie kosztuje przeciętnego podatnika tyle co duże piwo. Uwzględnivszy wiele dobra z nią związanego, wydaje się to dość dobrą inwestycją. Nikt jednak nie chce słuchać księcia wypowiadającego się o zasadności istnienia monarchii, bez względu na to, czy przedstawia argumenty za czy przeciw. Analizę zysków i strat zostawiam innym.

Moje emocje dotyczące tego tematu są skomplikowane, rzecz jasna, ale mój podstawowy stosunek – nie. Zawsze będę popierał swoją królową, głównodowodzącą, babcię. Nawet po jej odejściu. Nie miałem nigdy problemu z monarchią, z koncepcją jako taką. Moje kłopoty miały związek z prasą i chorą relacją, jaka powstała między nią a Pałacem. Kocham swoją ojczyznę i rodzinę; zawsze będę kochał. I żałuję, że w najmroczniejszym dla mnie czasie zarówno ojczyzna, jak i rodzina nie były ze mną.

Wierzę też, że pewnego dnia spojrzą wstecz i również tego pożałują.

77

Pojawiło się pytanie: gdzie będziemy mieszkać?

Rozważaliśmy Kanadę. Pod każdym względem była dla nas dobra. Już się tam czuliśmy jak w domu. Potrafiliśmy sobie wyobrazić, że spędzimy w niej resztę życia. Gdybyśmy zdołali znaleźć miejsce, o którym prasa by się nie dowiedziała, Kanada mogłaby być odpowiedzią. Tak stwierdziliśmy.

Meg skontaktowała się z przyjaciółką w Vancouver, która z kolei dała nam namiar na agenta nieruchomości, i zaczęliśmy oglądać domy. Stawialiśmy pierwsze kroki i usiłowaliśmy myśleć pozytywnie. Powtarzaliśmy sobie, że nie ma znaczenia, gdzie mieszkamy, pod warunkiem że Pałac wypełnia swoje zobowiązanie – co odbierałem jako domniemaną obietnicę – i nas chroni.

Pewnego wieczoru Meg spytała:

– Chyba nigdy nie wycofają naszej ochrony, prawda?

– Nigdy. Nie przy takim klimacie nienawiści. I nie po tym, co spotkało moją matkę.

No i wydarzeniach dotyczących wuja Andrzeja. Został uwikłany w haniebny skandal, oskarżony o napaść seksualną na młodą kobietę, lecz nikt nawet nie napomknął o tym, że powinien stracić ochronę. O cokolwiek ludzie mieli do nas pretensje, przestępstwa na tle seksualnym nie trafiały na tę listę.

Luty 2020 roku.

Zabrałem Archiego po drzemce na dwór. Było słonecznie i zimno. Obserwowaliśmy wodę, dotykaliśmy suchych liści, zbieraliśmy kamyki i gałązki. Wycalowałem pulchne policzki, połaskotałem go i spojrzałem na telefon. Dostałem wiadomość od szefa naszych ochroniarzy, Lloyde’a.

Musiał się ze mną zobaczyć.

Przeniosłem Archiego przez trawnik i podałem Meg, następnie przeszedłem przez mokrą trawę do domku, w którym mieszkali Lloyde i pozostali. Usiedliśmy na ławce, obaj w puchowych kurtkach. Fale szumiały łagodnie w tle, a Lloyde poinformował mnie, że ochrona została wycofana. On i cała jego ekipa dostali rozkaz ewakuacji.

– To niemożliwe.

– Chętnie bym się z tym zgodził. Ale jednak.

To by było na tyle w temacie przejściowego roku.

Lloyde stwierdził, że poziom zagrożenia w naszym przypadku był nadal wyższy niż w przypadku niemal każdego innego członka rodziny królewskiej, porównywalny z poziomem zagrożenia królowej. A mimo to rozkaz przyszedł i nie podlegał dyskusji.

No i proszę. Największy koszmar się ziszcza. Najgorszy z najgorszych scenariuszy. Teraz będzie mógł nas znaleźć każdy zły typ, a powstrzymać go będę musiał ja z pistoletem.

Chwila. Żadnych pistoletów. Jestem w Kanadzie.

Zadzwoiłem do taty. Nie odbierał telefonów ode mnie.

Wtedy otrzymałem wiadomość od Willy’ego. „Możesz rozmawiać?”

Świetnie. Byłem pewien, że mój starszy brat po naszym ostatnim spacerze w ogrodzie w Sandringham wykaże się współczuciem. I wkroczy do akcji.

Powiedział, że to była decyzja rządu. Nie można było nic zrobić.

78

Lloyde zwrócił się do swoich zwierzchników w kraju i błagał ich, by przynajmniej zgodzili się przesunąć termin wycofania ochrony. Pokazał mi mejle. Napisał: „Po prostu nie możemy... ich tutaj zostawić!”. Osoba z drugiej strony odpisała: „Decyzja zapadła. Od 31 marca są zdani na siebie”.

Szukałem nowej ochrony. Rozmawiałem z konsultantami, zbierałem wyceny. Zapełniłem wynikami poszukiwań cały notatnik. Pałac skierował mnie do firmy, która podała mi cenę. Sześć milionów rocznie.

Powoli odłożyłem słuchawkę.

W tych mrocznych czeluściach dotarła do mnie potworna wiadomość, że moja stara przyjaciółka Caroline Flack odebrała sobie życie. Najwyraźniej nie dawała dłużej rady. Nieustające nękanie ze strony prasy, rok za rokiem, w końcu ją zniszczyło. Ogromnie współczułem jej rodzinie. Pamiętałem, jak wszyscy ucierpieli z powodu jej śmiertelnego grzechu polegającego na tym, że się ze mną spotkała.

Była taka promienna i zabawna tamtego wieczoru, gdy się poznaliśmy. Uosobienie beztroski.

Wtedy nikomu by nie przyszło do głowy, że taki ją czeka koniec.

Powiedziałem sobie, że to jest ważne przypomnienie. Nie dramatyzowałem, nie ostrzegałem przed czymś, co się nigdy nie stanie. To, z czym Meg i ja się borykaliśmy, naprawdę było sprawą życia i śmierci.

A czas uciekał.

W marcu 2020 roku Światowa Organizacja Zdrowia ogłosiła pandemię, a w Kanadzie rozważano możliwość zamknięcia granic.

Meg nie miała wątpliwości.

– Musimy znaleźć dla siebie jakieś inne miejsce... i się tam przenieść.

Porozmawialiśmy z Tylerem Perrym, aktorem, pisarzem i reżyserem. Przed ślubem przysłał Meg liścik, zupełnie nieoczekiwanie, w którym napisał, że nie jest sama i że widzi, co się dzieje. Teraz, w czasie pogawędki przez FaceTime'a, staraliśmy się nadrabiać miną, choć oboje byliśmy w rozsypce.

Tyler to dostrzegł. Spytał, co się dzieje.

Naświetliliśmy mu sprawę, powiedzieliśmy o utracie ochrony, zamknięciu granic. Nie mieliśmy się do kogo zwrócić.

– Rety! Sporo tego, ale... oddychajcie. Oddychajcie.

W tym problem. Nie mogliśmy oddychać.

– Posłuchajcie... Weźcie mój dom.

– Słucham?

– Mój dom w Los Angeles. Ma bramę, ochronę. Tam będziecie bezpieczni. Zadbam o wasze bezpieczeństwo.

Wyjaśnił nam, że sporo podróżuje, pracuje przy jakimś projekcie, więc dom stoi pusty i na nas czeka.

To było zbyt wiele. Nadmierna hojność.

Niemniej przyjęliśmy ją. Z zapalem.

Zapytałem, dlaczego to robi.

– Ze względu na matkę.

– Twoją...?

– Moja matka kochała twoją.

Zupełnie mnie tym zaskoczył.

– Po tym, jak twoja matka odwiedziła Harlem, było pozamiatane. Według Maxine Perry nie mogła zrobić nic złego.

Opowiedział nam o tym, że jego matka zmarła dziesięć lat wcześniej i wciąż ją opłakiwał.

Chciałem mu powiedzieć, że z czasem będzie łatwiej.

Nie zrobiłem tego.

To był dom jak z bajki. Wysokie pomieszczenia, bezcenne dzieła sztuki, piękny basen. W stylu pałacowym, a do tego superbezpieczny. I co najlepsze – miał ochronę opłacaną przez Tylera.

Ostatnie dni marca 2020 roku poświęciliśmy na eksplorację i rozpakowywanie się. Próbowaliśmy się odnaleźć. Korytarze, garderoby, sypialnie – przestrzenie do odkrywania zdawały się nie kończyć, wszędzie było mnóstwo zakamarków, w których Archie mógł się chować.

Meg pokazywała mu wszystko. Spójrz na ten posąg! Patrz na tę fontannę! I na kolibry w ogrodzie!

Archiego w szczególności zainteresował obraz wiszący w pierwszym holu. Każdy dzień zaczynał od oglądania go. Przedstawiał scenę ze starożytnego Rzymu. Pytaliśmy sami siebie, dlaczego go to ciekawi.

Nie mieliśmy pojęcia.

Po tygodniu czuliśmy się w domu Tylera jak u siebie. Kilka miesięcy później, w szczycie lockdownu związanego z pandemią, Archie postawił w ogrodzie pierwsze kroki. Biliśmy mu brawo, wyściskaliśmy go, wiwatowaliśmy. Przez moment pomyślałem o tym, jak miło byłoby podzielić się tą wiadomością z jego dziadkiem lub wujkiem Willym.

Krótko potem Archie podszedł marszowym krokiem do swojego ulubionego obrazu w holu. Wpatrując się w niego, zagulgotał z uznaniem.

Meg pochyliła się, by lepiej mu się przyjrzeć.

I po raz pierwszy zauważyła, co napisano na plakietce na ramie.

„Bogini polowań, Diana”.

Gdy powiedzieliśmy o tym Tylerowi, odparł, że nie wiedział. Wręcz zapomniał o tym obrazie.

– Aż mnie ciarki przeszły – stwierdził.

– Nas również.

Późno w nocy, kiedy wszyscy spali, robiłem obchód domu, sprawdzałem drzwi i okna. Potem siadałem na balkonie albo w ogrodzie i zwijałem jointa.

Z domu roztaczał się widok na dolinę, na zbocze, na którym roilo się od żab. Wsłuchiwałem się w ich nocny śpiew, wdychałem przesycone wonią kwiatów powietrze. Żaby, zapach, drzewa, bezkres rozgwieżdżonego nieba – to wszystko przeniosło mnie do Botswany.

Pomyślałem, że być może nie chodziło tylko o florę i faunę.

Może ważniejsze było poczucie bezpieczeństwa. Życia.

Rzuciliśmy się w wir pracy i udało nam się dużo zrobić. Założyliśmy fundację, odnowiłem kontakty z czasów mojego zaangażowania w ochronę środowiska. Zaczynaliśmy kontrolować sytuację... i wtedy prasa dowiedziała się skądś, że jesteśmy u Tylera. Stało się to po dokładnie sześciu tygodniach, jak w Kanadzie. Nagle nad naszymi głowami latały drony, paparazzi czaili się u wylotu ulicy. Na drugim końcu doliny.

Przecięli ogrodzenie.

Załataliśmy je.

Przestaliśmy wychodzić na zewnątrz. Ogród był na pełnym widoku.

Potem pojawiły się śmigłowce.

Niestety, musieliśmy uciekać. Musieliśmy znaleźć inne miejsce, i to szybko, a to oznaczało konieczność samodzielnego opłacania ochrony. Wróciłem do notatek i kontaktowania się z firmami ochroniarskimi. Zabraliśmy się z Meg do wyliczania, na jaką dokładnie ochronę możemy sobie pozwolić i na jaki dom. I właśnie wtedy, gdy analizowaliśmy budżet, dotarła do mnie wiadomość, że tata mnie wydziedzicza.

Dostrzegłem absurdalność tej sytuacji: mężczyzna po trzydziestce został odcięty od zasobów finansowych ojca. Tyle że tata nie był tylko moim ojcem; był moim szefem, bankierem, rezydentem i nadzorcą mojego portfela przez całą moją dorosłość. Wydziedziczenie mnie oznaczało zwolnienie mnie bez odprawy i wrzucenie w otchłań po całym życiu służby. Co więcej, po tym, jak uczyniono ze mnie osobę nienadającą się do jakiegokolwiek innej pracy.

Czułem się tuczony na rzeź. Karmiony piersią jak cielę. Nigdy nie prosiłem się o to, by być zależnym finansowo od taty. Zostałem zmuszony do funkcjonowania w tym surrealistycznym świecie, niekończącym się *Truman Show*, w którym

prawie nigdy nie nosiłem przy sobie pieniędzy, nie miałem klucza do domu, nie zamówiłem niczego przez internet, nie odebrałem żadnej paczki z Amazonu i prawie nigdy nie jeździłem metrem. (Zdarzyło się to raz, w Eton, gdy wybraliśmy się do teatru). Gazety nazywały mnie pasożytem. Istnieje jednak różnica między byciem pasożytem a niemożnością nauczenia się niezależności. Po dekadach rygorystycznego i systematycznego infantylizowania mnie zostałem gwałtownie porzucony i drwiono z mojej niedojrzałości? Z tego, że nie umiem stanąć na własnych nogach?

Kwestia tego, jak zapłacimy za mieszkanie i ochronę, spędzała Meg i mnie sen z powiek. Zawsze mogliśmy wydać coś ze spadku po mamie, lecz traktowaliśmy to jako ostatnią deskę ratunku. Uważaliśmy te pieniądze za należące do Archiego. I jego rodzeństwa.

Właśnie wtedy dowiedzieliśmy się, że Meg jest w ciąży.

82

Znaleźliśmy lokum. Mocno przecenione. Tuż nad brzegiem oceanu, pod Santa Barbara. Mnóstwo przestrzeni, rozległe ogrody, mała gaj dla dziecka, a nawet staw z karpami koi.

Agent nieruchomości ostrzegł nas, że ryby są zestresowane.

To tak jak my. Świetnie się dogadamy.

Agent wyjaśnił, że karpie potrzebują odpowiednich warunków hodowlanych. I będziemy musieli zatrudnić człowieka do opieki nad koi.

– Hm, hm. A gdzie można znaleźć takiego specjalistę?

Agent nie był pewien.

Zaśmialiśmy się. Problemy ludzi z Pierwszego Świata.

Rozejrzeliśmy się. Posiadłość marzeń. Poprosiliśmy Tylera, żeby też rzucił na nią okiem. Kazał nam ją kupić. Wnieśliśmy zadatek, zaciągnęliśmy kredyt hipoteczny i wprowadziliśmy się w lipcu 2020 roku.

Przeprowadzka zajęła nam kilka godzin. Cały nasz dobytek mieścił się w trzynastu walizkach. Pierwszego wieczoru wznieśliśmy cichy toast, upiekliśmy kurczaka i poszliśmy wcześniej spać.

Powiedzieliśmy sobie, że wszystko jest dobrze.

Mimo to Meg wciąż przeżywała silny stres.

Pojawiły się naglące kwestie związane z założoną przez nią sprawą przeciwko brukowcom. „The Mail” uciekał się do swoich zwyczajowych sztuczek. Ich pierwsza próba obrony była komiczna, więc teraz próbowali nowego podejścia, jeszcze bardziej niedorzecznego. Przekonywali, że wydrukowali list Meg do ojca z powodu artykułu w „People”, w którym cytowano przyjaciół Meg – wypowiadających się anonimowo. Tabloidy przekonywały, że Meg zaaranżowała te cytaty, wykorzystwała przyjaciół de facto jako rzeczników i dlatego „The Mail” miał prawo ujawnić jej list do ojca.

Co więcej, dziennik żądał podania nazwisk anonimowych przyjaciół Meg i wciągnięcia ich na listę świadków – żeby ich zniszczyć. Meg postanowiła zrobić wszystko, co w jej mocy, by temu zapobiec. Siedziała do późna i noc w noc usiłowała wymyślić, jak uratować tych ludzi. A teraz, pierwszego ranka w naszym nowym domu, poinformowała mnie, że ma bóle brzucha.

I krwawi.

Wtem upadła na podłogę.

Popędziliśmy do lokalnego szpitala. Gdy lekarka weszła na salę, nie słyszałem ani jednego jej słowa, tylko obserwowałem jej twarz, mowę ciała. Już wiedziałem. Oboje wiedzieliśmy. Krwi było tak dużo.

Mimo to słowa wypowiedziane na głos były ciosem.

Meg mnie objęła, ja ją i płakaliśmy.

W swoim życiu czułem się bezradny tylko cztery razy.

Na tylnym siedzeniu samochodu z Willym, gdy mamę gonili paparazzi.

W apache'ach nad Afganistanem, gdy nie mogłem wypełnić swojego obowiązku.

W Nott Cott, kiedy moja ciężarna żona zamierzała odebrać sobie życie.

I teraz.

Opuściliśmy szpital z naszym nienarodzonym dzieckiem. W małej paczuszce. Udaliśmy się w pewne miejsce, sekretne miejsce, które tylko my znaleźliśmy.

Pod rozłożystym banianem, kiedy Meg łkała, wykopałem zagłębienie własnymi rękami i delikatnie złożyłem paczuszkę w ziemi.

Pięć miesięcy później. Boże Narodzenie 2020 roku.

Pojechaliśmy z Archiem po choinkę. Na plac z choinkami w Santa Barbara. Kupiliśmy jeden z ich największych świerków.

Przywieźliśmy go do domu, postawiliśmy w salonie. Wspaniale. Cofnęliśmy się o krok, podziwialiśmy go i wymienialiśmy błogosławieństwa, które nas spotkały. Nowy dom. Zdrowy syn. Do tego podpisaliśmy kilka umów o partnerstwie z korporacjami, co da nam szansę wrócić do pracy, naświetlać kwestie, które są bliskie naszym sercom, mówić o sprawach, które są dla nas ważne. I opłacać ochronę.

Nastała Wigilia. Porozmawialiśmy z kilkorgiem przyjaciół na FaceTimie, także z osobami z Wielkiej Brytanii. Patrzyliśmy, jak Archie biega wokół choinki.

I otworzyliśmy prezenty. Zgodnie z tradycją rodzinną Windsorów.

Jednym z nich była bożonarodzeniowa ozdoba z... wizerunkiem królowej!

– Co za...?! – ryknąłem.

Meg wypatrzyła to w lokalnym sklepie i uznała, że może mi się spodobać.

Przysunąłem ozdobę do światła. Twarz babci, wypisz wymaluj. Zawiesiłem ją na gałązce na wysokości wzroku. Ucieszył mnie widok babci. Uśmiechnęliśmy się do niej z Meg. Ale potem Archie, który bawił się przy drzewku, potrącił stojak, potrząsnął choinką i babcia spadła.

Odwróciłem się, usłyszawszy brzęk.

Kawałki szkła słały się na podłodze.

Archie pobiegł po zraszacz. Z jakiegoś powodu pomyślał, że spryskanie kawałków wodą pozwoli naprawić bombkę.

– Nie, Archie, nie. Nie pryskaj na bunię! – powiedziała Meg.

Sięgnąłem po szufelkę i zmiotłem na nią okruszyny, myśląc przez cały czas, jakie to dziwne.

Pałac ogłosił, że zrewidowano nasze role oraz porozumienie zawarte w Sandringham.

Zostaliśmy tym samym pozbawieni wszystkiego z wyjątkiem kilku patronatów.

Luty 2021 roku.

Zabrali mi wszystko, pomyślałem, nawet związki z wojskiem. Już nie będę kapitanem generalnym królewskiej piechoty, który to tytuł odziedziczyłem po dziadku. Nie będę mógł nosić munduru galowego.

Powtarzałem sobie, że nie zdołają odebrać mi prawdziwego munduru ani rzeczywistego statusu w wojsku. No ale mimo wszystko.

W dalszej części oświadczenia informowano, że nie będziemy już w żaden sposób służyli królowej. Przedstawiono to tak, jakbyśmy to wspólnie uzgodnili. Nic z tych rzeczy.

Sformułowaliśmy własne oświadczenie i opublikowaliśmy je tego samego dnia. Napisaaliśmy w nim, że nigdy nie przestaniemy wieść życia w służbie.

Ten nowy policzek ze strony Pałacu podziałał na nas jak oliwa dolana do ognia. Od czasu wyjazdu media atakowały nas bezustannie, ale to oficjalne zerwanie więzów zapoczątkowało nową falę, zupełnie inną. Oczerniano nas każdego dnia, w każdej godzinie, na portalach społecznościowych i w obelżywych, kompletnie zmyślonych artykułach w gazetach opisujących historie ujawnione przez „królewskich pomocników”, „ludzi z kręgów royalsów” albo „pałacowych informatorów”, historie podsuwane ewidentnie przez personel z Pałacu i prawdopodobnie autoryzowane przez moją rodzinę.

Nie czytałem ich i rzadko kiedy o nich słyszałem. Unikałem internetu tak, jak swego czasu unikałem centrum Garmsiru. Wyciszyłem telefon. Wyłączyłem nawet wibracje. Zdarzało się, że ktoś z przyjaciół napisał: „Rety, przykro mi z powodu tego i owego”. Musieliśmy prosić tych przyjaciół, wszystkich przyjaciół, żeby przestali nas informować o tym, co przeczytali.

Jeśli mam być szczerzy, nie zdziwiło mnie to, że Pałac zerwał wszystkie więzi. Poczulem już słaby przedsmak tego kilka miesięcy wcześniej. Na krótko przed Dniem Pamięci zapytałem Pałac, czy ktoś mógłby w moim imieniu złożyć wieniec pod pomnikiem Cenotaph, ponieważ, naturalnie, mnie tam nie będzie.

Prośbę odrzucono.

To czy w takim razie można złożyć wieniec w moim imieniu gdzie indziej na terenie Wielkiej Brytanii?

Prośbę odrzucono.

Skoro tak, to może wieniec w moim imieniu można złożyć gdzieś na terenie Wspólnoty Narodów, gdziekolwiek?

Prośbę odrzucono.

I poinformowano mnie, że żaden pełnomocnik na całym świecie nie będzie mógł w imieniu księcia Harry'ego złożyć wieńca na żadnym wojskowym grobie.

Błagałem i tłumaczyłem, że to będzie pierwszy raz, kiedy w Dniu Pamięci nie oddam czci poległym, z których niektórzy byli mi bliskimi przyjaciółmi.

Prośbę odrzucono.

W końcu zadzwoniłem do jednego ze swoich dawnych instruktorów w Sandhurst i poprosiłem, by złożył wieniec w moim imieniu. Zasugerował pomnik poległych w Iraku i Afganistanie stojący w Londynie, a odsłonięty zaledwie kilka lat wcześniej.

Przez babcię.

– Tak. Doskonale. Dziękuję.

Powiedział, że będzie to dla niego zaszczytem. I dodał:

– Tak na marginesie, kapitanie Wales. Pieprzyć to. To jest bezprawie.

85

Nie byłem pewien, jak ją nazywać ani co dokładnie robiła. Wiedziałem tylko, że ma rzekomo „moc”.

Owszem, spodziewałem się, że to może być z dużym prawdopodobieństwem oszustwo. Tyle że kobieta miała solidne rekomendacje zaufanych przyjaciół, więc pomyślałem sobie: co złego może się stać?

W chwili, gdy usiedliśmy, poczułem otaczającą ją energię.

O rety. To naprawdę coś.

Ona również wyczuła energię wokół mnie i powiedziała:

– Pańska matka jest z panem.

– Wiem. Też to ostatnio czuję.

– Nie, nie. Ona jest z panem. Teraz.

Poczułem ciepło na karku. Oczy mi zwilgotniały.

– Pańska matka wie, że szuka pan jasności. Wyczuwa pańskie zagubienie. Wie, że ma pan mnóstwo pytań.

– To prawda.

– Odpowiedzi przyjdą z czasem. Któregoś dnia w przyszłości. Potrzebna jest cierpliwość.

Cierpliwość? To słowo więzło mi w gardle.

W międzyczasie kobieta powiedziała, że matka jest ze mnie bardzo dumna. I w pełni mnie wspiera. Wiedziała, że to niełatwe.

Co takiego?

– Pańska matka mówi, że wie dzie pan życie, jakiego ona nie mogła wieść. I jakiego dla pana pragnęła.

Przełknąłem ciężko ślinę. Pragnąłem, by każde słowo tej kobiety było prawdą. Potrzebowałem jednak dowodu. Znaku. Jakiegokolwiek.

– Pańska matka pyta... czy ozdoba może być?

– Ozdoba?

– Była tam.

– Gdzie?

– Pańska matka wspomina coś o... ozdobie na choinkę. Przedstawiającej matkę? Babkę? Ona spadła? Stłukła się? Archie próbował ją naprawić. Matka mówi, że trochę się z tego uśmieła.

Ogrody Frogmore.

Kilka godzin po pogrzebie dziadka.

Spacerowałem z Willym i tatą przez pół godziny, ale czułem się jak po całodziennym marszu w wojsku, gdy byłem młodym żołnierzem. Byłem wykończony.

Utknęliśmy w martwym punkcie. I dotarliśmy do gotyckich ruin. Zatoczywszy koło, wróciliśmy do punktu wyjścia.

Tata i Willy dalej utrzymywali, że nie wiedzą, dlaczego uciekłem z Wielkiej Brytanii, że nic nie wiedzą, a ja byłem gotów odejść.

Wtedy jeden z nich napomknął o prasie. I spytał o mój pozew w sprawie o włamywanie się do telefonów.

Nie pytali o Meg, ale chcieli wiedzieć, jak wygląda kwestia mojego pozwu, bo to miało na nich bezpośredni wpływ.

- Sprawa jest w toku.
- Samobójcza misja – bąknął tata.
- Możliwe. Ale warto ją podjąć.

Powiedziałem, że wkrótce wykażę, że dziennikarze nie tylko łżą, lecz także łamią prawo. Zamierzałem wsadzić kilku do więzienia. I dlatego właśnie atakowali mnie tak zaciekle – wiedzieli, że mam twarde dowody.

Nie chodziło tylko o mnie, ale o interes publiczny.

Kręcąc głową, tata pozwolił sobie stwierdzić, że dziennikarze to „szumowiny”. Jego słowa. „Ale...”

Prychnąłem. Zawsze istniało jakieś „ale”, kiedy mówił o prasie, bo nienawidził jej nienawiści, za to uwielbiał jej uwielbienie. Można by pokusić się o stwierdzenie, że to właśnie było zarzewiem całego problemu, wszystkich problemów na przestrzeni dekad. Pozbawiony w dzieciństwie miłości, terroryzowany przez szkolnych kolegów, był niebezpiecznie, kompulsywnie łasy na oferowany przez prasę eliksir.

Podał dziadka jako najlepszy przykład tego, dlaczego nie należy się za bardzo martwić prasą. Gazety nękały dziadka przez większą część jego życia, a teraz popatrzcie tylko. Stał się skarbem narodowym! Gazety nie mogą się go nawychwalać.

A więc to tak? Mam czekać z rozwiązaniem problemu do śmierci?

– Gdybyś mógł to znosić, kochany chłopcze, jeszcze trochę, to na swój zabawny sposób zaczęliby cię za to szanować.

Parsknąłem śmiechem.

– Chodzi mi o to, żebyś nie brał tego do siebie.

Skoro już mowa o braniu rzeczy do siebie, powiedziałem im, że mógłbym się nauczyć znosić prasę, nawet wybaczyć jej nadużycia, mógłbym, ale już na poradzenie sobie ze współdziałaniem mojej rodziny potrzebowałbym więcej czasu. Biura taty i Willy'ego umożliwiały te podłości, o ile przy nich nie współpracowały.

Okazało się, że Meg jest tyranem – tak głosiła najnowsza bezlitosna kampania, której pomogli się narodzić. Była tak szokująca i bezczelna, że chociaż udało nam się z Meg obalić ich kłamstwa z pomocą naszpikowanego dowodami dwudziestopięciostronicowego raportu skierowanego do działu kadr, i tak nie potrafiłem zbyć jej wzruszeniem ramion.

Tata się cofnął o krok. Willy pokręcił głową. Zaczęli mówić jeden przez drugiego. Szliśmy już tą drogą ze sto razy. Żyjesz złudzeniami, Harry.

Tyle że to oni żyli złudzeniami.

Nawet gdybym teoretycznie zaakceptował, że tata, Willy i ich pracownicy nie zrobili nigdy nic przeciwko mnie lub mojej żonie – ich milczenie pozostawało niepodważalnym faktem. To milczenie było potępiające. I trwało. Było rozdzierające.

– Musisz zrozumieć, kochany chłopcze, że instytucja nie może mówić mediom, co mają robić! – stwierdził tata.

I znowu zaniósłem się śmiechem. To brzmiało tak, jakby tata oznajmił, że nie może rozkazywać swojemu osobistemu służącemu.

Willy natomiast wypomniał mi, że nie powinienem wypowiadać się na temat współpracy z prasą. A co z moją rozmową z Oprah?

Miesiąc wcześniej udzieliliśmy z Meg wywiadu Oprah Winfrey. (Na kilka dni przed emisją w gazetach zaczęły się pojawiać artykuły o Meg tyrance. Co za zbieg okoliczności!) Od czasu naszego wyjazdu z Wielkiej Brytanii ataki na nas nasilały się w tempie geometrycznym. Musieliśmy podjąć próbę powstrzymania ich. Milczenie nie przynosiło rezultatu. Tylko pogarszało sytuację. Uznaliśmy, że nie mamy wyboru.

Kilku bliskich kolegów i najdroższe mi osoby, w tym jeden z synów Hugh i Emilie, sama Emilie, a nawet Tiggy, złajali mnie za Oprah. Jak mogłem wyjawiać takie rzeczy? Na temat rodziny! Powiedziałem im, że nie rozumiem, czym rozmowa z Winfrey różni się od tego, co moja rodzina i jej pracownicy robią od dziesięcioleci, informując prasę potajemnie, rozsiewając plotki. I co

z niezliczonymi książkami, w których powstaniu uczestniczyli, począwszy od kryptoautobiografii taty z 1994 roku napisanej wspólnie z Jonathanem Dimblebym? Albo współpracą Camilli z redaktorem Geordiem Greigem? Jedyna różnica sprowadzała się do tego, że Meg i ja działaliśmy jawnie. Wybraliśmy dziennikarkę o nienaganej reputacji i ani razu nie schowaliśmy się za frazą w rodzaju: „pałacowi informatorzy”, pozwoliliśmy, by ludzie widzieli, że słowa płyną z naszych ust.

Spojrzałem na gotyckie ruiny. Po co to wszystko? pomyślałem. Tata i Willy nie słuchali mnie, a ja nie słuchałem ich. Nigdy nie dysponowali satysfakcjonującym wyjaśnieniem swoich działań i bezczynności i nigdy nie będą dysponowali, bo takiego wyjaśnienia nie ma. Zacząłem się z nimi żegnać, życzyć im wszystkiego dobrego i by uważali na siebie, ale Willy się gotował i krzyczał, że skoro sytuacja była aż tak zła, jak ją odmalowałem, to ponoszę winę za to, że nie prosiłem nigdy o pomoc.

– Nigdy do nas nie przyszlście! Nigdy do mnie nie przyszedłeś!

Willy od dzieciństwa miał takie podejście do wszystkiego. To ja muszę przyjść do niego. Wyraźnie, bezpośrednio, formalnie – przykleknąć. W przeciwnym razie następca mi nie pomoże. Zastanawiałem się, dlaczego miałem prosić brata o pomoc, gdy wraz z żoną znalazłem się w niebezpieczeństwie.

Czy gdyby masakrował nas niedźwiedź, a on by to widział, czekałby, aż poprosimy go o pomoc?

Wspomniałem umowę z Sandringham. Poprosiłem go o wsparcie wtedy, gdy pogwałcono ustalenia, podarto umowę, gdy pozbawiono nas wszystkiego, a on palcem nie kiwnął.

– To sprawka babci! Wyjaśnij to z babcią!

Machnąłem ręką zde gustowany, ale on rzucił się na mnie, chwycił mnie za koszulę.

– Posłuchaj, Haroldzie.

Wyrwałem się, unikałem jego wzroku. Zmusił mnie, bym spojrzał mu w oczy.

– Posłuchaj, Haroldzie! Słuchaj! Kocham cię, Haroldzie! I chcę, żebyś był szczęśliwy.

– Ja ciebie też kocham – popłynęło z moich ust. – Ale twój upór jest... niebywały!

– A twój nie?

Znowu się odsunąłem.

On zaś ponownie mnie chwycił i obrócił tak, by mieć ze mną kontakt wzrokowy.

– Haroldzie, musisz mnie wysłuchać! Po prostu chcę, żebyś był szczęśliwy. Przysięgam... przysięgam na życie mamy.

Zamarł. Ja zamarłem. Tata też.

Zrobił to.

Użył tajnego kodu, uniwersalnego hasła. Od czasu naszego dzieciństwa te trzy słowa mogły zostać użyte tylko w sytuacji skrajnego kryzysu. „Na życie mamy”. Przez blisko dwadzieścia pięć lat rezerwowaliśmy tę łamiącą serce przysięgę na chwilę, kiedy jeden z nas potrzebował tego, by go usłyszano, by mu uwierzono, i to szybko. Gdy nic innego nie skutkowało.

Znieruchomiałem i o to chodziło. Lecz nie stało się tak dlatego, że użył tych słów, ale dlatego, że nie podziałały. Po prostu mu nie wierzyłem, nie miałem do niego pełnego zaufania. I vice versa. Też to spostrzegł. Widział, że tak zapędziliśmy się w poczuciu krzywdy i zwątpieniu, że nawet te święte słowa nie mogły nas wyzwolić.

Jakże się pogubiliśmy, pomyślałem. Jak bardzo się oddaliliśmy. Jak wielkim zniszczeniom uległa nasza miłość, nasza więź. Dlaczego? Tylko dlatego, że przeraźliwa banda debili, wiedźm, tanich przestępców i oficjalnie zdiagnozowanych sadystów z Fleet Street odczuwa potrzebę, żeby się zabawić i napęścić kabzy – jak też przepracować osobiste problemy – kosztem pewnej bardzo dużej, bardzo starej i bardzo dysfunkcyjnej rodziny.

Willy nie potrafił pogodzić się z porażką.

– Po tym wszystkim, co się stało, czułem się źle i to odchorowałem i... i... Przysięgam ci na życie mamy, że zależy mi wyłącznie na tym, żebyś był szczęśliwy.

Głos mi się łamał, kiedy powiedziałem mu cicho:

– Naprawdę nie sędzę.

Nagle załwały mnie wspomnienia naszej relacji. W szczególności jedno było niezatarte. Willy i ja, wiele lat wcześniej w Hiszpanii. Piękna dolina, powietrze migotliwe od tego niezwykłego śródziemnomorskiego światła i my dwaj klęczący za parawanem z zielonego płótna. Odezwały się pierwsze myśliwskie rogi.

Odbezpieczamy broń na widok pierwszych kuropatw pędzących ku nam, bang-bang, kilka pada, podajemy strzelby ładowniczym, a oni nam nowe, bang-bang, padają kolejne, wymiana broni, koszule ciemnieją nam od potu, na ziemi ścieli się ptactwo, którym pobliskie wioski będą się żywiły przez wiele tygodni, bang, ostatni strzał, żaden z nas nie potrafi spuścić, wreszcie wstajemy, złani potem, wygłodniali, szczęśliwi, bo byliśmy młodzi i razem, a to było nasze miejsce, nasze jedyne prawdziwe miejsce z dala od Nich i blisko Natury. Chwila była tak transcendentna, że odwróciliśmy się do siebie i zrobiliśmy coś wyjątkowo rzadkiego – objęliśmy się. Naprawdę się objęliśmy.

Ale teraz dostrzegalem, że nasze najlepsze momenty i moje najlepsze wspomnienia były jakoś związane ze śmiercią. Podwaliną naszego życia była śmierć, która kładła się cieniem na naszych najjaśniejszych dniach. Patrząc wstecz, nie widziałem punktów w czasie, tylko tańce ze śmiercią. I widziałem, jak się w nich zatracaliśmy. Chrzcziny i koronacje, promocje i śluby, wszystko to nad kośćmi bliskich, nad którymi awansowaliśmy lub byliśmy pomijani. Sam zamek w Windsorze był grobowcem z murami pełnymi przodków. Tower w Londynie wzniesiono, używając krwi zwierząt, bo pierwsi budowniczowie sprzed tysiąca lat dodawali ją do zaprawy murarskiej. Obcy nazywali nas kultem, ale może rzeczywiście byliśmy wyznawcami kultu śmierci? Czy nie było to trochę niemoralne? Nawet złożony dziadka na wieczny spoczynek, nie mieliśmy dość? Dlaczego nadal balansowaliśmy na krawędzi „przed nieobecną w atlasach krainą, skąd żaden jeszcze odkrywca nie wrócił”^[16]?

Chociaż może to jest raczej opis Ameryki.

Willy mówił dalej, tata usiłował się wtrącić, a ja nie słyszałem już żadnego ich słowa. Już mnie nie było, jechałem do Kalifornii, a głos w mojej głowie mówił: „Dość śmierci, dość. Kiedy ktoś z tej rodziny się uwolni i będzie żyć?”.

Tym razem było nieco łatwiej. Może dlatego, że od dawnego chaosu i stresu dzielił nas ocean.

Gdy nadszedł wielki dzień, oboje czuliśmy się pewniejsi, spokojniejsi, stabilniejsi. Co za rozkosz nie musieć się przejmować czasem, protokołem,

dziennikarzami przed bramą.

Pojechaliśmy spokojnie, zwyczajnie do szpitala, gdzie znowu jedzenie zapewnili nam ochroniarze. Przynieśli burgery i frytki z In-N-Out. I fajitas z lokalnej meksykańskiej restauracji dla Meg. Najedliśmy się, a potem zatańczyliśmy do *The Baby Mama Dance*.

W sali panowała atmosfera miłości i radości.

Mimo to po wielu godzinach Meg spytała lekarkę:

– Kiedy?

– Niebawem. Jesteśmy już blisko.

Nie tknąłem gazu rozweselającego. (Bo go nie było). Byłem w pełni obecny. Trwałem przy Meg podczas każdego parcia.

Gdy lekarka oznajmiła, że to już kwestia minut, powiedziałem Meg, że chcę, by moja twarz była pierwszą, którą nasza córeczka zobaczy.

Wiedzieliśmy, że będziemy mieli córkę.

Meg potaknęła i ścisnęła mnie za rękę.

Stanąłem obok lekarki. Oboje przykucnęliśmy. Jakbyśmy chcieli się modlić.

Lekarka zawołała:

– Widać główkę!

Niesamowite, pomyślałem.

Skóra była sina. Zmartwiłem się, że być może dziecko ma za mało powietrza. Dusi się? Spojrzałem na Meg.

– Jeszcze raz, kochanie! To już blisko.

– Tutaj, tutaj, tutaj. – Lekarka naprowadziła mi dłonie. – O tutaj.

Krzyk, a po chwili otulająca nas cisza. Nie stało się, jak to czasami bywa, że przeszłość i przyszłość zwały się w jedno. Przeszłość nie miała znaczenia, a przyszłość nie istniała. Była tylko ta intensywna teraźniejszość i wtedy lekarka odwróciła się do mnie i krzyknęła:

– Teraz!

Wsunąłem dłonie pod malutkie plecki i kark. Delikatnie, ale zdecydowanie, jak widziałem na filmach, sprowadziłem ukochaną córeczkę na ten świat, tuliłem ją przez chwilę, próbowałem się do niej uśmiechnąć, spojrzeć na nią, ale szczerze mówiąc, nic nie widziałem. Chciałem powiedzieć: „Witaj”. I: „Skąd przybywasz?”

Tutaj jest lepiej? Spokojniej? Boisz się? Nie bój się, nie bój, wszystko będzie dobrze”.

– Zapewnię ci bezpieczeństwo.

Podałem ją Meg. Pielęgniarka wspomniała o kontakcie skóra do skóry.

Później, gdy już przywieźliśmy ją do domu i weszliśmy w nowy dla nas rytm czteroosobowej rodziny, Meg i ja leżeliśmy obok siebie, również nago, i Meg oznajmiła:

– Jeszcze nigdy nie kochałam cię tak mocno jak teraz.

– Serio?

– Serio.

Zapisała kilka myśli w dzienniku. Dała mi do przeczytania.

Odebrałem je jak miłosny wiersz.

Jak testament i odnowienie naszej przysięgi.

Jak pochwałę, wspomnienie, oświadczenie.

Jak rozporządzenie.

– To było wszystko – powiedziała.

I jeszcze:

– Oto jest człowiek.

Moja kochana. Dodała:

– Nie jest niczym zastępcą.

EPILOG

Pomogłem Meg wsiąść do łodzi. Zakołysała się, ale szybko stanąłem na środku i ją ustabilizowałem.

Meg usiadła przy rufie, ja chwyciłem wiosła. Nie udało mi się nimi poruszyć.

– Utknęliśmy.

Gęsty muł płycizny trzymał nas w swym uścisku.

Wujek Charles zszedł na brzeg i nas pchnął. Pomachaliśmy do niego i moich dwóch ciotek.

– Pa. Do zobaczenia niebawem.

Sunąc po stawie, powiodłem wzrokiem po polach Althorp i starych drzewach, tysiącach zielonych akrów ziemi, na której dorastała moja matka i gdzie, chociaż nie wszystko było idealnie, zaznała trochę spokoju.

Po kilku minutach dopłynęliśmy do wyspy i ostrożnie wyszliśmy na brzeg. Poprowadziłem Meg ścieżką, ominęliśmy żywopłot i weszliśmy w labirynt. Oto i on: szarobiały owalny kamień.

Żadna z wizyt tu nie była łatwa, ale ta...

Dwudziesta piąta rocznica śmierci.

I pierwsza wizyta Meg.

W końcu przyprowadziłem dziewczynę marzeń na spotkanie z mamą.

Zawahaliśmy się, obejmując się. Ruszyłem pierwszy. Złożyłem na grobie kwiaty. Meg dała mi chwilę, bym porozmawiał z mamą w myślach, powiedział jej, że tęsknię, poprosił ją o przewodnictwo i zrozumienie.

Wyczułem, że Meg też pragnie chwili dla siebie, więc obszedłem żywopłot i zapatrzyłem się na staw. Po powrocie zastałem Meg klęczącą, z zamkniętymi oczami i dłońmi opartymi o kamień.

Gdy wracaliśmy do łodzi, spytałem, o co się modliła.

Odparła, że o zrozumienie. I przewodnictwo.

Kolejne dni były przeznaczone na szaloną podróż zawodową. Manchester, Düsseldorf, potem znowu Londyn i WellChild Awards. Tamtego dnia – 8 września

2022 roku – w porze lunchu zadzwonił mój telefon.

Nieznany numer.

– Halo?

To tata. Babcia podupadła na zdrowiu.

Była w Balmoral, rzecz jasna. Te piękne, melancholijne dni schyłku lata. Rozłączyliśmy się – musiał zadzwonić do jeszcze tylu osób – a ja natychmiast napisałem do Willy’ego z pytaniem, czy on i Kate tam lecą. Jeśli tak, to kiedy? I jak?

Bez odpowiedzi. Przejrzeliśmy z Meg loty.

Dziennikarze zaczęli wydzwaniać; nie mogliśmy dłużej zwlekać z decyzją. Poleciliśmy naszym ludziom, by potwierdzili, że nie weźmiemy udziału w WellChild Awards, tylko udajemy się pospiesznie do Szkocji.

Wtedy tata zadzwonił ponownie.

Powiedział, że jestem mile widziany w Balmoral, ale nie chciał... jej. Zaczął wyklądać swoje powody, niedorzeczne i obraźliwe, a ja nie chciałem ich słuchać.

– Nawet nie mów tak o mojej żonie.

Wydukał, przepaszającym tonem, że po prostu nie chce, by zebrało się przy babci zbyt wiele osób. Nie będzie niczyjej żony, Kate również, więc i Meg nie powinno być.

– Wystarczyło zatem tylko to powiedzieć.

Było późne popołudnie; żaden samolot nie leciał już tego dnia do Aberdeen. Willy wciąż mi nie odpisywał. Dlatego jedynym rozwiązaniem był lot charterowy z Londynu.

Wsiadłem na pokład dwie godziny później.

Przez większą część czasu patrzyłem na chmury i odtwarzałem w myślach ostatnią rozmowę z babcią. Cztery dni wcześniej rozmawialiśmy długo przez telefon. Poruszyliśmy wiele tematów. Mówiliśmy naturalnie o zdrowiu. O zamieszaniu przy Downing Street 10. O igrzyskach w Braemar – żałowała, że nie czuje się na siłach, by je oglądać na żywo. Rozmawialiśmy również o biblijnej suszy. Trawnik we Frogmore, gdzie się zatrzymaliśmy z Meg, był w potwornym stanie. „Wygląda jak czubek mojej głowy, babciu! Miejscami łyse, miejscami brązowy”.

Zaśmiała się.

Poprosiłem, by na siebie uważała, i zapewniłem, że nie mogę się doczekać spotkania z nią.

Gdy samolot podchodził do lądowania, zaświecił się wyświetlacz mojego telefonu. Wiadomość od Meg. „Zadzwoń, jak tylko to zobaczysz”.

Zajrzałem na stronę BBC.

Babcia zgasła.

Tata został królem.

Zawiązałem czarny krawat, wysiadłem z samolotu w gęstą mgłę, popędziłem wynajętym samochodem do Balmoral. Kiedy zatrzymałem się przed bramą główną, zrobiło się bardziej mokro i ciemno, przez co dziesiątki białych fleszy oślepiły tym mocniej.

Kuląc się przed zimnem, wpadłem do holu. Przywitała mnie ciotka Anna. Objąłem ją.

– Gdzie tata i Willy? I Camilla?

Powiedziała, że udali się do Birkhall. Spytała, czy chcę zobaczyć babcię.

– Tak... Chcę.

Zaprowadziła mnie na górę, do sypialni babci. Zebrałem się w sobie i wszedłem. Spowity w półmroku pokój wyglądał obco – byłem tu tylko raz w życiu. Poruszałem się niepewnie i ją zobaczyłem. Stałem, zamarłem i patrzyłem. Patrzyłem i patrzyłem. Robiłem to, chociaż to było trudne, i myślałem o tym, jak żałowałem, że nie widziałem matki. Przez lata ubolewałem nad tym, że nie widziałem dowodu, i odsuwałem od siebie żal, pragnąc go. Teraz miałem go przed sobą. Z życzeniami trzeba uważać.

Szepnąłem jej, że mam nadzieję, że jest szczęśliwa i że spotkała się z dziadkiem. I że podziwiałem ją za to, że wypełniała swoje obowiązki do końca. Jubileusz, powitanie nowej pani premier. W dziewięćdziesiąte urodziny babci tata oddał jej wzruszający hołd, cytując Shakespeare’a piszącego o Elżbiecie I:

„Piękny czyn będzie dnia każdego wieńcem”^[17].

Odwieczna prawda.

Wyszedłem z pokoju, przeszedłem korytarzem po chodniku w szkocką kratę, minąłem posąg królowej Wiktorii. Wasza Królewska Mość. Zadzwoiłem do Meg

z informacją, że dotarłem bezpiecznie i nic mi nie jest, następnie wszedłem do salonu i zjadłem kolację z rodziną, ale nadal bez taty, Willy'ego i Camilli.

Pod koniec posiłku przygotowałem się na dudy. Lecz z szacunku dla babci nikt nie grał. Zapadła upiorna cisza.

Godzina robiła się późna i wszyscy udali się do swoich pokoi, z wyjątkiem mnie. Wybrałem się na przechadzkę po domu, w górę i w dół schodów, wzdłuż korytarzy i skończyłem w pokoju dziecięcym. Starodawne umywalki, wanna, wszystko takie samo jak przed dwudziestoma pięcioma laty. Przez większą część nocy oddawałem się rozmyślaniom, równocześnie usiłując zaplanować rzeczywistą podróż z pomocą telefonu.

Najszybciej byłoby wrócić z tatą lub Willym... W przeciwnym razie miałem do dyspozycji British Airways i lot z Balmoral o świcie. Kupiłem bilet i wsiadłem na pokład jako jeden z pierwszych.

Krótko po zajęciu miejsca w pierwszym rzędzie wyczułem czyjś obecność po mojej prawej stronie. Jakiś pasażer złożył mi kondolencje przed przejściem w głąb samolotu.

– Dziękuję.

Po chwili kolejna osoba.

– Wyrazy współczucia, Harry.

– Dziękuję... bardzo.

Większość pasażerów zatrzymywała się, by szepnąć dobre słowo, a ja poczułem więź z nimi wszystkimi.

Nasz kraj, pomyślałem.

Nasza królowa.

Meg powitała mnie w drzwiach Frogmore długim uściskiem, którego rozpaczliwie potrzebowałem. Usiedliśmy ze szklankami z wodą i kalendarzem. Nasz krótki wypad zamienia się w odyseję i potrwa jeszcze co najmniej dziesięć dni. Trudnych dni. Co więcej, będziemy z dala od dzieci dłużej, niż planowaliśmy i niż kiedykolwiek się z nimi rozstawaliśmy.

Gdy nadszedł wreszcie dzień pogrzebu, Willy i ja, prawie nie zamieniając ze sobą słowa, zajęliśmy znane sobie pozycje i wyruszyliśmy w znaną nam podróż za kolejną trumną owiniętą flagą rodziny królewskiej i leżącą na łożu ciągniętym

przez konie. Ta sama trasa, te same widoki – tyle że tym razem, w przeciwieństwie do innych pogrzebów, kroczyliśmy ramię w ramię. I grała muzyka.

Kiedy doszliśmy do kaplicy Świętego Jerzego, słysząc ryk dziesiątek dud, wspominałem wszystkie wielkie wydarzenia, jakie przeżyłem pod tym dachem. Pożegnanie dziadka, mój ślub. Nawet mniej uroczyste dni, takie jak niedziele wielkanocne, wydawały się szczególnie wzruszające, gdy zbierała się tu cała rodzina. I nagle musiałem otrzeć oczy.

Dlaczego teraz? pomyślałem. Dlaczego?

Następnego popołudnia poleciliśmy z Meg do Ameryki.

Przez kolejne dni tuliliśmy dzieciaki bez końca i nie spuszczaaliśmy ich z oczu – a ja nie mogłem przestać wyobrażać ich sobie z babcią. Ostatnia wizyta. Archie bił przed nią rycerskie ukłony, a jego siostrzyczka Lilibet obejmowała monarchinię za nogi. Rozbawiona babcia nazwała je słodkimi dziećmi. Spodziewała się, że będą bardziej... amerykańskie, jak sądzę? Czyli, według niej, bardziej niesforne.

Teraz, nie posiadając się z radości z powrotu do domu, podrzucając je i czytając im znowu *Żyrafy nie umieją tańczyć*, nie mogłem przestać... wspominać. W dzień i w nocy przez moją głowę przepływały obrazy.

Stoję przed nią podczas parady z okazji mojej promocji, ze ściągniętymi łopatkami, i widzę jej lekki uśmiech. Stoję za nią na balkonie i mówię coś, co ją zaskoczyło do tego stopnia, że pomimo powagi uroczystości wybuchła głośnym śmiechem. Przysuwałem się do jej ucha tyle razy i czułem zapach jej perfum, szepcząc jakiś dowcip. Niedawno pocałowałem ją w oba policzki podczas publicznego wydarzenia, położyłem jej rękę na ramieniu i poczułem, jaka się stała krucha. Kiedy nagrywaliśmy filmik na pierwsze Igrzyska Niezwyciężonych, odkryłem, że jest urodzoną komediantką. Ludzie na całym świecie wyli ze śmiechu i twierdzili, że nie podejrzewali jej o tak szelmowskie poczucie humoru – ale ona je miała, zawsze! To był jeden z naszych sekretów. Na każdym naszym wspólnym zdjęciu, czy zerkamy na siebie, czy patrzymy sobie w oczy, jasne jest, że mieliśmy swoje tajemnice.

Wyjątkowy związek, tak o nas mówiono, i nie mogę przestać myśleć o tej wyjątkowości, której już nie będzie. I wizytach, do których nie dojdzie.

No cóż, tak to już jest, powiedziałem sobie. Prawda? Takie jest życie.

Chociaż, jak przy wielu innych pożegnaniach, żałuję, że... nie powiedzieliśmy sobie „do widzenia”.

Krótko po naszym powrocie do domu wpadł koliber. Piekielnie się napociłem, żeby go uwolnić, i przyszło mi do głowy, że może powinniśmy zacząć zamykać drzwi, mimo że od oceanu wiał boski wietrzyk.

Wtedy kolega zasugerował, że to mógł być znak.

W niektórych kulturach kolibry są uważane za duchy. Gości. Aztekowie mieli je za reinkarnację wojowników. Hiszpańscy odkrywcy nazywali je „ptakami zmartwychwstania”.

No co ty?

Trochę poczytałem i dowiedziałem się, że kolibry są nie tylko gośćmi, ale też podróżnikami. Najlżejsze ptaki na świecie, i najszybsze, pokonują ogromne odległości ze swych meksykańskich zimowych domów do terenów lęgowych na Alasce. Za każdym razem, gdy widzisz kolibra, tak naprawdę patrzysz na malutkiego połyskującego Odyseusza.

Dlatego kiedy ten koliber się zjawił i fruwał po naszej kuchni, przemknął przez świętą przestrzeń nazywaną przez nas Krainą Lili, gdzie ustawiliśmy kojec z zabawkami i pluszowymi zwierzątkami córki, pomyślałem z nadzieją, zachłannością, głupotą: nasz dom jest atrakcją na trasie czy celem?

Przez pół sekundy czułem pokusę, by pozwolić kolibrowi tu być. Niech sobie zostanie.

No nie.

Delikatnie zdjęłem go z sufitu siatką na ryby Archiego i wyniosłem na dwór.

Nóżki miał jak rzęsy, skrzydełka jak płatki kwiatów.

Przeniosłem go na dłoniach na mur zalany słonecznym światłem.

Do widzenia, przyjacielu.

On jednak tylko tam leżał.

Bez ruchu.

Nie, pomyślałem. Tylko nie to.

Dalej. No dalej.

Jesteś wolny.

Leć.

I wtedy, wbrew wszystkiemu i wbrew obawom, to cudowne magiczne stworzonko się poruszyło i zrobiło to, o co prosiłem.

PODZIĘKOWANIA

Już sama długość tej listy budzi pokorę.

W sferze wydawniczej dziękuję wszystkim z Penguin Random House w Stanach Zjednoczonych i Zjednoczonym Królestwie, a zaczęłą, rzecz jasna, od mądrej i wyrozumiałej Giny Centrello oraz supergenialnego redaktora (i wszechstronnie utalentowanego faceta) Bena Greenberga. Dziękuję Markusowi Dohle i Madeline McIntosh za zrozumienie, bo ramy czasowe uległy zmianie nie raz, ale dwukrotnie. Na podziękowania zasługują też: Bill Scott-Kerr, Tom Weldon, Andy Ward, David Drake, Madison Jacobs, Larry Finlay, Theresa Zoro, Bill Takes, Lisa Feuer, Katrina Whone, Benjamin Dreyer, Sally Franklin, Catriona Hillerton, Linnea Knollmueller, Mark Birkey, Kelly Chian, Derek Bracken, Kate Samano, Simon Sullivan, Chris Brand, Jenny Pouech, Susan Corcoran, Maria Braeckel, Leigh Marchant, Windy Dorresteyn, Leslie Prives, Aparna Rishi, Ty Nowicki, Matthew Martin, Anke Steinecke, Sinead Martin, Vanessa Milton, Martin Soames, Kaeli Subberwal, Denise Cronin, Sarah Lehman, Jaci Updike, Cynthia Lasky, Allyson Pearl, Skip Dye, Stephen Shodin, Sue Malone-Barber, Sue Driskill, Michael DeFazio, Annette Danek, Valerie VanDelft, Stacey Witcraft, Nihar Malaviya, Kirk Bleemer, Matthew Schwartz, Lisa Gonzalez, Susan Seeman, Frank Guichay, Gina Wachtel, Daniel Christensen Jess Wells, Thea James, Holly Smith, Patsy Irwin, Nicola Bevin, Robert Waddington, Thomas Chicken, Chris Turner, Stuart Anderson, Ian Sheppard, Vicky Palmer i Laura Ricchetti.

W sferze audio dziękuję: Kelly Gildei, Danowi Zittowi, Scottowi Sherrattowi, Noah Bruskinowi, Alanowi Parsonsowi, Ok Hee Kolwitzowi, Timowi Baderowi, Amandzie D’Acierno, Lance’owi Fitzgeraldowi, Donnie Passannante, Katie Puni, Ellen Folan i Nicole McArdle.

Szczególne podziękowania dla Ramony Rosales za jej wrażliwość, humor i kunszt, Hazel Orme za uważne poprawki, Hilary McClellen za doskonałą weryfikację faktów, Tricii Wygal za sokoli wzrok – podobnie jak Elizabeth Carbonell, Tory Klose, Janet Renard i Meghi Jain. Dziękuję Wam za ogromny zespołowy trud.

Moim kolegom w Zjednoczonym Królestwie, którzy przy mnie trwali, którzy być może nie dostrzegali wszystkiego wyraźnie, kiedy się to działo, ale zawsze widzieli mnie, znali mnie i przy mnie stali – pośród mgły – dziękuję za wszystko. I dziękuję za rozśmieszanie mnie. Następną kolejkę ja stawiam.

Wyrazy miłości i wdzięczności dla przyjaciół i kolegów, którzy pomogli obudzić wspomnienia lub w inny sposób odświeżyć ważne detale zagubione w oparach młodości, w tym dla Tanii Jenkins i Mike'a Holdinga, Marka Dyera, Thomasa, Charliego, Billa i Kevina. Całej mojej wojskowej rodzinie za rzucanie mi wyzwania, motywowanie mnie i zachęcanie, i za to, że zawsze mnie wspierała. Ja zawsze będę wspierał Was. Specjalne podziękowania dla Glenna Haughtona i Spencera Wrighta, moich sierżantów z Sandhurst. Podziękowania i uściski dla Jennifer Rudolph Walsh za zawsze pozytywną energię i serdeczną radę, jak również dla Oprah Winfrey, Tylera Perry'ego, Chrisa Martina, Nacho Figuerasa i Delphi Blaquier oraz Jamesa Cordena za ich niezachwianą przyjaźń i wsparcie.

Dziękuję wszystkim specjalistom, medykom i doradcom za dbałość o moją siłę fizyczną i psychiczną przez lata. Byli to dr Lesley Parkinson, dr Ben Carraway i Kevin Lidlow oraz Ross Barr, Jessie Blum, dr Kevin English, Winston Squire, Esther Lee, John Amaral i Peter Charles. A również Kasey, Eric Goodman i dwóch Pete'ów. Szczególne podziękowania dla mojej psychoterapeutki ze Zjednoczonego Królestwa za pomoc w zrozumieniu lat niezgłębionej traumy.

Z głębi serca dziękuję swojej drużynie z frontu domowego i cudownemu gangowi z Archewell za bezgraniczne wsparcie. Dla Ricka, Andrew, dwóch Timów, Matta, Jenny z zespołem i Davida najserdeczniejsze podziękowania za Waszą mądrość i radę. Zawsze jesteście – gdziekolwiek i jakkolwiek.

Dziękuję mojemu współpracownikowi i przyjacielowi, powiernikowi, a czasami sparringpartnerowi J.R. Moehringowi, który rozmawiał ze mną tak często i z tak głębokim przekonaniem o pięknie (i świętym obowiązku) prowadzenia pamiętnika oraz całej kadrze i studentom Moehringer-Welch Memoir Academy, w tym Shannon Welch, Gracie Moehringer, Augie Moehringer, Kitowi Rachlisowi i Amy Albert. Specjalne podziękowania dla Shannon za niezliczone sesje czytania i genialne wnikliwe uwagi.

Nadzwyczajne wyrazy wdzięczności dla rodzeństwa matki za miłość, wsparcie, czas i punkt widzenia.

A nade wszystko najgłębsze i najczulsze podziękowania kieruję do Archiego i Lili za to, że pozwolili papie czytać, myśleć i analizować, jak też do teściowej (vel babci) oraz mojej nadzwyczajnej żony za wszystkie dary i poświęcenia, wielkie i małe, których nie sposób zliczyć. Miłości mojego życia, dziękuję Ci, dziękuję, dziękuję. Ta książka nie mogłaby powstać (na poziomie logistycznym, fizycznym, emocjonalnym, duchowym) bez Ciebie. Większość rzeczy byłaby bez Ciebie niemożliwa.

Dziękuję też Tobie, Czytelniku, za chęć poznania mojej historii opowiedzianej moimi słowami. Cieszę się, że mogłem się nią z Tobą podzielić w takim stopniu.

PRZYPISY

- [1] William Ernest Henley, *Invictus*, przeł. Maciej Froński, „Afront” 2018, nr 3, s. 35, afront.org.pl, bit.ly/3HspouF (dostęp: 11.12.2022). (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczy).
- [2] William Faulkner, *Requiem dla zakonniczki*, przeł. Waław Niepokólczycki, Warszawa 1980, s. 60.
- [3] Księga Koheleta 9,10 (cytaty biblijne za Biblią Tysiąclecia).
- [4] William Shakespeare, *Hamlet*, akt I, scena 2, przeł. Józef Paszkowski, Brody 1909.
- [5] Tamże.
- [6] John Steinbeck, *Myszy i ludzie*, przeł. Zbigniew Batko, Warszawa 2002, s. 124.
- [7] William Shakespeare, *Wiele hałasu o nic*, akt I, scena 3, w: *William Shakespeare. Dzieła dramatyczne w dwunastu tomach*, t. 2, przeł. Jan Kasprowicz, Warszawa 1912.
- [8] Nawiązanie do słów z *Burzy* Shakespeare’a: „Byli duchami, zgodnie z zapowiedzią, / I rozplynęli się w zwiewnym powietrzu”. William Shakespeare, *Burza*, akt IV, scena I, przeł. Stanisław Barańczak, Poznań 1991.
- [9] Nawiązanie do słów z wiersza *Szarża lekkiej brygady*: „Wątpić – nie jego rzecz”, za: Alfred Tennyson, *Szarża lekkiej brygady*, w: *Od Chaucera do Larkina. 400 nieśmiertelnych wierszy 125 poetów anglojęzycznych z 8 stuleci*, wyb. i przeł. Stanisław Barańczak, Kraków 1993, s. 326.
- [10] William Ernest Henley, dz. cyt.
- [11] William Ernest Henley, dz. cyt.
- [12] Nawiązanie do tytułu filmu *Straight Outta Compton* z 2015 r., opowiadającego o przedstawicielach gangsta rapu, z których większość wywodziła się ze slumsów w Los Angeles.
- [13] Pieśń nad Pieśniami, 2,10.
- [14] Tamże, 8,6.
- [15] William Moulton Marston (1893–1947), pseudonim literacki Charlesa Moultona, psychologa i twórcy postaci Wonder Woman.

[16] William Shakespeare, *Hamlet*, akt III, scena 1, w: *Tragedie i kroniki*, przeł. Stanisław Barańczak, Kraków 2013.

[17] William Shakespeare, *Król Henryk VIII*, akt V, scena IV, w: *William Shakespeare. Dzieła dramatyczne w dwunastu tomach*, t. 8, przeł. Leon Ulrich, Kraków 1895.